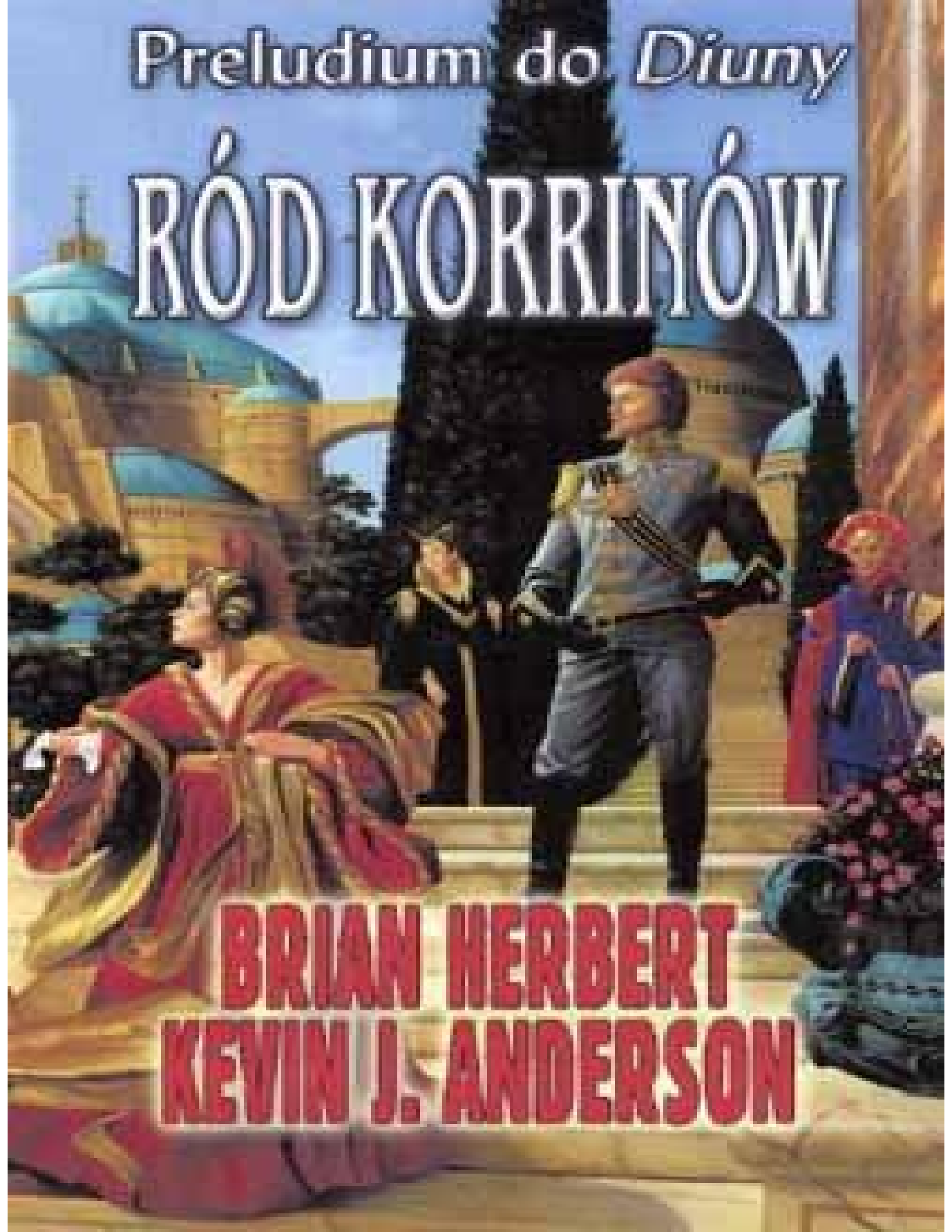


Preludium do *Diuny*

RÓD KORRINÓW

**BRIAN HERBERT
KEVIN J. ANDERSON**



**Brian Herbert
Kevin J. Anderson**

Ród Korrinów

Preludium do Diuny

2003
trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Dune: House Corrino

Data wydania:

2001

Wydanie polskie

Data wydania:

2003

Ilustracja na okładce:

Stephen Youll

Tłumaczył:

Ładysław Jerzyński

Wydawca:

Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c.

ul. Wielka 10, 61-774 Poznań

sklep@zysk.com.pl

www.zysk.com.pl

ISBN 83-7298-203-1

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

*Dla naszych żon,
JANET HERBERT i REBECKI MOESTY ANDERSON,
za ich duchowe wsparcie, pasję, cierpliwość i miłość,
które okazywały nam w każdej chwili realizacji
tego długiego i skomplikowanego przedsięwzięcia*

Podziękowania

Penny Merritt pomagała w wykorzystaniu literackiego dziedzictwa jej ojca, Franka Herberta.

Nasi wydawcy, Mike Shohl, Carolyn Caughey, Pat LoBrutto i Anne Lesley Groell, przy kolejnych wersjach tego tekstu podsuwali nam bardzo cenne uwagi, dzięki czemu mógł on uzyskać swój ostateczny kształt.

Catherine Sidor z Wordfire, Inc. jak zawsze nieustrudzenie przepisywała dziesiątki mikrokaset i setki stron w tempie dyktowanym przez dość szaleńczy rytm naszej pracy. Nie dość, że nie pozwoliła nam kompletnie zwariować, to jeszcze wzbudzała w innych fałszywe przekonanie, że jesteśmy osobami dobrze zorganizowanymi.

Diane E. Jones była pierwszą, doświadczalną – by tak rzec – czytelniczką, która szczerze opowiadała nam o swoich wrażeniach i podsuwając pomysły, przyczyniła się do tego, że książka stała się lepsza.

Robert Gottlieb i Matt Bialer z Trident Media Group oraz Mary Alice Kier i Ann Cottle z Cine/Lit Representation podtrzymywali nas na duchu swym niezmiennym przekonaniem co do wartości naszego przedsięwzięcia.

Ron Merritt, David Merritt, Byron Merritt, Julie Herbert, Robert Merritt, Kimberly Herbert, Margaux Herbert i Theresa Shackelford z The Herbert Limited Partnership zarazili nas swoim entuzjazmem i służyli przykładem, jeśli chodzi o szacunek dla wspaniałej wizji Franka Herberta.

Pamięć należy się Beverly Herbert, która przez ponad czterdzieści lat darzyła miłością i pomagała swemu mężowi, Frankowi Herbertowi.

A nade wszystko podziękować musimy Frankowi Herbertowi, którego geniusz wykreował uzupełniany przez nas wszechświat.

Oś obrotu Arrakis znajduje się pod kątem prostym do promienia jej orbity. Planeta nie jest kulista, lecz wydłużona, szersza na równiku, a wklęsłymi lukami zwręca się ku biegunom. Można odnieść wrażenie, że jest jakimś starodawnym, sztucznym tworem.

z raportu Trzeciej Cesarskiej Komisji Arrakis

W świetle dwu księżyców sunących po zapyłonym niebie wolańscy wojownicy przemykali po pustynnych skałach. Twardzi ludzie nawykli do surowego świata stąpiali się z kamienistym otoczeniem, jakby wykuci byli z tego samego tworzywa.

Wszyscy członkowie zbrojnego oddziału razzia złożyli tę samą przysięgę.

„Śmierć Harkonnenom”.

Panowała cisza przed świtem. Stilgar, wysoki dowódca z czarną brodą kocimi ruchami podążał na czele swej starannie dobranej grupy. „Musimy się poruszać niczym nocne cienie. Cienie z ukrytymi sztyletami”.

Uniósł dłoń, aby wszyscy przystanęli. Wsłuchał się w puls pustyni, pozwalając zmysłom podążać daleko w ciemność. Jego na wskroś niebieskie oczy czujnie badały skałę wypiętrzającą się na tle nieba niczym gigantyczny wartownik. Światło przesuwano się zgodnie z ruchem obu księżyców i cienie na skale płynnie zmieniały swój rozkład.

Zaczęli wspinać się w górę kamiennej skarpy, nawykłymi do mroku oczami wyszukując wysokie stopnie wyrżnięte w skale. Teren wydawał się dziwnie znajomy, chociaż Stilgar był tutaj po raz pierwszy. Ojciec dokładnie opisał mu drogę do siczy Hadis, kiedyś jednej z największych ukrytych siedzib, dawno jednak porzuconej.

„Hadis...” Słowo to pochodziło ze starej wolańskiej pieśni, mówiącej o życiu i sposobach przeżycia na pustyni. Jak większość Wolan, historię tę miał dokładnie wyrytą w pamięci: historię zdrady i bratobójczej walki między zensunnickimi Wędrowcami z pierwszych pokoleń żyjących tutaj, na Diunie. Legenda utrzymywała, że wszystkie najważniejsze wydarzenia związane były z tą świętą siczą.

„Teraz jednak Harkonnenowie zbezczęścili naszą pradawną siedzibę”.

Każdy z ludzi Stilgara ze wstrętem myślał o tym świętokradztwie. Każdego zamordowanego przez Wolan Harkonnena upamiętniało w siczy Czerwonego Muru nacięcie na kamiennej płycie, a dzisiejszej nocy na pewno nadarzy się okazja, aby wykonać następne żłobienia.

Stilgar szedł teraz krętą ścieżką a za nim wił się szereg jego podkomendnych. Musieli się spieszyć. Wkrótce nastanie świt, a oni jeszcze tyle mieli do zrobienia.

Tutaj, z dala od ciekawskich oczu ludzi Cesarza, baron Harkonnen w pustych komorach siczy Hadis ukrywał jeden ze swych nielegalnych zapasów przyprawy. Ogromne sterty drogocennego melanzu nigdy nie pojawiły się w żadnym oficjalnym raporcie przesyłanym Szaddamowi. Władca niczego nie podejrzewał, ale niemożliwe, by Harkonnenowie ukryli swe poczynania przed oczami pustynnych ludzi.

W leżącej na pustyni wiosce Bar Es Raszid, u podnóża długiej grani, znajdowała się stacja nasłuchu Harkonnenów, a na skale nieustannie czuwały ich warty. Dla Wolan nie była to żadna przeszkoda, gdyż jeszcze przed wiekami zbudowali wiele tajemnych kominów i sekretnych wejść do podziemnych grot.

Stilgar wypatrzył niemal nieczytelny znak i zaczął rozglądać się za zamaskowanym wejściem do siczy. W półmroku dostrzegł ciemniejszą plamę pod nawisem. Na czworakach podpełzł do zimnego i wilgotnego otworu, pozbawionego hermetycznej grodzi.

„Marnotrawstwo”.

W środku... żadnych świateł, żadnych oznak straży. Położył się na brzuchu i wymacał nogą nierówny stopień, potem następny i jeszcze jeden... Kiedy stanął na dnie groty, w miejscu, gdzie korytarz skręcał w lewo, zauważył żółtawą poświatę. Uniósł rękę, ostrzegając tych, którzy schodzili za nim.

Przed sobą zobaczył starą misę. Gdy wyjął zatyczki nosowe, poczuł zapach surowego mięsa. Przynęta na małe drapieżniki? Pułapka? Szybko rozejrzał się w poszukiwaniu czujników. Czyżby uruchomił już bezgłośny alarm? Z daleka doleciał go odgłos kroków i pijacki głos:

– Dawaj, załatwimy następnego.

Stilgar i dwaj inni Wolanie bezszelestnie skoczyli w boczny tunel i wyszarpnęli mlecznobiałe krysnoże. W zamkniętej przestrzeni pistolety maula byłyby zbyt głośne. Gdy cuchnąca przyprawowym piwem para wartowników Harkonnenów przeszła obok nich, Stilgar i Turok rzucili się na nich od tyłu.

Zanim którykolwiek z mężczyzn zdołał wydać z siebie głos, Wolanie podcięli im gardła i natychmiast zatkali rany gąbczastymi tamponami, aby nie utracić nawet kropli drogocennej krwi. Stilgar chwycił jeden z laserobinów, drugi podał Turokowi.

Ciemne wojskowe jarzyce kołysały się pod stropem. Członkowie razzia zaczęli skradać się korytarzem w kierunku serca starej siczy. Kiedy przechodzili nad tunelami, którymi przesyłano przedmioty do wewnątrz sekretnych pieczar i na zewnątrz, poczuli cynamonowy zapach melanżu, który od tego miejsca stale się nasilał. Jarzyce były tu nastawione na barwę jasnopomarańczową, a nie żółtą.

Wojownicy Stilgara pomrukiwali na widok przytwierdzonych do ścian ludzkich czaszek i gnijących ciał, wywieszonych tam jako trofea. Stilgar poczuł, jak rośnie w nim gniew. Mogli to być wolańscy wojownicy albo wieśniacy porwani przez Harkonnenów dla zabawy. Idący obok niego Turok zerkał na boki, jakby nie mógł się już doczekać kolejnego wroga.

Stilgar ostrożnie prowadził oddział. Teraz słyszeli już obce głosy i dźwięki. Dotarli do małej wnęki z niską kamienną balustradą pod którą rozpościerała się ogromna grotą. Stilgar wyobraził sobie tysięczne rzesze pustynnych ludzi, którzy przewijali się dawniej przez tę jaskinię, przed Harkonnenami, przed Cesarzem... i zanim przyprawa – melanż – stała się najdrogocenniejszą substancją we wszechświecie.

Na środku groty stała okolona rampą ośmiokątna, granatowo-srebrna konstrukcja, a wokół niej rozstawiono identycznego kształtu, ale mniejsze jej kopie. Jedną z nich – jeszcze nie ukończoną – otaczały rozrzucone części z plasmetalu, między którymi uwijało się siedmiu robotników.

Kryjąc się w cieniu, spiskowcy bezszelestnie zsunęli się po wąskich schodach na dno jaskini. Turok i jeszcze jeden z Wolan, każdy ze zdobyczną bronią zajęli miejsca w górnych wnękach, aby mieć na oku całą grotę. Troje ludzi Stilgara wskoczyło na rampę, zniknęło, a potem jeden z nich pojawił się, dając Stilgarowi znak ręką. Pod błyskawicznymi ciosami krysnoży sześciu strażników padło bezgłośnie.

Teraz nie musieli już się kryć. Dwóch Wolan skierowało na przerażonych robotników lufy pistoletów maula i kazało im iść na górę. Ci posłuchali, wzruszając ramionami i mruczając coś pod nosem, jakby niespecjalnie ich obchodziło, pod czyimi znajdują się rozkazami.

Wolanie przeszukali sąsiednie korytarze i w jednym znaleźli pomieszczenie, w którym ponad dwudziestu strażników spało między walającymi się na podłodze butelkami po piwie przyprawowym. Powietrze w tym pomieszczeniu przesyciła woń melanżu.

Z zaciśniętymi zębami Wolanie wpadli do środka, wywijając klingami i kopiąc, jednak zadając

ciosy tylko tak, by powodowały ból, ale nie śmierć. Otumanionych Harkonnenów rozbrojono i wypchnięto na środek wielkiej sali.

Czując pulsowanie krwi w skroniach, Stilgar spoglądał ze zmarszczonymi brwiami na słoczonych wrogów. „Za przeciwnika zawsze chciałoby się mieć kogoś godnego, ale dziś nie ma tu nikogo takiego”. Nawet tutaj, w silnie strzeżonej grocie, ludzie barona – najpewniej bez jego wiedzy – raczyli się dobrem, którego mieli strzec.

– Najchętniej zamęczyłbym ich na śmierć – warknął Turok. – I to powoli. Widziałeś, co zrobili z jeńcami.

Stilgar podniósł dłoń.

– To może poczekać. Na razie zapędzimy ich do roboty.

Gładząc ciemną brodę, przeszedł się kilka razy przed rzędem wylęknionych strażników. Ze strachu pocili się tak, że zapach potu zaczął przebijać się przez silną woń przyprawy. Za radą przewodzącego im Lieta-Kynesa powiedział spokojnym, dobitnym głosem:

– Przyprawę zgromadzono tu z pogwałceniem prawa cesarskiego. Cały znajdujący się tu melanz zostanie skonfiskowany, a wiadomość o nim przekazana na Kaitain.

Jako świeżo upieczony Cesarski Planetolog, Liet udał się w podróż na Kaitain, aby spotkać się z Cesarzem Padyszachem Szaddamem IV. Droga do cesarskiego pałacu wiodła przez wiele galaktyk i ktoś, kto jak Stilgar znał tylko pustynię, nie potrafił sobie wyobrazić, jakie są to odległości.

– I mówi to jakiś tam Wolanin? – prychnął na pół jeszcze pijany dowódca straży, kapitan, niski człowieczek o wysokim czole i obwisłych policzkach.

– Tak mówi Cesarz, gdyż w jego imieniu zabieram to, co mu się prawnie należy.

Niebieskie oczy Stilgara wwierciły się w tamtego. Kapitan był jednak zbyt pijany, by się bać. A może nie słyszał jeszcze, co Wolanie robili z pojmanymi Harkonnenami? W takim razie niebawem będzie miał okazję, aby się przekonać. Stilgar cofnął się o krok, a jego miejsce zajął Turok.

– Rozładować silosy! – warknął, a ci z robotników, którym wystarczyło na to sił, z satysfakcją przyglądali się, jak Harkonnenowie prężą się na baczność. – Niedługo po towar zjawią się tu nasze ornitoptery.

W miarę jak pustynia roziskrzała się w promieniach wstającego słońca, Stilgar czuł rosnący niepokój. Pojmani Harkonnenowie harowali nieprzerwanie, ale chociaż upłynęło już kilka godzin, zostało im jeszcze trochę roboty. Ten rajd trwał już zbyt długo, z drugiej jednak strony mieli tyle do zdobycia...

Pod czujnym wzrokiem Turoka i towarzyszy, stojących z bronią gotową do strzału, Harkonnenowie ładowali pakunki melanzu na przenośniki, które miały ponieść skarb do wyjścia jaskini, skąd inni przynosili go na lądowisko. Zapas był tak olbrzymi, że na pewno pozwalał na zakup całej planety.

„Po co baron zgromadził takie bogactwo?”

W południe, zgodnie z planem, od wioski Bar Es Raszid dobiegł ich huk eksplozji. To drugi oddział razzia zaatakował posterunek obserwacyjny Harkonnenów.

Cztery nieoznakowane ornitoptery wyleciały zza skalnej grani i zawisły w powietrzu, łopocząc mechanicznymi skrzydłami, a ludzie Stilgara naprowadzali je na płyty podporowe. Gdy tylko osiadły, uwolnieni robotnicy i wolańscy komandosi natychmiast zaczęli do nich ładować dwukrotnie skradziony skarb.

Operacja zbliżała się ku końcowi.

Stilgar wyprowadził strażników na grań wznoszącą się nad pokrytymi kurzem barakami Bar Es Raszid. Po godzinach wytężonej pracy i rosnącego lęku kapitan był już całkiem trzeźwy, spocony i –

przerażony. Stilgar popatrzył na niego z pogardą.

Bez słowa wyciągnął krysnoź i rozplątał tamtego od miednicy aż po mostek. Kapitan zachłysnął się powietrzem, a jego krew i wnętrzności wylały się na słońce.

– Co za marnotrawstwo – usłyszał za sobą mruknięcie Turoka.

Pozostali Harkonnenowie w panice rzucili się do ucieczki, ale Wolanie skoczyli na nich, niektórych zwalając z grani, innych zabijając krysnożami. Ci, którzy śmiało potrafili przyjąć swój los, ginęli szybko i bez bólu, tchórze męczyli się dłużej.

Robotnikom o zapadniętych oczach kazano załadować do luków ornitopterów wszystkie ciała, także szczątki rozpięte na ścianach. W zgonsusznicach sicy Czerwonego Muru – dla współplemienców – zostanie z nich wyciągnięta każda kropla drogocennej wody. W zbezczeszczonej sicy Hadis znowu zapanuje nienaturalna cisza.

Ostrzeżenie dla barona.

Załadowane ornitoptery niczym ciemne ptaki wzbijały się kolejno w czyste niebo, a oddział Stilgara ruszył z powrotem w piekącym słońcu. Zadanie zostało wykonane.

Kiedy tylko baron Harkonnen dowie się o kradzieży przyprawowego skarbu i utracie strażników, zemści się na biednych mieszkańcach Bar Es Raszid, chociaż ci w niczym nie zawinili. Stilgar postanowił, że wszystkich ich zabierze ze sobą do bezpiecznej, odległej sicy.

Tam razem z robotnikami przedzierzną się w Wolan albo zostaną zabici. Jeśli zważyć na to, jak nędzne pędzili tu życie, właściwie wyświadczał im przysługę.

Kiedy Liet-Kynes powróci z wyprawy na cesarski Kaitain, na pewno z radością dowie się o wyczynie Wolan.

Ludzkość zna tylko jedną naukę: naukę niezadowolenia.

Cesarz Padyszach Szaddam IV, dekret wydany w odpowiedzi na poczynania rodu Moritanich

„Proszę o wybaczenie, Najjaśniejszy Panie”.

„Błagam o łaskę, Najjaśniejszy Panie”.

Większość codziennych obowiązków śmiertelnie nudziła Cesarza Szaddama Korrino IV. Zasiadanie na Tronie Złotego Lwa z początku było całkiem podniecające, kiedy jednak teraz spoglądał na cesarską salę audiencyjną, odnosił wrażenie, że sykofanci tak ciągnęli do władzy, jak karaluchy do lukru. Głosy petentów wpływały mu jednym uchem, a wypływały drugim, kiedy przesuwiał się w ich szpalerze, jednym okazując przychylność, innym nie.

„Chodzi mi tylko o sprawiedliwość, Najjaśniejszy Panie”.

„Poświęć mi chwilę swego drogocennego czasu, Najjaśniejszy Panie”.

Kiedy był następcą tronu, jakżeż pragnął na nim zasiąść. I oto teraz jednym pstryknięciem palców mógł uszlachcić najmniejszego prostaka, niszczyć światy i obalać w proch Wysokie Rody, ale jednocześnie stwierdzał, że nawet jako Cesarz Znanego Wszechświata nie może rządzić tak, jakby chciał. Na jego decyzje usiłowali wpływać doradcy ciągnący w najróżniejsze strony. Gildia Kosmiczna miała swoje interesy, a Zjednoczony Nadzór nad Aktywnym Handlem, handlowy konglomerat powszechnie znany jako ZNAH, swoje. Kojąca jednak była wiedza, że inne rody uzerają się między sobą równie zażarcie, jak prowadzą walki podjazdowe z nim.

„Proszę, wysłuchaj mojej sprawy, Najjaśniejszy Panie”.

„Litości, Najjaśniejszy Panie”.

W pierwszych latach panowania pomogły mu Bene Gesserit. Teraz jednak czarownice – włącznie z jego żoną – zaczęły spiskować za jego plecami, rozplatając cesarski kobierzec i wprowadzając weń swoje wzory.

„Błagam, proszę, wysłuchaj mojej prośby, Najjaśniejszy Panie”.

„Chodzi mi o drobiazg, Najjaśniejszy Panie”.

Kiedy jednak Projekt Amal – sekretna produkcja syntetycznej przyprawy na Ix – zostanie wreszcie ukończony, na co czekał od tylu lat, wtedy zmieni też oblicze całego Cesarstwa. „Amal”. Jakże magicznie brzmiało to słowo. Ale słowa to jedna sprawa, a rzeczywistość – druga.

Ostatnie raporty z Ix były bardziej niż pomyślne. Ponoć eksperymenty przeklętych Tleilaxan zakończyły się ostatecznie sukcesem, teraz więc musiał tylko czekać na ostateczny dowód i próbki. Przyprawa... Wszystkie struny poruszające mechanizmem Cesarstwa były z niej skręcone. „Już niebawem będę miał własne, niezależne źródło, a wtedy, jak dla mnie, Arrakis może pogрузić się w niepamięć”.

Mistrz Badań, Hidar Fen Ajidica, nie ośmieliłby się blefować, niemniej jednak przyjaciel Szaddama z czasów chłopięcych, o obcym mu filozoficznym nastawieniu, hrabia Hasimir Fenring, pojechał na Ix, aby zobaczyć wszystko na własne oczy.

„Mój los jest w twoich rękach, Najjaśniejszy Panie”.

„Niechaj szczęście nie opuszcza naszego najmiłościvszego Cesarza!”

Siadając na tronie, Szaddam pozwolił sobie na tajemniczy uśmieszek, który napełnił serca pieczeniarzy niepokojem.

Za jego plecami dwie niewiasty o skórze koloru miedzi, pokrytej złotymi jedwabnymi łuskami, wbiegły po schodach i zapaliły dwie Pochodnie. Trzaskające płomienie, niebieski i zielony, były tak intensywne, że nie można było długo się w nie wpatrywać. Rozległ się ich syk, a w powietrzu rozszedł się zapach ozonu, jak przed burzą.

Przy całej tej pompie i ceremonialności dotarł do sali tronowej z godzinnym opóźnieniem i nawet dobrze się stało, bo w ten sposób dał przynajmniej do zrozumienia tej płaszczącej się zgrai, jak ważne są dla niego te audyencje. Petenci natomiast musieli zjawić się dokładnie o wyznaczonej porze, spóźnieni bowiem nie byli wpuszczani do sali.

Szambelan dworu, Beely Ridondo, zaczął rozstawiać przed tronem aparaturę akustyczną, a gdy ta była już gotowa, rozległ się dźwięczny ton, od którego zatrzęsły się podstawy pałacu. Ridondo, łysy, z wysokimi łukami brwiowymi, najpierw przeczytał długą listę tytułów i imion Szaddama, następnie obwieścił początek audyencji, po czym tyłem wspiał się po stopniach, ani razu się nie zachwiawszy.

Z powagą na twarzy Szaddam pochylił się nieco i rozpoczął następny dzień tronowania. Ranek przebiegał niestety zgodnie z oczekiwaniami: wraz z nie kończącą się listą durnych drobiazgów. Zmuszał się, by wyglądać tak, jak powinien wyglądać dobry władca: pełen współczucia, wyrozumiałości, ale też i obiektywizmu. Zadbał już o to, aby dobrane grono historyków utrzymywało nawet najmniejsze aspekty jego władania.

Po krótkiej przerwie Ridondo przeszedł do spraw ogólnocesarzkich. Już po kilku łykach wzmocnionej kawy przyprawowej Szaddam poczuł, jak wstępują w niego ożywcze siły. Przynajmniej raz zrobiona jak należy. Misternie zdobiona filiżanka, jedyna w swoim rodzaju w całym wszechświecie, wykonana była z materiału tak delikatnego, że wydawał się nie grubszy od skorupki jajka. Po wykorzystaniu bezzwłocznie ją tłuczono, aby nikt nie miał sposobności skorzystać z tego samego naczynia, co Cesarz.

– Najjaśniejszy Panie? – Ridondo spoglądał na swojego władcę, przestawszy recytować z pamięci długie nazwiska. Nie był wprawdzie mentatem, ale naturalna pamięć pozwalała mu ze znaczną biegłością rozeznawać się w skomplikowanych sprawach Cesarstwa. – Pewien przyjezdny, który właśnie zjawił się na Kaitain, prosi o jak najszybsze przyjęcie.

– Zawsze im tak spieszno. Z jakiego rodu?

– Nie należy do Landsraadu, Najjaśniejszy Panie. Nie jest też przedstawicielem Gildii ani ZNAH-u.

Szaddam prychnął.

– Szambelanie, sprawa jest chyba jasna. Nie mogę marnować czasu na przyjmowanie prostaków.

– To nie jest prostak, Najjaśniejszy Panie. Nazywa się Liet-Kynes i przybył z Arrakis.

Szaddam nie posiadał się z oburzenia: co za bezczelność. Ledwie taki postawi nogę na Kaitain, a zaraz chciałby być przyjęty przez Cesarza Miliona Planet!

– Jak będę miał ochotę porozmawiać z pustynnym włóczęgą, to go wezwę.

– Najjaśniejszy Panie, to twój Cesarski Planetolog. Twój ojciec kazał jego ojcu zbadać na Arrakis sprawę przyprawy. Nadeszło stamtąd wiele raportów.

Szaddam ziewnął.

– Jeśli dobrze pamiętam, wszystkie nudne jak flaki z olejem. – Teraz przypominał już sobie ekscentrycznego Pardota Kynesa, który większość czasu spędził na Arrakis, mniej poświęcając się swym obowiązkom, a bardziej interesując się krajowcami. Zbratał się z nimi, woląc piasek i poniewierkę od luksusów Kaitain. – Pustynia przestała mnie interesować.

„Szczególnie teraz, gdy amal jest już w zasięgu ręki”.

– Rozumiem twoje zastrzeżenia, Najjaśniejszy Panie, ale urażony Kynes może zacząć podburzać miejscowych robotników. Nie wiemy przecież, jakie ma pośród nich wpływy. Gdyby nakłonił ich do generalnego strajku, spadłaby produkcja przyprawy, baron Harkonnen domagałby się wsparcia w postaci sardaukarów, a wtedy...

Szaddam uniósł wypielęgnowaną dłoń.

– Dosyć. Rozumiem, o co ci chodzi. – Szambelan zawsze miał skłonność do udzielania bardziej szczegółowych informacji, niż Szaddam by sobie życzył. – Przyjmę go, ale najpierw otrzep go trochę z kurzu.

Ogrom pałacu cesarskiego zrobił wprawdzie na Liecie-Kynesie wrażenie, ale tak naprawdę cenił on inny rodzaj wielkości. Nic nie mogło rywalizować z wielkim bezkresem Diuny. Widział nadciągającą kurzawę koriolisa. Jechał na ogromnym piaskalu. Obserwował, jak gorzej małe skierki życia roślinnego w zupełnie niesprzyjającym temu otoczeniu.

Nikt, kto zasiada w fotelu, nawet najcenniejszym, niczego takiego nie przeżyje.

Skórę miał aż lepką od olejków, którymi zlane go od stóp do głów, jego włosy pachniały kwiatowymi perfumami, a ciało wionęło nienaturalnymi dezodorantami. Wolanie uważali, że piasek oczyszcza ciało i umysł. Kiedy wróci z Kaitain, natychmiast wytarza się na szczycie wydmy, a potem stanie wyprostowany, aby oczyścić go wiatr.

Ponieważ uparł się, że wystąpi w misternym destylozynie, najpierw kombinezon rozłożono na części, aby sprawdzić, czy nie ukryto w nim żadnej broni lub urządzeń podsłuchowych, a następnie każdy jego detal oczyszczono i dokładnie obejrzano. Dopiero wtedy mógł na powrót nałożyć swój strój. Kynes wątpił, by najważniejsze urządzenia działały po tym wszystkim prawidłowo, więc chyba będzie musiał zrezygnować z tego kombinezonu. Cóż za marnotrawstwo.

Ponieważ jednak był synem wielkiego proroka Pardota Kynesa, Wolanie uznają za wielki zaszczyt

przygotowanie dla niego nowego destylozonu. I jemu, i im chodziło ostatecznie o to samo: powodzenie Diuny, ale tylko Kynes mógł stanąć przed Cesarzem i nakłonić go do podjęcia odpowiednich decyzji.

„A ci ludzie z Cesarstwa rozumieją tak niewiele”.

Prążkowana narzuta powiewała za nim, a chociaż tutaj wydawała się dziwnym dodatkiem do ubioru, on szedł w niej dumnie niczym w królewskiej pelerynie.

Szambelan zapowiedział go okrzykiem krótkim jak szczeknięcie, jak gdyby był urażony tym, że nie ma długich imion i tytułów do recytowania. Liet-Kynes kroczył po posadzce w butach temag, nawet nie starając się stawiać ich lekko i wdzięcznie. Zatrzymał się u stóp tronu i nie kłaniając się, zaczął hardo:

– Cesarzu Szaddamie, muszę z tobą porozmawiać o przyprawie i Arrakis.

Dworzanie nie wierzyli własnym uszom. Szaddam zeszywniał, bez wątpienia urażony.

– Bardzoś pewny siebie, mój planetologu, a na dodatek głupi. Ośmielasz się przypuszczać, że nic nie wiem na temat spraw tak żywotnych dla mego Cesarstwa?

– Ośmielam się przypuszczać, Najjaśniejszy Panie, że ród Harkonnenów karmi cię fałszywymi informacjami, aby ukryć swoje poczynania. – Szaddam uniósł rude brwi i nadstawił ucha, całą uwagę skupiając teraz na planetologu, który ciągnął: – Niczym dzikie psy, rozszarpują tę planetę na strzępy. Ciemiężą miejscową ludność, wyznaczają tak wielkie kwoty obowiązkowych dostaw przyprawy dla każdej załogi, że nawet normy dla niewolników na Poritrin czy Giedi Primie nie dają się z tym porównać. W licznych raportach pisałem o tych okrucieństwach, podobnie jak wcześniej mój ojciec. Przedstawiłem także dalekosiężny plan, dotyczący hodowli traw i krzewów, który mógłby się przyczynić do zmiany oblicza Diuny, to znaczy Arrakis, tak by stało się przyjazne dla ludzi. – Umilkł, ale tylko po to, aby zaczerpnąć tchu. – Ponieważ nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, zakładam, że nie czytałeś, Najjaśniejszy Panie, żadnego z tych sprawozdań.

Szaddam chwycił za oparcia Tronu Złotego Lwa. Pochodnie po obu jego stronach zahuczały, ale była to tylko słaba imitacja ognia w otwartej paszczęce Szej-huluda.

– Wiele do mnie dociera materiałów, planetologu, a mój czas jest ograniczony.

Sardaukarowie z gwardii postąpili kilka kroków, słysząc w głosie władcy nieprzyjazny ton.

– Tyle że większość z nich jest bez znaczenia w porównaniu z produkcją przyprawy, czyż nie tak?

– Odpowiedź Kynesa zaszokowała Szaddama i wszystkich słuchaczy. Gwardziści byli gotowi do wkroczenia do akcji. Jakby niepomny niebezpieczeństwa, Kynes ciągnął: – Prosiłem o nowy sprzęt oraz zespoły botaników, meteorologów i geologów. Prosiłem o ekspertów od studiów nad kulturą, aby pomogli mi zbadać, dzięki czemu Wolanie potrafią tak dobrze radzić sobie tam, gdzie Harkonnenowie ponoszą tak ogromne straty.

Szambelan miał już tego dosyć.

– Mości planetologu, mówisz takim tonem, jakbyś wysuwał żądania. Cesarzowi się nie rozkazuje, to on decyduje, co jest istotne i jak wielkodusznie rozdzielać cesarskie zasoby.

Ale Kynes nie zamierzał się ugiąć ani przed władcą ani przed jego totumfackim.

– Ale nic nie jest ważniejsze dla Cesarstwa od przyprawy. A ja proponuję Cesarzowi rozwiązanie, po którym przejdzie do historii jako dalekowzroczny władca, nawiązujący do szczytnej tradycji następcy tronu Raphaela Korrino.

Na tę beczelną wypowiedź Szaddam zerwał się na równe nogi, co rzadko mu się zdarzało podczas audiencji.

– Dość już tego! – Miał ochotę natychmiast nakazać egzekucję, ale rozum zwyciężył, chociaż z trudem. Może jednak jeszcze potrzebować tego gburą, a poza tym, kiedy już wyjaśni sprawę amalu,

jakże przyjemnie będzie skazać tego durnia, aby z bliska przyglądał się, jak obumiera jego ukochana planeta. Oschłym tonem dorzucił: – Nasz cesarski Minister do Spraw Przyprawy, hrabia Hasimir Fenring, powinien w ciągu tygodnia powrócić na Kaitain. On zbada zasadność twoich sugestii i doradzi mi, co powinienem uczynić.

Sardaukarowie chwycili Kynesa za łokcie, obrócili i szybko wyprowadzili z sali. Nie usiłował się opierać, tym bardziej że znał już najważniejszą odpowiedź. Cesarz Szaddam był zaślepiony i nie widział dalej niż czubek swojego nosa, a taki człowiek, obojętne iloma planetami by rządził, nie zasługiwał na szacunek.

Wolanie sami będą musieli zatroszczyć się o Diunę i do diabła z całym Cesarstwem!

Na pół żywi domagają się tego, czego im brak... ale kiedy im to dać, boczą się, gdyż za nic nie chcą się przyznać do swojej niewystarczalności.

**przypisywane świętej Serenie Butler,
z Apokryfów džihadu**

W sali bankietowej Zamku Kaladan elegancko ubrana służba usiłowała zachowywać się normalnie, chociaż ich ksiązę był tylko cieniem dawnego siebie.

Kamiennymi korytarzami przemykały wystrojone kobiety. W każdej niszy paliły się świece rozciągające muszkatowy zapach. Ale nawet najwyborniejsze potrawy przygotowane przez kucharzy, najpiękniejsza porcelana i najbardziej wyszukane sztuce czy najłagodniejsza muzyka nie mogły rozproszyć smutku, który spowił siedzibę Atrydów. Każdy służący czuł ból Leta, ale nikt nie mógł mu w żaden sposób pomóc.

Lady Jessika siedziała w fotelu z rzeźbionego drewna elakkijskiego blisko końca stołu, co podkreślało jej pozycję oficjalnej księżęcej konkubiny. Miejsce u szczytu stołu zajmował jej ciemnowłosy kochanek, Leto Atryda, wysoki, dumny, uprzedzająco grzeczny wobec pojawiających się z coraz to nowymi propozycjami służących.

Przy stole wiele, aż za wiele, było pustych miejsc. Aby nie pogłębiać bólu Leta, Jessika dyskretnie usunęła mały fotel sporządzony dla sześciolatniego Victora, jego nieżyjącego syna. Pomimo lat szkolenia Bene Gesserit, Jessika nie potrafiła przebić się przez zasłonę bólu Leta i z tego powodu cierpiała. Tyle miałaby mu do powiedzenia, gdyby zechciał jej wysłuchać.

Naprzeciw siebie zasiedli przy stole mentat Thufir Hawat i poznaczony bliznami przemytnik, Gurney Halleck. Gurney, który, gdy była po temu pora, zabawiał towarzystwo śpiewem i grą na balisecie, teraz przygotowywał się wraz z Thufirem do tajnej wyprawy na Ix, podczas której chcieli wykryć luki w systemie defensywnym Tleilaxan.

Thufir był bardzo przydatnym uczestnikiem takiej wyprawy z tego względu, że jego podobny do komputera mózg mógł w każdej chwili sypnąć setkami planów i możliwych zagrożeń. Gurney natomiast znakomicie potrafił zakradać się tam, gdzie się go najmniej spodziewano, i wychodzić z największych tarapatów. Ta dwójka powinna poradzić sobie tam, gdzie innym się nie udało...

– Jeszcze trochę tego kaladańskiego białego – powiedział mistrz miecza Duncan Idaho i uniósł kielich. Służący pospieszył z butelką kosztownego miejscowego trunku, a Duncan dopóty trzymał wyciągniętą rękę, dopóki złocisty płyn nie napełnił naczynia. Ruchem drugiej dłoni zatrzymał służącego, upił długi łyk i jeszcze raz kazał napełnić puchar.

Zapadła niezręczna cisza. Leto wpatrywał się w rzeźbione drzwi, jakby oczekiwał jeszcze kogoś. Jego oczy przypominały kawałki przydymionego lodu.

„Wybucha powietrzny żaglowiec, płomienie...” „Rhombur straszliwie poraniony i poparzony, Victor zabity...” A potem miał się dowiedzieć, że wszystko zaplanowała jego zazdrosna konkubina, Kailea, która potem, nie mogąc znieść bólu i wyrzutów sumienia, rzuciła się z wieży Zamku Kaladan... Pojawiła się kuchmistrzynie, z dumą niosąc wielki półmisek.

– Mój książę, oto potrawa przygotowana specjalnie na twoją cześć.

Tłusta pararyba owinięta w kruche, aromatyczne liście. Różowawe mięso naszpikowano łądygami rozmarynu, ciemne jagody jałowca lśniły na brzegach niczym klejnoty. Chociaż kuchmistrzynie podała Letu najsmaczniejszą część, książę nawet nie drgnął i dalej wpatrywał się w drzwi.

Na dźwięk kroków i lekkiego pomruku silników Leto wstał z wyrazem oczekiwania i troski na twarzy. Krokiem lekkim, jakby miała skrzydełka u stóp, do sali weszła Tessja, siostra Bene Gesserit. Rozejrzała się po sali, spojrzała na krzesła, kamienną podłogę w miejscu, gdzie usunięto dywan, i z aprobatą kiwnęła głową.

– Robi bardzo duże postępy, książę, ale musimy być cierpliwi.

– I tak nikt z nas nie prześcignie go w cierpliwości – odparł Leto, a na jego obliczu pojawił się cień nadziei.

Z mechaniczną precyzją na którą składało się zginanie mięśni poruszanych elektrofluidami, naciąganie szigarutowych ścięgien i cieniutkich włókien nerwów, książę Rhombur Vernius wsunął się do sali. Na jego pokrytej szwami twarzy, połączeniu naturalnej i sztucznej skóry, widać było najwyższe skupienie, a na czole lśniły krople potu. Miał na sobie krótki, luźny kaftan, na którym połyskiwała purpurowo-miedziana spirala, dumny herb upadłego rodu Verniusów.

Tessja zrobiła ruch w jego kierunku, ale uniósł palec z gładkiego metalu i polimerów, domagając się, by pozostała na miejscu.

Eksplozja powietrznego żaglowca zamieniła Rhombura w strzęp ciała: spłonęły kończyny i pół twarzy, zniszczeniu uległa większość organów. Przeżył jednak – w tym udręczonym strzępie tlił się żar po dawnym płomieniu. Teraz ów żar umieszczono w mechanizmie uformowanym na wzór człowieka.

– Szybciej nie potrafię, Leto.

– Nigdzie nam się nie spieszy. – Serce księcia przepełniał podziw dla przyjaciela. Kiedyś wspólnie łowili ryby, grali, sączyli trunki i opracowywali plany na całe dekady. – Nie chciałbym, żebyś upadł i zniszczył coś cennego, na przykład stół.

– Bardzo zabawne, nie powiem.

Leto przypominał sobie, jak podli Tleilaxanie uparcie zabiegali o genetyczne próbki Atrydów i Verniusów, w momencie jego największej zgryzoty posuwając się nawet do szantażu. Złożyli mu szatańską ofertę: w zamian za poharatany, ale ciągle żywy korpus Rhombura zaproponowali wyhodowanie gholi – organizmu sklonowanego z martwych komórek – z jego synka Victora.

Głęboka była ich nienawiść do Atrydów, ale jeszcze większa do Verniusów, dawnych władców IX, których obalili. Chcieli skompletować DNA Atrydów i Verniusów. Mając do dyspozycji ciała Victora i Rhombura, mogliby stworzyć dowolną liczbę ghol, klonów, assassinów, sobowtórów.

Leto odrzucił ich propozycję, zatrudnił natomiast doktora Suk, Wellingtona Yueha, specjalistę od protez zastępujących żywe organy.

– Bardzo dziękuję za wyprawienie na moją cześć wieczerzy. – Rhombur przebiegł wzrokiem po zastawie i sztuccach. – Przepraszam, że wszystko wystygło.

Leto złożył dłonie i zaczął klaskać, Duncan i Jessika przyłączyli się do niego, uśmiechając się

ciepło. Jessica za pomocą wyczulonego zmysłu obserwacyjnego dostrzegła we wzroku księcia ślad tłumionych łez.

Posępny doktor Yueh kroczył obok swego pacjenta, śledząc wskazania na trzymanym w dłoni czytniku, który nieustannie rejestrował impulsy wysyłane przez cybernetyczne systemy Rhombura. Szczupły doktor wydał wargi, tak że wyglądały jak pąk kwiatu, i oświadczył z zadowoleniem:

– Znakomicie. Funkcjonujesz jak należy, chociaż jest jeszcze kilka parametrów, które należy lepiej zsynchronizować.

Obiegł żwawo pacjenta, obserwując wszystkie detale, podczas gdy on stawiał powolne, przemyślane kroki.

Tessja odsunęła fotel dla Rhombura. Syntetyczne nogi były masywne i silne, ale poruszały się bez wdzięku. Ramiona zwisały bezwładnie wzdłuż boków i wydawało się, że okrywa je zbroja. Rhombur uśmiechnął się na widok świeżo podanej ryby.

– Pachnie bardzo zachęcająco. – Powoli, metodycznie odwrócił głowę i spytał: – Doktorze Yueh, czy mogę zjeść odrobinę?

Doktor Suk pogładził długie wąsy.

– Ale tylko odrobinę. Nie należy przeciążać twego układu trawiennego, książę.

Rhombur spojrział na Leto.

– Możesz się nie obawiać, czy wystarczy dla ciebie.

Opadł powoli na fotel, a wtedy usiadła i reszta towarzystwa. Leto uniósł kielich z winem, zastanawiał się nad jakimś toastem, speszony upił trochę i powiedział niepewnie:

– Tak mi... przykro, że cię to spotkało, Rhomburze. Te protezy... nie mogłem zrobić nic więcej.

Na pozszywanej twarzy Rhombura pojawiła się mieszanka wdzięczności i zdziwienia.

– Na szkarłatne piekła, Leto, jakżeż możesz przepraszać?! Jak zaczniesz rozpamiętywać wszystko, za co chciałbyś uczynić odpowiedzialnym ród Atrydów, wszyscy zwariujemy, z tobą na czele. – Uniósł mechaniczne ramię i pokręcił przegubem. – Całkiem nieźle. Co mówię, wspaniale. Doktor Yueh to prawdziwy geniusz. Nie powinieneś się z nim rozstawać. – Doktor z trudem usiłował ukryć zadowolenie z komplementu. – W końcu kto jak kto, ale ja, obywatel Ix, potrafię docenić cuda techniki, których teraz sam jestem żywym przykładem. I myślę, że może właśnie ja najbardziej się do tego nadaję.

Podczas lat spędzonych na wygnaniu książę Rhombur bez nadmiernego zapału zajmował się wspieraniem ruchu oporu na swojej ojczystej planecie, wysyłając tam materiały wybuchowe i urządzenia wykorzystywane w akcjach sabotażowych, co finansował Leto.

Teraz, chociaż był już tylko strzępem człowieka, wzmocnił się nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Każdego dnia mówił o konieczności odzyskania Ix i tak się tym pasjonował, że Leto, a czasami nawet konkubina Tessja, musieli go uspokajać.

Leto w końcu zgodził się na ryzykowne przedsięwzięcie: Gurney i Thufir mieli udać się na Ix, aby rozeznaczyć w sytuacji. Nie chodziło o to, czy w ogóle przeprowadzić atak, lecz tylko i jedynie o to: kiedy.

– Nie lekceważ, książę, siły Rhombura – powiedziała z naciskiem Tessja. – Sam wiesz najlepiej, ile jej potrzeba, aby przetrwać trudne chwile i z bólem żyć dalej.

Jessika nie mogła się powstrzymać od uczucia podziwu dla swojej siostry zakonnej. Przez lata spędzone z Rhomburem na Kaladanie, Tessja zachęcała go, aby wsparł działania spiskowców na Ix, co pozwoliłoby mu odzyskać tron. Także potem, po wypadku, nie odstępowała go na krok.

Gdy odzyskał przytomność i zobaczył ją przy sobie, wyszeptał:

– Dziwię się, że nie odeszłaś.

– Będę przy tobie, jak długo będziesz mnie potrzebował.

To ona zajęła się przystosowaniem pomieszczeń i sprzętów do nowych potrzeb Rhombura, bardzo wiele czasu poświęciła też ćwiczeniom, które miały go wzmocnić.

– Kiedy księżę Rhombur poczuje się lepiej – powtarzała – poprowadzi mieszkańców Ix do zwycięstwa.

Ale Jessika nie wiedziała, czy ta kobieta o brązowych włosach idzie za głosem serca, czy też wypełnia tylko instrukcje w sekrecie przekazane jej przez zwierzchniczki zakonne. Przez całe dzieciństwo Jessika była całkowicie posłuszna swojej nauczycielce i mentorce, Wielebnej Matce Gaius Helenie Mohiam. Wykonywała każde, nawet najbardziej drakońskie, polecenie, karnie uczyła się wszystkiego, co jej nakazano.

Teraz jednak zakon żądał, aby jej geny zmieszały się z genami księcia. Bez żadnych niedomówień polecono jej uwieść Atrydę i powić mu córkę. Gdy Jessika poznała dziwne i wzbronione jej uczucie miłości do ciemnowłosego księcia, w odruchu buntu opóźniła moment zajścia w ciążę. A kiedy na Leta spadła tragedia, jaką była śmierć Victora, na przekór żądaniom zakonu ośmieliła się począć syna. Mohiam poczuje się zdradzona i oszukana, ale przecież będzie jeszcze czas i na córkę, czyż nie?

Rhombur poruszył się w fotelu, zgiął lewe ramię i powoli wsunął sztywne palce do kieszeni kaftana, by powoli czegoś poszukać. Wreszcie wyjął kawałek papieru i starannie go rozwinał.

– Znakomite panowanie nad napędem – zauważył Yueh. – Robisz to o wiele lepiej, niż się spodziewałem. Ćwiczysz, księżę?

– Bez ustanku. – Rhombur uniósł kartkę. – Każdego dnia przypominam sobie coś nowego. Naszkicowałem, najlepiej jak potrafię, kilka tajnych przejść na Ix. To może się przydać Gurneyowi i Thufirowi.

– Inne wejścia okazały się zbyt niebezpieczne – powiedział Thufir. Przez całe dekady szpiegdy usiłowali przedrzeć się przez zapory Tleilaxan, ale tych kilku agentów, którym udało się wśliznąć do wnętrza, nigdy nie powróciło.

Rhombur podczas długiej rekonwalescencji dokopał się jednak w zasobach pamięci do bardzo dawnych wspomnień. Miał nadzieję, że nie wszystkie z rozwiązań podjętych przez Verniusów zostały odnalezione przez obecnych władców Ix i znajdą sposób wnikięcia do umocnionej niczym warownia planety.

Rhombur nakłutł na widelec duży kawałek ryby, ale pochwyciwszy upomnienie we wzroku lekarza, odłożył go na talerz i pokroił na mniejsze fragmenty.

Leto zerknął na swe niewyraźne odbicie w polerowanych ścianach z niebieskiego obsydianu.

– Jak wilki gotowe rzucić się na członka stada, który okaże słabość, tak niektóre z Wysokich Rodów tylko czyhają aż mi się powinie noga. Na przykład Harkonnenowie.

Od czasu katastrofy powietrznego żaglowca Leto nie chciał już w milczeniu znosić niesprawiedliwości. Tak samo jak Rhombur chciał zmienić sytuację na Ix.

– Całe Cesarstwo musi zobaczyć, że ród Atrydów nic nie stracił ze swojego znaczenia.

Kiedy staramy się ukryć swe najgłębsze pragnienia, zdradza nas własne ciało.

Odwiedziny u umierającej Prawdomówczyni Lobii w jej surowej celi napępiały lady Anirulę bólem. „Ach, droga przyjaciółko, zasłużyłaś sobie na lepszy los!”

Ostatnimi laty wiekowa siostra bardzo podupadła na zdrowiu, kurczowo jednak trzymała się życia. Zamiast wracać do znajomych sal szkolnych na Wallach IX, Lobia uparła się, że do końca będzie wypełniać swoje powinności przy Tronie Złotego Lwa. Osłabło ciało, ale sprawny pozostał przenikliwy umysł, jej – jak to określała – „najcenniejszy dobytek”. Jako cesarska Prawdomówczyni, Lobia bezbłędnie demaskowała wszystkie kłamstwa i kręctwa, jakimi usiłowano usidlić Szaddama IV, chociaż ten rzadko doceniał jej usługi.

Wymizerowana niewiasta spoglądała teraz na Anirulę, która stała w kręgu cienia jarzycy i próbowała ukryć łzy. Staruszka była nie tylko siostrą z tego samego zakonu: była też najbliższą powierniczką Aniruli w całym pałacu, przenikliwą, fascynującą osobą, z którą dzieliła myśli i sekrety. A teraz umierała.

– Jeszcze wydobrejesz, Matko Lobio. – Od plastonowych ścian nieogrzewanego pokoju ciągnął przenikający do szpiku kości ziąb. – Wydaje mi się, że powoli odzyskujesz siły.

Odpowiedź przypominała szelest zeschniętych liści:

– Nigdy nie kłam Prawdomówczyni... a zwłaszcza Prawdomówczyni Cesarza. – Często powtarzała to upomnienie. W jej przekrwionych oczach skrzyły się wesole iskierki, chociaż pierś unosiła się z trudem. – Czy niczego nie udało mi się cię nauczyć?

– Nauczyłam się, że jesteś bardzo uparta. Dlaczego nie pozwoliłaś mi wezwać Sióstr Lecznicych? Yohsa na pewno by cię wyleczyła.

– Moje życie nie jest już potrzebne zakonowi, moja droga, cokolwiek ty sama byś o tym myślała. I co, czy mam teraz zacząć szydzić z twoich nierozsądnych emocji, czy oszczędzisz nam obu tak niezręcznej sytuacji? – Lobia zakasłała, a potem poddała się regułom letargu bindu. Dwa głębokie oddechy, chwila intensywnego skupienia – i znowu oddychała lekko niczym młódka. – Nie jest nam pisana nieśmiertelność, chociaż głosy w Pamięci Innych mogłyby sugerować coś innego.

– Wydaje mi się, Matko, że chcesz się tylko trochę podroczyć ze mną.

Często pływały razem w podziemnych kanałach pałacowych basenów. Wpatrzona czujnie w siebie rozgrywały intensywne gry strategiczne, o których wyniku decydowały subtelne drobiazgi. Anirula za nic nie chciała tego stracić.

Chociaż Prawdomówczyni mieszkała w ociekającym bogactwem pałacu, w jej celi ściany były nagie, a parkietu podłogi nie pokrywał żaden dywan. Lobia kazała usunąć wszystkie malowidła, drogie, importowane kobierce i kotary z pryzmatycznych muślinów.

– Takie wygody rozpraszą umysł – powiedziała kiedyś. – Kiedy przywiązujesz się do przedmiotów, oznacza to stratę czasu i energii.

– Ale czy to nie umysł stworzył te udogodnienia? – spytała wtedy Anirula.

– Tak, wyższe władze ludzkiego umysłu potrafią tworzyć cudowne rzeczy, ale ci, którzy żyją na niższych jego poziomach, pragną ich dla nich samych. A mnie nie pociągają te niższe piętra.

„Jakże będzie mi brakować rozmów z nią...”

Głęboko zasmucona Anirula zastanawiała się, czy Cesarz w ogóle zauważył nieobecność wiekowej kobiety. Od bardzo dawna Lobia należała do najzręczniejszych Prawdomówczyń, była zdolna wychwycić najmniejszą zmianę chemizmów skóry, najdrobniejsze odchylenie głowy, drgnięcie warg, zmianę intonacji...

Choć reszta ciała pozostała nieruchoma, powieki Lobii uniosły się gwałtownie.

– Już czas – powiedziała.

Trwoga zapiekła w sercu Aniruli niczym rozżarzony węgiel. „Nie mogę się lękać. Strach zabija

umysł. Strach jest małą śmiercią która niesie ze sobą unicestwienie”.

– Rozumiem, Matko – wyszeptwała. – Jestem gotowa ci pomóc.

„Stawię mu czoło. Pozwolę, aby zalał mnie i przelał się przeze mnie”.

Walcząc ze łzami, ze wszystkich sił starając się zachować należyne Bene Gesserit niewzruszony spokój, Anirula nachyliła się i dotknęła czołem skroni sędziwej Prawdomówczyni, jakby w ten sposób zastęgała w modlitwie. Zanim Lobia będzie mogła odejść, należało dokonać jeszcze jednej ważnej rzeczy.

W tym rozległym, a tak samotnym pałacu Aniruli będzie brakować rozmów z nią i jej przyjaźni, ale nie do końca utraci obecność Prawdomówczyni.

– Udziel mi się, Lobio. Jest we mnie dość miejsca na wszystkie twoje wspomnienia.

Czuła podniecenie i zgiełk w głębinach swojej świadomości, w Pamięci Innych, gdzie znajdowały się genetycznie zapisane doświadczenia wszystkich jej poprzedniczek. Jako Kwisatz Matka, szczególnie łatwo przyjmowała dawne myśli i życia, datujące się na wiele generacji wstecz. Wkrótce dołączy do nich Lobia.

Pod dotykiem czoła pulsowała tętnica skroniowa. Wyrównały się rytmy serca, otworzyły umysły... i zaczął się przepływ, jakby runęła tama. Lobia wlewała swe życie w Anirulę, przekazując wspomnienia, każdy aspekt swojej osobowości, najmniejszy nawet skrawek wieloletniego doświadczenia.

Przyjdzie dzień, kiedy Anirula przekaze te informacje swojej następczyni, ta z kolei swojej – w ten sposób odkładała się zbiorowa pamięć zakonu żeńskiego, potencjalnie dostępna dla wszystkich Bene Gesserit.

Nastąpiło przeciągłe, jakby długo wstrzymywane westchnienie i ciało Lobii stało się bezwładne. Teraz jej wieloletnie doświadczenie żyło w Aniruli razem z innymi głosami. Kiedy przyjdzie odpowiednia pora, Kwisatz Matka będzie mogła przyzwać wspomnienia Lobii i znowu przez chwilę będą razem...

Usłyszała z boku cichy głos, zerknęła i natychmiast jej twarz przybrała wyraz całkowitej obojętności. Żadna z sióstr nie mogła być świadkiem słabości drugiej, nawet gdy jej przyczyną była bolesna strata. W drzwiach stała urodziwa młoda akolitka. Skłaniając głowę, powiedziała:

– Ważna wizyta. Musisz się pospieszyć, moja pani.

Anirula sama była zdziwiona tym, jak beznamiętnie wyrzekła słowa:

– Siostra Lobia nie żyje. Należy zawiadomić Matkę Przełożoną że Cesarzowi potrzebna jest nowa Prawdomówczyni.

Rzuciła ostatnie, pożegnalne spojrzenie na nieruchome ciało Lobii i bezszelestnie opuściła jej celę. Akolitka spojrzała na nią ze zdumieniem, ale przyjęła informację do wiadomości i poprowadziła Anirulę do eleganckiego gabinetu, gdzie czekała już Wielebna Matka Mohiam: siwa, z zapadłymi policzkami, odziana w tradycyjną czarną abę.

Zanim Mohiam zdążyła otworzyć usta, Anirula beznamiętnie powiadomiła ją o śmierci Lobii. Jej rozmówczyni nie okazała zdziwienia.

– Ja także przywiozłam dawno oczekiwaną nowinę, lady Anirulo, która może w jakiś sposób zrekompensuje tę stratę. – Mówiła w starym, dawno zapomnianym języku, tak by podsłuchane słowa nie były zrozumiane. – Jessika wreszcie jest brzemienna. Urodzi potomka księciu Atrydzie.

– Długo zwlekała z wypełnieniem polecenia, ale w końcu stało się.

Twarc Aniruli rozjaśniła się na myśl o nowych perspektywach.

Po tysiącletnich realizacji misternych planów wielkie zamierzenie Bene Gesserit miało się spełnić. Córka dojrzewająca teraz w łonie Jessiki stanie się matką Kwisatz Haderach, mesjasza,

który będzie uważnie sterowany przez zakon.

– A już myślałam, że to dzień nieodwołalnieznaczony smutkiem i poczuciem straty.

Gdyby każdy człowiek miał dar przewidywania przyszłości, byłby on bez znaczenia, jaki bowiem byłby z niego pożytek?

**Norma Cenva, *Rachunek filozoficzny,*
dawne manuskrypty Gildii, z prywatnej kolekcji Rossacka**

Zasiedlenie Krzyżownika dokonało się jeszcze przed założeniem Gildii Kosmicznej przez legendarnego patriotę i magnata handlowego Aureliusza Venporta. Kiedy w stulecia po Butleryjskim Dżihadzie ciągle jeszcze dopiero raczkująca Gildia szukała miejsca, które stałoby się portem macierzystym jej potężnych liniowców, wielkie, puste równiny i niewielka populacja Krzyżownika wydały się odpowiednie. Teraz planeta była pokryta mnóstwem lądowisk Gildii, doków remontowych, magazynów części zastępczych i szkół dla otoczonych tajemnicą Nawigatorów.

Mało przypominający już człowieka Sternik D'murr unosił się w hermetycznym zasobniku zawierającym przyprawowy gaz i w zamyśleniu wpatrywał się w Krzyżownik. Ostry, cynamonowy aromat czystego melanzu przenikał jego skórę, płuca, umysł. Żaden zapach nie mógł być piękniejszy.

Jego opancerzona kabina w mechanicznym uchwycie napowietrznej kapsuły transportowej płynęła ku nowemu liniowcowi, który mu wyznaczono. Życie D'murra streszczało się w odbywaniu podróży transgalaktycznych, podczas których w mgnieniu oka przez zakrzywioną przestrzeń przenosił statki z jednego układu gwiazdowego w drugi. A była to ledwie cząstka tego, co otworzyło się przed jego umysłem w trakcie transformacji, która tak oddaliła go od ludzkiej postaci.

Kapsuła sunęła nad ciągnącymi się przez kilometry rzędami liniowców, dzięki którym tak bujnie kwitło życie handlowe Cesarstwa. Duma była prymitywnym ludzkim uczuciem, niemniej jednak D'murr nadal odczuwał satysfakcję z miejsca we wszechświecie, jakie przypadło mu w udziale.

Miał teraz pod sobą obszar doków remontowych, gdzie naprawiano i wyposażano w najnowsze urządzenia statki. Zauważył kadłub pojazdu, który doznał poważnych uszkodzeń w zderzeniu z asteroidem. Wiekowy Nawigator został ciężko ranny. Poczł odrobinę żalu, co także było pozostałością tkwiącego w nim jeszcze dzieciństwa spędzonego na Ix. Pewnego dnia jego oczyszczony, wszechpotężny umysł nie będzie znał nawet takiego cienia emocji.

Przed sobą widział Honorowe Pole Nawigatorów, na którym białymi kamieniami upamiętniono nieżyjących sterników kosmicznych. Dwa lśniły jeszcze nowością: dwaj piloci oblatywacze, którzy zginęli podczas eksperymentalnego lotu. Ochotników użyto do ryzykownej próby natychmiastowej komunikacji, do czego inspiracją stało się połączenie, jakie udało się uzyskać z D'murrem jego bratu bliźniakowi, C'tairowi.

Próba nie powiodła się jednak, gdyż po kilku skutecznych kontaktach piloci, których umysły się zestroiły, popadli w śmiertelną degrengoladę mózgow. Zarząd Gildii zrezygnował z dalszych prac nad projektem, gdyż Nawigatorzy byli zbyt cenni, aby tak szafować ich istnieniami.

Przy słońcu silników i powietrza kapsuła osiadła na skraju Parku Pamięci, nieopodal Wyroczeni Nieskończoności. Wielka kula z transplazu, pełna złocistych pasm, nieustannie wirowała, przypominając gwiazdozbiór. Szybkość jej wirowania zwiększyła się w chwili, gdy umundurowany funkcjonariusz Gildii odłączył zasobnik D'murra od kapsuły.

W zwyczaju było, że przed rejsem każdy Nawigator „łączył się” z Wyrocznią, aby przyswoić sobie większe siły penetrujące przyszłość. W tym doświadczeniu, podobnym do samej podróży przez zakrzywioną przestrzeń, Nawigator nawiązywał łączność z tajemnymi początkami Gildii.

D'murr przymknął swe niewielkie oczka i poczuł, jak fala za falą jego umysł wypełnia się treścią Wyroczni, a wraz z tym otwierają się przed nim coraz większe i bardziej skomplikowane możliwości. Miał nieodparte wrażenie, że ktoś na niego spogląda, jakby umysł samej Gildii, i uspokajało go to wewnętrznie.

Sterowany przez starodawną i potężną Wyrocznię, umysł D'murra nurzał się w przeszłości i przyszłości czasu oraz przestrzeni, doświadczając piękna i doskonałości Wszechbytu. Wydawało się, że przyprawowy gaz rozchodzi się coraz dalej i ogarnia tysiące twarzy Nawigatorów. Migotały obrazy, to ludzkie, to odpowiednie dla nowej osobowości Nawigatora. Zobaczył kobietę, której ciało w trakcie płynnych przekształceń stało się olbrzymim, nagim mózgiem...

Obrazy wewnątrz Wyroczni zaczęły blednąć i wraz z tym D'murr czuł coraz większą pustkę. Trwał z zamkniętymi oczami, ale widział już tylko mglisty obłok wirujący w transplazowej kuli. I znowu uchwyt kapsuły transportowej zacisnął się na zasobniku, by ponieść go do czekającego liniowca. D'murr czuł się nieswojo.

W zakrzywionej przestrzeni widział wiele rzeczy... ale nie wszystkie. W kosmosie działały potężne, nieprzewidywalne siły, których i Wyrocznia Nieskończoności nie potrafiła rozpoznać. Proste istoty ludzkie, nawet o takich możliwościach jak Szaddam IV, nie mogły pojąć, jak gigantyczne procesy mogą wyzwolić swymi postępkami.

A wszechświat był pełen niebezpieczeństw.

Melanż to potwór o wielu rękach: jedna daje, wszystkie pozostałe – zabierają.

**z poufnego memorandum ZNAH-u
przeznaczonego tylko dla oczu Cesarza**

W podziemnym ciągu budynków laboratoryjnych zgrzytając na zakrętach, zwalnając i znowu przyspieszając, mknęła po szynach kapsuła transportowa.

Przez transplazową podłogę Mistrz Badań Hidar Fen Ajidica widział przejścia, linie dostawcze i pomieszczenia warsztatowe, różnorodne elementy współpracujące w realizacji wielkiej misji. „Która znajduje się całkowicie pod moją kontrolą”. Cesarz wprawdzie łudził się, że nadzoruje wszystkie postępy dokonywane tutaj, na Xuttuh, dawniej zwanym Ix, ale w istocie jedyną osobą która wiedziała o wszystkim, był Ajidica i potrzeba tylko czasu, by zrozumieli to politycy i magnaci, a nawet krótkowzroczni przywódcy Tleilaxan. Wtedy jednak będzie już za późno na to, aby powstrzymać zwycięstwo Mistrza Badań.

Pojazd zmierzał do silnie strzeżonego pawilonu doświadczalnego. Zanim Tleilaxanie dokonali podboju planety, wszystkie te zakłady wytwórcze trudniły się wzbogacaniem rodu Verniusów. Teraz fabryki i laboratoria były wykorzystywane dla chwały Boga i władzy społeczności Tleilaxan.

Czekało go nieprzyjemne – jak zawsze – spotkanie, gdyż miał przedstawić raport cesarskiemu Ministrowi do Spraw Przyprawy, hrabiemu Fenringowi. Nareszcie miał jednak do przekazania wiadomości na tyle dobre, że Cesarzowi w głowie nawet nie postanie myśl, by nakazać atak swoim oddziałom sardaukarów.

W ostatnich miesiącach Ajidica nadzorował długie serie analiz, które w najdrobniejszych szczegółach porównywały efekty działania przyprawy i amalu. Bardzo pomocne okazało się poznanie tajemnicy rytualnego wykorzystywania melanżu przez Bene Gesserit, co stało się możliwe dzięki temu, że pochwycono kobietę-szpiega, nazwiskiem Miral Alechem, której ciało służyło teraz wyższym celom.

Pojazd zatrzymał się i Ajidica wyszedł na nienagannie czystą białą platformę. Fenring przybył już, a nie był człowiekiem nawykłym do czekania. Mistrz pospiesznie wsiadł do windy, która wywiozła go na główny poziom, ale jej drzwi nie otworzyły się. Poiryutowany włączył alarm i krzyknął do mikrofonu w ścianie: „Wypuście mnie stąd czym prędzej! Spieszę się!”

Winda opierała się na projekcie ixiańskim i chociaż jej mechanizm był nieskomplikowany – oto zawodził. Zbyt często się to ostatnio zdarzało, i to przy najróżniejszych okazjach. Winni byli sabotażyści czy opieszali konserwatorzy?

Z zewnątrz dochodził odgłos narzędzi zmagających się z opornymi drzwiami. Ajidica nie znosił zamkniętych przestrzeni, nie znosił życia pod ziemią. Miał wrażenie, że powietrze wokół niego gęstnieje. Szeptem powtarzał frazy katechizmu Wielkiej Wiary, błagając Boga, aby pozwolił mu przejść kolejną próbę.

Sięgnął do kieszeni, wyjął kapsułkę ze wstrętnie pachnącymi pastylkami i połknął dwie.

„Dlaczego to tyle trwa?”

Usiłując zachować spokój, Ajidica raz jeszcze przeanalizował plan. Kiedy wiele lat temu rozpoczął się projekt, on, wyznaczony do jego nadzoru, zebrał małą grupę wiernych Tleilaxan, którzy mieli mu pomagać po tym, jak zbiegnie ze świętymi zbiornikami aksolotłowymi. Gdzieś na najodleglejszych krańcach Cesarstwa, chroniony przez bezwzględnych Tancerzy Oblicza, ustanowi własną domenę Tleilaxan, opartą na jedynej prawdziwej interpretacji Wielkiej Wiary.

Podjęto już wszystkie przygotowania, aby w odpowiedniej chwili on, Tancerze Oblicza i sekret amalu znaleźli schronienie na dalekobieżnej fregacie. Po jego ucieczce nastąpi potężna eksplozja, która zniszczy cały kompleks badawczy, a wraz z nim połowę podziemnego miasta. Zanim jednak opadnie pył, on będzie już daleko.

Na planecie, która stanie się jego schronieniem, natychmiast przystąpi do umacniania swojej władzy i stworzenia sił militarnych, mogących odeprzeć karną ekspedycję Cesarza. O to nie będzie trudno, skoro tylko on będzie rozporządzał nieograniczonymi zasobami taniego, syntetycznego melanżu. „Ten, kto włada przyprawą, włada wszechświatem”. Nie można wykluczyć, że w końcu to Ajidica zasiądzie na Tronie Złotego Lwa.

Najpierw jednak musi wydostać się z tej przeklętej zepsutej windy.

Nareszcie – do wtóru głośnym okrzykiem i trzaskom – drzwi rozchyliły się i do środka zajrzało dwóch asystentów.

– Dobrze się czujesz, Mistrzu?

Za nimi stał z rozbawioną miną hrabia Fenring, który – chociaż sam niewysoki – i tak górował nad każdym Tleilaxaninem.

– Cóż ja widzę, hmmm, małe kłopoty techniczne?

Ajidica wyprostował się i z dumnie podniesioną głową wyszedł z kabiny, zdecydowanym ruchem odpychając swych pomocników.

– Pozwól ze mną, panie hrabio.

Mistrz Badań poprowadził Ministra do Spraw Przyprawy do dobrze znanej mu z poprzednich odwiedzin sali demonstracyjnej. Było to ogromne pomieszczenie, którego ściany, podłogę i sufit wykonano z białego gładplazu. Znajdowało się tu wiele stanowisk laboratoryjnych, instrumentów,

pośrodku zaś stał czerwony stół zwieńczony matową kopułą.

– Hmmm, znowu zamierzasz pokazywać mi jednego z tych pustynnych płazów? I pewnie znowu jest malutki, ale mam nadzieję, że chociaż odrobinę zdrowszy?

Ajidica uniósł plazową fiolkę, w której znajdowała się gęsta, pomarańczowa ciecz. Podetknął ją pod nos Fenringowi.

– To najnowsza postać amalu. Czy nie pachnie jak melanż?

Fenring powąchał i zmarszczył nos. Nie czekając na odpowiedź, Ajidica nacisnął guzik w podstawie kopuły. Mętny plaz wykrystalizował się, a pod nim ukazał się na pół ukryty w piasku metrowej długości piaskal.

– Jak długo poza Arrakis? – spytał Fenring.

– Tego przemyciliśmy przed jedenastoma dniami. Nie mogą żyć poza swoją planetą, ale ten powinien jeszcze pociągnąć miesiąc, może dwa.

Ajidica nachylił buteleczkę i wlał nieco jej zawartości do pojemnika na szczycie kopuły, a następnie zwolnił jego uchwyt. Pojemnik zarył się w piasku i przechylił w kierunku piaskala.

Podobne do węża stworzenie błyskawicznie podpełzło do amalu i otworzyło niewielką paszczę, w której błysnęły małe lśniące kły, po czym szybko połknęło pojemnik z całą zawartością.

Widząc pytające spojrzenie Fenringa, Ajidica wyjaśnił:

– Tak właśnie postępują z naturalnym melanżem.

Cesarski pełnomocnik nie krył sceptycyzmu.

– Ale później i tak zdychają, czyż nie?

– Zdychają niezależnie od tego, czy dostają amal, czy melanż. Po prostu nie mogą żyć poza ojczystą pustynią.

– Rozumiem. Chciałbym przedstawić tę próbkę Cesarzowi. Proszę ją przygotować.

Ajidica przybrał uniżoną pozę.

– Amal to substancja biologiczna, bardzo groźna, gdy nie zachowa się odpowiedniej ostrożności. Ostateczna postać będzie bezpieczna dopiero wtedy, gdy doda się odpowiedniego stabilizatora.

– Hmmm, to proszę dodać, w czym problem? Rozumiem, że to nie potrwa długo?

Mistrz Badań pokręcił głową i rozłożył dłonie.

– Jesteśmy dopiero w trakcie ustalania, który z kilku możliwych wariantów będzie najskuteczniejszy. Melanż to niezwykle złożona substancja, ale rychły sukces jest niewątpliwy. Wezwę pana, hrabio, gdy będziemy gotowi.

– Mnie może wezwać tylko Cesarz.

Uniżoność Ajidicy zniknęła gdzieś, kiedy spod ociężałych powiek spojrzął na Fenringa i rzekł aroganckim tonem:

– To niech pan mu powtórzy, co pan ode mnie usłyszał. Nikt nie odróżni amalu od oryginalnego melanżu.

Widząc zawód w oczach Fenringa, Ajidica uśmiechał się w duchu. „Stabilizator” to blef. Ani Cesarz, ani niekompetentni zwierzchnicy Ajidicy z Tleilaxu nigdy nie dostaną amalu, a nie dostaną, gdyż Mistrz Badań zniknie, nie pozostawiając nawet najmniejszego śladu po niezwykle wydajnym substytucie przyprawy, który zostanie nazwany ajidamalem. Jeśli mógł oszukać piaskala z Arrakis, to jakiego więcej dowodu potrzebował?

– Niech pan pamięta – mruknął Fenring – że to ja przekonałem Elrooda do tego projektu, hmmm-mhm. Dlatego też czuję się zań szczególnie odpowiedzialny. – Zrobił kilka kroków i zawrócił. – Przypuszczam, że wykonaliście testy dotyczące Gildii Kosmicznej? Musimy mieć pewność, że syntetyczny melanż pozwoli Nawigatorom znajdować bezpieczną drogę przez zakrzywioną

przestrzeń. – Ajidica zawahał się, bo na to pytanie nie był przygotowany. – No proszę, mhm-hmmm, widzę, że trafiłem w czuły punkt.

– Nie ma obawy, że jakiś Nawigator dostrzeże jakąkolwiek różnicę.

Ajidica dotknął guzika i powłoka znowu zasnuła się mgłą. Ale Fenringa nie było łatwo zbyć byle czym.

– W każdym razie ustalamy, że dowodem rozstrzygającym będzie umieszczenie amalu w pojemniku Nawigatora, prawda? Inaczej nie będziemy mieć całkowitej pewności.

Ajidica skrzywił się.

– Ale tego nie da się wykonać, panie hrabio. Przecież nie możemy dopuścić do tajemnicy Gildii. Projekt Amal musi pozostać całkowitą tajemnicą dla wszystkich poza nami.

Hrabiemu roziskrzyły się oczy, gdyż do głowy przyszedł mu pewien pomysł.

– Ale jeden z twych Tancerzy Oblicza może złamać zabezpieczenia Gildii. Tak, hmmm-mhm. Będę mu towarzyszył, żeby samemu wszystkiego dopilnować.

Ta sugestia bardzo odpowiadała Ajidicy. Cesarski zausznik trafił w samo sedno. Poza tym wykorzystanie Tancerzy Oblicza otwierało jeszcze inne możliwości... Na przykład pozwalało pozbyć się tego natręta.

Nikt nie wiedział o tym, że Ajidica już setki wyhodowanych w zbiornikach Tancerzy Oblicza rozlokował w strategicznych punktach galaktyki, wysyłając ich dalekobieźnymi statkami badawczymi w nienaniesione na mapy Cesarstwa rejony. Tych zmiennokształtnych wyhodowano stulecia temu, nigdy jednak nie wykorzystano możliwości, jakie wraz z nimi się otwierały. To należało zmienić.

– Świetny pomysł, panie hrabio. Zapewnię panu towarzystwo Tancerzy Oblicza.

Ajidica często myślał z irytacją, że przy tak licznych zakłóceniach, drobiazgach, które absorbowały jego uwagę, może nigdy nie skończyć swego dzieła. Bo oto zjawiała się grupa polityków ze świętego miasta Bandalong na ojczystej planecie Bene Tleilax. Na jej czele stał Mistrz Zaaf, pyszałkowaty mężczyzna o oczach gryzonia i wykrzywionych ironicznie ustach. Ajidica nie potrafił rozstrzygnąć, kim gardzi bardziej: Fenringiem czy tymi nieukami.

Jeśli zważyć na naukowe predyspozycje Bene Tleilax, trudno było pojąć, że Mistrz Zaaf i jego towarzysze znajdowali takie upodobanie w intrygach politycznych. Niepomni swego nietuzinkowego miejsca we wszechświecie, pozwalali, by kierowały nimi różne rody powindahów.

– Co powiedziałaś Cesarskiemu Ministrowi do Spraw Przyprawy? Proszę o szczegółowy raport – oznajmił rozkazującym głosem Zaaf, ledwie przekroczył próg gabinetu Ajidicy.

Mistrz Badań zabębnił palcami o blat z matplazu. Coraz bardziej miał dość tłumaczenia się przed intruzami z zewnątrz, którzy zawsze zadawali najbardziej idiotyczne z możliwych pytań. „Przyjdzie czas, że nareszcie nie będę miał już z nimi do czynienia!”

Kiedy przedstawił treść rozmowy, Zaaf powiedział wyniośle:

– Więc teraz my chcemy obejrzeć, jak działa twój amal. Mamy do tego prawo.

Zaaf był wprawdzie zwierzchnikiem Ajidicy, ale ten zupełnie się go nie bał, nikt bowiem nie mógł zastąpić go na tak zaawansowanym etapie badań.

– Jednocześnie przeprowadzamy tysiące eksperymentów. Chce pan obejrzeć je wszystkie, Mistrzu? Nie szkoda trochę pańskiego czasu?

– Pokaż nam najważniejsze. Mam rację, panowie?

Zaaf potoczył wzrokiem po swych towarzyszach, a ci zgodnie pokiwali głowami.

– Proszę zatem.

Z pewnym siebie uśmiechem Ajidica wydobyl z kieszeni fiolkę i resztę jej zawartości wlał sobie

do ust. Potrzymał ją chwilę na języku, zaciągnął się cynamonowym zapachem, a potem połknął.

W istocie po raz pierwszy wziął tyle ajidamalu naraz. Nie minęła chwila, a przyjemne ciepło wypełniło jego żołądek i mózg. Naturalna przyprawa nigdy nie spowodowała takiego uczucia.

Zachichotał na widok twarzy członków delegacji.

– Robię to już od kilku tygodni – skłamał – i nie ma żadnych szkodliwych efektów ubocznych. – Był pewien, że Bóg nie pozwoli, aby przytrafiło mu się coś złego. – Czy macie jeszcze jakieś wątpliwości?

Politycy roześmiali się, podnieceni, i zaczęli gratulować sobie, jak gdyby sami przyczynili się do tego sukcesu. Zaaf błysnął spiczastymi ząbkami i nachylił się z konfidencjonalną miną.

– Znakomicie, Mistrzu Badań. Zadbamy o to, abyś otrzymał odpowiednią nagrodę. Na razie mamy jednak jeszcze jedną ważną kwestię do przedyskutowania.

Pograżony w błogim cieple ajidamalu Ajidica słuchał Zaafa. Bene Tleilax ciągle jeszcze nie ochłonęli z oburzenia, że książę Leto odrzucił propozycję wyhodowania przez nich gholi jego zmarłego syna. Płonący żądzą odwetu za podstępny atak, który – jak byli o tym niezmiennie przekonani – Atrydzi przypuścili na Tleilaxan dwie dekady wcześniej, wściekły także za nieustanne niepokoje na Xuttuh inspirowane przez Rhombura Verniusa, Zaaf chciał wykorzystać w dalekosiężnych planach linie genetyczne Verniusów i Atrydów.

Gdyby dysponowali ich kodem DNA, mogliby wyhodować specjalne odmiany chorób, które na zawsze przecięłyby egzystencję obu rodów. Jeśli nadal wrzałyby w nich żądza zemsty, mogliby sklonować Leta i Rhombura, a potem bez końca wydawać ich wierne kopie na straszliwe męki. Ile mógłby znieść Atryda? Wystarczyłby niewielki fragment materiału genetycznego, żeby zyskać niewyczerpany materiał badawczy!

A tymczasem książę odmówił!

Dla Ajidicy w stanie, w jakim się znajdował, żadne ze słów Zaafa nie miało znaczenia, obojętnie więc wsłuchiwał się w snute przez niego plany przeciw Verniusom i Atrydom. Zaaf opowiadał o wielkim grobowcu w dżunglach Beakkalu, gdzie niemal przed tysiącleciem poległy oddziały Atrydów i Verniusów, broniąc ostatniej, legendarnej Reduty Senasara. Pośród poległych znaleźli się też dostojnicy obu rodzin. Ajidica rozpaczliwie walczył ze znużeniem, Zaaf kończył zaś w podnieceniu:

– Uzyskaliśmy od rządu Beakkalu pozwolenie na ekshumację ciał i pobranie próbek. Nie jest to może idealne rozwiązanie, ale powinno nam umożliwić zdobycie materiału genetycznego.

– Leto Atryda nie może nam w tym przeszkodzić – zachichotał jeden z towarzyszy Zaafa – a my dostaniemy to, czego chcemy: możliwość zemścić się.

Ajidica usiłował ukryć zniecierpliwienie, ci politycy nigdy nie rozważali pełnego spektrum możliwych wydarzeń i konsekwencji.

– Jeśli jednak dowie się, będzie wściekły. Nie boicie się jego reakcji?

Mistrz Zaaf był aż nazbyt pewny siebie.

– Jest pograżony w żalu i zaniedbuje swoje obowiązki związane z Landsraadem. Z jego strony nic nam nie grozi. Chcieliśmy już przystąpić do działania, ale nieoczekiwanie pojawiła się mała przeszkoda. Naczelnym Zarządcą Beakkalu zażądał wielkiej łapówki, więc pomyśleliśmy, że może otrzymałby amal, my zaś powiedzielibyśmy, że to melanz. Czy uda się go nabrać?

Ajidica roześmiał się głośno, natychmiast dostrzegając nowe możliwości.

– Oczywiście. – Skorzysta jednak z jednej z wcześniejszych wersji, pozwalającej oszukać każdą nieprzygotowaną osobę, a zarazem nie zmuszającej do marnotrawienia bezcennego ajidamalu. Beakkalijczycy używali przyprawy tylko w potrawach i napojach, nie zauważają więc żadnej różnicy.

To bardzo prosta sprawa. – Mogę dostarczyć tyle, ile potrzeba.

Każde przywództwo zna momenty przyływu i odpływu. Każdy władca jest im poddany.

**książę Raphael Korrino,
Rozmowy o przywództwie w Cesarstwie galaktycznym,
XII wydanie**

Szaddam IV siedział pod baldachimem w przyjemnym cieniu i obserwował koniec trwających całą dobę manewrów. Ze wszystkich cudów Kaitain najwspanialszym byli właśnie ci sardaukarowie – przynajmniej jego zdaniem. Czy może być bardziej poruszający widok niż ci umundurowani mężczyźni, każdy jego rozkaz wykonujący błyskawicznie, z zimną precyzją?

Gdyby wszyscy w całym Cesarstwie tak spełniali jego polecenia!

Szczupły Szaddam bardzo elegancko wyglądał w uniformie sardaukarów zdobionym srebrem i złotem. Oprócz innych obowiązków, był także ich głównodowodzącym. Na rude włosy nałożył wyściełany miękko hełm ze złotym cesarskim szpicem.

Przynajmniej ćwiczenia wojskowe mógł oglądać w spokoju, jako że jego małżonka, Anirula, dawno już oświadczyła, iż ją to nudzi. Jakaż to ulga, że popołudnie chciała spędzić, jak na Bene Gesserit przystało, przygotowując córki, aby i one jej wzorem stały się – jak potocznie je nazywano – czarownicami. A może chciała się zająć przygotowaniami do pogrzebu tej jej starej koleżanki, Lobbii? Miał nadzieję, że zakon niebawem przyśle mu nową Prawdomówczynię. Jakiż bowiem inny pożytek był z tych siostrzyc?

Na wielkim placu paradnym oddziały sardaukarów zgodnie wykonywały rozkazy, a ich buty trzaskały głośno niczym wystrzały z karabinów. Najwyższy Basza Zum Garon, stary weteran z Salusa Secundy, pokazywał te figury musztry, które najlepiej uwidaczniały sprawność bojową korpusów. Znakomicie.

W przeciwieństwie do życia rodzinnego Cesarza.

Pomimo swych militarnych zamiłowań, dzisiaj Szaddam nie mógł się w pełni rozkoszować sprawnością swych żołnierzy. W żołądku czuł nieprzyjemny ucisk, który spowodowały nowiny, a którego nie potrafiłby usunąć nawet najlepszy doktor Suk.

Nadzwyczaj rozwinięta siatka szpiegów wykryła właśnie, że jego ojciec, Elrood IX, miał syna z jedną z ulubionych konkubin, której imienia nie udało się jeszcze ustalić. Z górą czterdzieści lat temu Elrood podjął kroki, aby ukryć i zabezpieczyć bastarda, który dzisiaj był już dojrzałym mężczyzną, o ponad dziesięć lat młodszym od Szaddama. Czy znał sekret swego pochodzenia? Czy z nadzieją spoglądał na to, jak Szaddam bezskutecznie oczekuje męskiego potomka, podczas gdy Anirula rodzi tylko córki? W sumie powiła już pięć, włącznie z ostatnią, Rugią, będącą dopiero oseskiem. Czy czasem tamten w ukryciu nie szykuje się do objęcia Tronu Złotego Lwa?

Na brukowanym placu żołnierze rozdzielili się na dwie grupy i rzucili na siebie w pozorowanym ataku. Imitowanymi salwami laserowymi usiłowali przeszkodzić sobie nawzajem w zdobyciu podstawy fontanny mającej postać ryczącego lwa. Po niebie z chmurami jak wymalowanymi przemknęły w ciasnym szyku maszyny bojowe.

Z nieco wymuszonym entuzjazmem Szaddam okrzykiwał popisy swojej armii, a w duchu klął na czym wszechświat stoi na swego ojca. „Jak wielu jeszcze potomków spłodził jurny staruch?” Sama ta

myśl była nieprzyjemna.

Przynajmniej tego jednego znał z imienia. Tyros Reffa. Adoptowany przez ród Taligarich, Reffa większość życia spędził na Zanovarze, kurortowej planecie familii. Pędząc egzystencję opartą na zbytkach, cóż innego miał do roboty, jak nie śnić o dorwaniu się do cesarskiej władzy?

Tak, bastard Elrooda mógł napytać Szaddamowi wielu kłopotów, stanowił zagrożenie dla stabilności rządów. Trzeba by się jakoś do niego dostać i uśmiercić. Szaddam westchnął. Sprawowanie władzy ciągle stawiało przed nim nowe wyzwania. „Może powinienem o tym porozmawiać z Hasimirem”.

Zaraz jednak skarcił się za tę myśl. Nie wolno mu nieustannie potwierdzać lekceważących sądów hrabiego Hasimira o swojej osobie. Szaddam potrafi rządzić bez nieustannego zdawania się na cudzą opinię i poradę. „Sam mogę podejmować decyzje!”

Fenringa przydzielił na Arrakis jako cesarskiego Ministra do Spraw Przyprawy, a także by nadzorował tajne badania nad amalem. Czemuż tak długo przychodzi mu czekać na bezpośredni raport z Ix?

Panowała wspaniała pogoda, wietrzyk nie był natarczywy, na tyle jednak silny, aby poruszać flagami. Cesarski Nadzór Pogody przygotował wszystko zgodnie ze szczegółowymi wskazówkami władcy.

Żołnierze przenieśli się teraz na boisko z politrawy, gdzie demonstrowali pojedynki na ostrą broń przy wyłączonych tarczach obronnych. Publiczność złożona z przedstawicieli rodów niskich i dworaków przykładowo wiwatowała.

Sędziwy weteran Zum Garon nieugięcie trwał w postawie na baczność u boku Cesarza, gotów wychwycić najdrobniejszą niedokładność czy niezręczność. Demonstracja militarnej siły nie tylko sprawiała Szaddamowi przyjemność, ale stanowiła też wyraźne ostrzeżenie pod adresem tych rodów z Landsraadu, które ostatnio zaczynały niebezpiecznie podnosić głowy. Być może niedługo będzie musiał komuś wymierzyć przykładowy klapsa...

Na nitce ciągnącej się od szkarłatno-złotego baldachimu zawisł pękaty brązowy pająk i kołysał się przed nosem Szaddama, który – poirytowany tą bezczelnością – szepnął: „Czy zdajesz sobie sprawę z tego, kim jestem, mała kreaturo? Pamiętaj, że ja władam wszystkimi istotami, które żyją w granicach mej domeny, nawet tymi najmniejszymi”.

Kolejne sztandary, kolejne figury musztry, jeszcze kilka kanonad. Układ sardaukarów zmieniał się niczym w kalejdoskopie. Przepych i chwała. Nad głowami w równych formacjach ornitoptery popisywały się szaleńczymi akrobacjami. Choć widownia huczała od aplauzów, Szaddam ledwie zwracał uwagę na dokonania swych zuchów, gdyż jego myśli pochłaniał ten przeklęty przyrodni brat.

Prychnął ze złością i patrzył, jak pająk w popłochu wspina się po swojej nitce.

„Także tam nie będziesz bezpieczny. Nic nie ucieknie przed moim gniewem”.

Dobrze jednak wiedział, że to tylko przechwałki. Gildia Kosmiczna, zakon żeński Bene Gesserit, Landsraad, ZNAH – wszyscy oni snuli swoje intrygi, krępując mu ręce, oszukując, nie pozwalając działać tak, jak przystało na Cesarza Znanego Wszechświata. „Żeby kontrolować mnie! Władcę Tronu Złotego Lwa!” I trwało to od stuleci! Jakżeż jego poprzednicy na cesarskim tronie mogli do tego dopuścić?

Ze złością sięgnął i zgniół w palcach pająka, zanim temu udało się znaleźć poza jego zasięgiem.

Jednostka zyskuje znaczenie tylko w powiązaniu z całością wspólnoty.

Wijący się Lewiatan sunął przez wydmy z dźwiękiem, który nieodparcie przypominał Lietowi-Kynesowi szmer swobodnie spadającego strumyka. Na Kaitain widział sztuczne wodospady zbudowane w geście dekadencjonalnej i bezsensownej pychy.

W upalnym złotym słońcu grupa jego lojalnych pomocników jechała na grzbiecie jednego z potężnych piaskali. Wolanie wprawnie zwabili pustynnego giganta, dosiedli, a następnie odpowiednimi hakami rozchylili segmenty pancerzy. Liet, stojąc na szczycie spadzistego łba, trzymał się lin, aby zachować równowagę.

Jechali przez bezbrzeżny piaskowy ocean ku siczy Czerwonego Muru, gdzie na Lieta czekała ukochana żona Faroula i gdzie miało się odbyć zebranie Rady Wolan, na którym miał zapoznać wszystkich z nowinami. Niestety rozczarowującymi. Cesarz Szaddam IV okazał się człowiekiem gorszym, niż Liet przypuszczał w najbardziej pesymistycznych wyobrażeniach.

Stilgar czekał na Lieta w porcie kosmicznym Kartagi. Oddalili się na otwartą przestrzeń, daleko od Muru Zaporowego, aby zniknąć z oczu wścibskim Harkonnenom, a kiedy spotkali grupkę Wolan, Stilgar wbił w piach dudnik, którego rytm zwabił piaskala. Korzystając z technik znanych od pokoleń, zmusili go do jazdy w pożądanym kierunku.

Także Liet zręcznie wspiał się na grzbiet zwierzęcia, przypominając sobie dzień, gdy jako nastolatek stał się dźwigiem, demonstrując tę zdolność przed plemienną starszyzną pod wodzą starego naiba Heinara. Pomimo ogromnego strachu Lietowi udało się zdać egzamin.

Pomimo tego, że jazda na piaskalu zawsze niosła ze sobą pewne ryzyko i nigdy nie była łatwa, teraz postrzegał niesforną bestię jedynie jako środek transportu, szybki sposób na dotarcie do domu.

Stilgar ze stoickim spokojem trzymał wodze i przez ramię rzucał polecenia towarzyszom, którzy przy użyciu haków stwórcy wymuszali na piaskalu odpowiednie zmiany kierunku. Zerknął na wyraźnie przygnębionego Lieta. Wiadomości z Kaitain zapewne nie były dobre, ale – w przeciwieństwie do dworskich zauszniaków – Wolanie znali wartość ciszy i milczenia. Liet przemówi, kiedy nadejdzie pora, teraz więc trwali pogrążeni w swoich myślach. Mijały godziny. W oczach powoli rosły rdzawobrunatne góry na horyzoncie.

Wreszcie jednak wyraz oczu sponad maski destylozonu młodego planetologa sprawił, że Stilgar zdecydował się przemówić.

– Jesteś synem Ummy Kynesa. Po śmierci twego wielkiego ojca Wolanie całą swoją nadzieję złożyli w tobie. I jak obiecałem twemu ojcu, możesz liczyć na moją dożgonną lojalność.

Chociaż Stilgar był teraz naibem, Lieta nigdy nie traktował z wyższością. Zawsze odnosili się do siebie jak przyjaciele.

Obaj znali opowieść powtarzaną w wielu siczach. Zanim Pardot Kynes zaczął mieszkać pośród Wolan, stanął do walki z sześcioma żołnierzami Harkonnenów, którzy chcieli zabić trzech zawadiackich młodzików wolańskich: Stilgara, Turoka i Ommuna. Stilgar był już poważnie ranny i gdyby nie pomoc Kynesa, cała trójka zginęłaby z rąk siepaczy barona. Potem, gdy planetolog roztoczył przed Wolanami swoją wizję, Stilgar i jego dwaj przyjaciele poprzysięgli, że zrobią wszystko, aby pomóc mu w realizacji tego marzenia. Nawet kiedy Pardot zginął wraz Ommunem w walącej się jaskini w Gipsowej Kotlinie, Stilgar uważał, że jego dług wodny został teraz przeniesiony na syna Pardota, Lieta.

Wyciągnął dłoń i mocno uściśnął ramię przyjaciela. Liet-Kynes był bardzo podobny do ojca, ale w

przeciwieństwie do niego od początku żył jak Wolanin. Kynes uśmiechnął się pełen wdzięczności.

– Ani przez chwilę nie wątpiłem w twoją lojalność, ale martwi mnie to, iż, jak się okazało, nie możemy liczyć na żadną pomoc ani zrozumienie ze strony rodu Korrinów.

Stilgar rozejrzył się beztrąsko.

– Ja na nią nie liczę. Nie potrzebujemy żadnej pomocy, żeby zabijać Harkonnenów.

Opowiedział teraz przyjacielowi o wyprawie do zbezczeszczonej siczy Hadis. Liet słuchał z wyraźną radością.

Ledwie dotarli do ukrytej podziemnej warowni, Liet, zmęczony i brudny, ruszył do swych pomieszczeń. Pierwsze chwile chciał poświęcić czekającej nań Farouli. Po czasie spędzonym na cesarskiej planecie potrzebował teraz odpoczynku i spokoju, a to zawsze potrafiła zapewnić mu małżonka. Wolanie niecierpliwie czekali na wiadomości i zaczęli już schodzić się na wieczorne zgromadzenie, zgodnie jednak z tradycją, jeśli tylko sprawa nie była wyjątkowa, podróżny miał prawo odświeżyć się, zanim oddał swój czas plemieniu.

Faroula powitała go uśmiechem i błyskiem w na wskroś niebieskich oczach. Powitalny pocałunek stał się jeszcze bardziej namiętny, ledwie tylko spadła za nimi zasłona do pokoju. Potem dała mu przyprawową kawę i ciasteczka melanzowe z dodatkiem miodu. A chociaż wszystko mu smakowało, najbardziej cieszył go sam widok żony.

Raz jeszcze mocno przytuliła go do siebie, a potem przyniosła ich dziecko: Liet-chiha, syna, którego spłodziła z najlepszym przyjacielem Lieta, Warrickiem. Po jego śmierci Liet wziął pod opiekę Faroulę i jej syna, a także ich wspólną córkę, Chani. Bawił się z dziećmi, zartował i pieścił je, aż wreszcie niańka zabrała je ze sobą i znowu został sam na sam z żoną.

Uśmiechała się, a on podziwiał jej złocistą skórę. Pomogła mu pozbyć się destylozonu, bezwartościowego już po tym, jak na części rozebrała go cesarska straż osobista, a następnie natarła stopy maścią.

Wydał przeciągłe westchnienie ulgi. Miał wiele do zrobienia, mnóstwo rzeczy do przedyskutowania z Wolanami, ale na razie odłożył to na bok. Nawet ktoś, kto stanął przed Tronem Złotego Lwa, mógł mieć ważne sprawy osobiste. A kiedy teraz spoglądał w tajemnicze oczy żony, czuł się bardziej w domu niż kiedykolwiek od chwili opuszczenia promu Gildii w Kartadze.

– Opowiedz mi o wspaniałościach Kaitain, ukochany – poprosiła, a oczy miała rozszerzone z ciekawości. – Wiele musiałeś się tam naoglądać.

– Tak, widziałem sporo – potwierdził – ale uwierz mi, Faroulo, ty jesteś najpiękniejsza w całym wszechświecie. – I pieszczotliwie pogładził ją po policzku.

Los znanego wszechświata zależy od trafnych decyzji, a te wymagają wyczerpujących informacji.

**docent Glax Othn z rodu Taligarich,
Elementarz władzy dla dzieci i dorosłych**

Jedno z najbardziej ascetycznych pomieszczeń w Zamku Kaladan było prywatnym schronieniem Leta, gdzie uciekał przed zgiełkiem i frywolnością, aby rozważać żywotne dla Atrydów kwestie.

Pozbawione okien, gołe kamienne ściany, surowe jarzyce, ogień na kominku, który przypominał

zapach słonego, morskiego powietrza – wszystko to sprzyjało rozmyślaniom.

Przez kilka godzin siedział za tekowym biurkiem, a złowieszcza tuba z informacją leżała przed nim jak bomba zegarowa. Przeczytał już dostarczony przez szpiegów raport.

Czyżby Tleilaxanie naprawdę sądzili, że mogą ukryć swoje knowania? A może mieli tylko nadzieję, że zdążą przeprowadzić swą świętokradczą operację na Cmentarzu Wojskowym Senasar i zniknąć, zanim Leto zareaguje? Ale Naczelny Zarządca Beakkalu musiał wiedzieć, jak bardzo to zdarzenie dotknie ród Atrydów, zapewne więc łapówka była tak wielka, że nie mógł odmówić.

Zdawało się, że całe Cesarstwo trwa w przekonaniu, że ostatnia tragedia zupełnie złamała Leta i zgasiła jego wewnętrzny ogień. Spojrzał na lśniący na palcu sygnet książęcy. Nigdy nie przypuszczał, że będzie musiał podjąć ciężar władzy w wieku piętnastu lat. Teraz, po dwudziestu jeden latach, czuł się tak, jakby nosił ten pierścień od wieków.

Na blacie zastygł w krystalicznym plazie motyl, którego skrzydła wygięły się pod dziwnym kątem. Kilka lat temu, zaczytany w pewnym dokumencie, nieuważnym ruchem rozgniół owada, który teraz miał mu nieustannie przypominać konsekwencje jego działań jako księcia i człowieka.

Nie można pozwolić na to, by Tleilaxanie, za zezwoleniem władz Beakkalu, bezczęścili zwłoki bohaterów... Ani nie można o tym zapomnieć.

Duncan Idaho w pełnym oporządzeniu bojowym zastukał do na wpół uchylonych drzwi.

– Wzywałś mnie, Leto?

Duncan był wysoki i dumny, a uznany na Ginaz mistrzem miecza, nosił się jeszcze bardziej godnie, do czego istotnie miał prawo po ośmiu latach morderczych treningów.

– Dzisiaj, Duncanie, twoja rada potrzebna mi jest bardziej niż kiedykolwiek. – Leto wstał zza biurka. – Stałem przed trudną decyzją i muszę ją przedyskutować tylko z tobą, skoro Thufir i Gurney są na Ix.

Młodzieniec był bardzo dumny z zaszczytu, jaki go spotkał.

– Czy chodzi o następny atak na Ix?

– Nie, o coś innego. – Leto uniósł z westchnieniem cylinder z raportem. – Jako książę nieustannie dowiaduję się, że muszę zająć się czymś nowym.

W drzwiach bezszelestnie pojawiła się Jessika. Chociaż mogłaby podsłuchiwać niezauważona, zdecydowała się stanąć śmiało obok mistrza miecza.

– Czy i ja mogę wziąć udział w rozmowie, mój książę?

Zasadniczo Leto nie powinien pozwolić konkubinie na uczestnictwo w naradzie strategicznej, Jessika jednak otrzymała wszechstronne wykształcenie i niejeden już raz ukazała mu jakąś kwestię z zupełnie nowego punktu widzenia. W najtrudniejszych chwilach dawała mu siłę i miłość. Wiedział, że teraz nie mógłby już z lekkim sercem jej odesłać.

Leto opowiedział więc obydwójgu o wielkim obozowisku, jakie na Beakkalu zdążyli już wybudować Tleilaxanie, zlokalizowanym obok miejsca, gdzie kamienne piramidy porośnięte bujną roślinnością otaczały pole, na którym oddziały Atrydów i Verniusów broniły planety przed piracką flotyllą. Poległy wtedy tysiące żołnierzy, a także patriarchowie obu rodów. Leto złowróźnie ściszył głos:

– Tleilaxanie chcą wydobyć ciała naszych przodków, aby, jak mówią, prowadzić badania historyczno-genetyczne.

Duncan zacisnął pięści.

– Na krew Jool-Noreta, nie możemy do tego dopuścić!

Jessika przygryzła wargę.

– To oczywiste, czego chcą mój książę. Nie wiem do końca, jak to robią ale, jak się wydaje, nawet

ze zmumifikowanych zwłok Tleilaxanie mogą stworzyć gholę, a zatem potrafią też odtworzyć linie genetyczne Atrydów i Verniusów.

Leto wpatrzył się w zatopionego w plazie motyla.

– To do tego były im potrzebne ciała Victora i Rhombura.

– Właśnie do tego.

– Zgodnie z formalnymi zasadami, powinienem udać się na Kaitain i złożyć oficjalny protest na ręce Landsraadu. Zostanie utworzona komisja śledcza, która być może nałoży jakieś kary na Beakkal i Tleilaxan.

Duncan był wyraźnie poruszony.

– Ale wtedy będzie już za późno!

Na kominku nieoczekiwanie trzasnęło polano i wszyscy drgnęli.

– I dlatego zdecydowałem się na bardziej stanowcze posunięcie.

– Czy jest możliwe – spytała ostrożnie Jessika – aby nasze wojska udały się tam i zabrały zwłoki, zanim dobiorą się do nich Tleilaxanie?

– Wątpię w skuteczność takiego rozwiązania – oznajmił Leto. – Wystarczy, że przeoczmy jedno ciało, a cały wysiłek na nic. Nie, musimy unicestwić samą chęć, wyrwać problem z korzeniami. Potrzebna jest jednoznaczna przestroga: ci, którzy liczą na słabość księcia Atrydy, są bardzo nierozsądni. – Leto jeszcze raz popatrzył na dokumenty informujące o sile armii, uzbrojeniu, dostępnych pojazdach bojowych, a nawet o rodowej broni atomowej. – Nie ma Thufira, więc to ty, Duncanie, będziesz miał okazję się popisać. To ma być jednoznaczna przestroga. Bez zapowiedzi. Bez litości. Bez niejasności.

– Będę dumny, mogąc dowodzić taką misją mój książę.

Nie ma we wszechświecie bezpiecznego miejsca ani bezpiecznej drogi. Wszędzie czyhają niebezpieczeństwa.

aforyzm zensunicki

Rejsowy prom transportowy wysunął się z ładowni liniowca orbitującego po nocnej stronie Ix. Posterunek sardaukarów na pustkowiu uważnie śledził pomarańczowy płomień z dysz pojazdu, który spływał w kierunku kanionu wejściowego, czujnie strzeżonego punktu wlotowego, przez który można się było dostać do podziemnej stolicy.

Niemniej jednak obserwatorzy sardaukarów nie dostrzegli drugiego, znacznie mniejszego stateczku, który sunął w ślad za promem. Była to atrydzka kapsuła bojowa. Za cenę ogromnej łapówki załoga liniowca uruchomiła przekaźnik sygnałów kamuflujących, które pozwoliły kapsule poruszać się bez zwracania uwagi systemu detektorów. Dzięki temu Gurney Halleck i Thufir Hawat mieli nadzieję wśliznąć się potajemnie do wnętrza planety.

Malutki, bezskrzydłowy pojazd prowadził Gurney. Po pewnym czasie zmienił kurs i pomknął nad poszarpanym terenem na północy planety. Pracujące w ciemności instrumenty pokładowe wprost do słuchawek w hełmie przekazywały informacje, pozwalające uniknąć naziemnych pułapek. Teraz Gurney mógł w pełni wykorzystać umiejętności, jakie nabył pod dowództwem Dominika Verniusa, kiedy wielokrotnie musieli umykać na Salusa Secundzie patrolom Korrinów. Także teraz zręcznie prześlizgiwał się przez oka w sieci bezpieczeństwa rozpiętej przez Tleilaxan.

W tym czasie Thufir zapadł w trans mentata i selekcyjonował możliwości. Zapamiętał wszystkie wyjścia bezpieczeństwa i sekretne przejścia, jakie udało się przypomnieć sobie Rhomburowi, i teraz usiłował ekstrapolować najlepsze rozwiązania, ale absolutnemu skupieniu stawały na przeszkodzie czysto ludzkie strapienia.

Leto nigdy wprawdzie nie czynił mu wyrzutów z powodu tego, co można było uznać za niedostatek zabezpieczeń – śmierć księcia Paulusa na arenie, eksplozję powietrznego żaglowca – ale sam Thufir bardzo się tym gryzł i nieustannie mnożył środki ochronne.

Teraz wraz z Gurneyem mieli się wśliznąć do okupowanej stolicy Ix, wykryć słabe ogniwa w jej umocnieniach i przygotować bezpośrednią akcję militarną. Po ostatniej tragedii książę Leto nie bał się już rozlewu krwi. Kiedy uzna, że nadszedł czas, ród Atrydów uderzy, i to uderzy z mocą.

C'tair Pilru, jeden ze spiskowców, z którymi kiedyś kontaktowali się, nie zamierzał zaprzestać swoich działań, pomimo okrutnych prześladowań ze strony Tleilaxan. Używając kradzionych materiałów, produkował bomby i inne narzędzia sabotażu. Przez jakiś czas – dopóki nie urwała się łączność – sekretne dostawy zapewniał mu też książę.

Thufir miał nadzieję, że jeśli czas na to pozwoli, uda im się odnaleźć C'taira. Razem z Gurneyem usiłowali wcześniej przekazać jakąś wiadomość o tym. Korzystając z tajnego szyfru wojennego Verniusów, który obecnie na Ix znałby tylko C'tair, zaproponowali spotkanie w sieci tajnych przejść i pomieszczeń, ale nie uzyskali żadnego potwierdzenia. Lecieli więc w ciemno, wiedzeni tylko nadzieją i determinacją.

Thufir patrzył w malutkie okna kapsuły i zastanawiał się, jak odnaleźć spiskowców, którzy przecież muszą dbać o to, aby jak najmniej rzucać się w oczy. Nie należało to do narzędzi analitycznych mentata, ale musiał uznać, że trzeba się zdać na... łut szczęścia.

Przycupnięty w zatechłym magazynie na górnych piętrach tego, co kiedyś było Grand Palais, C'tair Pilru walczył ze swoimi wątpliwościami.

Otrzymał wiadomość, rozszyfrował i – nie mógł w nią uwierzyć. Przez lata prowadził swą malutką wojnę, ale w postanowieniu utrzymywały go nie zwycięstwa ani nadzieja, a tylko – upór. Walka z Tleilaxanami stała się jedyną treścią jego życia, a chociaż rzadko się nad tym zastanawiał, to nie wiedziałby właściwie, co robić innego, gdyby z jakichś przyczyn okupacja się skończyła.

Przetrwał tak długo tylko dlatego, że nie ufał nikomu w tym pięknym niegdyś podziemnym mieście. Zmieniał wygląd, nieustannie przenosił się z miejsca na miejsce, po każdym uderzeniu natychmiast zniknął, podczas gdy okupanci i zapewniający im bezpieczeństwo sardaukarowie szaleli z wściekłości.

Jego ulubionym zajęciem stało się przypominanie sobie tego wszystkiego, co zabiła ponura rzeczywistość narzucona przez Tleilaxan: pięknych budowli i powietrznych tuneli, radosnych Ixian, tumultu i wesołego gwaru.

Ale wspomnianie przychodziło mu coraz trudniej, coraz więcej szczegółów rozplýwało się w mroku. To było tak dawno temu...

I oto otrzymuje wiadomość od wysłanników księcia Rhombura Verniusa. Podstęp czy prawda? Rzykował przez całe życie, ale czy teraz sprawa nie wydawała się nazbyt podejrzana? Z drugiej strony, był pewien, że jak długo Rhombur żyje, tak długo nie porzuci swego ludu.

Czekając teraz bez końca w ponurej klitce, C'tair zastanawiał się, czy aby nie zaczyna tracić kontaktu z rzeczywistością... Tak okropną od czasu, gdy poznał straszny los Miral Alechem, kochanki i współpracownicy, która w innych czasach zostałaby może jego żoną. Tymczasem podstępni okupanci pojmali ją, a ciało wykorzystali do swych wstrętnych, owianych tajemnicą eksperymentów. Tego

obrazu absolutnie nie chciał przywoływać: nieruchome ciało, podłączone niezliczonymi przewodami do jakichś urządzeń i instrumentów.

Nieustannie przeklinał Tleilaxan za ich okrucieństwa i nieustannie przed zamkniętymi oczami stawał mu obraz wielkich oczu Miral, jej szczupłej twarzy, niesfornej fryzury.

Poczuł dławiącą wręcz wściekłość i wyrzuty sumienia tego, który przetrwał. To dało upust nadziei: jeśli księżę Rhombur istotnie wysłał mu kogoś do pomocy, to być może nastąpi jakaś istotna zmiana...

Nagle rozległ się pisk windy. C'tair skulił się w cieniu. Posłyszał brzęk metali, lekki trzask, a potem drzwi kabiny powoli się rozchyliły. Zobaczył w nich sylwetki dwóch mężczyzn, którzy jeszcze go nie dostrzegli. Ciągle więc miał czas, aby uciekać albo próbować ich zabić. Byli jednak za wysocy na Tleilaxan i poruszali się inaczej niż sardaukarowie.

Starszy, o ciele sprężystym jak z szigarutu, miał poważną twarz i zabarwione przez safo usta mentata. Jego towarzysz, tęgi blondyn o wyraźnej bliznie na twarzy, schował do kieszeni małe pudełko z narzędziami. Mentat postąpił kilka kroków i powiedział:

– Przybywamy z Kaladanu.

C'tair nawet nie drgnął, serce biło mu jak szalone. Może to prowokacja, ale zaszedł już tak daleko... Aby dodać sobie ducha, zacisnął palce na rękojeści ukrytego w kieszeni sztyletu i przemówił:

– Jestem tutaj.

Wyszedł z cienia, a mężczyźni przyjrzeni mu się zmrużonymi oczyma.

– Jesteśmy przyjaciółmi twego księcia – odezwał się ten z blizną. – Nie będziesz już więcej sam.

Poruszając się ostrożnie, jakby stąpali po rozbitym szkłe, stanęli naprzeciw siebie pośrodku magazynu. Podali sobie ręce na sposób przyjęty w Cesarstwie, potem wymienili imiona. Przybysze pokrótce opowiedzieli C'tairowi, co stało się z Rhomburem.

C'tair był oszołomiony, nie bardzo wiedział, gdzie kończy się rzeczywistość, a zaczynają jego wyobrażenia.

– Była tam jeszcze dziewczyna... Kailea? Tak, Kailea Vernius.

Thufir i Gurney spojrzeli na siebie z zakłopotaniem. Woleli na razie nie wyjaśniać tej sprawy.

– Nie mamy zbyt wiele czasu – powiedział Gurney. – Musimy rozeznac się w sytuacji i ocenić możliwości.

C'tair stał naprzeciw obu reprezentantów Atrydów, próbując zdecydować, od czego zacząć. Poczuł, jak odżywa w nim gniew, napęlniając go taką nienawiścią że niemal uniemożliwiająca mu opowiadanie, co tu widział i czego tu doświadczył.

– Pokażę wam, co Tleilaxanie zrobili z Ix i jego mieszkańcami!

Nie zwracając na siebie uwagi, trzej mężczyźni zmieszali się z tłumem ponurych robotników i zaczęli wędrować między podupadłymi budynkami fabrycznymi. Wykorzystując niezliczone karty identyfikacyjne C'taira, penetrowali chronione strefy. Samotny buntownik przez lata nauczył się udawać niewidocznego, a Ixianie kroczyli przed siebie, patrząc uparcie pod nogi.

– Już wcześniej wiedzieliśmy, że Cesarz jest w jakiś sposób uwikłany w całą sprawę – powiedział Hawat – ale po co aż dwa legiony sardaukarów?

– Widziałem wiele rzeczy, ale ciągle nie potrafię ich zrozumieć – odezwał się C'tair. Ruchem głowy wskazał monstrum górujące nad rampą załadowniczą. W maszynę wczepione były resztki ciała: poraniona głowa, pokryty bliznami tors... – Nawet jeśli księżę Rhombur jest teraz cyborgiem, i tak nie da się tego porównać z tym, co wyczyniają tutaj Tleilaxanie.

– Co to takiego? – spytał z przejęciem Gurney.

– Bi-Ixianie, ofiary tortur i egzekucji, których resztki, chociaż już nieżywe, nadal są poruszane przez maszynę. Tleilaxanie nazywają „przykładem”, a samą maszynę uważają za bardzo zabawną.

Thufir beznamiętnie rejestrował wszystkie szczegóły, podczas gdy Gurney nie potrafił ukryć wyrazu obrzydzenia na twarzy. Po wargach C'taira przemknął ponury grymas.

– Raz widziałem, jak umieszczono w tej maszynie zwłoki mężczyzny, do których przymocowano pojemnik z farbą. Coś się jednak zepsuło, resztki ciała oberwały się, a farba ze spryskiwacza trysnęła na dwóch przechodzących właśnie Tleilaxan. Oburzeni wrzeszczeli na automat, jakby zrobił to specjalnie.

– Może i tak się stało – mruknął Gurney.

Przez kilka następnych dni chodzili, obserwowali i czuli rosnącą nienawiść do tych, którzy byli odpowiedzialni za ten stan rzeczy. Gurney rwał się do walki, ale hamował go Thufir. Musieli najpierw wrócić na Kaladan, złożyć raport księciu i dopiero po decyzji władcy Atrydów mogli przystąpić do planowania skutecznej operacji.

– C'tairze, a może wróciłbyś z nami? – spytał ze współczuciem w głosie Gurney. – Znajdzie się miejsce i dla ciebie. A tutaj dość już się wycierpiałeś.

C'tair stanowczo pokręcił głową.

– Nie opuszczę Ix. Muszę walczyć, inaczej... nie wiedziałbym, co robić. Moje miejsce jest tutaj. Muszę dawać się we znaki tym zbirom, co jednocześnie jest sygnałem dla moich rodaków, że się nie poddałem. I nigdy się nie poddam.

– Księżę Rhombur przypuszczał, że taka będzie twoja odpowiedź – rzekł Thufir. – Przywieźliśmy dla ciebie materiały wybuchowe, broń, nawet zapasy żywności. A dostaw będzie jeszcze więcej.

C'tair czuł się podniecony tą perspektywą.

– Byłem pewien, że nasz księżę nie zostawi nas samych sobie. Zawsze marzyłem, by wrócił, a wtedy stanąłbym do walki u jego boku.

– Przedstawimy raport księciu i Rhomburowi – zapewnił Thufir – a ty uzbrój się w cierpliwość.

Bardzo chciał obiecać coś więcej, ale nie miał odpowiednich pełnomocnictw, niemniej jednak C'tair był pełen entuzjazmu. W końcu, po latach samotnej walki, zyska potężnego sojusznika.

Litość i zemsta to dwie strony tej samej monety. Los decyduje, która będzie na wierzchu.

książę Paulus Atryda

Pomarańczowożółte promienie pierwszego słońca wstającego nad Beakkalem prześwietlały mgłę spowijającą bogatą roślinność. Drugie, jasne i białe, stało już wysoko na niebie. Kwiaty rozchylały kielichy, kusząc ptaki i owady, drapieżne zielsko wiło się, czatując na nieostrożne gryzonie.

Na wyżynnej równinie Senasar wzbijały się w niebo marmurowe piramidy, a ich wypolerowane niczym lustra ściany odbijały słoneczne promienie we wszystkich kierunkach.

Na tej równinie otoczone oddziały Atrydów i Verniusów walczyły niegdyś z przeważającym przeciwnikiem, a chociaż życie każdego z ich żołnierzy było okupione życiem dziesięciu wrogów, to w końcu oblężeni i tak zostali wycięci w pień. Ostatni z nich padł na godzinę przed tym, jak dotarła rozpaczliwie oczekiwana odsiecz, która bezlitośnie rozprawiła się z napastnikami.

Mieszkańcy Beakkalu przez całe stulecie oddawali cześć poległym bohaterom. Kiedy jednak ród

Verniusów został uznany za renegacki, władze planety przestały dbać o cmentarny monument, który z wolna porastała dżungla. Choć wspaniałe rzeźby stały się schronieniem dla ptaków i małej zwierzyny, a kamienne płyty pękły i kruszyły się, na Beakkalu nikt już się tym nie przejmował.

Nieoczekiwanie wokół dawnego pola bitwy szybko niczym grzyby po deszczu wyrosły namioty, a grupy robocze zaczęły wycinać rośliny i odkopywać kamienne nagrobki. W masowych grobach spoczywało tysiące poległych żołnierzy. Wybitne postacie pochowano w mauzoleach we wnętrzu piramid.

Wyznaczeni przez władze Beakkalu inspektorzy dostarczyli sprzęt, który miał pomóc w rozbiórce piramid. Malutcy specjaliści Tleilaxan przygotowali polowe laboratoria, gotowi przebadać wszystkie ludzkie szczątki w poszukiwaniu wartościowych próbek genetycznych.

W dżungli unosił się zapach kwiatów, olejków roślinnych i ziół wysokich niczym drzewa. Z tymi aromatami mieszały się zapachy obozowiska i ciężki odór maszyn. Jeden z karłowatych robotników otarł pot z czoła i odgonił ręką rój żądnych krwi owadów. Słońce lśniło w koronach drzew niczym złowrogie oko.

Znienacka niebo wybuchło purpurowymi smugami laserobinów.

Prowadzona przez Duncana Idaho flotylla statków atrydzkich spływała z orbity nad wielki cmentarz. Wraz z rozpoczętym ostrzałem nad siedzibą Zarządu Beakkalu rozbrzmiała enuncjacja Leta, której tekst został także przekazany do siedziby Landsraadu na Kaitain, czego wymagały postanowienia Wielkiej Konwencji.

Spiżowy głos Leta oznajmiał:

– Cmentarz na Senasar stał się pomnikiem wojennym, będącym świadectwem ofiary poniesionej przez mych przodków na Beakkalu. Teraz, gdy mieszkańcy Beakkalu i Bene Tleilax zbezczescili to miejsce, ród Atrydów musi odpowiedzieć na tę zniewagę w jedyny adekwatny sposób. Nie dopuścimy do tego, by tchórze zakłócili spokój naszych poległych bohaterów i dlatego postanowiliśmy zniszczyć ten cmentarz.

I statki dokonywały właśnie dzieła zniszczenia. Salwy laserobinów pocięły częściowo rozebrane piramidy i odsłoniły od dawna zamurowane komory grobowe. Naukowcy Tleilaxan z krzykiem wybiegali z namiotów i baraków laboratoryjnych.

– Dochowaliśmy posłuszeństwa wszystkim formalnym wymogom – ciągnął zarejestrowany głos Leta – a chociaż nie obędzie się bez ofiar, to będą nimi ci, którzy czy to dobrowolnie, czy słuchając rozkazów, podjęli się działań przestępczych. W tej sprawie nie ma niewinnych.

Maszyny rzuciły bomby termiczne i dalej prowadziły ostrzał laserowy. Po dwudziestu standardowych minutach – Naczelnemu Zarządcy nie udało się w tym czasie nawet zebrać swych doradców – unicestwieni zostali grabieżcy grobów z Bene Tleilax, ich pomocnicy z Beakkalu, wyparowały też ciała poległych Atrydów i Verniusów.

Pozostało pole krzepnących kamieni i dymiących kraterów. Ogień powoli zaczynał ogarniać obrastającą dawne cmentarzysko dżunglę.

– Ród Atrydów zawsze będzie mścił takie zniewagi – powiedział Duncan do mikrofonu, ale nie pozostał nikt, kto mógłby go usłyszeć.

Na jego komendę statki przygotowały się do odwrotu. Spojrzał w dół. Teraz nikt w Cesarstwie nie powinien mieć złudzeń co do słabości Leta.

Bez zapowiedzi. Bez litości. Bez niejasności.

Najbardziej lękać się należy wroga, który ma twarz przyjaciela.

mistrz miecza Rebec z Ginazów

Na Kaitain podziemny cmentarz cesarski zajmował nie mniej miejsca niż sam wspaniały pałac. Spoczywały na nim generacje Korrinów poległych z powodu zdrady czy nieszczęśliwych wypadków i ledwie kilku, którym pisana była śmierć naturalna.

Kiedy hrabia Hasimir Fenring powrócił z Ix, Szaddam natychmiast udał się z nim do wilgotnych, mrocznych katakumb.

– W ten sposób postanowiłeś wyrazić radość z powodu powrotu swego Ministra do Spraw Przyprawy, hmmm?

Szaddam odprawił straż przyboczną – co nieczęsto mu się zdarzało – więc tylko we dwóch schodzili spiralnymi schodami, podczas gdy drogę oświetlały im płynące na uwięzi jarzyce.

– Pamiętasz, Hasimirze, jak bawiliśmy się tu jako chłopcy? Mnie te wspomnienia napęłniają nostalgią.

Fenring pokiwał wielką głową. Niczym drapieżny ptak, nieustannie zerkał na boki w poszukiwaniu assasinów czy pułapek.

– Niewykluczone, że to tutaj nabrałem upodobania, by pozostawać w cieniu.

W głosie Szaddama pojawiła się dziwna nuta dostojeństwa.

– Tutaj możemy też rozmawiać bez obawy, że ktoś nas podsłucha. A mamy ważne sprawy do przedyskutowania.

Fenring wydał pomruk, który można było uznać za oznakę aprobaty.

Pierwszym władcą który dawno temu, gdy stolicę Cesarstwa przeniesiono ze zniszczonej Salusa Secundy, został pochowany w podziemiach pałacu, był Hassik Korrino III. W trakcie późniejszych tysiącleci chowano tu Cesarzy, ich konkubiny i dzieci z nieprawego łoża. Niektórych kremowano, a popioły umieszczano w urnach, kości innych mielono, aby potem wypalać z nich porcelanowe figurki pogrzebowe. Tylko nieliczni władcy zostali umieszczeni w przezroczystych sarkofagach otoczonych przez pole zeroentropijne, chroniące ich ciała przed rozkładem, nawet wtedy, kiedy ich dzieła rozpląną się bez reszty w mgłę zapomnienia.

Minęli mumię Mandiasa Straszego. Puste oczodoły w twarzy z zapadniętymi policzkami wpatrywały się w naturalnej wielkości posąg władcy, głoszący napisem na cokole: „Ten, przed którym drżały wszystkie światy”.

Szaddam skrzywił się z niesmakiem.

– I co? Nikt już o nim nie pamięta!

– Nikt z tych, którzy jak ty nie chcą studiować dziejów Cesarstwa – sarkastycznie zauważył Fenring. – Czy takie miejsca nie przypominają ci o własnej śmiertelności, hmmm-mhm?

Cesarz niecierpliwie wzruszył ramionami, a gest ten powtórzyły jarzycowe cienie na ścianach. Kroczyli posadzką o minimalnym nachyleniu, a przed nimi czmychały w kąty pająki, malutkie gryzonie, skarabeusze, żyjotka, którym udało się przetrwać dzięki zakonserwowanemu tutaj mięsu.

– Doszły mnie wieści, że podobno Elrood pozostawił po sobie bastarda, hmmm? Czy to prawda? A jeśli tak, dlaczego dopiero teraz się o tym dowiadujemy?

Szaddam zatrzymał się gwałtownie.

– Skąd o tym wiesz?

– Mam liczne uszy, Szaddamie – odrzekł Fenring z łagodnym uśmiechem.

– Zdecydowanie zbyt wiele! – obruszył się Cesarz.

– Ale czyż nie korzystam z nich dla twojego dobra, hmmm? – I ciągnął dalej, nie dopuszczając Szaddama do głosu: – Zdaje się, że ten Tyros Reffa nie ostrzy sobie zębów na twój tron, ale w tych niespokojnych czasach może go wykorzystać któryś z tych jawnie rebelianckich rodów.

– Ale to ja jestem prawowitym Cesarzem!

– Najjaśniejszy Panie, członkowie Landsraadu ślubują wierność rodowi Korrinów, a nie osobiście tobie. A musisz przyznać, że niektórzy z możliwych są nieco, hmmm-mhmm, rozgniewani na ciebie.

– Hasimirze, do moich obowiązków nie należy troska o urażoną dumę moich poddanych!

Szaddam popatrzył na kryptę Mandiasa i zżuł w ustach przekleństwo pod adresem swego jurnego ojca. A teraz trzeba będzie podjąć jakieś środki zaradcze!

Wraz z upływem wieków krypty grobowe kopano coraz głębiej. Na najniższym poziomie znajdowały się zwłoki, których imiona mówiły coś nawet Szaddamowi. Oto grobowiec dziada Szaddama, Fondila III, zwanego Myśliwym. Po obu stronach mosiężnych drzwi stały wypchane ścierwa dwóch groźnych drapieżników uśmierconych przez Fondila: żyjącego na równinach Ekazu ekadroga z kolcami na grzbiecie i niedźwiedzia szablozębnego z III Delta Kaising. Ale Myśliwym nazwano Fondila z racji polowań na ludzi – zapędzał wrogów w pułapkę bez wyjścia i niszczył, łowy na zwierzynę były dla niego tylko rozrywką.

Minęli kilka pomieszczeń z trumnami dla dzieci i przedwcześnie zgasłych potomków rodu, aż wreszcie dotarli do wyidealizowanego posągu pierwszego syna Elrooda, Fafhira. Jego śmierć w „wypadku” zaaranżowanym przez młodego Fenringa otworzyła Szaddamowi drogę do tronu. Dobrodusznemu Fafnirowi nigdy nie przyszło nawet do głowy, że może mu cokolwiek zagrażać ze strony młodszego brata.

Elrood coś jednak podejrzewał, a chociaż Szaddam i jego zausznik stanowczo zaprotestowali przeciw tym insynuacjom, Elrood pokiwał głową i rzekł:

– Byłoby dobrze, gdybyś potrafił nie cofać się przed trudnymi decyzjami. Ale uważaj, nie przesadz: nie pchaj się za szybko na cesarski tron. Będę panował jeszcze wiele lat, a ty wykorzystaj ten czas na naukę.

I oto teraz Szaddam znów musiał martwić się o brata. Wprawdzie przyrodniego, ale brata.

Dotarli wreszcie do miejsca, gdzie w stosunkowo niewielkiej niszy prochy Elrooda IX spoczywały w małej urnie wysadzonej drogocennymi klejnotami i ozdobionej misternymi złoceniami, które w zamyśle miały wyrażać szacunek Szaddama dla „ukochanego ojca”.

Jarzyce znieruchomiały, a Szaddam, bez najmniejszego szacunku podparłszy się pod boki, spoglądał na urnę. Zwłoki niezwłocznie spopieliłono, aby żaden nadgorliwy doktor Suk nie próbował dociec prawdziwego powodu śmierci starego Cesarza.

– Dwadzieścia lat, Hasimirze. Za długo już czekamy na syntetyczną przyprawę Tleilaxan. – W oczach Szaddama pojawił się błysk. – Czego się dowiedziałeś? Kiedy będą wreszcie gotowi do produkcji na dużą skalę? Męczy mnie to czekanie.

Fenring postukał się po wargach.

– Ajidica bardzo stanowczo zapewniał, że sajuż blisko zakończenia prac, obawiam się jednak, że produktu nie poddano wystarczająco dokładnym testom. Musimy być pewni, że otrzymamy dokładnie to, o co nam chodzi, jako że zgodny z naszymi oczekiwaniami amal zatrzęsie całą galaktyką. Nie możemy sobie pozwolić na choćby najmniejszy błąd taktyczny.

– A jakie błędy są możliwe? Mieli dwie dekady na próby i testy, jeśli mówią że substytut jest już gotowy, to z pewnością nie śmieliby mnie okłamywać!

Fenring spojrział ironicznie na przyjaciela.

– Doprawdy, ufasz słowom Tleilaxan? – Czuł wokół siebie zapach śmierci, stęchlizny i... potu

Szaddama. – Doradzam najwyższą ostrożność. Właśnie jestem w trakcie przygotowywania eksperymentu, który rozstrzygnie wszystkie wątpliwości.

– Dobrze, dobrze. Oszczędź mi szczegółów. Ilekroć przeglądam raporty tego przeklętego Ajidicy, połowy z nich nie rozumiem.

– Bez szczegółów zatem zapewniam cię, Szaddamie, że potrwa to jeszcze miesiąc, góra dwa.

Cesarz kilka razy niecierpliwie przemierzył kryptę. Fenring starał się odgadnąć nastrój przyjaciela. Jarzyce bezskutecznie usiłowały dostosować się do kroków Szaddama, gdyż ten zbyt szybko zawracał.

– Hasimirze, mam już po uszy tych wszystkich ostrożności. Przez całe życie nic, tylko czekam: na śmierć brata, na śmierć ojca, na narodziny syna! A teraz, kiedy zasiadłem na tronie, muszę znów czekać na amal, aby wszystkim pokazać, co się należy Korrinom! – Wpatrzył się w zaciśniętą pięść tak, jakby spomiędzy palców tryskały promienie siły. – Kieruję ZNAH-em, ale nic mi to faktycznie nie daje. Układ sił w Nadzorze jest taki, że zawsze mogą przegłosować moją decyzję. Gildia Kosmiczna nie ma prawnego obowiązku wypełniać moich poleceń, a jeśli nie obchodzę się z nimi jak z jajkiem, mogą narzucić sankcje, wycofać przywileje przewozowe i zablokować życie w całym Cesarstwie.

– To prawda, Najjaśniejszy Panie, ale moim zdaniem jeszcze niebezpieczniejsze są przykłady nieposłuszeństwa ze strony krnąbrnych dostojników. Wystarczy spojrzeć na Grumman i Ekaz: na przekór twoim dążeniom do zaprowadzenia pokoju, nadal toczą swoją wojenkę. Wicehrabia Moritani praktycznie pluje ci w twarz.

Szaddam próbował rozdeptać czarnego, lśniącego chrząszcza, temu jednak udało się umknąć do szczeliny w posadzce.

– Może nadszedł wreszcie czas, żeby przypomnieć wszystkim, kto tu panuje! Kiedy będę miał już amal, wszyscy zatańczą tak, jak im zagram. A przyprawa z Arrakis stanie się tak droga, że nikt nawet na nią nie spojrzy.

Fenring zrobił powątpiewającą minę.

– Hmm, musimy pamiętać, że wiele rodów zgromadziło znaczne zapasy, chociaż musiały w ten sposób złamać starodawne prawa. Od całych już wieków nikt nawet nie stara się ich chronić.

Szaddam zmarszczył czoło.

– A jakie to ma znaczenie?

– Takie, Najjaśniejszy Panie, że kiedy ogłosisz swój monopol na syntetyczny melanz, niektóre rody mogą przez pewien czas powstrzymać się od jego zakupu.

– Rozumiem. – Szaddam pokiwał głową a potem nagle ożywił się. – A więc musimy skonfiskować im te zapasy, żeby nie mieli innego wyjścia.

– To świetna myśl, Najjaśniejszy Panie, ale jeśli sam targniesz się na te składy, Wysokie Rody mogą zjednoczyć się przeciw tobie. Musimy wzmocnić nasze sojusze, abyś w imieniu prawa i sprawiedliwości mógł wystąpić z pozycji siły. Pamiętaj tę maksymę: „Miód może być i lepka pułapką i słodką nagrodą”, hmm?

– Mów jaśniej, o co ci chodzi! – zniecierpliwiał się Szaddam.

– Niechaj to ZNAH i Gildia znajdą przestępców i złożą ci o tym doniesienie. Potem twoi sardaukarowie skonfiskują nielegalne zapasy, a ZNAH i Gildia otrzymają jako nagrodę malutką ich część. Kiedy im to obiecamy, zabiorą się za szpiegowanie bardzo skwapliwie. – Fenring odczekał, aż Szaddam skojarzy kilka elementów. – W ten sposób, Najjaśniejszy Panie, współpracując z Gildią i ZNAH-em, zyskasz racje moralne. No i pozbawisz swych wrogów z Landsraadu ich nielegalnych zapasów.

Twarz Cesarza rozpromieniła się.

– Musimy zacząć natychmiast. Wracajmy, a ja bezzwłocznie wydam dekret...

Fenring zdecydowanym gestem powstrzymał Szaddama, który zatrzymał się w pół kroku, a jarzyce wpadły na siebie.

– Musimy jeszcze rozwiązać problem naturalnej przyprawy na Arrakis. Może należałoby tam wysłać siły cesarskie, aby udaremniły wszystkie zakusy na oryginalny melanz.

– Gildia przenigdy nie zgodzi się przewieźć tam armii, Hasimirze. A jak chcesz przeprowadzić operację bez środków transportowych?

Wydawało się, że posąg Elrooda IX z zainteresowaniem przysłuchuje się tej wymianie zdań.

– Hmm-mm, trzeba będzie wymyślić jakiś pretekst, który pozwoli odebrać Harkonnenom nadzór nad planetą. Zmiana lenna, która i tak powinna nastąpić, jeśli dobrze pamiętam, za jakieś dziesięć lat.

– Ale jak, twoim zdaniem, zachowa się Gildia, która wcześniej dopomoże nam w likwidacji tajnych schowków przyprawy? – Szaddam był podniecony wielką perspektywą. – Nienawidzę tej ich uprzywilejowanej pozycji, ale faktem jest, że melanz to ich pięta... – Urwał, a po chwili na jego wargach pojawił się lisi uśmiezek. – W porządku, Hasimirze. Może uda nam się ustrzelić dwie kuropatwy jednym strzałem.

Hrabia nie oczekiwał od swego zwierzchnika żadnych własnych pomysłów.

– Jakie dwie kuropatwy, Najjaśniejszy Panie?

– Tyros Reffa. Został przygarnięty przez ród Taligarich. Rezyduje chyba na Zanovarze, łatwo to sprawdzić. – Szaddam uśmiechnął się szeroko. – W każdym razie, jeśli w miejscu jego pobytu odkryjemy wielki, nielegalny skład przyprawy, czyż nie będzie to dobry powód, by rozpocząć wielkie przeszukiwanie?

– Hmm – mruknął Fenring, odrobinę zaskoczony. – Znakomity pomysł, Najjaśniejszy Panie. Istotnie, Zanovar byłoby świetnym pierwszym celem. Twój krewny, w tajemnicy budujący nielegalne magazyny... Może zdarzyć się, że w zamieszaniu zginie... przypadkowo.

Zawrócili i ruszyli z powrotem. Fenring spojrzał przez ramię na biegnący w mrok tunel. Niewykluczone, że już niedługo pojawi się tu następny sarkofag.

Prawdziwym darem jest nie sam przedmiot, lecz zawarte w nim świadectwo zrozumienia i troski, w czym wyraża się i dawca, i obdarowywany.

**docent Glax Othn,
Wybrane nauki dla rodu Taligarich**

Tyros Reffa stał pośród paproci obrastających ścieżkę wokół jego domostwa na Zanovarze i, wpatrzony w laminowany prostokąt, usiłował odczytać arabeskowy napis, ale po pewnym czasie zrezygnował. Trącił kartę, na którą przez listowie padały smugi światła słonecznego, i spojrzał bezradnie na swego ukochanego nauczyciela i przyjaciela, docenta Glaxa Othna.

– Jeśli nie odczytasz słów, Tyrosie, nie będziesz mógł docenić podarunku.

Niewielu członków rodu Taligarich pozostało przy życiu, ale docent należał właśnie do długiego ciągu lordów-nauczycieli, którzy swój tytuł uzyskali od poprzednika i występowali pod własnym nazwiskiem. Z Reffą tego samego dnia obchodzili imieniny, a chociaż różniło ich kilka dziesiątków

lat, nie przeszkadzało im to prawdziwie się przyjaźnić.

Kolibry i różnobarwne motyle śmigały nad paprociami, jakby uczestniczyły w wielkich manewrach kolorów. Harmonię zakłócał tylko głos ukrytego gdzieś w koronach drzew ptaka, brzmiał bowiem niczym zgrzyt nienaoliwionych zawiasów.

– Niechaj los chroni mnie przed niecierpliwymi nauczycielami – mruknął Reffa, zerknął spod oka na docenta, a potem ciągnął: – Coś o Dworze Taligarich... jakiś występ... wspaniały i niecodzienny... – Zacerpnął szybko powietrza. – Już wiem! To bilet na operę odciążaczową.

Docent wręczył swemu podopiecznemu jedyny bilet, jakim dysponował, wiedział bowiem, że Reffa z chęcią będzie oglądał sam, zafascynowany i chciwy nowych wrażeń. Sam starzec niechętnie uczestniczył w takich obcoświatowych występach. Tych kilka lat życia, jakie jeszcze mu zostały, wolał przeznaczyć na medytację i nauczanie.

Reffa ciągle przyglądał się napisom na bilecie i odcyfrowywał je słowo po słowie.

– Bilet ten daje prawo wejścia do kabin odciążaczowych Centrum Taligari w Artyzji. Ujrzę taneczne przedstawienie oparte na sygnałach podkorowych, a przedstawiające emocjonalne zawilości długiej i bolesnej walki o władzę w okresie Interregnum.

Z satysfakcją przesunął palcem po bilecie, rad ze swego osiągnięcia. Mentor był także zadowolony.

– Powiada się, że raptem jeden na pięciuset widzów wychwyci wszystkie niuanse, a i to tylko przy odpowiednim wykształceniu i za cenę najwyższego skupienia. Ale i samo przedstawienie warte jest obejrzenia.

Reffa chwycił docenta w objęcia.

– Wspaniały podarunek, dziękuję!

Ruszyli przed siebie i po chwili znaleźli się na ścieżce wysypanej żwirem, który chrząścił pod stopami. Reffa uwielbiał tu każdy zakątek.

Kilkadziesiąt lat temu, zaraz po jego narodzinach, Cesarz Elrood nakazał docentowi wychować nieprawego syna w sposób godny krwi Korrinów, ale bez wzbudzania w nim jakichkolwiek nadziei na objęcie tronu. Tak więc w życiu Reffy nie było miejsca na żadne ekstrawagancje.

Glax Othn spojrzał uważniej na młodzieńczą twarz o wyraźnych rysach.

– Jest jeszcze inna sprawa, Tyrosie. Nie tylko z powodu tego spektaklu dobrze, żebyś na jakiś czas stąd zniknął. Miesiąc, może dwa.

We wzroku Reffy pojawiła się czujność.

– Kolejna zagadka do rozwiązania?

– Niestety, trudno to już nazwać zabawą. Zauważyłeś, nieprawdaż, że w ciągu ostatnich kilku tygodni pojawiali się ludzie bardzo zainteresowani tobą i tym miejscem?

Reffa zawahał się, a w jego oczach powoli pojawiły się iskierki zaciekawienia.

– Nie widziałem w tym nic nadzwyczajnego. Jeden chciał się osiedlić na Zanovarze i nawet proponował, że odkupi ode mnie tę posiadłość. Drugi był botanikiem i interesowało go kilka okazów w naszym ogrodzie. Trzeci...

– Wszyscy byli cesarskimi szpiegami – przerwał wychowankowi docent. Kiedy jednak Reffa nie odezwał się, nauczyciel kontynuował: – Mnie nie podobali się od pierwszego wejrzenia i kazałem ich sprawdzić. Podszyli się pod inne osoby, okłamali cię co do swego pochodzenia. W istocie wszyscy trzej przybyli tutaj z Kaitain. Trochę więcej zachodu wymagało ustalenie, że są zatrudnieni przez Szaddama, ale i to udało się potwierdzić jednoznacznie.

Reffa przygryzł wargi, chociaż cisnęło mu się na usta wiele pytań. Wiedział, że nauczyciel oczekuje od niego analizy sytuacji.

– Wszyscy trzej kłamali, a Cesarz interesuje się mną i moją siedzibą. Dlaczego?

– Najwyraźniej dowiedział się o twoim istnieniu. – Głos docenta stał się dobitny jak podczas wykładu. – Mógłbyś mieć o wiele więcej, niż masz, Tyrosie Reffo, i bez wątpienia na to zasługujesz z tej właśnie przyczyny, że wcale ci na tym nie zależy. To jeden z paradoksów władzy. Chyba grozi ci niebezpieczeństwo.

Choć docent wiedział, że nieprawdy syn Elrooda nigdy nie stanowił żadnego zagrożenia dla tronu na Kaitain, zupełnie bowiem nie interesowała go polityka Cesarstwa, uważał, że jego podwładny nie powinien zwracać na siebie uwagi, a tymczasem z wielkim zapałem oglądał on różnego rodzaju przedstawienia, a nawet pod pseudonimem sam w nich uczestniczył. Pobierał nauki u nauczycieli z rodu Jongleur, najznakomitszych aktorów w Cesarstwie, których mistrzostwo sięgało tak daleko, że potrafili zapanować nad uczuciami każdej widowni. Reffa z wielką przyjemnością wspominał te czasy, a docent – w skrytości ducha – był dumny z jego aktorskich dokonań.

Teraz słowa nauczyciela sprawiły, że jego wychowanek zeszywniał. O takich rzeczach rzadko mówiono jawnie, nawet na osobności.

– Proszę, nie wracajmy do tego tematu. Oczywiście, pojedę na Taligari. – A potem znacznie cieplejszym tonem dodał: – Teraz chodź, panie, ze mną gdyż w pełni uraduje mnie twój dar, jeśli i tobie spodoba się mój prezent imieninowy. – Na jego twarzy nadal jednak widniały ślady zaniepokojenia.

Reffa miał bilet w palcach, po czym odwrócił się do starego nauczyciela i uśmiechnął się.

– To przecież twoje słowa, że dawanie jest tym pełniejsze, im więcej w nim wzajemności.

Docent udał zaskoczenie.

– Mam teraz na głowie poważniejsze sprawy niż podarunki. Reffa ujął mentora za kościsty łokieć i przez przejście w żywopłocie poprowadził na dziedziniec.

– Ja także nie twierdzę, że to najważniejsze z rzeczy ważnych, obaj jednak w tym jesteśmy do siebie podobni, że na małe przyjemności pozwalamy sobie tylko wtedy, gdy zostaniemy do tego zmuszeni. Nie sprzeczasz się więc ze mną. Coś dla ciebie przygotowałem. Oto i Charence.

Po drugiej stronie dziedzińca przy wejściu do szkarłatnego pawilonu czekał na nich majordomus o surowej twarzy. Robił wrażenie ponurego i zgryźliwego, ale Reffa bardzo cenił jego skrętność i kostyczne poczucie humoru.

Weszli do pawilonu, a tam na małym stoliku czekało małe zawiniątko. Charence ujął je i podał Othnowi, a ten zaczął odwijać papier, kręcąc głową.

– Hm, co też to może być takiego? Czego mi potrzeba? Więcej czasu, więcej wiedzy. No i poczucia, że nic ci nie grozi. – Uniósł wieczko i ze zdumieniem wpatrzył się w zawartość puzderka. Był to kryształowy bilet jednodniowy. – Park rozrywki, z karuzelami, Pokazami i salami grozy?

Na widok miny docenta uśmiechnął się nawet Charence.

– Nie ma lepszego na Zanovarze – oznajmił Reffa. – Wszystkie dzieci to uwielbiają.

Sam odwiedził park rozrywki, aby się upewnić, że jest to ten rodzaj miejsca, jakich docent nigdy nie odwiedzał. Obdarowany był skonfundowany.

– Ale ja przecież nie mam dzieci ani rodziny. Przecież to nie dla mnie samego?

– Dla ciebie. Zabaw się. Stań się znów na chwilę dzieckiem. Zawsze przecież powtarzałeś, że nowe doświadczenia są nieodzowne, aby nie umrzeć duchowo.

Docent poczerwieniał.

– Zgoda, tak mówię swoim uczniom, ale... Chcesz zasugerować, że jestem niekonsekwentny? – Brązowe oczy docenta zamigotały.

Reffa zacisnął dłoń nauczyciela na podarku.

– Nie ma w tym żadnej złośliwości, a tylko gorące pragnienie, abyś dobrze, beztrudno się bawił. – Położył rękę na ramieniu docenta. – A kiedy za miesiąc czy dwa wrócę, porównamy swoje doświadczenia i zobaczymy, który z nas miał większą uciechę.

Nauczyciel pokiwał głową.

– Będę niecierpliwie wyglądał twojego powrotu.

Samotny człowiek na pustyni jest skazany na śmierć. Tam samotnie żyć mogą tylko piaskale.

z maksym wolańskich

Wystarczył tylko odpowiedni trening, by każdy mentat mógł stać się sprawnym i pomysłowym mordercą niemniej jednak Piter de Vries podejrzewał, że na jego naturę ogromny wpływ wywarło przyrodzone „wypaczenie”, które niezwykle poszerzyło jego możliwości. Skłonność do okrucieństwa, sadystyczne upodobanie w dręczeniu innych zostało celowo wprowadzone przez Tleilaxan do jego programu genetycznego.

W efekcie trudno było o lepszą przystań dla niego niż ród Harkonnenów.

W wielkiej sali rezydencji na Kartadze stał teraz przed wielkim lustrem w ramie z czarnego tytanu. Chusteczką umoczoną w wonnym płynnym mydle potarł wargi i pochylił się do zwierciadła. Jego usta już na trwałe zabarwione były purpurą safo. Upudrował wystającą brodę, a potem cofnął się o krok i przyjrzał badawczo swemu odbiciu. Lśniące wargi, blada cera, ciemnoniebieskie oczy – doprawdy, jego widok mógł wzbudzać niepokój.

„Jestem zbyt wartościowy na to, aby być tylko liczykrupą”.

Szkoda tylko, że baron nie podzielał tego zdania albo podzielał je tylko częściowo. Ten tłusty głupiec nader często marnował talenty de Vriesa, tracąc jego czas i energię na błahostki.

„Nie jestem jakimś tam byle rachmistrzem”.

Rozejrzał się po swym gabinecie pełnym antycznych mebli, półek z szigarutowymi szpulami i księgofilmami, które pokrywały też upstrzony krwistymi słojami blat biurka.

W istocie każdy mentat rozporządzał wiedzą i umiejętnościami, których szkoda było na banalne prowadzenie ksiąg. De Vries wypełniał buchalteryjne zlecenia barona, nigdy go to jednak nie pasjonowało: cóż to za zadanie, tak proste i nudne. Vladimir Harkonnen ufał tylko bardzo niewielu osobom, a tu chodziło o kwestie, które musiały pozostać w tajemnicy.

Rozwścieczony napadem Wolan na Hadis i kilka innych tajnych magazynów przyprawy, baron polecił de Vriesowi, aby ten dokładnie sprawdził stan wszystkich nielegalnych zapasów melanżowych pozostających w gestii Harkonnenów. Należało je starannie zamaskować, aby żadnego nie odkryli wścibscy inspektorzy ZNAH-u, gdyby im się to bowiem udało, wtedy Harkonnenom groziłaby utrata cennego lenna, jakim było Arrakis. Zwłaszcza teraz, kiedy Szaddam ogłosił bezwzględłą walkę z nielegalnymi zasobami.

„O co mu tak naprawdę chodziło?”

De Vries z westchnieniem zasiadł do swojej pracy.

Co gorsza, tępy bratanek barona, Glossu Raban, bez pozwolenia sam zabrał się za usuwanie śladów w księgach, co wykonał ze zręcznością grabarza. Niezgodności w zapisach rachunkowych można było wykryć bez specjalnego zachodu, co, rzecz jasna, oznaczało dla de Vriesa dodatkową, znużającą pracę.

Siedział za biurkiem do późnego wieczoru, rejestrując głęboko w pamięci wszystkie dane. Przy użyciu magnetycznego pisaka usuwał najbardziej oczywiste niezgodności, likwidował najbardziej jawne błędy. Chociaż jednak znajdował się w stanie bliskim transu – a może właśnie dlatego – gdzieś na granicy świadomości majaczyła wizja, której doświadczył dziewięć lat wcześniej... Jakieś zdumiewające obrazy Harkonnenów opuszczających Arrakis... Flaga z błękitnym gryfem zjeżdża na dół, a jej miejsce zajmuje zielono-czarny sztandar Atrydów. Co mogło spowodować utratę przez Harkonnenów lenna? I co mieli z tym wspólnego przekłęci Atrydzi?

Potrzebował znacznie więcej informacji. To tę służbę poprzysiągł, a nie grzebanie się w papierach. Zirytowany odepchnął się od biurka, wstał i przeszedł do swojej prywatnej apteczki. Pozwolił palcom błądzić między opakowaniami, potem wziął buteleczki z safo i syropem tikopiowym oraz dwie kapsułki skondensowanego melanżu. Nigdy nie zastanawiał się nad wielkością dawek, kierował się chwilowym impulsem. Poczul, jak natychmiast rozlewa się po ciele błogi, słodki żar cynamonowy.

Zintensyfikowana wizja przyszłości, na granicy przedawkowania, uchylają się wrota...

Tym razem zobaczył więcej – uzyskał nieco z tak rozpaczliwie potrzebnych informacji. Baron Harkonnen, starszy, a nawet grubszy, w eskorcie sardaukarów zmierza do czekającego promu... A więc katastrofa miała dotknąć nie któregoś z późniejszych pokoleń. Rozegra się całkiem szybko.

Za wszelką cenę usiłował zobaczyć coś więcej, ale płynne cząsteczki światła oślepiły go. Zwiększył porcję narkotyków, ale te pogłębiły tylko trans, nie intensyfikując jednak wizji.

Kiedy odzyskał przytomność, znajdował się w objęciach mężczyzny o cuchnącym pocie i szerokich ramionach. Wzrok zaczął działać, zanim podjął pracę umysł. Rabban! Grubianin ciągnął go skalnym korytarzem w podziemiach rezydencji Harkonnenów.

– Powinieneś mi być wdzięczny – prychnął Rabban, poczuwszy poruszenie Pitera. – Miałeś pracować nad księgami. Wuj bardzo by się gniewał, gdyby się dowiedział, co znowu z sobą zrobiłeś.

Mentatowi z trudem przychodziło poruszanie językiem.

– Dowiedziałem się czegoś bardzo...

Przerwano mu w pół zdania. Jego ciało poruszyło się w kołysce ramion Rabbana w jedną, w drugą stronę, a potem z chlupnięciem wylądowało w wodzie. W wodzie! Na Arrakis!

Walcząc z narkotykowym zamroczeniem, de Vries pieskiem dopłynął do krawędzi basenu, gdzie klęczał rozbawiony Rabban.

– Co za szczęście, że potrafisz pływać. Mam nadzieję, że nie zapaskudziłeś zbiornika.

Rozwścieczony de Vries wciągnął się na brzeg i siedział tam, dysząc, podczas gdy wokół niego tworzyła się kałuża, która dla każdego wolańskiego sługi warta byłaby fortunę. Rabban pogardliwie wykrzywił wargi.

– Baron w każdej chwili może cię zastąpić kimś innym. Tleilaxanie z najwyższą ochotą dostarczą nam nowego mentata z tego samego zbiornika.

De Vries powoli dochodził do siebie.

– Ty kretynie, właśnie dla dobra barona starałem się utrzymać wizję, dotyczącą przyszłości rodu Harkonnenów.

Zwyrodniały mentat wstał i bez słowa ruszył korytarzem, by potem po krętych schodach wspiąć się na piętro barona. Wciąż jeszcze ociekając, zastukał do drzwi. Za sobą słyszał zadyszanego Rabbana.

Kiedy w drzwiach pokazał się baron, lekko chwiejący się na pospiesznie naciągniętych odciążaczach, jego twarz była pełna irytacji, a wygląd de Vriesa na pewno jej nie łagodził.

– Jak śmiesz mi przeszkadzać o tej porze! Poza tym widzę, że marnujesz moją wodę!

Skrecona, krwawa postać leżała na boku łóżka barona. De Vries dostrzegł drganie bladej dłoni. Rabban przepychał się obok niego, żeby lepiej widzieć.

– Znowu się naćpał, wuju – poskarżył.

Szybki niczym u jaszczurki język przemknął po wargach mentata.

– W ramach mej służby dla ciebie, baronie. Mam nieprzyjemne wiadomości.

W krótkich słowach opisał swoją wizję.

Baron parsknął ze złością.

– Nic, tylko kłopoty. Moje magazyny atakują ci przekłęci Wolanie, Cesarz zaczyna potrząsać mieczykiem, grożąc wszystkim, którzy ukrywają melanz, a teraz mój prywatny mentat obwieszcza, że czeka mnie upadek. Mam już tego wszystkiego po dziurki w nosie!

– Chyba nie wierzysz tym jego zwidom, wuju?

Rabban niepewnie spoglądał po twarzach obu mężczyzn.

– W każdym razie musimy zrekompensować dotychczasowe straty i przygotować się na późniejsze.

– Baron zerknął przez ramię, chciał bowiem dotrzeć z powrotem do łóżka, zanim jego kochanek skona. – Rabbanie, jest mi obojętne, jak to zrobisz, ale muszę mieć jak najwięcej przyprawy!

Odziany w destylozon Turok stał w rozgrzanej sterowni kombajnu przyprawowego. Maszyna zawodziła i chrzęściła, wydobywając melanz z bogatego złoża powierzchniowego i przenosząc go do kontenera. Ekran, wirówki i pola elektrostatyczne oddzielały drogocenny materiał od piasku i zanieczyszczeń.

Z tyłu za kombajnem unosił się wielki tuman, który sunął za pojazdem wzdłuż złoża. Na niebie unosił się ornitopter, w każdej chwili gotów poderwać w górę kontener, gdyby na horyzoncie ukazały się zapowiedzi piaskala.

Wolanie – jak teraz Turok – byli niekiedy zatrudniani do obsługi kombajnów ze względu na swe pustynne umiejętności. Dostawali zapłatę w gotówce, nikt ich o nic nie pytał, a Turok na dodatek zbierał cenne informacje o ludziach z miasta i całym przemyśle melanzowym. A informacja to potęga, jak powtarzał Liet-Kynes.

Przy pulpicie stał kapitan kombajnu i śledził monitory kilkunastu zewnętrznych kamer. Co jakiś czas nerwowo gładził kędzierzawą bródkę, niepokoił się bowiem, czy uda im się wysledzić piaskala odpowiednio wcześnie, aby zdążyli uratować maszynę.

– Weź i ty wyteż te swoje wolańskie ślepie – burknął. – Ostatecznie przecież za to ci płacę.

Turok i bez tego polecenia metodycznie obserwował ciągnące się nieprzerwanie wydmy. Wiedział, że chociaż nigdzie nie dostrzegał żadnego ruchu, pustynia żyła swoim życiem, o tak upalnej porze dnia starannie kryjącym się pod powierzchnią. W kabinie było jeszcze trzech obserwatorów, ale ci „aut-frejn” byli tu zupełnie bezużyteczni.

Nagle Turok dostrzegł w oddali płaski ruchomy wzgórek.

– Piaskal! – krzyknął, a skorzystawszy z namiarownika Osbyrne’a, chwilę potem podał współrzędne. – Ci ze szperacza powinni nas uprzedzić jakieś pięć minut temu.

– Wiedziałem, wiedziałem! – z rozpaczą zawołał kapitan. – Zawsze się spóźniają.

Wywołał zgarniarkę, domagając się natychmiastowej pomocy, i przez wielki mikrofon zaczął przywoływać ludzi pracujących na zewnątrz. Pospiesznie wskakiwali na terenowe łaziki i gnali ku niepewnemu schronieniu, jakim stał się w tej chwili kombajn.

Turok wpatrywał się w sunącą w ich kierunku piaszczystą falę. Piaskal zawsze się pojawiał tam, gdzie kopano melanz. Zawsze!

Nad dachem kabiny potężniał huk obniżającej się zgarniarki. Piasek wokół kombajnu wzbił się w

powietrze. Maszyna wibrowała, podczas gdy załoga domykała zaczepy transportowe.

Od strony piaskala słycać było coraz głośniejszy chrzęst.

Kombajn ponownie zakołysał się, ale nie oderwał się od ziemi.

– Dlaczego to trwa tak długo? – wrzasnął kapitan. – Zabierajcie nas stąd, do jasnej cholery!

– Mamy pewien kłopot – odezwał się spokojny głos dowódcy zgarniarki. – Właśnie odłączamy kontener. Będzie wam lżej uciekać.

Zdradzony kapitan zawył.

Turok zobaczył, jak ponad piach wynurza się łeb piaskala z lśniącymi kłami i płomieniami pulsującymi w gardzieli. Jego głowa kołysała się z jednej strony na drugą, jakby w ten sposób zbierała się do zadania morderczego ciosu.

Podczas gdy załoga rozpaczliwie zamykała drzwi kombajnu, jak gdyby mogło to w czymkolwiek pomóc, Turok skoczył do rękawa ewakuacyjnego i wylądował w piachu, oddzielony teraz kombajnem od atakującego zwierzęcia. Poczł ostry zapach melanzu, palcami wymacał miejsce, gdzie rozdarł się destylozon. Zaraz poderwał się i pobiegł na szczyt najbliższej wydmy, kątem oka widząc, jak z podwieszonym na linie kontenerem w górę odskakuje zgarniarka. Dla jego dowódcy liczyła się tylko przyprawa, nie ludzie.

Turok wiedział, że jego życie zależy teraz od ręczności nóg. Kiedy znalazł się na szczycie wydmy, potknął się i sturlał w dół po drugim stoku. Ziemia dygotała mu pod stopami. Po drugiej stronie wydmy rozległ się straszliwy huk i zgrzyt, potem przeraźliwy krzyk ludzi. Znowu zaczął biec. Wcale nie żałował tego, że nie widzi, jak maszyna i jej obsługa znikają w paszczy Szej-huluda.

Baron Harkonnen leżał na stole do masażu, a jego zwiotczała skóra zwisała z krawędzi. Łaziebne spryskały go wodą a teraz dwaj młodzieńcy – wychudzeni i o suchej skórze, ale w Kartadze nic lepszego nie można było znaleźć – nacierali mu kremem ramiona.

W drzwiach stanął służyący.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie baronie, ale straciliśmy kombajn z całą załogą. Zgarniarce udało się uratować ładunek, ale nic więcej.

Baron skrzywił się w udanym żalu.

– Och, nikt nie przeżył? – Ruchem ręki odprawił słuęę. – Nikomu ani słowa.

De Vries odnotuje stratę aparatury i personelu, ale razem z całym urobkiem. Trzeba będzie, rzecz jasna, usunąć świadków, jakimi byli ludzie ze zgarniarki i służyący. Być może i ci dwaj śliczni chłoptysie usłyszeli za dużo, ale oni i tak mieli nie przeżyć obmyślanych na później uciech.

Uśmiechnął się do siebie. Ludzie tak łatwo zastępują jedni drugich.

Pokój nie jest równoznaczny ze spokojem. Spokój i stabilność, jako wyzbyte dynamiki, tylko o włos odlegle są od chaosu.

Faykan Butler,
Ustalenia Komisji Dżihadyjskiej

– Najjaśniejszy Panie, mam nie najlepsze nowiny.

Szambelan Ridondo trwał w sztywnym ukłonie, podczas gdy Szaddam schodził po stopniach podestu tronowego w małej sali audiencyjnej.

„Czy już nikt nigdy nie przyniesie mi żadnej dobrej wiadomości?” Szaddam odnosił wrażenie, że wszyscy się sprzysięgli, aby nie pozwolić mu na chwilę dobrego humoru.

Chudy szambelan odsunął się, by władca mógł go wyminąć, potem wyprostował się i ruszył w ślad za nim.

– Na Beakkalu doszło do... pewnego incydentu, Najjaśniejszy Panie.

Południe minęło dopiero niedawno, ale Szaddam odwołał wszystkie dzisiejsze audiencje i kazał wszystkim ambasadorom i dostojnikom wyznaczyć nowe terminy. Tym musiał się zająć Ridondo.

– Na Beakkalu? A dlaczego miałbym się przejmować czymś, co się tam stało?

Niemal biegnąc, by dotrzymać kroku Szaddamowi, szambelan otarł pot z wysokiego czoła i zniżył głos.

– Atrydzi są w to zamieszani. Leto uderzył z zaskoczenia.

W przedsionku małej sali audiencyjnej tłoczyli się strojnie odziani mężczyźni i kobiety, którzy na widok władcy pospiesznie się skłonili. Podłoga z egzotycznego drewna wysadzanego muszlami kabuzu lśniła w blasku rzuconym przez jarzyce wykonane z kryształu wydobywanego na Balucie. Szaddam czasami wolał to małe pomieszczenie od pompatycznej, wielkiej sali audiencyjnej.

Cesarza otulał strojny szkarłatno-złoty płaszcz, wysadzany szmaragdami, czarmieniami i czarnymi szafirami. Pod spodem miał kostium kąpielowy, niecierpliwie bowiem czekał na ciepłą wodę w podpałacowych kanałach. I na usługne konkubiny.

Na korytarzu zatrzymał się i westchnął.

– A co tym razem zrobił mój kochany krewniak? Jaki mógł mieć interes na małej, porośniętej dżunglą planecie?

Cesarz zatrzymał się. Dostojny i nieruchomy wysłuchał krótkiego raportu o błyskawicznym ataku przeprowadzonym na Beakkalu. Gromada dworaków czekała w bezpiecznej odległości. Siwowłosego mężczyzna, lord Bain O’Garee z Hagalu, wystąpił z grupki, pochylił się nisko, a potem rzekł:

– Sądzę, że książe postąpił słusznie. To oburzające, że Zarządca pozwolił Tleilaxanom na bezczeszczenie grobów poległych bohaterów.

Szaddam już chciał ofuknąć lorda, kiedy posłyszał szmerek poparcia stojących za nim arystokratów. Powszechna niechęć do Tleilaxan zjednała Letowi popleczników.

„Dlaczego nigdy tak nie popierają moich zdecydowanych posunięć?!”

– Na taką obrazę tylko tak można odpowiedzieć – dorzucił mężczyzna, którego imienia ani nawet nazwiska rodzowego Szaddam nie pamiętał. – To kwestia honoru.

– To także kwestia cesarskiego prawa – chłodno sprostowała Anirula, która nie wiadomo kiedy stanęła obok Szaddama i Ridondo. Od czasu śmierci Prawdomówczyni Lobii nieustannie kręciła się wokół Szaddama, jak gdyby żadna z jego monarszych funkcji nie mogła się obejść bez jej towarzystwa. – Ono zaś powiada, że każdy ma nie tylko możliwość, ale i obowiązek ochrony swojej rodziny. Co rozciąga się także na przodków.

Liczne głowy pokiwały z zapałem, a jeden z mężczyzn zachichotał, jak gdyby Anirula powiedziała jakiś dowcip. Szaddam wyczuwał, jakie panują nastroje.

– Otóż to – powiedział. Zastanawiał się, jak manewr Leta najlepiej wykorzystać do własnych celów. – Porozumienie zawarte przez rząd Beakkalu z Bene Tleilax stanowiło naruszenie prawa. Lepiej może byłoby, aby mój krewniak Leto Atryda ściślej przestrzegał form, ale nietrudno dostrzec młodzieńczą pasję w tej gwałtownej odpowiedzi.

Zarazem Szaddam dobrze wiedział, że zdecydowana akcja militarna może ogromnie umocnić pozycję Atrydów wśród Wysokich Rodów. Niektórzy uznają go za śmiałka, który ma odwagę zrobić to, o czym inni nawet lękają się pomyśleć. Taka popularność mogła być niebezpieczna dla Tronu

Złotego Lwa.

Dlatego też podniósł dłoń, na której lśniły klejnoty.

– Nie jest to jednak oficjalne stanowisko Cesarza. Sformułujemy je dopiero wtedy, gdy rozważymy wszystkie prawne aspekty tej sprawy.

Zarazem jednak, skoro takie wrażenie robiło na tej całej gawiedzi zdecydowanie, czyż nie stanowiło to i dla niego zachętę, aby stanowczo występował w imieniu sprawiedliwości? Intrygujący precedens...

Anirula spojrzała na niego pytająco, ale zignorował jej wzrok. Jego uśmiech jakby ją niepokoił. Skoro jednak i ona, i jej koleżanki zakonne tak zaciekle kryły przed nim swe sekrety, czy i on nie mógł odpowiadać pięknym za nadobne?

Wezwie najwyższego baszę i każe mu przystąpić do realizacji planu. Stary wyga Zum Garon będzie już dobrze wiedział, jak się zabrać do rzeczy, a z pewnością bardzo też będzie rad, że sardaukarowie otrzymają możliwość popisania się swą sprawnością nie tylko na placu paradnym.

A Zanovar – miejsce, gdzie żył ten bastard Tyros Reffa – było planetą bardzo podobną do Beakkalu...

W zaciszu swego gabinetu lady Anirula kreśliła w powietrzu hieroglify piórem sensorycznym, a stojąca obok tropikalna roślina z czarnymi kwiatami wydzielala elektryczne zapachy.

W unoszącym się nad blatem dzienniku sensoryczno-pojęciowym zapisywała swe najtajniejsze myśli, rzeczy, o których jej małżonek nie mógł się nigdy dowiedzieć. Używała do tego hermetycznego kodu Bene Gesserit, dawno już zapomnianego języka, w którym spisana została Księga Azhar.

Pisała o smutku po utracie Prawdomówczyni Lobii, o uczuciu, jakim darzyła starą kobietę. Och, Matka Przełożona Harishka uniosłaby z dezaprobatą brew w odpowiedzi na tak nieskryte wyrazy emocji, jednak Anirula bardzo tęskniła za swą wiekową przyjaciółką. Na cesarskim dworze z nikim więcej nie utrzymywała tak bliskich kontaktów, otaczali ją bowiem sami pochlebcy i pochlebczynie, którym zależało jedynie na znalezieniu się jak najbliżej tronu.

Z Lobią było zupełnie inaczej. Teraz Anirula miała jej wspomnienia i doświadczenia w sobie, włączone w tę wręcz niezgłębioną puszcę pamięci nabywanych przez wiele pokoleń.

„Bardzo za tobą tęsknię, przyjaciółko”.

Upomniała samą siebie, dotknęła przycisku na piórze, a natychmiast i narzędzie, i sam dziennik niczym mgła wtopiły się w bladoniebieskie oczko pierścionka z czarmienia.

Wykonała kilka ćwiczeń oddechowych. Wszystkie dźwięki pałacowe ucichły i teraz słyszała tylko swój wewnętrzny głos szepczący: „Matko Lobio? Słyszysz mnie? Odezwij się”.

Pamięć Innych była czasami irytująca, przede wszystkim wtedy, gdy wydawało się, że jej poprzedniczki śledzą ją z wnętrza czaszki. Czasami bardzo doskwierał jej ów brak najbardziej osobistej intymności, częściej jednak poczucie owej rozlicznej obecności działało na nią uspokajająco. Stanowiła coś na kształt ogromnej wewnętrznej biblioteki, do której miała stały dostęp, a która pełna była wiedzy i pociechy. I gdzieś tam, między niezliczonymi innymi osobami, była też Lobia i czekała na okazję do przemówienia.

Anirula zacisnęła powieki w postanowieniu, że musi odnaleźć Lobię. Zanurzała się coraz głębiej i głębiej...

Nagle odniosła wrażenie, że jest w niej cieniutka tama, w każdej chwili gotowa puścić. Jeszcze nigdy nie próbowała tak zgłębiać przeszłości w niej zawartej, wiedziała bowiem, co jej grozi: zatopienie się na zawsze w widmowym świecie minionych głosów. Zyskała wprawdzie sekretną funkcję Kwisatz Matki, gdyż odznaczała się lepszym niż inne siostry kontaktem z genetyczną

przeszłością teraz jednak podejmowała ryzyko, na które nawet ona powinna sobie pozwolić tylko w obecności innych sióstr.

Poczuła jakieś poruszenie w potoku Pamięci Innych. „Lobio!” – wołała w sobie samej. Zgiełk wzrósł, jak gdyby zbliżała się do pokoju pełnego rozmawiających osób. Widziała zasłony w nieznanym jej dotąd odcieniach, poznawała przesłony, które nigdy nie miały się przed nią podnieść. „Lobio! Gdzie jesteś?”

Zamiast jednak jednej odpowiedzi dobiegła ją chóralna wrzawa, ostrzegająca przed katastrofą. Wpadła w przerażenie i nie pozostało jej nic innego, jak tylko uciekać.

Ocknęła się. Była w gabinecie, chociaż zdawało jej się, że patrzy jak przez mgłę, a także że jakaś jej część została tam, w zbiorowym intelekcie Bene Gesserit. Z zewnątrz nikt by się nie domyślił, jak daleką i niebezpieczną odbyła podróż. Powoli budziła się z odrętwienia, także świat przed oczami pojaśniał.

Głosy wewnątrz ostrzegały, że grozi jej coś strasznego, neodpartego, a związanego z długo oczekiwanym Kwisatz Haderach, który miał się narodzić już w następnym pokoleniu. Jego matka dojrzewała w łonie niczego nie przeczuwającej Jessiki. A Pamięć Innych ostrzegała...

Anirula prędzej przystałaby na upadek całego Cesarstwa niż na to, by coś stało się temu dziecku.

W przestronnym pomieszczeniu Kwisatz Matka popijała przyprawową herbatę i w zaszyfrowanym języku składała sprawozdanie Wielebnej Matce Mohiam. Ta zmrużyła ptasie oczy.

– Jesteś pewna tej wizji? Wątpię, by księżę Leto Atryda zgodził się wypuścić Jessikę. Może ja udam się na Kaladan, aby roztoczyć nad nią opiekę? Po ataku na Beakkalu księżę ma nowych nieprzyjaciół i kto wie, czy nie zechcą oni ugodzić w Jessikę. Czy coś takiego widziałaś?

– W Pamięci Innych nic nie jest pewne, nawet dla Kwisatz Matki. – Anirula upiła długi, słodki łyk i odstawiła filiżankę. – Ale ty nie możesz wyjechać, Mohiam. Musisz zostać tutaj, w pałacu. – Na twarzy Aniruli pojawiła się stanowczość. – Dostałam informację z Wallach IX. Matka Przełożona Harishka postanowiła, że to ty zastąpisz Lobię na miejscu Prawdomównicy Cesarza.

Po minie Mohiam trudno było odgadnąć, czy ta wiadomość ją ucieszyła, czy zmartwiła. Trzymała się podjętej kwestii.

– Jak zatem zadbamy o bezpieczeństwo Jessiki i jej dziecka?

– Uznałam, że na czas pozostały jej do porodu przeniesiemy ją na Kaitain. To rozwiąże problem.

Mohiam rozpromieniła się.

– Znakomity pomysł. Będziemy miały ją nieustannie na oku. – Skrzywiła się ironicznie. – Jedyne kłopot możemy mieć z księciem Letem.

– Męskie preferencje nie mają tu nic do rzeczy. – Anirula rozsiadła się w fotelu i usłyszała cichutki dźwięk sprężyn. Czowała się niezwykle zmęczona. – Swoją córkę Jessikę powiję tutaj, w cesarskim pałacu.

Troska o stabilność teraźniejszości jest uznawana za dbałość o równowagę, nieuchronnie jednak okazuje się, że to bardzo niebezpieczne zabiegi. Prawo i porządek są zabójcze. Próby wpływania na przyszłość tylko ją deformują.

**Karrben Fethr,
Szaleństwo polityki cesarskiej**

Po całym dniu spędzonym w parku rozrywki Zanovaru docent Glax Othn czuł się jak nigdy dotąd stary... czy może raczej młody. Odziany w jasnozielony, lekki kombinezon z diagonalu powoli odprężał się i zapominał o niejasnej groźbie, jaka pojawiła się wokół Tyrosa Reffy.

Śmiał się razem z piszczącą dziatwą razem z nią zajadał się słodyczami. Oddawał się grom zręcznościowym, chociaż dobrze wiedział, że tak są zaprojektowane, aby to grający miał mniejsze szanse. Nie przejmował się tym, chociaż przyjemnie byłoby zawieźć do domu nagrodę jako pamiątkę. Kolory i zapachy były ostre i natarczywe, ale nawet w tym Othn znajdował uciechę.

Reffa dobrze wiedział, czego potrzeba jego staremu nauczycielowi. Othn miał nadzieję, że młodemu uczniowi, który był teraz na głównej planecie Taligarich, opera odciążaczowa sprawiła co najmniej taką samą przyjemność.

Dzień był długi i wyczerpujący, ale pełen wrażeń. Gdyby to zależało tylko od jego decyzji, Othn nigdy by sobie nie pozwolił na taką beztroską rozrywkę. Uczeń udzielił mu pożytecznej lekcji.

Odgarnął spocone, siwe włosy i spojrzał w górę, gdyż jakiś cień zakrył słońce. Choć dookoła rozlegały się muzyka i śmiechy, z nieba w udanym przerażeniu krzyczeli pasażerowie latającego dysku, który zawisł w powietrzu dnem do góry.

Docent uśmiechnął się, ale wtedy dojrzał na niebie jeszcze inne cienie, wielkie i groźne. Pomyślał, że stanowią część lunaparkowych emocji. Dookoła niego ludzie czekali w kolejkach do pojazdów, labiryntów, holotańców i stoisk, gdzie można było dostać jakiś smakołyk za dowcip albo piosenkę. Wiele osób z zaciekawieniem spoglądało w górę. Docent żuł jeszcze ostatni kęs krystalicznie kandyzowanego owocu, kiedy rozpoczął się ostrzał.

Siedzący w statku flagowym Najwyższy Basza Garon osobiście kierował morderczym uderzeniem. To do jego poświadczonych przysięgą obowiązków należało oddanie pierwszego strzału, rozlanie pierwszej krwi, powalenie pierwszej ofiary.

Opancerzony ornitopter przemknął nad wielką makietą piaskala ustawioną pośród sztucznych wydm. Powietrze rozerwał huk eksplozji, pociski zsięły ziemię. W iskrach, płomieniach i dymie waliły się konstrukcje parku. Ludzie z krzykiem rzucili się do ucieczki.

Nad wrzawą wzniosł się donośny głos docenta, ćwiczony przez lata w salach wykładowych:

– Kryć się! Kryć!

Ale nie było się gdzie schronić.

„Czy to z powodu Tyrosa Reffy?”

Doborowy oddział Garona miał na sobie szaro-czarne mundury. Basza beznamiętnym wzrokiem patrzył, jak laserobiny zamieniają dzieci i dorosłych w niemożliwe do rozpoznania bryły zgorzeli. A to dopiero był początek.

Najpierw zmusili tłum do ucieczki, potem jeden po drugim zaczęli przetnicami niszczyć obiekty parku, a pod metalowymi szkieletami odsłaniały się jamy po brzegi wypełnione melanzem. Zgodnie z cesarskim rozkazem oddział ekspedycyjny najpierw miał wykryć nielegalne składy przyprawy, a potem mógł już przystąpić do metodycznego niszczenia Zanovaru.

Garon posadził ornitopter na stercie dymiących ludzkich resztek. Z kabiny natychmiast wyskoczyli żołnierze, strzelając do wszystkiego, co się ruszało. Nieuzbrojeni pracownicy parku w panice biegali w kółko.

Na ziemi osiadały kolejne maszyny, wysypywali się z nich żołnierze i natychmiast ruszali ku ruinom sztucznego piaskala. Był znakiem firmowym parku rozrywki, ale teraz okazywało się, że służył nie tylko do uciechy, gdyż pod nim odsłoniły się tunele pełne melanzu.

I pośród całej tej masakry tylko jeden człowiek miał odwagę ruszyć naprzeciw żołnierzom. Stary

nauczyciel szedł dostojnie, jak gdyby znalazł się pośród szkolnej gawiedzi, zachowującej się nieprzystojnie i nagannie. Zum Garon rozpoznał docenta z wizerunków, jakie studiował, przygotowując się do akcji.

Othn miał krew na ramionach, lewa strona głowy została pozbawiona siwych włosów, wydawało się jednak, że płonie w nim nie ból, lecz gniew. „Tyle ofiar, gdy chodzi im tylko o jednego Tyrosa!”

– To obrzydliwe i wstrętne! – powiedział spiżowym głosem.

Basza, odziany w nieskazitelnie czysty mundur bez jednej zmarszczki, odpowiedział suchym uśmiechem. Na ziemi sterczały udręczone bryły ciał, za plecami Othna właśnie z hukiem zawaliła się kolejna konstrukcja.

– Jest pewna różnica między teorią a praktyką – wycedził basza, a na jego skinienie promień laserobinu spopielił docenta. Garon znowu skupił się na pracach wokół resztek modelu piaskala. Z kieszeni na piersi wydobył rejestrator i zaczął nagrywać dla Szaddama raport z pola akcji.

Oddziały sardaukarów uwijały się w dymie i swądzie, ładując do bojowych ornitopterów zakamuflowaną przyprawę, one zaś ciężko niczym baki odrywały się od ziemi i frunęły ku czekającym na orbicie transportowcom. Część z tych zdobyczy stanie się nagrodą dla ZNAH-u i Gildii, Szaddam zaś każe zapisać w kronikach tę operację jako początek Wielkiej Wojny Przyprawowej.

Basza jednak wiedział, że to jeszcze nie koniec.

Zgodnie z harmonogramem wydał żołnierzom rozkaz powrotu na większe jednostki bojowe. Skoro mieli już w rękę przyprawę, dzieła destrukcji mogli dopełnić już z powietrza, czemu Garon spokojnie przyjrzy się z oddali.

Statki jeden po drugim wznosiły się w powietrze. Niepomni jęków rannych, zarówno dorosłych, jak i dzieci, pozostając na niskim pułapie, unicestwią miasto, a potem będą jeszcze musieli zająć się pewną podmiejską rezydencją.

W ogrodzie Reffy ciepły wiatr poruszył paprociami niczym pióropuszem. Charence wyłączył kaskadowe fontanny. Podczas nieobecności pana kazał sprawdzić całą sieć hydrauliczną.

Staranny i drobiazgowy, Charence był dumny z tego, że Tyros Reffa nigdy nie zauważał jego pracy. Czy może być lepszy komplement dla zarządcy niż ten, że pan nie ma okazji do jakichkolwiek skarg czy uwag?

Docent wyznaczył Charence'a na sługę Tyrosa Reffy zaraz po tym, jak tajemniczy chłopak przybył na Zanozar, a więc ponad czterdzieści lat temu. Charence nigdy nie dopytywał się o pochodzenie chłopca ani o źródła jego zamożności. Zbyt wiele ważnych spraw miał na głowie, żeby znaleźć jeszcze czas na cieżką ciekawość.

Z fontanny wyciekały ostatnie krople, on zaś stał na szczycie zwieńczonego kamiennym kręgiem pagórka. Robotnicy w kombinezonach nieśli wiadra i węże do składów narzędziowych. Charence słyszał ich śmiechy i rozmowy.

Nie dostrzegł nadlatujących statków. Zbyt wiele rzeczy interesowało go na ziemi, żeby miał się jeszcze rozglądać po niebie. Smugi laserobinów trysnęły niczym błyskawice ciskane przez rozgniewanych bogów. Drzewa pokładły się pod uderzeniem fal dźwiękowych. Stawki i zagajniki wyparowały, pozostawiając po sobie tylko szlakę.

Oniemiały Charence patrzył, jak ginie siedziba Reffy. Niczym sparaliżowany, nie potrafił wykonać najmniejszego ruchu. I w tak skamieniałego uderzył huragan wrzącego wiatru.

Płomienie, turlając się, gnały na wszystkie strony i pochłaniały wszystko, co stanęło im na drodze, tak szybko, że snuły się za nimi ledwie smutki dymu.

Kiedy fala zniszczenia przetoczyła się, nie pozostało nic z pięknych ogrodów i wdzięcznych budowli. Tylko anonimowa szlaka.

W jasno oświetlonej Artyzji, mieście leżącym po nocnej stronie planety Taligarich, Tyros Reffa rozkoszował się urokami opery. Siedział w jednoosobowej łoży i chłonał wszystkie niuanse i subtelności, urzeczony ich różnorodnością.

Już teraz wybiegał myślą ku spotkaniu na Zanovarze z docentem, któremu postara się odmalować wszystko jak najdokładniej.

Dwa pokolenia pogrążyły się w chaosie, a kiedy ostatecznie ludzkość wyzwoliła się spod tyranii maszyn, wszyscy uznali jedną regułę: „Nic nie może zastąpić człowieka”.

zapiski z Butleryjskiego Dżihadu

Księżę Rhombur spoglądał z balkonu na Wielką Salę Balową. Przygotowania toczyły się pełną parą wszędzie widać było dekoratorów, dostawców i służących. Można by odnieść wrażenie, że na Zamku Kaladan armia szykowała się do wojny.

Kilka naturalnych układów organicznych sprawiało, że Rhombur czuł niepokój w sztucznym żołądku. Obserwował wszystko z ukrycia, jeśli bowiem zauważono by go, nie mógłby się już opędzić od setek pytań, wymagających setek drobnych decyzji.

Miał na sobie biały smoking, tak skrojony, aby zamaskować syntetyczną skórę i serwomechanizmy poruszające protezami. Nie udało się całkowicie ukryć blizn, ale medycy i kosmetycy zrobili wszystko, aby i one nie rzucały się przesadnie w oczy. W efekcie wyglądał całkiem elegancko, jak przystało na młodożeńca.

Nad wszystkim czuwała mistrzyni ceremonii, wykwitnie ubrana kobieta o wąskiej, ciemnej twarzy, która tak nie pasowała do całej reszty, jak nie pasowałby prosty chłop kaladański do cesarskiego pałacu. Jej melodyjny głos wznosił się nad wszystkie dźwięki, gdy jedno za drugim wydawała polecenia w urzędowym galachu.

Pod jej dyktando służący stawiali kwietne kosze, barwne korale, umieszczali rytualne przedmioty na uroczystym ołtarzu, wygładzali nakrycia, wyrównywali rzędy mebli. Nad głową na platformie z transplazu umieszczonej pod wysokim sklepieniem powały, ekipa holoprojekcyjna rozstawiała i sprawdzała swój ekwipunek.

Wielkie żyrandole wykonane z najczystszego kryształu wydobywanego na Balucie rzucały na wszystko miękkie, złote światło. Rzadka odmiana fioletowego hibiskusa wiła się po kolumnie nieopodal Rhombura i rozkładała słodki aromat, odrobinę zbyt mocny dla księcia Ix, który pokrętem na płycie u pasa zmniejszył wrażliwość sensorów węchowych.

Udało się spełnić życzenie Rhombura i sala balowa wyglądała jak żywcem przeniesiona z Grand Palais na Ix. Przypominało mu to czasy, gdy ród Verniusów władał potężnym światem przemysłowym, rozwijając nowatorskie technologie. I może niedługo znowu będzie władał...

Stojąc tak na balkonie, czuł mechaniczny rytm płuc, mechaniczne bicie serca. Spojrzał na syntetyczną skórę lewej dłoni, na odtworzone linie papilarne środkowego palca, na które już niebawem Tessja nałoży obrączkę.

Wielu żołnierzy decydowało się na ślub przed wyruszeniem na wojenną wyprawę. Rhombur

szycował się do tego, aby zbrojnie najechać rodzinną planetę i przywrócić prawowite rządy swego rodu, czyż mógł zatem nie uczynić wcześniej Tessji swą żoną?

Poruszył palcami, które posłuchały polecenia wydanego przez mózg, choć z pewną zauważalną sztywnością. W ostatnich czasach raptownie poprawiła się jego kontrola motoryczna, dzisiaj jednak było z nią odrobinę gorzej, być może z powodu silnego stresu. Miał nadzieję, że podczas ceremonii nie spotka go nic poniżającego.

Na podeście koło ołtarza orkiestra ćwiczyła ixiański *Koncert ślubny*, który tradycyjnie towarzyszył uroczystościom zaślubin wszystkich Verniusów. I zwyczaj ten będzie trwał, niezależnie od tego, gdzie losy rzucą członków rodziny Rhombura. Melodyjna, a zarazem rytmiczna muzyka – basowe instrumenty naśladowały atmosferę pracy fabrycznej – napełniała go nostalgią, ale i poczuciem siły.

Kailea, siostra Rhombura, nieustannie marzyła o takiej ceremonii, której ona byłaby główną bohaterką. Ach, gdyby teraz mogła być tutaj, gdyby sprawy potoczyły się inaczej, gdyby inne podejmowała decyzje... Czy byłą złą osobą? Rhombur zmagał się z tym pytaniem praktycznie każdego dnia, także bowiem i na jego losie straszliwie zaważyła siostrzana zdrada. Wprawdzie wybaczył jej już w duchu, ale wątpliwości ciągle powracały.

Błysnęły nad nim światła, zaszumiły projektory solido i przed Rhomburem jak żywa pojawiła się holopostać. Zabrakło mu tchu w piersiach. Miał przed sobą kilkunastoletnią Kaileę w bogato zdobionej diamentami lawendowej sukni: prześliczna, z burzą miedzianych włosów na głowie. Obraz leciutko drżał, co powiększało wrażenie naturalności, a jeszcze ten uśmiech na wydatnych ustach...

Mistrzyni ceremonii spojrzała na projekcję i powiedziała coś do mikrofonu przytwierdzonego do szyi. Kailea ujęła się pod biodra i poruszyła ustami.

– Co robisz na górze? Przecież nie wykręcisz się od własnego ślubu. Marsz do siebie do pokoju. Popraw włosy i zadbaj o odpowiedni kwiat w butonierce.

Hologram poszybował w powietrzu w kierunku rzędu foteli, gdzie obraz Kailei miał zająć jedno z honorowych miejsc.

Rhombur bezwiednie dotknął głowy, gdzie sztuczne włosy pokrywały metalową czaszkę chroniącą mózg, potem uśmiechnął się do dowodzącej przygotowaniem i ruszył do swojej garderoby, a w ślad za nim poszli dwaj służący.

Niedługo później w sali balowej rozbrzmiała ixiańska fanfara, a mistrzyni ceremonii stanęła w progu.

– Proszę ze mną Rhomburze.

Wyciągnęła dłoń, najwyraźniej nie lękając się dotknięcia protezy, a potem z godnością i wdziękiem poprowadziła Rhombura do ukwieconego westybulu.

W trakcie ostatniej godziny zaczęli nadciągać zaproszeni goście, którzy, eleganccy i uroczyści, zajmowali wyznaczone im miejsca. Pod ścianami stali wyprężeni gwardziści, trzymający purpurowo-miedziane flagi. Z dostojników brakowało tylko Thufira Hawata i Gurneya Hallecka, którzy nie wrócili jeszcze z wyprawy na Ix.

Leto Atryda, w zielonym mundurze i z książęcym łańcuchem na szyi, krzątał się koło ołtarza. Pomimo powagi i bólu w oczach, rozpromienił się na widok Rhombura. Mistrz uzbrojenia, Duncan Idaho, stał z ręką złożoną na gardzie miecza Starego Księcia, jakby podkreślał w ten sposób, że gotów jest ściąć każdego, kto próbuje przeszkodzić temu ślubowi.

Dzięki holoprojektorom, ledwie Rhombur wyszedł z westybulu, miejsce u jego boku zajął ojciec, Dominik Vernius, z uśmiechem na wąsatej twarzy, na której szczycie lśniła łysina.

Rhombur poczuł ogarniające go wzruszenie i wyszeptał, jak gdyby obraz mógł go usłyszeć:

– Bardzo długo czekałem, ojcze. Za długo i tego się wstydzę. Przed tym wypadkiem żyłem nazbyt wygodnie. Teraz myślę o wszystkim inaczej. Jak na ironię, teraz, kiedy jestem tak okaleczony, czuję się silniejszy i bardziej stanowczy niż kiedykolwiek przedtem. Dla ciebie, dla mieszkańców Ix, dla siebie samego spróbuję wyzwolić naszą ojczyznę albo... zginę.

Holopostać, nawet jeśli miała w sobie coś z ducha samego Dominika, nic nie odpowiedziała, dalej niosąc na twarzy swój jowialny uśmiech.

Rhombur westchnął głęboko mechanicznymi płucami i równym krokiem poszedł ku ołtarzowi. Czuł wielką wdzięczność do Tessji za wsparcie i dodawanie mu siły, teraz już jednak mógł sam zawierzyć sobie, każdego dnia bowiem rosła w nim determinacja. Tleilaxanie nie ujdą bezkarnie, odpowiedzą za krzywdy, jakie wyrządzili jego rodzinie i jego ludowi.

Pochwyciwszy spojrzenie Leta, Rhombur zorientował się, że nie może nazbyt posępnie wyglądać podczas takiej uroczystości. Uśmiechnął się zatem szeroko, ale więcej było w tym życia niż na holopodobnie Dominika Verniusa. W uśmiechu tym zawarło się i szczęście, i poczucie własnej ważności. Ten dzień weselny, w którym miał poślubić niezwykłą Bene Gesserit, to pierwszy krok w kierunku tronu, na którym kiedyś oboje zasiądą w Grand Palais pod kamiennym sklepieniem Ix.

Wielu gości miało na sobie stroje charakterystyczne dla Ix, tak że holopostacie nie raziły pośród całej reszty zebranych. Dawny ambasador na Kaitain, Cammar Pilru, obecny był we własnej osobie, ale jego zamordowana żona, S'tina, mogła się pojawić tylko dzięki hologramom. Bliźniacy D'murr i C'tair wyglądali dokładnie tak, jak w czasach, gdy razem z Rhomburem dorastali na Ix.

Rhomburowi przypominały się wszystkie zapachy, dźwięki, głosy, gesty. Podczas wczorajszej próby dotknął ręki ojca, ale poczuł tylko leciutką wibrację powietrza.

„Gdyby to mogła być prawda...”

Szmer pośród tłumu kazał mu spojrzeć w bok. Od znajdującej się po przeciwnej stronie sali alkowy z wdziękiem i lekkością godnymi Bene Gesserit szła Tessja. Uśmiechnięta, promienna, wydawała się anielicą w swej długiej perłowej sukni z mehrjedwabiem i z muślinowym welonem na głowie. Na co dzień wyglądała bardzo zwyczajnie i dopiero dzisiaj widać było, ile jest w niej godności, szlachetności, siły i wewnętrznego piękna. Teraz wszyscy musieli dojrzeć to, co Rhombur zobaczył i pokochał niemal od pierwszego wejrzenia.

Obok przyszłej małżonki Verniusa szła postać jego nieżyjącej matki, Shando Vernius. Nie widział jej od czasu, gdy rozłączył ich brutalny napad Tleilaxan na Ix. Tak wielkie nadzieje zawsze wiązała z synem...

I oto teraz cała czwórka spotykała się przed ołtarzem na Kaladanie: Rhombur i Tessja w centrum, obrazy Dominika i Shando po bokach. Miejsce za nimi zajął kapłan dzierżący grubą Biblię Protestancko-Katolicką. W sali zapadła cisza jak makiem zasiał. Gwardziści sprezentowali sztandary Ix. Po twarzy Duncana Idaho przemknął uśmiech, ale zaraz wróciła na nią powaga.

Zadźwięczały fanfary, a potem salę balową wypełniły dźwięki *Koncertu ślubnego*. Młoda para i jej orszak ruszyli purpurowym dywanem. Rhombur stawiał sztywne kroki, wyprężając pierś, jakby rozpierała ją duma.

Liczba miejsc w sali była ograniczona, ale uroczystość transmitowano na całą planetę, albowiem mieszkańcy Kaladanu lubowali się w takich uroczystościach.

Rhombur skupił się na właściwym rytmie kroków, ale przede wszystkim przepełniała go miłość do Tessji.

W pierwszym rzędzie siedziała Jessika i co chwilę spoglądała na stojącego przy ołtarzu Leta. Starła się odgadnąć, co teraz odczuwa. Pomimo właściwych Bene Gesserit umiejętności obserwacji, miała trudności z przebicciem się przez szczelną zasłonę, za którą Leto krył swoje myśli.

Od kogo się tego nauczył? Bez wątpienia od swego ojca. Chociaż Stary Książę od dwudziestu lat spoczywał w grobie, nadal wywierał na syna przemożny wpływ.

Dotarłszy do ołtarza, Rhombur i Tessja rozstąpili się, aby przepuścić kapłana, a potem poszli za nim, podczas gdy holopostacie Dominika i Shando pozostały z Letem, pełniącym rolę drużby. Muzyka umilkła i zapadła pełna oczekiwania cisza.

Ze złotego blatu ołtarza kapłan zdjął dwa wysadzone klejnotami kandelabry i uniósł je wysoko. Teraz nacisnął ukryty guzik i natychmiast świece zapłonęły: jedna purpurą a druga miedzią. Pierwszą wręczył Rhomburowi, drugą Tessji i przystąpił do wygłaszania formuły zaślubin.

– Zebraliśmy się dziś, aby świętować związek księcia Rhombura Verniusa z Ix i siostry Tessji Yasco z Bene Gesserit.

Teraz stojący przed nimi na podwyższeniu kapłan otworzył ręcznie spisana Biblię Protestancko-Katolicką i odczytał z niej kilka fragmentów. Część z nich zasugerował Gurney Halleck.

Rhombur i Tessja zwrócili się ku sobie i wyciągnęli ręce ze świecami tak, by ich płomienie złączyły się w jeden. Druga dłoń Rhombura uniosła welon, spod którego wyjrzała jasna twarz Tessji, pełna miłości i tkliwości. Jej brązowe włosy lśniły jak powleczone metalowym pyłem, a mądre, duże oczy skrzyły się. Widząc urodę swej oblubienicy, Rhombur bardziej niż kiedykolwiek dotąd poczuł przypływ niewiary, że istotnie chce ona pozostać u jego boku do końca życia. Gdyby jego obecne ciało było do tego zdolne, z oczu potoczyłyby się teraz łzy.

Leto stanął tuż przy nich z kryształową tacą, na której spoczywały obrączki. Nie spuszczać z siebie oczu, Rhombur i Tessja nałożyli jedno drugiemu obrączki na palce.

– To była długa, trudna droga dla wszystkich – powiedział syntetyzowanym głosem – dla nas dwojga, dla mego ludu.

– Nigdy nie odstąpię od twego boku, książę.

Znowu popłynęły dźwięki koncertu, a para nowożeńców zeszła ze stopni ołtarza i z powrotem przemierzyła wspaniałą kobierzec. Tessja, trzymając Rhombura pod rękę, nachyliła się ku niemu z uśmiechem.

– To nie było wcale takie trudne, prawda?

– Moje sztuczne ciało jest w stanie znieść cięższe tortury.

Serdeczny śmiech Tessji podchwycili niektórzy z gości, chociaż jako żywo nie wiedzieli, co tak rozweseliło pannę młodą.

Weselna zabawa trwała do późnej nocy, a Rhombur był coraz bardziej pewny tego, że chociaż ubyło mu ciała, otworzyły się przed nim niewyobrażalne dotąd możliwości.

Tyle że nadal nie mieli żadnych wiadomości od Gurneya Hallecka i Thufira Hawata.

Nazajutrz po ślubie Jessika otrzymała cylinder zaklejony szkarłatno-złotą pieczęcią rodu Korrinów. Stojący obok niej Leto spojrział z ciekawością i przetarł zaczerwienione oczy. Jessika nie liczyła kielichów kaladańskiego wina, jakie pochłoniął poprzedniej nocy.

– Nie tak często moja konkubina otrzymuje wiadomości z dworu cesarskiego.

Zerwała paznokciem pieczęć i wyjęła zwitek pergaminu Korrinów. Wiadomość napisana była w tajnym języku Bene Gesserit. Jessika odcyfrowała zapis i, próbując ukryć zdziwienie, powiedziała:

– Mój książę, to formalne zaproszenie od lady Aniruli Korrino, abym przybyła na jej dwór na Kaitain. Powiada, że potrzebna jej nowa dama do towarzystwa, a poza tym.. – Głos Jessiki na chwilę zadrżał. – Poza tym moja dawna nauczycielka, Wielebna Matka Mohiam, została wyznaczona na Prawdómówczynię u boku Jego Cesarskiej Mości. To ona zarekomendowała mnie lady Aniruli, a ta przystała na propozycję.

– Zupełnie nie interesując się moją opinią w tej kwestii? – burknął gniewnie Leto. – To niezwykle i niezbyt układne życzenie.

– Obok wierności tobie, jestem też winna posłuszeństwo moim zwierzchnikom zakonnym. Wiedziałaś o tym od samego początku.

Zmarszczył brwi. Teraz trudno było mu myśleć o rozstaniu z Jessiką, chociaż lata temu opierał się, kiedy przedstawicielki zakonu podsuwały mu młodziutką dziewczynę.

– Tak czy siak, nie podoba mi się to.

Doczytawszy do końca, Jessica była jeszcze bardziej zdziwiona niż na początku.

– Cesarska małżonka sugeruje, bym przygotowała się na pobyt u jej boku aż... aż do mego porodu.

Leto wyjął jej z dłoni dokument, ale nie potrafił niczego odczytać.

– Coś się w tym kryje. Czy spotkałaś się wcześniej z tą Anirulą? Dlaczego miałoby jej zależeć na tym, byś nasze dziecko urodziła w jej pałacu? Czyżby Szaddam chciał mieć kogoś z mego rodu na zakładnika?

Jessika raz jeszcze przeczytała tekst, jak gdyby mogły tam się kryć odpowiedzi na te pytania.

– Ja także tego nie rozumiem, mój książę.

Leta bardzo niepokoiło to, że powstanie sytuacja, nad którą nie będzie miał żadnej kontroli.

– Dobrze wiedzą że nie mogą porzucić swoich obowiązków tutaj i jechać razem z tobą.

– Mam wrażenie, mój książę, że... że zaproszenie jest przeznaczone tylko dla mnie.

Popatrzył na Jessikę z gniewnym błyskiem w oku.

– Ale przecież nie możesz tak po prostu mnie zostawić. A co z naszym dzieckiem?

– Nie mogę odrzucić tego zaproszenia. To nie tylko żona Cesarza, ale także bardzo ważna osoba w naszym zakonie.

„I jest Bene Gesserit o Tajemnej Randze”.

– Wy, Bene Gesserit, zawsze macie jakieś swoje racje. – Siostry pomogły mu w przeszłości, ale nigdy nie udało mu się dociec dlaczego. Patrzył pochmurnie na nie dający się odczytać pergamin. – Czy to życzenie zakonu, czy jakaś intryga Szaddama? Ma to jakiś związek z akcją na Beakkalu?

Jessika ujęła jego dłoń.

– Nie znam odpowiedzi na te pytania, mój książę. Wiem tylko tyle, że strasznie będę za tobą tęskniła.

Książę z trudem przełknął ślinę i, nie mogąc już wypowiedzieć ani słowa, mocno przytulił Jessikę do siebie.

Nie musi nas szczególnie martwić fakt, że gdyby jeden ród Cesarstwa użył swojej broni atomowej, zginęłoby pięćdziesiąt lub więcej Wysokich Rodów, jeśli tylko bowiem my zachowamy odpowiednią siłę, jesteśmy w stanie wszystko kontrolować.

Cesarz Fondil III

Mając na względzie doniosłość tego dnia, Szaddam IV nakazał umieścić Tron Złotego Lwa w cesarskiej sali audiencyjnej. Dumny i dostojny, zasiadł w karminowej szacie na wyciętym z jednego kawałka kwarcu tronie, skąd miał wysłuchać opinii Landsraadu.

„Teraz zrozumieli, jak myślą się ci, którzy mnie lekceważą”.

Za zamkniętych wierzei docierał do niego szmer zniecierpliwionych głosów. Kazał im czekać,

choć zarazem płał z niecierpliwości, aby zobaczyć ich miny po tym, jak dotarła do nich wieść, co zrobił z Zanovarem.

Wypomadowane rude włosy Szaddama błyszczały w świetle jarzyc. Pociągnął długi łyk przyprawowej kawy z delikatnej porcelanowej filiżanki, a potem przez chwilę przyglądał się misternym malunkom. Także to cacuszko zostanie zniszczone, podobnie jak wszystko tam, na Zanovarze. Przywołał na twarz złowieszczą minę. Dzisiaj nie pozwoli sobie na najmniejszy nawet uśmiech, jakkolwiek wewnątrz będzie czuł się uradowany.

Jednym z sekretnych korytarzy wkroczyła do sali lady Anirula z dumnie uniesioną brodą i skierowała się wprost ku tronowi. Szaddam zaklął pod nosem, wyrzucając sobie, że zapomniał o zamknięciu wszystkich wejść. Musi na to zwrócić uwagę szambelanowi Ridondo.

– Mężu mój i Cesarzu – powiedziała, stanąwszy u stóp schodów, po czym dokładnie przyjrzała się legendarnemu tronowi. – Zanim zaczniemy, muszę poruszyć jedną sprawę. – Włosy Aniruli były świeżo zaczesane i spięte złotą klamrą. – Czy wiesz, jaki to rok?

„Te Bene Gesserit znowu coś knują” – pomyślał niechętnie, a głośno powiedział:

– Dziesięć tysięcy sto siedemdziesiąty piąty. Jeśli masz kłopoty z kalendarzem, to każdy z moich dworaków mógłby cię poinformować. A teraz nie przeszkadzaj, bo chcę złożyć ważne oświadczenie.

Anirula nie wydawała się stropiona.

– Setna rocznica śmierci drugiej żony twojego ojca, Yvette Hagal-Korrino.

Szaddam zmarszczył brwi, nie rozumiał bowiem, co Anirula może mieć na myśli.

„Do cholery! Jaki to ma związek z moim popisem na Zanovarze?”

– Jeśli to prawda, to mamy cały rok, żeby to uczcić, a ja dzisiaj chcę coś wyraźnie oświadczyć całemu temu Landsraadowi.

Żona jednak nie ustępowała.

– A co wiesz o Yvette?

„Dlaczego kobiety muszą naprzykrzać się z takimi drobiazgami w najmniej odpowiednim momencie?”

– Nie mam teraz czasu na zagadki związane z historią rodu.

Czując jednak na sobie jej natarczywe spojrzenie, zerknął na ozdobny ixiański chronometr na ścianie. Członkowie Landsraadu poczekają jeszcze odrobinę dłużej, ale to akurat specjalnie go nie martwiło.

– Umarła na długo przed moim urodzeniem. Nie była moją matką, więc niewiele się nią interesowałem. W mojej bibliotece muszą być odpowiednie księgofilmy, więc jeśli tak bardzo cię to interesuje...

– Podczas swego długiego panowania twój ojciec miał cztery żony, ale tylko Yvette pozwalał zasiadać obok siebie na tronie. Powiadają, że była jedyną kobietą szlacheckiej krwi, którą kochał.

„Kochał? A jaki to ma związek z cesarskimi mariażami?”

– Zdaje się, że kochał także jedną z konkubin, ale z tego zdał sobie sprawę dopiero wtedy, gdy zdecydowała się poślubić Dominika Verniusa. – Zmarszczył brwi. – Czyżbyś robiła jakąś aluzję? Oczekujesz jakichś dowodów mego uczucia do ciebie? O co ci chodzi?

– Pytam jako żona, a ty odpowiedz mi jako mąż. – Jej postawa była pełna wyczekiwania. – Chcę, aby obok twojego tronu, Szaddamie, stanął tutaj także mój, tak jak w przypadku ulubionej małżonki twego ojca.

Szaddam, aby zebrać myśli, wypił następny łyk kawy. Jeszcze jeden tron? Szpiegzy z szeregów sardaukarów bez przerwy obserwowali Anirulę, nie natrafili jednak na najmniejszy ślad czegoś podejrzanego i zapewne nigdy nie trafią. Bene Gesserit zawsze stanowiły nie lada orzech do

zgryzienia dla agentów.

Rozważał różne opcje. Przypomnienie Landsraadowi, że u swego boku ma jedną z Bene Gesserit, może nie być takie złe, zwłaszcza iż może sugerować, że zakon maczał palce w rajdzie na Zanovarze, a przynajmniej w wojnie z nielegalnymi składami melanżu.

– Rozważę to – oznajmił z namaszczeniem.

Tymczasem Anirula pstryknęła palcami i natychmiast w łukowatym wejściu pojawiły się dwie siostry dyrygujące czterema mężczyznami, którzy taszczyli tron. Widocznie ciężki, był jednak mniejszy od cesarskiego, a zrobiony z tego samego niebiesko-zielonego kwarcu z Hagalu.

– Zaraz! – Szaddam zerwał się na równe nogi, rozlewając kawę na karmin szaty. – Anirulo! Mam zaraz ważne wystąpienie!

– Wiem i dlatego właśnie chcę znaleźć się u twego boku. Ustawianie potrwa tylko chwilę.

W drzwiach pojawiła się kolejna para mężczyzn gotowych do usług. Szaddam spojrzął na plamy i z wściekłością cisnął za siebie filiżankę, która z brzękiem rozłukła się o podłogę. Może to i dobrze, że będzie miał kogoś obok siebie, wygłaszając oświadczenie, które wzbudzi z pewnością wiele niepokoju, ale że też Anirula znowu postawiła na swoim!

Zadyszani posługacze ustawili tron u stóp podium i szykowali się, aby wnieść go po schodach.

– Nie na najwyższy poziom! – zaprotestował Szaddam. – Tron mojej małżonki ma stanąć stopień niżej, po mojej lewej stronie.

Nie ma mowy, żeby dostawała wszystko, co tylko sobie zamarzy. Spojrzała na niego z uśmiechem, który wydał mu się obraźliwy.

– Oczywiście, mój mężu. – Dokładnie nadzorowała ustawienie tronu, aż wreszcie z satysfakcją kiwnęła głową. – Yvette była z Hagalu, więc nie miała trudności z pozyskaniem tronu podobnego do męzowskiego.

– Nie czas teraz na historie rodzinne – prychnął ze złością Szaddam i kazał przynieść sobie nową szatę tronową. Służba bezszelestnie zbierała resztki filiżanki.

Anirula zebrała suknię i usadowiła się na tronie niczym indyczka na gnieździe.

– Teraz jesteśmy już chyba gotowi do rozpoczęcia audiencji.

Uśmiechnęła się promiennie do Szaddama, ale ten tylko burczał coś pod nosem, naciągając na siebie tym razem błękitną szatę. Dał wreszcie znak Ridondo.

– Niech wejdą!

Szambelan kazał otworzyć na oścież wierzeje ze złotych płyt, których zawiasy były tak potężne, że mogłyby z powodzeniem posłużyć w lukach towarowych liniowców Gildii. Szaddam patrzył wprost przed siebie, ignorując Anirulę.

Do środka zaczęli tłumnie napływać strojni przedstawiciele najznakomitszych rodów w Cesarstwie, a także kilku Rodów Niskich, które posiadały wielkie zapasy melanżu. Kiedy sadowili się w stallach o purpurowych obiciach, liczne zaintrygowane spojrzenia biegły do Aniruli.

Szaddam odezwał się, nie powstając z tronu.

– Patrzcie i ucztujcie się.

Kiedy uniósł skrzącą się od pierścieni dłoń, okienka z pancernego plazu w suficie zaciemniły się, przygasły jarzyce, a przed tronem ukazały się holoobrazy, których nawet Anirula wcześniej nie widziała.

– To wszystko, co pozostało z miast Zanovaru – powiedział złowieszczym głosem Szaddam.

Ukazało się spopieliałe pobojuwisko utrwalone przez automatyczne kamery zwiadowcze sardaukarów. Przerażona widownia zamarła na widok stopionych konstrukcji, brył, które niegdyś były drzewami, pojazdami i ludźmi, kraterów, które kiedyś były jeziorami. Wszędzie widać było

kłęby pary i tłące się ognie. Poskręcane szkielety budowli niczym udreżone palce sterczały w zaciągnięte chmurami niebo.

Na specjalne polecenie Szaddama Zum Garon zrobił też dokładną dokumentację tego, co zostało na miejscu rezydencji Tyrosa Reffy. „Przynajmniej ten kłopot mam z głowy” – pomyślał.

– Działając zgodnie z prawem, które chociaż obowiązuje od dawna, uparcie było łamane, skonfiskowaliśmy wielki nielegalny magazyn melanzu. Ród Taligarich jest winny przestępstwa wobec Cesarstwa, dlatego też jego lenna posiadłość, Zanovar, zapłaciła najwyższą cenę.

Szaddam odczekał, aż słowa te dokładnie zapadną w pamięć słuchającym, na których twarzach widać było popłoch i przerażenie.

Pełen niejasności zakaz gromadzenia zapasów melanzu liczył sobie kilka tysięcy lat. Zrazu dotyczył tylko posiadaczy lenna Arrakis, co miało zapobiec graniu na zwyżkę cen przyprawy i unikaniu podatków należnych Cesarzowi. Potem stopniowo rozszerzany był, gdy okazywało się, że kolejne rody wchodzą różnymi sposobami w posiadanie melanzu i wykorzystują go w jawnych i podjazdowych walkach z innymi rodami. Po całych stuleciach kłótni i sporów wszystkie Rody Wysokie i Niskie zgodziły się, że transakcje przyprawowe będą się odbywać wyłącznie za pośrednictwem wszechświatowego konglomeratu ZNAH. W Kodeksie Cesarskim znalazł się zapis określający dokładnie, kto ile przyprawy może posiadać.

Obrazy przesuwają się nadal, tymczasem u stóp tronu rozbłysła jedna mocna jarzyca, a Cesarski Orędownik obwieścił:

– Niechaj wszystkim będzie wiadomo, że Cesarz Padyszach Szaddam IV Korrino nie będzie już więcej tolerował nielegalnego gromadzenia przyprawy i nie cofnie się przed najsurowszymi karami w obronie postanowień Kodeksu Cesarskiego. Każdy ród, czy to Wysoki, czy Niski, ma obowiązek poddać się kontroli przeprowadzanej okresowo przez kontrolerów ZNAH-u, który będzie współpracował z Gildią Kosmiczną. Zapasy, które nie zostaną ujawnione i dobrowolnie zwrócone władcy Cesarstwa, będą bezlitośnie konfiskowane, a winni poddani zostaną najsurowszym karom, czego namacalnym przykładem niech będzie Zanovar. Odtąd nikt nie może twierdzić, że nie został ostrzeżony.

Szaddam potoczył po pogrążonej w półmroku sali lodowatym wzrokiem. Z satysfakcją dostrzegał panikę na licznych twarzach. Iluż z tych arogantów pogna teraz czym prędzej do swych siedzib, aby zastanowić się nad jego następnym posunięciem.

„Niech się trzęsą ze strachu”.

Straszliwe obrazy nadal migotały w powietrzu, Anirula zaś uważnie wpatrywała się w swego męża, czego w tej sytuacji nie musiała ukrywać, gdyż patrzyli na niego wszyscy. Już kilka dni temu zauważyła, że jest dziwnie spięty. Widać było, że myśli o czymś innym niż dworskie rozrywki. Coś się w nim zmieniło.

Anirula przyglądała mu się od lat, cierpliwie gromadząc i interpretując najdrobniejsze informacje. Wiele lat temu z rozmowy między Szaddamem a hrabią Fenringiem dowiedziała się o jakimś Projekcie Amal, nie udało się jej jednak ustalić, czego dotyczył. Wtedy na jej widok natychmiast umilkli, wiele jednak powiedział jej wygląd ich twarzy. Zarówno w tej sprawie, jak i wielu innych milczała, choć oczy miała szeroko otwarte.

Na koniec wszystkie jarzyce zapaliły się pełnym blaskiem, za tronem zapłonęły też pochodnie jonowe, a miejsce zdjęć z katastrofy Zanovaru zajęły wcześniejsze obrazy planety: pięknej i spokojnej. Subtelność na pewno nie należała do charakterystycznych cech Szaddama.

W ciszy wywołanej przez straszliwy kontrast jeszcze głośniejsze zabrzmiał stukot buciorów sardaukarów, których dwa oddziały ustawiły się pod przeciwległymi ścianami sali.

Cesarz uważnie wpatrywał się w zebranych, z wyrazu ich twarzy usiłując dociec, kto najbardziej lęka się ujawnienia swoich zapasów. Odtąd Landsraad żyć będzie w strachu przed nim. Z całą pewnością bardzo skomplikował tajemny plan Aniruli, na czymkolwiek mógł on polegać. Taką przynajmniej miał nadzieję, a zresztą... Cóż to miało za znaczenie.

Nawet bez poparcia Bene Gesserit i tak niedługo będzie miał swój amal. Wtedy z nikim już nie będzie się liczył.

Krew gęstsza jest od wody, ale polityka jest gęstsza nawet od krwi.

Elrood IX, Pamiętniki władcy Cesarstwa

Bajeczną Artyzję, stolicę Taligarich, ogarnęły strach, gniew i oburzenie. Uwielbiany docent Glax Othn, który tradycyjnie reprezentował Taligarich w sprawach dyplomatycznych, zginął w zgliszczach Zanovaru. Tyros Reffa wiedział o tym – jak wszyscy widział straszliwe obrazy.

Ród Taligarich był głęboko zszokowany. Urzędnicy rządowi usiłowali uzgodnić, jaka powinna być właściwa odpowiedź. Całkowicie zniszczonych zostało pięć głównych miast Zanovaru wraz z otaczającymi je rezydencjami. Amfiteatralny budynek Senatu wypełniały zawodzenia, pytania i deklaracje zemsty.

Niezauważony przez nikogo Reffa stał blisko szczytu, odziany w ubranie niezmiennie od trzech dni, to znaczy od chwili, gdy dowiedział się o tragedii. Jego stary nauczyciel zasadnie się lękał, chociaż wtedy Reffa nie potraktował jego podejrzeń poważnie. Jakkolwiek miał jeszcze jakieś zasoby, utracił wszystko, co posiadał na Zanovarze: rezydencję, ogrody, służbę. I ukochanego mentora...

W Senacie zgromadzili się przedstawiciele pozostałych ośmiu planet należących do rodu Taligarich. Wszyscy byli wzburzeni, pełni nienawiści, gniewu, ale także rozpacz i strachu.

Oczy zebranych spoczęły na senatorze-seniorze, który wstępował właśnie na podium, mając po bokach reprezentantów dwóch największych z domen Taligarich.

Z racji zagadki swego pochodzenia, Reffa konsekwentnie unikał wikłania się w politykę, dobrze jednak wiedział, że dzisiaj nie zapadnie żadna istotna decyzja. Po ciągu pytań, wątpliwości, wyjaśnień i zarzutów dojdzie do formalnej skargi, którą Szaddam Korrino w ogóle się nie przejmie.

Senator-senior miał szeroką twarz i wydatne usta.

– Straciliśmy Zanovar – przemówił posępnym głosem, któremu system głośników nadawał dudnienie gromu, sam zaś mówca słowa swe wspomagał wyrazistą gestykulacją. – W efekcie tego podstępnego i podłego ataku każdy z nas tu obecnych utracił krewnych i przyjaciół.

Do politycznych zwyczajów Taligarich należało to, że podczas publicznych zgromadzeń zebrani natychmiast stawiali pytania i mogli liczyć na bezpośrednią odpowiedź, teraz więc ze wszystkich stron posypały się głosy.

Czy nastąpi militarna odpowiedź? Jakie szanse mają wojska Taligarich w walce z sardaukarami, o których mówi się, że mogą unicestwić całe światy? Czy inne planety także są zagrożone?

– Jak mogło dojść do czegoś takiego? – krzyczał jeden z mężczyzn. – Jak nasz Cesarz mógł się posunąć do tak bezprzykładnego okrucieństwa?

Reffa czuł, że słowa zasychają mu w gardle. „To z mojego powodu. To mnie chcieli zabić, a

Szaddam usiłuje to zamaskować w bezmiarze nikczemności”.

Senator uniósł dłoń z cylindrem.

– Cesarz Szaddam IV oskarża nas o przestępstwa wobec Cesarstwa, za co karę, jak twierdzi, poniósł Zanovar. Stał się naszym oskarżycielem, sędzią i katem. Powiada, że to konsekwencja gromadzonych przez nas nielegalnie zasobów melanżu.

Informację tę powitano okrzykami gniewu i niewiary. Przyprawę gromadziły wszystkie rody Landsraadu, podobnie jak wszystkie posiadały broń atomową, której użycie było zakazane, a posiadanie – prawnie akceptowane.

Powstał inny z senatorów i oznajmił:

– Moim zdaniem Szaddam poprzez nasz przykład chciał ostrzec całe Cesarstwo.

– Ale dlaczego musiały zginąć moje dzieci, które nie miały nic wspólnego z tymi magazynami? – krzyknęła rozpaczliwie wysoka, smukła kobieta.

„Twoje dzieci zginęły – odrzekł jej w duchu Reffa – gdyż Cesarz nie mógł znieść faktu, że ja żyję. Ponieważ uznał, że mu zagrażam, nie cofnął się przed wymordowaniem niewinnych milionów. A i tak nie osiągnął swojego celu”.

Z głośników znowu zahuczał głos senatora-seniora:

– Przed kilkoma wiekami przodek obecnego Cesarza, Hyek II Korrino, oddał rodowi Taligarich w posiadanie dziewięć planet, pośród nich Zanovar. Zachowały się świadectwa, że Elrood IX odwiedził park rozrywki i żartował z zapachu melanżu roztaczającego się wokół makiety piaskala. A zatem nasze zapasy nie były żadną tajemnicą.

Nadal sypały się pytania, na które usiłowano bezzwłocznie odpowiadać. Dlaczego więc właśnie teraz nastąpiła zbrojna interwencja? Dlaczego bez żadnego ostrzeżenia? Co robić teraz?

Reffa przysłuchiwał się temu wszystkiemu ze swego miejsca w milczeniu. Zjawił się w Artyzji, aby obejrzeć operę, Zanovar zaś opuścił z powodu niejasnych przeczuć docenta. Nie wierzył ani jednemu słowu z cesarskiego listu. Nauczyciel wielokrotnie mu powtarzał: „Jeśli określone racje kłócą się z twoim sumieniem czy zasadami logiki, szukaj głębszych motywów”.

Widział bezzałogowe pojazdy rozpoznawcze przemykające nad miejscami zniszczenia, wiedział, że jego rezydencja stała się jednym z pierwszych celów ataku. Czy jego nauczyciel widział nadciągającą nawałę ognia? Na samą tę myśl czuł takie pieczenie w żołądku, jakby wypełniały go gorące węgle.

Nikt nie zwracał na niego uwagi, po prostu jeden człowiek w wielkim tłumie. Przed oczami miał złowrogie pustkowia, które pozostało po jego domu. „Szaddam z pewnością uważa, że mu się powiodło. Jest pewien, że nie żyję”.

Reffa stał nieruchomo, raz tylko podniósł rękę do twarzy, aby otrzeć łzę. Nie czekając na koniec burzliwego posiedzenia, wymknął się, zszedł po marmurowych schodach i wtopił w anonimowy tłum na ulicach.

Miał do dyspozycji wcale nie tak mało pieniędzy i całkowitą swobodę poczynać. Cesarz uważał go za zmarłego, on zaś nie miał już nic do stracenia.

„Jestem niczym skorpion przyczajony pod skałą. Niech teraz mój przyrodni brat uważa na moje żądło”.

Czy to z własnego rozmysłu, czy z powodu jakiegoś defektu ewolucyjnego, Tleilaxanie nie mają żadnych godnych szacunku właściwości. Obrzydliwy jest już sam ich wygląd. Na dodatek cechują

się podstępnością, co być może wpisane jest w ich kod genetyczny. Wydzielają obrzydliwy zapach, niczym psująca się żywność. Moje oceny nie są może do końca obiektywne, jako że musiałem się z nimi stykać bezpośrednio, jeden fakt nie ulega jednakże wątpliwości: są niezwykle niebezpieczni.

Thufir Hawat, dowódca służby bezpieczeństwa Atrydów

We wnętrzu kapsuły transportowej pędzącej w kierunku pawilonu laboratoryjnego Hidar Fen Ajidica włożył sobie do ust kolejną pastylkę i zaczął ją żuć. Miała obrzydliwy zapach i wstrętny smak, ale musiał sobie jakoś radzić z klaustrofobią. Skrzywił się i z utęsknieniem wspomniawszy jasne światło Thalimy, które służyło na święte miasto Bandalong.

Niech no tylko się stąd wreszcie wyrwie, a znajdzie sobie miejsce, gdzie otaczać go będą tłumy wiernych poddanych, gorliwie słuchających tego, co zostało mu objawione. Jego naród zboczył ze świętej drogi, ale on pomoże mu na nią wrócić. „To ja jestem prawdziwym Pośłańcem Bożym”.

Po drodze kapsuła minęła ścianę z oknami ze zbrojonego plazu, za którymi mignęły obronne instalacje sardaukarów. Ich zadaniem było nie dopuścić tutaj żadnych wścibskich oczu, które mogłyby przeszkodzić Ajidicy w pracy.

Wreszcie kapsuła znieruchomiała, Ajidica wysiadł i skrzypiącą windą zjechał na główny poziom. Po wieloletnich czystkach coraz trudniej było znaleźć na miejscu wykwalifikowanych robotników, chociażby do konserwacji urządzeń. Dlatego sam Mistrz Badań preferował prostsze układy, gdzie mniej było części mogących się zepsuć.

Drzwi windy otworzyły się, a do wnętrza wtoczył się niezgrabnie mechaniczny manekin, w który niedbale wpasowano szczątki mężczyzny. Owi Bi-Ixianie byli własnym wymysłem Ajidicy, który znalazł nowy, bardziej praktyczny sposób na wykorzystanie zwłok zabijanych sabotażystów. Oszczędność i wydajność: oto słowa ważne dla każdego Bene Tleilax.

Te straszliwe manekiny miały, jak dawniej, stanowić przestrożę przed buntowniczymi myślami, a teraz służyły zarazem praktycznym celom, gdyż wykorzystywano je do sprzątanania oraz usuwania toksycznych odpadów i chemikaliów. Nazbyt często na razie zawodziły, ale Ajidica nieustannie coś w nich poprawiał i ulepszał.

Minął wejście, w którym bioskaner zidentyfikował go na podstawie struktury komórkowej, i wszedł do pomieszczenia wielkości hangaru, gdzie znajdowały się nowe zbiorniki aksolotlowe.

Asystenci w białych kitlach pochylali się nad stołami zastawionymi instrumentami. Spojrzeli na niego nerwowo i z jeszcze większą zaciekłością wrócili do pracy. W powietrzu unosił się zapach metalu, chemikaliów i środków dezynfekujących, ale nad wszystkim górowała cynamonowa woń melanzu.

Amal.

W przypominających trumny pojemnikach spoczywały płodne ciała kobiet, których wyższe funkcje mózgowo zniszczono, a reakcje zmysłowe zablokowano. Zbiorniki aksolotlowe. Po prostu pulsujące łona. Fabryki biologiczne o wiele bardziej wydajne od jakiejkolwiek maszyny zbudowanej kiedykolwiek przez człowieka.

Nawet na swojej ojczystej planecie Tleilaxanie w ten właśnie sposób wytwarzali ghole i Tancerzy Oblicza. Nikt nigdy nie widział ich kobiet, gdyż tych nie było. Kiedy osiągały wiek rozrodczy, stawały się zbiornikami aksolotlowymi, dzięki którym hodowano wybraną rasę.

Od samego początku okupacji porywali ixiańskie kobiety, których całe tysiące straciło życie tylko po to, aby Ajidica mógł przy wykorzystaniu ich funkcji biologicznych zabiegać o substancje możliwie najbardziej zbliżone do melanzu. Dzięki tajnemu językowi genetyki i mutacji, ciała te wydadzą z

siebie amal i jego najszlachetniejszą wersję: ajidamal, sekret nad sekretami Mistrza Badań.

Zmarszczył nos, nie znosił bowiem kobiecego zapachu. Każde ciało oplatały rurki i przewody, łączące je z układami zasilającymi i instrumentami pomiarowymi. Teraz w zbiornikach aksolotlowych nie widział już nic ludzkiego, nawet jeśli kiedyś były to kobiety.

Dwaj asystenci w centrum sali usunęli się posłusznie na bok, robiąc Ajidicy przejście do korpusu pojmanego szpiega Bene Gesserit, Miral Alechem. Schwytana podczas próby sabotażu, nawet pod wpływem najbardziej wyszukanych tortur nie chciała ujawnić żadnych informacji. Na szczęście jednak Mistrz Badań miał własne metody, by wydobyć z niej prawdę, zanim została zamieniona w zbiornik aksolotlowy, a i w tej funkcji okazała się znacznie przydatniejsza od którejkolwiek z ixiańskich branek.

Teraz jej skóra nabrała już pomarańczowego odcienia. Zasobnik przymocowany do jej szyi zawierał litr płynu świeżo właśnie przez nią zsyntetyzowanego. Substancja wprowadzona do organizmu tej Bene Gesserit i przetworzona – uzyskiwała nieosiągalną dotąd czystość. Ajidamal!

– Miral Alechem, mamy pewien problem. Co zrobić, aby i inne zbiorniki potrafiły dokonać tego, co ty?

Jej puste oczy leciutko drgnęły i Ajidicy wydało się, że dostrzega w nich błysk przerażenia i nienawiści. Ale nawet jeśli nie było to złudzenie, nie mogła zareagować, pozbawiona strun głosowych i wyższych struktur mózgowych. Dzięki technicznemu mistrzostwu Tleilaxan ciało to mogło trwać przez wieki, pozbawione także możliwości jakichkolwiek aktów samobójczych.

Kiedy niebawem wraz z wiernymi Tancerzami Oblicza będzie opuszczał Xuttuh, zabierze też ze sobą na bezpieczną planetę ten nieoceniony zbiornik aksolotlowy. Może spróbuje schwytać jeszcze kilka Bene Gesserit, aby się przekonać, czy ta znakomita wydolność Miral Alechem nie jest aby związana z zakonem. Na razie dysponował tylko nią i usiłował do granic możliwości wykorzystać jej sprawność produkcyjną.

Opróżnił zasobnik, aby zabrać ze sobą litr syntetycznej przyprawy. Od kilku dni przyjmował znaczne dawki ajidamalu i nie odkrywał żadnych szkodliwych skutków ubocznych: jedynie bardzo pozytywne doznania. Spróbuje jeszcze większych porcji. Znacznie większych.

Z przyspieszonym pulsem ruszył do gabinetu, starannie zamykając za sobą czujniki identyfikacyjne i szyfrowe blokady. Rzucił się na żywy fotel i poczekał, aż bezmózgie, usługujące zwierzę dostosuje się do jego ciała. Wreszcie odchylił z rozkoszą głowę i wlał do gardła ciepły, gęsty ajidamal, świeżo z ciała Alechem – niczym mleko od krowy. Nigdy jeszcze dotąd nie wziął naraz takiej dawki.

Nagle złapał go straszliwy atak kaszlu, a żołądek w potężnym skurczu usiłował wyrzucić z siebie wchłoniętą substancję. Rozlewając resztę zawartości butelki na podłogę, Ajidica spadł z żywego fotela i zwinął się wóół na podłódze. Jego twarz wykrzywił okropny grymas, mięśnie poraził skurcz. Z ust potoczyła się żółtawa ciecz i po pokoju rozszedł się zapach niestrawionego jada. Szybko działająca substancja zdążyła już jednak przeniknąć do organizmu.

Niczym grom zwała się na niego fala cierpienia i niosła go coraz wyżej, aż wreszcie skamlał o błogą nieświadomość. Czy ta przekłeta Bene Gesserit otruła go? Zawładnęła nim straszliwa żądza zemsty. Przy wszystkich umiejętnościach Tleilaxan na pewno i zbiornik aksolotlowy można poddać torturom.

Po czasie niczym wieczność ból zaczął słabnąć, chociaż być może znaczyło to tylko tyle, że wypaliły się włókna nerwowe. Nie potrafiłby powiedzieć, ile trwało, zanim znowu otworzył oczy. Leżał na podłódze gabinetu, wokół niego walały się rolki szigarutu, księgofilmy, porozbijane szkatułki z próbkami. Żywy fotel skulił się w kącie z poszarpaną sierścią i pogruchotanymi miękkimi kośćmi. W powietrzu unosił się ciężki zapach zółci, cuchnęło nią jego ciało i odzież. Przewrócony

chronometr informował, że upłynął cały dzień.

„Powiniennem być głodny i spragniony”. Zapach wymiocin sprawił jednak, że sama myśl o jedzeniu czy picciu wydała mu się wstrętą, żywa była jednak wściekłość, która zachowała go przy życiu. Długimi palcami wyszukał całą próbkę i umieścił w niej odrobinę grudkowatych wymiocin.

Pospiesznie ruszył do laboratorium, a sardaukarowie i personel badawczy rozstępowali się przed nim szybko, krzywiąc się, a nawet jawnie zatykając nosy. Pomaszerował wprost do stanowiska Miral Alechem z myślą że ciśnie jej w twarz swoje rzygowiny i zwymyśla ją najokropniejszymi słowami, chociaż ona i tak nie będzie wiedziała, co się stało. Puste oczy wpatrywały się w niego nieruchomo.

Znienacka, zupełnie jakby uniosły się jakieś grodzie, załala go nawałnica nieznanych zupełnie wrażeń i myśli. Mózg wypełnił się bezlikiem informacji.

Efekt uboczny przedawkowania? Nagle spojrzął na wszystkie zbiorniki aksolotlowe z zupełnie nowego punktu widzenia. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że może je podłączyć do stanowiska Alechem, a wtedy wszystkie będą wytwarzać drogocenną substancję. Z absolutną jasnością zobaczył, jak to zrobić i jakie ulepszenia są do tego konieczne.

Spojrzął na laborantów i techników zbitych w gromadkę pod ścianą coś do siebie szepczących. Niektórzy pod ciężarem jego wzroku chcieli się wymknąć, ale zatrzymał ich krzykiem.

– Do mnie! Natychmiast!

Wyraz jego przekrwionych oczu nie był z pewnością zachęcający, wszyscy jednak posłuchali. Z całkowitą wyrazistością rozpoznał, że tylko dwóch laborantów będzie nadawało się do wykonania zadania. Dlaczego przedtem tak klarownie nie dostrzegał tych różnic? Przed oczami stanęły mu najróżniejsze drobiazgi, na które przedtem ani myślał zwracać uwagę, a z których teraz każdy miał swe niewątpliwe znaczenie. „Zdumiewające!”

Ajidica miał wrażenie, jakby po raz pierwszy w życiu naprawdę otworzyły mu się oczy. Umysł był teraz w stanie wiernie rejestrować każde najdrobniejsze zdarzenie, każde słowo, każdy gest. Wszystkie informacje odkładały się w pamięci, jak gdyby był przed-Butleryjskim komputerem.

Umysł na bieżąco dokonywał też opracowania wszystkich danych zawartych w pamięci, nawet w jej najodleglejszych zakątkach. Pamiętał wszystko. Jak to się jednak stało?

Ajidamal!

W głowie zabrzmiała mu fraza z sufibuddoislamskiego kredo: „Nie potrzeba rozumienia, aby osiągnąć s'tori. S'tori istnieje bez słów, a nawet bez nazwy!” Zdarzenie rozegrało się w jednej chwili, w jednym błysku kosmicznego czasu.

Ajidica nie czuł już zapachu ani smaku własnej zółci, to bowiem rozgrywało się na płaszczyźnie fizycznej, on zaś osiągnął wyższy poziom świadomości. Wielka dawka syntetycznej przyprawy otworzyła wrota do nowych regionów umysłu.

W oślepiającej wizji dojrzał drogę, która z łaski Boga doprowadzi go do wieczystego zbawienia. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd był przekonany, że uda mu się poprowadzić Bene Tleilax do świętej chwały. A przynajmniej tych, którzy na to zasłużą. Wszyscy, którzy mu się przeciwstawiają będą musieli zginąć.

– Mistrzu Ajidica – posłyszał wylękniony głos – czy dobrze się czujecie, panie?

Otworzył oczy i zobaczył przestraszone spojrzenia asystentów. Tylko jeden znalazł w sobie dość śmiałości, aby przemówić. Dzięki niebywale wzmocnionej sile obserwacji Ajidica natychmiast wiedział, że to osoba, której może zaufać, która wiernie będzie mu służyć w nowej rzeczywistości.

Odłożył na bok próbkę ze swymi wymiocinami i powiedział:

– Nazywasz się Blin, jesteś trzecim operatorem przy zbiorniku pięćdziesiąt siedem, tak?

– Tak, Mistrzu. Czy wezwać pomoc lekarską?

– Naszym obowiązkiem jest służba Bogu – powiedział Ajidica.

– Wiem o tym od najmłodszych lat – odparł Blin i nisko skłonił głowę.

Wydawał się stropiony, ale język ciała informował Ajidicę, że asystent myśli tylko o tym, by zadowolić swego zwierzchnika. Odslaniając w uśmiechu spiczaste ząbki, Mistrz Badań rzekł:

– Od tej chwili zostajesz moim zastępcą we wszystkich sprawach badawczych i tylko mnie podlegasz.

W ciemnych oczach Blina błysnęło zdumienie, ale zaraz kornie się skłonił.

– Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby sprostać twoim wymaganiom, Mistrzu.

Któryś z asystentów bąknął coś niezadowolony i Ajidica chlusnął weń zawartością probówki.

– A teraz marsz do mojego gabinetu i jak najszybciej doprowadź go do porządku. Masz na to cztery godziny. Jeśli ci się nie uda, inauguracyjnym zadaniem Blina będzie uczynienie z ciebie pierwszego męskiego zbiornika aksolotlowego.

Przerażony asystent wybiegł z hali laboratoryjnej.

Ajidica uśmiechnął się do Miral Alechem, nieruchomej bryły nagiego ciała zamkniętego w podobnym do trumny pudle. Nawet przy użyciu nowo nabytych zdolności nie mógł stwierdzić jednoznacznie, czy owa podstępna Bene Gesserit gdzieś w głębinach swojej najniższej nieświadomości nie chciała go skrzywdzić. Tak czy siak, nic o tym nie wiedziała.

Ani to, ani nic innego nie miało zresztą znaczenia, Ajidica bowiem wiedział teraz, że Bóg spogląda na niego, a Jego obecność zapewni mu trzymanie się drogi Wielkiej Wiary, jedynej ścieżki, która nie jest bezdrożem. Jego przeznaczenie objawiło się.

Opłacił zażycie wielkiej dawki ajidamalu cierpieniem, ale ostatecznie okazało się to zbawienne.

Niemożliwe jest oddzielenie polityki od ekonomii melanżu. Przez całe dzieje Cesarstwa idą one ze sobą ręka w rękę.

**Szaddam IV Korrino,
Dzienniki najwcześniejsze**

Podniecony wartownik z siczy Czerwonego Muru kazał Liet-Kynesowi biec na stanowisko obserwacyjne ukryte w załomach grani. Mężczyzna błyskawicznie wspiał się urwistą ścieżką na pamięć znajdując chwyt i stopnie. Powietrze pachniało niczym spalony proch strzelniczy.

– Dostrzegłem jakiegoś człowieka na pustyni, pomimo upału dnia. – Wartownik był młodym chłopakiem z niewielkim podbródkiem i pełnym zapału uśmiechem. – Jest sam.

Zaintrygowany Liet pospieszył na stanowisko. Rozedrgane od upału powietrze wibrowało nad czerwono-czarnymi skałami, które niczym cytadela wydzwigały się z piachu.

– Wezwałem też Stilgara – dorzucił chłopak.

– Dobrze. Stil ma najlepszy wzrok z nas wszystkich. – Liet odruchowo wsunął zatyczki nosowe. Miał nowy destylozon, gdyż poprzedni był nie do użytku po bezceremonialnej „kontrolu” służb cesarskich.

Liet osłonił dłonią oczy przed blaskiem cytrynowożółtego nieba i popatrzył na spokojny ocean wydm. Dostrzegł małą plamkę, z tej odległości nie większą od owada.

– Ciekawe, że jeszcze nie dopadł go Szej-hulud. Samotny człowiek na pustyni jest skazany na śmierć.

– Może i jest to idiota, ale na razie żyje.

Były to słowa Stilgara, który potrafił poruszać się zupełnie bezszelestnie.

– Pomożemy mu czy go zabijemy? – Beznamiętnością tego pytania chłopak chciał się popisać przed obu słuchaczami. – Jego wody stałyby się własnością plemienia.

Stilgar wyciągnął kościstą dłoń, a obserwator bez słowa wręczył mu wielokrotnie naprawianą lornetkę, która należała niegdyś do planetologa Pardota Kynesa. Liet przypuszczał, że wędrowcem jest zabłąkany żołnierz Harkonnenów, wieśniak lub zwariowany turysta.

Stilgar wyregulował delikatne soczewki olejowe i zawołał ze zdziwieniem:

– Porusza się jak Wolanin. Krok chaotyczny, nierytmiczny. – Ustawił większe zbliżenie. – To Turok. Jest albo ranny, albo skrajnie wyczerpany.

Reakcja Lieta była natychmiastowa.

– Stilgarze, grupa ratunkowa. Uratujcie go, jeśli zdołacie. Wolę mieć jego opowieść niż wody jego ciała.

Destylozon Turoka był porwany, lewy bark i ramię – zranione, chociaż krew zdążyła już zakrzepnąć. Destylozon zresztą i tak nie mógłby funkcjonować, gdyż Turok utracił lewy but temag. Otrzymał natychmiast wodę, ale znalazł się o krok od śmierci. Kiedy leżał teraz na wznak na kamiennym stole, widać było jego poszarzałą skórę.

– Podróż za dnia! – odezwał się Liet. – Turoku, jak mogło ci przyjść do głowy coś równie głupiego?

– Nie miałem wyboru. – Łapczywie przyjął następny łyk wody podany przez Stilgara. Mała kropelka spłynęła na pokryty warstwą kurzu policzek, ale schwycił ją końcem palca i zlizął. – Destylozon był do niczego, a wiedziałem, że jestem niedaleko siczy. Po zmroku nikt by mnie nie zobaczył, więc musiałem liczyć na to, że mnie wypatrzycie.

– Będziesz żył – powiedział Stilgar – co pewnie jest złą wiadomością dla Harkonnenów, z których jeszcze kilku zabijesz.

– Moje życie nie ogranicza się do zabijania – wychrypiał Turok. Wargi miał spękane i zakrwawione, ale nie domagał się następnej porcji wody, dobrze bowiem wiedział, jak niebezpieczna jest jej obfitość dla wysuszonego organizmu. Z wysiłkiem opowiedział, co stało się z kombajnem. O tym, jak zgarniarka zatroszczyła się o ładunek melanzu, ale pojazd i jego załogę zostawiła na pastwę piaskala.

– Nigdzie nie zaksięgują tej przyprawy – rzekł Liet i pokręcił głową. – Szaddama tak pochłaniają dworskie rozrywki i intrygi, że nawet dziecko mogłoby go oszukać. Widziałem to na własne oczy.

– Na miejsce każdego magazynu, który opróżniamy, jak w siczy Hadis – odezwał się Stilgar – baron natychmiast tworzy nowy. Czy powinniśmy o tym donieść Fenringowi, czy może nawet samemu Cesarzowi?

– Nie, Stil, nie chcę mieć już nic wspólnego z Kaitain. – Liet przestał nawet sporządzać raporty, a regularnie wysyłał tylko kopie dokumentów przygotowanych jeszcze przez ojca. Szaddam i tak nie zauważy różnicy. – To problem nas, Wolan. I nie będziemy się oglądać na pomoc żadnego obcoświatowca.

– Miałem nadzieję, że tak odpowiesz – odparł Stilgar, a jego oczy błyszczały jak u drapieżnego ptaka.

Turok znowu otrzymał łyk wody. Pojawiła się Faroula z miseczką maści na oparzenia. Najpierw przemyła skórę Turoka, a potem delikatnie zaczęła w nią wcierać lekarstwo. Liet patrzył na nią z czułością i dumą. Nie było w siczy nikogo, kto lepiej zajmowałby się chorymi.

W spojrzeniu Farouli pochwycił niemą obietnicę. Zgodnie z wolańską tradycją, niezależnie od uczucia, jakie mogli do siebie żywić kobieta i mężczyzna, nie wolno go było manifestować poza prywatnymi komnatami. Publicznie kobiety i mężczyźni wiedli jakby oddzielne życie.

– Harkonnenowie stają się jeszcze bardziej agresywni, więc musimy się zjednoczyć – powiedział Liet. – Wolanie to wielki naród, tylko rozproszony przez wichry. Zwołaj odprawę dzygitów. Niech rozjadą się po wszystkich siczach, aby wezwać na naradę naibów i wszystkich dorosłych mężczyzn zdolnych do walki. A zwołuję to zgromadzenie w imieniu mego ojca, Ummy Kynesa. – Liet uniósł dłoń z zakrzywionymi palcami. – Wolanie nawet nie przeczuwają, jaką siłę stanowią zjednoczeni. Niczym pustynny jastrząb wbijemy szpony w tłuste plecy barona.

Baron Vladimir Harkonnen przechadzał się niecierpliwie w chłodnym porcie kosmicznym Kartagi, czekając na odlot na Giedi Primę. Nienawidził suchego klimatu Arrakis.

Na chwilę zatrzymał się przy poręczy, aby odetchnąć. Dzięki pasowi ociążaczowemu mógł – mimo straszliwej tuszy – udawać, że jest sprawny jak niegdyś.

Granice lądowiska wyznaczały światła. Dalej widać było zarysy składów paliwowych, dźwigów, barek ociążaczowych, hangarów – wszystko wzorowane na modelach zastosowanych w Harko.

Dzisiaj był w szczególnie parszywym nastroju. Musiał opóźnić wyjazd do domu o kilka dni, należało bowiem sformułować formalny protest przeciw żądaniu nadzwyczajnej inspekcji melanżu, z jakim wystąpiły ZNAH i Gildia. „Jeszcze jedna!” Kontrola odbyła się pięć miesięcy temu i zgodnie z normami na następną miała przyjść kolej dopiero za dziewiętnaście miesięcy. Specjaliści z Giedi Primy przysłali mu długą listę kruczków prawnych, które opóźnią poczynania inspekcyjne, ale baron miał złe przecucia. Cała ta kampania Cesarza przeciw nielegalnym zapasom melanżu nie wróżyła niczego dobrego.

Jako posiadacze lenna Arrakis, Harkonnenowie stanowili jedyny ród w Landsraadzie, który miał prawo do magazynowania przyprawy, ale tylko w ilości zapewniającej płynność dostaw przy pojawieniu się jakiegoś nadzwyczajnego zamówienia, przy czym wielkość tych zapasów musiała być ściśle podawana w regularnie przedstawianych Cesarzowi raportach. Każdy ładunek dostarczony na liniowiec opodatkowany był na rzecz rodu Korrinów.

Odbiorcy z kolei mogli posiadać melanż w ilości zaspokajającej bieżące potrzeby konsumpcyjne i techniczne. Od wielu stuleci nie było jednak sposobu na utrzymanie zamówień w tych granicach, co powodowało powolne gromadzenie się nadwyżek, niezgodnych z prawem, ale przez wszystkich milcząco akceptowanych. Jak dotąd.

– Piter! Długo jeszcze?!

Wypaczony mentat doglądał załadunku kontenerów i palet na fregatę. Wydawał się senny, baron wiedział jednak, że dokładnie śledzi każdy, najmniejszy nawet drobiazg, porównując go w pamięci z utrwaloną tam listą.

– Jakaś standardowa godzina, mój baronie. Musimy dużo przewieźć na Giedi Primę, a miejscowi są strasznie wolni. Żeby reszta bardziej się przyłożyła, mogę jednego dla przykładu poddać szybkim torturom.

Baron przez chwilę się zastanawiał, a potem pokręcił głową.

– Na razie i tak nie ma jeszcze liniowca. Poczekam we fregacie. I żebym wreszcie jak najprędzej oderwał się chociażby na chwilę od tej przeklętej planety.

– Tak jest, baronie. Czy przygotować coś na odświeżenie? Odpoczynek dobrze ci robi.

– Nie potrzebuję żadnego odpoczynku! – warknął baron odrobinę gwałtowniej, niż zamierzał, ale drażniło go wszystko, co zdawało się aluzją do jego obecnego, godnego pożałowania stanu.

Stanu, który zawdzięczał zniechęceniu Bene Gesserit. Miał kiedyś wspaniałe, sprawne ciało, a teraz – za sprawą tej przeklętej Mohiam o końskiej twarzy – rozlazłe, obwisłe cielsko, w którym po dawnemu pracował tylko umysł i popęd erotyczny.

Choroba stanowiła pilnie ukrywaną tajemnicę. Gdyby Szaddam nabrał kiedykolwiek podejrzeń, że baron porażony jest dolegliwością która mogłaby zagrozić właściwemu funkcjonowaniu Arrakis, odebrałby lenno Harkonnenom i przekazał je jakiemuś innemu rodowi. Dlatego też baron robił wszystko, aby jego otyłość uważano za konsekwencję łakomstwa i hedonistycznego stylu życia, które zresztą absolutnie nie były mu obce.

Jednym z małych świadectw miała być wielka uczta, jaką chciał wyprawić w twierdzy na Harko, podczas której będzie zachęcał gości do wszelkiego nieumiarkowania, którego sam zresztą dał namacalne przykłady.

Lekarze twierdzili, że suchy klimat pustynny jest dla niego korzystniejszy, serdecznie jednak nienawidził Arrakis pomimo jego znaczenia związanego z melanzem. Wracał na Giedi Primę tak często, jak tylko to było możliwe, niekiedy jedynie po to, by naprawić szkody, jakie podczas jego nieobecności wyrządził ograniczony bratanek, „Bestia” Rabban.

Robotnicy dokonywali załadunku pod czujnym okiem strażników, a Piter de Vries poprowadził go przez ciepłe lądowisko ku zastygłej przy rampie fregacie. Na jej pokładzie przygotował dla siebie szklaneczkę soku safo, a dla swego zwierzchnika karafkę drogiej brandy kirana. Baron opadł na miękką sofę dostosowaną do jego gabarytów i zagłębił się w najnowszych informacjach dostarczonych przez kapitana.

Czytał ze zmarszczonymi brwiami i z rosnącym niezadowoleniem. Dopiero teraz dowiadywał się o oburzającym ataku Atrydów na Beakkalu oraz o zaskakująco pochlebnej reakcji Landsraadu. Ci durnie nie tylko sympatyzowali z Letem, ale zaczęli nawet jawnie go popierać. A teraz Cesarz i Zanoar! Robiło się gorąco.

– Niespokojne czasy, baronie. Musimy także pamiętać o Grumman i Ekazie.

– Ten przeklęty Atryda – powiedział baron i uniósł dłoń, w której trzymał wiadomości – za nic ma prawo i porządek. Gdybym to ja wysłał kiedykolwiek swoje oddziały przeciw innemu rodowi, sardaukarowie Szaddama rzuciliby mi się do gardła. Tymczasem Atrydzie ujdzie to płazem.

– Z formalnego punktu widzenia, mój baronie, książę Leto nie pogwałcił żadnych praw. – De Vries przerwał na chwilę, aby dokonać mentackiej projekcji. – Cieszy się sympatią wśród innych rodów, które milcząco go wspierają. Nie można nie doceniać popularności Atrydów, która jakby rosła z każdym rokiem. W oczach licznych rodów uchodzi za bohatera.

Baron łyknął brandy i prychnął pogardliwie.

– I żeby było jeszcze wiadomo, dlaczego!

Nadstawił ucha i z zadowoleniem wychwycił pomruk silników startowych. Fregata wzbiła się w nocne niebo.

– Zastanów się chwilę, mój baronie. – De Vries rzadko pozwalał sobie na tak poufale ton. – Śmierć syna Leta okazała się dla nas bardzo krótkotrwałym zyskiem, teraz bowiem zaczyna być atutem w rękach Atrydów. Dzięki tej tragedii Leto zyskał sobie dodatkową sympatię i w efekcie może sobie pozwolić na poczynania, które w innym przypadku spowodowałyby powszechny protest. Beakkal jest tego znakomitym przykładem.

Baron wydał pogardliwie usta. Za oknami fregaty pojawiła się kosmiczna czern, upstrzona iskierkami gwiazd. Przez chwilę milczał, a potem zwrócił się do mentata.

– Ale za co go lubią Piterze? Dlaczego lubią jego, a nie mnie? Co niby takiego zrobił dla nich?

De Vries zmarszczył brwi.

– Popularność to cenna moneta, mój baronie. Leto Atryda jak może schlebia Landsraadowi, ty natomiast usiłujesz wdeptać przeciwnika w ziemię. Stosujesz kwas solny tam, gdzie on leje miód.

– Nigdy tak nie potrafiłem – zgodził się baron. Po chwili w ciemnych oczach błysnęła iskra, a pierś wypięła się w akcie determinacji. – Ale, do cholery, jeśli on to potrafi, potrafię także ja!

De Vries uśmiechnął się lekko.

– Pozwolę sobie zasugerować, byś wynajął jakiegoś nauczyciela etykiety i dobrego tonu, który by nad tobą popracował.

– Nie potrzebuję żadnego pajaca, który będzie mnie pouczał, jak mam trzymać widelec.

– Chodzi nie tylko o widelec, mój baronie – łagodnie tłumaczył de Vries. – To wiele umiejętności, albowiem etykieta, podobnie jak polityka, to subtelna tkanina o wielu nitkach, wśród których niełatwo się połapać osobie bez odpowiedniego treningu. Jesteś zwierzchnikiem Wysokiego Rodu, dlatego nie uchodzi, byś zachowywał się jak prostak.

Vladimir Harkonnen w milczeniu dopijał swą brandy, podczas gdy pilot wprowadzał fregatę do ładowni liniowca. Z niechęcią musiał przyznać mentatowi rację.

– A gdzie znajdziemy takiego... doradcę?

– Proponowałbym jakiegoś Chusukanina, znanego ze swojej dworności i manier. Robią balisety, piszą sonety i uważają się za bardzo kulturalnych i subtelnych.

– Dobrze, niech będzie. – W oczach barona pojawiła się iskierka rozbawienia. – Tym samym naukom będzie oddawał się też Rabban.

De Vries przygryzł wargi.

– Nie wiem, czy jakikolwiek mistrz potrafi odmienić twego bratanka, baronie.

– To prawdopodobne. Ale... nie zawadzi spróbować.

– Przygotuję wszystko w trakcie podróży na Giedi Prime.

I obaj sobie dolali: jeden safo, drugi brandy kirana.

Mentat gromadzi pytania tak, jak inni gromadzą odpowiedzi.

z nauk mentackich

Na wieść, że Gurney oraz Thufir powrócili z Ix, a prom właśnie transportuje ich z orbity liniowca na powierzchnię Kaladanu, Rhombur oznajmił, że powita ich w porcie kosmicznym. Z niecierpliwością ale i z lękiem czekał na nowe wiadomości.

– Nie obiecuj sobie zbyt wiele, książę – ostrzegał Duncan Idaho, towarzyszący Rhomburowi w zielono-czarnym mundurze Atrydów. – Niczego nie będą upiększać, powiedzą prawdę i tylko prawdę.

Rhombur spojrział z powagą na Duncana.

– Od lat nie miałem dokładnego raportu z Ix i z pewnością nic nie może być gorsze od wizji, które kreśli fantazja.

Poruszał się z wyraźną ostrożnością ale bez pomocy utrzymywał równowagę. Tessja wolała czas po ślubie spędzić nie w tradycyjnej formie miesiąca miodowego, lecz na ćwiczeniach, które miały Rhomburowi pomóc w swobodnym panowaniu nad mechanicznym ciałem. Doktor Yueh zachowywał się jak nadopiekuńczy ojciec: wydawało się, że bez chwili na sen czy wypoczynek nieustannie chce kontrolować parametry w znacznej mierze sztucznego organizmu, aż któregoś dnia Rhombur musiał

go stanowczo wyprosić ze swych prywatnych pomieszczeń.

Teraz, czerpiąc pewność siebie w jakiejś mierze z ufności, jaką pokładała w nim Tessja, książę starał się nie zauważać zdumienia czy współczucia w oczach innych. Starał się odnosić do nich jak najnaturalniej, a jego pogoda ducha wprawiała ich w zawstydzenie.

Stali obydwoj na zewnątrz portu kosmicznego w Kala i wpatrywali się w malutki niczym paznokiec ognisty ślad za obniżającym się promem. Zaczęło mżyć. I Rhombur, i Duncan z radością zaczerpnęli wilgotnego powietrza i poczuli na skórze jego dotyk.

Prom Gildii osiadł na lądowisku i zatrzymał się przed wejściem do portu. Ludzie zaczęli cisnąć się, aby powitać przyjezdnych.

W przybyłej gromadzie pojawili się Gurney Halleck i Thufir Hawat, ubrani jak podróżujący na los szczęścia kupcy, których miliony uwijały się po całym Cesarstwie. Chociaż byli tak niepozorni – a może właśnie dlatego – udało im się zmylić wszystkie zabezpieczenia Tleilaxan i na własne oczy zobaczyć, co się dzieje na Ix. Rhombur pospiesznie ruszył na ich spotkanie. Stracił wprawdzie w ten sposób płynność ruchów, ale zupełnie się tym nie przejmował.

– Jakie macie informacje, Gurneyu? – spytał w języku walki Atrydów. – Coście zobaczyli, Thufirze?

Gurney, który wszak niejedno już widział w kazamatach Harkonnenów, robił wrażenie bardzo przygnębionego. Thufir poruszał się sztywno, jak nie przymierzając Rhombur. Odetchnął głęboko i przemówił, staranie dobierając słowa.

– Widzieliśmy bardzo wiele, książę panie. Może aż zbyt wiele, gdyż jako mentat niczego nie będę mógł zapomnieć.

Książę Leto Atryda zwołał naradę wojenną w jednej z wież zamkowych. Niegdyś był to prywatny salonik jego matki, lady Heleny, ale od czasu jej wygnania na Kontynent Wschodni nikt z tego pomieszczenia nie korzystał. Do dziś.

Służący odkurzyli salę i napalili w kamiennym kominku. Rhombur nie chciał usiąść i niecierpliwie czekał na rozpoczęcie narady.

W pierwszym odruchu Leto zasiadł w fotelu, gdzie matka niegdyś godzinami ślęczała nad Biblią Protestancko-Katolicką, ale po chwili odstawił fotel i wziął wysokie, drewniane krzesło.

Thufir Hawat zwięźle opowiedział, co zobaczyli na Ix. Rzeczową narrację mentata co i raz przerywał jego towarzysz, emocjonalnymi komentarzami dając wyraz swemu obrzydzeniu i oburzeniu.

– Ze smutkiem muszę poinformować wasze książęce moście – ciągnął Thufir – że przeceniliśmy siły i dokonania C'taira Pilru i jego domniemanych współpracowników. Trudno mówić o zorganizowanym ruchu oporu, zdarzają się pojedyncze akty sabotażu. Mieszkańcy Ix są załamani. Wszędzie widać szpiegów Tleilaxan i sardaukarów, których na Ix stacjonują dwa legiony.

– Wysyłają też Tancerzy Oblicza, żeby jako Ixianie przenikali między spiskowców – dodał Gurney. – Kilkanaście konspiracyjnych grup wybito do nogi.

– Można wyczuć powszechne niezadowolenie, ale nie można mówić o zorganizowanym ruchu oporu. Zarazem jednak mam wrażenie, że gdyby pojawił się odpowiedni katalizator, ludność powstałaby i obaliła Tleilaxan – uzupełnił Hawat.

– I znajdzie się taki katalizator – powiedział stanowczo Rhombur. – Ja.

Duncan poruszył się niespokojnie w fotelu.

– Są poważne trudności. Przeciwnik się okopał. Chociaż po wszystkich tych latach nie będzie się spodziewał ataku, to jednak pokonanie go nawet przy użyciu wszystkich sił Atrydów byłoby mało

prawdopodobne, szczególnie jeśli pamiętać o sardaukarach.

– Na jakiej jednak zasadzie znajduje się tam armia cesarska? – spytał Gurney. – Przecież, o ile wiem, Landsraad nie zatwierdzał tego.

Leto pokręcił głową i powiedział, marszcząc brwi:

– Cesarz stanowi własne reguły. Jak na Zanovarze.

– Racje moralne są po naszej stronie – rzekł Rhombur. – Tak jak na Beakkalu.

Księżę, tak długo zwlekający z odwetem, pałał chęcią działania. Po części za sprawą Tessji, po części za sprawą wewnętrznej przemiany stał się zupełnie innym człowiekiem. Równymi, sztywnymi krokami przemierzył pokój, jak gdyby chciał w ten sposób rozładować nadmiar energii.

– Będę jeszcze earlem rodu Verniusów, tak jak mój ojciec.

Podniósł do góry zaciśniętą pięść. Mechaniczne motory i układy ogromnie zwiększyły jego siłę. Teraz w palcach potrafił skruszyć kamień. Popatrzył na zatopionego w myślach Leta.

– Przyglądam się, jaką miłością szacunkiem i lojalnością darzą cię twoi poddani. Tessja pomogła mi zrozumieć, że przez wszystkie te lata chciałem odzyskać Ix dla złych racji. Niewiele wkładałem w to serca, gdyż nie dostrzegałem tego, co najważniejsze. Nieustannie biadoliłem nad swoją stratą. Nienawidziłem Tleilaxan za krzywdę wyrządzoną mnie i mojej rodzinie. Co jednak z mieszkańcami Ix? Co chociażby z biednymi, otumanionymi suboidami, którzy dali się zwieść obietnicą lepszego życia?

– No to mają teraz lepsze życie! – prychnął Gurney. – Kiedy pasterzem jest wilk, stado zamienia się w magazyn mięsa.

Rhombur stał tuż koło kominka, nie czuł jednak gorąca.

– Chcę odzyskać tron nie dla siebie, lecz dla mego ludu. Jeśli zostanę earlem, to po to, by im służyć. Tylko po to.

Po twarzy Hawata przemknął uśmiech.

– Wiele się nauczyłeś, księżę panie.

– Ale zastosowanie tych nauk w praktyce to inna rzecz – powiedział Duncan. – Musimy mieć jakąś przewagę, jakiś atut, na przykład zaskakującą broń, inaczej bowiem nasze oddziały znajdą się w wielkim niebezpieczeństwie. Pamiętajcie, kogo będziemy mieć przeciw sobie.

Leto tymczasem myślał o tym, że cokolwiek Rhombur zwojuje na Ix, ród Verniusów i tak na nim wymrze. A tymczasem Jessika była brzemienna. Niebawem urodzi dziecko, miał nadzieję, że syna, chociaż nic na ten temat nie chciała powiedzieć. Poczul ukłucie w sercu, gdyż już niedługo miała oddalić się na Kaitain...

Gdy na początku z takim ociąganiem myślał o Jessice jako swojej towarzyszce, nigdy by nie przypuszczał, jaką rolę zacznie odgrywać w jego życiu. Bene Gesserit właściwie zmusiły go, aby zabrał ją do Zamku Kaladan. Oburzony ich machinacjami poprzysiągł, że nigdy nie zostanie jego kochanką... a jednak ostatecznie postąpił według zaleceń zakonu. Przekupiły go informacjami o spisku Harkonnenów, o nowego rodzaju pojeździe...

Leto wyprostował się nagle, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Poczekajcie! – Wszyscy ucichli, on zaś jeszcze przez chwilę porządkował myśli i słysząc było tylko trzask płomieni na kominku. – Thufirze, pamiętasz, jak Bene Gesserit zaproponowały układ, którego częścią była akceptacja przeze mnie Jessiki?

Hawat usiłował odgadnąć tok rozumowania księcia, a potem wysoko uniósł brwi.

– Przekazały nam informacje. Zupełnie nowy model statku, nieznaną technologią, która czyniła go niewidzialnym nawet dla skanerów.

Leto uderzył pięścią w stół.

– Jego prototyp Harkonnenowie rozbili na Wallach IX. Siostry są w posiadaniu tej maszyny. Może udałoby się je jakoś przekonać, żebyśmy ją udostępniły?

Duncan zerwał się na równe nogi.

– Mając taki niewidzialny statek, moglibyśmy wszystkie nasze siły przerzucić na Ix, zanim sardaukarowie zorientowaliby się, że grozi im atak.

Leto wolno pokiwał głową.

– Do diaska, coś mi są w końcu winne! Thufirze, zwróć się oficjalnie do władz zakonu z poufną prośbą o współpracę. Nikt nie ma większego od nas prawa do tej informacji, gdyż to przeciwko nam użyto tego wynalazku. – Spojrzał spod oka na Rhombura. – A wtedy, możesz mi wierzyć, nie będziemy czekać ani chwili z przygotowaniem ataku na Ix.

Im mniejsza wiedza, tym dłuższe wyjaśnienia.

z Księgi Azhar Bene Gesserit (apokryf)

Matka Przełożona Harishka nie potrzebowała zwykle porady innych sióstr, gdyż miała do dyspozycji kolektywną pamięć sięgającą aż w pradawne mroki przeszłości, ale owe informacje z dawnych czasów nie zawsze były przydatne w dzisiejszym Cesarstwie.

Stała w swoim gładko otynkowanym gabinecie konferencyjnym. Najbardziej zaufane doradczynie, doskonale wyszkolone w dostrzeganiu najdrobniejszych subtelności i konsekwencji, przesuwaly się tylko z delikatnym szelestem szat. Zaskakująca prośba księcia Leta wymusiła niezbyt chętnie oczekiwane spotkanie.

Akolitki rozstawiały naczynia z sokami, herbatą i kawą przyprawową. Siostry w milczeniu popijały wybrane napoje. W przypadku tak poważnej sprawy trzeba było głębokiego namysłu.

Harishka usiadła na kamiennej ławie. Była chłodna i twarda, w niczym nie przypominała tronu, jakiego mogłaby sobie zażyczyć osoba o jej władzy. Bene Gesserit od małego były przyzwyczajane do obojętności na wygody – ważna była ostrość myśli i wyrazistość pamięci. Właśnie te cechy uczyniły z niej Matkę Przełożoną.

Wszystkie siostry spojrzały na Harishkę, nieruchomo siedzącą w szarawym świetle przepuszczanym przez pryzmatyczne świetliki. Była właściwa chwila, aby zabrała głos.

– Przez całe lata wolałyśmy nie myśleć o tej sprawie, a teraz zostałyśmy zmuszone do decyzji.

Lekko trąciła leżący na blacie cylinder, który niedawno przybył z Kaladanu.

– W ogóle nie powinnyśmy były wspominać księciu Leto o tym statku pozaprzeznaczonym – powiedziała cierpko Wielebna Matka Lanali, która w szkole troszczyła się o mapy, atlasy i archiwum geograficzne.

– Nie miałyśmy wyjścia – odrzekła Harishka – inaczej bowiem nie zaakceptowałyby Jessiki. Musiałyśmy podrzucić mu jakąś smakowitą kość. Warto zauważyć, że ksiązę bardzo rozważnie postąpił z tą informacją.

– Aż do tej chwili – zauważyła Wielebna Matka Thora, która doglądała ogrodów, a poza tym była specjalistką od szyfrów. Stała się znana z opracowanej przez siebie techniki umieszczania wiadomości na liściach roślin.

Harishka pokręciła głową.

– Ksiązę Atryda mógł na wiele sposobów zrobić z tej wiadomości użytek, tymczasem nikomu jej

nie zdradził, a i teraz zwraca się do nas, wykorzystując nieoficjalny kanał. Jak na razie nie zawiódł naszego zaufania. A chciałam przypomnieć, że Jessica, zgodnie z naszymi oczekiwaniami, jest brzemienna.

– Ale dlaczego tak długo nie zachodziła w ciążę? – spytała inna z sióstr. – Dlaczego tyle musiałyśmy się niecierpliwić?

Harishka nie spojrzała na pytającą.

– W końcu jednak się to stało. Trzymajmy się bieżącego problemu.

– Co do mnie – zabrała głos Wielebna Matka Cienna, której twarz zachowała niewinne piękno, którym tak urzekła mężczyzn w latach młodości – uważam, że jeśli ktoś w ogóle powinien mieć możliwość skonstruowania niewidzialnego statku, to tym kimś jest Leto Atryda. Podobnie jak jego ojciec i dziad, to człowiek honoru i najwyższych zasad.

Lanali prychnęła szyderczo.

– Czyżbyś, siostrze, nie pamiętała o jego wyczynach na Beakkalu? Kompletnie zniszczył wojskowy cmentarz.

– Jego wojskowy cmentarz – odparła Cienna. – I został do tego sprowokowany.

– Nawet jeśli Leto jest istotnie osobą godną zaufania – broniła się Lanali – to co z jego potomkami? To istotna zmienna i jak każda zmienna niesie ze sobą niebezpieczeństwo.

– Są zmienne, ale są i stałe – nie ustępowała Cienna. – Także ostrożność, gdy przesadna, staje się wadą.

Do rozmowy ośmieliła się wtrącić najmłodsza z całej grupy, szczuplutka siostra Cristane.

– Moralne zalety czy wady Atrydów nie mają znaczenia dla naszej decyzji. Nawet gdyby taka broń została użyta jedynie w celach defensywnych, to przecież radykalnie zmieni układ sił w całym Cesarstwie. Technika niewidzialności temu, kto nią rozporządza, daje ogromną przewagę. Niezależnie od sympatii, jakie, podobnie jak Cienna, mogą niektóre z nas żywić do Leto Atrydy, nie należy zapominać, że jest tylko pionkiem w naszej grze, podobnie jak był nim baron Harkonnen.

– No cóż – powiedziała Thora, kończąc kawę przyprawową i odstawiając filiżankę – to Harkonnenowie zdobyli ten wynalazek, na szczęście jednak ujawnili swój sekret, a zdobywcy nie potrafili powielić.

Harishka dopiero niedawno zauważyła, że nadzorczyńni ogrodów przyjmuje coraz większe dawki melanżu. Bene Gesserit potrafiły sterować chemizmami ciała, stanowczo jednak odradzano wszystkim siostrom zabieganie o nadmierną długowieczność, ta bowiem mogła stać się źródłem niechęci do całego zakonu. Uznała, że usłyszała dostatecznie wiele.

– Znowu nie mamy wyboru – oznajmiła. – Musimy odrzucić propozycję księcia. Naszą odpowiedź przekaże Wielebna Matka Mohiam przy okazji swojej wizyty na Kaladanie związanej z wyjazdem Jessiki na Kaitain.

Uniosła wysoko czoło. Miała wrażenie, że musi fizycznie walczyć z ciężarem wspomnień i bieżących myśli.

Thora westchnęła z ulgą pamiętała bowiem, ile czasu poświęciły akolitki na demontaż rozbitego statku i analizę jego części.

– Nawiasem mówiąc, dalej mam wątpliwości, czy mogłybyśmy Atrydom w czymś pomóc. I co z tego, że przekazałybyśmy Letu wrak, skoro nawet my nie potrafimy pojąć, jak działa generator pola.

Spojrzała na siostry i dołała sobie kawy. Raz jeszcze przemówiła ciemnowłosa siostra Cristane.

– Upowszechnienie takiej broni mogłoby oznaczać katastrofę dla całego Cesarstwa, a jej skala jest tym bardziej nieprzewidywalna, że nawet my nie potrafimy zrozumieć, jak ona działa. Musimy się dowiedzieć tyle, ile nam się uda, a tajemnicę zachować w zakonie.

Do jej funkcji należało dowodzenie grupami specjalnymi, które wchodziły do akcji, gdy zawodziły subtelniejsze środki. Z racji młodości brakło jej czasem cierpliwości charakteryzującej starsze Wielebne Matki, bywały jednak sytuacje, kiedy taka popędliwość wydawała się Harishce korzystna.

– Słusznie – powiedziała Matka Przełożona i poprawiła się na kamiennej ławie. – Z pewnych oznaczeń na wraku można wnosić, że w całym przedsięwzięciu uczestniczył niejaki Chobyn. Udało nam się ustalić, że wynalazca o tym nazwisku przeniósł się z Richese na Giedi Primę mniej więcej w czasie, gdy powstawał ten pojazd.

Thora dokończyła trzecią filiżankę kawy przyprawowej, ignorując surowe spojrzenie Harishki.

– Harkonnenowie pozbyli się go zbyt wcześnie, inaczej bowiem od dawna mieliby następny egzemplarz.

Harishka zaplotła długie palce.

– No cóż, należy dokładnie zainteresować się Richese.

Przesąd i wymogi pustyni przenikają całe życie Wolan, w którym religia i prawo ściśle się ze sobą splatają.

ABC Arrakis,
cesarski księgofilm dla dzieci

W dniu, który miał zadecydować o przyszłości jego ludu, Liet-Kynes obudził się, myśląc o przeszłości. Siadł na skraju dzielonej z Faroulą miękkiej maty zaścielającej skalną podłogę małego, lecz wygodnego pomieszczenia w siczy Czerwonego Muru.

To dziś miała się odbyć wielka narada Wolan – zebranie naibów i starszyny wszystkich siczy – zwołana, aby podjąć zgodne postanowienie co do ataku na Harkonnenów. Ludzie pustyni aż nazbyt często działali w odosobnieniu, co zmniejszało ich siły i skuteczność. Do głosu dochodziła rywalizacja międzyplemienna, odżywały dawne zawiści i urazy. Liet będzie musiał ich przekonać do współpracy.

Jego ojciec osiągnąłby to za sprawą jednego prostego rozkazu. Pardot Kynes, ekologiczny prorok, nigdy w istocie nie zastanawiał się nad władzą, jaką miał nad Wolanami, a po prostu zaakceptował ją jako narzędzie zaprowadzania Raju na Diunie. Liet był jednak młody i nie zdążył sobie jeszcze zaskarbić takiego graniczącego z ubóstwieniem szacunku i podziwu.

Siedząc na macie, Liet czuł bardzo delikatne wibracje maszyn zapewniających obieg powietrza w siczy. Za nim rytmicznie oddychała Faroula, która się przebudziła, ale leżała w milczeniu. Lubiła przyglądać się swemu mężowi.

– Moje kłopoty odbierają ci spokój, kochana – powiedział.

Pogładziła go po ramieniu.

– Twoje myśli są moimi myślami. Moje serce podąża za twoimi troskami i radościami. – Ucałował jej dłoń, a potem kostkami palców przejechał po swojej rzadkiej brodzie. – Nie martw się. Płynie w tobie krew Ummy Kynesa, podobnie jak żyją w tobie jego marzenia.

– Ale czy Wolanie to dostrzegą?

– Czasami robią głupstwa, ale nie są ślepi.

Kochał ją od lat. Była córką Heinara, jednookiego naiba siczy. Wiedziała o tym, że jest najlepszą uzdrowicielką w plemienu, a jej najważniejszym zadaniem było uleczyć pogrążoną w bólu duszę

człowieka. Ona także go kochała i wiedziała, jak do niego trafić.

Ciągle niepewny wyniku narady, przyciągnął Faroulę do siebie i trzymał przez chwilę w objęciach, ona zaś gładząc go i przytulając się, sprawiła, że lęk się rozwiął, a jego miejsce zajęło poczucie pewności i siły.

– Będę z tobą, kochany – powiedziała, chociaż kobietom nie wolno było przebywać w sali, gdzie starszyzna wszystkich siczy zbierała się, aby wysłuchać jego słów. Na zewnątrz sypialni będą musieli się rozdzielić i działać każde w swoim kręgu, dobrze jednak rozumiał, co miała na myśli. Będzie istotnie u jego boku, a on był jej wdzięczny za tę gotowość.

Na ścianie wejściowej wisiał kolorowy kobierzec z włókna przyprawowego, na którym Wolanki przedstawiły Gipsową Kotlinę, gdzie jego ojciec urządził piękną oranżerię, w małej skali demonstrując to, co chciał uczynić rzeczywistością całej Diuny. Widać więc było płynącą wodę, kolibry, drzewa owocowe i kwitnące kwiaty. Liet przymknął oczy i wyobraził sobie rośliny, szmer wody, poczuł na policzku dotyk wilgotnego powietrza.

– Mam nadzieję, że dokonam dzisiaj czegoś, z czego mój ojciec byłby dumny – mruknął na poły do siebie, jakby to była modlitwa.

Stało się niestety tak, że naruszony przez wilgoć strop jaskini, w której mieściła się oranżeria, runął, przygniatając Kynesa i kilku jego pomocników. Nie upłynął jeszcze rok od tego tragicznego dnia, ale Lietowi wydawało się, że było to znacznie dawniej. To, by zająć pozycję ojca, ciągle pozostawało zadaniem nie zrealizowanym.

„Starzy muszą ustępować miejsca młodym”.

Wiekowy naib Heinar niebawem już mógł zwolnić miejsce przywódcy siczy, a wielu Wolan uważało, że zajmie je Liet. „Naib” w dawnym języku chakobsa znaczyło „sługa siczy”. Liet nie pragnął władzy, a chciał jedynie jak najlepiej służyć ludziom pustyni, walczyć z Harkonnenami i dalej przekształcać pustynię w ogród, którym miała się kiedyś stać.

Liet był tylko pół-Wolaninem, ale od pierwszej chwili, gdy wciągnął do płuc powietrze siczy, miał duszę Wolanina. Jako nowy Cesarski Planetolog, następca wielkiego marzyciela, Pardota Kynesa, nie mógł ograniczyć swojej działalności tylko do jednego plemienia.

Przed rozpoczęciem narady Liet musiał dopełnić jeszcze swych obowiązków planetologa. Nie cenił wprawdzie Szaddama IV ani jako człowieka, ani jako władcy, ale bardzo rzetelnie podchodził do pracy naukowej. Każdy moment życia był równie cenny jak kropla wody i Liet nie chciał żadnego z nich marnować nadaremno.

W pełni przebudzony, szybko się ubrał. Kiedy świt powlókł okolicę pomarańczową poświatą, Liet był już na zewnątrz w nowym destylozynie. Nawet o tak wczesnej porze piasek i skały były ciepłe i nad ziemią tańczyły widma upału, jak nazywano słupy rozgrzanego powietrza. Wdrapał się na grań odległą o kilkaset metrów od wejścia do siczy.

W skalnej niecce znajdowała się mała stacja biologiczna: zamontowane w skale czujniki i przyrządy pomiarowo-rejestracyjne. Przed laty Pardot Kynes wyremontował ów od dawna zapomniany sprzęt, a członkowie siczy doglądali go, zapisując też pomiary szybkości wiatru, temperatury i wilgotności powietrza. Ten ostatni wskaźnik był zupełnie minimalny, a jajowaty instrument rejestrował ilość osiadłej na nim rosy.

Usłyszawszy rozpaczliwy pisk i łopot skrzydeł, odwrócił się. Jastrząb unosił się przed lśniąca czaszą skanera słonecznego wykonaną z metalplazu, gdyż wypatrzył w niej małą mysz pustynną, w języku Wolan zwaną „muad’ dib”.

Małe zwierzątko usiłowało wspiąć się po gładkim zboczu, ale przeszkadzały mu w tym szybkie ciosy szponów. Wydawało się, że dla maud’ diba nie ma ratunku.

Liet nie zamierzał interweniować. Natura ma swoje prawa, których nie należy gwałcić.

Ku jego zdziwieniu, pod wpływem ruchów myszy skaner zaczął się powoli obracać, a odbite promienie oślepiły jastrzębia. Wymierzony na oślep cios szponów nie potrafił powstrzymać myszy, która już w następnej chwili zniknęła w skalnej rozpadlinie.

Liet przyglądał się temu rozbawiony, a potem półgłosem wyrecytował hymn wolański, którego nauczyła go Faroula.

*Brnąłem mozolnie przez pustynię,
Której obraz wibrował jak duch.
Niesyty chwały, żądny niebezpieczeństw,
Zmierzałem ku horyzontom ał-Kulab,
A czas spłaszczał pagórki,
Podążając za mną łapczywie.
Widziałem też, jak dzielniejsze od wilków
Zgłodniałych wróble nadlatują stadem
I siadają na drzewie młodości mej dawnej,
Rozgłośnie swawoląc pośród mych gałęzi,
Ja zaś byłem schwyty w ich dzioby i pazurki!*

Co takiego powiedział jego przyjaciel Warrick w transie spowodowanym Wodą Życia? „Jastrząb i mysz są tym samym”. Wizja czy majaczenie odurzonego?

Zawiedziony jastrząb wzbijał się coraz wyżej, wykorzystując prądy powietrzne, aby z wysokości kontrolować jak największy obszar pustyni, a Liet zastanawiał się, czy muad'dib uratował się przypadkiem, czy też z rozmysłem wykorzystał sytuację.

Wolanie we wszystkim dopatrywali się znaków i zapowiedzi. Powszechnie wierzone, że pojawienie się muad'diba wtedy, gdy należy podjąć ważną decyzję, nie wróży dobrze. A właśnie za chwilę miała się rozpocząć narada z przedstawicielami wszystkich siczy.

Ale jako planetologa, Lieta zaprzątnęło coś innego. Skaner słoneczny, zainstalowany przez człowieka, zaingerował w łańcuch życia, w relacje między drapieżcą i ofiarą. Chociaż było to jednostkowe zdarzenie, Liet – podobnie jak zrobiłby ojciec – rozważył je w szerszym kontekście. Nawet najdrobniejsze ludzkie interwencje, jeśli tylko będą nawarstwiały się odpowiednio długo, mogą doprowadzić do ogromnych, być może katastrofalnych zmian. Wrócił do siczy posepny i zamyślony.

Przedstawiciele siczy, o ogorzałych i surowych twarzach, zjechali się z całej pustyni. Czerwona Skąła była bardzo dobrym miejscem na takie ogólne spotkanie. Położona na skraju naturalnego ciągu jaskiń i korytarzy, sicz mogła łatwo przyjąć wielu przyjezdnych, szczególnie jeśli przywozili ze sobą wodę, jedzenie i pościel.

Zostaną kilka dni, a nawet tygodni, jeśli będzie potrzeba, do czasu, aż podejmą zgodną decyzję. Liet nie wypuści ich wcześniej, nawet gdyby w celu osiągnięcia zgody trzeba było walić jednym głowami w drugie. Pustynne plemiona muszą skoordynować swoje działania i to zarówno doraźne, jak i długofalowe. Ciągle jeszcze słaby, ale zdrowiejący Turok opowie im, jak to baron bez najmniejszych skrupułów poświęca kombajn i jego załogę, aby dzięki temu mieć niezarejestrowany nigdzie ładunek melanzu. Potem Stilgar poinformuje, co on i jego towarzysze znaleźli w świętych jaskiniach siczy Hadis.

Przybywali różnymi sposobami: piaskalami, pieszo, maszerując przez pustynię, w kilku przypadkach skradzionymi ornitopterami, które po wylądowaniu natychmiast zakamuflowali lub ukryli w jaskiniach. Odziany w nowy płaszcz dżubba Liet witał wszystkich przy grodzi wejściowej do siczy. Obok niego stała ciemnowłosa żona, Faroula, z córką i trzymanym na rękę niemowlęciem, Liet-chihem. We włosy miała wplecione taliony wody, stanowiące namacalną oznakę bogactwa Lieta i jego statusu w siczy. Stała tak blisko niego, jak pozwalały na to obyczaje.

Na zewnątrz świat zalewało pomarańczowe światło wczesnego zmierzchu. Zgodnie ze zwyczajem przed naradą odbył się posiłek, podany mężczyznom przez kobiety. Liet zasiadł przy stole obok Heinara. W pewnym momencie wznosił toast na cześć starca, ten jednak pokręcił głową.

– Nie, Liet. To twoja chwila. Moja już minęła.

Dłonią w której brakowało dwóch palców straconych w pojedynku na noże, mocno uściśnęła ramię zięcia.

Potem wszyscy przeszli do wysoko sklepionej sali posiedzeń, a kiedy uczestnicy zajmowali miejsca, Liet rozważał różne możliwości. Starannie przygotował swoje wystąpienie, miał jednak wątpliwości, czy na pewno zechcą współpracować w walce z Harkonnenami i połączyć siły w jedno. A może wyżej postawią niezależność i swobodę poczynań? Czy też – co byłoby najgorsze – wzajemne niechęci sprawią że nie będą chcieli dojrzeć wspólnego wroga, jak już nieraz wcześniej się zdarzało?

Liet miał pewien plan, który rozważał teraz po raz kolejny, spoglądając z balkonu na salę, gdzie powoli gromadzili się zaproszeni. Obok niego stała w zakurzonej ciemnej szacie Ramallo, stara sajjadina o ciemnych oczach gorejących w głębokich oczodołach.

W dole widzieli setki twardych mężczyzn, wytrzymałych, bitnych, potrafiących zdobyć zaufanie swych współplemieńców. Wszyscy byli urzeczeni wizją zieleniejącej Diuny, wszyscy z szacunkiem wspominali Ummę Kynesa. Osoby mniej znaczne tłoczyły się w balkonowych niszach wykutych w skalnych ścianach jaskini. W powietrzu wisiał kwaśnawy odór niemytych ciał mieszający się z silnym zapachem przyprawy.

Sajjadina Ramallo wyciągnęła ręce z uniesionymi dłońmi, aby wypowiedzieć błogosławieństwo. Tłum umilkł, głowy pochylły się. Z jednego z balkonów odezwał się wysoki, chłopięcy głos, który odśpiewał tradycyjny hymn opisujący w chakobsa tułaczą wędrowkę zensunnitów, zanim po ucieczce z Poritrin dotarli na Arrakis. Kiedy skończył, sajjadina wycofała się, zostawiając Lieta samego. Spoczęły na nim wszystkie oczy, nadeszła jego chwila.

Dzięki świetnej akustyce głos Lieta słyszeć było znakomicie nawet w najodleglejszych zakątkach sali.

– Bracia moi, oto stajemy przed wielkim wyzwaniem. Na odległym Kaitain poinformowałem Cesarza Korrino o okrucieństwach, jakich dopuszczają się Harkonnenowie na Diunie. Mówiłem mu, jak rabunkowo niszczą pustynię, w bandach dla zabawy polujących na Szej-huludy. – Przez tłum przemknął szmer, ale Liet nie powiedział niczego takiego, czego zebrani sami by nie wiedzieli. – Jako Cesarski Planetolog zwracałem się z prośbą o botaników, chemików i ekologów. Błagałem ich o odpowiednie urządzenia i instrumenty. Prosiłem o opracowanie dalekosiężnych planów, które miałyby na celu ratowanie naszej planety. Mówiłem naszemu władcy, że powinien zmusić Harkonnenów, aby zaprzestali swoich zbrodni i bezsensownych aktów zniszczenia. – Na chwilę zamilkł, aby wzrosło napięcie. – Odprawiono mnie jednak z niczym, a Cesarz Szaddam IV nie chciał wysłuchać moich skarg i próśb.

Głosy oburzenia były tak silne i tak liczne, że Liet poczuł, jak balkon drży mu pod stopami. Bardzo czuli na punkcie niezależności Wolanie nie uważali się za poddanych Szaddama. Harkonnenów

uważali za okupantów, których zastąpią inni, a potem jeszcze inni, ale nastanie taki czas, że Wolanie będą rządzić się sami, co przepowiadały ich legendy.

– I dlatego ośmieliłem się wezwać was wszystkich na naradę, abyśmy jak wolni ludzie zastanowili się nad naszą sytuacją. Nie możemy liczyć na Cesarstwo i jego głupią politykę, sami musimy bronić swego życia.

A kiedy mówił dalej, z pasją i przejęciem, czuł, że gdzieś w cieniu obok stoi Faroula i przysłuchuje się każdemu słowu, wspierając go swoją siłą.

Na kamienistych plażach historii leżą wraki nieustannie ponawianych przez człowieka prób, aby zapanować nad wszechświatem.

graffiti na ścianie teatru w Ichan na planecie Jongleur

Jasna i przesadnie wystrojona kabina pasażerska wielkiego transportowca Wayku kojarzyła mu się z jakąś nierealną widownią teatralną na której fotele były zbyt wymyślne i krzykliwie kolorowe. Tyros Reffa był jednym z anonimowych pasażerów w sekcji dla klasy średniej. Wiedział, że jego życie nigdy już nie będzie takie jak dawniej. Podniszczone ubranie, żadnych oznak elegancji, tanie napoje – wszystko to jednak jakoś mu się podobało, odpowiadało bowiem jego nastrojowi.

Zostawiał za sobą Zanovar, ród Taligarich, całą przeszłość.

Nikt nie zainteresował się jego personaliami, nikogo nie ciekawiło, dokąd się udaje. Po tym, jak unicestwiono jego dom, wcześniej dokładnie obejrzany przez szpiegów Szaddama, ten musiał być pewien, że jego bękarci brat przyrodni nie żyje.

„Dlaczego nie mógł mnie zostawić w spokoju?”

Reffa starał się nie zwracać uwagi na głosy wszechobecnych sprzedawców, natarczywych, niekiedy szyderczych ludzi w ciemnych okularach, którzy proponowali kupno wszystkiego: od przyprawy po smażonego świmaka w sosie curry. Najbardziej jednak irytowała go atonalna muzyka, która wydostawała się spod nałożonych na uszy słuchawek. W ogóle się do nich nie odzywał i po kilku godzinach bezskutecznych nagabywań dali mu wreszcie spokój.

Ręce miał szorstkie i obolałe. Wielokrotnie tarł je ostrą szczotką, nadal jednak czuł od nich woń śmierci i dymu, a pod paznokciami nadal dostrzegał czerń sadzy.

Nie powinien wracać do miejsca, gdzie miał dom.

Ledwie panując nad łkaniem, przeleciał wynajętym ornitopterem nad tym, co z niego pozostało, musiał jednak w tym celu przekupić kilku urzędników.

Nic, absolutnie nic, co świadczyłoby o dawnym pięknie budowli i ogrodów! Kilka poczerńiałych kikutów kolumn, rozłupana czasza fontanny. Wierny Charence wyparował, pozostał po nim tylko cień na trawie.

Reffa wylądował, zeskoczył na cuchnącą ziemię i poczuł, że niemal paraliżuje go przejmująca cisza. Pod podszwami chrzęściły kamienne i szklane okruchy. Nabrał na czubek palców odrobinę pyłu, jak gdyby sądził, że pod nim kryje się jakaś wiadomość. Potem pogrzebał głębiej, ale niezmiennie napotykał tylko na proch i sadzę. I żadnego powiewu wiatru, żadnego głosu ptaka.

Tyros Reffa nigdy nie wchodził nikomu w drogę, poświęcając się swoim prywatnym pasjom. I to jego przyrodni brat usiłował go zabić tylko dlatego, że obawiał się z jego strony jakichś zamachów. Czternaście milionów ludzi zostało wymordowanych tylko po to, aby uśmiercić jedną osobę.

Wydawało się to nieprawdopodobne, nawet jak na takiego potwora jak Szaddam, a jednak było prawdą. Tron Złotego Lwa splamiony był krwią co przypominało Reffa wielki monodram, jaki kiedyś odgrywał na Jongleur. W cesarskim pałacu rozbrzmiewały bezgłośnie krzyki z Zanovaru.

Stojąc na zgliszczach swego domu, Reffa wykrzyknął imię Cesarza, ale jego głos natychmiast umilkł, jakby gdzieś ugrzązł.

A potem wykupił miejsce w pierwszym liniowcu z Taligari lecącym na Jongleur, gdzie w młodości spędził szczęśliwe lata. Z jaką radością wróciłby jeszcze do szkoły aktorskiej, między twórczych, pełnych pasji ludzi, w których towarzystwie czuł się tak dobrze.

Korzystając z fałszywych dokumentów, o które docent na wszelki wypadek postarał się dla niego dawno temu, Reffa mógł podróżować bez zwracania na siebie uwagi. Wspominał to, co utracił, a obok niego przepływała fala pasażerów. Pojawiali się, na chwilę zatrzymywali na dłużej, potem znikali. Znawca kamieni rozmawiał z żoną o typach skaz występujących na czarmieniach, czterech hałaśliwych młodzieńców omawiało wyścig wiosłarski, jaki oglądali na Perrin XIV, a kupiec i jego rozmówca zaśmiewali się z powodu ciosu, który niejaki książę Leto Atryda zadał planecie Beakkal.

Starał się nie słyszeć całego tego gwaru, ale ten natrętnie rozpraszał go i nie pozwalał skupić się na pytaniu, co teraz powinien zrobić. Nigdy nie było w nim agresji, brzydził się przemocą, ale po tym, co zobaczył na Zanovarze, był już innym człowiekiem. Z jednej strony gardził Szaddamem, z drugiej – czuł odrazę do samego siebie. „Ja także jestem Korrino. Część jego krwi płynie w moich żyłach”. Westchnął ciężko i jeszcze bardziej skulił się w fotelu...

Zanim nastąpiła tragedia, Reffa starannie zbadał historię rodową, cofając się aż do czasów, gdy Korrinowie stanowili w Cesarstwie wzór etyczny, do czasów następcy tronu Raphaela Korrino, tak wyraziście odmalowanego we wspaniałym dramacie *W cieniu ojca*. Tak czy owak, tym, który go ukształtował, był Glax Othn, teraz jednak nie miał już żadnej przeszłości ani jednoznacznej tożsamości.

Z goryczą myślał o pradawnej mądrości: „Prawo to najwyższa z nauk”. Powiadano, że maksyma ta wypisana jest nad wejściem do gabinetu cesarskiego na Kaitain, Reffa jednak wątpił, by Szaddam kiedykolwiek zrozumiał czy chociażby przeczytał te słowa. W jego rękach prawo było plastycznym niczym glina. Reffa wiedział o tajemniczych zgonach w rodzinie: starszy brat Szaddama, Fafhir, Elrood IX, nawet matka Reffy, Shando, którą bezlitośnie zabito na Bela Tegeuse. A do tego dochodzili teraz Charence, docent, bezimienne ofiary na Zanovarze.

W tej chwili myślał przede wszystkim, aby przystać do dawnej grupy aktorskiej, której nauczycielem był wspaniały Holden Wong. Gdyby Szaddam dowiedział się jednak, że Reffa przeżył, czy w niebezpieczeństwie znaleźliby się także jego przyjaciele z Jongleur? Nie wolno mu było się ujawnić.

Drobna zmiana w pomruku generatorów Holtzmana poinformowała Reffę, że liniowiec wyszedł z zakrzywionej przestrzeni. Po chwili jedna z Wayku miłym głosem poinformowała, że znaleźli się na miejscu, i przypomniała o kupnie upominków. Bagaż miał w pięciu komorach nad głową. Sporo go to kosztowało, ale bał się zawierzyć transportowi towarowemu rzeczy, które specjalnie nabył na Taligari.

Skierował się do wyjścia, a za nim, podskakując, popłynął rząd kufrów odciążaczowych. Sprzedawcy bez powodzenia usiłowali wcisnąć coś jeszcze pasażerom czekającym na prom, który z orbity przewoził ich do portu kosmicznego.

Kiedy Reffa dotknął wreszcie powierzchni Jongleur, poczuł falę radości. W budynku portu pełno było wesołych, uśmiechniętych ludzi, co go w pewien sposób podniosło na duchu, ale zarazem przynębiło: za nic nie chciałby narazić na zniszczenie kolejnego pięknego miejsca we

wszechświecie.

Rozglądał się pośród witających się rodzin i znajomych, ale nigdzie nie dostrzegł mistrza Holdena Wong, który miał na niego czekać. Zapewne zespół miał dziś przedstawienie, a Wong zawsze dbał o to, aby żadnego nie opuścić. Całkowicie oddany sprawom teatru, mistrz niczym innym się nie interesował i zapewne nic nie wiedział o losie Zanovaru. Być może w ogóle zapomniał, że miał kogoś witać w porcie.

Reffa dobrze jednak znał drogę do miasta. Na przystani koło portu, skąd sampany wiozły przybyszów do Ichan, na wodzie unosiły się lawendowe algi. Łódka wolno płynęła z nurtem, a Reffa stał wyprostowany na pokładzie i wchłaniał wilgotne powietrze.

Miasto spowite delikatną mgłą wyglądało od strony rzeki jak chaotyczna platanina ruder i eleganckich wysokościorców, między którymi rojno było od riks i przechodniów. Z kabiny pod pokładem dobiegały dźwięki rozmów i kwartetu złożonego z balisety, rebeki, skrzypiec i rebaby.

Silnik zaczął pracować na wstecznym biegu, aby sampan mógł delikatnie przybić do przystani. Wraz z innymi pasażerami Reffa wyszedł na stary, drewniany pomost upstrzony rybimi łuskami, pogniecionymi muszlami i cienkimi niby patyczki odnóżami skorupiaków. Pomiędzy straganami z rybami i pieczywem uwijali się komedianci, muzycy i żonglerzy, dający popis swoich talentów i zapraszający na wieczorne przedstawienia.

Reffa zatrzymał się na chwilę, aby przypatrzeć się mimowi, pokazującemu, jak brodaty bóg wyłania się z morza. Pochwyciwszy spojrzenie Reffy, aktor, dziwnie się wykrzywiając, zbliżył się do niego, a wtedy uśmiechnął szerzej.

– Witaj, Tyrosie. A jednak spotkaliśmy się.

Reffa rozpoznał Holdena Wonga i powiedział:

– Mistrzu, kiedy mim przemawia, jest to wyrazem mądrości czy nieudolności?

– Celne słowa, przyjacielu.

Wong uzyskał najwyższy stopień pośród mistrzów z Jongleur: był Pierwszym Thespianinem. Osiemdziesięciolatek z wystającymi kośćmi policzkowymi, skośnymi oczami i kędzierzawą brodą poruszał się z gracją młodzieńca. Nie miał pojęcia o znakomitym pochodzeniu Reffy, nic też nie wiedział o zakusach na jego życie ze strony Szaddama.

Teraz objął Tyrosa serdecznie, zostawiając na jego ubraniu smugi pudru.

– Będiesz dzisiaj na spektaklu? Żeby się przekonać, ile straciłeś, przez tyle lat nie będąc z nami?

– Tak. I mam nadzieję, że znajdzie się dla mnie miejsce w twej trupie, mistrzu.

W ciemnobrązowych oczach Wonga zapaliły się ogniki.

– Miło znowu mieć w zespole utalentowanego aktora. A ku czemu się skłaniasz? Komedia? Romans?

– Tragedia. Zbyt ciężko mi na sercu, abym dobrze czuł się jako komik czy amant.

– Z pewnością coś dla ciebie znajdziemy. – Wong pogładził Reffę po głowie, tym razem rozmyślnie zostawiając na jego włosach białe smugi. – Cieszę się, Tyrosie, że znowu jesteś pośród nas.

Reffa spoważniał.

– Słyszałem, że szykujesz nową adaptację *W cieniu ojca*.

– Dobrze słyszałeś! Odbywamy właśnie próby przed ważnym spektaklem. Nie wszystkie role są obsadzone, ale tak czy siak za kilka tygodni wyruszamy na Kaitain, aby wystąpić w obecności samego Cesarza.

Mistrz był najwyraźniej zachwycony tą perspektywą. Reffa zmrużył oczy.

– Całą duszę wlałbym w rolę Raphaela Korrino.

Mistrz przyjrzał mu się uważnie.

– Hm, ta rola jest zasadniczo obsadzona, ale brak mi u tego młodzieńca pasji, którą dostrzegam w twoich oczach.

– A ja mam wrażenie, że... że urodziłem się do tej roli. – Westchnął wprawdzie, ale nie pozwolił, by jego twarz przybrała jakiś niezwykle wyraz. – Szaddamowi IV zawdzięczam wszystkie w tej mierze inspiracje.

Cóż mogę powiedzieć o Jessice? Jeśli tylko miałyby taką możliwość, zastosowałyby Głos wobec Boga.

Wielebna Matka Gaius Helena Mohiam

Nie licowało to może z godnością księcia i jego konkubiny, aby się kochać w zagraconej komórce, czasu jednak było niewiele, a Leto wiedział, jak bardzo będzie za nią tęsknił. Następnego ranka Jessikę miał zabrać na Kaitain liniowiec czekający już na orbicie.

W kuchni za ścianą słychać było szczękanie garnków, trzask muszli, szatkowanie warzyw. W każdej chwili mógł ich zdybać któryś z kuchcików, szukający suszonych ziół czy torby soli, dlatego ledwie wślizgnęli się do środka z lampkami wytrawnego klareta w dłoni, Leto zastawił drzwi skrzyniami, w których były puszki importowanych goryczek i cenionych jagód o słodko-gorzkawym smaku. Na ich szczycie Leto postawił butelkę zabraną z zamkowych piwnic, które odwiedzili wcześniej.

Myśl ta nasunęła mu się dwa tygodnie temu, zaraz po ślubie Rhombura, a zainspirowała ją perspektywa rychłego wyjazdu Jessiki. Leto zaproponował, aby kochali się w każdym pomieszczeniu zamkowym, włącznie ze składzikami i komorami. Pomimo ciąży, Jessika wydawała się rozbawiona i podniecona tym pomysłem.

Teraz odstawiła swój kielich na bok i spojrzała w oczy Leta.

– Czy spotykasz się tutaj także z kucharkami? – spytała żartobliwie.

– Kochana, ledwie starcza mi sił na ciebie, a miałbym nimi szastać na prawo i lewo? – Z wielkiej palety usunął trzy zakurzone słoje marynowanych cytryn. – Jak wyjedziesz, przez kilka miesięcy będę dochodził do formy.

– W każdym razie dzisiaj to już ostatni raz – powiedziała Jessika tonem żartobliwie karcącym. – Nie skończyłam się jeszcze pakować.

– A Cesarzowa nie zatroszczy się sama o garderobę swojej damy do towarzystwa?

Ucałowała go w policzek i zdjęła czarną mundurową kurtkę Atrydów, którą ułożyła na jednej ze skrzyń, tak aby widoczny był łeb jastrzębia. Teraz przyszła kolej na koszulę, spod której wyłonił się nagi tors.

– Poczekaj, pani, aż przygotuję leże.

Leto wyjął z dużej skrzyni służący jako izolacja i amortyzator głuszplaz i rozpostarł go na posadzce.

– Więcej wygod mi nie trzeba.

Najpierw odstawiła kielichy na bezpieczną odległość, a potem pokazała mu, co potrafi zrobić w ciasnej komórce, mając pod sobą tylko arkusz głuszplazu...

Kiedy leżeli potem wtuleni w siebie, Leto mruknął:

– Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym nie był księciem. Czasami marzę sobie, że ty i ja tak po prostu...

Nie dokończył.

W jego oczach dojrzała wyznanie miłości, było to jak szczelina w zbroi tego dumnego, często niemal wyniosłego mężczyzny. Podała mu szklankę czerwonego wina, upiła łyk ze swojej.

– Niczego od ciebie nie żądam.

Pamiętała zawiść pierwszej konkubiny, Kailei, która nie potrafiła docenić żadnego z gestów Lety. Książę zaczął się ubierać.

– Tyle rzeczy chciałbym ci powiedzieć, Jessiko. Ja... Przepraszam za to, że przy pierwszym spotkaniu przytknąłem ci sztylet do gardła. Chciałem w ten sposób tylko pokazać zakonowi, że nie dam sobą manipulować. Nigdy bym cię nie skrzywdził.

– Wiem. – Pocałowała go w usta. Nawet gdy ostrze naciskało na jej grdykę, niczego się nie obawiała ze strony władcy Atrydów. – Ale te słowa więcej dla mnie znaczą niż jakikolwiek klejnot.

Leto przesunął palcami po jej długich, brązowych włosach. Kiedy widziało się szlachetność jej rysów, trudno było uwierzyć, że w jej żyłach nie płynie szlachetna krew.

Z westchnieniem pomyślał, że nigdy nie będzie mógł poślubić tej kobiety. Ojciec powiedział to kiedyś z brutalną szczerością. „Nigdy nie żeń się z miłości, mój chłopcze. Najpierw musisz myśleć o swoim rodzie i jego pozycji w Cesarstwie. A także o swoich poddanych. Twój sukces jest ich powodzeniem, twój upadek – ich klęską”.

Ale Jessika nosiła w swym łonie ich dziecko, a on obiecał, że otrzyma ono nazwisko Atrydów i będzie jego dziedzicem. Ewentualnie współdziedzicem, jeśli narodzi się jeszcze inny syn.

Jak gdyby odpowiadając na jego myśli, Jessika przykryła mu usta palcem. Dobrze wiedziała, że nie może sobie pozwolić na formalny związek, ale o wiele ważniejsze było to, iż widziała, jak walczy z myślami i dręczy się. Przypomniła jej się jeden z aksjomatów Bene Gesserit: „Namiętność mąci rozum”.

Sama zżymała się na konsekwencje wyprowadzane z tej maksymy. Jej nauczycielka, poważna i stanowcza Mohiam, wychowywała ją z całą zakonną surowością nie cofając się przed zadawaniem bólu pod różnymi postaciami. A przecież mimo tego Jessika nadal darzyła starą kobietę miłością i była wdzięczna za wszystko, co jej wpoila. Bardzo nie chciała jej zawieść, ale... musiała też pozostać wierna samej sobie. Czyli także innej swojej miłości: księciu Leto.

Pogładził gładką skórę jej brzucha, nadal płaskiego, chociaż można już było dojrzeć delikatną krzywiznę. Uśmiechnął się i żaden obserwator nie miałby wątpliwości co do jego uczuć.

– Jessiko, zanim odjedziesz, powiedz mi... Czy to syn?

– Nie pozwoliłam doktorowi Yuehowi na żadne testy. Moje zwierzchniczki bardzo by się krzywiły na jakąkolwiek ingerencję.

Leto jednak nie spuszczał z niej natarczywego wzroku.

– No, nie wykręcaj się. Przecież jesteś Bene Gesserit. Po śmierci Victora pozwoliłaś sobie na brzemiennność i bardzo ci jestem za to wdzięczny. – Twarz mu złagodniała i nabrała wyrazu, jaki rzadko można było u niego zobaczyć. Zrobiła krok, chcąc chwycić go w objęcia, on jednak nastawał na odpowiedź.

– Więc to syn? Przecież wiesz, prawda?

Poczuła, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Poszukała stosu skrzynek i przysiadła na nim. Umykała przed jego wzrokiem, ale nie potrafiła mu skłamać.

– Nie mogę ci powiedzieć, mój książę.

Cofnął się, a twarz mu stwardniała.

– Nie możesz mi powiedzieć, bo nie znasz odpowiedzi czy z powodu jakichś swoich sekretów?

Zdobyła się na to, by spojrzeć mu w oczy.

– Nie mogę ci powiedzieć, książę, więc nie naciskaj, proszę.

Sięgnęła po napoczętą butelkę i naląła mu szklankę wina, ale odmówił gniewnym gestem i spojrzał gdzieś w kąt.

– Tak czy owak, podjąłem już decyzję, że jeśli to będzie syn, otrzyma imię Paul na cześć mego ojca.

Jessika napiła się wina. Chociaż byłoby to kłopotliwe, teraz bardzo by się ucieszyła, słysząc, jak ktoś z kuchni zaczyna dobijać się do spiżarni. „Dlaczego teraz postanowił podjąć ten temat?”

– Decyzja należy do ciebie, książę. Nigdy nie widziałam Paulusa Atrydy i znam go tylko z twoich opowiadań.

– Był wielkim człowiekiem, a mieszkańcy Kaladanu uwielbiali go.

– Nie wątpię. – Niezręcznie zaczęła dopinać guziki i haftki. – Ale był... szorstki. Nie zgadzam się z niektórymi z nauk, jakich ci udzielił. Osobiście... wołałabym inne imię.

Leto uniósł orli nos. Najwyraźniej poczuł się boleśnie dotknięty. Na przekór swoim intencjom zawsze stawiał fortyfikacje wokół swego serca.

– Zapominasz się.

Odstawiła kielich tak gwałtownie, że omal go nie rozbiła, a wino chlusnęło na posadzkę, potem zerwała się i zanim wyszła, rzuciła od progu:

– Gdybyś tylko wiedział, co zrobiłam z miłości dla ciebie.

Leto nie zawsze rozumiał Jessikę, ale zawsze bardzo mu zależało na jej akceptacji. Ruszył za nią szybkim krokiem, ignorując spojrzenia służby, ale nie zdołał się z nią zrównać.

Kiedy Jessika wbiegała do swych prywatnych komnat, wiedziała, że ją gonił i że będzie teraz jeszcze bardziej rozgniewany, gdyż nie dała mu się schwycić.

Zatrzymał się w progu, a ona odwróciła się i spojrzała na niego stanowczo. W tej chwili nie zamierzała ukrywać swego gniewu: pozwoliła, by stał się widoczny. Ale natychmiast zobaczyła, ile bólu biło z jego rysów: bólu spowodowanego śmiercią Victora, Kailei... także ojca. Nie powinna mu przysparzać cierpień. Ale jako Bene Gesserit nie powinna też go kochać.

I gniew natychmiast osłabł.

Leto kochał Starego Księcia. Paulus Atryda wprowadzał go w tajniki polityki, uczył kwestii dynastycznych, mówił o trudach władzy, która jest rodzajem służby i dlatego na przykład nie może swych reguł podporządkowywać uczuciom między mężczyzną i kobietą. To trzymanie się reguł ojca sprawiło, że jego pierwsza konkubina stała się wyrodną zdrajczynią.

Ale musiał też objąć tron książęcy w bardzo młodym wieku po tym, jak jego ojciec zginął, ugodzony przez oszalałego od podanych mu narkotyków byka salusańskiego. I co w tym złego, że chce swego syna nazwać na cześć ojca?

Jutro wyjeżdżała na Kaitain i nie będą się widzieli przez kilka miesięcy. Właściwie, znając Bene Gesserit, nie należało wykluczać, że przełożone nie pozwolą już jej wrócić na Kaladan. Szczególnie kiedy dowiedzą się, że dziecko będzie miało inną płęć, niż nakazano to Jessice.

„Nie mogę go tak zostawić”.

Zanim powiedział cokolwiek, ona się odezwała:

– Tak, Leto. Jeśli będzie to chłopiec, nazwiemy go Paulem. Nie będę się sprzeciwiać.

Nazajutrz wczesnym rankiem, gdy łodzie odbijały od przystani w Kala i wolno kierowały się ku morzu między wyspami kelpu, Jessika, która przygotowana czekała, aż nadejdzie pora odjazdu,

usłyszała gniewne słowa dobiegające z gabinetu księcia. Drzwi były otwarte, a niedaleko od progu siedziała w wysokim fotelu odziana na czarno Gaius Helena Mohiam, której głos Jessika rozpoznała już wcześniej.

– Zakon podjął jedyną słuszną decyzję, księżę panie – oznajmiła Mohiam. – Nie wiemy, jak działa ten pojazd, nie rozumiemy jego konstrukcji i nie zamierzamy udzielać informacji żadnemu z Wysokich Rodów, co dotyczy też Atrydów. Mam nadzieję, że przemyślawszy nasze motywy, nie poczytasz naszej odmowy za obrazę.

Jessika zatrzymała się tuż przy drzwiach. W pokoju byli też inni, po głosach rozpoznała Thufira Hawata, Duncana Idaho i Gurneya Hallecka.

Gurney nie posiadał się z gniewu.

– A jeśli Harkonnenowie raz jeszcze nas zaatakują, jak mamy się bronić?

– Ponieważ nigdy więcej nie skorzystali z tej broni, pewnie nie mają już w rękach jej wynalazcy. Najpewniej nie żyje.

– Wybacz, Wielebna Matko – w głosie Leta słychać było tłumioną wściekłość – ale to Bene Gesserit powiadomiły nas o tej broni, a ty osobiście wprowadziłaś mnie w intrygę Harkonnenów. Przez całe lata zachowywałem tę wiadomość dla siebie, godząc się na to, że prawdziwi sprawcy ataku na statek Tleilaxan pozostają nieukarani, ale teraz mam na uwadze znacznie poważniejsze sprawy. Czy naprawdę wątpisz, że użyję tej broni w najrozważniejszy sposób?

– Nie bez racji, księżę, cieszysz się powszechnym poważaniem i szacunkiem, czego jesteśmy świadome. Zarazem jednak doszliśmy do wniosku, że ta technika jest zbyt niebezpieczna, aby mógł nią władać jeden człowiek czy jeden ród.

Rozległ się trzask gwałtownie przestawianego sprzętu i gniewny głos Leta:

– Poza tym zabieracie mi moją towarzyszkę. Jeden afront za drugim. Domagam się, aby stojący tutaj Gurney Halleck towarzyszył lady Jessice jako jej osobista ochrona. Nie mogę ryzykować, że coś jej się stanie na dworze cesarskim.

Mohiam odpowiedziała rzeczowo i spokojnie, ale tylko Jessika mogła usłyszeć, że sięgnęła po moc Głosu.

– Cesarz osobiście gwarantuje bezpieczeństwo podróży na Kaitain i pobytu w jego pałacu. Proszę się nie lękać, księżę, pańska konkubina będzie tam otoczona należyłą opieką. Tam twoja władza już nie sięga.

Szurnięcie odsuwanego fotela: Mohiam wstała, dając znać, że chce zakończyć rozmowę.

– Lady Jessika niebawem powije moje dziecko – w głosie Leta słychać było wyraźną groźbę. – W tej sytuacji ciebie, Wielebna Matko, uważam za osobiście odpowiedzialną za bezpieczeństwo ich obydwójga.

Jessika nie wytrzymała i zajrzała do gabinetu. Mohiam przyjęła bojową postawę.

– Zakon żeński z pewnością potrafi lepiej zadbać o to bezpieczeństwo niż dawny przemytnik.

Jessika śmiało wkroczyła do pokoju, aby zapobiec sprzecze.

– Wielebna Matko, jestem gotowa do odjazdu i dlatego chciałabym pożegnać się z księciem.

Zapanowała niezręczna cisza.

Mohiam zerknęła na swą podopieczną najwyraźniej świadoma tego, że ta podsłuchiwała.

– Masz rację, moje dziecko, już czas.

Leto wpatrywał się w coraz słabszy płomień silników promu. Stał na zewnątrz portu kosmicznego w towarzystwie Gurneya, Thufira, Rhombura i Duncana, czterech osób, które, gdyby tego zażądał, bez wahania poświęciłyby dla niego życie, a przecież czuł się porzucony i samotny. Myślał o tych

wszystkich rzeczach, których nie śmiał powiedzieć Jessice, a które będzie musiał nosić w sobie do chwili, gdy znowu będzie mógł chwycić ją w objęcia.

Nie można uciec przed historią. Podobnie jak przed ludzką naturą.

z Księgi Azhar Bene Gesserit

Po dawnym kamieniołomie pozostała głęboka niecka otoczona urwistymi ścianami skalnymi. To stąd przez stulecia wydobywano marmur na potrzeby budowli należących do kompleksu szkoły zakonnej.

Poważna i rzeczowa siostra Cristane zwiozła trzech wynalazców z Richese na dno kamieniołomu. Z krótko obciętymi włosami i kościstą twarzą robiła wrażenie osoby tak oschłej, że trudno było się dziwić, iż w ogóle nie zwracała uwagi na zimny powiew, który wpadł do wnętrza kapsuły odciążaczowej, przelatującej niczym kamień mimo różnorodnych warstw.

Z trójki gości jeden był hałaśliwy i pyszałkowaty, a specjalizował się bardziej w pisaniu raportów niż w badaniach, podczas gdy dwaj pozostali – bardziej milczący i skryci, ale ich talenty odkrywczcze zapewniły Richese wielkie korzyści finansowe.

Siostry potrzebowały kilku tygodni, aby ich zidentyfikować i znaleźć odpowiedni pretekst do zaproszenia na Wallach IX. Oficjalnie mieli zbadać system defensywny planety i ocenić możliwość zapewnienia bezpośredniej łączności satelitarnej, tak aby nie zakłócało to działania ekranów obronnych otaczających planetę. Rząd Richese bardzo skwapliwie skorzystał z oferty potężnych Bene Gesserit.

Tymczasem Harishka zwróciła uwagę na wybraną trójkę tylko dlatego, że kiedyś byli związani z Chobynem, po którym zaginął ślad. Należało spróbować, czy nie uda się od nich wydobyć jakichś interesujących informacji na temat jego prac.

– Jesteśmy daleko od głównego kompleksu – zauważył najbardziej rozmowny z Richesan, Haloa Rund. Zdążył już zauważyć, że w kamieniołomie nie prowadzono jakichkolwiek prac i nie widać było żadnych instalacji defensywnych. – Do czego moglibyśmy się tutaj przydać?

Rund nie ukończył wprawdzie szkoły dla mentatów, ale często chlubił się swymi analitycznymi talentami. Jako kuzyn hrabiego Ilbana Richese wykorzystał też swe powiązania rodzinne do tego, aby uzyskać fundusze na badania tak mało obiecujące, że środków na nie nie uzyskałby nikt inny. Rodzinie jednak wuj nie odmawiał niczego.

– Na dole oczekuje nas Matka Przełożona – oznajmiła Cristane, jak gdyby samo przez się kładło to kres jakimkolwiek wątpliwościom. – Mamy pewien problem do rozwiązania.

Towarzysze Runda byli zachwyceni tym, co zobaczyli wcześniej: sady, parki, pięknie tynkowane budynki kryte misternymi dachówkami. Niewielu mężczyzn miało okazję zobaczyć Wallach IX, przybyli chłonęli więc wszystkie widoki i byli wdzięczni za wszystko, co siostry zechciały im pokazać.

Kiedy kapsuła osiadła na dnie niecki, wysiedli. Wysokie, urwiste ściany sprawiały wrażenie, jakby znaleźli się na scenie jakiegoś monumentalnego teatru.

Wrak dziwnego pojazdu leżał przykryty elektropłachtami, które pozwalały rozpoznać zarys kadłuba. Obok w towarzystwie kilkunastu sióstr stała Harishka. Goście z Richese nie ukrywali podniecenia.

– Co to takiego? – spytał Talis Balt, łysiejący erudyta, który w pamięci rozwiązywał skomplikowane równania. – Mały myśliwiec? Zawsze słyszałem, że Bene Gesserit nie dysponują żadną bronią i ograniczają się do urządzeń defensywnych, a to przecież...

– To nie nasze – przerwała mu Cristane. – Zostałyśmy zaatakowane, ale udało nam się zniszczyć maszynę. Zdaje się, że była wyposażona w zupełnie nowe ekrany ochronne, które sprawiały, iż stawała się nieuchwytna dla ludzkiego oka i urządzeń wykrywających.

– Niemożliwe – oznajmił Flinto Kinnis, który nie zajmował żadnej ważnej funkcji, ale kierował już kilkoma znakomitymi grupami eksperckimi.

– Nie ma rzeczy niemożliwych – surowym głosem zaproponował Haloa Rund. – W przypadku wynalazków najtrudniej sobie wyobrazić, że są one możliwe. Dalej to już tylko detale.

Wielebna Matka Cienna nacisnęła guzik sterownika, odsuwając kawałek płachty i ukazując pod nim powgniatany i porysowany kadłub maszyny bojowej.

– Mamy podstawy do przypuszczeń, że rozwiązanie to zostało stworzone przez Richesanina Tenu Chobyna, którego wszyscy trzej znaliście. Chcemy się dowiedzieć, czy wiecie coś na temat tego projektu.

Haloa Rund i Talis Balt zaintrygowani podeszli do wraku, ale Flinto Kinnis przekrzywił podejrzliwie głowę.

– Chobyn w tajemnicy opuścił nasze kosmiczne laboratorium na Koronie. Nikt go nie lubił, z nikim też nie dzielił się swoimi pomysłami. Dlaczego nie zapytacie jego samego?

– Przypuszczamy, że nie żyje – oznajmiła beznamiętnie Cristane.

Kinnis spojrzał na nią zaskoczony, a wyraz niechęci na jego twarzy zastąpiło zmieszanie.

– A więc to niebezpieczny sekret – zwrócił się Haloa Rund do Matki Przełożonej. – Dlaczego więc zdradzacie go nam?

Z jednej strony fascynowało go to, czego można byłoby dowiedzieć się ze szczątków maszyny, z drugiej – otrzymana właśnie informacja przyprawiła go o nieprzyjemny dreszcz. Siostry były niebezpieczne, a oni znaleźli się teraz na ich łasce i niełasce. Zarazem jednak nie był byle kim – siostrzeniec hrabiego Richese to ważna persona, władze wiedziały o wyprawie, więc... Chyba nie ośmielą się wyrządzić im żadnej krzywdy.

Harishka bez ceregieli uciekła się do Głosu.

– Wiecie coś czy nie? Odpowiadajcie!

Cała trójka skamieniała. Teraz przemówiła Lanali, także używając Głosu.

– Znaliście Chobyna. Co wiecie o tym wynalazku? Jak go zrekonstruować?

Cienna odsunęła elektropłachtę. Wielebne Matki zaczęły szczegółowo wypytywać przybyszów, a ich wyćwiczone w Metodzie Bene Gesserit oczy wychwytywały wszelkie niuanse, momenty niepewności, zawahania.

Pod zimnym niebem Wallach IX, ukryte w głębokiej kotlinie skalnej, siostry wzięły trzech bezbronnych mężczyzn w bezlitosny ogień krzyżowych pytań, aby stwierdzić, czy istnieje jakakolwiek możliwość odtworzenia niewidzialnego statku.

Bardzo szybko stało się jasne, że Richesanie nie wiedzą nic o poczynaniach Chobyna. Najwyraźniej pracował sam, być może na bezpośrednie zlecenie Harkonnenów. Z nikim się nie kontaktował. Nie zostawił żadnych zapisków.

– Świetnie – powiedziała na koniec Harishka. – Tajemnica pozostanie więc bezpieczna, a ten wrak szczęście bezużytecznie.

Trzej indagowani nadal jednak lękali się, że poddani zostaną śmiertelnym torturom. Gdyby decyzja zależała od Cristane, to wprawdzie bez tortur, ale nie uszliby z życiem. Harishka jednak dobrze

wiedziała, że gdyby cała trójka zniknęła bez wieści czy zginęła w katastrofie promu, premier Ein Calimar i stary hrabia Ilban Richese zaczęliby je zdręzczać niekończącymi się pytaniami. Bene Gesserit nie mogli sobie pozwolić na wzbudzenie jakichkolwiek podejrzeń.

Wszystkie siostry na dany znak okrążyły mężczyzn i, złowrogie w swych czarnych szatach, zaczęły sączyć im do uszu szept:

- Zapomnisz.
- Nie będziesz pamiętał.
- Nie będziesz się interesował.

W sprzyjających warunkach siostry mogły poprzez taką „wielokrotną hipnozę” wprowadzać fałszywe wspomnienia i zmieniać wrażenia zmysłowe. Tak samo postąpiły z baronem Harkonnenem, gdy ten, płonąc żądzą zemsty, zjawił się w Szkole. Teraz wspólnie wytworzyły w umysłach wszystkich trzech przybyłych zgodną tkankę wspomnień, co sprawi, że Haloa Rund i jego towarzysze po powrocie na Richese opowiedzą tę samą historię: wzięli udział w nieinteresującej naradzie na Wallach IX, a siostry pytały o banalne ulepszenia w ich sieci defensywnej. Odpowiedzi, jak się wydawało, zniechęciły je i temat szybko wyczerpano, a trójka badaczy powróciła na swą ojczystą planetę.

Bene Gesserit natomiast dowiedziały się wszystkiego, czego chciały.

W społeczności, gdzie faktyczne dane są co najmniej niepewne, prawdą należy manipulować w sposób umiejętny. Zjawisko staje się rzeczywistością. Wrażenie – faktem. Przy odpowiedniej ostrożności można z tego skorzystać.

Cesarzowa Herade, Kilka podstawowych uwag na temat kultury w Cesarstwie

Wystarczyło, by przybyły z Chusuk doradca do spraw etykiety rzucił pobieżnie okiem na kanciąstą warownię Harkonnenów i jej wnętrze, a westchnął ciężko:

- Przypuszczam, że nie mamy czasu na jakieś zmiany w wystroju na zewnątrz i wewnątrz?

Piter de Vries nie pozwolił długonogiemu mężczyźnie na wydziwianie i poprowadził go do Sali Lustrzanej, gdzie czekali już na niego baron i Bestia Rabban.

- Mephistis Cru jest gorąco rekomendowany przez Akademię Chusuk. Udzielał nauk licznym potomkom najszlachetniejszych rodów.

Cru poruszał się jak baletmistrz, a zwierciadlane odbicia wiernie go naśladowały. Opadające w lokach na ramiona brązowe włosy z lekkim szelestem przesuwały się po bufiastej koszuli, co zapewne było szczytem elegancji na którejś z odległych planet. Spodnie uszyto z lśniącej tkaniny o kwiecistym wzorze. Na skórze miał zbyt wiele pudru i nawet jak dla barona używał za dużo perfum.

Z wytwornym ukłonem znawca dobrych manier zatrzymał się przed wielkim fotelem barona.

- Dziękuję, mości baronie, za zaufanie, jakim raczyłeś mnie obdarzyć. – Miał aksamitny głos, a uśmiech tak promienny, jakby był przekonany, że gdyby tylko wszyscy trzymali się reguł dobrego tonu, Cesarstwo stałoby się doczesnym rajem. – Zapoznałem się ze wszystkim dostępnymi informacjami na twój temat i zgadzam się, że trzeba nieco popracować nad twoim wizerunkiem.

Baron, rozpierający się w fotelu na gryfich nogach, zdążył już pożałować, że posłuchał rady mentata. Rabban stał obok niego i przestępował z nogi na nogę. Dwuletni Feyd-Rautha zrobił dwa

niezgrabne kroki i wywrócił się na marmurową posadzkę. Cru odetchnął głęboko.

– Rozumiem, że moim zadaniem jest sprawienie, abyś wydawał się osobą miłą i godną szacunku.

– I lepiej żeby ci się udało – warknął Rabban – bo już rozesłaliśmy zaproszenia na bankiet.

Najwyraźniej ta informacja nie spodobała się Cru.

– Ile mamy czasu? I dlaczego wcześniej nie zasięgnęliście mojej porady?

– Z nikim nie zamierzam konsultować swoich decyzji – oznajmił baron głosem twardym jak skała Arrakis.

Cru nie dał się jednak zbić z tropu.

– No, proszę, widać, ile czeka nas pracy. Ten ton głosu, ten wyraz twarzy! – Długi palec oskarżycielsko wymierzył w twarz barona. – W ten sposób zrażasz, panie, do siebie wszystkich.

– Licz się ze słowami – prychnął Rabban, ale Cru specjalnie się tym nie przejął.

– Znacznie lepiej zabrzmiało to, gdy w głosie pojawił się ton powagi i troski. Na przykład: „Przepraszam, że nie spojrzałem na ten problem z pańskiego punktu widzenia, niemniej jednak postanowienie, jakie podjąłem, wydało mi się najlepsze. Być może, gdybyśmy wspólnie się nad tym zastanowili, doszlibyśmy do rozwiązania korzystnego dla obu stron, ale wykorzystamy to w przyszłości, bo teraz nic już nie da się zrobić”. – Cru rozłożył ręce w teatralnym geście, jak gdyby w oczekiwaniu na oklaski. – Czyż takie zachowanie nie odniesie lepszego skutku, mości baronie?

Baron najwyraźniej nie podzielał opinii mistrza z Chusuk, ale mentat uprzedził jego odpowiedź.

– Mój baronie, uzgodniliśmy przecież, że to eksperyment. Zawsze będziesz mógł wrócić do dawnych manier, jeśli uznasz, że nowe zupełnie ci nie odpowiadają.

Baron ponuro kiwnął głową Mephistis Cru uwijał się zaś wokół fotela jak fryga, pełen pomysłów i planów.

– Spokojnie, spokojnie. Oby tylko wystarczyło nam czasu. W każdym razie zrobimy, co w naszej mocy. Nikt nie jest doskonały. – Raz jeszcze spojrzał na Harkonnena krytycznym wzrokiem i oznajmił: – Cóż, warto łatwe zadania.

Pierwsza lekcja odbyła się w solarium na szczycie wieży. Przytłumione popołudniowe światło padało przez poplamione szyby na podłogę pomieszczenia, które w czasach lepszej formy barona służyło jako sala treningowa.

Baron stał podtrzymywany przez odciążaczowy pas, a Cru okrążał go, poprawiając ułożenie rękawów i fałd kaftana.

– Proszę się odprężyć, mości baronie. Muszę stwierdzić, że dopasowane stroje nie są godne polecenia w twoim przypadku, a raczej coś bardziej luźnego, mniej ograniczającego swobodę ruchów, na przykład... Na przykład toga!

– Krawcy natychmiast wykonają wszystkie polecenia – oznajmił stojący z boku de Vries.

Teraz Cru obejrzał Rabbana, który miał na sobie skórzany kaftan obrębiony futrem, buciory z metalowymi okuciami i szeroki pas, za którym sterczał pejcz z krwawinu. Włosy młodzieńca zwieszały się w strąkach. Cru ledwie udało się ukryć to, że sprawę uważał za beznadziejną, w każdym razie ponownie zwrócił się do barona.

– No cóż, zaczniemy od ciebie, mości panie. – Coś mu się przypomniało i pstryknął na de Vriesa. – Ale, ale, proszę dostarczyć mi listę zaproszonych gości, a ja opracuję zestaw komplementów, którymi mości baron będzie mógł zyskać sobie ich uznanie.

– Komplementów! – wykrzyknął poruszony do głębi Rabban, ale skulił się pod karcącym wzrokiem Vladimira.

Do talentów Cru należało między innymi to, że niełatwo było go obrazić. Wyciągnął z zanadrza

składaną miarkę i zaczął oceniać wymiary barona.

– Proszę się odprężyć. Ja sam zaczynam już odczuwać podniecenie na myśl o tym bankiecie.

Zatroszczymy się o najlepsze wina...

– Tylko nie z Kaladanu – wpadł mistrzowi w słowo Rabban, a baron zdecydowanie kiwnął głową.

Cru przygryzł wargi.

– No, to może prawie najlepsze. W każdym razie muzyka będzie wspaniała, a potrawy takie, że goście nigdy jeszcze lepszych nie zakosztowali. No i wspólnie będziemy musieli się zastanowić, jak uprzyjemnić wszystkim czas biesiady.

– Już wydałem dyspozycje, jeśli chodzi o walki gladiatorów – poinformował baron. – Tutaj, na Giedi Primie, to pradawna tradycja.

Na twarzy mistrza bon tonu pojawiło się przerażenie.

– Nie, absolutnie nie, mości baronie. Co do tego nie ustąpię. Żadnych walk gladiatorów. Rozlew krwi rodzi jak najgorsze skojarzenia, a przecież Landsraad ma cię po-lu-bić.

Widać było wyraźnie, że Rabban najchętniej przełożyłby Cru przez kolano i zlał go jak dzieciaka. De Vries znowu upomniał barona:

– To eksperyment, nic więcej, mój baronie.

Instruktor pracował nad niezliczonymi detalami przez żmudnie ciągnące się godziny. Pokazywał baronowi, jak jeść. Uczył, jak sięgać po sztucce, jak je trzymać, jak układać łokcie i dłonie. Ilekroć baron zrobił błąd, dostawał uderzenie miarką w kostki palców.

Potem de Vries przyprowadził wyrywającego się Feyd-Rauthę. Cru w pierwszej chwili bardzo się ucieszył na widok dziecka.

– W tym przypadku będziemy mogli od samego początku zatroszczyć się o maniere odpowiadające godności panicza.

Baron zmarszczył się, pomyślał bowiem o swym niedołężnym przyrodnim bracie, Abulurdzie.

– Staramy się wyplenić z niego słabości właściwe ojcu.

Potem Cru zażądał, aby baron się przeszedł. Uważnie śledził każdy krok, przyglądając się z różnych stron, a następnie popukał się w zamyśleniu palcem w wargi.

– Nie jest tak źle. Coś chyba uda się zrobić. – Na Rabbana spojrział o wiele surowiej. – Z tobą jednak, mości panie, musimy zacząć od podstaw. Krok, odpowiednia postawa. Przez życie należy stąpać wdzięcznie, nie jak tornado. Ale nie można też człapać niczym prostak.

Rabban był na skraju wybuchu. Cru otworzył małą walizeczkę, z której wydobył dwie matowe kulki, jedną czerwoną drugą zieloną po czym ujął je delikatnie, niczym bańki mydlane.

– Proszę się nie ruszać, mości panie. – Umieścił kulki na ramionach Rabbana. – Wonne zabaweczki z Chusuk, bardzo cenione przez dzieci, ale przydatne też w nauce. Bardzo łatwo się tłuką a pan za nic nie chce do tego dopuścić, prawda? – Zmarszczył nos i przytknął do swego uperfumowanego rękawa. – I teraz, proszę: z jak największą gracją a zarazem tak, aby żadne z tych cacek nie spadło.

– Rób, jak ci każe, Rabbanie – polecił baron. – To eksperyment, nic więcej.

Wystarczyło, by Rabban niechętnie zrobił dwa normalne kroki, a czerwona kulka rozbiła się o guzik na lewej piersi kurtki, kiedy zaś stropiony zatrzymał się, zielona kulka rozprysnęła się na czubku buta. Z obu wydobył się żółtawy, cuchnący opar, który owionął młodzieńca.

Mistrz etykiety zachichotał.

– Teraz chyba zgodzi się pan, że za nic pan nie chce, żeby się rozbiły, prawda?

Cru nie skończył jeszcze chichotać, kiedy jego krtań znalazła się w grubych łapskach Rabbana, który zacisnął je z taką furią jak niegdyś na szyi ojca.

Mistrz etykiety zapiszczał i zaczął się wywijać, ale w starciu z Bestią nie miał najmniejszych szans. Baron pozwolił, by szamotanina trwała kilkanaście sekund, nie chciał jednak, by gość z Chusuk zginął tak szybko i tak łatwo. Na jego znak de Vries wymierzył dwa ciosy kantem dłoni na tyle szybkie, że oszołomiony Rabban wypuścił swą ofiarę. Otaczał go smród tak natarczywy, że baron rozkaszał się.

– Wynoś się! – wrzasnął, na co Feyd-Rautha wybuchnął płaczem. – I zabierz ze sobą tego smarkacza! Ten fireyk ma rację. Prostak z ciebie i gbur! Nie ma dla ciebie miejsca na bankiecie! – Rabban poczuł się najwyraźniej dotknięty, ale już następne słowa stryja go udobruchały. – Chcę, żebyś podsłuchiwał rozmowy gości. To na pewno bardziej ci się spodoba.

Dopiero w tym momencie Rabban uzmysłowił sobie, że w ten sposób zostaje zwolniony z dalszych lekcji etykiety, i jeszcze bardziej się rozpogodził.

Mentat pomógł tymczasem Mephistisowi Cru podnieść się z ziemi. Na szyi nieszczęśnika już zdążyły pojawić się czerwone wylewy.

– Tttteraz... – wychrypiał – ...ttteraz może przejrzę listę dań, mości panie.

Chwiejąc się i zataczając, opuścił solarium. Baron obrzucił de Vriesa wściekłym spojrzeniem, pod którym ten aż się skulił.

– Cierpliwości, baronie. Jeszcze długa droga przed nami.

Władza to najbardziej niepewna ze wszystkich ludzkich zdobyczy. Wiara i władza nie dają się ze sobą pogodzić.

aksjomat Bene Gesserit

Z dużą czarną torbą w dłoni Hidar Fen Ajidica spieszonym krokiem wyminął stojących na warcie dwóch sardaukarów, którzy wyprężeni nawet nie drgnęli na jego widok.

Teraz, skokowo zwiększywszy produkcję ajidamalu, Ajidica regularnie pochłaniał ogromne dawki syntetycznej przyprawy i znajdował się w stanie niezwykle wyostrojonej świadomości. Ajidamal był nie tylko substytutem melanzu – był od niego lepszy.

Kątem oka dostrzegł ruch na skalnej ścianie. To smok latający, jaszczurka, która po najeździe Tleilaxan z górnych partii miasta przeniosła się w dolne, podobnie jak mrówki, chrząszcze i karaluchy. Jednym zwinnym ruchem żyjątko schowało się w jakiejś rozpadlinie.

Pomimo stosowania najostrzejszych środków dezynfekcyjnych, zwierzaki zaczynały pojawiać się także w budynkach laboratoryjnych, a co dopiero mówić o wojskowych... ale w tej chwili nic nie mogło wytrącić Ajidicę z entuzjastycznego nastroju.

Minał zaporę bioskanerów i wkroczył do sztabowego centrum bazy, gdzie skierował się wprost do gabinetu głównodowodzącego. Władczym ruchem ręki każąc adiutantom, by zeszli mu z drogi, otworzył drzwi, wszedł i bez pytania usiadł na żywym fotelu. Przez chwilę siedział z przymkniętymi oczami, gdyż właśnie nastąpił kolejny przyływ narkotykowej euforii.

Wysoki mężczyzna w szaro-czarnym mundurze oderwał wzrok od spożywanego właśnie obiadu. Komandor Cando Garon, syn Najwyższego Baszy Zuma Garona, często jadał sam. Chociaż nie ukończył jeszcze czterdziestki, wyglądał znacznie starzej, a jego brązowe włosy były gęsto poprządkane siwizną. Po długich latach przebywania w podziemiach globu, gdzie skierował go rozkaz Cesarza, jego skóra zszarzała. Ojciec był dumny z tego, że to jego synowi przypadła w udziale

zaszczytna rola ochrony supertajnych badań.

Komandor spojrział badawczo na Ajidicę, a potem podniósł do ust widelec z ryżem pundi i mięsem, co stanowiło podstawową zawartość sardaukarskich racji żywnościowych.

– Chciał się pan ze mną widzieć, Mistrzu Badań? Czy moi ludzie mają w czymś pomóc?

– Nie, nie, panie dowódco. Żadnych problemów. Wprost przeciwnie, tym razem o nic nie proszę, a sam przynoszę podarunek. – Mały człowieczek poprawił się na niezbyt przychylnym żywym fotelu i położył na blacie małą saszetkę wyjętą z większej torby. – Pańscy podwładni doskonale wypełnili swoje zadania i to dzięki nim w dużej mierze nasze długoletnie prace zostały ostatecznie zwieńczone powodzeniem. – Komplementy te z trudem przechodziły Ajidicy przez gardło. – Oficjalne podziękowania wyślę na ręce pańskiego ojca, na razie jednak przygotowałem dar specjalnie dla pana, za pozwoleniem Jego Cesarskiej Mości.

Garon rozwiązał saszetkę, wyjął z niej mały pakunek i przyjrzał mu się z daleka, jakby w obawie, że może wybuchnąć. Potem przytknął pakiecik do nosa.

– Melanz? – Wysypał z torebki kilkanaście podobnych pakunczków. – To o wiele za dużo jak dla mnie.

– Przecież mógłby pan wręczyć trochę swoim najbardziej zaufanym oficerom. Mówiąc szczerze, mógłbym dostarczyć tego więcej.

Garon przekrzywił lekko głowę.

– Próbuje mnie pan przekupić?

– Nie chcę niczego w zamian, dowódco. Tak pan, jak i ja, służyliśmy tylko planom naszego władcy. – Ajidica leciutko się uśmiechnął. – Substancja ta pochodzi z naszych laboratoriów, nie z Arrakis. Udało nam się nadać esencji przyprawowej niepłynną postać. Nasze zbiorniki aksolotłowe wykorzystują teraz wszystkie swe moce produkcyjne. Już wkrótce melanz popłynie szerokim strumieniem... do tych, którzy na to zasługują. Korzystać z niego będą nie tylko Gildia, ZNAH czy bogacze...

Ajidica otworzył jeden z pakunków i wysypał sztuczną przyprawę na dłoń.

– Proszę spojrzeć, spróbować, najwyższa czystość.

– Nie przypuszczam, żeby mnie pan okłamywał, Mistrzu Badań. – Garon wziął trochę proszku, powąchał go, spróbował końcem języka, potem wziął większą porcję. Poczł mrowienie w zakończeniach nerwowych, a jego skóra zarumieniła się. Z trudem powstrzymał się od sięgnięcia po większą dawkę. – Kiedy wszystkie testy zostaną ukończone, z pewnością znajdę pośród swoich podkomendnych takich, którzy jak najbardziej zasłużyli sobie na nagrodę.

Ajidica opuszczał bazę zadowolony, rozmyślając, czy istotnie będzie miał pożytek z tego oficera. Zawsze było ryzykowne, ufać komuś z niewiernych, powindahów, ale spośród nich Ajidica najmniej zastrzeżeń miał do nielubiących pustostłowa żołnierzy. Szczególnie gdy można było poddać ich kontroli. To zaś umożliwiała syntetyczna przyprawa.

Snując wielkie wizje, Ajidica wśliznął się do kapsuły. Jeszcze trochę, a opuści wreszcie przekłętą Xuttuh i wyniesie się tam, gdzie spokojnie i metodycznie będzie umacniał swą władzę. Oby tylko Cesarz i ten jego węszący szpicel, Fenring, odrobinę dłużej dali się wodzić za nos.

Kiedyś, rzecz jasna, będzie musiał zetrzeć się z obalonym Szaddamem, a także z tymi z wyrodnych Tleilaxan, którzy zeszli z drogi Wielkiej Wiary. Do tego oprócz wiernych Tancerzy Oblicza i szpiegów będą mu potrzebni lojalni żołnierze. Z tych legionów sardaukarów będzie duży pożytek... gdy tylko uzależni ich od sztucznej przyprawy.

Pośród istot wrażliwych tylko ludzie nieustannie zabiegają o to, czego nieosiągalności są świadomi, a trwają w tej postawie na przekór ciągłym porażkom. Cecha ta odpowiedzialna jest za znakomite osiągnięcia pojedynczych przedstawicieli tego gatunku, ale tych, którzy nie osiągają tego, do czego dążą, skazuje na wielkie kłopoty.

z seminarium Bene Gesserit
Co to znaczy być człowiekiem?

Jessika nigdy nie widziała budowli większej od cesarskiego pałacu, wielkiej niczym miasto siedziby Cesarza Miliona Planet. Miała tu pozostać przez najbliższe miesiące u boku lady Aniruli Korrino, oficjalnie jako jej dwórka, ale... Podejrzewała, że zakon wiąże z nią jakieś nieujawnione dotąd plany.

Kolejne pokolenia cesarskiego rodu gromadziły bogactwa znanego wszechświata i korzystały z pomysłowości najwybitniejszych rzemieślników, budowniczych i artystów. W efekcie powstała budowla jak z baśni, z niezliczonymi balkonami, tarasami, dachami i wieżycami, których migotliwe szpice godziły w niebo. Nawet Kryształowy Pałac na Balucie nie mógł się z nią równać. Poprzedni Cesarz, arogancko obnoszący się ze swym agnostycyzmem, mawiał, że nawet Bóg nie może mieć piękniejszego domostwa.

I kiedy teraz Jessika stała naprzeciw tego ogromu, musiała przyznać, że nie były to słowa całkowicie bezzasadne. Bardzo musiała się starać, aby swych emocji nie ujawnić towarzyszącej jej Wielebnej Matce Mohiam.

W swych jednobarwnych czarnych szatach stanowiły przykry kontrast ze ścianami wielkiego holu wyłożonymi bezcennymi czarmieniami, na których matowej powierzchni tańczyły różnobarwne odcienie. Wystarczyło dotknąć kamienia końcem palca, a pod wpływem temperatury natychmiast zmieniał kolor.

W towarzystwie czujnych gwardzistów sardaukarskich wyszła im na spotkanie wysoka kobieta. W eleganckiej, białej sukni i naszyjniku z czarnych pereł, poruszała się z wdziękiem znamionującym Bene Gesserit. Kiedy uśmiechnęła się do Jessiki, w kącikach wielkich, sarnich oczu pojawiły się sympatyczne zmarszczki.

– Trochę tu inaczej niż na Wallach – powiedziała – czy na zimnym i deszczowym Kaladanie, prawda? – Wypowiadając te słowa, lady Anirula omiotła wzrokiem ekstrawagancki wystrój pałacu, jak gdyby zobaczyła go po raz pierwszy. – Wystarczy tydzień, dwa, a już nie będziesz chciała stąd odjeżdżać. – Postąpiła o krok i bez żenady położyła dłoń na brzuchu Jessiki. – Nie ma lepszego miejsca na narodziny twojej córki.

Wydawało się, że przez dotyk Anirula chce się zorientować w kondycji dziecka, a może płci.

Jessika zachnęła się, a Mohiam spojrzała na nią tak, że poczuła się naga, jak gdyby jej ukochana, a zarazem znienawidzona nauczycielka potrafiła czytać w myślach. Swoje zmieszanie pokryła dwornością.

– Jestem wdzięczna, lady Anirulo, za pobyt tutaj i twoją życzliwość. Z najwyższą chęcią wypełnię wszystkie obowiązki, jakie mi wyznaczysz, ale po narodzinach dziecka muszę wracać na Kaladan, gdzie czeka na mnie mój książę.

Natychmiast w duchu ofuknęła samą siebie. „Nie powinnam pokazywać, jak mi na nim zależy!”

– Oczywiście – odrzekła Anirula. – Jeśli taka będzie wola zakonu – dorzuciła zaraz, myśląc jednocześnie, że kiedy Bene Gesserit będą już mieć dziewczynkę łączącą w sobie nici genetyczne Harkonnenów i Atrydów, książę Leto i jego ród stracą dla nich jakiegokolwiek znaczenie.

Anirula poprowadziła obie siostry zakonne przez długi ciąg okazałych pomieszczeń, aż dotarły do wyznaczonego dla Jessiki apartamentu na drugim piętrze. Jessika szła z wysoko uniesioną głową zarazem jednak zastanawiała się, dlaczego sama Cesarzowa wychodzi na spotkanie komuś, kto ma być tylko jej damą do towarzystwa. Na dodatek mieszkać miała tuż obok pokoi Aniruli i cesarskiej Prawdomównicy.

– Musisz teraz odpocząć, Jessiko – powiedziała Anirula i znacząco spojrzała na jej brzuch. – Jak najwięcej troski o córkę. Jest bardzo ważna dla naszego zakonu. Córki to prawdziwy skarb – dodała z uśmiechem.

Jessika znowu poczuła się zakłopotana.

– W twoim przypadku, moja pani, aż pięciokrotnie – powiedziała.

Mohiam spojrzała bacznie na Jessikę. Wszystkie wiedziały, że Anirula rodzi same córki, gdyż takie otrzymała instrukcje od swych zwierzchniczek. Ponieważ Jessika oznajmiła, że istotnie czuje się zmęczona, Cesarzowa i Mohiam wnet ją opuściły.

Zostawszy sama, Jessika nie położyła się jednak, aby odpocząć, lecz zasiadła nad długim listem do Leta.

Wieczorem uczestniczyła w wystawnej wieczerzy, która odbyła się w Pawilonie Kontemplacji Herbacianej. Był to bogato zdobiony budynek w centrum ogrodu. Jego ściany zdobiły płaskorzeźby z kwiatami, drzewami i mitycznymi zwierzętami. Służba nosiła eleganckie liberie z wielkimi mankietami i dzwoneczkami zwieszającymi się z każdego guzika. W pawilonie swobodnie fruwały ptaki, a za oknami dumnie kroczyły wielkie cesarskie pawie.

Także strojność i krzykliwość ubioru Cesarza i jego małżonki przywodziły na myśl pawie. Szaddam miał na sobie szkarłatny kaftan z biegnącą na ukos przez pierś czerwoną szarfą, którą zdobił złoty lew Korrinów. Podobna, chociaż węższa szarfa zdobiła lśniąca suknię Aniruli, przetykaną platynową nitką.

Jessika ubrała wieczorową suknię z żółtego szyfonu, którą otrzymała od Cesarzowej, podobnie jak bezcenny naszyjnik z niebieskich szafirów i dopasowane do niego kolczyki. Tuż obok Aniruli miejsca zajęły trzy z jej pięciu córek: Chalicea, Wensicja i Josifa. Najmłodszą Rugią opiekowała się niańka, natomiast najstarsza, Irulana, nie pojawiła się.

– Lady Anirulo, bardziej czuję się honorowym gościem niż damą do towarzystwa – powiedziała Jessika, muskając końcami palców naszyjnik.

– Bo też istotnie, w tej chwili jesteś przede wszystkim gościem. Na nużące obowiązki przyjdzie jeszcze czas, możesz mi wierzyć – odparła z uśmiechem Anirula. Cesarz całkowicie ignorował ich obecność. Przez całą wieczerzę milczał, szczerze racząc się nieopisanie drogim czerwonym winem. W efekcie niewiele też mówili inni biesiadnicy i posiłek szybko dobiegł końca. Anirula wypytywała córki, czego się ostatnio nauczyły i w co się bawiły w niezliczonych ogrodach pałacowych.

Nachyliła się do Josify z powagą w oczach, chociaż na jej wargach igrał żartobliwy uśmieszek.

– Zabawa zabawą ale trzeba uważać, Josifo. Słyszałam, że była kiedyś dziewczynka, zdaje się w twoim wieku, która chciała się bawić w pałacu w chowanego. Opiekunka przestrzegła ją że pałac jest na to zbyt wielki, ale uparciucha chowała się w różnych miejscach, aż pewnego razu znikła na dobre i nikt jej nie mógł odnaleźć. Niewykluczone, że ktoś gdzieś kiedyś natknie się na jej mały szkielecik.

Josifa spojrzała na matkę z niepokojem, ale Chalicea prychnęła pogardliwie.

– To nieprawda. Na pewno!

Wensicja, druga co do wieku, pytała Jessikę o Kaladan, jego pałac i zasobność planety, a głos przy

tym miała stanowczy i niemal natarczywy.

– Księciu Leto na niczym nie zbywa, a przede wszystkim cieszy się miłością swoich poddanych. – W twarzy królewskiej córki widziała wielką ambicję. – I dlatego można powiedzieć, że ród Atrydów jest naprawdę bogaty.

Cesarz nie zwracał przy stole uwagi ani na swoje córki, ani na żonę. Prawie w ogóle nie raczył zauważyć Jessiki, z wyjątkiem chwili, gdy wspomniała o Lecie – ale nawet wtedy sprawiał wrażenie, że nie przykłada żadnej wagi do jej opinii.

Po wieczery Anirula zaprosiła starannie dobrane towarzystwo do niewielkiej sali widowiskowej w innym skrzydle pałacu.

– Chodźcie, Irulana ćwiczyła od kilku tygodni i z pewnością ucieszy się, że będzie miała wytrawnych słuchaczy.

Szaddam miał taką minę, jak gdyby chodziło o spełnienie kolejnego z cesarskich obowiązków.

W sali wysoki, upstrzony złotymi płatkami sufit wspierały ręcznie rzeźbione kolumny z Tanirau, a ściany udrapowane były materiałem naśladowującym niebo z lekkimi obłoczkami. Na scenie stało wielkie pianino z rubinowego kwarcu wydobywanego na Hagalu, w którego pudle rozpięto krystaliczne struny.

Służący w cesarskich liberiach poprowadzili rodzinę cesarską do miejsc, skąd najlepiej było widać scenę, reszta gości, przejęta samym faktem zaproszenia, zajęła pozostałe fotele. Kiedy wszyscy już się rozsiedli, na scenie wyprostowana niczym sosna pojawiła się jedenastoletnia księżniczka Irulana w sukni z niebieskiego aksamitu. Wysoka dziewczyna o długich blond włosach i klasycznej urodzie nosiła się z wystudiowaną dumą. Spojrzała na rodziców w małej loży i złożyła im sztywny ukłon.

Jessika przypatrywała się jej uważnie. Każdy ruch dziewczynki wydawał się zaplanowany, jak gdyby długo i starannie je ćwiczyła. Wiedząc, jak ją samą kształtowała Mohiam, bez trudu mogła teraz dostrzec w Irulanie wpływ Aniruli, która najwyraźniej wychowywała córkę w zgodzie z zasadami zakonu.

Irulana zdążyła już zasłynąć inteligencją i talentem literackim, który pozwalał jej budować kunsztowne sonety, ale jeszcze wcześniej, bo już w wieku czterech lat, objawiły się jej wielkie zdolności muzyczne.

– Jestem z niej bardzo dumna – szepnęła Anirula do Jessiki, która zajęła miejsce tuż za nią. – Ma zadatki na prawdziwą wielkość i to zarówno jako księżniczka, jak i Bene Gesserit.

Irulana jeszcze jednym uśmiechem obdarzyła ojca, jak gdyby liczyła na to, że na jego drewnianej twarzy pojawi się jakiś cieplejszy wyraz, potem spojrzała na publiczność, majestatycznie zasiadła na taborecie z rubinowego kwarcu i ułożyła suknię. Na chwilę zastygła, zbierając się w sobie, aż wreszcie jej długie palce pomknęły po wykładanych czarmieniami klawiszach, napełniając powietrze słodkimi dźwiękami. Odegrała składankę melodii najwybitniejszych kompozytorów.

Pod wpływem muzyki Jessika odczuła smutek. Być może tony wywierały na nią wpływ gdzieś na poziomie wręcz komórkowym. Cóż za ironia losu, że znalazła się na Kaitain, ani przez chwilę tego nie pragnąc, podczas gdy nie udało się tego osiągnąć pierwszej konkubinie Leta, Kailei, która tak marzyła o ceremonialnym życiu i luksusach. Jessika tymczasem już teraz odczuwała palącą tęsknotę za księciem Leto. Głowa Szaddama pochyliła się, jak gdyby zasnął, a Jessika pochwyciła pełne niesmaku spojrzenie Aniruli.

„Nie wszystko układa się gładko na Kaitain” – pomyślała.

Zakonowi żeńskiemu nie potrzeba archeologów. Jako Wielebne Matki same jesteśmy ucieleśnieniem historii.

z nauk Bene Gesserit

Czerwona łuna oświetlała pomarszczoną twarz Matki Przełożonej Harishki. Z wielkiej kadzi dochodził zapach stopów metalu, elementów elektrycznych, substancji plastycznych. Siostry ustawiły się w kolejce do pieca, a każda trzymała w rękach jeden element z wraka maszyny Harkonnenów. Niczym pierwotni ludzie, składający ofiary bogom wulkanów, ciskały części w płomienną czelusć.

Tajemniczy statek zamieniał się w gęstą lawę. Przemysłowe generatory termiczne wyparowywały substancje organiczne, zniszczone polimery i nadtopione metale – nawet hartowane płyty kadłuba. Nie mógł pozostać żaden element, żaden szczegół.

Kiedy siostry skutecznie zmieniły wspomnienia trzech przybyszów z Richese, Harishka uznała, że nie znają żadnych informacji, które pozwoliłyby odtworzyć dzieło Chobyna, wystarczy więc, by Bene Gesserit całkowicie unicestwiły resztki maszyny, a złowroga technologia także szcześnie raz na zawsze.

Niczym czarne mrówki siostry uwijały się między kadłubem a piecem u stóp ściany kamieniołomu. Przy użyciu laserowych przetnic cięły wrak na części. Matka Przełożona wątpiła wprawdzie, czy cokolwiek można by wywnioskować z tych fragmentów, ale wolała nie ryzykować: zniszczyć należy wszystko, do ostatniej części.

Teraz grupa pod wodzą siostry Cristane podeszła z pełnym drutów i przewodów generatorem mocy, którego działania nie potrafiły pojąć, a który jednak, jak się zdawało, pełnił kluczową rolę przy wytwarzaniu ekranu zapewniającego niewidzialność. Cristane wpatrywała się przez chwilę w ogień, nie zwracając uwagi na gorąco zarumieniające jej twarz i mogące zagrozić brwiom, a potem, mrużąc jakąś modlitwę, ruchem ręki nakazała cisnąć weń urządzenie i uważnie patrzyła, jak się rozpada.

Także Harishka przypatrywała się temu i poczuła, jak coś porusza się w Pamięci Innych: podobne wspomnienie z jakiegoś odległego życia. Z głębin pamięci nadpłynęło imię: Lata.

Ówczesny język był nazbyt sztywny, aby oddać subtelności, ale dobrze przeżyła życie. Był dzień, gdy spoglądała, jak mężczyźni pompują miechy, rozpalając ogień pod kamiennym paleniskiem zbudowanym nad jeziorem. Wytapiali rudę żelaza – być może z meteorytu – a metalu używali następnie do wytwarzania broni i narzędzi.

Przemykając przez dawne wspomnienia, Harishka odnotowywała kolejne etapy rozwojowe metalurgii, oddającej ludziom do usług miedź, brąz, wyrefinowaną stal. Wynalazki te decydowały o karierach wojowników, którzy, dysponując bardziej śmiertelną bronią zmuszali do posłuszeństwa swych poddanych. Pamięć Innych zachowywała tylko doświadczenia kobiet, Harishka więc przyglądała się wojnom i zbrojeniom z ubocza, oczami tych, które przyrządzały jedzenie, szyły ubrania, rodziły dzieci i chowały je...

Niekiedy jej siostry stosowały dawne techniki, aby nie pozwolić na szerzenie się nowych. Podobnie i teraz Harishka nie chciała robić użytku z broni, która przypadkiem dostała się do ich rąk, ale pragnęła to także uniemożliwić innym.

W płomienie leciały następne części. Dym kłębił się coraz gęściej, ale Harishka nie cofnęła się ani o krok. Magmę wykorzysta się potem na rzeczy przydatne siostronom, niczym biblijne miecze przetopione na lemiesz.

Harishki nie odstępował jednak niepokój, chociaż niemożliwe już było, by ktokolwiek odtworzył

generator niewidzialności. Siostry zbadały wcześniej maszynę detal po detalu, a chociaż z tych nie został już nawet ślad materialny, to wszystkie zostały dokładnie utrwalone w pamięci, i to niejednej. Kiedyś przeniosą się do Pamięci Innych i tak zamknięte w kolektywnej świadomości Bene Gesserit będą trwały wieki.

Jeszcze tylko ostatnia siostra, jeszcze tylko ostatni przedmiot lejący w ognistą otchłań – i oto dokonała się materialna śmierć niewidzialnej maszyny.

Dylematem wszystkich rządów jest to, że władza nie jest darzona miłością.

**Cesarz Padyszach Hassik III,
prywatne dzienniki z Kaitain**

Nigdy jeszcze na Giedi Primie nie odbyło się przyjęcie równie wystawne jak bankiet barona. Po wszystkich udrękach związanych z lekcjami Mephistisa Cru, baron bardzo wątpił, czy kiedykolwiek jeszcze podda się tak nieprzyjemnej próbie.

Piter de Vries nieustannie mu przypominał, jakie racje stały za tym posunięciem.

– Landsraad zacznie inaczej na ciebie spoglądać, mój baronie. Pamiętaj o tym, jakim uznaniem cieszy się Leto Atryda, co sprawiło, że jego bezceremonialna akcja na Beakkalu spotkała się niemal z aplauzem. Musisz i ty zyskać te atuty.

Przejrzawszy listę zaproszonych gości, mistrz etykiety z przerażeniem stwierdził, że znaleźli się na niej przedstawiciele nienawidzących się rodów Grummanów i Ekazów, co można było przyrównać do umieszczenia w sali biesiadnej odbezpieczonej bomby zegarowej. Po zaciętej dyskusji baron niechętnie przystał na to, aby odwołać zaproszenie dla arcyksięcia Armanda Ekaza, a na de Vriesa scedował wszystkie dalsze decyzje co do zaproszeń i mentat nie na żarty zaczął się lękać, że impreza zakończy się jego egzekucją.

Strapienie mentata było dla barona źródłem niekłamanej radości, lubił bowiem, kiedy inni czuli się niepewni i zagrożeni.

Nadszedł wreszcie dzień bankietu. Przybyszów z pokładu liniowca dostarczały na powierzchnię Giedi Primy promy. Baron, odziany w luźne szaty maskujące tuszę i ukrywające odciążaczowy pas, oczekiwał gości w bogato ornamentowanej bramie wejściowej. Jej lekko tylko rozsunięte wierzeje, najeżone lśniąco w pomarańczowej łunie Harko ostrymi szpicami, przywodziły na myśl rozchyloną paszczkę smoka.

Każdego z przybyłych baron witał z tak niespotykaną u niego wylewnością i uprzejmością, że niektórzy z gości popatrywali nań z takim wyrazem twarzy, jakby mówił w jakimś egzotycznym języku.

Musiał przystać na to, by każdemu z przyjezdnych towarzyszyła jedna osoba eskorty. Mephistis Cru bardzo na to kręcił nosem, ale zaproszeni nie chcieli się stawić bez takiej gwarancji. Wszyscy bez wyjątku uważali, że za najbardziej niewinnym gestem Harkonnenów może kryć się bardzo nieprzyjemna treść. Nawet teraz, kiedy skupili się w wielkim holu, czekając na dalszy ciąg, ukradkiem wypytywali się wzajemnie, czego też baron może od nich chcieć.

Baron zwrócił się nareszcie do wszystkich gości.

– Serdecznie witam was wszystkich, szanowni państwo – powiedział, unosząc skrzącą się od pierścieni dłoń. – Rody nasze znają się od wieków, a przecież jak nielicznych z nas wiąże

prawdziwa przyjaźń. Doszedłem do przekonania, że należy zmienić atmosferę panującą pośród rodów Landsraadu. – Uśmiechnął się szeroko, a ponieważ nie był nawykły do tego układu twarzy, miał wrażenie, że popękają mu kąciki ust. Gdyby te słowa wymówił Leto Atryda, ściany już by się zatrzęsły od okrzyków, on tymczasem widział dookoła zmarszczone czoła, wykrzywione usta, podejrzliwe uśmieszki.

Cru napisał mu tekst wystąpienia, ale słowa grzęzły baronowi w gardle.

– Dla niektórych z was może to stanowić zaskoczenie, ale oświadczam, co mówię solennie, że to zaproszenie jest całkowicie bezinteresowne. Chcę się cieszyć waszym towarzystwem, a także, abyście i wy miło spędzili tutaj czas i wrócili do swych domów z lepszą opinią o rodzie Harkonnenów.

Stary hrabia Ilban Richese zrobił szeroki gest ręką i zawołał:

– Tak, tak, baronie! – W jego niebieskich oczach pojawiły się iskierki zachwytu. – Zawsze wiedziałem, że w głębi serca jesteś wrażliwym człowiekiem.

Baron z powagą przytaknął, chociaż z drugiej strony uważał Richese za durnia, który troszczy się przede wszystkim o infantylne przyjemności swoich dorosłych dzieci, zamiast chociażby wykorzystać dla swego rodu upadek Verniusów i technicznej potęgi IX. Tak czy owak, sojusznik to sojusznik.

Na szczęście dla rodu, premier Ein Calimar miał dostateczne kompetencje, aby zajmować się sprawami technicznymi nawet w czasach zamętu, chociaż jednak baron wiele prowadził interesów z Calimarem, teraz myślał o nim niechętnie, jako że ostatnimi czasy ten naprzykrzał się tylko żądaniem pieniędzy, jakie ród Harkonnenów miał być ponoć winny za usługi doktora Suk Wellingtona Yueha. Pieniądzy tych Vladimir Harkonnen nie zamierzał nigdy zapłacić.

– Przyjaźń i pokój... Cóż to za piękne słowa, baronie – dodał wicehrabia Hundro Moritani, z bujną grzywą czarnych włosów i krzaczastymi brwiami nad czarnymi, uważnymi oczami. – Których doprawdy nie spodziewaliśmy się usłyszeć tutaj.

Baron postarał się nie dosłyszeć złośliwej aluzji.

– Nie wolno sądzić po pozorach – powiedział z uśmiechem przyklejonym do ust.

Moritani nigdy nie omieszkął uczynić złośliwej aluzji, jeśli tylko była po temu okazja, a tę potrafił znaleźć zawsze. Nie ograniczał się zresztą tylko do docinków. Wiodł armie Grumman na brawurowe, często graniczące z szaleństwem wyprawy, gwałcąc prawa Cesarstwa i bezlitośnie rozprawiając się z każdym przeciwnikiem. Baron może i widziałby w nim potencjalnego sprzymierzeńca, gdyby poczynania Moritanich nie były tak nieprzewidywalne.

Tuż obok wicehrabiego stał rudowłosy mistrz miecza z oznaką ukończenia szkoły na Ginaz. Hiihowi Resserowi, jako jedynemu z Grumman, udało się dotrzeć do końca nauk, a jednak w jego postawie więcej było niepokoju niż pewności siebie. Widok Ressera przypominał baronowi, że Harkonnenowie nie mieli żadnego mistrza miecza. Musi chyba wysłać na Ginaz starannie dobranych kandydatów.

Stawiając lekkie kroki – dzięki pasowi odciążaczowemu – baron poprowadził gości w głąb twierdzy. Na ścianach wisiały przywiezione z różnych stron Cesarstwa kwiaty, albowiem rośliny dostępne na Giedi Primie okazały się, jak to ujął mistrz etykiety, „rozczarowujące”. W efekcie baron z trudem oddychał we własnej siedzibie.

W sali audiencyjnej wyprostowani jak struny stali już służący z tacami, na których w kryształowych karafkach z Balutu czekały na chętnych trunki. Na niskim podium trzech muzyki sprowadzeni przez Cru z Chusuk grali na misternych balisetach gładkie i przyjemne melodie. Baron krążył między gośćmi, przysłuchując się grzecznie, dorzucając komplementy, wdzięcząc się tak, że sam siebie za to nienawidził.

Po kilku drinkach sownie przygotowanych melancją nastąpiło ogólne odprężenie, a rozmowy, jak zwykle, potoczyły się wokół dyrektorów ZNAH-u, polowań na odległych planetach i oburzających taryf Gildii.

Baron szybko wypił dwie duże lampki brandy kirana, wcale nie przejmując się faktem, że w ten sposób na początku bankietu w dwójnasób przekracza miarę wyznaczoną mu przez tego fircyka, Cru. Mięśnie twarzy chciały jak najprędzej powrócić do zwykłego, ponurego układu, gładkie słowa stawały w gardle niczym ostre okruchy szkła.

Przyszedł czas siadać do stołu, baron więc powiódł gości do wielkiej jadalni, chociaż najchętniej już teraz, zaraz, rozpędziłby ich na cztery wiatry z tą ich całą bezsensowną gadaniną. Hrabia Richese paplał wciąż o swych dzieciach i wnukach, jak gdyby kogokolwiek mogło to interesować. Wydawało się, że nie ma złe Harkonnenom, że zastąpili jego ród na Arrakis. Taki ubytek bogactwa, a ten beztrąsko sobie gędzi!

Wszyscy zajęli wyznaczone miejsca, aczkolwiek przyboczni dyskretnie sprawdzili najpierw, czy nie ma jakichś pułapek. Ogromny stół wykonany był z drewna elakkijskiego, na którego lśniącej powierzchni iskrzyły się wysepki porcelany i kryształowych pucharów. Potrawy wyglądały tak smakowicie, że ślina sama płynęła do ust.

Za fotelem każdego gościa zajęli miejsce urodziwi chłopcy o mlecznej skórze. Baron sam ich wyszukiwał pośród uliczników, których najpierw nauczono karności, a potem umyło i wypielęgowano.

Zwalisty gospodarz osunął się na szerokie, specjalnie zaprojektowane siedzisko i dał znak, aby zaczęto podawać przekąski. W sali jadalnej rozwieszono chronometry, aby każdy mógł śledzić, jak chwile upływają jedna za drugą. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie skończy się ten upiorny spektakl.

Rabban z rozkoszą zasiadł w salce nasłuchowej i śledził wszystkie prowadzone rozmowy. Kierował paraboliczny mikrofon to na jedne, to na inne poruszające się usta w nadziei, że pochwyti jakąś kłopotliwą plotkę, może nawet nieostrożnie ujawniony sekret. Tymczasem nic tylko nudy takie, że flaki się w nim przewracały.

Wszyscy goście mieli się jednak na baczności i ostrożnie dobierali słowa. Rabban był coraz bardziej sfrustrowany.

– Tu jest nudniej niż tam, na sali – burknął do mentata, który też czujnie wszystkiemu się przysłuchiwał.

De Vries zmarszczył brwi.

– Nic innego mi nie pozostaje, niż nieść w pamięci każdą durną frazę, bagatelne zdanie, podczas gdy z twojego mózdzku wyparują one za kilka dni.

– Całe szczęście – z uśmiechem odrzekł Rabban.

Na monitorze o wielkiej rozdzielczości patrzyli, jak podawane jest główne danie. Raban oblizał się łakomie, wiedząc, że dla niego zostaną tylko ostatki, jeśli jednak tylko za taką cenę można było wywinąć się z pojawienia się w tym rozgdakanyim tłumie nadętego ptactwa... akceptował ją. Lepsze zimne jadlo niż układna galanteria.

Nieustannie nadzorujący tysiące szczegółów Mephistis Cru zajrzał do salki w przekonaniu, że to pomieszczenie kredensowe, i znieruchomiał na widok Rabbana i de Vriesa. Odruchowo dotknął szyi, na której warstwy pudru pokryły ślady po niedawnym uścisku Bestii.

– O, przepraszam – bąknął, ale zaraz przyjął dworną postawę. – Nie chciałem przeszkadzać. – Skłonił się przed de Vriesem, którego błędnie uważał za sojusznika. – Uroczystość przebiega, jak

śmiem sądzić, znakomicie. Baron świetnie sobie radzi.

Rabban prychnął, a Cru na wszelki wypadek natychmiast się ulotnił.

De Vries wrócił do podsłuchiwania, mając nadzieję, że wydarzy się jeszcze coś, co sprawi, że nie będzie to wieczór zupełnie zmarnowany.

– Jakież piękny dzieciak! – zakrzyknął hrabia Richese na widok Feyd-Rauthy. Chłopaczek o gładkich włosach znał już wiele słów i potrafił uzyskać to, na czym mu zależało. Hrabia wyciągnął rękę. – Mogę go chwilę potrzymać?

Baron kiwnął głową i służący przyprowadził Feyd-Rauthę do hrabiego, który zaczął go bujać na kolanie. Malec nie zaczął chichotać, co nieco stropiło Ilbana, który jednak sięgnął po kielich wina i powiedział:

– Proponuję wznieść toast za zdrowie tego chwata!

Wszyscy goście zgodnie wypili, a baron pomyślał, że być może jego najmłodszemu bratankowi czas już zmienić pieluchę, ale o tym najlepiej niech się przekona sam Richese.

Feyd wypowiedział kilka słów, ale tylko Vladimir wiedział, że w jego dziecięcym języku są to określenia ekskrementów. Ilban natomiast wydawał się wniebowzięty i szczebiocząc, zawołał:

– Zobacz, skarbie! Czas na deser. Lubisz słodczy, prawda?

Baron poprawił się na fotelu, rad, że biesiada zbliża się ku końcowi, a także z tego względu, iż sam, bez żadnych porad mistrza etykiety, przygotował tę część wieczery. Miał nadzieję, że jego małe dowcip spodoba się gościom.

Sześciu służących ułożyło na stole długie na dwa metry ciasto w kształcie piaskala, przystrojone ozdobami z melanzu.

– Oto symbol panowania Harkonnenów nad Arrakis – zagrzmiał baron, a hrabia Richese przyłączył się do zbiorowego aplauzu, jakby niepomyślny tego, że to jego ród dzierżył niegdyś władzę nad planetą piaskali.

Baron nie mógł się doczekać chwili, gdy pojawi się ukryta wewnątrz niespodzianka.

– Tutaj, tutaj, patrz, zuchu – ciasteczko! – Ilban postawił Feyda na stole, ku niesłychanemu zgorszeniu Mephistisa Cru.

Jeden ze służących przekroił ciasto wzdłuż. Goście nachylili się, aby lepiej widzieć, a hrabia Richese wychylił małego Feyda do przodu. Wewnątrz ciasta roilo się od wąskich, długich kształtów, mających kojarzyć się z pustynnymi robakami. Nieszkodliwe węże odurzono i wepchnięto do gotowego wypieku, w którym wiły się teraz niczym macki jakiegoś zwierzęcia. Pyszny, małe dowcip.

Feyd wydawał się zachwycony, natomiast Ilban Richese z trudem zdusił krzyk. Biesiadnicy byli przekonani, że ich pierwotne podejrzenia wcale nie były bezpodstawne. Hrabia gwałtownym ruchem zestawiał chłopca na podłogę, przewracając przy tym swój fotel. Feyd głośno protestował, przybocznicy zajęli postawy bojowe, aby bronić swoich panów.

Po drugiej stronie stołu gwałtownie poderwał się wicehrabia Moritani z oczami pełnymi furii, za nim sprężył się do skoku Hiih Resser. Wicehrabia przekręcił bransoletę na przegubie i promień z ukrytego lasera posiekał węże, podrygujące teraz między kawałkami ciasta.

W jadalni podniósł się krzyk, goście rzucili się do wyjść. Mephistis Cru starał się ich powstrzymać, wymachując rękami i nawołując do spokoju.

Nie mógł jednak powstrzymać piekła, które się rozpętało.

Im bardziej zwarta grupa, tym większa potrzeba ścisłej hierarchii i wyraźnie odróżnionych rang.

z nauk Bene Gesserit

Odziany w tradycyjną dzubbę z kapturem Liet-Kynes znówu stał na balkonie, z wysoka spoglądając na salę zebrania siczy. Tutaj o wiele bardziej czuł się u siebie niż w wielkich pomieszczeniach Kaitain, ale też i znacznie większa ciążyła na nim odpowiedzialność, gdyż tutaj mówiło się o rzeczach, które zadecydują o przyszłości każdego człowieka mieszkającego na Diunie.

Wczorajsza narada przebiegła gładko, jeśli nie liczyć sprzeciwów Pemaka, wiekowego naiba z siczy Wyłom w Murze. Konserwatywny starzec występował przeciw wszystkim propozycjom Lieta, nie zgadzając się na żadną zmianę, ale też nie wysuwając własnych propozycji. Zakrzyczany przez innych Wolan skulił się wreszcie w kącie, gniewnie coś do siebie mamrocząc.

Zebrania toczyły się od kilku dni, zatargi pojawiały się i nikły, zdarzało się, że ktoś oburzony odjeżdżał, ale zwykle ochłonawszy, wracał. Każdego wieczoru Faroula szeptała Lietowi słowa pokrzepienia, pozwalając mu zachować na przekór wszystkim przeciwnościom stanowczość i równowagę ducha.

Wolanie donosili o drobnych sukcesach w poskramianiu pustyni. Praca jednego pokolenia sprawiła, że piaszczyste pustkowia stawało się odrobinę mniej nieprzyjazne wszystkim formom życia. Dwadzieścia lat temu Umma Kynes wezwał ich do cierpliwości, gdyż efekty mogą przyjść dopiero po stuleciach, ale jego wizje już teraz zaczynały być widoczne w małej skali.

W głębokich kanionach na południu ukryte przemyślnie plantacje rozkwitały dzięki słonecznym lustrom i kondensatorom, które ocieplały powietrze i topiły lód. Obok mchów, porostów i twardych roślin pustynnych wyrosło nawet parę karłowatych palm. Bywały dni, że pojawiały się maciupeńkie strumyczki wody. Woda swobodnie płynąca po powierzchni Diuny! Nikt, kto tego nie zobaczył, nie mógł uwierzyć.

Jak dotąd Harkonnenowie w niczym się nie zorientowali, interesowała ich bowiem tylko i jedynie przyprawa. A stopniowo, hektar po hektarze, przekształca całą planetę. Dobra wieść szerzyła się między Wolanami, a przecież Liet z lękiem oczekiwał dzisiejszej narady. Obawiał się znacznego sprzeciwu, kiedy zebrani usłyszą jego propozycję...

Sala na dole i okalające ją balkony zapełniały się powoli Wolanami powracającymi z dziennych zajęć w poplamionych dzubbach i butach temag. Wielu zgodnie ze zwyczajem pykało fajki nabite przyprawowym puchem. A kiedy zebrali się już wszyscy, Liet przemówił, nozdrza mając pełne przyjemnego aromatu.

– Umma Kynes, mój ojciec, miał wspaniałą wizję, którą zaraził nas wszystkich. Podjęliśmy się więc żmudnej, mozolnej pracy rozbudzenia życia na Diunie. Uczył nas, że system ekologiczny jest całością i że każda forma życia potrzebuje swojej niszy. Wiele razy mówił o ekologicznych konsekwencjach naszych poczynań. Umma Kynes widział środowisko jako system wzajemnych oddziaływań, charakteryzujący się dynamiczną stabilnością i dynamicznym ładem. – Liet odkaszlnął i ciągnął: – Z innych planet sprowadziliśmy owady, aby nawoziły piasek, gdyż ułatwia to wzrost roślin. Mamy stonogi, skorpiony i pszczoły. W piaskach i między skałami zagnieździły się lilipucie lisy, zające, jastrzębie pustynne, niewielkie sowy. Diuna przypomina ogromną maszynę, którą oleimy i remontujemy. Jeśli tylko będziemy ją z miłością pielęgnować, ona będzie nam służyć na sposoby, których nawet do końca nie możemy przewidzieć. Bracia moi, także my jesteśmy częścią tego ekosystemu, także my zajmujemy właściwą nam niszę. – Słuchano go z uwagą a pełen czci szmer

przebiegał zgromadzenie, ilekroć wspomniał swego legendarnego ojca. – Dobrze, ale co to właściwie za nisza? Czy jesteśmy tylko planetologami, troszczącymi się o roślinność i zwierzęta? Posłuchajcie, musimy podjąć jeszcze większe zadania. Musimy wydać Harkonnenom walkę na skalę nieporównanie większą niż dotąd. Od lat nasze małe grupki naprzykrzają się im, ale ni – gdy nie było to na tyle dotkliwe, aby ograniczyli swe barbarzyńskie działania. Dziś baron wrywa planecie więcej przyprawy niż kiedykolwiek wcześniej. – Rozległy się okrzyki oburzenia na świętokradztwo Harkonnenów. Liet podniósł głos. – Ojciec mój nie potrafił przewidzieć, że wielkie potęgi Cesarstwa – Cesarz, ród Harkonnenów, Landsraad – pozostaną obojętne na jego wizję. Tylko nam ona przyświeca i dlatego samotnie musimy przeciwstawić się tym mocom.

Pomruk nasilił się. Liet miał nadzieję, że uda mu się poruszyć Wolan na tyle, aby niepomni swych różnic i uraz zjednoczyli się w realizacji wspólnego celu.

– Po co wznosić dom, jeśli nie chce się go bronić? Są nas miliony i duża jest nasza siła. Zjednoczmy się więc, aby walczyć o świat, który odziedziczą nasi wnukowie!

Sala wybuchła aplauzem, któremu towarzyszyło – jak zwykle u Wolan – rytmiczne tupanie. Szczególnie podnieceni byli młodzi, ci, którzy z zapałem uczestniczyli w wypadach na Harkonnenów. I nagle rozbrzmiał jakiś inny ton. Wszyscy zwrócili się w kierunku balkonu po przeciwnej stronie, gdzie żyłasty starzec wymachiwał nad głową krysnożem. Rozwiane włosy nadawały mu wygląd oszalałego proroka. Znowu Pemak.

– Taqwa! – wyrzucił z siebie stary wolański okrzyk wojenny, który znaczył: „Cena wolności”.

Wszyscy w milczeniu wpatrywali się w naiba Wyłomu w Murze i młeczne ostrze, którym potrzasał. Tradycja nakazywała, by nagi krysnoż powracał do pochwy tylko wtedy, gdy zakosztował krwi. Pemak wkroczył na niebezpieczną ścieżkę.

Liet dotknął u pasa rękojeści swojego sztyletu. Kątem oka zobaczył, że Stilgar i Turok mkną w górę po skalnych schodach ku niemu.

– Liecie-Kynesie! – zawołał Pemak. – Domagam się od ciebie odpowiedzi. A jeśli nie zadowolili mnie ona, wtedy skończy się czas słów, a będzie musiała przemówić krew. Przyjmujesz wyzwanie?

I tak jeden stary dureń mógł zepsuć całą żmudną pracę. Liet nie miał jednak żadnego wyboru, jako że stawką stał się jego honor i przywództwo, odkrzyknął więc:

– Jeśli tylko zamknie ci to usta, Pemaku, przyjmuję! Nie ma na świecie większego głupca od tego, kto jest niewolnikiem swoich decyzji.

Przez salę przetoczył się śmiech, gdyż jak najbardziej w porę zostało użyte stare wolańskie powiedzenie. Jeszcze bardziej rozdrażniony Pemak potrząsał ostrzem krysnoża.

– Tyś jest tylko pół-Wolaninem, Liecie-Kynesie, i to ta obca krew podszeptuje ci szatańskie pomysły. Zbyt wiele czasu spędziłeś na Salusa Secundzie i Kaitain. To zepsuło twoją duszę, a teraz nas chcesz zarazić swoją chorobą.

Liet czuł, jak serce łomocze mu w piersi. Rósł w nim gniew: musiał uciszyć tego naiba. Posłyszał szmer i zobaczył za sobą gotowego do walki Stilgara. Tymczasem Pemak kontynuował:

– Heinar, naib siczy Czerwonego Muru, był od lat moim przyjacielem. Ramię w ramię walczyliśmy z Harkonnenami, kiedy zjawili się tutaj po odejściu Richesów. Na własnych plecach niosłem go wtedy, kiedy w walce utracił oko. To dzięki niemu rozkwitła cała sicz, ale dzisiaj jest już stary, podobnie jak ja. Ty, Liecie, chcesz zyskać poparcie ze strony innych wolańskich wodzów, ścią – gasz więc ich tutaj i chełpisz się dziełami swojego ojca, ale nic jakoś nie słyhać o twoich własnych. – Starzec cały trząsał się z wściekłości. – A wszystko dlatego, że sam chcesz zostać naibem. Liet nie mógł uwierzyć w tak absurdalny zarzut.

– To bzdura! Od tygodni mówię o rzeczach ważnych dla wszystkich Wolan, a ty mnie oskarżasz o

jakieś marne ambicje?

Za nim odezwał się Stilgar.

– Powiadają że pośród tysiąca ludzi zawsze znajdzie się jeden głupiec. Jest nas tutaj dobrze ponad tysiąc i wiadomo, Pemaku, kto jest głupcem.

Rozległy się chichoty, ale Pemak nie zamierzał łatwo ustąpić.

– Nie jesteś Wolaninem, Liecie-Kynese, nie jesteś jednym z nas. Najpierw poślubiłeś córkę Heinara, a teraz chcesz zająć jego miejsce.

– Wcisnę ci te kłamliwe słowa z powrotem do ust, Pemaku. Ta niewolańska część mojej krwi pochodzi od Ummy Kynesa i z tego czynisz mi zarzut? Co więcej, każda sicz zna opowieść o mym bracie krwi Warricku i jego śmierci. Przysiągłem mu, że poślubię Faroulę, a jego syna uznam za swoje dziecko.

– A możeś sam zwabił na pustyni diabelski wiatr, aby usunął ci z drogi rywala? – nastawał Pemak.

– Nie wiem, do czego są zdolni ci, którzy przybywają tutaj z innych światów.

Liet rozłożył ręce i spojrzał wymownie na zebranych.

– I co mam począć? Przyjąłem jego wyzwanie, ale tylko mnie oczernia. Jaki pożytek będzie z tego, gdy staniemy do prawdziwego pojedynku? Pemak jest stary, więc jeśli go zabiję, okryję się niesławą. Nawet jeśli zginie, osiągnie swój cel. – Liet na chwilę zawiesił głos. – Taki jest twój plan, stary głupcze?

W tym momencie na balkonie obok Pemaka pojawił się Heinar z opaską na oku. Naib Wyłomu w Murze nie spodziewał się tego i spojrzał zdumiony na starego przyjaciela, który rzekł:

– Znam Lieta od urodzenia i wiem, że nie stosuje żadnych sztuczek. Dar widzenia odziedziczył po ojcu, a Wolaninem jest takim, jak każdy z tutaj obecnych. – Wskazał gestem stojącego obok starca. – Pemak myśli może, że mówi w moim imieniu, a ja tymczasem radziłbym mu, żeby troszczył się nie tylko o jedną sicz, lecz o całą Diunę. Nie chcę widzieć rozlanej krwi mego zięcia. Moje serce raduje się na widok krwi utoczonej z Harkonnenów.

W ciszy przemówił Liet:

– Wolę wyjść na pustynię i stanąć oko w oko z Szej-huludem, niż stawać do pojedynku z którymkolwiek z was. Zwracam się do was wszystkich: albo mi uwierzcie, albo mnie wydalcie.

Pierwsi wzniesli okrzyki Stilgar i Turok, zaraz podchwycili je młodzi spragnieni walki z Harkonnenami, ale nie potrwali długo, a cała sala zahuczała od skandowanego imienia: „Liet! Liet!”

Na balkonie po przeciwnej stronie doszło do zamieszania. Pemak usiłował rzucić się na swój krysnóż, na co Heinar mu nie pozwolił, w porę wyrywając broń z dłoni. Starzec upadł na posadzkę balkonu i leżał na niej upokorzony, podczas gdy Heinar szybkim ruchem głęboko naciął mu czoło. Blizna po tej ranie miała pozostać Pemakowi do końca jego dni. Ostrze pokryło się krwią tak jak należało. Krew z czoła pociekła na oczy starego naiba, a Heinar podał mu krysnóż, trzymając za klingę.

– Winniśmy to uznać za dobry omen – krzyknął do zebranych. – Wszyscy zebrani tu Wolanie zjednoczyli się wokół Lieta-Kynesa.

Pemak podniósł się chwiejnie i ocierając krew z czoła, rozmazał ją po policzkach niczym barwy wojenne. Głęboko odetchnął i szykował się do przemowy, do czego miał prawo. Liet czekał na to w napięciu, oszołomiony tempem wydarzeń. Siwowłosa starzec popatrzył chmurnie na Heinara i rzekł:

– Proponuję, abyśmy w takim razie uznali Lieta-Kynesa za Abu Naiba, ojca wszystkich siczy, który nas poprowadzi.

Liet potrzebował chwili, aby się zastanowić, a potem zawołał:

– To bardzo ważna chwila. Potomni, wspominając ją ocenią nasze postępowanie. – Zamilkł na

moment i ciągnął: – Wraz z tym, jak Diuna będzie coraz bujniej odżywać, coraz trudniej będzie ukryć nasze działania przed Harkonnenami. Dlatego ogromnie ważne są łąpówki dla Gildii, aby żaden satelita meteorologiczny nie ujawnił naszych prac. – Rozległ się szmer akceptacji. – Po zdradzie, której efektem było zniszczenie bazy przemytników na biegunie południowym, nie ufam już naszemu dawnemu pośrednikowi Rondo Tuekowi. Chociaż nie działa już na południu, dalej chce załatwiać nasze interesy, ale skoro wydał Dominika Verniusa, równie łatwo może oszukać nas. Skoro zaś nie możemy mu ufać, to spróbujmy nawiązać kontakt z przedstawicielem Gildii i zawrzeć umowę z nią samą bez żadnych pośredników.

Liet uważał Dominika Verniusa za przyjaciela i mentora. Obalony władca Ix z pewnością zasłużył sobie na lepszy los niż ten, który zgotował mu dwulicowy handlarz wody. Tuek powrócił do Kartagi, odprzedawszy kopalnię lodu swemu dawnemu pomocnikowi, Lingarowi Bewtowi. Liet miał plan, jak załatwić sprawę z Gildią.

Potoczył wzrokiem po zebranych. Takiej stanowczej zgody nie widział na twarzach Wolan od śmierci ojca. Młodego Kynesa czekała długa droga, a chociaż wskazał ją jego rodzic, plany syna były śmielsze. Ojciec myślał tylko o zieleniejącej Diunie, Liet chciał ją oddać we władanie Wolanom. Aby to jednak osiągnąć, najpierw musieli zrzucić kajdany, w jakie zakuli ich Harkonnenowie.

Ludzkie ciało jest składnicą relikwów przeszłości: wyrostek robaczkowy, grasicca, skrzela w życiu płodowym. Ale jeszcze bardziej intrygujący jest nieświadomy umysł. Budował się przez miliony lat i zawarł w sobie historię we wszystkich jej znamienych aspektach, mimo że nie wszystkie z nich są dziś użyteczne. Niemożliwe jest rozeznac się w całkowitej jego treści.

z tajnego sympozjum Bene Gesserit poświęconego Pamięci Innych

Późną nocą, gdy na niebie stały jeszcze zorze, Anirula weszła do surowych, zimnych komnat, w których mieszkała dawna cesarska Prawdomówczyni, Lobia. Minęły dwa miesiące od jej śmierci i także te pokoje przywodziły ją na myśl kryptę grobową.

Musiała być teraz w Pamięci Innych, dołączywszy do bezliku innych osób, ale jej obecność w Aniruli jeszcze się nie objawiła. Ona sama, chociaż znużona już wysiłkami dotarcia do swojej dawnej mentorki, jednak ich nie zarzucała.

Potrzebowała osoby zaprzyjaźnionej i zaufanej, a nie mogła ze swoimi problemami zwrócić się do nikogo z bezpośredniego otoczenia, a już najmniej do Jessiki, która nic nie wiedziała o swym przeznaczeniu. Miała wprawdzie córki, a chociaż była dumna z inteligencji i talentów Irulany, to przecież nie mogła obarczać jej takim ciężarem. Nie, Irulana nie była jeszcze gotowa na to, aby ją wprowadzać w sekrety planu Kwisatz Haderach. Natomiast Lobia, gdyby się ją w końcu udało odszukać w Pamięci Innych, byłaby najbardziej odpowiednią osobą.

„Gdzie jesteś, stara przyjaciółko? Czy mam zacząć krzyczeć i obudzić te wszystkie inne obecne we mnie?” Obawiała się tego kroku, ale kto wie, czy w końcu nie będzie do niego zmuszona. „Lobio, odezwij się!”

Pod ścianą stały pudła z drobiazgami Lobii, Anirula nie mogła się jednak na razie zdobyć na wysłanie ich na Wallach IX. Ponieważ Gaius Helena Mohiam wybrała inne pomieszczenia, te pokoje mogły stać puste przez wiele lat, zanim ktokolwiek się zorientuje.

Przechadzała się po nich, wdychając powietrze, jakby oczekiwała, że w ten sposób obudzi też w sobie ducha ich dawnej właścicielki. Po jakimś czasie siadła przy obrotowym biurku i dotykając czarmienia w pierścionku, uruchomiła swój dziennik, który zawisł w powietrzu widoczny tylko dla niej. Dawny gabinet Lobii był dobrym miejscem na to, aby Anirula mogła swobodnie uporządkować myśli. Lobia z pewnością nie miałaby nic przeciw temu.

– Prawda, moja przyjaciółko?

Stropiło ją to, że przemówiła na głos, a i tak nie spowodowało to żadnej reakcji w Pamięci Innych.

Dziennik czekał na słowa. Nakazała sobie spokój i odprężenie, technika prana-bindu pozwoliła skupić myśli. Zrobiła długi, powolny oddech przez nozdrza.

Poczuła dreszcz na krzyżu i tak posterowała metabolizmem ciała, aby nie dokuczał jej chłód. Cztery jarzyce u sufitu przygasły na chwilę, a potem pojaśniały jakby pod wpływem jakiejś magicznej siły. Anirula przymknęła powieki. W pokoju nadal można było wyczuć – a przynajmniej tak się jej wydawało – zapach Lobii, wibrowała też w nim jej duchowa energia.

Wzięła z biurka starodawne ptasie pióro i wpatrzyła się w nie. Lobia często korzystała z niego, przesyłając zaszyfrowane wiadomości do Szkoły Zakonnej, gdzie nauczała przez całe lata. Na jego rękojeści musiały zachować się jej odciski palców, a także mikroskopijne drobinki naskórka. Jednak ona do notowania w swoim dzienniku musiała użyć bardziej nowoczesnego pióra sensorowego. Kazała mu się pojawić i natychmiast zawisło przed eteryczną stroną.

Noc była spokojna. Anirula siedziała w miejscu, gdzie tak wiele czasu spędziła dawna Prawdomówczyni, postanowiła więc teraz opisać swoją z nią przyjaźń i to, jak wiele się od niej nauczyła. Szybko nakreśliła zaszyfrowaną datę na powietrznej karcie, ale potem jej dłoń zastygła. Jakiś zamęt w myślach blokował słowa, jakie chciała zapisać. Poczuła się jak uczennica, która otrzymuje trudne zadanie, nie może się jednak skupić, gdyż czuje na sobie wzrok wychowawczyni. I znowu jarzyce pociemniały, jakby przesunął się przed nimi jakiś cień. Anirula rozejrzała się, ale nie zobaczyła nikogo.

Raz jeszcze skupiła się, ale po dwóch zdaniach myśli się rozpierzchnęły. Miała wrażenie, że pokój pełen jest widmowych szeptów. Bez trudu mogła sobie wyobrazić, że oto siedzą razem z Lobią, która udziela jej rad i pouczeń. Kiedyś opowiedziała jej, jak stała się Prawdomówczynią, jakimi przewagami musiała się wykazać nad setkami innych sióstr. Robiła to bez entuzjazmu, sama bowiem dużo chętniej zostałaaby w Szkole i opiekowała się ogrodami, nad którymi pieczę przejęła siostra Thora. Niemniej jednak jej osobiste upodobania nie miały nic do rzeczy i skrupulatnie wypełniała obowiązki nałożone na nią przez zakon. „Podobnie jak ja musiałam wyjść za Cesarza”.

Pomimo licznych ciążących na niej zadań Lobia znajdowała czas, aby udzielać nauk mieszkającym w pałacu – nawet Aniruli. Teraz z przymkniętymi oczami przypominała sobie jej śmiech, pojawiający się nieoczekiwanie, a stanowiący coś pośredniego między chichotem a kaszlem.

Na początku stosunki między nimi nie układały się najlepiej, pojawiły się nawet drobne tarcia w związku z dostępem do Cesarza, Anirula bowiem była poirytowana, ilekroć zastawała swego męża rozmawiającego na uboczu ze swą Prawdomówczynią. Lobia wyczuwała to i powiedziała kiedyś z uśmiechem:

– Szaddam bardziej kocha więzy władzy od jakichkolwiek związków z kobietami, musisz pamiętać o tym, Anirulo. To nie ja go interesuję, lecz to, co mam do powiedzenia. Bardzo obawia się wrogów, nieustannie zatem dopytuje się, czy ktoś go nie oszukuje, nie czyha na jego tron, nie spiskuje. Lęka się o władzę, bogactwo, a nawet życie.

Kiedy mijały lata, Anirula zaś nie dawała mu męskiego potomka, Szaddam coraz bardziej się od niej oddalał. Zapewne nie potrwa długo, gdy, podobnie jak kilkakrotnie uczynił jego ojciec, odstawi

ją i pojmie inną kobietę za żonę, aby z nią zadbać o następcę. Tyle że w trakcie współżycia Anirula wszczepiła nieświadomemu Szaddamowi czynnik, który nie pozwoli mu już spłodzić żadnego dziecka. Teraz, gdy Anirula zaczęła wypełniać zadania nałożone na nią przez Bene Gesserit, Cesarz mógł już być bezpłodny. Zresztą dokonał tak licznych już prób z innymi niewiastami, że do jego duszy powinien się zakraść jakiś niepokój, ale mężczyźni z wielkim trudem przystają na myśl, że to z nimi może być coś nie w porządku.

Otworzyła oczy i z pasją zaczęła pisać, ale po dłuższej chwili przerwała. Jakiś głos na korytarzu? Ukradkowe kroki? Wsłuchiwała się, ale niczego nie usłyszała. Chciała użyć pióra, gdy odgłosy rozległy się ponownie, ale tym razem jakby wewnątrz pokoju. Jakieś niezrozumiałe, szybko cichnące zdania... Poirytowana wstała, sprawdziła wszystkie kąty, szafki, nawet największy kufer, ale nie znalazła nic podejrzanego.

I dopiero kiedy napłynęła kolejna fala głosów, Anirula zorientowała się, że to zgiełk w Pamięci Innych, teraz już bez wątpienia większy od jakiegokolwiek wcześniejszego. Co też mogło go wywołać? Jej poszukiwanie Lobii? Chaos myśli? Głosy rozbrzmiewały wewnątrz i na zewnątrz, ale ani nie widziała spierających się siostr, ani nie rozumiała ich kwestii, gdyż ich słowa nakładały się na siebie i zagłuszały.

W pierwszym odruchu chciała porzucić gabinet Lobii, ale została. Jeśli owe wielorakie osoby chciały jej coś przekazać, musi się wsłuchać, co to takiego.

„Lobio, jesteś tam?”

Głosy przewaliły się niczym gnana wichrem chmura burzowa. Można by sądzić, że dawne, pradawne Bene Gesserit próbują przekrzyczeć jedna drugą na najróżniejsze sposoby odmieniając słowa: Kwisatz Haderach.

Znienacka wszystko ucichło, w głowie Aniruli zapanowała cisza, ona zaś sama poczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku.

Jej wzrok padł na dziennik nadal unoszący się nad biurkiem. Kiedy poprzednim razem pojawił się taki harmider w Pamięci Innych, robiła sensoryczne zapiski; również wtedy niczego nie mogła zrozumieć.

Chociaż za każdym razem doświadczenia były odmienne, najwyraźniej przyczyna była taka sama. Jakieś ogromne wzburzenie zapanowało pośród jej poprzedniczek. Jeśli nie ustali jego powodu, w wielkim niebezpieczeństwie będzie jej życie, czy nawet gorzej: życie Kwisatz Haderach, stanowiące jedyną rację jej istnienia.

Kiedy zgłębić trwogę, przestaje być straszna. Odwaga po części wyrasta z wiedzy.

książę Leto Atryda

Leto siedział z łokciami opartymi na balkonowym stole i patrzył, jak popołudniowy wiatr wzburza morze. Lubił wdychać słone powietrze, lubił obcować z morskim żywiołem. Sztorm niósł w sobie piękno i grozę, przypominając o zamęcie w Cesarstwie i w sercu Leta. Przypominając o bezsilności nawet takich osób jak książę wobec potężniejszych od nich mocy.

Naprzeciw niego, twarzą zwrócony do ściany, a nie do morza, zasiadł Rhombur, którego syntetyczne ciało nie знаło chłodu. Wpatrywał się z natężoną uwagą w planszę cheopsa, szachów piramidalnych, w które Leto lubił grywać jeszcze z ojcem.

– Twój ruch, Leto.

Chociaż mocna herbata w kubku zdążyła już wystygnąć, Leto pociągnął łyk. Przesunął figurę cymecha-wojownika, by odeprzeć atak czarnego kapłana.

– Twój ruch może znaczyć także coś innego. – Rhombur wpatrywał się w starodawny mur. – Bene Gesserit nie zgodziły się pokazać ci niewidzialnego statku, ale to nie może nas powstrzymać. Teraz, kiedy Thufir i Gurney wrócili z raportem, wiemy już wszystko, czego nam potrzeba. Muszę wreszcie sięgnąć po należny mi tron. – Po jego pokancerowanej twarzy przemknął łobuzerski uśmiech. – Szczególnie teraz, gdy nie ma Jessiki, powinieneś czymś zająć myśli.

– Może masz rację – powiedział Leto, nie reagując na żart. Od chwili wypadku na powietrznym żaglowcu coraz mocniej odczuwał potrzebę jakiegoś wielkiego czynu. Karne uderzenie na Beakkal było dobrym krokiem, ale niewystarczającym. Nadal czuł się tylko częścią człowieka... niczym Rhombur. – Najpierw jednak muszę zadbać o bezpieczeństwo narodu. Muszę się liczyć z tym, że w ataku na Ix polegnie wielu moich żołnierzy, a przecież Kaladan nie może stać się bezbronny. Gdyby akcja nam się nie udała, wtedy do gardła rzucają mi się sardaukarowie. Chcę ci pomóc w odzyskaniu planety, ale nie za cenę mojej.

– Wiem, Leto, że to niebezpieczne przedsięwzięcie, ale wielcy ludzie nie mogą cofać się przed ryzykiem. – Rhombur uderzył w blat mocniej, niż zamierzał. Figury szachowe podskoczyły, jakby ich mały świat nawiedziło trzęsienie ziemi. Spojrzał uważnie na protezę ręki i ostrożnie zdjął ją ze stołu. – Przepraszam. – Na jego poskładanej twarzy widać było grę silnych uczuć. – Nie żyją moi rodzice, nie żyje siostra. Ja sam jestem bardziej mechanizmem niż ciałem, nigdy nie będę miał dzieci. Czy mam cokolwiek do stracenia?

Leto milczał. Rhombur zawsze tracił zimną krew, ilekroć pojawiał się temat Ix. Jeśli można się było dopatrywać jakichś korzystnych stron wypadku, to jedną z nich byłoby wytrącenie młodego Verniusa z apatii. Stał się zupełnie innym człowiekiem, pełnym pasji i poczucia misji.

– Warunkowa amnestia Szaddama okazała się tylko gestem na pokaz, a ja przystawszy na nią, zapadłem w gnuśność, i to na całe lata. Uspokajałem samego siebie, że wystarczy tylko poczekać, a wszystko samo zmieni się na lepsze. Tylko że moi poddani nie mogą czekać! – Znowu uniósł w powietrze pięść, ale dostrzegłszy zmarszczone brwi Leto, spokojnie położył ją na stole. – To już trwa o wiele za długo, Leto. Muszę wreszcie zrobić jakiś ruch! Nawet gdyby to miało chodzić o zakradnięcie się na Ix i odnalezienie C'taira! Razem możemy postarać się wzniecić powstanie! – Rhombur wpatrzył się w wielopoziomową planszę szachów, których zawilość przypominała kręte ścieżki życia. Sięgnął i podniósł w górę figurę Czarnoksiężniczki. – W razie zwycięstwa Ix zwróci ci każdy solaris wydany na kampanię, i to z sowitą nawiązką. Co więcej, mogę się zobowiązać, że nasi specjaliści przyjadą na Kaladan, przyjrzą się administracji, przemysłowi, komunikacji, rybołówstwu, rolnictwu i doradzą wszystkie możliwe zmiany na lepsze. Sprowadzimy tutaj nasze najlepsze maszyny i wydzierzawimy je na rozsądny termin. Powiedzmy dziesięć, nawet dwadzieścia lat. Ale to wszystko szczegóły, które bez trudu omówimy później.

Leto sięgnął po liniowca i przesunął go tak, że Nawigator Rhombura znalazł się w niebezpieczeństwie. Vernius zerknął na planszę, ale na razie bardziej pochłaniała go rozmowa.

– Korzyść z obalenia Tleilaxan odniosą nie tylko Atrydzi, ale wręcz każdy ród w Landsraadzie. Kiedyś wytwory Ix były najbardziej wymyślne i niezawodne w całym wszechświecie, ale teraz wygląda to tragicznie, gdyż Tleilaxanie nie przejmują się kontrolą jakości. Ich wytworom nie można ufać!

Od czasu powrotu wysłanników Leto zastanawiał się nad przeróżnymi kwestiami związanymi z Ix. Jeśli nie wyprze się Tleilaxan, można być pewnym, że Ix nie stanowi ich ostatniego słowa. Do czego

wykorzystują miejscowe fabryki? Należało przypuszczać, że do produkcji sprzętu wojskowego i broni, a te same dopraszają się zastosowania. A co robią tam sardaukarowie? Ich obecność była ogromnie niepokojąca. Na dobrą sprawę ród Korrinów reprezentował siłę militarną równą całemu zjednoczonemu Landsraadowi. A jeśli Szaddam wykorzysta Tleilaxan jako siłę uderzeniową, zakłócającą istniejącą równowagę sił i pozwalającą rozszerzyć sferę cesarskich wpływów? Czy z tą myślą najechano Ix?

Leto wstał od stołu.

– Masz rację, Rhomburze, nie czas już na gry. Dość drobnych pałacowych spraw, należy zacząć myśleć w bardziej rozległych kategoriach. Czas zatroszczyć się o sprawiedliwość, przyszłość Landsraadu, czas poważnie zastanowić się nad Atrydami. – Roztargnionym wzrokiem spojrzął na szachownicę i ciągnął: – Muszę być jednak pewien, że nie chodzi ci tylko o pełne rozmachu, ale puste gesty, ku którym skłaniał się twój ojciec. Gdyby powiódł się planowany przezeń atomowy atak na Kaitain, zatrzęsłoby się od tego całe Cesarstwo, ale twój ród nie odniósłby z tego żadnej korzyści. Rhombur z powagą przytaknął.

– Tak, powszechny gniew skierowałby się na mnie, co dotknęłoby także ciebie, skoro udzieliłeś mi gościny.

Wykonał ruch, a Leto bezzwłocznie odpowiedział nań kolejnym agresywnym posunięciem.

– Dobry władca, Rhomburze, musi zwracać uwagę na wszystkie szczegóły – powiedział kpiąco. – Nic po wielkich planach, jeśli nie splecie się wszystkich wątków.

Rhombur wpatrzył się w planszę i spłonął rumieńcem.

– Ach, lepiej żebym grał na balisecie, niż siadał do szachów.

Leto skosztował zimnej herbaty, skrzywił się i resztkę wylał przez balkon.

– To będzie skomplikowana operacja. Tak, powinna się zacząć od wewnętrznej rebelii, ale tę musi wesprzeć atak z zewnątrz, co wymaga bardzo precyzyjnej koordynacji.

Wzmógł się wiatr, gdyż zbliżał się sztorm. Łódki rybackie i jachty pospiesznie wracały do przystani, gdzie zwijano sieci i spuszczano żagle.

Pojawiła się służąca, aby zabrać nakrycie i wskazawszy na zachmurzone niebo, rzekła:

– Czas się schować, Wasza Wysokość.

Leto pokręcił głową.

– Jestem dzisiaj w takim nastroju, że rad spojrzę w twarz burzy.

– Poza tym – oznajmił Rhombur – musimy zagrać jeszcze raz. Chcę się zrewanżować.

Leto parsknął śmiechem.

– W takim razie nie ruszymy się stąd do rana. – Kiedy służąca zniknęła, dorzucił poważnie: – Ty zatem zacznij przygotowywać powstanie, a ja zajmę się atakiem. Na Ix pojedziesz w towarzystwie Gurneya Hallecka. To świetny i doświadczony wojownik, a poza tym był już na Ix.

Rhombur kiwnął głową a szarawe światło zalsniło na metalowym zwieńczeniu jego czaszki.

– Bardzo się będę cieszył z jego towarzystwa. – Chętnie razem grali na balisecie i śpiewali. Dla Verniusa była to bardzo dobra okazja, by ćwiczyć sprawność rąk. – Poza tym to przecież przyjaciel mego ojca, który także chce pomścić jego śmierć.

Podmuch wiatru potargał fryzurę Leta.

– Duncan zapewni wam odpowiednie wyposażenie i broń. Dobrze przygotowane i zharmonizowane akcje sabotażowe mogą poważnie zakłócić spokój na Ix. Zanim wyruszysz, całą operację zaplanujemy ze szczegółami. Ty zadasz cios w podbrzusze, a gdy nieprzyjaciel skuli się, ja zadam miażdżący cios.

Rhombur ustawił figury do następnej partii i zaczęli grać, jednocześnie omawiając szczegóły

batalii. Tleilaxanie nie będą się spodziewali ataku, trudniejsza natomiast wydawała się sprawa z sardaukarami, ci bowiem zawsze byli gotowi do walki. Leto ujął wiernie przedstawionego kapitana sardaukarów i z podstawy piramidy przeniósł go na sam szczyt.

– Bardzo się cieszę, Rhomburze, gdy widzę, jak pasjonują cię nasze plany. Nareszcie odrobina entuzjazmu, nareszcie masz na czym się skupić. – Zgarnął jedną z najważniejszych figur Rhombura, przedstawiającą Cesarza Korrino siedzącego na miniaturowym Tronie Złotego Lwa. – A na dodatek, kiedy jesteś tak zaaferowany, łatwiej jest mi wygrać.

Rhombur potarł jedną z licznych blizn na twarzy.

– I tak nie lada z ciebie przeciwnik. To dla mnie prawdziwe szczęście i zaszczyt, że jesteś moim sojusznikiem, a nie wrogiem.

Człowiek uczestniczy we wszystkich zdarzeniach kosmicznych.

**Cesarz Idriss I,
z archiwów Kaitain**

Mijały kolejne dni, podczas których Jessika występowała jako dama dworu lady Aniruli, a ona każdego znajdowała jakąś następną ekstrawagancką rzecz wartą pokazania. W istocie Cesarzowa traktowała ją bardziej jak gościa niż swoją dwórkę i rzadko wydawała jej polecenia.

Na wieczorny spektakl w Centrum Widowiskowym Hassika III Jessika pojechała w wozie cesarskiej pary. Wspaniale zdobiony pojazd ciągniony był przez lwy z Harmonthepe, których wielkie łapy i kremowe futra bardziej pasowały do górskich zboczy niż do szerokich alei stolicy Cesarstwa. Starannie wytresowane bestie kłusowały równym rytmem, nie zwracając uwagi na tłumy na trasie przejazdu. Na takie okazje, jak ta, starannie przycinano lwom pazury oraz myto i czesano grzywy.

Szaddam, odziany w szkarłatny kaftan i złote spodnie, siedział nieporuszony z przodu pojazdu, a jego twarz wydawała się wykuta z kamienia. Jessika nie odniosła wrażenia, by szczególnie pasjonował się sztuką, ale doradcy musieli mu wskazać, jakie są korzyści, gdy uchodzi się za miłośnika i mecenasa kultury. Anirula i Jessika jechały na tylnych siedzeniach.

Od chwili przyjazdu Jessiki na Kaitain Cesarz zamienił z nią najwyżej kilkanaście zdań i wcale nie była pewna, czy pamięta jej imię. Koniec końców była tylko damą do towarzystwa jego żony, na dodatek brzemienną, erotycznie więc nieinteresującą. Trzy najstarsze księżniczki, Irulana, Chalicea i Wensicja, jechały w mniej strojnym powozie za nimi, a dwie najmłodsze, Josifa i Rugia, zostały z niańkami.

Cesarska karoça zatrzymała się przed frontową kolumnadą wielkiego centrum, słynnego z sal o wspaniałej akustyce i pryzmatycznych okien. Nawet w ostatnich miejscach można było słyszeć najmniejszy szmer ze sceny i docenić najsubtelniejsze odcienie głosów, które nie miały równych sobie w Cesarstwie.

Wejście zarezerwowane dla Cesarza i jego orszaku zwieńczone było marmurowymi łukami, a po obu ich stronach mieniły się ogniste fontanny. Aromatyczne oleje wylatywały w górę, stawały w płomieniach i zamieniały się w dym, zanim ich resztki zdążyły opaść do basenów w kształcie rombów.

Hassik III, jeden z pierwszych władców, którzy po zniszczeniu Salusa Secundy zasiadali na tronie na Kaitain, podatkami doprowadził poddanych niemal do całkowitej nędzy, gdyż nieustannie brak mu

było funduszy na odpowiednie urządzenie nowej stolicy. Członkowie Landsraadu, nie chcąc pozostać w tyle za Korrinami, także wznosili okazałe budowle. Nie minęło jedno pokolenie, a niewielki Kaitain stał się centrum wystawowym cesarskiej architektury, rozrzutności i urzędniczej pychy. Centrum, chociaż wspaniałe, miało wielu konkurentów.

Anirula powiodła spojrzeniem po frontonie, a potem spojrzała na Jessikę.

– Kiedy zostaniesz Wielebną Matką – powiedziała – poznasz Pamięć Innych. W mojej zbiorowej przeszłości pamiętam, jak wznoszono ten gmach. – Zrobiła wdzięczny ruch dłonią. – A na początek wystawiono bardzo dawny dramat, *Don Kiszot*.

Jessika uniosła brwi. Mohiam zadbała o to, aby dobrze poznała dzieje literatury, sztuk i psychologię.

– To dziwny wybór, Najjaśniejsza Pani, gdy pamiętać o tym, co stało się na Salusa Secundzie.

Anirula zerknęła na męża, który znudzonym wzrokiem wpatrywał się w wiwatujące na jego cześć tłumy.

– Było to czasy, kiedy Cesarze mieli jeszcze odrobinę poczucia humoru.

Cesarska para wkroczyła uroczyście, przy czym za Cesarzem sunęły dwa rzędy paziów podtrzymujących tren z wielorybiego futra. Anirula zamiast trenu miała na szyi szal z tego samego materiału. Przymaszerowali z wielkim namaszczeniem, tak aby wszyscy mogli zarejestrować każdy drobiazg.

Teraz po szerokich, lśniących schodach Szaddam, Anirula i cała świta przeszli do imponującej loży znajdującej się tak blisko sceny, że gdyby tylko Cesarza to interesowało, mógłby dostrzec każdy por na twarzy aktora. Zasiadł w fotelu, któremu specjalnie nadano taki kształt, aby Cesarz wyglądał na nim dostojnie.

Anirula zajęła miejsce po lewej ręce męża, nie przerywając konwersacji z Jessiką.

– Widziałas już kiedyś występ reprezentacyjnego zespołu z Jongleur?

Jessika potrząsnęła głową.

– Czy to prawda, że ich mistrzowie mają magiczną zdolność, która pozwala im poruszyć nawet najbardziej zatwardziałe serca?

– Ten ich talent podobny jest do używanej w naszym zakonie techniki rezonansu hipnotycznego. Wykorzystują go jednak tylko w czasie spektakli.

Jessika poprawiła fryzurę i powiedziała:

– Zatem bardzo jestem ciekawa tego występu.

Wystawiano *W cieniu ojca*, jeden z najwspanialszych utworów z czasów po-Butleryjskich, który przyczynił się do utrwalenia sławy następcy tronu Raphaela Korrino jako wielkiego bohatera i nauczyciela.

Eskortowani przez sardaukarów z gwardii przybocznej pojawili się kelnerzy, oferując musujące wino najpierw Cesarzowi, potem jego żonie i osobom ze świty. Kiedy Jessika sięgnęła po swój kieliszek, Anirula powiedziała:

– Kaladańskie, jeden z najlepszych roczników, dostaliśmy je pośród innych podarunków od twego księcia, który w ten sposób chciał wyrazić wdzięczność za opiekę nad tobą. – Dotknęła brzucha Jessiki. – Mohiam mówi, że nie był specjalnie zachwycony twym wyjazdem.

Jessika spłonęła rumieńcem.

– Książę Atryda ma z pewnością tyle zajęć na głowie, że nie zamartwia się byle konkubiną. – Zrobiła wszystko, aby w jej słowach nie zabrzmiała tęsknota. – Bardzo troszczy się o swą planetę i jej mieszkańców.

Zniknęli kelnerzy i rozbrzmiała muzyka uwertury. Zapłonęły żółte światła imitujące zachód słońca,

a Jessikę zaskoczył brak jakiegokolwiek scenografii. Wkroczyli aktorzy w stylizowanych symbolicznie kostiumach i zgodnie ze zwyczajem czekali na znak Cesarza, aby zacząć. Ten wykazywał nawet jakieś ślady zainteresowania, ale Jessica zgadywała, że potrwa to niedługo.

Technicy włączyli zestaw generatorów holografii solido i zniemacka pojawił się jak żywy pałac, tron, w oddali gąszcz lasu.

– Ach, Cesarstwo, wspaniałe Cesarstwo! – wykrzyknął aktor grający główną rolę Raphaela, który za pasem miał długie berło z kryształową jarzycą na szczycie. Długie, gęste włosy i masywna postura nadawały mu władczy wygląd. Uwagę Jessiki przykuła nadzwyczaj urodziwa twarz. – Nie mam oczu dosyć bystrych i umysłu dosyć pojemnego, aby docenić wszystkie cuda świata, którymi włada mój ojciec. – Aktor spuścił głowę. – Ach, gdybym mógł całe życie poświęcić badaniom, umierałbym, rozumiejąc odrobinę więcej i w ten sposób najlepiej oddałbym chwałę Bogu i moim przodkom, którzy przegnali zmorę myślących maszyn. – Podniósł wzrok i wbił go w Szaddama. – Urodzić się Korrinem to zaszczyt, któremu nie każdy potrafi sprostać.

Jessika poczuła chłód. Głos aktora, pełny i dźwięczny, odmieniał nieco słowa sztuki, Jessica była bowiem pewna, że dobrze je zapamiętała. Nawet jeśli Anirula zauważyła zmianę, niczym się nie zdradziła.

Na scenę wbiegła aktorka odgrywająca główną rolę żeńską, Herade, z wiadomością o zamachu na ojca Raphaela, Cesarza Padyszacha Idrissa I. Szlochając, wstrząśnięty następca tronu padł na kolana, ale Herade chwyciła go za ramię.

– Nie, książę, nie rozpaczaj. Twój ojciec żyje, chociaż został poważnie zraniony w głowę.

– Idriss jest światłem, które promieniuje z Tronu Złotego Lwa na cały wszechświat. Muszę go natychmiast zobaczyć, aby podtrzymać w nim ogień życia.

– Spieszmy się więc – powiedziała Herade. – Z Cesarzem jest doktor Suk.

Zeszli ze sceny, która natychmiast przeobraziła się w pałacową komnatę.

Szaddam poruszył się na fotelu z ciężkim westchnieniem.

W sztuce Cesarz Idriss nie odzyskiwał przytomności, a jego funkcje życiowe podtrzymywały aparaty. Przez okrągłą dobę czuwał przy jego łóżu lekarz. Faktyczne rządy objął Raphael, ale nigdy formalnie nie ogłosił się Cesarzem, nigdy też nie zasiadł na ojcowskim tronie, a zawsze sadowił się na mniejszym, ustawionym obok. Przez całe lata sprawowania rządów nie pozwolił nazwać się inaczej niż „następcą tronu”.

– Nie uzurpuję sobie praw do tronu i gardzę każdym padalcem, który ma takie ambicje. – Aktor grający Raphaela postąpił bliżej cesarskiej łoży. Jarzyca na szczycie berła mieniła się barwami.

Jessika uważnie śledziła jego kwestie, wychwytyjąc zmiany i szukając ich przyczyny. W ruchach aktora dostrzegała pewne napięcie. Dlaczego jest zdenerwowany? Może nie pamięta swojej kwestii. Tyle że aktorom z Jongleur nigdy się to nie zdarzało.

– Chwała rodu Korrinów przekracza ambicje każdej jednostki. Nikt nie może uzurpować sobie wyłącznego prawa do tego dziedzictwa. – Aktor zdecydowanie tupnął. – Taka pycha byłaby równa szaleństwu.

Anirula rzuciła szybkie spojrzenie Jessice. Szaddam jakby przysypiał.

Sceniczny Raphael zrobił następny krok w kierunku łoży, reszta aktorów wycofała się.

– Wszyscy mamy do odegrania swoją rolę w wielkim spektaklu Cesarstwa. – Aktor zupełnie już odszedł od tekstu sztuki i przytoczył Szekspira, słowa nawet znacznie bardziej starożytne niż *W cieniu ojca*. – Świat jest teatrem, akorami ludzie, którzy kolejno wchodzą i znikają. Każdy tam aktor niejedną gra rolę, bo siedem wieków dramat życia składa* – Raphael odpiął z piersi broszkę oszlifowaną tak, że działała jak soczewka. – A ja, Szaddamie, jestem kimś więcej niż tylko aktorem.

– Słowa te wyraźnie dotarły do Cesarza, gdy sceniczny Raphael osadził broszę na lasce, w której Jessica rozpoznała pręt zasilający. – Cesarz powinien kochać swych poddanych, służyć im i ich chronić. Ale ty wolałeś zostać rzeźnikiem Zanovaru. – Jarzyca na szczycie berła zaczęła świecić silniejszym światłem. – Gdybyś postanowił zabić tylko mnie, Szaddamie, z radością oddałbym swe życie, aby oszczędzić mieszkańców Zanovaru. – Na tyłach sceny pojawili się zaniepokojeni sardaukarowie, niepewni, co mają robić. – Jam jest twój przyrodni brat, Tyros Reffa, syn Elrooda IX i Shando Bałut. To chcąc uśmiercić mnie, zabiłeś miliony niewinnych, a teraz ja powiadam, że nie masz prawa do dziedzictwa Korrinów. Laska rozbłysła niczym słońce.

– On ma broń! – wrzasnął Szaddam, zrywając się na równe nogi. – Brać go żywcem!

Sardaukarowie wpadli na scenę z nagimi mieczami w dłoniach.

Reffa spojrział zaskoczony.

– Nie tak to planowałem! – Sardaukarowie byli już prawie przy nim i Reffa podjął nagłą decyzję, obracając broszkę. – Ja chciałem tylko przedstawić swoją sprawę, ale skoro tak...

Ze szczytu laski trysnął promień i Jessica odruchowo uskokczyła w bok. Chwyciwszy za oparcie fotela, Anirula wraz z nim zwała się na ziemię. Jeden z sardaukarów rzucił się do przodu, osłaniając Cesarza, a jego pierś spopieliła się w żarze lasera.

Na widowni rozległ się krzyk, wszyscy aktorzy odskoczyli jak najdalej od Reffy, który żądło lasera chciał zwrócić przeciw sardaukarom, ale kula na szczycie laski zniecka zmatowiała i zgasła. Sardaukarowie obezwładnili tego, który mienił się synem Elrooda IX, a w tym czasie gwardziści wyprowadzili Szaddama ze zniszczonej łoży, podczas gdy inni zaopiekowali się Anirulą i jej córkami. Strażacy gasili pełzające ogniki.

Na korytarzu podbiegł do Szaddama oficer sardaukarów.

– Mamy go, Najjaśniejszy Panie.

Szaddam był kompletnie oszołomiony. Służący uwijali się wokół niego, doprowadzając do porządku jego strój i fryzurę. Kiedy Cesarz otrząsnął się z zaskoczenia, w jego zielonych oczach pojawił się gniew.

– Aresztować wszystkich podejrzanych. – Nerwowym gestem poprawił medale na piersi. – Całe to przedstawienie to jeden wielki spisek.

– Tak jest, Najjaśniejszy Panie.

Dopiero teraz zainteresował się żoną i córkami, a zobaczywszy, że nic im się nie stało, mruknął:

– Może zresztą powinienem być mu wdzięczny, że nie będę musiał już więcej oglądać tych nudziarstw.

Kultury przeniknięte technologią zwykły uważać postęp za próbę przyspieszenia przyszłości, czynienia wiadomym tego, co niewiadome.

Matka Przełożona Harishka

Wizyta w tajemniczej szkole zakonnej Bene Gesserit stanowiła dla wszystkich trzech wynalazców z Richese wielkie przeżycie, ale Haloa Rund nie potrafiłby konkretnie powiedzieć dlaczego. Cała ta podróż na Wallach IX wydawała się jakoś dziwnie nierealna.

Prom zbliżał się do laboratoryjnego satelity Korona. Rund siedział smętny w fotelu i zastanawiał się, czy Bene Gesserit złożą w końcu zamówienie na wielki projekt u jego wuja, hrabiego Ilbana

Richese. Siostry było na to bez wątpienia stać, a tak wielka transakcja stanowiłaby ogromny zastrzyk gotówki dla Richesów.

Niepokoilo go to, że nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, co właściwie robili podczas tego pobytu. Był wyczerpujący, odbyli wiele spotkań, przedstawiali ogólne plany i szczegóły... czy też nie? Kinnis miał z pewnością wszystko zapisane na swych krystalicznych tabliczkach, a poza tym każdy fakt został odnotowany w zdumiewającej pamięci Talisa Balta.

Ilekoć jednak Rund usiłował sobie przypomnieć jakieś konkretne zdanie czy sytuację, umysł jakby grzązał w gęstym błocie. Nigdy jeszcze coś takiego mu się nie przytrafiło. Zawsze był bardzo skupiony, co przypisywał wstępnym naukom mentackim.

Kiedy teraz prom cumował w doku, Rund zaczynał sobie niejasno przypominać, że chyba oglądali na Wallach IX jakieś urządzenia. Razem z kolegami znalazł się wewnątrz szkoły, coś im pokazywano. Był jakiś wystawny bankiet... Chyba nic lepszego nie jadł w życiu, z drugiej jednak strony ani w ząb nie mógł sobie przypomnieć nawet jednego dania.

Balt i Kinnis nie zdradzali ani śladu zakłopotania. Z zapałem omawiali problem ulepszeń produkcyjnych przy wytwarzaniu słynnych luster, uzyskujących w warunkach nieważkości niezrównaną gładkość i głębię. Wydawało się, że zupełnie zapomnieli o Bene Gesserit i Wallach IX.

Kiedy Rund razem z nimi wszedł do hali produkcyjnej, pomyślał, że budzi się ze złego snu, ale w tym samym momencie zaniepokoiło go to, że nikt z nich nie ma ze sobą żadnego bagażu ani nawet teczki. Czyżby niczego nie zabrali w podróż? Zaraz jednak zalała go taka fala zainteresowania wynikami badań prowadzonych na Koronie, że wszelka myśl o Bene Gesserit wydawała się jedynie rozpraszającym drobiazgiem. Szkoda, że stracił tyle czasu... Ale właściwie ile? Musi sprawdzić.

Flinto Kinnis i Talis Balt już krzatali się przy stanowiskach, ale w pamięci Runda, gdzieś na samym jej skraju, zamigotały jakieś niepowiązane obrazy z bankietu. Usiłował przywołać którąś z poznanych technik mentackich, jakich uczył się dawno temu, ale przypominało to nieco wspinięcie się po skale pokrytej mokrym mchem. Może należy odczekać, a dziwna tama w pamięci sama puści.

Ale nie mógł się uspokoić. Na plecach czuł zimne dreszcze, w uszach mu dzwoniło. „Do diabła, czy aby te czarownice nas czymś nie podtruły?” Czuł, że traci władzę w nogach. Zanim ktokolwiek zdążył go złapać, osunął się na zimny, metalowy blat stołu. Dzwonienie w uszach nie ustawało. Nad nim nachylał się ze zmarszczonym czołem Talis Balt.

– Haloa, co się stało? Wezwać lekarza?

Za Baltem stał Kinnis.

– Może powinieneś trochę odpocząć, Rund? Jestem pewny, że twój wuj nie miałby nic przeciwko temu. – Zmarszczył czoło, zapewne przebiegając w myślach, harmonogram zajęć. – Nie sędzę, żebyśmy dostali jakieś zamówienie od Bene Gesserit, więc przynajmniej z tym nie będzie kłopotów.

Zmieszany i zaniepokojony Rund zdobył się na pytanie:

– Ale zamówienie na co, u diabła? – „Jak to możliwe, żeby wszystko rozmywało się w takiej mgle?” – Pamiętacie coś?

Kinnis prychnął.

– Zamówienie na... na to, o co im chodziło. Mniejsza z tym, bo to i tak, jak się okazało, było tylko stratą czasu.

W pamięci Runda wyłoniła się twarz Bene Gesserit. Poruszała wargami, a słowa echem rozbrzmiewały w jego głowie. Długie palce wykonywały hipnotyczne ruchy.

Usilnie przywoływał mentackie techniki skupienia i szczelina w tamie poszerzała się. Zobaczył skały, dno kamieniołomu, jakiś wrak, postłyszał słowa: „Znaliście Chobyna”.

I nagle tama runęła, ukazując wszystko. „Co wiecie o tym wynalazku? Jak go odtworzyć?” Rund

nagle poderwał się i krzyknął:

– Natychmiast holorejestrator. Zaraz! Muszę wszystko zapisać świeżo!

– Zwariował! – Kinnis załamał dłonie. – Coś się stało z jego głową.

Ale Balt natychmiast wydobył z kieszeni jedną z kart rejestrujących, które zawsze miał przy sobie, i podał koledze.

– Nie pytajcie o nic! – rzucił pospiesznie Rund. – Nie mogę się rozpraszać. – Uruchomił zapis i zaczął pospiesznie mówić: – Tenu Chobyn... Premier Calimar bardzo się interesował jego tajnymi projektami. Nagle zniknął... Podobno przeszedł na stronę Harkonnenów. Niewiele można odtworzyć z zapisków... Zbyt wiele luk. Ach, teraz już wiemy, nad czym pracował! Generator pola niewidzialności.

Balt przykucnął przy Rundzie ze zmarszczonymi brwiami, Kinnis dalej się wahał, czy jednak nie wezwać pomocy lekarskiej i statek pogotowia medycznego, który zabrałby wynalazcę na Richese. Wszystko pachniało tutaj kłopotami, których Kinnis nie znosił.

Przez duchowe oczy Runda napłynęły kolejne obrazy, a słowa wylatywały z ust niczym z karabinu.

– Dzięki temu generatorowi mógł stworzyć niewidzialny statek... Harkonnenowie rozbili go koło szkoły zakonnej na Wallach IX. To dlatego Bene Gesserit nas zaprosiły. Chciały zrozumieć, jak działa to urządzenie...

– Nonsens! – obruszył się Flinto Kinnis. – Chciały z nami omówić...

– Mam wszystko w notatkach – oznajmił Balt – i...

Urwał.

– Pamiętasz ten kamieniołom? Jak nas wypytywały? Potem zrobiły coś z naszą pamięcią.

Rund dyktował wszystkie wspomnienia tak, jak mu się nasuwały, a wokół niego gromadziło się coraz większe zbiegowisko, którego Kinnis i Balt w żaden sposób nie mogli rozpędzić. Padające słowa nie budziły w nich żadnych skojarzeń.

Rund zażądał więcej rejestrujących kart plazowych, mówił wiele godzin, aż wreszcie osunął się bez sił na posadzkę. Ale to był dopiero początek wytężonej pracy.

Kto śmieje się po nocy, rozpamiętuje własne występki.

powiedzenie Wolan

Z racji wysokiej ceny wody na Arrakis lodowa kopalnia Rondo Tueka uczyniła go bogaczem. Stać go było na kupienie wszystkiego, o czym mógł sobie zamarzyć, a przecież przez cały czas żył w przerażeniu, gdziekolwiek by się znalazł.

Starał się nie opuszczać swego domostwa w Kartadze, eleganckiego domu pełnego drogocennych dzieł sztuki. Ostatnio jednak pieniądze wydawał przede wszystkim na urządzenia obronne i alarmowe, a także na różnego rodzaju broń. Strażników ściągnął z odległych planet, żeby nie narazić się na to, że któryś z nich mógłby być spokrewniony z ofiarami jego zdrady.

Powinien czuć się bezpieczny, a jednak się nie czuł.

Od kiedy ujawnił tajną bazę przemytników, zmienił swe życie całkowicie. Przez długie lata za sowitą łapówkę ukrywał obecność Dominika Verniusa i jego ludzi, a także pomagał im nabywać potrzebne rzeczy. Jak długo przynosiło to korzyść, nie miał żadnych wyrzutów sumienia z powodu gry na dwa fronty. Gdy jednak pojawiła się możliwość ogromnego zarobku, wyjawiał miejsce pobytu

zbiegów hrabiemu Hasimirowi Fenringowi. Nie potraowało długo, a bazę zaatakowali zbrojni po zęby sardaukarowie.

Tuekowi nigdy nawet do głowy nie przyszło, że banici mogą dysponować bronią atomową. Kiedy Dominik Vernius nie miał już innego wyjścia, uruchomił wypalacz skał, w efekcie czego wyparowała cała baza, przemysłowcy i cesarscy żołnierze.

Tuek sypiał teraz sam, gdyż obawiał się, że któraś z nałożnic mogłaby okazać się nasłaną zdrajczynią. Sam przygotowywał sobie jedzenie, a i tak każdy kęs badał uprzednio pod najlepszym wykrywaczem trucizn z Kronina. Nigdy nie wychodził samotnie na miasto.

Nieprzewidywalni Wolanie bez uprzedzenia zerwali z nim wszystkie kontakty: przestali się do niego zwracać o pośrednictwo w interesach z Gildią chociaż przez całe lata przekazywał przyprawowe łapówki zachłannym urzędnikom.

Czy to możliwe, że dowiedzieli się o jego zdradzie? Z drugiej strony, dlaczego miałyby się nimi przejmować? A skoro uznali, że nie jest im do niczego potrzebny, to czemu niby nie miałyby poinformować Kaitain o ich sekretnych działaniach? Kto wie, czy Szaddam IV nie wynagrodzi go równie sownie jak hrabia Fenring.

Ale nawet wizja krociowych zysków nie potrafiła przewyciężyć trwogi Tueka.

„Narobiłem sobie zbyt wielu wrogów”.

Miękkie pościele nie przywracały spokoju, cichy szmer nieprawdopodobnie drogich fontann nie kołysał do snu, nic nie pomagało tłumaczenie sobie po tysiackroć, że jest przesadnie strachliwy.

Liet-Kynes i Stilgar w towarzystwie trzech innych Wolan bez trudu minęli wszystkie czujki i zabezpieczenia. Wielkie tereny pustynne pokonywali, nie zostawiając za sobą żadnych śladów, a robili to niemal odruchowo, bez wysiłku czy chwili zastanowienia.

Podciąwszy gardła dwóm strażnikom, dostali się po cichu do jasno oświetlonego wnętrza.

– Tuek powinien wynająć lepszych ludzi – szepnął Stilgar.

Liet wyciągnął krysnoż. Jego ostrze było jeszcze niesplamione, gdyż czekało na krew człowieka, który najbardziej zasłużył na karę.

Kiedy wiele lat temu młody Liet natknął się nieopodal południowego bieguna na Dominika, ten był uwielbiany przez swych ludzi. Stał się jego przyjacielem i nauczycielem. Po jakimś czasie Liet powrócił do siczy, a wtedy Tuek zdradził banitów, postąpił jak człowiek bez honoru.

Dziś otrzyma inną zapłatę, wynikającą z wolańskiego poczucia sprawiedliwości.

Bezszelestnie przesuwali się korytarzami, powoli zbliżając się do prywatnych komnat kupca. Nietrudno było dostać dokładne plany budynku, gdyż Tuek wynajmował do sprząwania Wolanki, które nawet gdy mieszkwały w mieście, pozostawały lojalne wobec własnych siczy.

Stilgar nie znał wprawdzie Dominika Verniusa, ale kiedy Liet powiedział mu o planowanej akcji, natychmiast na nią przystał, gdyż teraz przecież syn Pardota Kynesa był Abu Naibem, naibem wszystkich Wolan. W istocie, Liet mógł przebierać pośród chętnych, gdyż prawo zemsty było bliskie sercu każdego Wolanina.

W ciemności wśliznęli się do sypialni i bezgłośnie domknęli za sobą drzwi. Krysnoże czekały w pogotowiu, spod stóp skradających się nie wydobył się najcichszy dźwięk. Liet mógłby sięgnąć po pistolet maula i zastrzelić zdrajcę, ale zabicie mężczyzny nie było ich zamiarem. Nie zabicie.

Tuek nagle przebudził się i zaczerpnął powietrza, aby krzyknąć, ale natychmiast wyładował na nim Stilgar i zakrył mu usta dłonią.

Kupiec wodny przewracał oczami pełnymi strachu. Nie mógł się nawet szarpnąć, gdyż Wolanie trzymali go za rozłożone ręce i nogi, aby przypadkiem nie sięgnął po jakąś ukrytą broń.

– Liet, nie mamy wiele czasu – szepnął Stilgar.

Liet-Kynes patrzył na Tueka. Jako młody wysłannik Wolan wiele lat temu przywiózł przyprawę na łapówki, ale kupiec z pewnością go nie poznawał.

Stilgar jednym szybkim ruchem obciął Tuekowi język, tak że ten nie mógł już krzyknąć i tylko rozpaczliwie charczał. Z jego ust strumieniem ciekła krew. Liet wypowiedział wolańską formułę:

– Rondo Tuek, odjęliśmy ci język, gdyż okazał się zdradziecki.

Czubkiem noża Liet wydłubał teraz Tuekowi oczy, jedno po drugim, i umieścił na stoliku koło łóżka.

– Odjęliśmy ci też oczy, gdyż widziały to, czego nie powinny widzieć.

Tuek dygotał z przerażenia i cierpienia. Dwóch Wolan skrzywiło się na widok bezużytecznie cieknącej krwi.

Teraz przyszła pora na uszy. Dwa szybkie cięcia i obie małżowiny znalazły się na stoliku obok języka i gałek ocznych.

– Odjęliśmy ci też uszy, gdyż słyszały rzeczy, których nie powinny słyszeć.

Wszyscy Wolanie uczestniczyli w końcowym kroku: dwa przeraźliwe odgłosy towarzyszyły odcięciu dłoni Tueka.

– Odjęliśmy ci dłonie, gdyż przyjmowały zapłatę od tych, których potem wydałeś na śmierć.

Wolanie odsunęli się od łóżka, na którym leżało straszliwie okaleczone ciało Tueka, żywego, chociaż może lepiej byłoby mu umrzeć. Przed wyjściem wszyscy napili się wody z fontanny, a potem przemknęli ulicami Kartagi i znikli w piaskach pustyni.

Od tej chwili to Liet-Kynes miał prowadzić rozmowy z Gildią Kosmiczną i osobiście ustalać warunki umowy.

Siedzibą myśli zrodzonej z intensywności uczucia jest serce. Siedzibą myśli abstrakcyjnej jest mózg.

**powiedzenie Bene Gesserit,
Z zasad kontroli**

Rhombur miał na sobie świetnie skrojony mundur i purpurową narzutę obrębianą mehrjedwabiem w kolorze miedzi. Ruszał się teraz na tyle płynnie, że ktoś nieuprzedzony nie domyśliłby się, jak wiele ma w sobie z automatu. Trzymając go z dumą pod ramię, Tessja towarzyszyła mu w inspekcji wojskowych hangarów na skraju portu kosmicznego Kala.

Przed największym z nich natknęli się na Leta i Thufira. Z wnętrza dochodził taki zgiełk i hałas, że Rhombur aż się skulił.

– Książę – zwrócił się Hawat do Rhombura – pierwszy etap prac dobiega końca. Zarezerwowaliśmy dla ciebie i Gurneya miejsca na liniowcu, ale macie drogę tak zawilą, że kiedy dotrzecie na Ix, nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, że możecie mieć coś wspólnego z Kaladanem.

Dołączył do nich Duncan Idaho, ocierając zatłuszczone dłonie i chowając krystaliczną tabliczkę rejestrującą.

– Książę mój – zwrócił się do Leta. – Flota jest niemal gotowa do przeglądu. Właśnie kończymy lustrację ostatniej z dwudziestu sześciu bojowych fregat. Poza tym przygotowaliśmy dziewiętnaście zrzutników, sto uzbrojonych ornitopterów, pięćdziesiąt osiem jednoosobowych myśliwców.

W trakcie tego wyliczenia Thufir Hawat podsumował, ile Gildia zażąda za transport takiej liczby pojazdów, i porównał to z zasobami Atrydów.

– Książę, będziemy musieli wystąpić o kredyt do Banku Gildii na tak drogą operację.

Leto lekceważąco machnął dłonią.

– Jestem wysoko w rankingu wiarygodności kredytowej, Thufirze. To inwestycja, którą poczyniliśmy już dawno temu.

– A ja ci, Leto, zwrócę wszystko co do ostatniego solarisa... chyba że nie uda się odzyskać Ix dla rodu Verniusów, bo wtedy będę bankrutem albo raczej trupem. – Zobaczywszy gniewny błysk w oczach Tessji, Rhombur pospiesznie dorzucił: – To żadne malkontenctwo, po prostu staram się uwzględnić wszystkie możliwości. W każdym razie najchętniej już zaraz ruszyłbym z Gurneyem. Mamy dużo pracy do wykonania.

Książę fachowym wzrokiem oceniał sylwetki swych maszyn. Ludzie zajęci sprawdzaniem mechanizmów i uzbrojenia stawali na baczność, gdy znalazł się w ich pobliżu.

– Duncanie, dlaczego przygotowałeś tyle ornitopterów i myśliwców? To nie jest operacja powietrzna ani naziemna. Będziemy walczyć wewnątrz planety.

– Najważniejsze są fregaty i zrzutniki, odpowiedzialne za dostarczenie na powierzchnię Ix niemal pełnego legionu w pełnej gotowości bojowej. Ale zanim przystąpią one do dzieła, najpierw uderzą ornitoptery i myśliwce, aby unieszkodliwić posterunki obserwacyjne sardaukarów i zniszczyć blokadę zamykające wejścia pod skorupę. – Spojrzał na smukłe kształty myśliwców. – Jeśli przełamywanie zewnętrznych umocnień opóźni się, będziemy mieli kłopoty pod powierzchnią.

Leto pokiwał głową, a Thufir błyskawicznie podliczał tarcze, materiały wybuchowe, laserobiny, noże i miecze, racje żywnościowe, paliwo, umundurowanie. Problemy logistyczne związane z taką operacją były ogromne, a na dodatek do uderzenia wykorzystana zostanie znaczna część sił na co dzień mających za zadanie obronę Kaladanu. Decyzja była ryzykowna, z drugiej jednak strony, gdyby Cesarz zdecydował się na uderzenie odwetowe, cała armia Atrydów nie potrafiłaby sprostać zmasowanemu atakowi sardaukarów.

Szczególnie że Szaddam demonstracyjnie zwiększał swoje siły, co nastąpiło zaraz po brutalnym ataku na Zanoar i bezwzględny zakazie gromadzenia jakichkolwiek nielegalnych zapasów melanżu. Wszystkie rody także zaczęły wzmacniać swe armie. Niektóre nader niechętnie ujawniły swe zasoby, inne uparcie twierdziły, że posiadają melanż tylko na użytek bieżący.

Leto wysłał na Kaitain oficjalne potwierdzenie, że gotów jest poddać się kontroli ze strony ZNAH-u, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Niewinność nie gwarantowała wcale bezpieczeństwa, gdyż łatwo było sfalszować raporty czy wręcz podrzucić melanż w trakcie kontroli. Thufir wskazywał na przykład Ekazu. Kiedy na Grumman tajny agent cesarski ujawnił zapas melanżu, który został skonfiskowany, wicehrabia Hundro Moritani najechał swego arcywroga, Ekazów. Niedługo potem także tam odkryto nielegalne zapasy, oburzony arcyksiążę Armand Ekaz oznajmił zaś, że to prowokacja Moritanich, na dowód czego miał zeznania schwytanych sabotażystów. Chociaż jednak dowody wydawały się niewątpliwe, cesarskie śledztwo ślimaczyło się i ślimaczyło, a obydwie strony obrzucały się coraz dosadniejszymi groźbami i pogrózkami.

W wejściu hangaru pojawiła się umundurowana kurierka. Skierowana przez jakiegoś mechanika, nie tyle podeszła, ile podbiegła do Leta. Ten zeszywniał, przypominając sobie, ile razy przybycie kuriera oznajmiało jakąś tragedię. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, aby w ten sposób dotarła do niego pomyślna wiadomość.

Kurierka zatrzymała się przed Letem, skłoniła głowę i poprosiła o okazanie książęcego sygnetu, a potem wręczyła cylinder z wiadomością. Leto pospiesznie zerwał pieczęcie, Rhombur i Tessja

cofnęli się o krok, a Duncan i Thufir wpatrzyli się w napięciu w swego władcę.

– Oficjalna wiadomość z Kaitain. Dokonano zamachu na Cesarza. – Leto nagle pobladł. – Jessika znalazła się na linii ognia! – Błyskawicznie przebiegł wzrokiem resztę informacji. – Jakiś szaleniec zaatakował podczas spektaklu.

Rhombur spojrzał oburzony na Tessję.

– Na szkarłatne piekła! Przecież Jessika pojechała na Kaitain, żeby być absolutnie bezpieczna!

– Jest ranna? – spytał krótko Duncan.

– Jest jeszcze druga wiadomość, od Jessiki – powiedział Leto, a na jego twarzy pojawiła się ulga.

Po chwili oba dokumenty przekazał Hawatowi, nie troszcząc się o to, że mentat przeczyta osobiste słowa od konkubiny, gdyż nagle opuścił go cały spokój. Przebiegające myśli wyraźnie pokazywały, jak bardzo zależy mu na Jessice, a na dodatek takie nadzieje wiązał z dzieckiem w jej łonie...

– Zapewne chodzi o coś więcej, niż można wyczytać w oficjalnej informacji, mój książę, ale z całą pewnością to nie Jessika była obiektem ataku – powiedział Hawat. – Assassini mogliby znaleźć znacznie lepszą okazję do jej uśmiercenia niż wtedy, gdy z racji obecności Cesarza wzmocnione są zabezpieczenia. Na linii ognia znalazła się przypadkiem.

– Promieniowi z laserobinu jest to obojętne – warknął Leto. – Lady Anirula zażyczyła sobie, nie, zażądała, aby czas pozostały jej do porodu Jessika spędziła na Kaitain. Co mogło jej grozić tutaj, na Kaladanie?

– Nic – rzekł Duncan, jak gdyby chciał w ten sposób podkreślić, że on sam wzięłby na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo nałożnicy księcia.

Praca nie ustała chociażby na chwilę, ale ludzie powtarzali sobie zasłyszaną wiadomość.

Leto nie posiadał się z gniewu.

„Jessika mogła zginąć! Gdybym i ją utracił, nie miałbym już po co żyć”.

W pierwszym odruchu chciał najbliższym liniowcem lecieć na Kaitain: niechaj tutaj jego podwładni dokończą wszystkie przygotowania, on zaś znajdzie się obok swojej ukochanej, aby bronić jej przed jakimikolwiek zagrożeniami. Potem jednak podchwycił spojrzenie Rhombura, przypomniał sobie, jakie ten pokładał w nim nadzieje, a także raport Thufira i Gurneya o okrucieństwach Tleilaxan na Ix. Cóż, przede wszystkim był księciem, a dopiero później człowiekiem jak inni: kochającym, lękającym się o najbliższe osoby, pełnym pasji... Kochał Jessikę, bał się o życie jej i ich potomka, ale nie mógł nie wypełnić swych zobowiązań wobec Rhombura i milionów udręczonych mieszkańców Ix.

– Cesarz Padyszach ma wielu wrogów, a każdy dzień pomnaża ich liczbę – zauważył Rhombur. – Konfiskuje przyprawę, grozi, że także innych spotka los Zanovaru. Chce rządzić żelazną ręką.

– Szaddamowi władza przysługuje dziedzicznie – powiedziała w zamyśleniu Tessja – czy jednak ma predestynujące go na tron zdolności?

Leto potrząsnął głową rozmyślając o wszystkich niewinnych ofiarach ścielących się na pokrętnie i nieudolnie obranej przez Cesarza drodze.

– Obawiam się, że ta Wielka Wojna Przyprawowa skrupi się i na nim – rzekł posępnie.

Prawa są groźne dla wszystkich, winnych i niewinnych, nie ma w nich bowiem zrozumienia ludzkich sytuacji. Zawsze trzeba je interpretować.

stanowisko Bene Gesserit w sprawach państwa

Pod bezchmurnym jak zwykle niebem odbywało się kolejne z cesarskich przyjęć, których uczestnicy przechadzali się pośród wspaniałych klombów, gazonów i alejek. Dookoła słychać było dziecięce krzyki i szmer układnych rozmów.

Jessika miała wrażenie, że ci ludzie zatracili poczucie rzeczywistości, a największą ich tragedią jest cesarska niełaska. Nawet jednak dekadencja musi kiedyś minąć. Zastanawiała się, jak to możliwe, że podejmowane jednak są i realizowane jakieś decyzje, że istnieje jakaś cesarska polityka. Jako dama do towarzystwa nie miała nic do roboty, ale cały dwór bacznie ją obserwował.

Na Kaladanie kontrolowałyby bilanse księstwa, sprawdzała rozlokowanie floty rybackiej, śledziła przepowiednie pogody dotyczące oceanów. Pilnowałyby, aby Leto zanadto nie pogrążał się w bólu, a jego gniew usiłowałyby kierować w pozytywnym kierunku. A tutaj czekały ją co najwyżej gry na trawie.

Ścieżka prowadziła między krzewami bugenwilli i grzędami jalapy, których zapach przypominał jej Kaladan i wielkie kwietne łąki na północ od zamku. Pewnego ciepłego dnia wymknęli się spod czujnego spojrzenia Thufira Hawata i Leto powiódł ją w ustronne miejsce na wysokim brzegu. Kochali się tam na kwietnym kobiercu, a potem przez dobre pół godziny leżeli i patrzyli w chmury. Jakżeż brakowało jej go teraz!

Musi jednak czekać jeszcze cztery i pół miesiąca, aż narodzi się dziecko. Nie wolno jej było sprzeciwiać się takim poleceniom, ale w głębi duszy buntowała się.

Jej najważniejsza nauczycielka, Mohiam, będzie nie tylko rozczarowana, ale wręcz wstrząśnięta, kiedy odkryje sekret swojej podopiecznej. Jessika już teraz obawiała się wyrazu jej twarzy, gdy zobaczy nowo narodzone dziecko. Czy możliwe, by zakon uśmiercił księżęcego syna?

Zaraz jednak hardo się wyprostowała. „Potem mogę urodzić zakonowi tyle córek, ile tylko zapragnie, a będę w stanie”.

Zobaczyła przed sobą najstarszą księżniczkę, Irulanę, która w eleganckim białym komplecie sportowym siedziała na kamiennej ławce zaczytana w księgofilmie. Na odgłos kroków podniosła wzrok.

– Dzień dobry, lady Jessiko. Czyżby przegrała pani swoją partię?

– Nie rozegrałam, niestety, żadnej.

– Ja też nie przepadam za grami. – Zrobiła elegancki gest zapraszający. – Zechce się pani przysiąść?

Anirula nadal wiele uwagi poświęcała swojej najstarszej córce, najbardziej poważnej i najinteligentniejszej ze wszystkich sióstr, jeśli nie było jeszcze za wcześnie na takie oceny.

Kiedy Jessika usiadła, podniosła księgofilm.

– Zna pani *Żywoty bohaterów dżihadu*?

Wyglądała na starszą niż naprawdę była, a jej pasja wiedzy zdawała się ogromna. Powiadano, że marzy o karierze pisarskiej.

– Oczywiście. Moją nauczycielką była Wielebna Matka Mohiam. Za jej sprawą nauczyłam się na pamięć całej książki. Na dziedzińcu szkoły na Wallach IX stoi posąg Raquelli Berto-Aniruli.

Irulana lekko uniosła brwi.

– Moją ulubioną bohaterką zawsze była Serena Butler.

Kamienna ławka była gorąca od słońca. Obok nich w pogoni za czerwoną piłką przemknęła gromadka dzieci. Irulana odłożyła na bok księgofilm i zmieniła temat.

– Po Kaladanie Kaitain to chyba wielka zmiana, prawda?

Jessika uśmiechnęła się.

– Kaitain jest piękny i fascynujący, każdego dnia dowiaduję się czegoś nowego. – Na chwilę zawiesiła głos i dorzuciła: – Ale to jednak nie mój dom.

Irulana ze swą klasyczną pięknnością przypominała Jessice ją samą w tym wieku. Była starsza od księżniczki ledwie o jedenaście lat, śmiało więc mogłyby być siostrami.

„Kogoś takiego mój książe z pewnością poślubiłby dla chwały swego rodu. Powinnam jej nienawidzić, ale nie potrafię”.

Obejrzały się, w ich kierunku zmierzała Cesarzowa w długiej sukni mauve ze złotym kołnierzem i bufiastymi rękawami.

– Ach, tutaj jesteś, Jessiko. Spiskujecie razem?

– Rozmawiamy o cudach Kaitain – odrzekła Irulana. Anirula rozpoznała księgofilm i, nie skrywając matczynej dumy, konspiracyjnym tonem zwróciła się do Jessiki:

– Odnoszę wrażenie, że Irulana bardziej interesuje się historią i tajnikami władzy niż mój mąż, a jej ojciec. – Wyciągnęła rękę do swojej dwórki. – Chodź, proszę, ze mną. Mam kilka spraw do omówienia.

Poszły alejką między krzewami, które przyszyżono na kształt gwardzistów. Anirula zerwała jedną zapomnianą witkę, która zaburzała wzór.

– Jessiko, tak różnisz się od pozostałych osób na dworze, które oddają się tylko plotkom i intrygom. W twoim towarzystwie bardzo się odprężam.

– Wydaje mi się, że jestem bardzo zwyczajna pośród tych wszystkich wspaniałości. Nie taka strojna.

Anirula zachichotała.

– Twoja uroda nie potrzebuje żadnej dekoracji. Ja na przykład muszę przestrzegać wymogów etykiety. – Uniosła dłoń, na której zamigotały pierścionki. – Ale ten niebieski czarmień to coś więcej niż tylko klejnot.

Nacisnęła oczko i w powietrzu przed nią ukazał się notatnik. Zanim Jessika zdążyła odcyfrować jakiegokolwiek słowo, Anirula wyłączyła holoprojekcję.

– Ponieważ na dworze tak trudno o intymność, dziennik bardzo mi pomaga. Pozwala mi analizować myśli i przesiewać Pamięć Innych. Zrozumiesz to, Jessiko, kiedy sama zostaniesz Wielebną Matką.

Stąpając z kamienia na kamień, przeszły na drugą stronę płytkiego stawku.

– Znajdując się tak daleko od zakonu i sióstr, dziennik sporządzam też na wypadek, gdybym z jakichś względów nie mogła przekazać swojej pamięci, gdy nadejdzie chwila...

Nie wypowiedziała jednak do końca swoich myśli.

Teraz, gdy prowadzony przez tysiąclecia program kultywacyjny zbliżał się do końca, ona jako Kwisatz Matka chciała też zostawić dla swych następczyń kronikę tych dni, za nic nie chcąc, by na skutek jakiegoś zbiegu okoliczności ten doniosły okres zatonął w mrokach niepamięci.

Anirula poprawiła pierścionek na dłoni i dorzuciła:

– Tobie dam starodawny pamiętnik. Książkę, jakich się już dzisiaj nie używa. Tam możesz notować swoje obserwacje, rejestrować najbardziej osobiste myśli. Dzięki temu zaczniesz lepiej rozumieć i samą siebie, i ludzi dookoła. – Okrążyły fontannę. Wilgoć na skórze wydała się Jessice delikatna jak dziecięce mięśnie. Odruchowo dotknęła brzucha, gdzie wzrastało nowe życie. – Mój prezent leży już w twoim gabinecie. Znajdziesz w biurku niezapisany zeszyt, który należał do mojej wiekowej przyjaciółki, Lobii. Korzystaj z niego, znajdziesz przyjaciela w tym pałacu, gdzie pośród tłumów bywa się tak samotną.

Jessika zatrzymała się, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

– Bardzo dziękuję, Najjaśniejsza Pani. Pierwszy wpis zrobię jeszcze dziś wieczorem.

Niektórzy ludzie przenigdy nie przyznają się do porażki. Czy historia uzna ich za bohaterów, czy za głupców?

Cesarz Szaddam IV, Nowa historia Cesarstwa (szkie)

W dawnych czasach Cammar Pilru był ambasadorem Ix na Kaitain, człowiekiem, którego obowiązki z podziemnego miasta przeniosły się na sale Landsraadu i dworu cesarskiego. Wytworny, ale też i nie cofający się przed podstępem dyplomata nieustannie zabiegał o korzystne dla Ix kontrakty, często przekupując urzędników i potencjalnych klientów.

A potem Tleilaxanie najechali jego ojczyznę. Dwór cesarski pozostał głuchy na jego wołanie o pomoc, podobnie zresztą jak Landsraad. Jego żona zginęła podczas ataku, jego planeta i życie runęły w gruzy. Kiedyś, w czasach, które teraz wydawały się nieskończenie odległe, ambasador miał wielkie wpływy w kręgach przemysłowych, finansowych i politycznych, wysoko ustawionych przyjaciół i dopuszczany był do wielu sekretów. Zawsze cechowała go dyskrecja, ale sama świadomość, że mógłby wykorzystać swe informacje na czyjąś niekorzyść, ogromnie podnosiły go w oczach innych. Nawet teraz, po tylu latach, ciągle posiadał wiadomości, które mógł wykorzystać.

Naczelnik Cesarskiego Więzienia na Kaitain, Nanee McGarr, była kiedyś przemytnikiem i rozbójnikiem. Niektórzy brali ją za mężczyznę i to niespecjalnie przystojnego. Pochodziła z planety o silnej grawitacji w systemie Unsidor, trudno się więc dziwić, że była krępa i muskularna niczym zawodowy zapaśnik. Ponad rok spędziła w więzieniu na Ix, aż przekupiła strażnika, który pozwolił jej uciec. Oficjalnie nadal jej poszukiwano.

Kilka lat później Pilru rozpoznał McGarr w stolicy. Spotkał się z nią w tajemnicy, ujawnił swoją wiedzę, obiecał, że jej nie wyda – i od tej chwili miał ją w kieszeni. Przez dwadzieścia lat, jakie spędził na wygnaniu, nie widział potrzeby, aby wykorzystać tę przewagę.

Po próbie zamachu na życie Cesarza rozeszły się najróżniejsze plotki na temat osoby zamachowca. Pilru nabrał pewnych podejrzeń. Koniecznie musiał skontaktować się z więźniem, aby sprawdzić, czy aby nie jest to nieślubny syn Elrooda IX, zrodzony ze związku z Shando Balut, która później została małżonką Dominika Verniusa.

Jeśli tak, to Tyros Reffa byłby bratem przyrodnim nie tylko Szaddama IV, ale i księcia Rhombura! Cóż za oburzająca myśl: księżę Korrino i Vernius uwięziony tutaj, na Kaitain! Rhombur uważał się za ostatniego przedstawiciela rodu i był przekonany, że ten na nim wygaśnie.

I oto pojawiała się możliwość, że wprawdzie po kądzieli, ale jednak...

Było oczywiste, że Pilru nie uda się oficjalnie dostać do Reffy, dlatego musiał spróbować innej drogi. Nie był może w tej chwili osobą bardzo znaczącą, ale McGarr z pewnością nie chciałyby, aby ktoś ujawnił jej przeszłość. Ostatecznie wystarczyła lekka aluzja, aby natychmiast umożliwiła mu widzenie.

Kiedy Pilru pojawił się w leśnej alejce na zachodnim skraju terenów pałacowych, nad metropolią Korryntii poczęła zapadać noc. Po kamiennym mostku przeszedł na drugą stronę cichego strumienia i stanął w mroku. W przytwierdzonej do brzucha saszetce zeroentropijnej miał ukryte narzędzia medyczne, kilka fiolek i mały holorejstrator.

– Tutaj – rozległ się głos, i zmrużywszy oczy, Pilru ujrzał w łódce zgarbionego mężczyznę o błyszczących oczach, który czekał tu zgodnie z umową. Niewielki silniczek pomrukiwał cicho, utrzymując stabilność łódki.

Ambasador wsiadł i natychmiast silnik zaterkotał głośnie. Sternik znakomicie znał drogę w płataninie biegnących między wysokimi płotami kanalików i odnóg, z których wiele wybudowano tylko w celu zmylenia niepożądanych gości.

Za kolejnym zakrętem zobaczył przegrodę biegnącą w poprzek kanału, a na niej przyćmione światła. Przed sobą mieli narożnik budynku więziennego, drogę zamykała im podwójna brama, a po jej obu stronach nadziano na drągi głowy skazańców, trzech mężczyzn i jednej kobiety. Skórę na nich zmumifikowano, ale wewnątrz je wypróżniono, umieszczając w środku lampki, których światło sączyło się przez oczodoły, usta i otwory uszne.

– Brama Zdrajców – mruknął sternik, gdy oba skrzydła wieży rozwarły się przed nimi. – Wielu sławnych ludzi wkraczało tą drogą, ale niewielu przemierzyło ją w odwrotnym kierunku.

Strażnik stojący na kamiennym brzegu dał znak, a kiedy Pilru wysiadł z łódki i wspiał się po stromych schodkach, nie pytając o żadne uwierzytelnienia, poprowadził go zatęchłymi, cuchnącymi pleśnią korytarzami. Gdzieś z oddali dobiegały krzyki. Może z osławionej cesarskiej komory tortur, a może tylko nagrano je i odtwarzano, aby złamać ducha w więźniach. Znaleźli się przed niewielką celą, przed którą pomarańczowo żarzyło się pole blokujące.

– Apartament królewski – oznajmił strażnik i zredukował pole, pozwalając ambasadorowi przejść przez nie.

W celi cuchnęło, po jej kamiennych ścianach spływała woda, na dnie pieniały się jakieś szarawe grzyby. Mężczyzna w obszarpanym czarnym płaszczu i postrzępionych spodniach usiadł na metalowej pryczy.

– Kim jesteś? – spytał głucho. – Czyżbym w końcu doczekał się prawnika?

– Naczelnik McGarr dała panu godzinę – powiedział strażnik. – Potem albo pan wyjdzie... albo zostanie.

Reffa poprawił się nerwowo na pryczy.

– Dokładnie przestudiowałem prawo cesarskie, którego nawet Szaddam musi przestrzegać. Otóż naruszył...

– Korrinowie sami decydują o tym, jakie prawa mają ich obowiązywać – przerwał mu Pilru. Sam tego doświadczył w związku ze swą ojczystą planetą.

– Ja też jestem Korrinem.

– Tak pan przynajmniej utrzymuje. Więc nie rozmawiał z panem jeszcze żaden obrońca?

– Mijają już trzy tygodnie, a przed panem nikt się tu nie zjawił. – Wbił spojrzenie w ambasadora. – Co się stało z resztą trupy? Oni o niczym..

– Wszystkich aresztowano.

Reffa spuścił głowę.

– O tym nie pomyślałem. Żał mi ich, podobnie jak tego żołnierza, ale nie chciałem nikogo atakować. Zależało mi jedynie na tym, aby powiedzieć to, co mam do powiedzenia. – Przez chwilę milczał, a potem znowu spojrzał na swego gościa. – Więc kim pan jest?

Pilru podał ściszym głosem swoje nazwisko i tytuł, a potem dodał:

– Niestety, jestem przedstawicielem nieistniejącego rządu. Kiedy Ix padło łupem najeźdźców, Cesarz nie zrobił nic, aby temu przeszkodzić.

– Ix? – Reffa wydawał się podekscytowany. – Moją matką była Shando Balut, która później wyszła za Dominika Verniusa.

Pilru przykucnął naprzeciw więźnia.

– Jeśli istotnie jest pan tym, za kogo się podaje, Tyrosie Reffo, to wraz ze swym bratem przyrodnim Rhomburem jest pan księciem. Bylibyście jedynymi żyjącymi potomkami potężnego niegdyś rodu.

– Jestem także jedynym męskim następcą rodu Korrinów.

– Tak pan twierdzi.

Więzień skrzyżował ręce na piersi.

– Testy genetyczne wszystko potwierdzą.

– Słusznie. – Ambasador wydobył pakiet medyczny z przypiętej do brzucha saszetki zeroentropijnej. – Mam ze sobą odpowiedni zestaw. Szaddam nie chce pozwolić na ustalenie pańskiej genetycznej tożsamości, przybyłem tu bez jego wiedzy. Musimy być bardzo ostrożni.

– Sam jednak nie zlecił żadnych badań. Albo zna prawdę, albo go ona nie interesuje. – Reffa zasepił się. – Co on zamierza? Chce mnie tu trzymać w zamknięciu przez całe lata czy też zgładzić? Czy wie pan, że atak na Zanozar przypuścił tylko po to, aby mnie zlikwidować? Poległy miliony ludzi, ale mnie tam nawet wtedy nie było.

Wieloletnie doświadczenie dyplomatyczne pozwoliło Pilru nie okazać zdumienia. Cała planeta unicestwiona z powodu jednego człowieka? Wcale jednak by się nie dziwił, gdyby Szaddam istotnie w ten sposób usiłował usunąć domniemane zagrożenie dla swojej władzy.

– Nie chcę się wypowiadać w tej sprawie, nie ulega jednak wątpliwości, że Cesarzowi jest bardzo na rękę, aby pańskie istnienie było otoczone tajemnicą. I właśnie dlatego muszę pobrać próbki, aby przeprowadzić analizy gdzieś daleko od Kaitain. Musi mi pan pomóc.

Na twarzy Reffy pojawił się wyraz nadziei. Zielonoszare oczy rozblęły, a on sam wyprostował się.

– Oczywiście.

Na szczęście nie dopytywał się o żadne szczegóły. Pilru otworzył pojemnik z autoskalpelem, wyjął strzykawkę, a obok ułożył fiołki.

– Potrzebuję materiału na kilkanaście analiz.

Więzień wykonywał posłusznie polecenia, Pilru zaś pobrał krew, nasienie, próbki skóry, paznokcie, a także komórki z wnętrza jamy ustnej – wszystko, co było potrzebne do jednoznacznego ustalenia genetycznego dziedzictwa Reffy, bez względu na to, jak Szaddam starałby się to zataić. Oczywiście, jeśli Pilru uda się wydostać z próbkami poza Kaitain. Zaczynał bardzo niebezpieczną grę.

Kiedy Reffa ubrał się z powrotem, zgarbił się, jakby w przekonaniu, że nigdy już nie wydostanie się z lochów.

– Więc nie mam co liczyć na uczciwy proces?

Miał teraz spojrzenie niewinnego chłopaczka. Ukochany docent Glax Othn zawsze mu powtarzał, że sprawiedliwość jest największą świętością ale Szaddam, kat Zanozaru, uważał, iż jego sprawiedliwość nie dotyczy.

– Raczej nie – z brutalną szczerością odparł ambasador.

Więzień westchnął ciężko.

– Myślałem, że przynajmniej przed sądem powiem do końca to, co miałem wypowiedzieć ze sceny: opowieść o wielkiej i znakomitej tradycji rodu Korrinów. Miałem nadzieję, że używszy wszystkich swych zdolności, sprawię, iż ludzie zapłaczą za utraconym dostojeństwem Cesarstwa, a Szaddam zrozumie swój błąd.

Z pojemnika zeroentropijnego Pilru wydobył holorejestrator.

– Więc niech teraz pan to powie, Tyrosie Reffo. Przede mną. A ja to nagram i zadbam, żeby inni też to usłyszeli.

Reffa wstał i przyjął uroczystą pozę.

– Jestem rad, że mam chociaż jednego słuchacza.

Rozległ się szmer pracującego rejestratora.

Kiedy znowu pojawił się strażnik, Pilru stał wstrząśnięty, a po twarzy toczyły mu się łzy. Wyblakło pole osłonowe, a strażnik powiedział:

– To jak? Zostaje pan z nami? Poszukać wolnej celi?

– Wychodzę – powiedział Pilru i rzucił Tyrosowi pożegnalne spojrzenie. Miał sucho w gardle, nogi pod nim drżały. Nigdy dotąd nie doświadczył siły, z jaką oddziałują aktorzy z Jongleur.

Tymczasem nieprawy syn Elrooda IX stał po drugiej stronie pola w dumnej postawie.

– Proszę przekazać me pozdrowienia Rhombuowi. Chciałbym... chciałbym go kiedyś poznać.

Kluczem do wynalazków jest nie matematyka, lecz wyobraźnia.

**Haloa Rund,
młodzieńcze zapiski laboratoryjne**

Obolały i niespokojny Rund siedział nad elektronicznym stołem kreślarskim i wpatrywał się w magnetyczne linie na płaskim ekranie. Korzystając z dawno używanych technik mentackich, zdołał odtworzyć wszystkie pytania Bene Gesserit i każdy szczegół pokazanego im wraku.

Teraz, kiedy wiedział, że może istnieć pole zapewniające niewidzialność, musiał tylko znaleźć sposób, aby je odtworzyć. Było to pasjonujące wyzwanie.

Balt i Kinnis stali w kącie sali laboratoryjnej.

– Dyrektorze – mówił Balt – zastanawiam się nad tym i zastanawiam. Słowa Haloa jakoś przemawiają mi do przekonania, chociaż nie wiem dlaczego.

– Ja nic nie pamiętam – po raz któryś z rzędu powtórzył Kinnis.

– Ja przechodziłem trening mentata – powiedział Rund, nie odrywając oczu od stołu – i może dlatego jestem bardziej odporny na sztuczki Bene Gesserit.

– Ale całego szkolenia nie ukończyłeś – przypomniał Kinnis, nader sceptycznie odnoszący się do rzekomej wyższości Runda.

– Tak czy owak, zmieniło to układ sieci neuronowej w moim mózgu. – Przypomniał sobie szkolne powiedzenie: „Wzory mają skłonność do powtarzania się: aż do sukcesu lub porażki”. – Pojawiły się w nim kieszenie obronne, mięśnie mentalne, dodatkowe obszary składowania danych.

Tak, jego wuj może być dumny.

Balt podrapał się po łysej czaszce.

– Może powinniśmy raz jeszcze przebadać dokładnie laboratorium Chobyna.

Kinnis zachnął się.

– Zrobiliśmy to przecież zaraz po jego ucieczce. Był badaczem średniego szczebla, bez żadnych ważnych koneksji rodzinnych, więc i jego laboratorium nie było wielkie, a od tamtego czasu wykorzystywane jest jako składzik.

Rund usunął szkice z ekranu. Zerwał się od stołu i, nie pytając Kinnisa o pozwolenie, wybiegł.

W dawnej pracowni Chobyna zaczął przeglądać listę zamówień i notatki. Zbadał też wykonane przez Chobyna hologramy ilustrujące stan prac, ale nie znalazł niczego ciekawego.

Uciekinier pracował nad klasycznymi równaniami Holtzmana. Chociaż były znane od tysięcy, nawet najwybitniejsi naukowcy wiedzieli tylko, że sprawdzają się one, ale dlaczego – tego już nikt nie potrafił wyjaśnić. Rund też nie potrafił zrozumieć, o co chodziło Chobynowi.

Jego umysł pracował na tak wysokich obrotach, że nigdy by go o to nie podejrzewał. Flinto Kinnis usiłował robić wrażenie, że wszystko nadzoruje, ale Rund, nie zwracając na nikogo uwagi, myszkował po całym laboratorium. Opukał każdy centymetr kwadratowy ścian, podłogi i sufitu.

Kłęcząc przy zewnętrznej ścianie stacji, zauważył nagle szczelinę, która pojawiała się i nikła, jakby była złudzeniem. Wpatrzył się w nią aż go rozboleły oczy, przypominając sobie jednocześnie nauki ze szkoły mentatów. Przyspieszył rytm spostrzeżeń, spowalniając czas, i – pochwycił następne mignięcie.

Nie tylko je pochwycił, ale, stojąc już we właściwym momencie, zrobił krok do przodu.

Znalazł się po drugiej stronie ściany działowej, w ciasnej komórce pachnącej metalem i stęchlizną. Z kolejnym mignięciem ściana za nim zamknęła się. Wewnątrz znajdowało się tak niewiele miejsca, że ledwie mógł się odwrócić. Było ciemno i mroźno, oddychał z najwyższym trudem.

Macając wokół siebie, natrafił na arkusze ryduliańskiego papieru krystalicznego, jakieś rulony i szpule szigaretowe. Krzyknął kilka razy, ale głos odbijał się od ścian niczym piłka. Z zewnątrz nie dobiegały żadne dźwięki.

Skoncentrował się w oczekiwaniu na kolejny błysk i w odpowiedniej chwili, pełen podniecenia, przeskoczył na drugą stronę ściany. Kinnis patrzył na niego zdumiony.

– Sekretne pomieszczenie, ale ekranujące je pole wpadło we fluktuacje. Chobyn zostawił wewnątrz mnóstwo informacji.

Kinnis zatarł ręce.

– Świetnie, musimy to wszystko wydostać i zbadać do ostatniego szczegółiku. – Odwrócił się i skinął na jednego z techników. – Poczekasz na następne mignięcie, wejdiesz do środka i wyniesiesz wszystko, co tam jest.

Technik przycisnął się jak polujący kot, znakomicie wyczuł moment i skoczył przed siebie, natychmiast znikając wszystkim z oczu.

Rund i Kinnis czekali niecierpliwie, mijały jednak minuty, kwadrans, pół godziny, a technik się nie pojawił. Nic nie było słychać, bezskuteczne okazały się też próby zlokalizowania schowka poprzez opukiwanie ściany.

Wezwano brygadę z narzędziami tnącymi, ale za ścianą znaleźli tylko najnormalniejsze pomieszczenie magazynowe. Skanery nie rejestrowały niczego nadzwyczajnego.

Haloa Rund stał na uboczu, pogrążony w mentackiej projekcji. Na podstawie równań Holtzmana zaczynał przypuszczać, że pole niewidzialności zakrzywiało przestrzeń wokół ukrytego pomieszczenia.

Wejście znowu pojawiło się na chwilę, a wtedy na podłogę zwałił się nieszczęsny technik z bladą twarzą, nieruchomymi oczami, zakrwawionymi opuszkami palców, jak gdyby starał się rozorać ścianę. Pochylili się nad nim, ale nie żył już, uduszony albo zamrożony.

Chociaż wejście nadal stało otworem, nikt nie miał odwagi z niego skorzystać, aż wreszcie, przy słabych i nieszczerych protestach Kinnisa, zdecydował się na to Rund. Gotów w każdej chwili rzucić się z powrotem, zaczął ciskać do głównego pomieszczenia wszystko, co tylko wpadło mu w ręce. Być może jego umysł dostosował się do wibracji pola, albowiem wycofał się ze schowka dokładnie w momencie, gdy przesłoniła go niewinnie wyglądająca ściana.

Talis Balt patrzył na stos odzyskanych materiałów.

– Trzeba wiele czasu, żeby to wszystko zbadać.

Dyrektor Kinnis popatrzył na martwego technika, o którym wszyscy już zdążyli zapomnieć, jak gdyby ten mógł pomóc mu zdecydować, jak zdobyć potrzebny kredyt.

– Zaraz udam się do premiera Calimara, a ten na pewno nie poskąpi środków, dowiedziawszy się, w czym rzecz. Rund, ty porozmawiaj z hrabią Ilbanem. Także jemu nie trzeba będzie długo tłumaczyć, na jaki skarb trafiliśmy.

„Zemsta”. Czy jest w języku jakiegokolwiek piękniejsze słowo? Powtarzam je sobie tuż przed zaśnięciem w nadziei, że sprowadzi na mnie piękne sny.

baron Vladimir Harkonnen

Rząd Richese potrzebował znacznych – i do tego nieoficjalnych – funduszy, aby podjąć prace nad chobynowym polem niewidzialności, ale premier Ein Calimar dobrze wiedział, gdzie znajdzie je bez trudu.

Zjawił się na Giedi Primie pełen gniewu, że znowu jest zmuszony domagać się spłaty sum należnych Richese od rodu Harkonnenów. I oto zamiast udać się wprost do Twierdzy, gdzie zawsze dotąd spotykał się z baronem, musiał wraz z kapitanem Kryubim udać się na przejażdżkę po ponurych dzielnicach Harko.

Elegancko ubrany, dumnie wyprostowany Calimar starał się nie okazywać irytacji. Baron lubował się w psychologicznych gierkach, do których należało się przyzwyczaić. Z tajemniczych powodów Vladimir Harkonnen musiał właśnie dzisiaj dokonać inspekcji jakiejś fabryki i tylko tam mógł się spotkać z przedstawicielem Richese, któremu ta perspektywa zupełnie się nie spodobała.

W fabrycznym budynku powietrze było ciężkie, mokre, pełne obrzydliwych zapachów. Calimar poczuł, że za okularami w złoconej oprawce łzawią mu oczy. Już teraz wiedział, że gdy wróci do domu, jego kosztowny garnitur będzie się nadawał tylko do spalenia, tak przejdzie wszystkimi tymi odorami. Ale wróci dopiero wtedy, gdy wydrze od barona wszystkie należne rodowi Richesów sumy.

– Tędy – powiedział Kryubi bez najmniejszego grymasu na ustach przyozdobionych malutkim wąsikiem. Po stromych, niekończących się schodach wspięli się na metalowy pomost. Widać było z niego otwory kadzi, z których buchał smród fekaliiów.

„Jak taki grubas, jak baron, może się tu wdrapać?”

Calimar, który starał się dotrzymać kroku kapitanowi, dyszał ciężko i dopiero teraz zauważył metalowe szyby wind. „A więc tak, chce mi pokazać, gdzie moje miejsce” – pomyślał, a nozdrza poruszyły mu się gniewnie. Przygryzł wargę. Jeszcze pokaże baronowi, jaki jest twardy.

Kiedy pierwszy raz przybył na Giedi Primę, baron przyjął go w pokoju, gdzie w jakimś schowku rozkładały się zwłoki. Premier prosił o sekretne finansowanie badań, a cuchnący odór unosił się w powietrzu niczym milcząca groźba.

Ale teraz układ zależności odwracał się. Lata temu baron obiecał wesprzeć podupadający przemysł Richese, ale tylko pod tym warunkiem, że w tajemnicy zacznie go leczyć doktor Suk. Z czasem to baron stał się dłużnikiem Richese, ale nie kwapił się ze spłatą zaległości. Wellington Yueh rozpoznał wprawdzie jego chorobę, ale nie mógł jej uleczyć, tego bowiem nie potrafił zrobić nikt.

Baron uznał, że jest to wystarczający powód, aby nie płacić za diagnozę i terapię łagodzącą skutki choroby. Znajdą się jednak sposoby na jego skąpstwo. Calimar i dyrektor Korony Flinto Kinnis potrzebowali zaś ogromnych sum na rozpoczęcie i kontynuację badań nad generatorem niewidzialności. Gdyby jednak zakończyły się one sukcesem, przed Richese otworzyłaby się możliwość odzyskania dawnej potęgi gospodarczej, szczególnie że odwieczny rywal, Ix, znacznie ograniczył swoje dostawy.

W razie trudności Calimar nie zamierzał cofnąć się przed szantażem.

Po drugiej stronie pomostu czekał na niego straszliwie otyły baron. Calimar poczuł się niepewnie, gdy Kryubi kazał mu iść dalej samemu.

„Czyżby baron zamierzał mnie zabić?” Nie, taki czyn wzbudziłby zbyt wiele krzyku w Landsraadzie, a poza tym baron dobrze wiedział, jak wiele kompromitujących informacji na jego temat mają Richese.

Podszedłszy bliżej, Calimar zauważył, że baron zaopatrzył się w zatyczki chroniące go przed wstrętnymi zapachami i w filtr oddechowy, nie był więc wystawiony na takie cierpienia jak premier Richese, który na próżno co chwilę przecierał okulary.

– Panie baronie, to... niezwykle miejsce na spotkanie.

Baron popatrzył na wirujące fale bryłowatych ścieków, jakby zaglądał do kalejdoskopu.

– Muszę doglądać wielu spraw, mogłem więc spotkać się dziś z panem albo tutaj, albo w ogóle.

Choć ton głosu Harkonnena był władczy i pogardliwy, Calimar spróbował odpowiedzieć godnie i spokojnie.

– No cóż, obaj dobrze wiemy, jakich poświęceń wymaga polityka. Pan ma swoje obowiązki, ja swoje. Richese wywiązało się ze swoich zakontraktowanych usług, teraz na pana kolej uregulować finansowe zobowiązania.

Baron zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi. Jakie zobowiązania? Ten wasz przeklęty doktor Suk wcale mnie nie wyleczył.

– Umowa nie zawierała takiego warunku. Przewidziana przez nią diagnoza została postawiona, co więcej, opracowano także kurację łagodzącą skutki. Czas płacić.

– Odmawiam – powiedział stanowczo baron i najwyraźniej uznał, że sprawa została w ten sposób zakończona. – Może pan wracać.

Calimar zebrał się w sobie i rzekł:

– Panie baronie, przez cały czas trwania tego sporu starałem się zachować cierpliwość, wobec jednak oczywistego naruszania przez pana prawa, także ja czuję się uprawniony do zmiany warunków naszej umowy. Niniejszym zatem podwyższam stawkę za nasze usługi. – Podał astronomiczną sumę w solarisach i dodał: – Mamy już gotowe pismo do Landsraadu, prawnicy wykażą słuszność naszej sprawy. Przy okazji zaś ujawnimy źródło twojej choroby, baronie, a także poinformujemy o postępach, jakie czyni. A czyni szkody nie tylko fizyczne, ale i psychiczne.

Baron spurpurowiał na twarzy, zanim jednak zdążył wybuchnąć, przerwało im pojawienie się trzech gwardzistów, eskortujących mężczyznę w drogim kaftanie i zdobnych pantalonach. Mephistisa Cru na granicę przytomności zawiodły już same odory wypełniające obrzydliwy budynek, zapanował jednak nad sobą i wykrztusił drżącym głosem:

– Pan mnie wzywał, baronie?

Nie potrafił jednak zaradzić temu, że wzrok umykał mu w kierunku smrodliwych kadzi.

Baron oderwał oburzone spojrzenie od premiera Calimara i zwrócił je na mistrza etykiety.

– Mam pewną wątpliwość w kwestii dobrego smaku. – Uśmiechnięty wyraz twarzy zastąpił wyraz

śmiertelnej złości. – Mam nadzieję, że mi ją wyjaśnisz.

Cru poczuł się odrobinę pewniej i skwapliwie potwierdził.

– Oczywiście, panie baronie. Na tym wszak polegają moje usługi.

– Od czasu pamiętnego bankietu nieustannie zastanawiam się, czy sam mogę cię wrzucić do jednej z tych kadzi, czy też w lepszym stylu jest zlecenie tego któremuś z gwardzistów, abym sam nie brudził sobie rąk. Co radzisz?

Przerażony Cru chciał się cofnąć, ale nie pozwolili mu na to stojący tuż za jego plecami żołnierze.

– Ja... Nie pojmuję, mój panie baronie. Służyłem najlepiej, jak potrafiłem...

– Nie o to pytam, a ty wykręcasz się od odpowiedzi. Więc chyba jednak zdecyduję się na pomocnika. – Baron zrobił niedbały gest pulchną dłonią. – To chyba najmniej niegustowne z rozwiązań.

I nagle mistrza etykiety opuściła jego galanteria. Trysnął stekiem wyzwisk, które nawet baron uznał za obraźliwe, ale już z tyłu chwyciły go ręce gwardzistów i płynnym ruchem cisnęły nad balustradą. Kosztowne szaty Cru załopotwały w locie. Zdążył się jeszcze obrócić, aby zobaczyć otchłań, w którą spadał. W tym czasie baron patrzył już tylko na wstrząśniętego gościa.

– Miałem nadzieję, panie premierze, że i pana ubawi ten widok.

Tymczasem Cru udało się jakoś na pół wydobyć z mazi i wisiał teraz na krawędzi kadzi, targany wymiotami. Po drabince wspięli się na wierzch dwaj gwardziści, którzy, chronieni przez grube rękawice, wyciągnęli mistrza etykiety, ale tylko po to, aby do nóg przymocować mu ciężkie okowy. Darł się wniebogłosy, błagając o litość. Nic w nim już nie było z dawnej szykowności.

Zawył, gdy dwie pary rąk przesadziły go nad krawędzią i z powrotem wrzuciły w szlam ekskrementów. Calimar był poruszony do głębi, ale chciał zachować godność.

– Zawsze to pouczające, baronie. Można się przekonać, jak daleko sięga pańskie okrucieństwo. – Starał się nie słyszeć krzyków nieszczęśnika. – Może jednak wrócilibyśmy do ważniejszych spraw?

– Do diaska, zamilknij na chwilę. – Baron zmarszczył brwi, zdziwiony, że Cru znajduje jeszcze w sobie siły, by się bronić.

Calimar nie dawał zbić się z tropu.

– Wiele lat temu Cesarz Elrood usunął mego władcę, hrabiego Ilbana Richese z Arrakis, gdyż, jego zdaniem, był zbyt miękki. Kiedy z kolei nazbyt miękkim okazał się twój przyrodni brat, Abulurd, baronie, sam go usunąłeś i przejąłeś kontrolę nad operacjami przyprawowymi, zanim Elrood zareagował. Ani Landsraad, ani Cesarz nie znają wyrozumiałości dla słabych władców. Cóż, jeśli dowiedzą się, jak nieuleczalna nęka cię choroba, zadana ci przez Bene Gesserit, staniesz się pośmiewiskiem całego Cesarstwa.

Czarne oczy barona nabrały barwy obsydianu. Poniżej Mephistis Cru, bulgocząc i charcząc, ciągle nie chciał utonąć. Baron aż za dobrze wiedział, na jak nierozważne posunięcia pozwala sobie ostatnio Szaddam. Calimar istotnie miał Harkonnena w ręku. Nie ulegało wątpliwości, że w razie potrzeby Richesianie nie cofną się przed spełnieniem swojej groźby. Pojednawczym tonem oznajmił:

– Na tyle mnie nie stać. Pewnie uda nam się znaleźć jakieś bardziej kompromisowe rozwiązanie.

– Już raz uzgodniliśmy cenę, baronie, i miałeś dość czasu na uregulowanie należności. Teraz musisz dodatkowo zapłacić za zwłokę.

Baron był najwyraźniej zaszokowany.

– Ze wszystkich skarbców na Giedi Primie nie wycisnę takiej sumy.

Calimar wzruszył ramionami. Mimo kajdan na nogach, Mephistis Cru nadal rozpaczliwie czepiał się życia. Premier wykonał następne posunięcie.

– Skarga, złożona już w Landsraadzie, zostanie rozpatrzona za dwa tygodnie. Możemy ją,

oczywiście, wycofać, ale najpierw musimy zobaczyć pieniądze.

Widać było, że przynajmniej na razie baron nie ma żadnego wyjścia.

– Przyprawa. Zapłacę wam przyprawą! Mam odłożone tyle, aby pokryć wasze żądanie, a dostawa może się odbyć natychmiast. Zdaje się, że to moneta ceniona przez takiego szantażystę jak ty!

– Niech pan sobie daruje te tanie złośliwości, baronie. Gryf Harkonnenów stracił kły. – Calimar króciutko zachichotał, a potem twarz mu spoważniała. – Po hekatombie na Zanolvarze i powtarzanych przez Cesarza groźbach za nielegalne gromadzenie melanzu nie jest to najlepsza forma zapłaty.

– Ta albo żadna. A w każdym razie, jeśli należność chcecie otrzymać szybko. – Baron uśmiechnął się krzywo. – Inaczej musicie poczekać kilka miesięcy, zanim zdobędę potrzebną sumę.

– Dobrze. – Calimar rozumiał, że dobrze jest zapewnić przeciwnikowi jakieś małe zwycięstwo. – Niech i tak będzie. Uzgodnimy w szczegółach, jak przetransportować pański skarb do naszego laboratorium na Koronie. – Na chwilę zawiesił głos, a potem ciągnął z nutką ironii: – Dobrze, że mamy to już za sobą. Przykro mi, że musiałem posunąć się do takich środków.

– Kompletnie mnie nie interesuje twój stan ducha – wypalił baron z kamienną pewnością siebie. – Wynoś się i pamiętaj na przyszłość: szantażowanie Harkonnena to niebezpieczna zabawa.

Calimar wcale nie czuł się najpewniej w drodze powrotnej przez pomost, a potem w dół schodów.

Rozwścieczony baron skupił teraz swą uwagę na Mephistisie Cru. Wydawał się mazgajem i fircykiem, a tymczasem tyle w nim drzemało siły. Nieoczekiwanie zatem zabawa okazała się lepsza, niż baron przypuszczał. Ale i to widowisko w końcu go znudziło. Kazał Kryubiemu włączyć wielkie mieszadło. Bagno pod Cru zaczęło się poruszać, wirować z każdą chwilą coraz szybciej, chociaż nieszczęśnik nadal się nie poddawał.

Ach, gdyby tak baron mógł mu dodać do towarzystwa tego przeklętego Calimara!

W kronikach historycznych więcej jest tragedii niż triumfów, gdyż badaczom nie chce się długo wylizywać projektów, które się powiodły. A my, Atrydzi, odcisnęliśmy na historii silniejsze piętno, niż kiedykolwiek zamierzaliśmy.

książę Paulus Atryda

W lewej ręce trzymając sztylet, a w prawej krótki, zakrzywiony miecz, Duncan Idaho zaatakował.

Leto odskoczył, zarazem tak przesuwając wibrującą półtarczę, aby osłonić narażone na uderzenie miejsca. Mistrz miecza zwolnił impet uderzenia, aby nie zostało odrzucone przez pole tarczy.

Leto zaskoczył Duncana niekonwencjonalnym manewrem, rzucił się bowiem wprost na swego młodego przeciwnika, a ponieważ w ten sposób wzrosła relatywna szybkość ostrza, to odskoczyło, jakby zetknęło się ze skałą...

Teraz Leto zaatakował mieczem, ale Duncan kocim susem wskoczył na szczyt stołu i z wdziękiem wylądował po jego drugiej stronie.

Wydawało się, że wypchany łeb byka salusańskiego i portret księcia Paulusa w stroju matadora z zainteresowaniem przyglądają się temu pojedynkowi.

– Uważaj – powiedział ze śmiechem Leto. – Te świeczniki to prezent ślubny moich rodziców, więc jeśli uszkodzisz któryś, będzie cię to drogo kosztować.

– Najpierw musiałbyś mnie złapać – odparł Duncan i jakby szydząc z przeciwnika, ponownie wskoczył na stół.

Kiedy jednak był jeszcze w powietrzu, Leto ściął jedną ze świec wprost pod stopy lądującego Duncana, który jak długi runął na plecy. W jednej chwili na stole znalazł się i Leto, pewien, że nareszcie odniesie swe pierwsze zwycięstwo, ruszył do przodu, ale kiedy nachylał się, by koniec ostrza przytknąć do szyi mistrza miecza, jego już tam nie było.

Przetoczył się w bok, niczym kot wylądował na czworakach na podłodze i przeturlawszy się pod stołem, znowu nań skoczył i znalazł się za plecami Leta. Zanim jednak zdążył zaatakować, księżę już był do niego odwrócony twarzą. Patrzyli na siebie z uśmiechem. Duncan próbował sztychów sztyletem, ale Leto umiejętnie je parował.

– Jesteś jakiś rozkojarzony, księżę panie. Chyba za bardzo tęsknisz za swą połowicą.

„Może i tak, ale nikomu tego nie okażę”. I znowu ostrza szczęknęły o siebie, przez chwilę usiłowały odeprzeć jedno drugie, a potem odskoczyły. „Nawet tobie, Duncanie”.

Leto zamarkował cios mieczem, a lewą ręką sięgnął poprzez tarczę, aby, chwyciwszy połe płaszcz Duncana, pokazać, że niełatwo go złapać. Cios zadany w odpowiedzi pomknął dokładnie w kierunku oka księcia, ale zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Teraz Duncan skoczył w tył, wylądował na szerokim fotelu, zachwiał się na jego miękkim wyściełaniu, ale utrzymał równowagę, wysoko wspinając się na czubki palców.

W drzwiach pojawiła się służąca niosąca tacę z napojami. Zatrzymała się skonfundowana, a Leto, zerknąwszy w bok, odprawił ją ruchem ręki. Duncan wykorzystał tę chwilę nieuwagi, zaatakował jednak tarczą w tarczę, zwalając księcia z nóg. Służąca w przerażeniu wycofała się z sali bankietowej.

– Tego musisz się strzec, Leto – powiedział Duncan. – Przeciwnik często spróbuje zaskoczyć cię czymś nieoczekiwanym, a odwróciwszy twoją uwagę, zaatakuje.

Leto leżał na plecach, czując we włosach strużkę potu.

– Wystarczy na dzisiaj! Znowu byłeś lepszy.

Księżę wyłączył półtarczę, a mistrz miecza ceremonialnym ruchem wsunął obie klingi do pochew, potem zaś pomógł księciu wstać.

– No cóż, jeśli nie od parady mam nosić tytuł mistrza miecza, powinienem być lepszy, bez urazy, księżę, także od ciebie. Ale kilka razy naprawdę zaskoczyłeś mnie. Jesteś pojętym uczniem.

– No cóż, nie każdy może sobie pozwolić sobie na to, aby osiem lat spędzić na Ginaz. Nawiasem mówiąc, nadal aktualna jest moja oferta dla twojego przyjaciela Hiiha Resslera. Jeśli ma chociażby połowę twoich talentów, będzie bardzo wartościowym nabytkiem.

Duncan rozłożył ręce.

– Nie miałem od niego żadnych wiadomości od czasu, gdy powrócił do rodu Moritanich. Obawiałem się, że po powrocie może mieć jakieś poważne kłopoty, ale zdaje się, że należy teraz do straży przybocznej wicehrabiego.

Leto otarł pot z czoła.

– Pewnie zmężniał i stał się jeszcze sprawniejszy, rzecz jednak w tym, czy nie zepsuły go obyczaje Moritanich.

– Niełatwo jest zepsuć mistrza miecza.

Thufir Hawat, który przyglądał się im przez cały czas z drugiego wejścia, widząc, że zakończyli już trening, postąpił do przodu i skłonił się, co powtórzyło jego odbicie w niebieskim obsydianie, którym były wyłożone ściany.

– Zgadza się z naszym mistrzem miecza, panie, walczysz coraz lepiej, chciałbym jednak ze swojej strony zwrócić uwagę na to, że czynniki rozpraszające to obosieczna broń.

Leto usiadł na jednym z krzeseł, podczas gdy Duncan ustawiał przewrócony świecznik.

– Co masz na myśli, Thufirze? – spytał książe.

– Do moich obowiązków należy czuwanie nad bezpieczeństwem rodu Atrydów i dwa razy już zawiodłem. Raz, gdy nie zapobiegłem eksplozji powietrznego żaglowca, drugi, gdy wcześniej nie uchroniłem twego ojca przed śmiercią w starciu z bykiem.

Leto zerknął na wypchany łeb.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, Thufirze. Że nie powinienem sam uczestniczyć w wyprawie na Ix, a raczej pozostać w bezpieczniejszym miejscu.

– Chcę, abys postępował, jak na księcia przystało, Wasza Wysokość.

– I ja tak uważam – przyłączył się Duncan. – Rhombur musi uczestniczyć w walkach, natomiast ty powinieneś osobiście stawić czoło Landsraadowi. Kto wie, czy to nie będzie trudniejsze.

Leto zmarszczył brwi i wpatrzył się w swych doradców.

– Podczas rebelii na Ekazie mój ojciec walczył w pierwszym szeregu, podobnie jak Dominik Vernius.

– To były inne czasy, mój książe. A Paulus obywatel się bez doradców i nie wiadomo, czy na pewno słusznie robił. – Hawat spojrział znacząco na łeb byka. – Nie możesz, mój panie, niewolniczo trzymać się wzorów.

Leto uniół rękę, zamachnął się i cisnął mieczem. Oczy mentata rozszerzyły się, a Duncan zdusił okrzyk, gdy koziółkując, broń błysnęła w powietrzu, ugodziła w gardziel martwego byka i z brzękiem spadła na posadzkę.

– Masz rację, Thufirze, ważny jest nie styl, lecz rezultat. – Leto spojrział uważnie na obu swych doradców. – Całe Cesarstwo musi wyciągnąć nauczkę z lekcji, którą daliśmy na Beakkalu. Bez zapowiedzi. Bez litości. Bez niejasności. Ze mną nie ma żartów.

Nie istnieją fakty, są tylko obserwacyjne postulaty w nieskończonej feerii przepowiedni. Uzgodniona rzeczywistość wymaga stałego układu odniesień, ponieważ jednak w wielopoziomym, nieskończonym wszechświecie nie ma nic stałego, więc niemożliwa też jest rzeczywistość całkowicie uzgodniona. W relatywistycznym wszechświecie niemożliwością jest zbadanie rzetelności jakiegoś eksperta, porównując jego opinię ze zdaniem innego eksperta. Każdy z nich może mieć słuszność w ramach własnego systemu.

z Księgi Azhar Bene Gesserit

Wielebna Matka Mohiam weszła bez pukania do pokoju Jessiki, znajdującego się w należącym do Aniruli skrzydle pałacu cesarskiego. Jessika uniosła wzrok znad pamiątnika otrzymanego od Cesarzowej. Odłożyła pióro i zamknęła zeszyt.

– Tak, Wielebna Matko?

– Dzięki niestrudzonej Tessji dowiedziałam się o pewnym nieprzyjemnym fakcie – powiedziała Mohiam tonem zdegustowanej nauczycielki, który Jessika tak często słyszała w jej głosie w szkolnych latach. Mohiam potrafiła być sympatyczna i przyjemna, ale nigdy też nie wahała się, aby ją zganić. – Czekaliśmy, aż zgodnie z otrzymanymi instrukcjami poczniesz córkę księcia Atrydy. Dowiaduję się teraz, że byłaś jego kochanką przez trzy lata, a więc miałaś setki okazji, aby stać się brzemienną. Rozumiem przeto, że z rozmysłem wstrzymywałaś się od wykonania polecenia. Dlaczego?

Serce Jessiki załomotało, ale nie uciekła spojrzaniem. Od dawna oczekiwała takiego pytania, ale choć przygotowywała się do niego, teraz poczuła się jak wylękniona uczennica.

– Przykro mi, Wielebna Matko.

Przypomniało jej się teraz, jak Mohiam śledziła każdy jej gest, każde słowo, jak poddała ją próbie gom dżabbar: skrzynka bólu i zatruta igła. Gdyby Jessika drgnęła, usiłowała uciec, igła zabiłaby ją w ułamku sekundy.

– Miałaś zajść w ciążę. I powinnaś była to zrobić przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Jessice udało się zapanować nad głosem i powiedziała spokojnie i pewnie.

– Ta zwłoka miała swoje przyczyny, Wielebna Matko. Dochodziło do scysji między księciem a jego konkubiną, Kaileą miał też poważne kłopoty polityczne, więc na niechciane dziecko zareagowałby niechętnie. Mógłby wręcz domagać się spędzenia płodu. Potem zginął jego syn Victor.

Stara kobieta pokręciła głową.

– Żal czy stres nie mogą zmienić składu nasienia. Jesteś Bene Gesserit i powinnaś o tym wiedzieć. Jakie więc były prawdziwe przyczyny, moje dziecko?

„Chce mnie zdominować, jak zawsze. Zakon chlubi się tym, że zgłębił tajemnicę człowieczeństwa, ale w czym może się ono wyrazić pełniej niż w urodzeniu dziecka mężczyzny, którego kocham?”

Jessika przemówiła w sposób, który zdumiał jej wieloletnią nauczycielkę.

– Z całym szacunkiem, Wielebna Matko, chciałam przypomnieć, że nie jestem już twoją uczennicą, nie powinnaś więc zwracać się do mnie w ten sposób. – Mohiam zaniemówiła. – Książę nie był gotów na poczęcie dziecka i stosował środki antykoncepcyjne. – „To niecałkiem prawda, ale mogło tak być”. – Teraz jestem w ciąży, więc skąd te wyrzuty? Mogę urodzić tyle córek, ile zakon będzie chciał.

Wielebna Matka nieoczekiwanie zachichotała, a jej twarz odrobinę złagodniała.

– Twarda z ciebie sztuka!

Pospiesznie wyszła, a zaraz za progiem przystanąła, aby w kilku oddechach uspokoić się. Jej sekretna córka miała w sobie wiele hardości. To najpewniej geny Harkonnenów.

W wypełnionej suchym powietrzem, sztucznie chłodzonej komnacie rezydencji w Arrakin, lady Margot Fenring pilnowała Wolanki, która pakowała bagaże przed podróżą na Kaitain. Mapes nie miała poczucia humoru ani żadnej wyrazistej osobowości, ale wszystkie polecenia wykonywała sumiennie i szybko.

– Przyniesi moją różową suknię, brzoskwiniową i szafranową bieliznę, a także lawendowy szlafrok – zakomenderowała Margot. – A, i tę relaksującą bieliznę nocną dla hrabiego Fenringa, gdy będzie wracał po dniu ciężkiej pracy.

Mówiąc to, schowała oficjalny dokument cesarski tak, by służąca nie mogła go zobaczyć.

– Tak, moja pani.

Z miną trudną do odgadnięcia – mogącą wyrażać zarówno szyderstwo, jak i skupienie – Mapes zapakowała wszystko zgodnie z poleceniem. Nie ulegało wątpliwości, że o Margot wie więcej, niż ta by chciała. Lata temu, pod osłoną nocy, poprowadziła lady Fenring do siczy ukrytej w górach, aby tam spotkała się z sajjadiną, wolańskim odpowiednikiem Wielebnej Matki. Potem sicz zniknęła bez śladu, sama zaś Mapes nigdy nawet słowem nie wspomniała o tamtym wydarzeniu.

Hrabia Fenring wyjechał, a chociaż nic nie mówił, Margot była przekonana, że chodzi o sekretne sprawy na Ix, o których w naiwności ducha sądził, iż stanowią dla żony tajemnicę. Pozwalała mu żywić to złudzenie, dobrze to bowiem wpływało na trwałość ich małżeństwa. Także ona miała swoje sekrety.

– Niebawem będę chciała coś zjeść – oznajmiła. – Bądź gotowa do wyjazdu za dwie godziny.

Mapes dopięła walizy i bez użycia dołączonych odciążaczy przeniosła je pod próg.

– Wolalabym, moja pani, zostać tutaj, niż wyjeżdżać w kosmiczne podróże.

Margot zmarszczyła brwi.

– Nie czas na dyskusje, pojedziesz ze mną i już! Na dworze cesarskim wszyscy z chęcią obejrzą osobę, której każdy oddech przesiąknięty jest przyprawą i która nawet oczy ma od niej zupełnie przebarwione.

Mapes wzruszyła ramionami.

– Mam tutaj dość pracy. Po co mam wystawiać się na spojrzenia jakichś próżniaków?

Margot parsknęła śmiechem.

– Przyda im się to, że zobaczą kogoś, kto potrafi pracować, a możesz mi wierzyć, że będzie to dla nich widok naprawdę egzotyczny.

Mapes znowu wzruszyła ramionami, chwyciła dwie walizki i wyszła.

Kiedy zniknęła, Margot wyjęła dokument dostarczony przez kuriera. Przeciągnęła palcami po wypukłościach tekstu, odczytując informację przekazaną jej przez lady Anirulę.

„W pałacu potrzebujemy twoich bystrych oczu. Podczas zamachu na Cesarza niewiele brakowało, a zginęłaby Jessika, a wraz z nią i dziecko. To się nie może powtórzyć. Znajdź jakiś pretekst i przybądź jak najszybciej”.

Margot ponownie schowała dokument i zajęła się ostatnimi przygotowaniami.

Polityka to umiejętność, by przy zachowaniu układności i pozorów jawności ukryć możliwie jak najwięcej.

stanowisko Bene Gesserit w sprawach państwa

Od czasu, gdy Szaddam uczynił go swym Ministrem do Spraw Przyprawy, hrabia Hasimir Fenring spędzał na pokładach liniowców więcej czasu niż kiedykolwiek dotąd. Kiedy rano wyjeżdżając w podróż, dowiedział się, że Margot wybiera się na Kaitain, zazdrościł jej wycieczki i pobytu w stolicy Cesarstwa, sam jednak miał bardzo ważne sprawy do załatwienia. Na Ix Hidar Fen Ajidica powinien mieć już wszystko gotowe do ostatniego testu.

Wszystkie te nużące podróże i rozmowy w niczym nie przytępiły jego morderczych talentów. Całkiem niedawno w toalecie fregaty naciągnął czarne rękawice i udusił jednego z natrętnych handlarzy Wayku.

Dawny mędrzec powiedział kiedyś: „Wielka to umiejętność skrywać swoją wrogość”. I bez wątpienia miał rację!

Fenring zostawił ciało pośród rozsypanych drobiazgów i starannie zamknął toaletę. Jeśli na ciało natknie się jakiś inny Wayku, z całą pewnością przede wszystkim przywłaszczy sobie drobiazgi zamordowanego i spróbuje sprzedać jakiemuś niczego nie podejrzewającemu pasażerowi...

Odprężony spoglądał teraz przez iluminatory promu na zbliżającą się, niegościnną powierzchnię Ix. Na pokładzie było kilku kupców i urzędników, którzy natychmiast ustawili się do wyjścia, ledwie tylko stateczek zatrzymał się w pełnym umundurowanych strażników nowym porcie kosmicznym Xuttuh.

Ledwie Fenring stanął na zjadliwie żółtych kaflach terminalu, skrzywił się, gdyż dotarł do niego

intensywny zapach Tleilaxan. Skonsternowany potrząsnął głową. Do tego jeszcze niechlujność wykonania, brak troski o szczegóły. Z pewnością daleko im było do rzemieślniczego mistrzostwa. Zapowiedziano przybywające i startujące promy. Kilku znacznie wyższych obcoświatowców, którzy dostarczyli jakieś towary, targowało ceny z kierownikami sekcji badawczych. Nigdzie nie dostrzegł sardaukarów.

Ruszył zdecydowanym krokiem przed siebie, nie zważając na protesty dwóch Mistrzów Tleilaxan. Odepchnął ich i przeskoczył przez kałużę, która utworzyła się pod pękniętym stropem. Podał swoje kody i pozwolił na identyfikację. Wiadomość popłynęła do centrum badawczego, ale nie było powodu do pośpiechu. Ajidica nie zdąży ukryć wszystkiego.

Uśmiechnął się kącikiem ust na widok biegnącego w jego kierunku sardaukara w szaro-czarnym uniformie.

– Hrabio Fenring, nie spodziewaliśmy się pańskiego przybycia.

Młody dowódca legionów Cando Garon odrywał już dłoń, aby zsalutować, ale Fenring chwycił ją w locie i uścisnął rękawiczką która tak niedawno zmiażdżyła krtań pechowego kupczyka.

– Ale zawsze należy być gotowym na moje przybycie, dowódco Garon, nieprawdaż, hmmm?

Oficer przełknął delikatną naganę i zaczął prowadzić przybysza do laboratorium.

– Nawiasem mówiąc, dowódco, pański ojciec ma się bardzo dobrze. Najwyższy Basza wypełnia najważniejszą misję w swojej karierze.

Młody Garon uniósł brwi.

– Ach, tak? Jesteśmy tutaj odizolowani i rzadko otrzymuję wieści od niego czy o nim.

– Hmmm-mhmm, Cesarz zajął się ostatnio niszczeniem planet, a Zanoar jest dobrym tego przykładem. Nie ma tam w tej chwili nawet śladu życia.

Fenring zerknął na reakcję rozmówcy, ale ten tylko ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Ojciec jest bardzo sumienny, jeśli chodzi o wykonywanie cesarskich rozkazów. Jak pan powróci na Kaitain, proszę mu przekazać moje pozdrowienia.

Wsiedli do specjalnej kapsuły szynowej, która błyskawicznie poniosła ich przez podziemne miasto.

– Przybyłem tu z myślą o ostatnich testach. Mam nadzieję, że Mistrz Badań jest do nich gotów? Miał poczynić pewne, hmmm-mhmmm, przygotowania.

Garon siedział sztywno wyprostowany.

– O to musi już pan zapytać jego samego. Na ile mogę oceniać, Mistrz jest bardzo zadowolony z syntetycznej przyprawy. Bardzo szcudrobliwie – ciągnął, nie patrząc na swego rozmówcę – obdarował ostatnio mnie i moich najbliższych współpracowników próbkami. Naszym zdaniem, efekty są znakomite.

Fenring był zaskoczony. Ajidica bez żadnych uzgodnień wypróbował amal na sardaukarach?

– Komandorze, ostrzegam, ta substancja nie została jeszcze dokładnie przebadana.

– Mogę pana zapewnić, panie hrabio, że nie ma żadnych efektów ubocznych. – Nie ulegało wątpliwości, że Garon nie wyobraża sobie, iż on i jego podwładni mieliby zrezygnować z daru Ajidicy. – Odpowiednią informację przekazałem Jego Cesarskiej Mości, który zapewne przyjął ją z aprobatą. Amal bardzo korzystnie wpływa na naszą bojowość. Bardzo wysoko go oceniamy.

– Takie oceny nie należą do pańskich zadań, czy może się mylę, hmmm-mhmm?

Garon bez słowa odprowadził Fenringa do wnętrza, które już tyle razy odwiedził. Wyglądało to tak, jak gdyby otrzymał polecenie, aby mieć cesarskiego ministra na oku.

Kiedy jednak Fenring znalazł się w głównej hali laboratoryjnej, stanął osłupiały. Dowódca Cando Garon stał obok uśmiechającego się krzywo Ajidicy. Hrabia spojrział na eskortującego go mężczyznę

– byli do siebie podobni jak bliźniacy jednojajowi.

– Garonie, przedstawiam ci Garona – powiedział Ajidica, a stojący obok niego oficer postąpił do przodu z wyciągniętą ręką ten jednak, który towarzyszył Fenringowi – najprawdopodobniej prawdziwy Garon – ani myślał brać udziału w tej zabawie i cofnął się o krok.

– Ta malutka sztuczka Tancerza Oblicza – wyjaśnił Ajidica i wyszczerzył w uśmiechu małe ząbki.

– Może już pan odejść, komandorze. Dzięki za eskortowanie pana hrabiego.

Zachmurzony oficer wyszedł bez słowa. Mistrz Badań zaplótł małe dłonie, ale nie zaprosił gestem Fenringa, aby ten usiadł na żywym fotelu. Nie zważając na to, hrabia i tak zajął miejsce i spojrzał podejrzliwie na kopię dowódcy sardaukarów.

– Dzień i noc pracujemy, aby wyprodukować taką ilość amalu, aby zapewnić handel na skalę Cesarstwa – oznajmił Ajidica. – Wszystkie trudności zostały pokonane, nowa substancja działa znakomicie.

– Rozumiem, że sam ją pan testuje, hmmm? A z tego, co słyszałem, wciąga pan też w to sardaukarów. Na zbyt wiele sobie pan pozwala, Mistrzu Badań.

W oczach Ajidicy błysnął jakiś ogieniek, gdy odpowiadał:

– Dobrze wiem, jakie są moje kompetencje jako kierownika badań nad amalem. Zlecił mi je sam Cesarz, a testy stanowią integralną część projektu.

– Nie na ludziach, którzy służą bezpośrednio Cesarzowi.

– Są bardziej czujni i rzutcy, znacznie lepiej wypełniają swe obowiązki. A zna pan chyba, hrabio, dawne powiedzenie: „Zadowolone wojsko to dobre wojsko”. A ty co o tym sądzisz, Garonie?

Bez jednego słowa Tancerz Oblicza upodobił się do Ajidicy, tyle że nadal miał na sobie mundur sardaukara, a w następnej chwili stał się Szaddamem IV Korrino. Plastyczność jego ścięgien, mięśni, skóry, tkanek była zdumiewająca, podobnie jak absolutne podobieństwo naśladowanych twarzy. Fenring miał przed sobą tak dobrze znane rudawe włosy i zielone oczy, a także jawnie znudzone oblicze. Identyczny też był głos, który rozkazał:

– Wezwać do mnie sardaukarów! Zabić wszystkich tu obecnych!

Nos Cesarza zaczął się wydłużać, aż stał się podobny do marchewki, a kiedy Ajidica patrzył z dumą na swego Tancerza Oblicza, ten przedzierzgnął się w zmutowanego Gildianina, a na mundurze wypukłości i wklęsnięcia pojawiły się w zupełnie nieoczekiwanych miejscach.

– Hrabio Fenring, oto Zoal, pomocnik, którego pan sobie życzył w związku z testem na Nawigatorach. Z nim będzie pan mógł zgłębić wszystkie zabezpieczenia Gildii na Krzyżowniku.

Fenring w jednej chwili pozbył się wszystkich wątpliwości.

– Czy on jest świadomy tego, że ma wykonywać wszystkie moje rozkazy?

– Zoal jest bardzo inteligentny i utalentowany. Nie szkolono go do zabijania, ale wszystkie inne polecenia wykona bez wahania.

– Iloma mówisz językami? – zwrócił się Fenring bezpośrednio do Tancerza Oblicza.

– A ilu pan sobie życzy? – spytał Zoal z jakąś trudną do identyfikacji nosową wymową. Może Buzzell? – Przyswoję ich tyle, ile będzie trzeba. Nie wolno mi tylko nosić broni.

– Ten zakaz mają wbudowany w siebie – wyjaśnił Ajidica.

Fenring pokiwał w zamyśleniu głową.

– No cóż, hmmm, przemocą sam będę musiał się zająć. – Spojrzał uważnie na Tancerza Oblicza i oznajmił: – Jak na razie wydaje mi się, że jest to dokładnie to, czego potrzebuję. Należy czym prędzej wykonać test z Nawigatorami, jeśli bowiem wynik okaże się pozytywny, Cesarz chciałby jak najszybciej przystąpić do produkcji amalu na wielką skalę.

Ajidica postukał palcami w blat stołu laboratoryjnego.

– Taki test to tylko formalność, hrabio. Ja sam wszechstronnie przeegzaminowałem amal.

Nie wszystkie sekrety zamierzał jednak ujawnić. Na przykład ani myślał wprowadzać Fenringa w swoją wizję, gdzie na czele wielkich sił wojskowych wydaje walkę niewiernym Wysokim Rodom.

Zaal miał wielu braci, wyhodowanych tutaj, w zbiornikach aksolotlowych: istoty bezgranicznie posłuszne tylko jemu, Ajidicy, i gotowe realizować jego wielkie plany. Już zdążył rozesłać pięćdziesięciu Tancerzy Oblicza na zagubione, zapomniane przez wszystkich planety, gdzie mieli czekać na jego dalsze rozkazy. W kilku przypadkach w miejsca nawet nieujęte na oficjalnych mapach Cesarstwa, chciał bowiem zorientować się, jak daleko mogłaby sięgać sfera jego wpływów. Byle tylko powoli i konsekwentnie...

Fenring tymczasem zaczął planować, jak rozpracować systemy ochronne na Krzyżowniku. Zaal słuchał uważnie, zapamiętując każdy szczegół. Ajidica pozwalał myślom hasać, albowiem wszystkie istotne polecenia zostały już utrwalone w umyśle Tancerza Oblicza. Gdy nadejdzie odpowiednia pora, zacznie je wykonywać.

Swoje racje należy przedstawiać agresywnie.

Szaddam IV Korrino, Umacnianie Nowego Cesarstwa

Ze wszystkich obowiązków państwowych egzekucje budziły w Szaddamie stosunkowo najmniej obiekcji, szczególnie w obecnym stanie ducha.

Na wysadzonym brylantami tronie siedział pośrodku Placu Petentów tak wysoko, że wydawał się najwyższym kapłanem na szczycie zigguratu. Na bezchmurnym niebie świeciło słońce. Piękna pogoda dla Cesarza i całego Cesarstwa.

Wprowadzono w kajdanach kolejnego skazańca i zostawiono go pod wielkim granitowym blokiem, u stóp którego leżało już kilka ciał. Pełniący role katów gwardziści cesarscy stosowali różne metody: garotę, ścięcie laserem, kawałkowanie przetnicą, sztyletowanie, rozdzieranie, patroszenie, nawet wrywanie żywcem serca. Po każdej egzekucji tłum wybuchał aplauzem, tak jak powinien.

U stóp podium, na którym stanął tron, przeżył się szereg żołnierzy ze straży przybocznej. Zrazu Szaddam chciał rozstawić gwardzistów wokół całego placu, ale nie chciał, by ktokolwiek pomyślał, że po ataku Tyrosa Reffy czuje się chociażby odrobinę niepewnie. Ostatecznie skończyło się na ceremonialnej gwardii przybocznej i tarczy wokół tronu.

„Jestem prawowitym Cesarzem, a mój lud mnie kocha”.

O jeden stopień niżej – w celu podkreślenia hierarchii zależności – po lewej na fotelu o wysokim oparciu siedziała lady Anirula. Dobrze rozumiała, że wyraźnie określa to rolę zarówno jej, jak i innych kobiet w Cesarstwie, ale nie próbowała nawet protestować. Jako symbol władzy Szaddam kazał sobie sporządzić laskę zwieńczoną wielościennym globusem, taką samą jakiej użył Reffa. Jego specjaliści nie mogli nadziwić się zmyślności urządzenia, z którego Szaddam chciał teraz sam robić użytek.

Podczas gdy z uwagą oglądał swą nową zabawkę, żołnierz dokonał egzekucji skazańca i Szaddam skierował swój wzrok w tamtym kierunku dopiero na odgłos walącego się ciała. Po krwi tryskającej z dziury w szyi osądził, że nieszczęśnikowi wyrwano krtań, i skarcił sam siebie za to, że przeoczył

jedną ze specjalności sardaukarów.

Tłum poruszył się niespokojnie w oczekiwaniu na coś jeszcze bardziej interesującego. Przez cztery godziny obejrzelili dwadzieścia osiem egzekucji. Niektórzy z aktorów z Jongleur dali popis talentów, dowodząc swojej niewinności i błagając o litość. Pewnie większość istotnie była niewinna, ale to nie miało żadnego znaczenia, a dodawało pikanterii całemu widowisku.

Tygodnie, które nastąpiły po ataku Reffy, Szaddam wykorzystał na załatwienie różnych spraw. Pięciu głównych przeciwników politycznych – ministrów i ambasadorów, czy to nie przykładających się do swoich zadań, czy to skrajnie nieskutecznych – zmyślnie uwikłał w spisek na jego życie.

Sam Hasimir Fenring byłby dumny z subtelności jego intryg, hrabia jednak przebywał właśnie na IX, doglądając przygotowania amalu do produkcji na dużą skalę. Donosił, że potrzebny jest jeszcze jeden, ostatni test, a potem – można ruszać. Wszystkie te szczegóły mało interesowały Szaddama, najważniejszy był ostateczny efekt. A tymczasem uczył się, jak samemu podejmować decyzje i wprowadzać je w życie.

Pamiętając, jak wicehrabia Moritani zlekceważył jego polecenie dotyczące zaprzestania walk z Ekazem, do listy spiskowców dołączył także ambasadora Grumman, ku kompletnemu zresztą zaskoczeniu tamtego. Łatwo było przygotować jednoznaczne dowody, a wszystko dokonało się tak szybko, że ród Moritanich nie miał najmniejszych szans na uratowanie nieszczęśnika.

Pomimo wysłanych na Grumman regimentów sardaukarów, którzy mieli zapobiec starciom, wicehrabia poczynał sobie nader hardo, co i raz pozwalając sobie na jakieś prowokacje, więc może ten przykład nauczy go czegoś.

Dwóch sardaukarów wprowadziło dawnego ambasadora Grumman na środek placu. Z rękami związanymi na plecach i kolanami usztywnionymi tak, by nie mógł klęknąć, ambasador wygłosił swą ostatnią mowę, dość bezbarwną, przynamniej w opinii Szaddama. Wykonał lekki ruch dłonią a sardaukar promieniem laserobinu przeciął ciało skazańca z góry na dół.

Zadowolony Szaddam poprawił się na tronie. Impreza rozwijała się dobrze, a główny punkt programu nadal był jeszcze przed nimi.

Szmer pośród tłumu nasilił się.

Jako Cesarz Padyszach, „szach wszystkich szachów”, Szaddam oczekiwał, że będzie wielbiony przez wszystkich, dlatego nawet najmniejsze odstępstwa od tej reguły, takie jak wyczyn Reffy, wprawiały go w oburzenie. Należało zareagować ostro, udzielić nauczki, która dobrze zapadnie w pamięć.

Określił wysoko laskę, tak by wieńczący ją globus zajarzył się w słonecznym świetle, i lekko stuknął jej końcem o podium. Lady Anirula nawet nie drgnęła. Patrzyła wprost przed siebie, jakby bez reszty pogrążona w myślach.

Najwyższy Basza Zum Garon wprowadził na plac Tyrosa Reffę, tego, który głosił, że jest synem Elrooda IX. Jeszcze chwila, a wraz z osobą zniknie także problem.

Anirula przemówiła ze swego fotela szeptem, który był jednak całkowicie zrozumiały dla Szaddama.

– Mężu mój, zaprzeczasz temu, aby był on twym przyrodnim bratem, wielu jednak ludzi słyszało o tym jego urojeniu, dzięki czemu udało mu się zasiać w ich umysłach ziarno wątpliwości. Zaczynają krążyć nieprzychylne dla ciebie plotki.

Szaddam zmarszczył czoło.

– Nikt nie będzie wierzył tym bzdurom, jeśli ogłoszę je bzdurami!

Tym razem Anirula odwróciła się i spojrzała w twarz swego małżonka.

– Jeśli kłamie, dlaczego nie dowieść tego, wykonując testy genetyczne? Inaczej niechętni ci ludzie

będą mówili, że mordujesz własną rodzinę.

„Nie będą dalecy od prawdy” – pomyślał Szaddam, ale głośno rzekł:

– Niech sobie mówią, co chcą, a my będziemy uważnie się przysłuchiwać. Szybko uciszymy te wredne plotki.

Anirula zamilkła i przeniosła wzrok na Reffę, którego właśnie ustawiano pod granitowym blokiem. Poruszał się sztywno, bujną niegdyś czupryną wyrwano mu garściami, pozostały więc po niej tylko krwiste plamy i gdzieniegdzie kępki włosów.

Tuż obok niego leżały zwłoki wcześniejszych ofiar, z których każda miała prawo do ostatniego słowa. Tej możliwości pozbawiony został przyrodni brat Szaddama. Nadwornik lekarze chirurgicznie szczepili mu wargi. Chociaż więc poruszał teraz mięśniami szczęk, wydawał z siebie tylko skowyt. Wzrok miał dziki.

Z miną najwyższej pogardy Szaddam wstał i dał znak, aby zneutralizowano pole tarczy. W prawej ręce trzymał insygnium, które było zarazem skopiowaną bronią.

– Tyrosie Reffo, uzurpatorze i rebeliancie, nikt z uśmierconych dzisiaj przed tobą nie popełnił zbrodni równającej się z twoją. – Głos Szaddama dudnił, wspomagany przez zawieszony na szyi wzmacniacz. Reffa sprężył się cały, ale nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Skóra wokół jego warg tak spąsowiała, jakby za chwilę miała się rozedrzeć. – Ponieważ swej zbrodni dokonałeś publicznie, spotka cię zaszczyt, jakiego nie dostąpił żaden z twych poprzedników. – Szaddam włożył do kieszeni w lasce zasilacz i jarzyca rozbłysła od środka. – Sam cię uśmiercę.

Choć purpurowy promień błyskawicznie wypalił dziurę w piersi Reffy, Szaddam nadal znęcał się nad ciałem, nawet gdy w drgawkach legło u stóp granitu.

– Kto podnosi rękę na mnie, atakuje całe Cesarstwo! – zagrzmiął.

Zasilacz wyczerpał się, promień zgasł. Szaddam dał znak sardaukarom, którzy w mgnieniu oka spopieli w promieniach laserów ciało uzurpatora. Zniknęły wszystkie tkanki i tylko czarny dym powolnymi spiralami unosił się w górę.

Szaddam trwał niewzruszony, dumny ze swego czynu i obecnej dostojnej postawy. Nikt teraz nie dowiedzie, że Reffa był spokrewniony z Cesarzem. I po problemie.

„Żegnaj, braciszku!”

Cesarz uniósł rękę, ściągając na siebie uwagę tłumu.

– A teraz czas na zabawę! W całym Cesarstwie ogłaszam dzień wolny od pracy i wydaję wielki festyn.

W znacznie lepszym niż niedawno nastroju Szaddam ujął pod rękę swą małżonkę i począł zstępować z tronu. Eskorta sardaukarów powiodła ich do wnętrza pałacu.

Nie skąp na szpiegów. Jedna dobra wtyczka jest warta więcej od legionów sardaukarów.

Fondil Korrino III zwany Myśliwym

Rhombur siedział na stole lekarskim w ciepłe popołudniowe słońca, którego promienie wpadały przez wysokie okna. Czuł różnicę temperatury na swych mechanicznych częściach, ale było to coś zupełnie innego od cielesnych wrażeń, które zachowała jego pamięć. Wiele rzeczy było teraz innych.

Wellington Yueh, doktor Suk, z długimi włosami zebranych srebrną kłamrą, przesuwał w skupieniu skanerem po sztucznym stawie kolanowym.

– Dobrze, teraz prawa noga.

Rhombur westchnął ciężko.

– I tak wyruszam z Gurneyem, czy da mi pan pozwolenie, czy nie.

Lekarz nie okazał ani rozbawienia, ani zdziwienia.

– Niewdzięczni pacjenci to jedna z największych dolegliwości profesji medycznej.

Rhombur nadstawił zgiętą nogę, a skaner zamigotał zielonkawo.

– Doktorze Yueh, czuję się bardzo dobrze. Czasami nawet w ogóle zapominam o swoich protezach. Zdają mi się moim ciałem.

Po Zamku Kaladan krążył zresztą dowcip, że ze wszystkimi bliznami i protezami książe Rhombur i tak wygląda lepiej od Gurneya Hallecka.

Teraz pacjent przechadzał się po pokoju, a lekarz dokładnie go obserwował. Przygryzł wargę, a potem mruknął:

– Muszę przyznać, że agresywna terapia pańskiej żony okazała się bardzo pomocna.

– „Agresywna terapia”? – powtórzył Rhombur. – Ona nazywa to miłością.

Yueh wyłączył skaner.

– Zgadzam się na twoje uczestnictwo w misji, książe. – Na czole lekarza, gdzie skrzył się tatuaż w kształcie rombu, pojawiła się bruzda. – To jeśli chodzi o stronę medyczną, gdyż przedostanie się w tajemnicy na Ix to bardzo niebezpieczna gra, szczególnie dla ciebie, książe. Przykro byłoby mi dowiedzieć się, że moje znakomite dzieło uległo zniszczeniu.

– Spróbuję do tego nie dopuścić – rzekł Rhombur – ale musi pan pamiętać, doktorze, że Ix to mój rodzinny dom. Nie mam wyboru. Muszę działać z myślą o moich poddanych, nawet gdyby linia Verniusów miała na mnie wygasnąć.

W oczach lekarza dojrzał coś na podobieństwo sympatii.

– Może nie uwierzysz mi, książe, ale rozumiem cię. Dawno temu moja żona, Wonna, została poważnie ranna w wypadku w fabryce. Odszukałem specjalistę od sztucznych funkcji organicznych, nawiasem mówiąc, znacznie bardziej prymitywnych niż pańskie. Wymieniłem jej biodro, śledzionę i macicę, ale nie mogła już mieć dzieci. Wcześniej odkładaliśmy tę decyzję i nagle okazało się, że jest już na nią za późno. Teraz dawno ma za sobą lata płodności, ale wtedy był to dla niej i dla mnie wielki dramat. – Mówiąc to, lekarz składał instrumenty. – Także pan jest ostatnim przedstawicielem rodu Verniusów. I nic na to nie poradzimy.

Rhombur nie podejrzewał niczego, kiedy Leto wezwał go do swojego gabinetu. Zapukał, wszedł i ze zdumieniem spojrzął na mężczyznę, który stał zwrócony tyłem do okna.

– Ambasador Pilru!

Rhombur zawsze z podziwem i szacunkiem myślał o tym człowieku, który przez ostatnie dwadzieścia lat zawzięcie, chociaż bezskutecznie, walczył o sprawę Ix. Z drugiej jednak strony widział go wszak podczas ślubu z Tessją. Poczuł gwałtowny skurcz w żołądku.

– Czy coś się stało?

– Tak, książe. Mam wiadomość zaskakującą i niepokojącą zarazem. – Rhombur pomyślał, że zapewne chodzi o syna ambasadora, C'taira, który niestrudzenie usiłował przeciwstawić się najeźdźcom.

Rhombur usiadł i w napięciu czekał na nowiny. Leto przeszedł się dwa razy po gabinecie, a potem uruchomił holoprojektor. W centrum pokoju pojawił się obszarpany, nieumyty mężczyzna.

– Ten człowiek – powiedział z naciskiem Leto – usiłował zabić Szaddama, a ponieważ w cesarskiej loży siedziała także Jessika, więc przypadkiem mógł uśmiercić także ją.

Pilru zareagował natychmiast.

– Ale absolutnie nieumyślnie, książę Leto. Jego plan był pod wieloma względami naiwny i nieprzemyślany.

– Tak czy owak, teraz okazuje się, że nie był to wcale atak szaleńca, jak przedstawia to oficjalna propaganda cesarska – powiedział Leto.

– Kto to taki? – spytał niecierpliwie Rhombur.

Pilru unieruchomił obraz i spojrzał uroczyście na Rhombura.

– To jest, czy może raczej był, Tyros Reffa, przyrodni brat Cesarza. Mówię „był”, gdyż cztery dni temu został stracony na rozkaz Szaddama, i to bez procesu, gdyż sprawa była ponoć „niewątpliwa”.

– Ale dlaczego... – zaczął Rhombur, ale Pilru nie dał mu dokończyć.

– Niewiele osób wie o tym, ale Reffa był istotnie blisko spokrewniony z Szaddamem. To nieprawy syn Elrooda IX, wychowany przez Taligarich. Szaddam najwyraźniej widział w nim pretendenta do tronu i dlatego znalazł pretekst, aby sardaukarowie unicestwili Zanozar. Chodziło tylko o Reffę, ale Cesarz, aby mieć pewność nie cofnął się przed wymordowaniem czternastu milionów niewinnych osób.

Rhombur i Leto siedzieli jak oniemiały.

– I to dlatego Reffa postanowił się zemścić. – Pilru podał Rhomburowi plik dokumentów. – Oto wyniki badań genetycznych, które potwierdzają słuszność jego roszczeń. Sam pobrałem próbki w jego celi. Nie ma żadnych wątpliwości: to był potomek Korrinów.

Rhombur przejrzał wyniki analiz, nadal nie rozumiejąc, dlaczego wezwano go na to spotkanie.

– Interesujące – mruknął.

– To nie wszystko, książę. – Pilru nie spuszczał wzroku z poznaczonej bliznami twarzy Rhombura.

– Matką Reffy była konkubina Elrooda, Shando Balut.

Rhombur gwałtownie się wyprostował.

– Shando...!

– Tak, książę. Reffa był także twoim przyrodnim bratem.

– To nie może być prawda! – zaprotestował Rhombur. – Rodzice nigdy nie mówili, żebym miał jakiegoś brata. Nigdy... nigdy go nawet nie widziałem. – Znowu wpatrzył się w analizy, jakby szukał tam jakiejś odpowiedzi. – Stracony? Na pewno?

– Niestety. – Pilru przygryzł dolną wargę. – Dlaczego Elrood nie uczynił Reffy noukkerem, oficerem gwardii przybocznej, jak czyniła ze swymi nieślubnymi synami większość Cesarzy? Tymczasem oddalił go od dworu, kazał wychowywać na uboczu, jakby nosił się wobec niego z jakimiś specjalnymi planami... co zresztą spowodowało wszystkie późniejsze problemy.

– Mój brat... Gdybym mógł mu wcześniej jakoś pomóc. – Papiery wysunęły się z ręki Rhombura. Zrobił kilka sztywnych, starannie odmierzonych kroków i oznajmił: – To tylko utwierdza mnie w postanowieniu, aby wystąpić przeciw Cesarzowi. Tera, stało się to dla mnie wręcz sprawą osobistą.

Za pieniądze nie nabędziesz honoru.

porzekadło wolańskie

Spadł z nieba niczym hałaśliwy, czarny ptak. Ornitopter o odrzutowym napędzie, z wymalowanym na dziobie piaskalem, który złowrogo rozwierał paszczę, ukazując w niej krystaliczne kły, sunął tuż

nad powierzchnią pustyni.

W wyschniętej niecce dawnego jeziora, chronionej przed Szej-huludami barierą skał, czterej Wolanie padli na kolana z okrzykiem przerażenia.

Tylko Liet-Kynes stał wyprostowany, z rękami splecionymi na piersi. Podmuchi maszyny sfalował mu włosy i pustynną szatę.

– Wstawajcie! – krzyknął do swoich ludzi. – Mają nas mieć za tchórzliwe baby?

Przedstawiciele Gildii zjawili się punktualnie.

Zawstydzeni Wolanie zaczęli układać na piachu pojemniki, zakryli je płachtą a potem poprawili destylozony i sprawdzili uszczelnienia. Nawet o tej porze na pustyni było niczym w piecu.

Najpewniej ludzie Gildii rozmyślnie namalowali na ornitopterze piaskala, wiedząc, jakim szacunkiem cieszy się to stworzenie u Wolan, niemniej jednak Liet zdobył informacje, które pozwalały mu nie lękać się rozmówców.

„Wiedza to siła, a zwłaszcza wiedza o nieprzyjacielu”.

Ornitopter zataczał małe koło ze skrzydłami złożonymi wzdłuż kadłuba. W burcie widać było otwory działek laserowych. Zawyły silniki i maszyna w kłębach piasku usiadła jakieś sto metrów od Wolan. W oknach doliczył się czterech ludzi, z których jeden nie był człowiekiem.

Dziób ornitoptera opadł i po rampie zjechał odkryty pojazd, którym kierował łysy mężczyzna bez destylozonu. Na jego opuchniętej twarzy połyskiwały kropelki potu. Do gardła miał przymocowane niewielkie czarne pudełko.

Od pasa w dół jego ciało – nagie, amorficzne i rozlądne – budziło podejrzenie, że najpierw je roztopiono, a potem pozwolono uformować się na nowo. Między palcami widniały grube płetwy. Żółte, wyłupiaste oczy przypominały ślepią starodawnego gada.

Wolanie mruknęli i wykonali zaklinające znaki, Liet jednak uciszył ich jednym spojrzeniem. Zastanawiał się, dlaczego ta istota zdecydowała się ukazać swoje cielsko. „Może by nas zaniepokoić”. Gildia liczyła prawdopodobnie na to, że z niepewnymi siebie kontrahentami będzie można ubić korzystniejsze interesy.

Przedstawiciel Gildii zwrócił się do Lieta, ignorując pozostałych Wolan. Jego głos wydobywał się z syntetyzatora na szyi.

– Nie lękasz się ani nas, ani nawet piaskala na naszej maszynie?

– Nawet dziecko wie, że Szej-hulud nie lata – odparł Liet. – A malunek każdy potrafi zrobić.

Rozmówca uśmiechnął się krzywo.

– A moje ciało? Nie napełnia cię obrzydzeniem?

– Moje oczy nauczyły się szukać czegoś innego. Piękne ciało może skrywać wstrętny charakter, a w kalekim torsie może mieszkać piękne serce. – Liet postąpił o krok w kierunku pojazdu. – A kim jesteś?

Tamten roześmiał się chrapliwie.

– Nazywam się Ailric. Ty jesteś zaś Lietem-Kynesem, synem Cesarskiego Planetologa?

– I teraz także planetologiem.

– Rozumiem. – Ailric spojrzał na pakunki skryte pod płachtą. Liet zauważył, że jego źrenice były niemal kanciaste. – Wyjaśnij mi, pół-Wolaninie, dlaczego cesarski urzędnik chce, aby satelity meteorologiczne nie obserwowały części pustyni? Dlaczego jest to dla was takie ważne?

– Taka umowa od wieków obowiązuje nas i Gildię – odparł Liet, ignorując aluzję do jego pozycji – i nie widzimy powodu, aby ją zmieniać. – Na ruch jego ręki Wolanie odciągnęli płachtę, odsłaniając leżące pod nią brązowe bukłaki esencji przyprawowej. – Natomiast nie chcemy już więcej korzystać z pośredników, ci bowiem okazują się... nierzetelni.

Ailric spojrział przeciągle na Lieta.

– Teraz jednak Rondo Tuek staje się dla was poważnym zagrożeniem, może bowiem ujawnić wasze transakcje z nami. Nie obawiacie się jego zdrady?

Liet nie potrafił ukryć dumy w głosie.

– Tuek nie jest dla nas groźny.

Ailric zamyślił się na chwilę, a potem rzekł:

– No cóż, sami wiecie najlepiej.

Teraz przedstawiciel Gildii ocenił ilość melanzu, w myśli szacując jego wartość. Suma była ogromna, ale Wolanom zależało na transakcjach z Gildią. Im więcej obszarów Diuny poddawano rekultywacji, tym istotniejsze było zachowanie tego faktu w tajemnicy. Nie mogli się o tym dowiedzieć Harkonnenowie.

– Uznajmy, że to połowa opłaty – rzekł w końcu Ailric. Przyglądał się z bliska Lietowi. – Nasza cena uległa podwojeniu.

– To niemożliwe – stanowczo powiedział Liet. – I tak zarabiacie na tym, że nie ma pośrednika.

Żółtawe oczy Ailrica zmrużyły się, jakby informując o kłamstwie.

– Bezpośrednie kontakty są dla nas trudniejsze, Harkonnenowie zanoszą przed Landsraad skargi na zwiad meteorologiczny. Między innymi wytykają brak wiarygodnych informacji o was. Coraz więcej pracy wymaga od nas preparowanie raportów, sami też musimy płacić coraz liczniejsze i większe łapówki.

– Dwa razy to zdecydowanie za dużo – powiedział stanowczo Liet.

– Zatem połowę więcej, ale to nasze ostatnie słowo. Macie dziesięć dni na dostarczenie reszty przyprawy, inaczej bowiem zerwiemy umowę.

Towarzysze Lieta mruknęli coś nieprzyjaźnie, on sam jednak rozważał słowa Ailrica, nie pozwalając na to, by gniew zakłócił jasność sądu. Należało się spodziewać, że Gildia okaże się równie podstępna i chciwa jak wszyscy inni obcoświatowcy.

– Dostarczymy przyprawę.

Nikt inny nie opanował języka genetyki tak dobrze jak Bene Tleilax. Mamy prawo nazywać go „językiem Boga”, gdyż to On udzielił nam tej wielkiej władzy.

apokryf Tleilaxan

Hasimir Fenring wychował się na Kaitain w cesarskim pałacu, nabywając wiedzę o skomplikowanych strukturach cesarskiej władzy, poznał podziemne miasta Ix i potężne burze piaskowe na Arrakis, a przecież nigdy dotąd nie widział czegoś równie ogromnego jak port liniowców Gildii na Krzyżowniku.

Z przerzuconą przez ramię torbą narzędziową w zatłuszczonym kombinezonie Fenring nie odróżniał się od innych mechaników. Jeśli dobrze rozegra swoją partię, nikt się o niczym nie dowie.

Gildia Kosmiczna zatrudniała miliardy ludzi. Część z nich pracowała w Banku Gildii, którego działalność obejmowała wszystkie planety Cesarstwa. Tutaj, na Krzyżowniku, każdy z licznych zakładów remontowych i konserwacyjnych liczył setki tysięcy pracowników.

Wielkie oczy Fenringa rejestrowały każdy drobiazg, gdy wraz z Tancerzem Oblicza przesuwali się pośród rzesz robotników, których ruchome chodniki niosły w najprzeróżniejszych kierunkach. Zoal

wybrał dla siebie rysy bardzo przeciętne: twarz miał obwisłą i pomarszczoną jak od ciężkiej pracy, oczy lekko podkrążone.

Niewiele osób spoza Gildii znalazło się na Krzyżowniku. Dźwigi niczym wysokościowce wznosiły się w niebo, zwieńczone szmaragdowymi światełkami ostrzegawczymi, samo miasto układało się w równe prostokąty monotonicznie powtarzające się w jednostajnym pejzażu. Półkoliste anteny odbiorcze przekazywały sygnały z przestrzeni do wnętrza budynków. Wielkie kleszcze ramp czekały w pogotowiu na przyjęcie spływających z orbity planetarnej promów.

W tłumie innych robotników przybysze weszli pod łukowatą bramą na teren najbliższego z zakładów. Przed sobą zobaczyli monumentalny kształt jednego z największych w dziejach liniowców, ostatniego, jaki wyprodukowano na Ix za panowania Verniusów. Ten i jeszcze jeden, remontowany właśnie na orbicie, były ostatnimi statkami klasy „Dominik”, które wzbudziły poważne reperkusje, gdyż ich ogromnie zwiększona ładowność poważnie uszczupliła podatkowe dochody Cesarstwa.

Jednak po tym, jak planetą zawładnęli Tleilaxanie, produkcja nowych liniowców załamała się dramatycznie, a to z powodu zdecydowanie mniejszej i gorszej jakościowo produkcji, Gildia miała więc coraz większe kłopoty z utrzymaniem dobrego stanu technicznego wielkich statków.

Fenring i Tancerz Oblicza wznosili się kolejnymi ruchomymi platformami coraz wyżej wzdłuż zakrzywionego kadłuba liniowca, a po drodze mijali załogi remontowe, które obsiadły go niczym owady, badając metalowe płyty i złącza, latając je i umacniając. Mikrometeority i radiacja naruszały spójność powłoki do tego stopnia, że co pięć lat każdy liniowiec poddawany był generalnemu remontowi.

Hrabia i jego towarzysz dostali się do wnętrza kadłuba, gdzie skierowali się do jednej z ładowni. Nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Tutaj inne rzesze robotników dokonywały przeglądu ramp i urządzeń cumujących, które unieruchamiały przenoszone fregaty, barki ładunkowe i promy pasażerskie. Sprawdzano też wnętrze stan kadłuba.

Winda, niczym pająk mknący po sieci, poniosła obu przybyszów do sfery wydzielonej dla zasobników z Nawigatorami. Tam dopiero zaczęły się prawdziwe problemy, będą musieli bowiem pokonać najbardziej strzeżone miejsce w sieci zabezpieczeń Gildii.

Tancerz Oblicza zerknął na Fenringa z nieodgadnioną miną.

– Mogę przybrać oblicze i postać dowolnej ofiary, ale to pan musi zabić.

Fenring miał przy sobie kilkanaście narzędzi służących do uśmiercania i dobrze wiedział, jak się nimi posłużyć.

– Hmm-mmhmm, podział pracy, tak to się nazywa, prawda?

Zoal ruszył przed siebie ciemnym korytarzem tak szybko, że Fenring z trudem za nim nadązał.

– Z planu wynika, że pomieszczenie Nawigatorów znajduje się po tej stronie. Powinniśmy szybko załatwić tę sprawę.

Przed wyjazdem dokładnie przestudiowali pozyskane z Ix holograficzne plany liniowca. Ponieważ statek miał wyruszyć w drogę dopiero za kilka tygodni, żaden z Nawigatorów nie zajmował jeszcze pojemnika, a zapasy przyprawy nie zostały uzupełnione, tak więc i kontrola powinna być mniej ścisła.

– Za rogiem – oznajmił ścisłym głosem Zoal. Wydobył ryduliański przewodnik i odszukał schemat górnych pięter liniowca.

Skręcili i na końcu korytarza zobaczyli strażnika. Gdy podchodzili, przyglądał się im nieufnie, trzymając na biodrze gotowy do strzału głuszek.

– Mówię ci, że zabłądziliśmy – powiedział głośno Fenring do swego towarzysza. – To nie ten poziom. Spójrz sam.

Z tymi słowami dźgnął palcem w stronę z krystalicznego papieru. Zoal odgrywał swą rolę tak, jakby wychował się na Jongleur.

– Gadasz głupstwa, idziemy zgodnie z planem, krok po kroku. – Podniósł głowę i jak gdyby dopiero teraz dojrzał strażnika, dorzucił: – Spytajmy jego.

Ruszył w kierunku mężczyzny, zmniejszając dzielącą ich odległość.

Strażnik uniósł dłoń w ostrzegawczym geście.

– Z pewnością zabłądziliście. Tutaj wstęp jest wzbroniony.

Z wyrazem znużenia na twarzy Zoal podetknął strażnikowi plan pod nos.

– Tak? To niech pan nam powie, jak iść.

Fenring stanął po drugiej stronie strażnika, który wpatrzył się w przedstawiony mu plan.

– No więc tak... jesteście teraz tutaj...

Płynnym, eleganckim ruchem Fenring wydobyl jeden ze swych noży, długi i cienki, i tym samym ruchem wbił go między żebra mężczyzny, docierając do wątroby i okręcając ostrze, by dalej dźgnąć nim w płuco. Starał się, żeby spowodować jak najmniejszy krwotok, ale by rana była śmiertelna.

Strażnik okropnie się szarpnął, ale Zoal cisnął plan i chwycił mężczyznę w żelazny uścisk, Fenring zaś wyciągnął klingę i uderzył ponownie, tym razem prosto w serce. Zoal, opuszczając ciało na ziemię, uważnie wpatrywał się w twarz ofiary. Jego oblicze zadrgało, rysy się rozmyły, niczym zrobione z miękkiej gliny, a potem błyskawicznie przekształciły, tak że teraz nikt nie mógłby odróżnić go od strażnika. Zoal odetchnął głęboko, raz jeszcze spojrzął na zabitego i rzekł:

– Gotowe.

Zaciągnęli ciało do schowka i dokładnie zamknęli drzwi. Fenring zczekał, aż Tancerz Oblicza zamieni ubranie z zamordowanym, enzymową gąbką usuwając z niego ślady krwi. Potem znaleźli na planie pokój odpadowy, z którego resztki zrzucano wprost do komory reaktora. Po zabitym strażniku nie zostanie nawet popiół.

Weszli do chronionej sfery. Hrabia jedną ręką trzymał na biodrze torbę z narzędziami i miał minę człowieka, który spieszy wykonać ważne zlecenie. Obok niego szedł Tancerz Oblicza, od niechcienia pozdrawiając mijanych strażników. Znaleźli wolną salę z zasobnikiem Nawigatora.

Jak słusznie przypuszczali, pojemnik na przyprawę był pusty. Fenring bezzwłocznie wydobyl kanistry z syntetycznym amalem, z zewnątrz nie dające się odróżnić od podobnych tabletek melanzu. Z esencji tej powstanie potem gaz, który pozwoli Nawigatorowi wyszukiwać bezpieczne drogi w zakrzywionej przestrzeni. Fenring napełnił pojemnik. Zapewne obsługa zdziwi się, zastawszy go w takim stanie, ale nikt przecież nie będzie rozpaczał z powodu dodatkowej porcji przyprawy.

Wyśliznęli się i po godzinie opuszczali już dok liniowca. Teraz czekała na wykonanie następna część planu.

– Mam nadzieję, że do tego na orbicie będzie równie łatwo się dostać, hmmm-mhmm – mruknął Fenring. – Aby mieć absolutną pewność, musimy przetestować amal na dwóch statkach.

Tancerz Oblicza spojrzął na hrabiego. Jego zdolność upodobnienia się do strażnika była zdumiewająca.

– Może będziemy musieli być trochę bardziej sprytni, ale na pewno nam się uda.

Jakiś czas później, zmęczeni, ale pełni satysfakcji z wykonania drugiej części zadania, stali w porcie kosmicznym Krzyżownika i wpatrywali się w rozgwieżdżone niebo. Skryli się między kontenerami zrzutnikowymi na skraju części towarowej, Fenring wołał bowiem uniknąć ewentualnych pytań ze strony pracowników Gildii.

Zasadniczo mógł do tej misji wynająć zawodowców, ale naprawdę ważne operacje lubił

wykonywać samodzielnie. Pozwalało mu to utrzymywać formę, a poza tym dawało niebagatelną przyjemność.

Przez chwilę myślał o swojej ukochanej żonie, Margot. Z jakąż chęcią znalazłby się już w cesarskim pałacu, aby patrzeć na nią i wypytywać o jej zajęcia. Za kilka dni powinna znaleźć się na Kaitain.

Z zamyślenia wyrwał go Zoal.

– Pańskie umiejętności, hrabio, są godne podziwu. Świetnie pan zrealizował swoją część zadania.

– Komplement od Tancerza Oblicza, hmmm-mhmm, dlaczego nie? – Hrabia wygodniej oparł się o zrzutnik, który niebawem miał być przetransportowany na pokład liniowca. – Dziękuję.

Dojrzał błysk i instynktownie odchylił się, unikając ciśniętego noża. Zanim pierwsze ostrze z brzękiem uderzyło o kontener, Tancerz Oblicza trzymał już w ręku następny sztylet.

Ale hrabia Fenring był nie lada przeciwnikiem. Wyrwał z wewnętrznej kieszeni jeden ze starannie rozmieszczonych noży i ze złowieszczym wyrazem twarzy przyjął postawę bojową.

– No, no, a zdawało mi się, że nie jesteś do tego zdolny.

Tancerz Oblicza skrzywił się.

– Uczono mnie nie tylko walczyć, ale i kłamać, ale tym razem nie do końca mi się to udało.

Fenring zakołysał się na ugiętych nogach. W walce wręcz miał dużo większe doświadczenie, niż ten zmiennokształtny mógł sobie wyobrazić. „Tleilaxanie nie docenili mnie. To kolejny ich błąd”.

W półmroku dalekich świateł portu kosmicznego rysy Zoala znowu się rozmyły i uformowały na nowo: miał teraz szersze ramiona, węższą twarz, większe oczy. Fenring spoglądał na siebie samego, tyle że w ubraniu Tancerza Oblicza, który mruknął:

– Niedługo zacznę odgrywać nową rolę, jako cesarski wysłannik do spraw przyprawy i przyjaciół z lat dziecięcych Szaddama IV.

W tym momencie Fenring zrozumiał, jak dalekosiężną intrygę uknuł Ajidica. Zoal miał go zabić i pod jego postacią znaleźć się blisko Szaddama IV. Oczywiście, nie mógłby długo łudzić go co do swojej tożsamości, ale wcale nie potrzebował dużo czasu: tyle tylko, by przy pierwszej okazji zamordować Cesarza i upodobniwszy się do niego, zająć Tron Złotego Lwa, którym w istocie będzie władał Mistrz Badań. Jako specjalista od spisków Fenring potrafił docenić śmiałość pomysłu.

– Nigdy nie uda ci się zwieść Margot, mojej żony, która, jako Bene Gesserit, jest wyczulona na najmniejsze szczegóły.

Zoal uśmiechnął się, co niezbyt pasowało do twarzy Fenringa.

– Teraz, po starannej obserwacji ciebie, hrabio, postaram się sprostac temu wyzwaniu.

Tancerz Oblicza zaatakował, a hrabia wychwycił cios na klingę swego noża. Ostrza szepiły się ze sobą a obaj walczący usiłowali przepchnąć jeden drugiego, wykorzystując siłę i masę swych ciał.

Przyparty do zrzutników Fenring kopnął, usiłując złamać goleń przeciwnika, ten jednak zrobił unik, a jednocześnie wyprowadził pchnięcie. Hrabia zablokował przedramieniem cios zmierzający w kierunku jego oka i odskoczył.

Obaj ociekali potem. Zoal krwawił lekko z draśnięcia pod brodą ubranie Fenringa było przecięte w kilku miejscach, on sam jednak nie odniósł najmniejszej rany.

Okazało się jednak, że ataki Tancerza Oblicza stają się coraz bardziej zaskakujące i błyskawiczne, najwyraźniej naśladował on też zdolności przeciwnika i tak oto hrabiemu przyszło walczyć z sobą samym. Rozumiał, że musi wykonać jakieś całkowicie zaskakujące posunięcie, a zarazem uznał, że pomimo wielkiej chęci, aby dokładnie przepytac Zoala, nie może go pozostawić przy życiu, za nic bowiem nie można było dopuścić do ujawnienia tajemnicy.

Za sobą usłyszał wycie promu, ale nie śmiał obejrzeć się. Najmniejszy błąd miałby fatalne

konsekwencje. Zachwiał się, zatoczył i wypuszczając z dłoni sztylet, z jękiem padł na plecy. Tancerz Oblicza skoczył, padł na kolana i pewien zwycięstwa szykował się do morderczego ciosu. Nie zadał go jednak, albowiem hrabia wcześniej tak manewrował, aby upadłszy, miał w bezpośrednim zasięgu ciśnięty i zapomniany już nóż Zoala. Jeszcze zanim wylądował na grzbiecie, trzymał go już w dłoni. W chwili, kiedy Tancerz Oblicza unosił uzbrojoną dłoń, błyskawiczny sztych ugodził go w grdykę, a hrabia potężnym kopniakiem odrzucił od siebie przeciwnika, aby nie poplamiała go jego krew.

Ciało Zoala odbiło się od kontenera i runęło na ziemię. Fenring rozejrzał się, aby się upewnić, że nie było żadnych obserwatorów. Musiał się stąd wydostać jak najszybciej i nie miał czasu odpowiadać na żadne pytania.

Tymczasem twarz Zoala traciła wszelki osobisty charakter – chwila i przed hrabią leżał manekin o gładkiej głowie, którego palce pozbawione były linii papilarnych.

Fenring już zaczynał myśleć, jak wiedzę o intrydze wykorzystać przeciw Hidarowi Fen Ajidicy. Ciężko dysząc, zerwał plombę z jednego ze zrzutników i wrzucił do niego ciało Tancerza Oblicza, a następnie starannie zamknął go. Odbiorca znajdujący się gdzieś w wielkich przestrzeniach wszechświata może być zdziwiony zawartością przesyłki.

Właśnie lądował orbitalny prom. Należało jak najszybciej wracać na Kaitain, nie zostawiając po sobie żadnych śladów. Musi jednak pamiętać o tym, aby nie podróżować w najbliższej przyszłości żadnym z liniowców klasy Dominik. Nie wiadomo bowiem, jak sztuczna przyprawa podziela na Nawigatorów. Fenring nie miał zamiaru uczestniczyć w zorganizowanym przez siebie teście.

Kilka minut – i w tłumie robotników i marnie ubranych pasażerów trzeciej klasy wchodził na pokład promu. Zbył milczeniem pytanie dwóch sąsiadów, z czego tak bardzo się cieszy.

Tajemnica jest najcenniejsza, gdy pozostaje tajemnicą. Wtedy nikt nie domaga się, aby wykorzystać informację.

maksyma Bene Gesserit

Piter de Vries, który z polecenia barona przybył na Kaitain, szedł korytarzem głównego kompleksu budynków rządowych, a jego umysł mentata bez trudu rejestrował każdy szczegół drogi.

Był ranek, on ciągle jeszcze czuł w ustach wykwinnty smak importowanych owoców, które podano na pokładzie dyplomatycznej fregaty, bardziej jednak smakowita była wiadomość, którą zlecono mu przekazać. Usłyszawszy ją, Szaddam najpewniej sfajda się w swoje cesarskie portki.

Wydobył pojemnik pocztowy i ukrył go w niszy ściiennej za jednym z niezliczonych popiersi Szaddama.

Nagle na korytarzu pojawił się mężczyzna o prostackiej twarzy, w którym Piter rozpoznał Kalo Whyllsa, ambasadora Harkonnenów. Chociaż był po trzydziestce, wydawał się gołowąsem, a stanowisko otrzymał dzięki koneksjom rodzinnym. Nigdy nie przesłał na Giedi Primę żadnej ważnej informacji. Swej obecności na dworze cesarskim nie potrafił wykorzystać do sprawnego szpiegowania.

– Ach, Piter de Vries! – zawołał egzaltowanym tonem. – Dlaczegoż baron nie uprzedził mnie o twoim przyjeździe? Czy nie zamierzasz złożyć mi wizyty?

Mentat udał zaskoczenie.

– Może później, panie ambasadorze, teraz jednak mam zaplanowane ważne spotkanie. To misja

zlecona przez samego barona.

– Ach, tak. My, ludzie polityki, zawsze mamy mało czasu – zgodził się Whylls z szerokim uśmiechem. – Ja także muszę się spieszyć. Proszę się ze mną skontaktować, gdybym mógł w czymś pomóc.

Ambasador ruszył korytarzem w przeciwnym niż de Vries kierunku, wyraźnie starając się pokazać swoim zachowaniem, jaką ważną odgrywa rolę.

Na kartce papieru instroy de Vries zaznaczył położenie skrytki, aby kurier cesarski odnalazł pojemnik. Prawdziwa bomba z opóźnionym zapalnikiem.

Godna zemsta za szantaż Richese.

Musi się udać.

Haloa Rund doglądał końcowych już prac, dzięki którym powstać miał prototyp generatora niewidzialności, co możliwe stało się po odnalezieniu rysunków i obliczeń Chobyna.

Na jednej ze szpul szigarutowych Chobyn użył nazwy „pole pozaprzestrzenne”. Sprawiało ono, że obiekt jednocześnie znajdował się w danym miejscu i go tam nie było. Rund nieustannie rozmyślał nad tym fascynującym pomysłem.

Nie udało mu się odkryć, jak działał zawodzący niekiedy mechanizm niewidzialności w starym laboratorium. Na podstawie pewnych cząstkowych danych ustalił, że minimalny promień pola niewidzialności wynosił sto pięćdziesiąt metrów, nie rozumiał więc, jak mogło ono ukryć niewielki składzik za ścianą laboratorium, do chwili, gdy odkrył, że niesymetrycznie sięgało ono w przestrzeń na zewnątrz stacji Korona.

Hrabia Ilban Richese, poznawszy całą sprawę i uzyskawszy od rządu Richese fundusze na realizację projektu, serdecznie pogratulował swemu kuzynowi dociekliwości i pomysłowości. Obiecał, że kiedy generator powstanie, on sam złoży wizytę na Koronie, chociaż najprawdopodobniej nie zrozumie zasady działania urządzenia. Osobno gratulacje i słowa zachęty przysłał premier Calimar.

Sztuczny satelita od lat ukrywał tajniki produkcji słynnych „richesańskich luster”. Pomimo licznych prób szpiegostwa przemysłowego nikomu nie udało się odkryć tego sekretu. Gdyby próba z generatorem pola pozaprzestrzennego powiodła się, ród Richesów stałby się właścicielem o wiele cenniejszej technologii.

Badania konstrukcyjne były bardzo kosztowne i wymagały oderwania najlepszych naukowców od wszelkich innych prac. Fundusze zdobyte przez premiera Calimara miały postać wielkiej ilości przyprawy, która, składowana na stacji, zamieniana była z czasem na gotówkę, aby pokrywać kolejne zapotrzebowania. W tej chwili melanz zajmował sześć procent całej powierzchni Korony.

Z racji ambitnego zadania zwiększyło się polityczne znaczenie dyrektora Flinto Kinnisa, ale to Haloa Rund ledwie zauważył, gdyż generator Chobyna nastroczał dostatecznie dużo problemów, aby zaprzętać całą jego uwagę.

O nic innego Rund się nie martwił.

Kiedy Szaddam otworzył pojemnik pocztowy i przeczytał jego zawartość, zamknął się na godzinę w swym prywatnym gabinecie, a potem wezwał do siebie Najwyższego Baszę, Zuma Garona.

– Mam rozkaz dla sardaukarów.

Cesarz najwyraźniej nie posiadał się z wściekłości.

– Sardaukarowie są na wszelkie twoje rozkazy, Wasza Cesarska Mość! – oznajmił Garon i w postawie zasadniczej czekał na polecenia.

A zatem po wszystkich ostrzeżeniach i przykładowym ukaraniu Zanovaru Richese śmieli uczynić coś takiego? Premier Calimar uważał, że ignorując wszystko i wszystkich, może spokojnie gromadzić prywatne skarby przyprawowe? Anonimowa informacja ponad wszelką wątpliwość dowodziła, że na sztucznym satelicie Korona znajduje się nielegalny zapas melanżu.

Szaddam wiedział, że nie należy bezkrytycznie dawać posłuchu wszystkim takim pogłoskom. Chociażby Ekaz i Grumman robiły, co tylko mogły, aby rzucić podejrzenia na przeciwnika, ale dowody były wątpliwe, a motyw aż zbyt jasno widoczne.

– Okazuje się, że jedna lekcja, czym kończy się łamanie praw Korrinów, nie wystarczyła.

W przypadku Zanovaru głównym motywem Szaddama było unicestwienie Tyrosa Reffy. Teraz pozostał motyw oficjalny, ale zarazem nader istotny: chodziło o to, aby całe Cesarstwo zostało uzależnione od jego monopolu na syntetyczną przyprawę. Trzeba było podbić stawkę, a kozłem ofiarnym stanie się Richese.

O karnej inspekcji poinformuje zawczasu Gildię i ZNAH, a kiedy w majestacie prawa skarb na Koronie zostanie skonfiskowany (z czego część przeznaczy na kupienie sobie poparcia obu sił), reszta rodów powinna się poczuć jeszcze bardziej niepewna i zagrożona.

Hasimir Fenring nie powrócił jeszcze z Ix, nie miało to jednak większego znaczenia, albowiem Szaddam sam potrafił podejmować ważne decyzje. Wydał rozkazy sardaukarom.

Wielka Wojna Przyprawowa miała przybrać na sile.

Każda epoka dowodziła, że aby zdobywać korzyści, należy władać. Aby zaś władać, należy przełamać opór poddanych.

Cesarz Szaddam IV Korrino

Czując, jak krew pulsuje mu w skroniach pod wpływem ajidamalu, Hidar Fen Ajidica miał wrażenie, że z wielkiej oddali spogląda na bezwładne ciała zaległe w jadalni. Dwudziestu dwóch najbardziej wścibskich Wielkich Mistrzów Tleilaxan opadło na stół otrutych. Martwych.

Po objawieniu, jakie otrzymał od Boga, zdecydowany był zmienić zasadniczo układ władzy w Cesarstwie. A pośród zwłok znajdowały się jedne, stanowiące przyjemną niespodziankę: nadęty mistrz Zaaf, który dzień wcześniej zjawił się z nieoczekiwaną inspekcją. Z resztkami gulaszu ze świmaka na brodzie i piersi, Zaaf osunął się bokiem na stół i leżał z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami, co jako żywo urągało godności jego pozycji Mistrza Mistrzów. Szybko działająca trucizna, którą do potrawy dodali Tancerze Oblicza występujący w roli kucharzy, zadziałała w ciągu kilku minut i szare skóry mistrzów raptownie spurpurowiały, jakby od środka trawił je jakiś ogień.

Stojąc w drzwiach i spoglądając z satysfakcją na swoje dzieło, Mistrz Badań na jednej z krokwi dostrzegł latającego smoka, małą jaszczurkę, która zdawała się uodporniona na wszystkie trucizny. Po obu stronach kilkucentymetrowego tułowia znajdowały się łuskowate wypustki, pozwalające zwierzęciu szybować w powietrzu na podobieństwo ziemskiej latającej wiewiórki.

Spróbował teraz skorzystać z mocy, które ujawniły się u niego po zażyciu wielkiej dawki ajidamalu. Wystarczyła chęć, a w chwilę później miał wrażenie, że spogląda na wszystko z gądziej perspektywy, widzi z wysoka, jak jedno z ciał drga i znowu nieruchomieje.

Prawie dwa tuziny nieżywych Mistrzów... Nieźle, jak na początek. Zanim Wielka Wiara zacznie

szerzyć się pod rządami Ajidicy, najpierw należy usunąć heretyków z szeregów samych Tleilaxan.

Z leciutkim uśmiechem na ustach błyskawicznie przebiegał miliardy możliwości. Teraz już prawie w ogóle nie sypiał, a większość czasu spędzał na eksplorowaniu swego cudownego umysłu, zupełnie jak gdyby był to wielki park przygód i zagadek. Potrafił naraz z uwagą rozwijać dziewięćdziesiąt siedem wątków myślowych, a najbardziej chaotyczne zbiory operacji studiować tak jak księgofilm.

Ajidamał okazywał się lepszy, bardziej intensywny od melanzu. Kto wie, czy dzięki niemu Nawigatorzy Gildii będą mogli tak zakrzywiać przestrzeń, że będą przenikać w inne wszechświaty, a nie tylko inne obszary tego samego. Jeden z dziewięćdziesięciu siedmiu wątków wysunął się na pierwszy plan. Hrabia Fenring i Zoal powinni już uporać się z umieszczeniem ajidamału w pojemnikach, gdzie zwykle umieszczano melanz dla Nawigatorów, którzy niebawem z niego skorzystają. Fenring jest już zapewne równie martwy jak Mistrzowie, których Ajidica miał teraz przed oczami. Tancerz Oblicza niedługo zjawi się i opowie wszystko ze szczegółami...

Gadzie ślepią raz jeszcze przesunęły się po zwłokach. Teraz nie było już odwrotu. Inni Tancerze Oblicza zastąpią dawnych mistrzów i wszystko potoczy się jak dawniej... On zaś następnym wysłę na Kaitain i...

Replika Mistrza Zaafa poinformuje Bandalong, że postanowił zatrzymać się na Xuttuh na kilka miesięcy – tyle czasu Ajidica potrzebował na zrealizowanie wszystkich planów. Uprzątnie wszystkich, którzy staną mu na przeszkodzie, niczym owady, które znalazły się w zasięgu lepkiego języka jaszczurki. Poczul, jak jego język wysuwa się błyskawicznie i cofa, wysuwa i cofa... Poczul też smak gorzkich szkielecików. Jaszczurka spłynęła z krokwi, jakby dokonywała powietrznej inspekcji nad miejscem zbrodni.

W mgnieniu oka Ajidica wycofał swą świadomość w ciało stojące na progu. W ustach czuł gorzki posmak, a jego język był obolały i pokaleczony. Podniesionym głosem wezwał z kuchni Tancerzy Oblicza, którzy zjawili się bezzwłocznie.

– Usunąć te trupy. A potem przygotujcie się do podróży.

Zmiennokształtni wzięli się do roboty, Ajidica zaś zaczął szukać małej jaszczurki, ale nigdzie nie mógł jej znaleźć.

C'tair Pilru nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy na składowisku odpadów znalazł powykrzywiane zwłoki znienawidzonych okupantów. Było już dawno po godzinie policyjnej, musiał więc przemykać się w cieniu, a na miejscu odczekał najpierw, aż w tumanie kurzu oddali się wielka śmieciarka. Często odwiedzał to wysypisko, szukając przydatnych dla siebie rzeczy.

I oto miał przed sobą ponad dwudziestu Wielkich Mistrzów, wszystkich martwych, wszystkich zmarłych gwałtowną śmiercią. Ich szara skóra była teraz purpurowa. Nasunął mu się na myśl najbardziej oczywisty wniosek – ruch oporu nie kończy się tylko na nim, a co więcej, porywa się na rzeczy na pozór niewyobrażalne.

Jest jeszcze ktoś, kto morduje Tleilaxan!

Podrapał się po głowie i rozejrzał dookoła, nie bardzo wiedząc, co teraz począć, i zastanawiając się, kim też może być ten tajemniczy sojusznik.

Nie tak dawno temu para wysłanników Atrydów obiecała, że niebawem nadejdzie ratunek. C'tair wyobrażał sobie coś w rodzaju pochodów rycerzy na białych rumakach. Na ich przybycie należało przygotować wszystkie grupy opozycjonistów. C'tair miał nadzieję, że dożyje wspaniałej chwili oswobodzenia IX.

Nareszcie przybywał Rhombur!

Przemykając w ciemności, C'tair szukał samotnego Tleilaxanina. Zanim noc dobiegła kresu,

jeszcze kilku podzieliło los tych, którzy spoczęli na wysypisku.

Każda przebyta droga prowadzi dokładnie donikąd. Wespnij się na górę tylko na tyle, aby sprawdzić, czy jest górą. Ze szczytu tego nie zobaczysz.

**Cesarzowa Herade,
połowica następcy tronu Raphaela Korrino**

Przez połowę życia Rhombur Vernius ociążał się z wypełnieniem tego obowiązku, a teraz nie mógł doczekać się momentu wyjazdu. Nie ukrywał już swego sztucznego ciała – gdy nadchodził czas akcji na Ix, uważał je raczej za coś w rodzaju honorowej odznaki.

Kierowany wskazówkami z bezbłędnej pamięci Thufira Hawata doktor Yueh dokonał pewnych poprawek, by mechaniczne części były nawet bardziej widoczne, jakby nieudolnie wykończone, co miało upodobnić Rhombura do upiornych konstrukcji Tleilaxan, które sami zwali bi-Ixianami.

Przez całe tygodnie Gurney i Rhombur omawiali z księciem i jego najwyższymi dowódcami szczegóły wielkiej operacji.

– Odpowiedzialność za sukces lub porażkę spoczywa na moich barkach – powiedział Rhombur, który wraz z Gurneyem czekał na prom, mający zawieźć ich na pokład liniowca. – Nie jestem już dzieciaczkiem kolekcjonującym kamienie. Muszę sobie przypomnieć wszystko, czego uczył mnie ojciec. Przecież już jako siedmiolatek znałem wszystkie kody wojskowe i przebieg każdej z wielkich bitew prowadzonych przez Verniusów.

– Ta bitwa będzie opiewana w pieśniach, które pamięć o niej zachowają dla naszych potomków – zapewnił z uśmiechem Gurney Halleck, ale z wyrazu jego twarzy można było zgadnąć, że zaraz pożałował tych słów.

Niezręczną ciszę przerwał Rhombur.

– Tak, to będzie coś, o czym Ixianie będą opowiadali dzieciom i wnukom.

Zapłacono niezbędne łapówki i Gildia Kosmiczna miała ponownie zakłócić działanie skanerów Tleilaxan na tyle długo, aby zamaskowana kapsuła bojowa przedostała się przez ukryte przejście. Obecna kapsuła została tak zaprojektowana, aby po przetransportowaniu ich dawała się rozłożyć na części, z których każda mogła być wykorzystana do celów militarnych. Smukła kapsuła stała w doku na podnośniku, a technicy kończyli sprawdzać zaczepy, które miały ją połączyć z promem.

Thufir i Duncan już ich pożegnali, ale nie zjawił się jeszcze Leto, a Rhombur nie chciał wyjeżdżać bez uściśnięcia przyjaciela. Akcja wyzwolenia Ix nie mogła rozpocząć się bez błogosławieństwa przywódcy Atrydów.

Poprzedniego wieczoru Rhombur naładował zasilacze wszystkich mechanizmów, jego umysł był jednak zmęczony z racji bezsennej nocy. Dręczyły go liczne wątpliwości. Tessja usiłowała go odprężyć, masując mięśnie w pozostałych mu resztkach ciała. W jej ciemnych oczach widać było dumę i emocje.

– Mój kochany, mój mężu! Mam nadzieję, że następną wspólną noc spędzimy już w Grand Palais.

– Ale nie w mojej starej sypialni – zachichotał. – Oboje zasłużyliśmy na coś większego niż chłopięcy pokój.

Odetchnął głęboko, cały przepelniony pragnieniem, by znowu, po tylu latach, zobaczyć Ix.

Opracowano szczegółowy harmonogram, którego wszyscy mieli się ściśle trzymać, albowiem do

chwili frontalnego ataku wszystkie części planu musiały być realizowane odrębnie, bez żadnej łączności. Nie było miejsca na błąd, zwłokę, czy... wahanie. Leto oczekiwał od niego i Gurneya, że zajmą uwagę Tleilaxan, osłabią w ten sposób ich obronę, w efekcie czego uderzenie Atrydów z zewnątrz będzie miażdżące.

Rhombur odwrócił się i dostrzegł Leta. Jego czarna marynarka mundurowa była, jak nigdy, wymięta, a na policzkach i brodzie czerniała szczecina zarostu. Za plecami trzymał prezent, owinięty w złoty papier i przewiązany wstążką.

– Nie możesz wyjechać bez tego, Rhomburze!

Przyjmując podarek, dzięki sensorom w ramieniu wyczuł, że jest dziwnie lekki.

– To nie jest ciężkie, ale kapsuła jest już tak wypchana, że ledwie wystarczy miejsca dla mnie i Gurneya.

– Na to musisz znaleźć miejsce.

Na twarzy Leta pojawił się rzadki gość: uśmiech. Rhombur pospiesznie rozerwał papier. Wewnątrz znajdowało się pudełko, którego wieko bez trudu się uniosło.

– Na szkarłatne piekła!

Na miękkiej wyściółce spoczywał taki sam pierścień, jaki nosił na palcu przed katastrofą balonu: insygnium jego władzy jako earla rodu Verniusów.

– Tak trudno zdobyć płomienniki, Leto! Każdy jest niepowtarzalny, a ten przecież wygląda zupełnie jak mój stary, chociaż to przecież nie może być on!

Kiedy Leto chwycił przyjaciela w ramiona, w jego szarych oczach zatańczyły iskierki.

– A właśnie że to on, mój drogi. Odtworzony na podstawie resztek, które zachowały się wraz z popiołem twojej dłoni.

Jedno naturalne oko Rhombura załśniło, jak gdyby miała się z niego potoczyć łza. Ten pierścień był symbolem chwały Ix, ale także straszliwego losu, jaki spotkał mieszkańców planety i jej władców. W jednej chwili na twarz Rhombura powrócił wyraz zaciętości.

Nałożył klejnot na środkowy palec sztucznej prawicy.

– Pasuje jak ulał.

– Jeszcze jedna dobra wiadomość – odezwał się Duncan. – Zgodnie z informacjami centrum kosmicznego ten liniowiec to ostatni z modeli Dominik wyprodukowanych na Ix. Po generalnym remoncie na Krzyżowniku. Myślę, że to dobry znak.

– I ja tak myślę! – wykrzyknął Rhombur. Uściskał wszystkich pozostałych, a potem wraz z Gurneyem Halleckiem wsiadł do prywatnego promu. Kiedy zamykali drzwi, usłyszeli Leta, Duncana i Thufira zgodnie wołających:

– Ix zwycięży!

„Tak się stanie!” – pomyślał Rhombur. A jeśli nie, to razem z nadzieją polegnie i on.

Być może nieustannie śnimy, nie zauważamy tego jednak, przechodząc do jawy, albowiem świadomość – niczym słońce przyćmiewające gwiazdy – jest zbyt świetlista, aby nieświadomość mogła nabrać wyrazistych kształtów.

**z prywatnego dziennika
Kwisatz Matki Aniruli Sadow-Tonkin**

Lady Anirula nie mogła zasnąć, albowiem dręczył ją jej własny umysł.

Raz poruszone, głosy dawnych pokoleń nie dawały jej spokoju. Mieszkanki Pamięci Innych domagały się jej uwagi, podsuwały jako ostrzeżenie historyczne precedensy, których doświadczyły lub których konsekwencje obserwowały. Jedna przez drugą przekrzykiwały się w ostrzeżeniach, przestroгах, wezwaniach – a wszystko to działo się w jej głowie!

Jej samej nie było daleko do krzyku.

Jako małżonka Cesarza Anirula żyła w luksusach nieznanych żadnej z jej poprzedniczek. Miała mnóstwo służby, wokół siebie zawsze piękną muzykę, najdroższe używki. Jej komnaty, wspaniale umeblowane, bez trudu pomieściłyby mieszkańców wioski.

Był czas, kiedy Anirula uważała bycie Kwisatz Matką za błogosławieństwo losu, teraz jednak, gdy ciąża Jessiki zbliżała się do końca, ów tłum dawnych osobowości stał się strasznie natrętny i rozprasający. Owe głosy były świadome tego, że wielki program kultywacyjny zbliżał się do końca.

Anirula przewracała się na zbyt wielkim łóżku, aż wreszcie odrzuciła prześcieradła i miękko niczym jaszczurka ześliznęła się z niego. Naga stanęła w drzwiach balkonowych. Jej skóra, codziennie pielęgnowana masażami i kremami, była gładka i wonna. Melanz i zespół biochemicznych reakcji, którymi nauczyła się sterować jak każda Bene Gesserit, zachowały sprężystość mięśni i atrakcyjny wygląd, nawet jeśli mąż nie zwracał już na to uwagi.

W tej sypialni zapłodnił ją pięć razy – za jej przyzwoleniem – teraz jednak niemal już wcale jej nie odwiedzał. Zupełnie zasadnie porzucił wszelką nadzieję, że kiedykolwiek da mu męskiego potomka. Nigdy już zresztą nie miał mieć żadnego dziecka, ani z nią ani z żadną inną kobietą.

Chociaż mąż podejrzewał, że ma kochanków, ona przez cały czas małżeństwa nie pozwoliła sobie na żadne sekretne związki. Zresztą nauki Bene Gesserit pozwalały jej dostępować ekstaz, jakich nie potrafił dostarczyć żaden mężczyzna.

A zresztą tym, czego teraz najbardziej potrzebowała, był głęboki, spokojny sen.

Zdecydowała się, że pospaceruje – po części w płonnej nadziei, że marsz uwolni ją od wewnętrznego zgiełku.

Chwyciła za klamkę i dopiero teraz uświadomiła sobie, że jest naga. Ostatnimi czasy docierały do niej wieści, że na dworze plotkuje się o jej dziwactwie. Niewykluczone, że plotki rozpuszczał sam Szaddam. Gdyby nieubrana pojawiła się na korytarzu, jutro szumiałby o tym cały pałac.

Narzuciła na siebie turkusowy szlafrok, zawiązała wewnętrzny węzeł, którego nie potrafił rozwiązać nikt poza Bene Gesserit, i bosy wyszła na korytarz.

W szkole na Wallach IX często chodziła bez obuwia. Surowy klimat dawał akolitkom znakomitą okazję, aby uczyły się wytrwałości, a także panowania nad temperaturą ciała, potem – reakcjami nerwów. Pewnego razu Harishka – która nie była jeszcze wtedy Matką Przełożoną, a tylko zwierzchniczką szkoły – zawiozła młode adeptki w zaśnieżone góry, tam kazała im rozebrać się do naga i tak maszerować cztery godziny na szczyt, gdzie odbyły godzinną medytację i dopiero wtedy mogły wrócić na dół, do ubrań i ciepła.

Anirula miała tego dnia wrażenie, że zamarza na śmierć, a jednak to doświadczenie wiele ją nauczyło, jeśli chodzi o metabolizm ciała i działanie umysłu. Okazało się, że także bez ubrania może nie cierpieć z powodu zimna. Jednak cztery koleżanki nie zniosły tej próby, a Harishka zostawiła ich ciała w śniegu jako przestroгę dla następnych uczennic.

Wystarczyło, by Anirula przeszła parę kroków korytarzem, a już u jej boku znalazły się dwórki, ale bez Jessiki. Ją Anirula chroniła przed wszelkim nadmiernym wysiłkiem i zbędnymi kłopotami.

Kątem oka dostrzegła gwardzistę wyslizgującego się z jednej z sypialń i zirytował ją fakt, że jej damy pozwalały sobie na uprzyjemnianie miłostkami godzin swojej służby, szczególnie skoro

wiedziały, jak często trapi ją ostatnio bezsenność.

– Chcę zobaczyć ogród zwierzęcy – powiedziała, nie spoglądając na żadną z dwórek. – Niech któraś pójdzie przodem i zadba, żebym nie czekała pod zamkniętą bramą.

– O tej godzinie, Najjaśniejsza Pani? – spytała, dopinając bluzkę, wysoka blondynka o długich lokach i delikatnych rysach.

Anirula spojrzała na nią krótko, a dziewczyna skuliła się jak pod uderzeniem. Jutro zostanie zwolniona. Trudno, by ktokolwiek kwestionował kaprysy Cesarzowej. Anirula robiła się coraz mniej tolerancyjna i coraz bardziej niecierpliwa. Zupełnie jak Szaddam.

Na niebie falowały zorze. Orszak, teraz już zupełnie spory, sunął za nią przez trawniki i alejki, aż dotarli do cesarskiego zoo.

Poprzednicy Szaddama bardzo o niego dbali, dla niego jednak niewiele rzeczy było bardziej bezsensownych niż interesowanie się zwierzętami z jakichś zapadłych prowincji Cesarstwa, więc w „łaskawym” geście udostępnił ogród szerokiej publiczności, aby mogła podziwiać jeszcze jeden aspekt bogactwa Korrinów, chociaż – jak wyznał żonie – wahał się, czy nie lepiej byłoby wybić cały ten zwierzyńiec i nie ponosić kosztów jego utrzymania.

Anirula zatrzymała się przy krystalicznym łuku wejściowym. Jaskrawo lśniące jarzyce zbudziły zwierzęta i wystraszyły je. Opiekun ogrodu miotał się przy konsolecie, aby przygotować zoo do odwiedzin.

Anirula spojrzała na swe damy.

– Zostańcie tutaj. Chcę pobyć sama.

– Czy to rozsądne, Najjaśniejsza Pani? – odezwała się ta sama irytująca blondynka. Szaddam bez wątpienia kazałby ją od razu uśmiercić.

Tym razem Anirula spojrzała na nią dłużej.

– Poznałam zagadki polityki cesarskiej, moja panno. Musiałam rozmawiać z najmniej sympatycznymi członkami Landsraadu, a żoną Jego Cesarskiej Mości jestem od dwóch dekad. Na pewno więc dam sobie radę z nieco mniejszymi bestiami.

Z tymi słowami weszła w ugłaskany dziki świat. Zawsze się tu uspokajała. Na wybiegach ograniczonych przez pole blokujące widać było niedźwiedzie szablozębne, ekadrogi i wilki. Tygrysy Laza wylegiwały się na elektrycznie podgrzewanych skałach. Lwica leniwie rozszarpywała kawał padliny. Dwa tygrysy rozwarły senne ślepia, ale – zbyt nażarte – nie były groźne.

W dużym akwarium pływały delfiny z Buzzellu. Obdarzone wielkimi mózgami, potrafiły wykonywać proste wodne prace. Przemknęły niczym srebrzyste strzały, ale jeden zawrócił i spojrzał przez szybę, jakby rozpoznał znajomą osobę.

Wędrując między zwierzętami, Anirula doznawała tak rzadkiego ostatnimi czasy spokoju wewnętrznego. Tutaj, w sennej atmosferze cesarskiego zoo, milkł zgiełk głosów z przeszłości. Odetchnęła głęboko, rozkoszując się samotnością.

Wiedziała, że niepokój w Pamięci Innych staje się niebezpieczny dla niej samej. Jako Kwisatz Matka i Cesarzowa miała ważne obowiązki, a przede wszystkim musiała uważać na Jessikę i jej czekającego na poród syna.

„Czyżby to z powodu Jessiki? Czy te głosy wiedzą o czymś, czego ja nie wiem? O czymś związanym z przyszłością?”

W przeciwieństwie do większości innych sióstr, Anirula miała dostęp do wszystkich wspomnień, ale po śmierci Lobii nazbyt pograżyła się w Pamięci Innych, szukając swojej przyjaciółki, i poruszyła jakoś lawinę egzystencji.

Zaczęła myśleć o Lobii, która za życia udzieliła jej tylu cennych rad. Jakże chciałaby, aby jej głos

wzbił się nad tumultem innych. Wzywała ją nieustannie, ale obecna w niej Lobia nie odzywała się.

I nagle znowu zalał ją potok wzburzonych głosów, okrzyków, przestróg, porad, coraz głośniejszych i głośniejszych. Wzywały ją po imieniu, a ona w duchu krzyczała na nie i kazała im zamilknąć.

Delfiny przywarły do ściany akwarium, tygrysy groźnie zamruczały, a dwa niedźwiedzie szablozębne rzuciły się wściekle na siebie. Rozkrzyczały się przestraszone ptaki. Inne zwierzęta zaczęły wyc.

Anirula padła na kolana, domagając się od szalejących w niej głosów, aby się uspokoiły. Strażnicy i dwórki biegli już w jej kierunku, gdyż z dala ukradkiem śledzono, czy nic jej nie grozi. Kiedy jednak usiłowali ją podnieść, Anirula wściekle zamachała rękami. Jeden z pierścieni rozorał policzek natrętnej blondynki. Cesarzowa miała wściekle i nieobecne spojrzenie.

– Jego Cesarskiej Mości na pewno się to nie spodoba – mruknął jeden ze strażników, ale do Aniruli nic nie docierało.

O karierze dyplomaty decyduje umiejętność kłamstwa.

z maksym Bene Gesserit

Piter de Vries siedział za biurkiem w ambasadzie na Kaitain i pisał list.

Z sufitu ściekała krew, zbierając się na podłodze w coraz większą kałużę, ale mentat nie zwracał na to uwagi. Rytm kropel działał trochę jak metronom, a cały ten bałagan uprzątnie później.

Po dostarczeniu Cesarzowi anonimowej wiadomości, że Richesowie nielegalnie gromadzą przyprawę, de Vries pozostał na dworze, układając i realizując zawile plany, których ostatecznym efektem miało być umocnienie pozycji Harkonnenów. Docierały już do niego plotki o przykładowej karze szykowanej przez Szaddama i nie posiadał się z radości na myśl o cudownej zemście na szantażystach.

Zbierał też wszystkie możliwe informacje, selekcionując je i przekazując baronowi w przemyślanych częściach. Dzięki temu był ciągle potrzebny, a to było gwarancją pozostania przy życiu.

Szczególnie interesująca wydała mu się jednak kwestia nie mająca związku z politycznymi czy wojskowymi intrygami przeciw rodowi Richesów. Bardzo szybko wysledził w orszaku Cesarzowej Jessikę, urodziwą kobietę w szóstym miesiącu ciąży, której efektem miała być następna latorośl Atrydów. A to otwierało tak wiele nowych możliwości...

„Drogi baronie – pisał w zaszyfrowanym języku Harkonnenów – odkryłem, że konkubina Twego odwiecznego wroga, Leta Atrydy, przebywa obecnie na cesarskim dworze. Oficjalnie jest jedną z dam do towarzystwa Cesarzowej, ale prawdziwego powodu nie udało mi się na razie wykryć. Nie ma żadnych obowiązków. Być może wszystko ostatecznie sprowadza się do tego, że obie należą do tego zakonu czarownic, Bene Gesserit. Sugerowałbym pewien plan, którego realizacja przyniosłaby rodowi Harkonnenów wiele sławy i dumy, Atrydom zaś – ból i upokorzenie. Czyż można żądać czegoś więcej?”

W zamyśleniu zerknął na kałużę krwi. Obok na stole leżał otwarty cylinder przesyłkowy. Powrócił do pisania.

„Sam staram się nie zwracać na siebie jej uwagi, ale muszę przyznać, że Jessika intryguje mnie”.

Uśmiechnął się na wspomnienie tego, jak udało się doprowadzić do śmierci pierwородnego syna

Leta, Victora, a także poprzedniej konkubiny, Kailei. Baron liczył na to, że taka tragedia załamie Leta i sprawi, że Atrydzi przestaną się liczyć jako przeciwnicy. Tymczasem, na przekór wszelkim oczekiwaniom, Leto jakby się odrodził, a niedawny atak na Beakka ukazał jego nieznane dotąd cechy: stanowczość i bezwzględność. Ale ile nieszczęść będzie potrafił znieść?

„Jessica ma tu pozostać do czasu rozwiązania. Jest wprawdzie pod stałą kontrolą innych czarownic, myślę jednak, że potrafiłbym niepostrzeżenie zakraść się i zabić noworodka, a gdyby takie było twoje życzenie, baronie – także matkę. Pomyśl tylko, jak dotknęłoby to twego nieprzejednanego wroga! Musiałbym jednak działać z najwyższą ostrożnością”.

Kończył mniejszymi literami, aby cała wiadomość mogła się zmieścić na jednej kartce papieru instroy.

„Dlatego też wymyśliłem już odpowiedni pretekst, żeby dłużej zatrzymać się na Kaitain, dzięki czemu będę mógł obserwować tę intrygującą kobietę. Możesz się spodziewać regularnych raportów, baronie”.

Podpisał list i zapieczętował cylinder, który najbliższy liniowiec dostarczy na Giedi Prime.

Beznamiętnie spojrział na sufit, za którego płytami ukrył ciało. Kalo Whylls, nieporadny ambasador, stawiał silniejszy opór, niż można się było spodziewać, de Vries musiał zatem dźgnąć kilkunastokrotnie, a z tak licznych ran krew ciekła jak z rzeszota. Tyle kłopotu i bałaganu.

Przygryzając w uśmiechu purpurowe od safo wargi, mentat spojrział na oficjalny dokument, via Ministerstwo Form Dyplomatycznych, informujący cesarskiego szambelana, że dotychczasowy ambasador został odwołany na Giedi Prime. Piter pochylił się i wpisał swoje nazwisko jako następcy Whyllsa. Zamknął dokument pieczęcią barona i dołączył do jutrzejszej poczty wychodzącej. Teraz pora na następny krok...

Wgłębi duszy wszyscy jesteśmy podróżnikami... lub uciekinierami.

earl Dominik Vernius

Wewnątrz zasobnika umieszczonego na szczycie ogromnego liniowca klasy Dominik Sternik D'murr unosił się w pomarańczowym obłoku gazu przyprawowego. Czekał, aż załoga upora się z rozładunkiem i załadunkiem, myśląc jednocześnie, że dla niego czas płynie inaczej niż dla wszystkich. Liniowiec przebywał na orbicie wokółkaladańskiej dłużej niż zazwyczaj, a to z racji elementu wymagającego znacznej ostrożności i wielkiej tajemnicy.

„Kapsuła bojowa. Interesujące”.

Zazwyczaj zajmował się tylko sterowaniem, bezpiecznym przenoszeniem liniowca, nie zaszczycając uwagą drobiazgów związanych z ludzkimi aspiracjami, jego bowiem perspektywy były na skalę wszechświata.

Dzisiaj jednak, wiedziony dziwną ciekawością podłączył się do systemu łączności, przeglądając manifesty i przysłuchując się informacjom. Z rozmowy między dwoma kontrolerami lotu dowiedział się, że książę Leto Atryda zapłacił znaczną sumę, aby zapewnić dyskretne dostarczenie kapsuły na Ix.

Pokonywanie zakrzywionej przestrzeni przenosiło D'murra z jednych światów do innych, tak że miał już za sobą niesłychanie długą paradę planet całego Cesarstwa. Jeden z punktów przystankowych tego lotu stanowiło Ix, dawniej miejsce odwiedzin dla ludzi z całego Cesarstwa zainteresowanych wyrafinowaną techniką ale to się już dawno zmieniło.

„Czego Atrydzi szukają na Ix? I dlaczego właśnie teraz?”

Przysłuchiwał się w zamkniętym kanale informacjom, których nigdy nie ujawniano obcym ze względu na zaprzysiężoną neutralność Gildii. Zasadniczo był to po prostu jeszcze jeden interes: pod osłoną małego promu na Ix dostanie się dwóch wysłanników Atrydów, podróżujących incognito. Jednym z nich był przebrany książe Rhombur.

D'murr stwierdził, że jego reakcja na tę informację była silna i zaskakująca. Podniecenie? Strach? Rhombur. Wytracony z równowagi Sternik zwiększył dawkę melanzu, ale zamiast oczekiwanej ulgi poczuł się tak, jakby przyjazny dotąd wszechświat stał się gęstym, mrocznym lasem.

Od czasu, gdy D'murr został Nawigatorem, jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by tak wpłynęło na niego jakieś niewyraźne echo z człowieczej przeszłości. Pod wpływem gazu przyprawowego zakręciło mu się w głowie, a jego umysł jakby zaskwierczał. Czuł się dziwnie rozkojarzony, odnosił wrażenie, że jakieś potężne, wrogie siły napinają wszechświat do granic wytrzymałości. W desperacji wchłonął jeszcze większą porcję melanzu.

Pomyślał, że przy przejściu przez zakrzywioną przestrzeń wszystko się jakoś ułoży. Podróż zawsze go uspokajała, wskazywała właściwe miejsce we Wszechrzeczy. Kolejna porcja gazu i zrobiło mu się gorąco jak nigdy dotąd.

Po serii niecierpliwych zapytań pod adresem załogi otrzymał w końcu informację, że zakończono ładowanie. Nareszcie! Zamknięto luki pasażerskie i towarowe.

D'murr przystąpił do skrajnie skomplikowanych wyliczeń. Najpierw należało wejść w ich rytm, potem znalezienie bezpiecznej drogi trwało tylko chwilę, a przeskok Holtzmana jeszcze mniej.

D'murr nigdy nie spał, a większość czasu spędzał na kontemplowaniu dawnych, człowieczych czasów.

Zasadniczo Nawigatorzy powinni być wolni od takich wspomnień. Jego zwierzchnik na Krzyżowniku, Sternik Grodin, powiedział kiedyś, że u niektórych kandydatów wyzwalamie się z dawnych okowów trwa dłużej niż u innych. D'murr zawsze z utęsknieniem oczekiwał na następną podróż, ale teraz do tego uczucia dołączył niepokój.

D'murra irytowały te atawistyczne pozostałości, które stanowiły zagrożenie dla zdobytej przez niego rangi Sternika, gdyby bowiem dalej trwały i – co gorsza – stawały się bardziej natarczywe, znaczyłoby to, że przemiana nie dokonała się do końca i pozostało w nim coś prymitywnego, czysto ludzkiego. A miał przecież nadzieję, że to dawne stadium zostawił już dawno za sobą.

Jak wytłumaczyć ten dziwny niepokój? Nigdy dotąd nie był w tak... dziwnym stanie. Wydawało się, że gaz przyprawowy tylko ożywia wspomnienia z Ix i Grand Palais, rodziców, testów na Nawigatora, których brat bliźniak nie zdał.

W pomieszczeniu nawigacyjnym rozległ się dzwonek, a D'murr zobaczył nad sobą jasnoblękitne światła. Znak, aby rozpoczął procedurę.

„Ale teraz nie jestem już gotów”.

Gdzieś z centrum tego zamętu wyrosła jakaś wewnętrzna siła, jak gdyby za wszelką cenę usiłował się podnieść z łóżka, na które zwała go choroba. Jakiś daleki krzyk.

– C'tair – wyszeptał.

Ukryty w podziemiach nieużywanej szkoły C'tair Pilru wpatrywał się w poczerńiałe części swego nadajnika „Rogo”. Od czasu ostatniego kontaktu z bratem, dwa lata temu, zdobył kilka zapasowych części i naprawił aparat najlepiej, jak potrafił. Ale krzemowe pręty krystaliczne, znalezione na wysypisku, były mało wartościowe.

Podczas tej ostatniej łączności prosił brata, aby ten spróbował zorganizować pomoc dla Ix. Potem

nadzieja osłabła, aż całkiem niedawno okazało się, że jednak ksiązę Rhombur podejmie walkę. Tak przyrzekł i niebawem zjawi się we własnej osobie.

Szybka niczym iskra mała jaszczurka przemknęła z jednego kąta w drugi i skryła się w stercie odpadów. C'tair powiódł za nią wzrokiem. Przed pojawieniem się Tleilaxan w podziemnych miastach Ix nie było żadnych szkodników: owadów, jaszczurek, szczurów.

„To Tleilaxanie przywieźli ze sobą robactwo!”

Odszukał mleczny biały pręt w miejscu, gdzie go umieścił. Ostatni. Obracał go chwilę w dłoniach, czuł jego chłód, a także cieniutkie jak włos, biegnące w poprzek pęknięcie. Jeśli ród Verniusów wróci jeszcze do władzy, to C'tair, mając dostęp do nowiutkich części, postara się na nowo nawiązać kontakt z bratem. W dzieciństwie byli bardzo ze sobą związani. Zdarzało się, że jeden kończył zdanie rozpoczęte przez drugiego.

Teraz jednak zostali rozdzieleni: przez czas, przestrzeń i cielesną postać. D'murr był teraz pewnie o miliony kilometrów stąd, podróżując przez zakrzywioną przestrzeń, i nawet gdyby C'tairowi udało się uruchomić nadajnik, wątpliwe, by udało mu się nawiązać kontakt z bratem.

Nagle trzymany przez niego pręt zaczął się rozgrzewać. Pęknięcie najpierw rozblęzło, a potem jakby znikło. Miał wrażenie, że spowija go głos D'murra.

„C'tairze...”

Odruchowo rozejrzał się, ale nie zauważył nikogo. Po plecach przebiegł mu dreszcz, ale pręt nadal się rozgrzewał. I głos nie umilkł.

„Zaraz będę zakrzywiał przestrzeń – mówił D'murr jakby spod wody – jeden z etapów to Ix, a na pokładzie jest ksiązę Rhombur. Jedzie do ciebie”.

C'tair nie pojmował, jak mógł do niego dotrzeć głos brata. On sam nie był przecież nadajnikiem ani odbiornikiem, był normalnym człowiekiem.

Pojmował jednak to, że ksiązę Rhombur już wyruszył!

D'murrowi wydało się, że jest w umyśle brata, który dawno, dawno temu wygląda z ruin budynku zniszczonego w trakcie opanowywania Ix przez Tleilaxan. Ile to było lat temu? Dwadzieścia jeden? Pojawiło się też widmo Davee Rogo, zgarbionego geniusza, który zaprzyjaźnił się z braćmi i pokazywał im swe cudowne wynalazki. W dawnych, błogich czasach.

Obrazy te wyrosły z czysto ludzkiego pierwiastka, uparcie odmawiającego w D'murrze poddania się przemianie, która ogarnęła resztę ciała i umysłu. Zupełnie nie wiedział, jakie moce podświadomości umożliwiły mu tę łączność z bratem. Tak czy owak, dzięki wskazówkom udzielonym przez widmo, C'tair zbudował urządzenie łączące różne wymiary rzeczywistości, co pozwoliło na dwustronną komunikację między bardzo odmiennymi od siebie, ale genetycznie powiązanymi formami życia.

Chociaż coś w D'murrze chciało dalej trzymać się tych obrazów i wspomnień, znieruchomiał w swym pojemniku. W ułamku sekundy, gdy stał na progu zakrzywienia przestrzennego, pomyślał o owym strasliwym fizycznym bólu, który towarzyszył każdej łączności z C'tairem, jak gdyby osobowość Nawigatora starała się całkowicie zdusić tę człowieczą resztkę.

Potem jednak uruchomił generator Holtzmana i wpłynął pomiędzy wymiary, pociągając za sobą liniowiec.

W brudnej piwnicy na Ix C'tair czuł, jak trzymany przez niego pręt ochładza się, a równocześnie słyszał, jak słabnie głos D'murra. Potrząsnął głową i rozpaczliwie starał się przywołać brata. Odpowiedziały mu tylko lekkie, monotonne trzaski.

I nagle w czaszce C'taira rozległ się straszliwy, bezsłowny, pierwotny krzyk: krzyk D'murra.
A potem zapadła cisza.

Jedno nieopatrzone posunięcie może być fatalne w skutkach.

mistrz miecza Friedre Ginaz

Liniowiec opuścił zakrzywioną przestrzeń w złym miejscu i wdarł się w atmosferę wokół Wallach IX.

Błąd Nawigatora.

Poruszający się niczym kometa statek z potężnym hukem zderzył się z atmosferą. Pancierz stopił się w ułamku sekundy, pasażerowie nie zdążyli nawet krzyknąć.

Planetę Bene Gesserit od wieków otaczały ekrany ochronne, zdolne unicestwić każdy niezidentyfikowany pojazd. Liniowiec był skazany na zagładę, zanim jeszcze zetknął się z pierwszą tarczą zaporową. Kolejne jego warstwy złuszczały się niczym z cebuli, a resztki zostały rozrzucone na pasie o długości tysiąca kilometrów.

Nawigator nie miał najmniejszych szans, aby wysłać jakiegokolwiek ostrzeżenie czy informację, zanim on i cała załoga wyparowali.

Po zebraniu wszystkich informacji Matka Przełożona Harishka bezzwłocznie przesłała wiadomość na Krzyżownik, musiała jednak czekać aż do przybycia regularnego liniowca, a do tego czasu Gildia mogła własnymi kanałami dowiedzieć się o katastrofie.

Tymczasem, kilka godzin po katastrofie, która wydarzyła się z samego rana, zespół akolitek dowodzony przez siostrę Cristane udał się w dzikie, kiepsko oznakowane regiony górskie, gdzie spadł największy fragment liniowca.

Mrużąc oczy od skrzącego się śniegu, Cristane dokładnie rozglądała się po pełnym wyrw i śladów uderzeń zboczu. Wokół wraku widniały czarne plamy stopionego lodu i śniegu. Największe części kadłuba ciągle jeszcze parowały. Przy użyciu przetnic mogły dotrzeć do skrawków ciał, ale Cristane nie była pewna, czy w ogóle warto próbować.

Nikt nie mógł przeżyć.

Przez całe życie trenowała udzielanie pierwszej pomocy, ale teraz mogła tylko obserwować. Dla statku nie było ratunku już w momencie, gdy wyskoczył z zakrzywionej przestrzeni.

Cristane nie była jeszcze Wielebną Matką nie miała więc wielopokoleniowego doświadczenia, które posiadały jej starsze siostry, ale podczas krótkiej odprawy Matka Przełożona kilkakrotnie powtórzyła, że zakon nigdy jeszcze nie był świadkiem tak wielkiej katastrofy.

Nawigatorzy popełniali od czasu do czasu małe błędy, ale duże bardzo rzadko i od czasu powstania zakonu – co nastąpiło z górą dziesięć tysięcy lat temu – odnotowano ich raptem kilkanaście. Podczas końcowych starć Butleryjskiego Dżihadu wykorzystywanie pierwszych statków stosujących zakrzywienia przestrzeni wiązało się ze znacznym ryzykiem, gdyż nie odkryto jeszcze tych aspektów melanzu, które pozwalały zgłębiać przyszłość. Potem jednak organizowane przez Gildię przeloty cechowały się niezwykle wysokim współczynnikiem bezpieczeństwa.

Dzisiejsza katastrofa na całe wieki zaciąży na życiu Cesarstwa.

Kiedy dwa dni później przybyła inspekcyjna i ratunkowa ekipa Gildii, na Wallach IX zaroilo się od mężczyzn. Przybyli tysiącami, wioząc ze sobą ciężki sprzęt, i zabrali się do przeszukiwania miejsc, gdzie spadły resztki statku. Siostry miały swoje sekrety, miała je także Gildia, która wołała nie zostawiać na Wallach żadnych szczątków swego pojazdu.

Cristane odszukała mężczyznę kierującego całą operacją. Barczysty, odziany w jasnozielony kombinezon, miał wąsko osadzone oczy i szerokie usta. Widać było, jak wstrząsnęła nim tragedia.

– Czy ma pan podejrzenia, jak mogło do tego dojść?

Potrząsnął głową.

– W tej chwili nie. Dużo czasu upłynie, zanim przeprowadzimy wszystkie analizy.

– Co już wiecie? – Pomimo młodego wieku siostra potrafiła zachować się należycie. Wystarczyła odrobina Głosu, aby Gildianin poderwał się jak do raportu.

– To jedna z dwóch ostatnich jednostek klasy Dominik, zbudowana jako ostatnia za rządów Verniusów. Miała najlepsze ze wszystkich parametry bezpieczeństwa.

Cristane nie spuszczała z niego wzroku.

– Jak mogło dojść do tego, że liniowiec zawiódł? Mężczyzna znów potrząsnął głową, na próżno starając się wykręcić od odpowiedzi.

– Na razie nie wiemy. Należy poczekać, a wtedy udzielimy wszelkich odpowiedzi.

Po chwili, gdy Głos przestał działać, funkcjonariusz Gildii był najwyraźniej stropiony tym, że cokolwiek jej powiedział. Czym prędzej uciekł jak najdalej od Cristane, ta zaś zastanawiała się nad różnymi możliwościami, patrząc, jak ekipy starannie oczyszczają teren. Niedługo już tylko skała zachowa w sobie ślady tego, co się wydarzyło.

Los i nadzieje rzadko mówią jednym językiem.

Biblia Protestancko-Katolicka

Hidar Fen Ajidica stał pośrodku pawilonu demonstracyjnego. Umysł miał pełen energii, a możliwości skrzyły się wokół niego niczym tęcze.

Codziennie odwiedzał pomieszczenie, starannie pieczętowane po jego wyjściu, aby ocenić rozwój kolejnego piaskala, któremu udało się przetrwać już kilka miesięcy. Lubił dawać im do jedzenia ajidamal, na który rzucały się łapczywie. Przez lata eksperymentów małe piaskale ginęły niemal natychmiast po przewiezieniu z Arrakis. Jeśli jeden przetrwał trochę dłużej, inny natychmiast zdychał. Ajidica nie miał najmniejszej wątpliwości, że ten przetrwał dzięki sztucznej przyprawie.

Z przewrotną złośliwością temu piaskalowi nadał imię otrutego przywódcy Tleilaxan. „Obejrzyjmy sobie Mistrza Zaafa” – mrucał w drodze do laboratorium, wcześniej wchłonawszy znaczną dawkę ajidamalu, utoczoną wprost z przetwórnicy, którą stało się ciało Miral Alechem. Czuł, jak za sprawą narkotyku rozszerza się jego świadomość i dynamizują funkcje myślowe.

„Wspaniale!”

Nacisnął guzik u podstawy kopuły, pod którą skrywał się piaskal. W niemal euforycznym nastroju patrzył, jak rozjaśnia się matowa pokrywa, a za nią ukazuje piasek, skotłowany, jakby gwałtownie coś się po nim rzucało. Piaskal leżał nieruchomo z rozwartą paszczką, a pomiędzy pierścieni pancerza wyciekała jakaś wydzielina.

Ajidica rzucił się do odczytywania zapisów, a oczy wyszły mu na wierzch. Pomimo regularnych

porcji ajidamalu zwierzę zdechło w straszliwych męczarniach.

Nieświadom ryzyka, uniósł kopułę i sięgnął po zwiotczone ciało. Łuski pancerza odpadały pod dotykiem, jak zeschnięte czy podgniłe.

Ale przecież Ajidica wchłaniał tę samą substancję pod różnymi postaciami. Nagle euforia znikła gdzieś bez śladu, a on sam miał wrażenie, że runął w bezdenną otchłań.

Każdy człowiek to mała wojna.

**Karrben Fethr,
Szaleństwo polityki cesarskiej**

Przyprawa. Jaki Wolanin nie potrafiłby jej znaleźć w razie potrzeby? Gildia zażądała większych dostaw, a ludzie pustyni musieli zaspokoić jej żądanie albo pożegnać się ze swymi marzeniami.

Leżąc na szczycie wydmy, Stilgar przyglądał się przez lornetkę porzuconej osadzie Obóz Bilarny. U dołu piaszczystego wzniesienia znajdowały się zrujnowane chatki, a na ich skraju – małe wzniesienie z ukrytą cysterną zawierającą teraz pojemniki z nielegalnie gromadzoną przyprawą. Gromadzoną dla barona.

Stilgar wyregulował soczewki olejowe. Oddział żołnierzy Harkonnenów, ubranych w niebieskie mundury, wykonywał swoje zadania tak beztrąsko, jakby nie przyszło im nawet do głowy, że ktokolwiek może ich szpiegować.

Wszyscy Wolanie uważali to miejsce za przeklęte.

Kiedy Stilgar przyglądał się nieprzyjaciołom, na drugim skraju wioski wylądowała wielka zgarniarka, ogromna maszyna służąca do przenoszenia kombajnów przyprawowych. Dostarczała je na pustynię, tam gdzie była żyła melanzu, i unosiła się w powietrze, gdy pojawiał się atakujący piasek.

Harkonnenów było trzydziestu, dwa razy więcej niż ludzi Stilgara, ale był to układ sił możliwy do zaaprobowania, szczególnie że Wolanie mieli atut – zaskoczenie. Jak zwykle.

Dwóch żołnierzy reperowało kadłub zgarniarki. W nieruchomym powietrzu odgłosy dochodziły na szczyt wydmy tak wyraźne, jak gdyby cała ta krzątanina toczyła się tuż obok Wolan. Ruiny lepianek miały obłe krawędzie, zaokrąglone przez działanie wiatru i piasku.

Przed dziewięciu laty mieszkańcy Obozu Bilarnego zostali z nudów otruci przez żołnierzy Harkonnenów. Dzisiaj już tylko bystre oko mogło dostrzec ślady dawnej tragedii. Nieszczęśnicy rozdierali swoje ciała w udręce spowodowanej przez dodaną do wody truciznę. Z bliska można było jeszcze rozpoznać ślady paznokci na ścianach i wyblakłe ślady krwi.

Opuchnięci wodą Harkonnenowie byli przekonani, że zabobonni ludzie pustyni nie ośmielą się powrócić w tak straszliwe dla nich miejsce. Wolanie wiedzieli jednak, że zło spowodowali ludzie, a nie pustynne demony. Sam Liet-Kynes był wraz ze swym ojcem świadkiem tego pogromu. Teraz, jako Abu Naib, przywódca wszystkich wolańskich plemion, Liet wysłał Stilgara z tą misją.

Wojownicy Stilgara, każdy z gotową do użycia deską ślizgową przykucnęli wzdłuż całego grzbietu wydmy. Odziani w przybrudzone dżubby, które chroniły przed słońcem powierzchnię destylozonów, mieli maski na twarzach. Z chwytwodów pociągnęli dla odświeżenia łyk wody i zastygli w oczekiwaniu na rozkaz. Do pasów mieli przymocowane pistolety maula i krysnoże, a do krawędzi desek skradzione laserobiny.

Już zaraz.

Stilgar nie mógł się nadziwić beztrójce Harkonnenów. Obserwował ich od kilku tygodni i dokładnie wiedział, co będą robić i w jakiej kolejności. „Przewidywalność to śmierć” – mówiła dawna wolańska maksyma. Podwyższoną opłatę dla Gildii Wolanie uiszczą z zapasów barona, na których utratę nie będzie mógł się nikomu poskarżyć.

Na dole skończono reperować zgarniarkę. Żołnierze zaczęli teraz zdejmować kamienie zakrywające dojście do cysterny. Gawędzili przy tym, odwróceniem plecami do wydmy. W swojej arogancji nie wystawili nawet straży.

Kiedy ukazał się już otwór, w którym miały zniknąć pojemniki ze skradzioną przyprawą Stilgar machnął dłonią Wolanie chwycili deski, przeskoczyli na drugą stronę grani i pomknęli po stoku niczym wygłodniałe stado wilków. Na przedzie, z gotowym już do strzału laserobinem w dłoniach, na ugiętych kolanach gnał Stilgar. Podobnie wyglądali pozostali.

Na odgłos ataku wszyscy Harkonnenowie odwrócili się, ale było już za późno. Purpurowe klingi świetlne odcinały im nogi i z wrzaskiem padali na piasek. Część jeźdźców Stilgara rzuciła się do zgarniarki, przeskakując wijących się na ziemi Harkonnenów, którzy, z powodu celności Wolan, żyli jeszcze, a wszystkie vitalne organy mieli nie naruszone.

Młodziutki żołnierz z rzadkim jeszcze zarostem rozpaczliwie usiłował się odczołgać, jakby większe przerażenie budzili w nim ci zamaskowani mężczyźni niż własne nogi leżące obok niego w kałuży krwi.

Stilgar skinął na kilku podwładnych, aby opatrzyli rany przeciwnikom, nie dopuszczając do utraty cennej wody, która w sicy zostanie odzyskana w zgonsusznjach.

– Zakneblujcie ich też, żeby nie darli się jak dzieci.

Po chwili jęki umilkły i słychać już było tylko głuche postękiwanie.

Dwóch Wolan dawało znaki od zgarniarki. Stilgar szybko wspiał się do wnętrza i rozejrzał. Maszyna pozbawiona została części wyposażenia, które zastąpiła broń. Wszędzie unosił się intensywny zapach cynamonu. Z sufitu nad lukiem ładunkowym zwisały na łańcuchach cztery haki. Górna ładownia była już wypełniona melanzem, jaki miał zostać przeładowany do cysterny, dolna była pusta.

– Spójrz tylko, Stil – powiedział Turok i wskazał na ścianę maszyny. Kiedy dotknął dźwigni za sobą rozsunęła się i ukazała kabinę pilotów. Stilgar natychmiast wszedł do niej, szybko rozejrzał po tablicy i uruchomił silniki, które ruszyły z basowym pomrukiem. Trzymając drążek sterowniczy, czuł ich miarową wibrację, świadczącą o dobrym stanie. Bardzo dobre uzupełnienie floty powietrznej Wolan.

Skinął na Turoka, każąc mu zająć miejsce pilota, i zakomenderował:

– Start!

Dobrze obeznany ze zgarniarkami, wystukał sekwencję startową a gdy maszyna oderwała się od ziemi, wypuścił przez luk ładowniczy łańcuchy z hakami. Pod nimi ukazała się cysterna. Wolanie zaczęli mocować haki do uchwytów w rogach cysterny, a ta po chwili, do wtóru ryczącym silnikiem, oderwała się od skalnej platformy i wolno wjechała do wnętrza zgarniarki, której kadłub natychmiast się za nią zamknął.

– Zdaje się, że Cesarz zakazał gromadzenia tak wielkich ilości przyprawy – zauważył z uśmiechem Stilgar. – Być może Liet powinien wystąpić o jakąś nagrodę dla nas za to, że tak bardzo zabiegamy o przestrzeganie prawa Korrinów.

Turok, chichocząc, zawiesił wielką maszynę tuż nad ziemią a Wolanie, umieściwszy w niej jeńców, też do niej powskakiwali.

Obciążona zgarniarka poleciała nisko ku najbliższej sicy. Stilgar, oparty o wibrującą burzę,

wpatrywał się w swych ludzi i pojmanyh żołnierzy, których ciała znajdują się niebawem w zgonsuszniach. Wołanie ściągnęli z twarzy maski i w półmroku załśniły ich na wskroś niebieskie oczy.

– Przyprawa i woda dla plemienia. – Stilgar pokiwał głową. – Nieźle, jak na jeden dzień.

Jeden z więźniów jęknął i otworzył oczy. To ten chłopak, którego wzrok przedtem na chwilę przykuł uwagę Stilgara. W odruchu litości Stilgar jednym płynnym ruchem wydobył krysnoź i podciął żołnierzowi gardło, a potem okrył ranę, aby nie stracić krwi. Reszta nie zaznała takiej wspaniałomyślności.

To zdumiewające, jak głupio ludzie potrafią się zachowywać w grupie, szczególnie gdy bezmyślnie kroczą za swym przywódcą.

stanowisko Bene Gesserit w sprawach państwa

Cesarska flotylla, która miała zadać następny cios w Wielkiej Wojnie Przyprawowej, pojawiła się na Koronie bez uprzedzenia. Osiem krążowników i ciężkozbrojnych fregat stanowiło siłę nawet bardziej przerażającą od tej, która unicestwiła miasta Zanovaru. Statki zajęły pozycje wokół sztucznego satelity, a Najwyższy Basza Zum Garon przez wielki transmiter oznajmił:

– Jesteśmy tutaj z rozkazu Cesarza Padyszacha. Ród Richesów został oskarżony o nielegalne gromadzenie przyprawy, co stanowi pogwałcenie praw ustanowionych przez Cesarza i Landsraad. – Na chwilę zamilkł, ciekaw reakcji. W eterze rozbrzmiały przerażone protesty z Korony i samego Richese. Nie zważając na nie, Najwyższy Basza mówił dalej: – W imieniu Jego Wysokości Szaddama IV dokonamy inspekcji satelity. Jeśli znajdziemy zapasy melanzu, skonfiskujemy je, a Korona zostanie doszczętnie zniszczona. Tak rozkazał Cesarz.

Dwie bojowe fregaty popłynęły w kierunku doków ładunkowych satelity, ale jego załoga w swojej głupocie usiłowała zamknąć grodzie. Dwa krążowniki ostrzelały oba doki: w przestrzeń poleciały ciała, towary i fragmenty instalacji.

Kiedy siłą wdarli się do wnętrza stacji, Garon wygłosił kolejne ostrzeżenie:

– Każda próba oporu zostanie bezwzględnie zdławiona. Macie dwie godziny na ewakuację. Jeśli znajdziemy jakąkolwiek zabronioną substancję, satelita zostanie zniszczony niezależnie od tego, czy będzie na nim ktoś, czy też nie.

Garon przeszedł z mostka do windy, która miała go zwieźć na platformę wyjściową. Korona nie dysponowała siłami, które mogłaby przeciwstawić sardaukarom. Nikt takimi nie dysponował.

Do orbitującego laboratorium wprowadził pełny regiment. W metalowych korytarzach wszędzie zawodziły syreny i brzęczyki. W głównym holu basza ruchem ręki kazał swoim ludziom rozdzielić się i zacząć inspekcję. Było oczywiste, że w razie potrzeby, aby przyspieszyć poszukiwania, kilku pracowników podda się torturom.

Na spotkanie sardaukarom wypadł z windy niczym pocisk artyleryjski mężczyzna o rumianej twarzy.

Zamachał rozpaczliwie rękami.

– Nie możecie! Jestem dyrektorem laboratorium, nazywam się Flinto Kinnis, a dwie godziny to zdecydowanie za mało na ewakuację. Musimy wezwać statki z Richese na przewiezienie samych osób, a co dopiero mówić o sprzęcie i materiałach! Potrzebny nam jest co najmniej cały dzień.

Garon popatrzył na niego surowo.

– Nikomu nie wolno kwestionować rozkazów Cesarza! Zrobił lekki ruch palcem i Kinnis został ścięty laserobinem, zanim zdążył wykrztusić z siebie kolejne słówko.

Żołnierze przystąpili do metodycznego przeszukiwania.

Kilka dni przed akcją Szaddam zaprosił Garona na obiad i konfidencjonalnie przedstawił mu swe zamiary. Jest prawdopodobne, czy nawet konieczne, że w trakcie operacji polegną cywile, może nawet niewinni, ale tym nie należy się przejmować, a Szaddam zamierza udzielać swoim podwładnym surowych lekcji poglądowych tak długo, aż nareszcie je sobie przyswoją.

– Chodzi mi tylko o jedno – powiedział z naciskiem. – Chcę dostać całą przyprawę, jaką tam znajdziecie. Potem z tego damy coś w łapę ZNAH-owi i Gildii, bo wtedy chętniej będą nas wspomagały także w przyszłości. A na koniec do zniszczenia tego pudła użyjesz broni atomowej.

– Najjaśniejszy Panie, atom jest zakazany przeciwko...

– Dość! Najpierw nakażesz ewakuację, więc atom zostanie użyty do zniszczenia metalowego wrzodu orbitalnego. – Z niejakim rozczarowaniem Szaddam zauważył, że basza nie jest do końca przekonany. – Daj sobie spokój z prawnymi niuansami, Garonie. Moje przesłanie zostanie zrozumiane najlepiej, gdy zaakcentują je atomowe eksplozje. To bardziej wystraszy Landsraad niż tysiąc małych ostrzeżeń.

Zum Garon odsłużył twarde lata na Salusa Secundzie i brał udział w rewolcie na Ekazie. Nauczył się, że rozkazy cesarskie należy wykonywać bez szemrania i bez pytań, co wpoił też swemu synowi Cando.

Nie minęła godzina i pierwsza grupa statków ewakuacyjnych wyruszyła na Richese. Naukowcy gorączkowo pakowali próbki eksperymentalne i wyniki ważnych badań, kiedy jednak wielu z nich pojawiło się na rampie, nie było już do czego wsiadać.

Na dole, na powierzchni Richese premier Calimar wrzeszczał do mikrofonu, domagając się zwłoki, aby mieć czas skontaktować się z Landsraadem. Obok niego zażarcie przekonywał, prosił i groził hrabia Richese – ale bez najmniejszego skutku. Jednocześnie wysyłano na orbitę wszystkie dostępne promy i barki, ale przywódca sardaukarów wątpił, aby zdołały one przybyć na czas.

W opancerzonym centrum Korony żołnierze znaleźli dwóch naukowców, zgarbionych, roztrzęsionych, z rozbieganymi oczami. Jeden z nich postąpił o krok i starając się zachować godność, przemówił:

– Pracuję nad bardzo ważnym zagadnieniem i jest nieodzowne, abym mógł zabrać wszystkie swoje materiały i modele. Pracy tej nie można przeprowadzić nigdzie indziej, a jej efekty będą miały wielkie znaczenie dla całego Cesarstwa.

– Nie ma zgody.

Badacz spoglądał na Garona tak, jakby nic nie zrozumiał.

Stojący obok niego mężczyzna odezwał się.

– Może ja to wytłumaczę. – Zrobił gest w kierunku opieczętowanych palet. – Najwyższy Baszo, nazywam się Talis Balt. Mój kolega, Haloa Rund, ani odrobinę nie przesadził, mówiąc o znaczeniu tej pracy dla całego Cesarstwa. To są rzeczy bezcenne i za nic nie można dopuścić do ich zniszczenia.

– Czy to melanz? – spytał Garon. – Mam rozkaz skonfiskować całą przyprawę, jaką tu znajduję.

– Nie, baszo. To zwierciadła z Richese, niemal równie cenne jak przyprawa.

Oficer przygryzł wargi. Niewielki tafelek takiego zwierciadła mógł zasilać wielki skaner. Nawet biorąc na oko, te, które znajdowały się w pojemnikach, miały w sumie moc niewielkiego słońca.

– Panie Balt, ze smutkiem muszę pana poinformować, że dyrektor stacji znalazł się pośród ofiar

akcji. Niniejszym pana czynię odpowiedzialnym za wszystko, co dzieje się na Koronie.

Twarz Balta jakby się zapadła.

– Dyrektor Kinnis nie żyje? – zapytał drżącym głosem.

Garon przytaknął.

– Pozwalam panu zabrać wszystkie lustra, jakie zmieszczą się na naszych statkach, ale pod jednym warunkiem: wskaże mi pan miejsce, gdzie składowany jest melanz.

– A co z moimi badaniami? – spytał Rund.

– Równań nikomu nie sprzedam.

Balt przez chwilę się wahał, ale potem rzekł:

– Przypuszczam, że nie spoczniecie, aż go nie znajdziecie, więc żeby oszczędzić czasu i zniszczeń, powiem wam, gdzie szukać.

Basza wysłuchał go, a potem kiwnął głową.

– Cieszę się, że podjął pan rozsądną decyzję.

Garon przydusił mały przycisk przy pasku i chwilę później na kontenerach odciążaczowych pojawili się żołnierze wiozący ładunki atomowe. Basza spojrział na Balta.

– Może pan przenieść wszystko, co zmieści się na pokładzie krążownika. Połowa należy do pana.

Zaskoczony sytuacją ale ani myślący oponować, Balt zabrał się do pracy. Garon przypatrywał się jego poczynaniom. Widać było od razu, że uratować uda się najwyżej jedną dziesiątą skarbu. Haloa Rund pognął do swego gabinetu, ale basza wydał sardaukarom polecenie, aby nie pozwolili „zaśmiecać” pokładu krążownika żadnymi papierzyskami.

Sam poprowadził ludzi tam, gdzie składowano przyprawę, której zapasy najpierw utrwalono na hologramach, aby Cesarz miał namacalny dowód przestępstwa. Sam Szaddam wprawdzie o tym nie wspomniał, ale Garon wiedział, że co dowód, to dowód.

Podczas gdy Zum Garon nadzorował konfiskatę, jeden z jego podkomendnych doglądał rozmieszczania ładunków atomowych. Zerknął na zegarek. Została niecała godzina.

Talis Balt niemal padał już z wyczerpania, niemniej jednak bez ustanku krążył między pokładem Korony a krążownikiem. Pot spływał mu z czoła, dostawał kurczów mięśni, ale dzięki wysiłkowi udało im się przeładować zaskakująco dużą liczbę zwierciadeł.

Haloa Rund, zgarbiony i wstrząsany bezgłośnym łkaniem, siedział obok pospiesznie spakowanych pojemników, które teraz leżały jednak potrzaskane, kiedy bowiem zjawił się z nimi, żądając, aby załadować je na statek sardaukarów, dwóch z nich bez ostrzeżenia otworzyło ogień i zniszczyło model generatora niewidzialności.

Gdy nadszedł czas ewakuacji, Talis Balt pobiegł ku trapowi prowadzącemu na pokład krążownika, tu jednak zatrzymał go Garon.

– Będzie pan musiał zostać, gdyż cywilom nie wolno przebywać na bojowych statkach Jego Cesarskiej Wysokości. Niech pan inaczej się stąd wydostanie.

Nawet najznakomitsze koneksje rodzinne nie mogły zaradzić temu, że czasu było już bardzo niewiele, a mechanizmy detonacyjne zostały uruchomione.

Na dziesięć minut przed eksplozją wszystkie jednostki sardaukarów opuściły Koronę, ziejącą teraz dziurami po dwóch dokach ładunkowych. Najwyższy Basza Zum Garon patrzył z mostka, jak jego ludzie bezbłędnie realizują zaplanowane działania.

Przyprawy było mniej, niż oczekiwał Cesarz, niemniej jednak w ładowniach obok melanzu znalazły się także drogocenne zwierciadła Richese. Na pokładzie liniowca skonfiskowana przyprawa

zostanie zaprezentowana przedstawicielom Gildii, którzy część z niej zabiorą dla siebie. Przekupstwo jawne, ale bardzo skuteczne.

Na powierzchni Richese premier Calimar spoglądał na satelitę dostatecznie wielkiego, aby flotylla wojenna sardaukarów wydawała się przy nim dziecięcymi stateczkami. Czuł straszliwy ucisk w żołądku, myśląc o bezwzględnej akcji Cesarza.

Skąd się dowiedział o melanzu ukrytym na Koronie? Fakt otrzymania od barona zapłaty w naturze premier zachował w tajemnicy. Nie mogli donosu złożyć Harkonnenowie, w ten sposób bowiem oskarżyliby samych siebie...

Gdy wybuchły ładunki atomowe, niebo nad Richese straszliwie pojaśniało, a kula ognista, zamiast przygasać, jeszcze bardziej nabierała intensywności, gdyż reakcja łańcuchowa objęła także zwierciadła, które w następnym wybuchu rozprysnęły się niczym supernowa na niezliczoną mnogość krystalicznych odłamków.

Całą planetę ogarnęła burza ogniowa. Bezczenne zwierciadła sypały się z nieba, rozniecając kolejne pożary. Bez tchu w piersiach, Calimar nie mógł jednak oderwać oczu od rozplamionego nieba. Podobnie było z wieloma innymi mieszkańcami, przejętymi zgrozą na widok tego, co działo się nad ich głowami i wokół nich.

W ciągu kilku następnych dni okazało się, że ponad jedna czwarta ludności oślepla.

Tam, skąd gwiazda przez znikomy dystans zwany parsekiem wysyła świetliste promienie, czują nieodparty napór przestrzeni.

**apokryf Muad’Diba,
Wszystko jest dozwolone, wszystko jest możliwe**

Zagubiony w pustce liniowiec wymknął się spod kontroli. Gurney Halleck wiedział, że coś jest nie w porządku w chwili, gdy wyszli z zakrzywionej przestrzeni. Statkiem targnęło tak, jakby wpadł w wielki wir powietrzny. Sięgnął po sztylet ukryty w zanadrzu i spojrzał, czy siedzący obok Rhombur jest bezpieczny. Książę przywarł do ściany, która teraz stała się podłogą. Miał na sobie opończę z kapturem, skutecznie zakrywającą protezy, tak że nie przyciągały niczyjej uwagi.

– Ktoś nas zaatakował? – spytał Rhombur.

Drzwi ich kabiny trochę się odsunęły, a potem zablokowały. Tablica rozdzielcza na głównym korytarzu migotała. Statek kolebał się chaotycznie na skutek awarii generatorów grawitacji, które to na przemian włączając się i gasnąc, usiłowały korygować tor lotu liniowca.

Gurneyowi i Rhomburowi udało się dobrać do drzwi i zaczęli się z nimi szarpać. Książę poradził sobie w końcu, sztuczną prawicą odrywając kawałki metalu. Wytoczyli się na korytarz, po którym miotali się spanikowani pasażerowie, niektórzy ranni i pokrwawieni. Poprzez iluminatory w wielkiej ładowni liniowca widać było statki przekrzywione na swych stanowiskach, kilka zmiażdżonych, a także takie, które zerwawszy się z obejm transportowych, szybowały bez celu i steru.

Panele informacyjne zablokowały się, gdy setki podróżujących z wszystkich pokładów naraz usiłowały uzyskać wiadomości. W gąszczu pasażerów przemykali ubrani na czarno stewardowie Wayku, na lewo i prawo rzucając prośby, aby wszyscy w spokoju czekali na dalsze instrukcje. Udawali spokojnych, ale widać było, że są skrajnie podenerwowani.

Gurney i Rhombur precyzyjnie się do głównego holu, w którym tłoczyli się wystraszeni pasażerowie. Z wyrazu twarzy księcia Gurney odgadł, że ten chciałby przemówić, spróbować narzucić wszystkim spokój, szybkim ruchem dłoni dał mu więc ostrzegawczy znak, że za nic nie wolno im ściągać na siebie uwagi. W żaden sposób nie można było ustalić, co się stało, gdyż informacyjne systemy statku udzielały bardzo ogólnikowych odpowiedzi.

Rhombur zmarszczył brwi w zamyśleniu.

– Nie możemy sobie pozwolić na żadną zwłokę, gdyż harmonogram jest bardzo napięty. Cała operacja może skończyć się klęską z naszego powodu.

Po godzinie oczekiwania i wzmagającej się paniki w holu pojawiła się holopostać przedstawiciela Gildii, podobnie zresztą jak w punktach zbiorczych wszystkich jednostek znajdujących się w ładowni liniowca.

Przedstawiciel Gildii ubrany był w mundur kontrolera lotu, piastował zatem dość ważną funkcję: zbierał i analizował manifesty przewozowe, śledził przebieg akcji rozładunkowej, przeładunkowej i samego lotu, a także odpowiadał za rozrachunki z Bankiem Gildii. Mężczyzna miał bardzo szeroko rozstawione oczy, wysokie czoło, gruby kark i ręce tak nieproporcjonalnie krótkie, jakby w jakiejś genetycznej loterii przypadły mu w udziale czyjeś kończyny.

Przemówił monotonnym głosem, co jakiś czas się zająkując, co sprawiało, że jego głos brzmiał jak brzęk owada.

– Mieliśmy, nnnn, pewne problemy z translokacją statku i teraz, nnnn, usiłujemy nawiązać kontakt z Nawigatorem. Gildia bada powstałą sytuację. Na razie, nnnn, nie mamy żadnych więcej informacji.

Pasażerowie zarzucili kontrolera pytaniami, ale holopostać albo nie słyszała, albo nie chciała odpowiedzieć, gdyż obojętnym tonem kontynuowała:

– Wszystkie generalne naprawy i konserwacje muszą zostać wykonane na, nnnn, Krzyżowniku. Tutaj nie mamy takich możliwości, szczególnie że nie potrafimy dokładnie ustalić naszej lokalizacji, nnnn, w każdym razie wstępne oceny sugerują, że znajdujemy się w przestrzeni nieobjętej mapami, poza granicami Cesarstwa.

Twarze pasażerów wyglądały tak, jak gdyby nagle zbrakło im powietrza.

– Może i są dobrzy w obliczeniach – mruknął Gurney do Rhombura – ale zupełnie nie wiedzą, jak postępować z podenerwowanym tłumem.

– Zagubiony liniowiec? – powiedział Rhombur i gwałtownie wzruszył ramionami. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Na szkarłatne piekła! To przecież jedno z najlepszych dzieł Ix!

Gurney uśmiechnął się krzywo, a bliźni jeszcze bardziej podkreśliły ten grymas.

– A jednak coś się nie powiodło. – I zacytował Biblię Protestancko-Katolicką: – „Człowiek bowiem idzie na zatrącenie nawet wtedy, gdy wskazać mu właściwą drogę”.

Rhombur zaskoczył go, odpowiadając drugą częścią wersu:

– „Gdziekolwiek jednak pobłądzimy, Bóg wszędzie nas znajdzie, on bowiem widzi cały wszechświat”.

Książę odciągnął Gurneya w kąt i rzekł ściszym głosem:

– Liniowiec został zbudowany pod kierunkiem mego ojca i wiem, jak działa. Jednym z moich obowiązków jako następcy tronu było dokładne zapoznanie się z budową statków. Zabezpieczenia i wielopoziomowa kontrola funkcjonowania nigdy nie były lepsze, a silniki Holtzmana – absolutnie niezawodne. Statek powinien działać bez zarzutu przez tysiące lat.

– Ale działał tylko do dzisiaj.

Rhombur pokręcił głową.

– Nie, to nie może być wina statku. Coś musiało stać się z Nawigatorem.

– Błąd pilotażu? – spytał szeptem Gurney i rozejrzał się niespokojnie, czy nikt ich nie słyszy. – Jeśli zawiódł Nawigator, to już nigdy nie znajdziemy drogi do domu.

Pamięć Innych to szeroki, głęboki ocean. Pomaga siostronom naszego zakonu, ale tylko na własnych prawach. Każda z nas naraża się na wielkie niebezpieczeństwo, gdy wewnętrzne głosy stara się wykorzystać dla własnych celów, co przypomina nieco czynienie z morza prywatnego basenu. Nie można tego uczynić nawet na chwilę.

Koda Bene Gesserit

Hrabia Hasimir Fenring znalazł się nareszcie w łóżku w swojej sypialni na Kaitain. Teraz nie pozostawało już nic innego, jak tylko czekać na efekty umieszczenia sztucznej przyprawy w dwóch liniowcach. Ciekawe, kiedy dotrą do niego jakieś wiadomości. Sam oczywiście nie mógł o nic wypytywać, aby nie wzbudzić podejrzeń Gildii.

Przez półprzymknięte powieki obserwował na ścianach i suficie złocenia, stanowiące znakomite kopie słynnych obrazów i wątków malarskich. To z pewnością miejsce bardziej inspirujące od wyschniętego Arrakis, brudnego Ix czy utylitarne Krzyżownika, ale jedynym pięknem, które chciał teraz oglądać, była twarz ukochanej Margot. Margot jednak już wstała i zostawiła go w łóżku samego.

Po męczącej akcji na Krzyżowniku dotarł na Kaitain po północy. Pomimo późnej godziny Margot nie ociągała się z wykorzystaniem swoich uwodzicielskich talentów, tyleż podniecających, co rozluźniających. Potem zasnął w jej ramionach.

Przez trzy tygodnie pozostawał poza stolicą i ciekaw był, ile głupstw udało się Szaddamowi popełnić. Będzie musiał z nim porozmawiać, chociaż na razie zachowa dla siebie informację o podstępym Tancerzu Oblicza. Chciał zemścić się na Ajidicy i już teraz cieszył się na tę myśl. A potem będzie mógł wszystko opowiedzieć Szaddamowi i będą zaśmiewać się z całego zdarzenia.

Najpierw jednak musiał się przekonać, jak funkcjonuje dzieło Mistrza Badań. Jeśli amal się nie sprawdzi, Fenring będzie bezlitosny, a jeśli okaże się tak znakomity, jak twierdził jego autor, najpierw będą musieli poznać najdrobniejsze szczegóły procesu produkcyjnego, a potem dopiero przyjdzie czas na zapłatę i okrucieństwo.

Spojrzał na dwie walizki odciążaczowe, które otwarte, ale nadal nierozpakowane, spoczywały na stole, wstał z łóżka, przeciągnął się i wszedł do łazienki. Służąca, Wolanka, ukloniła się wprawdzie, ale ledwie dostrzegalne. Spod białego fartucha wyglądały brązowe, ogorzałe ramiona. Jej osobowość kompletnie go nie interesowała, cenił jednak to, że wszystko robiła szybko i sprawnie, chociaż zawsze z ponurym wyrazem twarzy.

Zdjął slipy i cisnął je na podłogę. Mapes podniosła je naburmuszona i wrzuciła do brudów. Nałożył ochronne okulary i rzucił polecenie uruchamiające prysznic. Natychmiast otoczyły go i uniosły w powietrze strumienie ciepłej wody. Na Arrakis takie rozkosze były niedostępne nawet dla cesarskiego ministra. Przymknął oczy. Tak miło...

Nagle coś mu się przypomniało. Na stole zostały walizki, które zamierzał rano rozpakować, a w jednej znajdowała się próbka amalu.

Nagi, ociekający wodą wpadł do pokoju. Mapes właśnie rozpakowywała walizkę, ubrania i przybory toaletowe rozkładając na kupki, aby potem wszystko umieścić na miejscu.

– Proszę to zostawić. Wezwę cię, jak będziesz potrzebna.

– Jak pan rozkaże – powiedziała i niechętnie spojrzała na kałuże nonszalancko marnotrawionej wody. Kiedy wyszła, Fenring natychmiast zajrzał do skrytki, a kiedy ta okazała się pusta, z powrotem wezwał Wolankę.

– Tutaj była saszetka, gdzie jest teraz?

– Nie widziałam żadnej saszetki.

Hrabia zaczął przetrząsać wyłożone rzeczy, a tymczasem pojawiła się Margot ze śniadaniem na tacy.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała z uśmiechem. – Czy może raczej powinnam rzec: „Dobre południe”. – Zerknęła na chronometr. – Nie, do południa zostały jeszcze trzy minuty.

Miała na sobie gładką, błyszczącą suknię z parajedwabiu z wszytymi w nią różami, które nadal żyły i roztaczały wokół delikatny aromat.

– Czy wyjął z walizki zieloną saszetkę?

Dla żadnej Bene Gesserit tajna skrytka nie stanowiła tajemnicy.

– Sądziłam, że to prezent dla mnie, kochanie.

Postawiła tacę na stoliku.

– Wiesz, to była bardzo męcząca podróż i... – Margot zauważyła na saszetce symbol, w którym rozpoznała literę „A” z alfabetu Tleilaxan, i była ciekawa, co też Fenring powie. – Hmmm-mhmmm, a gdzie ją położyłaś?

Hrabia nie był do końca przekonany, czy sztuczna przyprawa nie zawiera jakichś szkodliwych, a być może nawet trujących substancji. Jako obiektu eksperymentalnego wolał użyć kogoś innego, nie zaś siebie czy swoją żonę.

– Nie przejmuj się teraz tym, kochanie – powiedziała Margot uwodzicielskim tonem i położywszy rękę na imbryczku, spytała: – Zjesz śniadanie teraz czy po zakończeniu zajęć, które tak owocnie rozpoczęliśmy w nocy?

Udając beztroskę, Fenring wyjął z szafy czarny szlafrok i rzekł:

– Powiedz tylko, gdzie jest, a sam sobie wezmę.

Kiedy odwracał się, zobaczył, że Margot podnosi do ust filiżankę z kawą.

„Przyprawowa kawa... saszetka... amal!”

– Nie pij! – Skoczył i wyrwał jej naczynie z ręki. Kawa chlapnęła na dywan i suknię. Delikatne róże zadygotały.

– No i sam zobacz, ile zmarnowałaś przyprawy! – powiedziała z wyrzutem i chusteczką wytarła suknię.

– Ale chyba nie zużyłaś całej? Gdzie jest reszta?

Wiedział, że pyta zbyt gorączkowo i że w ten sposób sam się zdradza.

– W kuchni. – Popatrzyła na niego badawczo. – Dlaczego zachowujesz się tak dziwnie, kochanie?

Bez zbędnych wyjaśnień przelał swoją kawę z powrotem do imbryka i pognął do kuchni.

Nachmurzony Szaddam stał z rękami zaplecionymi na piersi przed wejściem do pokoju Aniruli, mając u boku doktora Suk. Prawdomówczyni Mohiam nie pozwalała im przestąpić progu sypialni.

– Tylko lekarki Bene Gesserit mogą uleczyć pewne schorzenia, Najjaśniejszy Panie.

Lekarz skrzywił się i warknął:

– Nie przypuszczam, by zakonnice wiedziały na temat medycyny więcej od specjalisty akademii Suk. – Mężczyzna miał różową twarz i szeroki nos.

Zachnął się także Szaddam.

– To jakieś bzdury. Moją żonę, która w ogrodzie zoologicznym dostała ataku, musi obejrzeć wykwalifikowany lekarz.

Tak naprawdę to wcale się aż tak bardzo nie przejął tą sprawą. Bardziej ciekawiło go to, co opowie Najwyższy Basza, gdy wróci po wykonaniu swojej misji na Koronie. To dopiero będzie sprawozdanie!

Mohiam nie zamierzała jednak ustąpić.

– W tym przypadku pomoc może tylko siostra Bene Gesserit o wykształceniu medycznym, Najjaśniejszy Panie. A my pomoc lekarską świadczymy za darmo – dodała, spoglądając znacząco na lekarza.

Doktor chciał się dalej kłócić, ale Cesarz uciszył go ruchem ręki. W istocie, usługi Suk były bardzo kosztowne i Szaddam nie miał nic przeciw temu, aby mniejszym kosztem załatwić sprawę niedyspozycji Aniruli.

– Być może istotnie będzie lepiej, gdy moją małżonką zajmie się ktoś z jej zakonu.

Sama Anirula pogrążona była w niespokojnym śnie. Od czasu do czasu wyrzucała z siebie niezrozumiałe ciągi słów. Szaddam nie zdradził się wprawdzie przed nikim z tym uczuciem, ale nie miałby nic przeciwko temu, żeby zwariowała.

Siostra Yohsa, niska, energiczna kobieta, weszła do sypialni, nawet okiem nie rzuciwszy na stojących na straży sardaukarów.

Margot Fenring zamknęła za nią drzwi na klucz, a kiedy spojrzała na Mohiam, ta tylko kiwnęła głową z aprobatą. Yohsa przyjrzała się uważnie Kwisatz Matce, a następnie zrobiła jej zastrzyk w podstawę szyi.

– Dręczą ją wewnętrzne głosy. To przytłumi Pamięć Innych i pozwoli jej odpocząć. – Chwilę się zastanawiała, a potem powiedziała: – Wydaje mi się, że Anirula nazbyt pogrążyła się w Pamięci, nie mając żadnej siostry, która czuwałaby nad nią z boku. Widziałam już takie przypadki, ale ten jest chyba najpoważniejszy. To przypomina nieco opętanie.

– Czy wyzdrowieje? – spytała Mohiam. – Jest Bene Gesserit o Tajemnej Randze, a właśnie teraz nastał czas, kiedy jej pomoc jest najpotrzebniejsza.

Yohsa tylko lekko wzruszyła ramionami.

– Nic nie wiem o jej Tajemnej Randze. Tam gdzie w grę wchodzi zawile sprawy umysłu, nie ma prostych odpowiedzi. Jedno wydaje się pewne: że głosy narzucają się jej natrętnie, a ona nie może temu poddać.

– Ale teraz śpi spokojnie – zauważyła Mohiam. – Zostawmy ją. Niech zazna trochę spokoju.

Aniruli śniła się pustynia. Samotny piaskal uciekał poprzez wydmy przed zaciekłym prześladowcą, milczącym i nieubłaganym jak śmierć. Chociaż zwierzę było potężne, w piaskowym bezkresie wydało się małe, słabe w porównaniu z prześladowcą je mocą.

We śnie Anirula czuła gorący piasek pod nagimi stopami. Kopiąc, zrzuciła z siebie prześcieradła, tęskniła bowiem za chłodem oazy.

W nagłym rzucie znalazła się w głowie piaskala, a jej myśli nie popłynęły ludzkimi drogami neuronowymi i synapsami. Była piaskalem. Czuła, jak boleśnie uwierają ją ziarnka piasku, które dostały się między segmenty pancerza.

Prześladowca zbliżał się coraz bardziej. Anirula chciała schronić się w bezpiecznych głębinach piasku, ale nie mogła. Sen był zupełnie bezdźwięczny, także ona przemieszczała się bezgłośnie. Poprzez długą gardziel zakończoną barierą krystalicznych kłów wyrzuciła przeciągły krzyk.

„Dlaczego uciekam? Czego się boję?”

Znienacka zbudziła się z oczami pełnymi przerażenia. Spadła z łóżka. Siedziała na zimnej posadzce, cała obolała, posiniaczona, złana potem. Tajemne zagrożenie nadal się zbliżało, ona zaś zupełnie nie potrafiła go zidentyfikować.

Ludzie inni są na osobności, inni zaś w towarzystwie. Nawet gdy osoba prywatna utożsamia się ze swoją rolą społeczną, jedność nigdy nie jest całkowita, gdyż zawsze w ukryciu zachowuje coś osobistego.

z nauk Bene Gesserit

Mając za sobą zachodzące słońce, a po obu stronach Thufira Hawata i Duncana Idaho, księżę Leto Atryda patrzył na tłum, który w oczekiwaniu zgromadził się na skale biegnącej wzdłuż wybrzeża. Wielka uroczystość dla poddanych, zanim wojsko wyruszy na wojnę.

Po wyjeździe Rhombura i Gurneya najtrudniejsze okazało się czekanie.

Spojrzał przez ramię na ogromny posąg, który kazał zbudować, a który miał pełnić zarówno rolę latarni morskiej, jak i monumentu. Na cyplu głęboko wrzynającym się w morze stała ogromna rzeźba Paulusa Atrydy, dla nadpływających statków widoczna dużo wcześniej niż pierwsze zarysy portu. Jedna ręka granitowego Paulusa spoczywała na ramieniu Victora, który szeroko rozwartymi oczami wpatrywał się morze, a druga dzierżyła pochodnię, w której nieustannie miał płonąć ogromny ogień.

Stary Księżę zginął na arenie lata przed narodzinami Victora, zatem ci dwaj Atrydzi nigdy się nie spotkali, obaj jednak odegrali ogromną rolę w życiu Leta: rozumienia polityki nauczył go ojciec, bólu i wyrozumiałości – syn i jego dramatyczna strata.

Było mu teraz bardzo ciężko na sercu. Zajmując się najróżniejszymi sprawami związanymi z Kaladanem i Atrydami, nieustannie odczuwał brak Jessiki. Jakże chciałby, aby teraz była przy nim i mogła spoglądać na ten wielki pomnik, chociaż... Być może powiedziałyby, że nazbyt ostentacyjnie sławi swego ojca.

Nie miał żadnych informacji od Rhombura i Gurneya, pozostawało więc tylko żywić nadzieję, że bezpiecznie dotarli na Ix i zaczęli wykonywać swe niebezpieczne zadania. Już wkrótce ród Atrydów też będzie realizował poważniejsze wyzwania niż tylko stawianie i podziwianie posągów.

Na tymczasowym rusztowaniu czekało dwóch muskularnych młodzieńców z żagwiami w dłoniach. Wybrani zostali z klubu wspinaczkowego, którego członkowie całymi dniami niczym kraby drapali się po nadmorskich skałach. Ich dumni rodzice stali teraz wraz z gwardią honorową.

Leto odetchnął głęboko i przemówił:

– My, mieszkańcy Kaladanu, mamy wielki dług wdzięczności wobec osób upamiętnionych na tym pomniku: powszechnie kochanego księcia Paulusa, a także mego syna Victora, którego życie zostało dramatycznie przerwane. Kazałem wznieść tę statwę, aby każdy, kto znajdzie się w pobliżu portu, czy to od strony morza, czy lądu, choćby przez chwilę pomyślał o tych dwóch przedstawicielach mego rodu.

„Księżęce obowiązki...”

Leto uniósł dłoń i ostatnie promienie słońca zamigotały w oczku pierścienia na jego palcu. Młodzieńcy przytknęli żagwie do granitowej pochodni, a ta natychmiast buchnęła wielkim

plómieniem.

Duncan trzymał miecz Paulusa w wyciągniętych dłoniach, jakby wręczał go pierwotnemu właścicielowi. Z twarzy Thufira nie można było wyczytać żadnych uczuć.

– Niechaj ten płomień nigdy nie gaśnie, tak jak nasza pamięć! – zawołał Leto.

Thum zaczął wiwatować, ale Leto zmarszczył brwi, gdyż przypomniła mu się utarczka z Jessiką gdy wyjawiał życzenie, by ewentualny syn nosił imię po ojcu. Szkoda, że nigdy go nie poznała. Gdyby dłużej z nim porozmawiała, na pewno wyrobiłaby sobie inną znacznie lepszą opinię. Teraz oceniała go tylko na podstawie udzielonych synowi porad politycznych.

Spojrzał na wyostrzone przez blask płomienia rysy Paulusa, który stał za urzekająco pięknym Victorem. Jakżeż Leto tęsknił teraz za ojcem i synem, a nade wszystko – za Jessiką.

„Oby mój drugi syn wiódł długie, pełne treści życie” – pomyślał, nie bardzo wiedząc, do kogo kieruje tę modlitwę.

W innym miejscu Cesarstwa, z balkonu oglądając inny zachód innego słońca, Jessika myślała o swym księciu. Spoglądała na wymyślną architekturę cesarskiej stolicy, nad którą falowały łuny zorzy. Tęsknota za Letem napełniała ją wprost fizycznym bólem.

Wcześniej tego samego dnia Wielebna Matka Mohiam i przybyła z Wallach IX siostra medyczna Yohsa dokładnie ją obmacały i osłuchały, by na koniec oznajmić, że u progu ostatniego trymestru stan ciąży jest bardziej niż zadowalający. Yohsa zaproponowała, że przeprowadzi badania sonograficzne, chociaż jednak zasadniczo nie naruszało to surowej reguły Bene Gesserit, aby w żaden sposób nie ingerować w życie płodu, Jessika odmówiła, obawiała się bowiem, że badanie może ujawnić zbyt wiele.

Na widok zaskoczonej miny Yohsy, Mohiam nieoczekiwanie wzięła stronę Jessiki.

– Zrezygnujemy z tych testów. Jessika sama najlepiej potrafi ocenić, co jest w tej chwili najlepsze dla jej dziecka, i musimy jej zaufać.

Jessika spojrzała na swoją mentorkę i z najwyższym trudem ukryła zakłopotanie.

– Dziękuję, Wielebna Matko – powiedziała i uciekła spojrzeniem.

A teraz siedziała samotnie na balkonie w promieniach zachodzącego słońca i myślała o niebie nad Kaladanem, a także o burzach przewalających się nad morzem. Przez kilka ostatnich standardowych miesięcy wymienili z Letem wiele listów i prezentów, ale żadnemu z nich to nie wystarczało.

Kaitain miał wprawdzie mnóstwo atrakcji, ona jednak marzyła tylko o tym, aby wrócić do prostego świata Kaladanu i człowieka, którego kochała.

„A jeśli po rozwiązaniu siostry nie pozwolą mi wrócić? A jeśli zabiją dziecko?”

Każdego dnia w stworzonym przez siebie szyfrze zapisywała myśli i wątpliwości w dzienniku otrzymanym od lady Aniruli. Stronica za stronicą zapełniał się jej najbardziej intymnymi planami na życie syna i własne życie u boku Leta. Nawet jednak na papier nigdy nie przelała myśli, która ostatnimi czasy nękała ją coraz bardziej. A jeśli popełniła straszliwy błąd?

Jesteśmy całkowicie uzależnieni od nieświadomego umysłu, który w pewnym sensie konstytuuje dla nas każdą następną chwilę.

zasada Bene Gesserit

Obudziwszy się, Anirula zobaczyła nad sobą siostrę Yohsę, która sprawdzała zestaw leków, przepisanych jej, aby złagodzić natarczywość Pamięci Innych.

– Stan cery poprawił się, w oczach widzę skupienie, znakomicie, lady Anirulo – powiedziała łagodnym, pełnym aprobaty głosem.

Aniruli udało się usiąść. Była słaba, ale czuła się już zupełnie dobrze. Przynajmniej w tej chwili.

Pod ścianą Mohiam i Margot Fenring stały z tak strapionymi minami, że gdyby tylko Anirula była w odrobinę lepszym stanie, nie omieszkałyby z nich zadrwić. Margot zmieniła ustawienie pola filtrującego tak, aby przepuszczało więcej światła słonecznego. Anirula poprawiła się i teraz cała znalazła się w świetlistej strudze, po czym powiedziała:

– Lepiej tak niż w mroku. – Opowiedziała swym słuchaczkom treść snu, a zakończyła słowami: – Muszę odszyfrować znaczenie tego snu, dopóki strach jest jeszcze we mnie żywy.

Ciepło słońca na twarzy przypomniało jej skwar pustyni ze snu. Yohsa zaczęła mówić, że lepiej, by na razie niczym nie zaprzętała sobie myśli, ale Anirula przerwała jej niecierpliwym ruchem dłoni. Siostra medyczna wyszła zatem, odrobinę głośniejszym zamykając drzwi, niż trzeba było.

Anirula wyszła boso na taras. Z zamkniętymi oczami wystawiła się naga na słoneczne promienie i po chwili powiedziała na poły do nich, na poły do siebie:

– Znalazłam się na krawędzi szaleństwa... ale wróciłam.

Zupełnie nieoczekiwanie poczuła ochotę, aby wytarzać się w rozgrzanym piachu.

Trzy siostry stały obok różanego krzewu.

– Sny są zawsze odpowiedzią na wydarzenia zachodzące na jawie – powiedziała Mohiam, parafrazując jedną z maksym Bene Gesserit. Anirula w zamyśleniu zerwała jedną z róż, a kiedy ta skuliła się, podniosła ją do nosa i ostrożnie powąchała.

– Myślę – odezwała się po chwili – że ten sen wiąże się z Cesarzem, przyprawą i... Arrakis. Słyszałyście o Projekcie Amal? Usłyszałam kiedyś tę nazwę podczas rozmowy mego męża z Fenringiem, a jakoś wiązała się ona także z Tleilaxanami, ale niczego więcej nie dowiedziałam się, natychmiast bowiem zamilkli, jakbym ich przyłapała na jakimś występku. Kiedy spytałam o to później, Szaddam warknął, żebym nie mieszała się do nie swoich spraw.

– Wszyscy mężczyźni zachowują się dziwnie – zauważyła Mohiam. – To wiadomo nie od dziś.

– Hasimir stara się ukryć przede mną częste wyjazdy na Ix – wtrąciła Margot – a ja ciągle nie wiem, czemu one służą. Nie dalej jak godzinę temu zalał suknię, którą włożyłam specjalnie dla niego, gdyż wyrwał mi z ręki filiżankę z przyprawową kawą, jakby to była trucizna. Wsypałam do niej trochę melanzu, który znalazłam w jego saszetce umieszczonej w oddzielnym schowku. – Margot zmarszczyła czoło i dodała: – Ale zaraz, na saszetce była w alfabecie Tleilaxan litera A. A jak... amal?

– Cesarz w tajemnicy przed Landsraadem utrzymuje jakieś oddziały na Ix – poinformowała Anirula. – Fenring, Ix, Tleilaxanie, melanz. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

– A na dodatek Cesarz ogłosił Wielką Wojnę Przyprawową – przypomniała Mohiam, której twarz wydawała się z każdym dniem coraz bardziej posępna. – To wszystko ostatecznie prowadzi do przyprawy.

– Być może piaskal w moim śnie uciekał przed kataklizmem całego Cesarstwa – powiedziała Anirula, nadal nago stojąca na tarasie. – Musimy się bezzwłocznie skontaktować z Matką Przełożoną.

Prostota to najtrudniejsze ze wszystkich pojęć.

Cesarz postanowił samotnie spożyć obiad w jednej z licznych sal jadalnych: żadnych natrętów, a zwłaszcza żony. Z lubieżnym uśmiechem czekał na sześć smakołyków, którymi miał się kolejno raczyć. Chciał się skupić tylko na jedzeniu: żadnych problemów, interesów, żadnych opowieści, nawet wojskowych raportów Najwyższego Baszy. Informacja o przebiegu interwencji na Koronie bardzo pobudziła apetyt Cesarza.

Na początek przy dźwięku fanfar pojawiła się niesiona przez dwie nagie dziewczęta srebrna taca, na której leżały trzy szpikulce z perfekcyjnie upieczonymi kawałkami świmaka. Młódki jedna po drugiej zdejmowały ze szpikulców smakowite kęsy i umieszczały je na wysuniętym cesarskim języku. Mięso było mięciutkie niczym dojrzały ser, tak aromatyczne i smakowite, że do ust Szaddama napływała ślinka. Nieopodal stołu stali gotowi do natychmiastowej interwencji sardaukarowie, na wypadek gdyby zdarzyło się, że któraś z dziewczyn zechciałaby użyć szpikulca do morderczych celów.

Młodzieniec o złocistej skórze odziany w białą togę napełnił puchar klaretem. Szaddam popijał wino między kolejnymi kęsami i z satysfakcją wdychał spowijające go wonie. Tak, na tym i tylko na tym powinno polegać bycie Cesarzem. Zrobił gest, aby pospiesznie wniesiono następne danie.

Stanowiły je wielonożne, ślepe skorupiaki, które występowały tylko w podziemnych źródłach na Bela Tegeuse. Dusiło się je w maśle, soli i czosnku, chociaż jednak przyprawy nie były specjalnie wyszukane, smakowały znakomicie. I znowu Szaddam chciał się oddawać tylko smakowaniu, zatem dwie urodzive służące wydobywały widelcami mięso ze skorup i umieszczały je w otwartych ustach Cesarza.

Zanim Szaddam skonsumował drugie danie, do jadalni wpadł hrabia Hasimir Fenring. Uczynił to z takim impetem, że omal nie został profilaktycznie rozstrzelany przez gwardzistów.

Szaddam zerknął tylko kątem oka, potem otarł wargi serwetką skrzywił się i rzekł:

– Ach, Hasimir! Kiedy wróciłeś? Nie było cię całkiem długo.

Fenring niemal nie panował nad sobą.

– Kazałeś zniszczyć Koronę, hmmm? Bez żadnych konsultacji ze mną? Jak mogłeś!

– Niech sobie te gnojki z Landsraadu mówią co chcą, ale przyłapaliśmy Richese, jak to się mówi, ze spuszczonej portkami, ha! – Szaddam jednak natychmiast zorientował się, że nigdy jeszcze nie widział swego przyjaciela tak wzburzonego, aby więc służący nie mogli nic zrozumieć, przeszedł na tajny język, który wymyślili jeszcze w latach chłopięcych. – Uspokój się albo na dłużej wyślę cię gdzieś daleko od Kaitain. Przecież ustaliliśmy, że musimy ściśle regulować ilość przyprawy na rynku, aby pozycja amalu nie była zagrożona. No więc zlikwidowałem następny nielegalny skład, o co ci więc chodzi?

Fenring chwycił fotel i z impetem na nim usiadł.

– Ale użyłeś także broni atomowej, Szaddamie! Nie tylko atak na jeden z Wysokich Rodów, ale na dodatek wykorzystanie zakazanej broni.

Poirytowany hrabia z rozmachem uderzył dłonią w blat stołu.

Szaddam machnął ręką i służące pospiesznie zniknęły z tacą na której zostało jeszcze kilka niedojedzonych smakołyków. Chłopak spóźnił się z winem. Szaddam powstrzymał go niecierpliwym gestem i kazał podać trzecią potrawę. Starał się nie podnosić głosu.

– Chciałem ci zwrócić uwagę, Hasimirze, że Wielka Konwencja nie zezwala na użycie broni atomowej, ale tylko przeciw ludziom. Ja wykorzystałem ją do zniszczenia pustej czaszy sztucznego

satelity, który posłużył jako narzędzie przestępstwa. Miałem pełne prawo postąpić tak, jak postąpiłem.

– Wcale nie pustej. Zginęły setki ludzi, może nawet tysiące.

Szaddam wzruszył ramionami.

– Zostali uprzedzeni. Sami są winni swojemu guzdralstwu. Mnie się wydaje, Hasimirze, że ty po prostu nie lubisz, kiedy samodzielnie podejmuję jakieś decyzje.

Fenring z trudem powstrzymał się od odpowiedzi, a Szaddam roześmiał się, niemal wyprowadzając go z równowagi.

– No, proszę! Następny przysmak!

Dwóch roślących mężczyzn wniosło stolik, na którym spoczywał upieczony, jeszcze skwierczący paw.

Służący rzucili się, aby ustawić przed Fenringiem srebrny talerz i kryształowy puchar.

– A czy zasięgnąłeś wcześniej opinii prawnika, żeby mieć pewność, że Landsraad nie będzie mógł się do czegoś przyczepić, hmmm-mhm?

– Ale nad czym się tu zastanawiać? Garon zrobił holoujścia melanzu na Koronie. To niepodważalny dowód.

Fenring westchnął przeciągle, spojrzał w sufit i spytał:

– A czy pozwolisz, Najjaśniejszy Panie, żebym chociaż ja skonsultował się ze specjalistami?

– Oczywiście, jeśli masz taką ochotę. – Tym razem Szaddam sam odkroił kawał mięsa, zżuł z wyraźną rozkoszą i zrobił zapraszający gest. – Spróbuj i ty, Hasimirze. – Hrabia nałożył sobie porcję, ale nawet jej nie skosztował. – Za bardzo się tym wszystkim przejmujesz. A poza tym, do diaska, jestem przecież Cesarzem i robię to, na co mam ochotę!

Fenring popatrzył na niego przeciągle.

– Jesteś Cesarzem dzięki temu, że masz poparcie Landsraadu, Gildii, ZNAH-u, Bene Gesserit i innych liczących się sił, nieprawdaż, hmmm? Jeśli wszystkich do siebie zrazisz, możesz się pożegnać z tronem.

– Nie ośmielą się wystąpić przeciwko mnie – powiedział buńczucznie Szaddam, a odrobinę ciszej dodał: – Szczególnie że nie ma teraz innego męskiego potomka Korrinów.

– Bez liku jest natomiast przedstawicieli szlacheckich rodów, którzy aż trzęsą się do tego, aby poślubić którąś z twoich córek i w ten sposób zyskać prawa do tronu! – Fenring znowu uderzył w stół, ale tym razem z większym umiarem. – Muszę teraz pomyśleć, jak to wszystko naprawić. Sądzę, że za jakieś... dwa dni powinieneś stanąć przed Landsraadem. Będą niesłychanie wzburzeni, ale ty przedstawisz im swoje racje. Trzeba też będzie zadbać o to, aby były jak najlepiej udokumentowane. Inaczej, możesz mi wierzyć, będziesz musiał uporać się z rebelią.

– Dobrze, dobrze – powiedział lekceważąco Szaddam i znowu wrócił do jedzenia. Po dłuższej chwili rozparł się w fotelu i spytał: – Zjesz ze mną Hasimirze? Będą faszerowane steki z dzika z Kanidaru. Ubite dzisiaj, zaraz po dostawie liniowcem.

Fenring odepchnął nietknięty talerz i wstał.

– Zbyt wiele nastręczyłeś mi pracy, do której muszę się bezzwłocznie zabrać.

Prawo ma zawsze tendencje, by bronić silnych, a ciemiężyć słabych. Zależność od siły podgryza sprawiedliwość.

Baron gardził wprawdzie pyszałkowatym premierem Calimarem, ale nigdy nie przypuszczał, że Szaddam może użyć przeciw Richese broni atomowej. Broni atomowej! Kiedy ta wiadomość dotarła do niego na Arrakis, odebrał ją z mieszanymi uczuciami, nie na żarty lękając się też o własne bezpieczeństwo. Wobec zaciętości Cesarza nikt nie był bezpieczny, a co dopiero mówić o rodzie Harkonnenów, który miał tyle do ukrycia.

Baron, podtrzymywany odciążaczowym pasem, krążył po sali narad strategicznych w rezydencji w Kartadze. Wypukła ściana wyłożona była dwucentymetrowymi szybami ze zbrojonego plazu, a odpowiednio ustawione filtry powodowały, że do pomieszczenia wpływało mniej oślepiającego i skwarne powietrze.

Przytłumione przez szum aparatów klimatyzacyjnych i urządzeń zabezpieczających docierały do niego odgłosy przygotowań do parady, która miała się niebawem odbyć na głównym skwerze. Gromadzili się tam już żołnierze w pełnym umundurowaniu, a chociaż było popołudnie, upał utrzymywał się nadal.

Baron z wielką pompą powrócił na nieprzytulną planetę, a towarzyszył mu znany z brutalności bratanek, Rabban. To on w jednym z rzadkich u niego przeblysków inteligencji oznajmił, że chyba powinni trzymać się jak najbliżej operacji przyprawowych do czasu, gdy „w Cesarstwie trochę się uspokoi”.

Baron walnął w jedno z okien z takim rozmachem, że plaz wibrował jeszcze przez dłuższą chwilę. Jak daleko mógł jeszcze posunąć się Szaddam? Zaczęło się prawdziwe szaleństwo! Kilkanaście rodów z Landsraadu kornie wydało swoje zasoby przyprawy, aby tylko nie ściągnąć na siebie cesarskiego gniewu.

Teraz nikt nie był bezpieczny.

To tylko kwestia czasu, zanim kontrolerzy ZNAH-u pojawią się na Arrakis i złączą węszy wokół operacji Harkonnenów... a to może oznaczać klęskę barona i całego rodu. Chyba że wszystko udałoby mu się ukryć.

A na dodatek ci przekłeci Wolanie wykrywali jego tajne magazyny i grabili je! Pustynne pasożyty wykorzystywały sytuację, dobrze wiedząc, że baron nie będzie mógł nigdzie na nich donieść, w ten sposób bowiem sam by się zdemaskował.

Na zewnątrz na wszystkich budynkach powiewały wielkie flagi z niebieskim krzyżem Harkonnenów. Wokół rezydencji stały posągi gryfów, które wyglądały tak groźnie, jakby szykowały się do odparcia natarcia piaskali. Wszędzie tłoczyli się mieszkańcy wypędzeni z domów, aby na dany znak wiwatowali i sławili swego władcę.

Baron wolał zwykle wydawać pieniądze na własne uciechy, ale tym razem postanowił naśladować Cesarza. Wystawna i szumna uroczystość powinna zrobić wrażenie na tym gminie. Czuł potrzebę jakiejś rekompensaty po upokarzającym doświadczeniu z bankietem integracyjnym. W przeciwieństwie do Atrydów, nie zależało mu na miłości poddanych, jemu chodziło przede wszystkim o to, by się go bano.

W progu otwartych drzwi stanęła kurierka Gildii.

– Panie baronie! Mój liniowiec odchodzi za godzinę, chciałam się więc dowiedzieć, czy jest już gotowa przesyłka na dwór Jego Cesarskiej Mości.

Rozgniewany baron odwrócił się tak gwałtownie, że popłynął na ścianę i musiał stłumić impet ręką.

– Masz czekać i już! Ważną część przesyłki będą stanowiły hologramy z parady!

Kurierka miała krótko przystryżone rude włosy i brzydkie rysy twarzy.

– Muszę się trzymać mego harmonogramu.

Baron przesadnie wrzucił ramionami i przesunął się do biurka. Mruczał z niechęcią, gdyż nie mógł znaleźć odpowiedniego zakończenia, a Piter de Vries, który pomagał mu zwykle przy takich okazjach, był właśnie na Kaitain, szpiegując dla niego.

Może pospieszył się z uśmierceniem mistrza etykiety, ten bowiem zakończyłby list odpowiednio gładką frazą.

Baron przebierał grubymi palcami i zastanawiał się, jak wytłumaczyć nagły ciąg wypadków, jakim uległy maszyny ewakuujące kombajny. Szaddam bardzo stanowczo nastawał na wyjaśnienie tego „zbiegu okoliczności” i odpowiednią dokumentację. Przynajmniej teraz baron cieszył się, że Gildii nigdy nie udało się opleść Arrakis równie niezawodną siecią obserwacji meteorologicznych jak w przypadku innych planet. Dzięki temu mógł powoływać się na katastrofalne kurzawy koriolisa, chociaż żadna z nich nie pojawiła się ostatnimi czasy.

„Nastały niebezpieczne czasy”.

„Jak meldowałem już wcześniej, Najjaśniejszy Panie – pisał – wiele kłopotów nastęrczają buntowniczy Wolanie. Napadają zniemacka, niszczą sprzęt, rabują zebraną już przyprawę i znikają w pustyni, zanim ekspedycja karna zdąży dotrzeć na miejsce”. Baron wyduł wargi, zastanawiając się nad odpowiednim zwrotem. „Być może do tej pory byliśmy wobec nich nazbyt pobłażliwi, ponieważ teraz jednak będę wszystkich spraw doglądał bezpośrednio na Arrakis, zatroszczę się też o odpowiednią militarną odpowiedź na te bandyckie występki. Zmusimy ich do posłuszeństwa Harkonnenom, którzy występują tu jedynie jako namiestnicy Waszej Cesarskiej Mości”.

Słowa te wydały mu się zbyt wiernopoddańcze, ale w końcu zdecydował się je pozostawić. Szaddamowi z pewnością się spodobały.

Zresztą Wolanie faktycznie stanowili duży problem. Dwa dni temu przechwycili cały transport, a na dodatek zarekwirowali przyprawę zgromadzoną w starej, porzuconej wiosce. Jak przeprowadzili taką operację?

Kurierka niecierpliwie przestępowała w drzwiach, ale baron ani trochę się tym nie przejmował.

„Przyrzekam solennie, Najjaśniejszy Panie, że żadne buntownicze akty nie mogą odtąd liczyć na najmniejszą łaskę – pisał. – Szczegółowe informacje o rozprawie z rebeliantami będę składał na bieżąco”.

Podpisał się zamasyście, wsunął list do tulei, zapieczętował i wręczył ją kurierce, która bez słowa odwróciła się na pięcie i oddaliła korytarzem. Baron krzyknął za nią:

– Parada zaraz się zacznie. Przejmij na liniowcu nagranie i dołącz do przesyłki.

Teraz wezwał przed swe oblicze bratanek. Tego cechowały wprawdzie liczne wady, ale baron miał zadanie, do którego wykonania właśnie „Bestia” nadawał się najlepiej. Zwalisty Rabban zjawił się z często używanym pejczem z krwawinu. Miał na sobie niebieski mundur z tak błyszczącymi epoletami i tak licznymi medalami, jakby miał odbierać paradę, a nie przyglądać się jej z wysoko położonego balkonu.

– Rabbanie, należy pokazać Cesarzowi, jak bardzo jesteśmy rozgniewani ostatnimi poczynaniami Wolan.

Bratanek uśmiechnął się lubieżnie.

– Czy mam osobiście przeprowadzić śledztwo? Wydobędę zeznania, jakich sobie tylko zażyczysz.

Na zewnątrz rozległa się fanfara nakazująca oddziałom ustawienie się w paradnym szyku.

– Śledztwo nie wystarczy. Wybierz sobie trzy wioski, obojętnie jakie. Na przykład wskaż je na

ślepo na mapie. Potem wkroczysz tam z żołnierzami i zrównasz je z piachem, zabijając wszystkich mieszkańców. Napiszę może listę zarzucanych im przestępstw, a ty rozrzuć ulotki między zwłokami, tak żeby inni Wolanie mogli je przeczytać i dowiedzieć się, co ich czeka.

Znowu rozbrzmiały fanfary i baron wraz z bratankiem wyszedł na taras obserwacyjny. Plac wypełniał tłum niemytych ciał, których odór docierał aż tutaj, trzy piętra wyżej. Baron nawet nie chciał wyobrazić sobie, jak straszliwy musi być ten smród z bliska.

– Zabaw się trochę przy okazji – powiedział wielkodusznie baron. – Może już niedługo twój brat Feyd będzie ci towarzyszył w tych interesujących wyprawach.

Rabban pokiwał głową.

– Pokażemy im, kto tu naprawdę rządzi.

– Tak, tak. – Baron z roztargnieniem pokiwał głową gdyż teraz jego uwagę bez reszty pochłonęli sprzężyci młodzieńcy w uniformach. Ten widok nigdy go nie nudził. Rozpoczęła się parada.

Każdemu człowiekowi pisane jest to samo: u kresu drogi czeka go śmierć. O różnicy stanowi właśnie ta droga. Niektórzy idą z mapami i kompasami, inni są ich pozbawieni.

**książę Rhombur Vernius,
Rozważania na rozdrożu**

Gurney Halleck oglądał przez iluminator fregaty wnętrze ładowni liniowca. Setki statków uległy zniszczeniu na stanowiskach transportowych. Wielu ludzi musiało zginąć lub odnieść poważne rany. Obok niego siedział Rhombur, który nie zdejmował z głowy kaptura i usiłował z pamięci odtworzyć szczegóły schematu liniowca.

Przed dwoma godzinami znowu pojawiła się holopostać kontrolera lotu, ale tylko po to, aby oznajmić:

– Na razie, nnnn, nie mamy żadnych nowych informacji. Kiedy się pojawią, zaraz je przekazemy.

I obraz natychmiast się rozmył.

Liniowiec przewoził wiele jednostek transportowych, pełnych żywności, medykamentów i innych dóbr, pasażerowie mieli więc zapasy na całe miesiące. Gurney zastanawiał się, czy utkną tu na tak długo, że pojawi się widmo głodu i ludzie zaczną napadać nawzajem na siebie. Niektórzy już teraz zerkali na innych podejrzliwie.

Gurney nie przejmował się na razie powstałą sytuacją, gdyż w kazamatach Harkonnenów bywał w o wiele gorszych sytuacjach, zanim udało mu się uciec wraz z transportem niebieskiego obsydianu. Zagubiony statek kosmiczny to w porównaniu z tamtymi doświadczeniami niewiele.

Rhombur poderwał się nagle z balisetą zwieszoną przez ramię i popatrzył na swego towarzysza.

– Mam już tego dość! – Gurney widział, gdzie na szyi księcia ludzka tkanka łączy się z polimerem.

– Gildia to przede wszystkim administratorzy, biurokraci i bankierzy. Personel pomocniczy na liniowcu wykonuje tylko najprostsze czynności. Nikt z nich nie zna się na silnikach Holtzmana.

– Do czego zmierzasz? – spytał Gurney. – I jak mogę ci pomóc?

Na twarzy Rhombura pojawiła się stanowczość upodabniająca go teraz do ojca.

– Żyłem dotychczas niczym pasażer na tym liniowcu: czekałem aż inni podejmą za mnie decyzję albo sytuacja sama się wyklaruje. Mam już tego dość. Muszę spróbować czegoś innego.

– Ale musimy pozostać incognito, jeśli chcemy zrealizować zadanie.

– Zgoda, z drugiej jednak strony, jak długo tu jesteśmy, w niczym nie pomagamy Ix. – Rhombur nachylił się do iluminatora i spojrzął na inne uwięzione jednostki. – Ośmielam się sądzić, że wiem, o tym statku więcej od kogokolwiek znajdującego się na nim w tej chwili. Niezwykłe sytuacje wymagają zdecydowanego przywódcy, a Gildia nie zabiega o to, aby tacy znaleźli się pośród jej personelu na liniowcach.

Gurney odłożył balisetę na półkę bagażową.

– Na mnie możesz liczyć. Przysięgłem, że będę ci pomagał i cię chronił.

Rhombur badawczo powiódł wzrokiem po wewnętrznym szkielecie kadłuba.

– Chodź ze mną. Wiem, którędy dojść do pomieszczenia Nawigatora.

Po wstrząsie spowodowanym katastrofą Rhomburowi wróciło z czasem wiele dawnych wspomnień, między innymi tych, które teraz dostarczyły informacji o przejściach łączących różne partie kadłuba, a także o kodach dostępu. Istotne było to, że Dominik Vernius zawsze pamiętał o tym, aby stworzyć sieć tajnych połączeń, które znali tylko członkowie jego rodziny i najbliżsi współpracownicy.

Służba porządkowa starała się wprawdzie ograniczyć liczbę osób, które opuściły swe statki i krążyły po pomostach i galeriach liniowca, ale w zaistniałej sytuacji nie mogła być wszędzie i doglądać wszystkiego.

Zakapturzony książe dość pewnie znajdował drogę, a przecież, chociaż korzystali z wind i przenośników, dopiero po dwóch godzinach dotarli do wyższych, lepiej strzeżonych partii liniowca.

Odblokowawszy i otworzywszy gródź, Rhombur znalazł się w jasno oświetlonym pomieszczeniu, w którym siedmiu siedzących wokół stołu Gildian najwyraźniej konferowało. Spojrzeli na wchodzących z błyskiem w zazwyczaj obojętnych oczach. Część z nich jakby odrobinę odbiegała od normalnego dla ludzi wyglądu. Jeden miał krótką szyję i napuchnięte uszy, inny małe oczy i drobniutkie dłonie, jeszcze inny – kończyny tak sztywne, jakby nie było w nich stawów łokciowych i kolanowych. W jednym z obradujących Rhombur rozpoznał kontrolera lotu, który pojawiał się w holoprojeksi. Plakietki na piersiach zidentyfikowały resztę jako dwóch przedstawicieli Banku Gildii, dwóch przedstawicieli ZNAH-u, spedytora Gildii i jej oficjalnego mentata.

– Co pan tutaj robi? – spytał ostro jeden z bankierów. – Mamy nadzwyczajną sytuację i wszyscy pasażerowie muszą...

Drzwi po drugiej stronie pomieszczenia otworzyły się i stanęli w nich uzbrojeni strażnicy. Jeden z nich trzymał w rękach głuszak.

Rhombur postąpił krok do przodu, mając za plecami czujnego Gurneya.

– Mam coś ważnego do powiedzenia... i do zrobienia. – Podniósł rękę do kaptura i na chwilę zastygł w tej pozycji. – Jako człowiek szlachetnie urodzony powołuję się na obowiązującą Gildię zasadę tajemnicy.

Strażnicy zamarli, w każdej chwili gotowi do walki.

Rhombur powolnym gestem zrzucił kaptur, odsłaniając twarz na poły cielesną na poły syntetyczną a następnie odchylił szatę, ukazując protezy kończyn oraz mechanizmy podtrzymujące funkcje życiowe.

– Muszę zobaczyć Nawigatora. Być może będę potrafił wam pomóc.

Siedmiu Gildian wymieniło spojrzenia i jakieś uwagi w języku, który zbudowany był ze zbitek dźwięków generujących odpowiednie procesy myślowe. Książe stał wyprostowany, prawdziwe uosobienie zdecydowania i energii.

Mentat podniósł otwartą dłoń, co stanowiło sygnał dla strażników, że mają się oddalić.

– Chcemy pozostać sami. – Kiedy jego polecenie zostało wykonane, ciągnął: – Jest pan księciem Rhomburem Verniusem. Wiemy o pańskiej obecności na pokładzie... zapłacił pan bowiem za utrzymanie swej podróży w tajemnicy.

Przekrwione oczy lustrowały mechaniczne partie ciała Rhombura.

– Proszę się nie lękać, zachowamy tajemnicę – zapewnił kontroler lotu. – Dyskrecja jest naszym obowiązkiem i, nnnn, zwyczajem.

Rhombur potoczył wzrokiem po zebranych i rzekł:

– Znam budowę tego liniowca, byłem przy tym, jak podczas dziewiczego lotu Nawigator poprzez zakrzywioną przestrzeń wyprowadził go z głębin Ix. – Na chwilę umilkł, żeby wszyscy przetrawili tę informację. – Przypuszczam jednak, że obecna sytuacja nie ma nic wspólnego z silnikami Holtzmana. Chyba wiecie o tym tak samo jak ja.

Siedzący przy stole poprawili się w fotelach i znów wymienili spojrzenia.

– Musi pan wiedzieć, książę – odezwał się grubszy z bankierów – że Gildia nie ma nic przeciwko temu, aby władzę nad Ix znowu objęli Verniusowie. Bene Tleilax nie są tak pomysłowi i dokładni. Jakość produktów znacznie się obniżyła i doszło do tego, że kilku statków po prostu nie mogliśmy przyjąć z powodu usterek. Właściwie byłoby to z korzyścią dla całego Cesarstwa, gdyby...

– Nie pora na takie rozważania – przerwał mu Gurney. – Występujemy teraz jako podróżni, którzy nie chcą na siebie zwracać uwagi. – Spojrzał ostro na Rhombura. – A jak na razie statek nigdzie się nie przemieszcza.

Rhombur pokiwał głową.

– Muszę zobaczyć Nawigatora.

Pomieszczenie przywodziło na myśl koliste akwarium: zamykały je hermetycznie połączone płyty ze zbrojonego plazu, a w środku kłębił się cynamonowopomarańczowy gaz przyprawowy. Zmutowany Nawigator, z płetwami zamiast dłoni i skarłałymi nogami, powinien unosić się w nim wolny od grawitacji, tymczasem leżał nieruchomo, a jego małe szkliste oczka patrzyły niewidzącym spojrzeniem.

– Nawigator dostał zapaści w trakcie przekraczania zakrzywionej przestrzeni – wyjaśnił kontroler lotu. – Nie wiemy, nnnn, gdzie jesteśmy i nie możemy go dobudzić.

Mentat odkasznął i dorzucił.

– Tradycyjne techniki nawigacyjne nie pozwalają określić, gdzie się znajdujemy, w każdym razie z pewnością poza znaną przestrzenią.

Spedytor krzyknął w szklaną ścianę:

– Nawigatorze, proszę odpowiedzieć! Sterniku!

Postać drgnęła, żyła zatem, ale z ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Gurney spojrzał na pozostałych.

– Jak mu pomóc? Czy wiadomo, jak obchodzić się z takim... stworzeniem?

– Nawigatorom nie jest potrzebna żadna pomoc medyczna – oznajmił kontroler. – Melanż daje im zdrowie i życie. Melanż czyni ich więcej niż ludźmi.

Gurney wzruszył ramionami.

– Ale teraz, jak widać, nie ma z niego pożytku. Musimy ocucić Nawigatora, bo inaczej nie wydostaniemy się stąd.

– Wejść tam – oznajmił Rhombur. – Może uda mi się go obudzić, a wtedy powie mi, co się stało.

Mężczyźni popatrzyli na siebie i zgodnie pokręcili głowami.

– To niemożliwe.

Bankier wskazał gestem opary gazu.

– Tak stężony melanz jest zabójczy dla wszystkich stworzeń poza Nawigatorami. Nie może pan tym oddychać, książę.

Rhombur położył rękę na swym metalowym torsie, gdzie mechanizm uciskał mechaniczną przeponę i dyktował rytm oddechu.

– Ja nie mam ludzkich płuc.

Gurney parsknął śmiechem, gdyż nagle uświadomił sobie, że kalectwo księcia stało się teraz jego wielką zaletą. Sztuczny metabolizm opracowany przez doktora Yueha powinien uchronić Rhombura przed zgonem... przynajmniej przez jakiś czas.

Nawigator znowu poruszył się w zamkniętym zasobniku. Mężczyźni z wahaniem kiwnęli głowami.

Kontroler lotu pokazał Rhomburowi, jak dostać się do środka, i powiedział, że wszyscy muszą się wycofać, gdyż po otwarciu grodzi porcja gazu wydostanie się na zewnątrz.

Książę uściśnął rękę Gurneya, pamiętając, żeby jej nie zmiażdżyć.

– Dzięki, Gurneyu, że nie straciłeś wiary we mnie. – Chciał jeszcze coś powiedzieć o Tessji, ale zamiast tego rzekł: – Jak będzie po wszystkim, musimy ułożyć jeszcze kilka strof.

Halleck klepnął Rhombura w ramię, a potem pospieszył za innymi. Książę zbliżył się do otworu wejściowego, zanim jednak zaczął go otwierać, zwiększył parametry filtrowania i zmniejszył zapotrzebowanie na tlen. Być może uda mu się obyć nawet bez wdychania melanzowego gazu.

Złamał pieczęć, wystukał kod i gródź otworzyła się z sykiem. Wczołgał się przez otwór i zaraz zamknął przejście. Jego oczy zaczęły łzawić, a zachowane komórki węchowe buntować przeciw straszliwemu zapachowi estrów.

Na pół osłepiony wstał i z wyciągniętymi rękami ruszył przed siebie. Widział niewyraźny zarys ciała Nawigatora, który nie był już człowiekiem, lecz jakimś atawistycznym tworem, nie mogącym się rozmnażać. Dotknął gładkiej skóry. Głowa drgnęła, obróciła się i spoczęło na nim spojrzenie małych, migdałowych oczu. Patrzyły na Rhombura tak, jakby ich właściciel usiłował sobie przypomnieć, jak nawiązuje się komunikację przy użyciu słów.

– Książę... Rhombur... Vernius.

– Wiesz, jak się nazywam?

Rhombur był zaskoczony, z drugiej jednak strony pamiętał, że Nawigatorzy mają możliwość wyprzedzania przyszłości.

– D'murrrr – wyszeptał tamten. – Byłem... D'murr Pilru.

– D'murr? Znałem cię jako chłopaka.

W rysach leżącego przed nim stworzenia nie dostrzegął żadnego podobieństwa.

– Nie ma czasu... Groźba... Obca siła... Zło... Coraz bliżej... Poza Cesarstwem.

– Groźba? Jaka groźba? Zbliża się teraz do nas?

– Dawny wróg... albo przyszły... Nie mogę sobie przypomnieć. Czas się zakrzywia... przestrzeń się zakrzywia... Pamięć zawodzi.

– Czy wiesz, co się dzieje z tobą? – Rhombur usiłował tak wypowiadać słowa, aby wdychać jak najmniej gazu przyprawowego. – Jak ci pomóc?

– Skażony... gaz przyprawowy – z trudem wykrztusił D'murr. – Zwodzi wizja... błąd Nawigatora. Musimy uciekać... do znanej przestrzeni. Nieprzyjaciel nas widział!

Rhombur nie miał pojęcia, o jakiego nieprzyjaciela może chodzić. A może D'murr majaczył?

– Powiedz, jak ci pomóc.

– Trzeba... najpierw wymienić gaz, usunąć truciznę. Potem będę mógł... prowadzić.

Rhombur wyprostował się zaniepokojony tajemniczą groźbą. Nie wiedział wprawdzie, co było nie

w porządku z gazem przyprawowym, wiedział jednak, co powinien zrobić. Nie miał czasu do stracenia.

– Personel musi wymienić gaz w twoim zasobniku, a wszystko będzie w porządku, tak? Gdzie masz zapasową rację?

– Nie mam.

Rhombur zeszytniał. Jeśli gdzieś na pokładzie liniowca nie było awaryjnych porcji przyprawy, nie było szans na powrót do znanego wszechświata.

– Na pokładzie nie ma zapasów.

Jak długo można walczyć samotnie? Ale dużo gorzej porzucić walkę zupełnie!

C'tair Pilru, fragmenty osobistego pamiętnika

Siostra Cristane siedziała na macie i zastanawiała się nad swym położeniem. Miała na sobie pomarańczową kurtkę z kapturem, dopasowane spodnie i grube buty. Matowe niebieskie światło w igloo zapewniała wisząca pod niskim stropem jarzyca.

Pierwszy dzień w górach, daleko od miejsca katastrofy liniowca, daleko od jakiegokolwiek siedziby. Częścią treningu kształtującego siły fizyczne i duchowe były także samotne wyprawy w głąsę i próby przetrwania.

Przed świtem zaczęła podchodzić stokiem liczącej sobie sześć tysięcy metrów wysokości góry Laoudzin. Zrazu szła przez las, potem przez strome hale, na koniec musiała zetrzeć się z lodowcem. Ze sobą miała niewielki plecak, a w nim minimalne zapasy i niezbędnik. Test całkiem normalny u Bene Gesserit.

Nagła zmiana pogody zaskoczyła ją na wielkiej odkrytej śnieżnej przestrzeni, gdzieniegdzie upstrzonej sterczącymi głazami. Dalej wspinać się było niebezpiecznie z uwagi na groźbę lawiny. U stóp pochyłej ostrogi skalnej szybko wykopała śnieżny domek i schroniła się w nim. Natychmiast zajęła się takim zestrojeniem metabolizmu, aby było jej ciepło. Nawet w tych warunkach.

Wzięła kilka głębokich oddechów uspokajających. Za każdym razem z jej ust buchał kłąb pary. Pstryknęła palcami i jarzyca zgasła, pozostała tylko szarawa biel śniegu. Szalejąca na zewnątrz wichura wzbijała śnieżne tumany.

Już miała pograć się w medytacyjnym transie, gdy zawierucha ucichła na chwilę, a wtedy Cristane ku swemu zdumieniu usłyszała dźwięk ornitoptera. Po chwili z zewnątrz dobiegł ją kobiecy głos i dźwięk kopania. Jeszcze moment, a w ścianie igloo pojawił się otwór, przez który zajrzała znajoma twarz.

– Zostaw wszystko – powiedziała jedna z siostr, spoglądając na Cristane. – Matka Przełożona chce cię bezzwłocznie widzieć.

Na zewnątrz skuliła się pod uderzeniem wiatru. Szczyt ukryty był w chmurach. Na niewielkiej półce czekał ornitopter. Wraz z przybyłą siostrą Cristane ruszyła w kierunku maszyny.

Z kabiny wychyliła się Matka Przełożona Harishka i pomachała chudą jak witka ręką.

– Pospiesz się, dziecko! Musimy zdążyć dowieźć cię do portu na najbliższy liniowiec.

Ledwie Cristane zajęła miejsce obok niej, ornitopter wzbił się w powietrze.

– Co się stało, Matko Przełożona?

– Czeka cię bardzo ważna misja. – Migdałowe oczy wpatrywały się w nią uważnie. – Polecisz na IX. Straciliśmy kontakt z naszym tamtejszym agentem, a teraz otrzymałyśmy niepokojące informacje z Kaitain. Musisz się dowiedzieć, jaką tajną operację prowadzą tam Tleilaxanie pospołu z Cesarzem. Jestem już pewna, że knują coś razem. – Harishka położyła wysuszoną pokrytą zmarszczkami dłoń na ramieniu Cristane. – Nazywa się to Projekt Amal, a ty musisz się dowiedzieć, w czym rzecz.

W ochronnym transie, który zredukował jej metabolizm niemal do zera, Cristane tkwiła skulona w zrzutniku, który opadał ku powierzchni IX. Wszystko potoczyło się błyskawicznie.

W liniowcu towarzyszyła jej siostra-charakteryzatorka, która nadała jej wygląd mężczyzny, nikt bowiem nie widział żadnej kobiety Tleilaxan. Co gorsza, zanim Miral Alechem umilkła, donosiła, że na kontrolowanej przez Tleilaxan planecie znikają Ixianki. Korzystając z aparatury elektronicznej, tak pokierowała zrzutnikiem, że ślizgowym lotem spłynął na pochyłą łąkę i ślizgając się po niej, znieruchomiał. Wydostała się na zewnątrz i zarzuciwszy na ramiona plecak z żywością bronią i podstawowymi sprzętami, ruszyła, aby pokonać kilka kilometrów dzielących ją od celu.

Kontaktowe szkła na podczerwień pozwoliły jej szybko zlokalizować szyb wentylacyjny. Uruchomiła odciążacz, wpełzła do szybu i zaczęła opuszczać się w całkowitej ciemności.

Kiedy znalazła się już we wnętrzu planety, mogła liczyć tylko na siebie. Bez trudu odróżniała Ixian od suboidów, a także Tleilaxan i sardaukarów. Ixianie niemal się do siebie nie odzywali, umykali spojrzeniami i zwykle brnęli przed siebie, patrząc pod nogi.

Przez dwa dni badała płataninę tuneli, a jej pamięć bezbłędnie utrzymywała sieć połączeń komunikacyjnych, wentylacyjnych, a także dawnych przejść zapasowych, zbudowanych dla celów bezpieczeństwa, a dzisiaj najczęściej nie używanych i zapewne w ogóle zapomnianych. Zastanawiała się, co mogło się stać z Miral Alechem. Czy została zabita?

Drugiego wieczoru zobaczyła czarnowłosego mężczyznę, który podkradał jakieś pakunki z nieoświetlonej rampy transportowej. Cristane zastanowiło to, że człowiek ten tak sprawnie radził sobie w ciemności, co jej umożliwiały soczewki podczerwienne. Najpewniej bardzo dobrze znał okolicę, a wiedzę tę nabywał przez wiele lat. Śledziła go uważnie, rejestrując szczegóły. Był zwinny, pewny siebie, ale czujny. Gdy mijał jej kryjówkę, użyła Głosu.

– Nie ruszaj się! Kim jesteś?

C'tair Pilru stanął w pół kroku. Chociaż usiłował z tym walczyć, jego usta poruszyły się na przekór jego woli: wypowiedział swoje imię, a zarazem rozpaczliwie myślał – to jakiś agent Tleilaxan czy sardaukar?

Poczuł ciepło oddechu, gdy w jego uchu zabrzmiał szept:

– Nie bój się mnie. Przynajmniej nie teraz.

„Kobieta”.

Powiedział jej wszystko: jak walczył od lat, jak związał się z Miral Alechem, jak ta zniknęła i co się z nią stało, oznajmił, że niebawem zjawi się książę Rhombur. Przez cały ten czas nie mógł się ruszyć ani też nie widział wypytywanej go kobiety. Kiedy umilkł, nie był pewien, czy spyta o coś jeszcze, czy wbije mu nóż pod żebra.

– Nazywam się Cristane, należę do Bene Gesserit – usłyszał i jednocześnie opadły otaczające go duchowe okowy. W mdłym świetle przejeżdżającego wozu transportowego ze zdziwieniem zobaczył szczupłego mężczyznę o krótko ostrzyżonych włosach.

Przebranie.

– Bene Gesserit nigdy nie interesowały się IX – powiedział C'tair.

– Tyle mówiłeś o Miral Alechem. Ona była naszą siostrą.

C'tair nie mógł uwierzyć własnym uszom. W mroku dotknął rozmówczyni.

– Chodź ze mną. Pokażę ci bezpieczne miejsce.

Umiejętnie wykorzystując cienie, poprowadził ją przez piękne niegdyś miasto. Ze szczupłej sylwetki Cristane niełatwo było odgadnąć jej kobiecość.

– Cieszę się, że jesteś tutaj – oznajmił – ale obawiam się o twoje życie.

Przyjaciel nieuk jest gorszy od wykształconego wroga.

**Abu Hamid Al Gazali,
O sprzecznościach filozofów**

Mając nadzieję, że nie zauważy jej siostra Yohsa, lady Anirula wymknęła się ze swojej sypialni na korytarz, a tam omal nie zderzyła się z hrabią Fenringiem, który spieszonym krokiem wychodził z za rogu.

– Mmmm, proszę mi wybaczyć, Najjaśniejsza Pani. – Przyjrzał się jej badawczo. – Dobrze, że pani już wyzdrowiała, chodzi sama, dobrze, bardzo dobrze. Słyszałem o pani chorobie, mąż, hmmmm, bardzo się martwił.

Anirula nigdy nie przepadała za tym niskim, niebezpiecznym człowieczkiem, a teraz zniecka postanowiła tego nie ukrywać.

– Może istotnie Szaddam byłby dla mnie prawdziwym mężem, gdyby nie pański wpływ, hrabio.

We wzroku Fenringa widać było zaskoczenie i stropienie, gdy odpowiadał:

– Hmmm-mhmmm, co pani ma na myśli, ośmielę się zapytać? Jakież to ja mogę mieć wpływ na Cesarza, skoro tak wiele czasu przebywam poza Kaitain, załatwiając różne sprawy?

Czuła na sobie natarczywe spojrzenie Fenringa, ale postanowiła podjąć wyzwanie, aby zobaczyć jego reakcję.

– Co do tych spraw, czy mógłby mi pan powiedzieć coś o Projekcie Amal i Tleilaxanach? A także IX?

Hrabia spurpurowiał odrobinę na twarzy i syknął:

– Chyba jednak wcale się pani lepiej nie czuje. Może należałoby wezwać doktora Suk?

Utkwiła w nim spojrzenie.

– Szaddamowi brak na to wyobraźni i pomysłowości, a więc pomysł musi pochodzić od pana. Więc proszę powiedzieć, po co pan to robi?

Hrabia wyglądał tak, jakby miał ochotę ją oćwiczyć, ale ze wszystkich sił starał się zapanować nad sobą. Na wszelki wypadek Anirula niedostrzegalnie dla każdego obserwatora zmieniła ułożenie mięśni, przybierając bojową postawę. Celny cios prawej stopy bez trudu wypatroszyłby cesarskiego Ministra do Spraw Przyprawy.

Na twarzy Fenringa pojawił się przymilny uśmiech. Lata spędzone z Margot bardzo wyostrzyły jego zmysł obserwacyjny.

– Obawiam się, Najjaśniejsza Pani, że słuchasz jakichś plotek, niesprawdzonych informacji, mhmm. – Miał wprowadzić w kieszeni neurosztylet, ale nie była to dobra okazja do użycia broni. Cofnął się o krok i mruknął: – A może to wszystko sprawa rozhuśtanej chorobą wyobraźni?

Raptownie uklonił się, odwrócił i szybko oddalił.

Anirula patrzyła za oddalającym się mężczyzną a w jej czaszce znowu wybuchł jazgot głosów. I

oto wreszcie, poprzez zasłonę lekarstw, dotarł do niej znajomy, karcący głos Lobii.

„To wprawdzie było bardzo ludzkie – zbesztła ją żyjąca w jej wspomnieniach Prawdomówczyni – ale i bardzo głupie!”

Hrabia natomiast analizował sytuację. Czasy były niespokojne i zakon, jeśli tylko zechciał, bez trudu mógłby obalić Szaddama, wykorzystując odpowiednie informacje, jak na przykład tę o amalu.

„A kiedy on upadnie, ja polecę razem z nim”.

Po raz pierwszy w głowie Fenringa pojawiła się myśl, że może należałoby zabić żonę Szaddama. Oczywiście tak, aby wyglądało to na nieszczęśliwy wypadek.

W wielkiej Hali Przemówień Landsraadu w wystąpieniach przedstawicieli rodów i ambasadorów coraz wyraźniej pojawiały się buńczuczne tony. Lista zapisanych do głosu wydłużała się, a każdy kolejny stawał na mównicy jeszcze bardziej podniecony od poprzednika i jeszcze odważniejszy. Obrady toczyły się do późna w nocy i po krótkiej przerwie podjęto je z samego rana.

Cesarz Szaddam wydawał się jednak zupełnie tym nie przejmować. Siedział znudzony w przeznaczonym dla niego fotelu i przez większość czasu oglądał swoje paznokcie albo bezmyślnie wpatrywał się przed siebie, w głębi duszy jednak był oburzony zachowaniem swych poddanych.

Poprawił się w fotelu. Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem, nie będzie musiał się odzywać. Na wszelki wypadek ściągnął dodatkową jednostkę sardaukarów z Salusa Secundy, ale wątpił, aby pojawiła się potrzeba jej użycia.

Zgodnie z jego życzeniem o stopień niżej zasiadła w czarnej abie Anirula, blada jeszcze po chorobie. Obok niej stała cesarska Prawdomówczyni Gaius Helena Mohiam. Ich obecność miała podkreślić, że potężny zakon jest nadal podporą tronu. Czas zresztą najwyższy, żeby czarownice przydały się do czegoś.

Zanim zaczęli występować członkowie Landsraadu, stanęli przed nimi cesarscy prawnicy, wskazując racje Cesarza, a także przytaczając odpowiednie precedensy i artykuły kodeksowe.

Następnie głos zabrał główny przedstawiciel Gildii, który bronił jej prawa do przewozu statków Szaddama użytych później w ataku na Koronę. Gęsto cytował przepisy i normy, ale, rzecz jasna, nawet słowem nie wspomniał, jaka to łapówka w postaci melanzu sprawiła, że Gildia była gotowa opowiedzieć się zdecydowanie po stronie rodu Korrinów.

Szaddam uśmiechał się z leciutką ironią.

Potem przysłała kolej na ZNAH. Jego prezes, postawny mężczyzna o siwej bródce, mówił donośnie i stanowczo.

– ZNAH bez najmniejszych zastrzeżeń wspiera poczynania Jego Cesarskiej Mości mające na celu dbałość o poszanowanie prawa. Kodeks Cesarski od dawna zawiera artykuły zakazujące gromadzenia melanzu ponad bezpośrednie potrzeby i wszyscy o tym dobrze wiedzą chociaż czasami argumentują tak, jakby wiedza ta ich opuściła. – Potoczył wzrokiem po zebranych, a nie widząc żadnych sprzeciwów, ciągnął: – Miłościewie nam panujący Cesarz wielokrotnie ostrzegał, że jego zamiarem jest zdecydowana ochrona tych prawnych postanowień, a tymczasem nawet po przykładowym ukaraniu Zanovaru ród Richesów nie odstąpił od swych nielegalnych praktyk. – Prezes oskarżycielskim gestem wymierzył palec w salę, chociaż nie wskazywał nikogo konkretnego.

– Jakie są dowody przeciw Richesom? – krzyknął ktoś.

– Powinno nam wystarczyć samo słowo Najjaśniejszego Pana. – Prezes chwilę milczał, aby wypowiedzianym słowom nadać odpowiednią wagę, a później ciągnął dalej: – Wiem jednak, że przed konfiskatą zarejestrowano holotechnikami zgromadzone zapasy. Sam widziałem te obrazy. – Mówca odwrócił się, jakby zamierzał zejść już z podium, ale potem cofnął się i rzekł: – Od strony

prawnej stanowisko Cesarza jest niepodważalne i nasuwa się podejrzenie, że krytykanci starają się tylko ukryć własne przestępstwa. Każdy, kto niezgodnie z prawem w tajemnicy gromadzi przyprawę, czyni to na własną zgubę. To prawo władcy, aby przy użyciu wszystkich dostępnych środków czuwać nad porządkiem prawnym, politycznym i gospodarczym.

Tym razem w uśmiechu Szaddama widać było satysfakcję. Anirula zerknęła na męża i zaraz przeniosła wzrok na salę, wzburzoną teraz i hałaśliwą.

Szambelan Ridondo musiał zwiększyć głośność, aby jego płynące z głośników wezwanie wzniosło się ponad harmider.

– Pora teraz na przemówienia członków Landsraadu. Kto pierwszy ośmieli się wystąpić przeciwko poczynaniom Cesarza?

Stojący pod ścianami urzędnicy cesarscy demonstracyjnym gestem wydobyli tabliczki i pisaki. Sugestia była jednoznaczna. Wzburzone głosy ucichły, nikt nie śmiał wystąpić pierwszy. Szaddam zwyciężył. Przynajmniej w tej bitwie.

Nigdy nie staraj się zrozumieć, jak przemawia do ciebie przyszłość, albowiem czynisz to być może na własną zgubę.

Podręcznik Nawigatora Gildii

Rhombur wyszedł z zasobnika z przyprawowym gazem, krztusząc się i kaszląc. Nawet dla sztucznych płuc opary okazały się nieprzyjazne. Czuł zawroty głowy, miał problem z koordynacją funkcji organizmu. Wyszedł na korytarz, zataczając się, i zaraz oparł się o ścianę. Gurney Halleck, dla bezpieczeństwa w masce gazowej, podskoczył i odprowadził księcia do miejsca o czystym powietrzu. Kontroler lotu przeciągnął wsysaczem po ubraniu Rhombura, aby usunąć osady przyprawowe. Sam księżę poszukał odpowiedniego przycisku na szyi i jeszcze wzmocnił funkcje filtrowania.

Któryś z urzędników Gildii chwycił go za ramię, dopytując się niecierpliwie:

– Czy Nawigator reaguje? Będzie mógł nas stąd wyprowadzić?

Rhombur z wielkim trudem sklecił zdanie.

– Żyje, ale jest bardzo osłabiony. Gaz w zbiorniku został zanieczyszczony. – Odetchnął głęboko i wyrzucił z siebie: – Należy umieścić nową porcję melanzu.

Słyszając to, ludzie Gildii zajazgotali. Najbardziej podniecony wydawał się tłusty bankier.

– Stężenie melanzu w pojemniku Nawigatora jest ogromne. Nie mamy odpowiednich zapasów.

Mentat na króciutką chwilę wpadł w trans, a potem oznajmił:

– Na pokładzie znajduje się ponad tysiąc jednostek, ale oficjalnie żadna nie przewozi przyprawy.

– Ale przecież większość pasażerów ma przy sobie jakąś porcję – wtrącił się Gurney – poza tym wszystkie kuchnie powinny mieć zapasy. Jak to wszystko pozbierać, może wystarczy.

Bankier pokiwał głową.

– Wiele szlacheckich rodzin spożywa dziennie spore ilości w celach czysto zdrowotnych.

– Takie zasoby nie są podawane w manifestach przewozowych – powiedział mentat – trudno więc ocenić, jakie to wielkości. A poza tym, jeśli będziemy chcieli skontaktować się z każdym z pasażerów, potrwa to wiele dni.

– Nie możemy zwlekać – wykrztusił Rhombur. – Nawigator jest bardzo wylękniony, mówi, że zbliża się jakiś wielki nieprzyjaciel. Jesteśmy w niebezpieczeństwie.

– Jak to? – obruszył się kontroler lotu. – Owszem, zagubiliśmy się, ale co poza tym mogłoby nam grozić? Nic nie rozumiem.

– Może jakaś inna inteligencja? – zasugerował mentat. – Może siła... pozaludzka?

– Nawigator może mieć halucynacje – wtrącił się spedytor. – Jeśli gaz jest skażony, to jego umysł mógł zostać uszkodzony.

Bankier pokręcił głową.

– Jeśli zwątpimy w rzetelność Nawigatora, nie mamy już na kim polegać. On wybiega w przyszłość, dlatego jego słowa mogą nam wydawać się niezrozumiałe. Może na naszym kursie znajduje się jakieś wielkie kosmiczne zdarzenie, na przykład wybuch supernowej. Nie mamy innego wyjścia, jak zażądać, aby dostarczone zostały wszystkie, absolutnie wszystkie ilości przyprawy. Zbieraniem zajmą się Wayku i służba porządkowa.

– To nie wystarczy – mruknął mentat, ale Rhombur nie chciał dopuścić do jakiegokolwiek zwłoki i powiedział stanowczo:

– Musimy się do tego zabrać natychmiast.

Zbieranie odbywało się bardzo powoli. Chociaż sprawa była oczywista, pasażerowie nader niechętnie rozstawali się ze swymi zapasami melanżu, szczególnie że nie było wiadomo, ile czasu przyjdzie im jeszcze spędzić poza granicami naniesionego na mapy kosmosu.

Służby porządkowa i bezpieczeństwa przeszukiwały statek po statku, wszystko to jednak trwało zbyt długo.

Gurney Halleck na własną rękę zaczął sprawdzać wewnątrz liniowca w nadziei, że dostrzeże coś, co umknęło uwadze innych. Przyglądał się każdemu statkowi, zastanawiał nad każdym symbolem identyfikacyjnym, chociaż wydawało się to bezcelowe, wszyscy bowiem uznali ocenę mentata za rzetelną i niewątpliwą. Jednak Gurney zastanawiał się, czy aby nie ma jakiegoś niezgłoszonego transportu przyprawy.

Nie był wprawdzie specjalistą od statków kosmicznych, uważnie jednak badał sylwetki jednostek pasażerskich, transportowych, wojskowych, kanciaste bryły zrzutników. Jedne nosiły barwy rodów, do których należały, inne pod warstwą brudu pozostawały anonimowe i na tych właśnie skoncentrował się Gurney, co sugerowała mu przemyticzna przeszłość.

Na koniec jego uwagę przykuł mały stateczek, umocowany obok znacznie większej fregaty ze znakami rodu Mutellich. Była to mała, przestarzała barka, dziś używana już tylko do przewozu drobnicy towarowej. Gurneya zainteresowały zarówno zbyt wielkie silniki, jak i ślady niedawnego, a starannego remontu. Coś było nie w porządku z tą barką poza tym musiał już ją kiedyś widzieć.

Był chyba na dobrym tropie.

W towarzystwie strażników ze służby bezpieczeństwa Gurney i Rhombur stanęli przed barką. Kapitan początkowo odmówił im wstępu, ostatecznie jednak ustąpił, gdyż dowódca każdej jednostki przed przyjęciem do ładowni liniowca musiał podpisać oświadczenie, że na żądanie podporządkuje się wszystkim poleceniom. Gdy znaleźli się wreszcie na pokładzie, zauważyli jednak, że uzbrojona załoga zajęła pozycje, jakby szykowała się do odparcia ataku. Gurney podniósł do góry rękę.

– Żadnej strzelaniny. Odłóżcie broń. Co za idiotyzmy trzymają się was w chwili, gdy ulegliśmy katastrofie!

Tamci pospuszczali głowy i najwyraźniej odstąpiła ich chęć do walki. Gurney tymczasem uważnie przypatrywał się każdej twarzy, aż wreszcie zatrzymał się przed jednym z mężczyzn i powiedział:

– Po tobie najmniej bym się spodziewał, że wymierzysz we mnie broń, Penie Barlowe.

Obszarpany mężczyzna rozdziawił usta, z których wypadła prymka tytoniu, a potem zawołał:

– Ta blizna od krwawinu! Ej, czyżbyś to był ty, Gurney Halleck?

Strażnicy Gildii nie bardzo wiedzieli, jak się zachować.

– Wiedziałem – odparł Gurney – że jak trochę pochodzę, to w końcu znajdę jakichś starych znajomych.

Pen Barlowe zarechotał i z rozmachem walnął go w ramię.

– Gurney, Gurney, cały Gurney!

Gurney machnął ręką za siebie i powiedział:

– Jest tam ktoś, kogo pewnie z radością poznasz. Pozwól... Oto syn Dominika.

Ludzie z załogi barki wydali pomruk, jeśli nawet bowiem nie służyli pod Dominikiem Verniusem, to słyszeli o tej legendarnej wśród przemytników postaci. Rhombur postąpił do przodu, wyciągnął rękę i wymienił z Barlowem przyjęty w Cesarstwie półścisk dłoni.

– Jeśli jesteś przyjacielem Gurneya, z pewnością nam pomożesz.

Barlowe mruknął do swych kompanów:

– Spokojnie, nic nam nie grozi.

– Przede wszystkim interesuje mnie wasz ładunek – powiedział Gurney. – Jeśli nie zmieniły się twoje obyczaje od czasu, gdy i ja parałem się przemytem, to powinieneś mieć to, co rozwiąże nasz wspólny problem.

Tamten spojrział w pokład tak, jakby się zastanawiał, czy nie skorzystać jeszcze raz z wyplutego tytoniu, i mruknął:

– No tak, słyszeliśmy wezwanie, ale byliśmy pewni, że to jakaś sztuczka. – Przystąpił z nogi na nogę i spojrział Halleckowi w oczy. – No dobra, mamy nielegalny towar. Nielegalny... i bardzo niebezpieczny, w związku z ostatnimi posunięciami Cesarza.

– Na pokładzie liniowca Gildii obowiązuje zasada dyskrecji, którą zresztą i ja czuję się objęty – powiedział Rhombur. – Sytuacja jest nadzwyczajna, a poza tym znajdujemy się poza zasięgiem prawa cesarskiego.

Gurney nie spuszczał spojrzenia ze swego dawnego towarzysza.

– Trudno, Barlowe, tym razem nie sprzedasz melanzu ze znacznym zyskiem, ale za to uratujesz nam wszystkim życie.

Barlowe uśmiechnął się krzywo.

– Cóż, mamy go tyle, że Cesarz i tak pewnie obrzucił by nas atomem.

Rhombur uśmiechnął się, marszcząc pokrytą szramami twarz.

– To powinno nam wystarczyć!

Załoga barki wcale jednak nie była zachwycona, gdy skondensowana przyprawa pojemnik za pojemnikiem zniknęła z ich ładowni. Gurney wziął na bok przedstawicieli Gildii i tyle przynajmniej na nich wymógł, że zgodzili się zapłacić przemytnikom. Suma wprawdzie daleko odbiegała od ich czarnorynkowych oczekiwań, ale nie oddali przynajmniej przyprawy za darmo. A poza tym znaleźli się w sytuacji, która raczej nie skłaniała do kłótni.

Rhombur tymczasem bez ustanku krążył między barką a zasobnikiem z Nawigatorem, a widząc jego pogarszający się stan, powtarzał:

– Musimy się spieszyć, bo będzie za późno!

Załoga uwijała się jak w ukropie, usuwając zanieczyszczony gaz. Inni przekształcali przyprawę w postać gazową i kiedy zasobnik został opróżniony, natychmiast go napełniali. Teraz należało wierzyć

w to, że Nawigator dojdzie do siebie na tyle, aby znówu wprowadzić liniowiec na obszar poznanego kosmosu.

– Od godziny nawet się nie ruszył – zauważył ponuro kontroler lotu.

Rhombur raz jeszcze polecił, by wszyscy opuścili pomieszczenie, a potem wszedł do wnętrza zasobnika. Niewiele widział, ale po omacku dotarł do kształtu, który był niegdyś ciemnowłosym, urodziwym młodzieńcem, flirtującym z jego siostrą Kaileą. W pamięci wyraziście stanęli mu bliźniacy, synowie ambasadora Pilru. W tamtym czasie każdy zdawał się być szczęśliwy. Teraz wydawało się to nierealne, tym bardziej, że obecnie jego świadomość była przeniknięta przyprawą.

D'murr był taki dumny z tego, że pomyślnie zdał test na Nawigatora Gildii, podczas gdy C'tair musiał pozostać na Ix. Na zawsze...

Zdarzyło się to tak dawno temu, że jawiło mu się to tylko snem.

– Wymieniamy gaz, D'murze – powiedział, klękając. W oparze dojrzał matowe szpary oczu. – Mamy czysty melanz i zaraz wszystko będzie w porządku.

To nie wyglądało już jak człowiek. Można było pomyśleć, że ciało zostało ukształtowane przez sfiksowanego rzeźbiarza. Leżało teraz bezwładne, niczym ryba wyrzucona na brzeg. Rozwarte usta lekko poruszały się wraz z tym, jak D'murr wciągał hausty nowego gazu.

Rhombur poruszał się powoli, jak gdyby gaz był gęstą zawiesiną. Już niedługo będzie musiał opuścić zasobnik.

– Czy teraz będziesz mógł nas przenieść przez zakrzywioną przestrzeń?

– Muszę – wykrztusił D'murr, a wraz ze słowami wypłynęły żółtawe nitki dymu. – Niebezpieczeństwo... Wróg nas widział... Nadchodzi... Chce nas zniszczyć...

– Kto nim jest?

– Nienawidzi... Chce nas wytępić... Za to, że jesteśmy, jacy jesteśmy. – D'murrowi udało się lekko podźwignąć. – Musimy uciekać... jak najdalej. – Powoli usiadł. – Widzę drogę... która zaprowadzi nas... do domu.

Nawigator podniósł się i zbliżył do dysz, z których płynął gaz. Mocno się zaciągnął.

– Nie ma czasu!

Rhombur pomógł mu stanąć przy tablicy i D'murr z trudem uruchomił silniki Holtzmana. Liniowiec drgnął, a potem obrócił się, przyjmując właściwą pozycję.

– Wróg... blisko!

I statek ruszył, a przynajmniej tak się wydawało. Rhombur chwycił się ściany i poczuł drganie charakterystyczne dla fazy, gdy potężne pole Holtzmana otulało liniowiec zakrzywioną przestrzenią.

D'murr zrobił to, co było jego obowiązkiem.

Liniowiec pojawił się nieopodal Krzyżownika. Nawigator instynktownie wprowadził statek do tej części Cesarstwa, która stanowiła jego jedyny dom od czasu, gdy przed laty opuścił Ix.

– Jesteśmy bezpieczni – oznajmił słabnącym głosem.

Niepomny w tej chwili swego bezpieczeństwa, Rhombur usiłował go podtrzymać. Ale istota, która wszystkich sił użyła, aby ratować innych, teraz nie miała ich już wcale. „C'tairze...” – przeciągle zaświszczał D'murr, po czym osunął się na podłogę i, otoczony kłębamii gazu przyprawowego, skonał.

Rhombur wiedział, że teraz on musi się jak najszybciej stąd wydostać. Przed oczami miał mroczki, a organiczne części straszliwie go piekły i swędziały. Ledwo dowlóknął się do grodzi wyjściowej, podczas gdy sylwetka D'murra nikła mu z pola widzenia za gęstą mgłą gazu melanzowego.

lady Helena Atrydzka,
Prywatne rozmyślenia o konieczności i pokucie

Cztery Siostry W Odosobnieniu niczym cienie zbliżały się do Zamku Kaladan od strony morza. Pływały małym, niezwracającym uwagi kutrem rybackim, a pod zachmurzonym niebem dogasał dzień. W luźnych, ciemnych opończach stały na pokładzie i milcząc, wpatrywały się w skalisty brzeg oraz wypiętrzoną na nim budowlę. Ciała miały dokładnie osłonięte – dłonie schowały w rękawiczkach, a twarze ukryły za welonami z ciemnego muślinu.

Podczas długiej podróży przez ocean trzymały się na uboczu, tylko w swoim gronie, zresztą nikt z załogi nad tym nie ubolewał. Kobiety na pokładzie zawsze stanowiły zły omen, a kapitana przekonała tylko bardzo hojna zapłata. Wzięli kurs na południe i popłynęli wzdłuż brzegu ku portowi rybackiemu, skąd po wykutych w skale stopniach można było wspiąć się do podnóża zamku.

Jedna z kobiet nie spuszczała oczu z wielkiej statuy Paulusa Atrydy i można by mniemać, że na widok granitowego posągu sama też skamieniała, wpatrzona w wielki płomień pochodni.

Gdy przybili do przystani, cztery kobiety bez słowa pożegnania wysiadły z łodzi i ruszyły przez stare miasto. Mieszkańcy, zajęci łataniem sieci, skrobaniem ryb i rąbaniem drzewa, patrzyli podejrzliwie na nieznajome. Siostry W Odosobnieniu bardzo rzadko widywano poza ich skalistymi klasztorami na Kontynencie Wschodnim.

Siostra krocząca przodem miała na skraju szaty wyhaftowane srebrne znaki, najpewniej wskazujące na jej rangę. Szła równym krokiem, którego nie zwolniła także wtedy, gdy rozpoczęły podejście pod górę zamkową.

Kiedy dotarły do bramy wejściowej, ostatnie blaski słońca purpurowo migotały między chmurami. Drogę zastąpili im wartownicy. Siostra ze srebrnymi emblematami wyszła przed inne i, milcząc, stanęła naprzeciw żołnierzom.

Najmłodszy z nich pobiegł po Thufira Hawata. Mentat zjawił się po chwili, ale z samego wyglądu czterech zakonnic nie mógł nic wywnioskować.

– Księżę jest już zmęczony i udał się na spoczynek – powiedział. – Ale jutro przez dwie godziny drzwi pałacu będą stały otworem dla jego poddanych.

Najważniejsza z sióstr powolnym ruchem sięgnęła do welonu, a wtedy bacznie ją obserwujący mentat zdał sobie sprawę z tego, że emblematy nie są tylko prostymi haftami, ale tworzą wykorzystując technikę Richese, zewnętrzną sieć sensoryczną. Cofnął się o krok i wymacał rękojęść sztyletu, choć na razie trzymał go w ukryciu.

Kobieta odpięła metodycznie welon, a następnie zdjęła maskę z twarzy i rzekła:

– Thufirze Hawat, czyżbyś odmawiał mi wstępu do własnego domu? – Na chwilę zmrużyła oczy, ale potem patrzyła na mentata bez mrugnięcia powieką. – Zabronisz mi widzenia z moim synem?

W pierwszej chwili Hawat osłupiał, zaraz jednak otrząsnął się, lekko skłonił i choć nie wypowiedział żadnej formuły powitalnej, wykonał gest, zapraszając, by szła za nim, i rzekł:

– Oczywiście że nie, lady Heleno. Proszę do środka. Dał znak strażnikom, żeby wpuścili wszystkie siostry. Kiedy znaleźli się na dziedzińcu, kazał im poczekać, a do dowódcy straży rzucił:

– Idę powiadomić księcia, a wy w tym czasie sprawdźcie, czy nie mają przy sobie broni.

Leto zasiadł w sali audiencyjnej w ciemnym drewnianym fotelu. Na sobie miał oficjalny strój i zwisający na piersi na złotym łańcuchu wielki medalion, oznajmiający, że przewodzi rodowi

należącemu do Landsraadu. Ubierał się tak tylko na bardzo oficjalne okazje, jak na przykład ta.

Nie było wprawdzie żadnych wiadomości od Rhombura i Gurneya, należało jednak postępować zgodnie z ustalonym planem, cały dzień spędził więc na wojskowych przygotowaniach, a chociaż Duncan promieniał zapałem i buńczucznością on wiedział, że batalia o Ix wcale nie będzie taka prosta.

Pojawienie się matki było więc tylko przeszkodą. Nie miał dla niej czasu, cierpliwości ani – uczucia.

W sali jasno świeciły jarzyce, on jednak czuł w sercu mrok i mróz, który nic nie miał wspólnego z chłodem wieczoru. Nie widział matki od dwudziestu lat, od chwili, gdy dowiedział się o jej uczestnictwie w śmierci Starego Księcia.

Kiedy weszła, nie powstał z fotela i tylko szorstko rzucił:

– Zamknąć drzwi! – A potem dorzucił: – Rozmowa odbędzie się w cztery oczy, niech więc pozostałe siostry poczekają za drzwiami.

Kasztanowe włosy lady Heleny poprzetykane były siwizną a skóra twarzy gładko opinała kości policzkowe.

– To moje towarzyszki, Leto. Razem przepłynęłyśmy ocean. Zaslужują na trochę więcej uprzejmości.

– Nie jestem w nastroju, matko. Duncanie i Thufirze, zostańcie.

Duncan, dumnie trzymając rękę na gardzie miecza Paulusa, spojrział na Leto, lady Helenę, a potem na ściągniętą gniewem twarz Hawata, który pozostał przy drzwiach, wcześniej z trzaskiem je zamknąwszy.

– A zatem nie wybaczyłeś mi, synu – powiedziała ze skargą w głosie Helena. Thufir zrobił ruch tak gniewny, że Duncan sprężył się w pogotowiu.

– A co niby miałbym ci wybaczyć, matko, skoro zawsze utrzymywałaś, że nie popełniłaś żadnego występku?

Helena nie spuszczała z syna ciemnych oczu, ale nic nie odpowiedziała.

Duncan był stropiony. Jak przez mgłę przypominał sobie żonę ukochanego Starego Księcia. Ledwie śmiał na nią podnieść oczy, gdy jako młodociany zbieg z niewoli Harkonnenów zjawił się na dworze.

Leto z trudem tłumił gniew.

– Miałem nadzieję, że pozostaniesz w zakonnych murach, rozpamiętując swój uczynek. Chyba dość wyraźnie dałem ci do zrozumienia, że w Zamku Kaladan nie jesteś mile widziana.

– Całkiem wyraźnie. W sytuacji jednak, gdy nie masz potomka, tylko jeszcze ja mam w swych żyłach twoją krew.

Pochylił się gwałtownie i syknął:

– Nie lękaj się, matko, ród Atrydów przetrwa i bez ciebie. Moja konkubina, Jessika, przebywa teraz na Kaitain i tam powije mi dziecko. Możesz więc spokojnie wracać do swojej zakonnej fortecy. Thufir z najwyższą przyjemnością zajmie się twoją podróżą powrotną.

– Jeszcze nie wiesz, w jakim celu przyjechałam. Najpierw musisz mnie wysłuchać.

W głosie jej zabrzmiała duma i pewność siebie, które ożywiły wspomnienia z dzieciństwa. Duncana nie opuszczało zakłopotanie – nikt mu nigdy nie powiedział, dlaczego lady Helena musiała opuścić zamek, a wszystkie pytania zbywano ogólnikami.

Leto wyprostował się i siedział nieporuszony niczym posąg.

– Przygotowałaś dalsze kłamliwe usprawiedliwienia?

– Mam prośbę. O nic dla mnie, lecz dla tych, których dziedzictwo nosisz w części w sobie. Chodzi

mi o Richese. Podczas zdradzieckiego ataku Cesarza na Koronę setki ludzi zginęło, wiele tysięcy oślepiło. Hrabia Ilban jest moim ojcem. W imię podstawowych zasad człowieczeństwa proszę, abyś zaofiarował im swą pomoc. Przy całym bogactwie naszego... – urwała i z rumieńcem na twarzy poprawiła się: – ...twojego rodu nie będzie trudno o lekarstwa i medyków.

Takiej prośby Leto się nie spodziewał.

– Wiem o tej tragedii, ale czego ode mnie oczekujesz? Że wystąpię przeciw Cesarzowi w obronie rodu, który łamie prawo?

Zacisnęła pięść w czarnej rękawiczce i dumnie uniosła brodę.

– Oczekuję pomocy dla ludzi, którzy znaleźli się w potrzebie. Czyż droga Atrydów przestała już być drogą honoru? Czy tak uczył cię Paulus?

– Jak śmiesz mnie pouczać?!

– Czy też może Atrydzi mają być teraz znani przede wszystkim z brutalnych ataków, takich jak na Beakkal? Czy wzorem Cesarza chcesz miażdżyć wszystkich, którzy staną ci na drodze? A może przykładem dla ciebie jest wicehrabia Grumman? Takież jest teraz dziedzictwo Atrydów?

Jej słowa trafiły celnie. Leto wyprostował się, usiłując ukryć zmieszanie.

– Jestem księciem i robię to, co muszę.

– A zatem pomóż Richese.

Dalsza argumentacja była bezcelowa.

– Rozważę to.

– Obiecuj mi.

– Wracaj między swe siostry zakonne, matko – powiedział Leto i wstał. Thufir poruszył się przy drzwiach, a wtedy i Duncan instynktownie zrobił krok do przodu, odrobinę wydobywając miecz z pochwy.

Lady Helena poznała broń, ale nie jej posiadacza, który przez dwadzieścia lat zmienił się nie do poznania. Leto zrobił uspokajający gest dłonią.

– Dziwne doprawdy, że to ty chcesz mnie uczyć współczucia. Chociaż jednak gardzę tobą, zgadzam się, że należy zrobić coś w tej sprawie. Tak, ród Atrydów wyciągnie pomocną dłoń do Richese, ale tylko pod warunkiem, że bezzwłocznie się stąd oddalisz. – A potem dorzucił surowo: – I że nikomu nie wspomnisz o tej rozmowie.

– To mogę przysiąc, synu.

Helena obróciła się na pięcie i tak pospiesznie ruszyła do wyjścia, że Hawat ledwie zdążył otworzyć jej drzwi. Gdy wraz ze swymi trzema towarzyszkami kroczyła korytarzami pełnymi echa, Leto mruknął w powietrze jakieś słowa pożegnania.

Duncan nieśmiało zbliżył się do Leta, który siedział nieruchomo, jakby w oszołomieniu. Twarz mistrza miecza była blada, oczy rozszerzone ze zdumienia.

– Leto, pozwól, że spytam... Co się wydarzyło między wami? Dlaczego twoja matka musi mieszkać z dala od dworu? To przecież twoja matka. Ludzie na pewno o tym mówią.

– Ludzie zawsze plotą bzdury – prychnął od drzwi Hawat.

Leto tak mocno zacisnął palce na oparciu krzesła, że zbieleły mu kostki palców. Kiedy wreszcie spojrzął na mistrza miecza, oczy miał jakby zaciągnięte mgłą.

– W rodzie Atrydów jest wiele tragedii i tajemnic, Duncanie. Sam wiesz, że ukryliśmy udział Kailei w katastrofie żaglowca. Zająłeś miejsce Swaina Goire jako dowódca gwardii, ale jego bez podania żadnych powodów skazałem na wygnanie. Moi podwładni nie powinni znać prawdy o Kailei... czy mojej matce.

Duncan nie był pewny, dokąd poprowadzi ta rozmowa.

– A jak było z twoją matką? – szepnął.

Thufir podszedł ku nim.

– Mój księżę, to nie byłoby rozsądne, gdyby...

Leto powstrzymał go jednym gestem.

– Nie, Thufirze, Duncan ma prawo wiedzieć. Ponieważ i na niego padło kiedyś podejrzenie, więc pora, żeby poznał prawdę o salusańskim byku.

Thufir kiwnął głową.

– Postąpisz, jak zechcesz, mój księżę, ja jednak to odradzam. Im więcej uszu, tym mniej bezpieczna jest tajemnica.

Powoli, przerywając, Leto opowiedział Duncanowi, jak żona Paulusa, a matka Leta, zadbała, aby podawać narkotyk bykowi, który przez to stał się zupełnie nieprzewidywalny i zabił niczego nie spodziewającego się Starego Księcia. Duncan słuchał osłupiały i oniemiały.

– W pierwszym odruchu chciałem ją stracić – kończył Leto – ale mimo wszystko to moja matka. Winna jest morderstwa, ale na mnie nie spocznie ciężar matkobójstwa. Dlatego aż do końca swoich dni pozostanie pośród Sióstr W Odosobnieniu. – Ciężko oparł głowę na zaciśniętej pięści. – A kiedy nakazałem Swainowi Goire, by był jej wiernym stróżem, powiedział, że ludzie będą kiedyś o mnie mówić: „Leto Sprawiedliwy”.

Duncan usiadł ciężko na stopniach tronu. Księżę Paulus łaskawie przyjął chłopaka na dwór Atrydów i dał mu pracę w stajniach. Ledwie dziewięcioletni Duncan został oskarżony przez swego przełożonego, Yreska, który sam odpowiadał za rozjuszenie zwierzęcia.

Teraz, kiedy wszystko stało się jasne, mistrz miecza Duncan Idaho po raz pierwszy od wielu lat załkał z głębi serca.

Wiele stworzeń z zewnątrz jest podobnych do człowieka, ale nie daj się zwieść pozorom. Nie wszystkie takie formy życia można uznać za człowiecze.

z Księgi Azhar Bene Gesserit

Ponieważ stryj, baron Vladimir, rzadko dawał mu wolną rękę, teraz Bestia Rabban postanowił wykorzystać sposobność i zaszaleć, ile tylko się da.

Zasiadł nad pobieżnymi, niedokładnymi mapami i zbadał okolice Muru Zaporowego. Mieszkali tam nędzarze, którzy utrzymywali się z żebractwa i podkradania nocą własności Harkonnenów. Trzy takie wioski miał teraz przykładowie ukarać. Wybrał je nie całkiem przypadkowo: nie podobały mu się nazwy Licksand, Thinfare i Wormson.

Z drugiej strony było mu zupełnie obojętne, na kogo padł wybór. Wszyscy ludzie darli się w bardzo podobny sposób.

Na pierwszą wioskę po prostu zrzucił z nieba bomby ogniowe. Eskadra bojowych ornitopterów nadleciała koszącym lotem i zrzuciła swój złowrogi ładunek. Wielu ludzi zginęło od razu, inni biegali w kółko niczym owady po rozgrzanej skale. Jeden z wieśniaków miał nawet czelność wystrzelić do nich z automatycznego pistoletu maula. Snajperzy Rabbana wykorzystali tę okazję, aby postrzelać sobie do ruchomych celów. Wioska została wprawdzie zniszczona doszczętnie, ale jak dla Rabbana odbyło się to zdecydowanie za szybko. Postanowił, że z następnym razem będzie inaczej.

Przed samymi napadami Rabban wiele czasu poświęcił pisaniu oświadczenia, które dokładnie wyjaśniało, za jakie to zbrodnie Wolanie musieli zapłacić zniszczeniem trzech wiosek i śmiercią ich mieszkańców. Efekt swojej pracy dumnie przedstawił stryjowi, ten jednak skrzywił się tylko, podarł proklamację i napisał ją sam, powtarzając wiele słów i fraz.

Dokument powielono na ogniotrwałych arkuszach papieru instroy i rozrzucono na zgliszczach każdej z osad. Niechże sobie to poczytają przekłęci Wolanie, którzy zlecą się tam jak sępy, żeby tylko wydobyć coś dla siebie z popiołów. Przeczytają i zrozumieją że to samo może spotkać ich...

Do drugiej wioski, Thinfare, Rabban wkroczył na czele doborowego oddziałku. Każdy żołnierz uzbrojony był po zęby, a dodatkowo chroniony przez tarczę. Kilku pozostawił w odwodzie z miotaczami płomieni na wypadek, gdyby opór okazał się nadspodziewanie silny. Nie potwierdziło się to jednak – napastnicy na prawo i lewo siekli mieczami i sztyletami, trup słał się gęsto, a na czele z szerokim uśmiechem na twarzy kroczył sam Bestia Rabban.

Na Giedi Primie często zabawiał się w polowanie na chłopców, specjalnie do tego celu przygotowywanych w wielkim więzieniu miasta Baronia. Sam ich wybierał, żeby potem uganiać się za nimi w ogrodzonej i bacznie chronionej Stanicy Leśnej. Jednak dzieci to nie to samo co dorośli, którzy często wykazywali o wiele większą pomysłowość i pasję w walce o życie. Dzieciom brakło trochę wyobraźni, a i strach nie był odpowiednio silny. Wiele z nich zresztą żywiło naiwną wiarę w Boga, który jakimś cudem miałby je uratować. Niekiedy modliły się aż do ostatniej chwili.

W tych wioskach Rabban zorientował się jednak, że z dzieci może być znacznie większy pożytek, niż przypuszczał. Nawet nie sądził, że tyle uciechy można mieć, wpatrując się w twarze rodziców, którzy muszą patrzeć, jak ich dzieci poddawane są torturom.

Z kolei w trzeciej wiosce, Wormson, odkrył, że strach ofiar można spotęgować, kiedy proklamację barona wręczy się im przed rozpoczęciem akcji, by dokładnie wiedziały, co je czeka.

To były chwile, w których Rabban był dumny z tego, że jest Harkonnenem.

Niepotrzebny nam status Wysokiego Rodu, gdyż to my przyczyniliśmy się do położenia podwalin Cesarstwa. Wszystkie inne siły muszą zabiegać o naszą zgodę, aby mogły zrealizować swe cele.

Manifest Komitetu Doradczego Gildii Kosmicznej

Targany wymiotami Gildianin zwijał się z bólu. Jego wykrzywiona twarz ociekała potem.

Czterech głównych specjalistów medycznych na Krzyżowniku bezradnie spoglądało na siebie – nie wiedzieli, jak mu pomóc. Koordynatora lotów umieszczono w separacie w budynku, który służył bardziej jako instytut badawczy niż szpital. Wysocy urzędnicy Gildii spożywali takie ilości melanżu, że bardzo rzadko mieli jakiegokolwiek problemy ze zdrowiem i dlatego pomoc medyczna nie była zwykle potrzebna. Zresztą nawet wybitny absolwent akademii Suk miałby najpewniej ogromne kłopoty ze zdiagnozowaniem istoty o tak bardzo przekształconym metabolizmie.

– Same pytania bez odpowiedzi – rzekł jeden ze specjalistów. – Czy ktokolwiek z was wie, co tu się stało?

– To reakcja na melanż – mruknął jeden z pozostałej trójki, mężczyzna o resztkach niebieskich włosów na głowie i brwiach tak krzaczastych, że prawie nie było widać spod nich oczu.

– Dlaczego jednak nagle miałby tak drastycznie zareagować na codzienną dawkę melanżu? –

odezwał się inny. – To jakiś absurd.

Wszyscy czterej byli do siebie niepodobni, ale mówili tym samym monotonnym głosem.

Pacjentem znowu targnął spazm mdłości. Specjaliści wymienili spojrzenia, ale w tej samej chwili błysnęło światelko i na ścianie rozjarzył się ekran z wynikami ostatnich analiz. Wszyscy przebiegli wzrokiem komunikat, ale jeden z mężczyzn na wszelki wypadek odczytał go na głos.

– Zanieczyszczony melanz. Zmieniony skład chemiczny. Stąd taka reakcja organizmu.

– Jak to zanieczyszczony? Czy ktoś celowo dodał jakiejś trucizny?

Teraz wyświetliły się szczegółowe informacje. Po ich odczytaniu specjaliści spojrzeli na koordynatora ciskającego się w konwulsjach. Nie wiadomo, czy w ogóle zdawał sobie sprawę z ich obecności w pokoju.

– Przeżyje?

– A skąd można to wiedzieć?

– Być może to drugi przypadek – powiedział niebieskowłosy. – Coś podobnego zdarzyło się z Nawigatorem liniowca, który niedawno miał wypadek.

– Nie zakończyliśmy jeszcze przesłuchiwać pasażerów, po części dlatego, że musimy to robić z zachowaniem najwyższej dyskrecji.

– Trzeci przypadek – sprostował trzeci z mężczyzn – jeśli uznać, że było to przyczyną katastrofy na Wallach IX. Zanieczyszczony melanz może znajdować się już w całym Cesarstwie.

– Nie wiadomo, czy była to ta sama przyczyna – zaprotestował czwarty. – Koordynator miał przyprawę, która, jak ustaliliśmy, pochodziła od kupca z Beakkalu. Nie można wykluczyć, że tamtejsze władze starają się upłynnić swoje zapasy w strachu przed Cesarzem. Ale obaj Sternicy otrzymali przyprawę pochodzącą bezpośrednio z Arrakis.

– To jakaś tajemnicza sprawa.

– Przyprawa musi napływać nieustannie.

– Skoro jej pozyskiwanie i przetwarzanie dokonuje się pod kontrolą Cesarza, nie pozostaje nam nic innego, jak zwrócić się z pytaniem do rodu Korrinów.

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami i spojrzeli w okno wychodzące na Honorowe Pole Nawigatorów, gdzie pojawiły się kolejne dwa bloki upamiętniające pilotów obu liniowców. W hermetycznym pojemniku sunął nad Polem Nawigator, który miał poprowadzić jeden z liniowców. Rozpamiętując nieszczęśliwe wypadki, zarazem łączył się z Wyrocznią Nieskończoności.

Tymczasem koordynator krzyknął straszliwie, a z ust chlusnęła mu krew. Wygięty, cierpiał niczym średniowieczny skazaniec rozciągany na kole. Specjaliści patrzyli, jak kona, w agonii zrywając sobie ścięgna i mięśnie.

– Musimy zwrócić się do Szaddama IV – postanowili. – Nie ma innego rozwiązania.

Sposób, w jaki stawiasz pytania, ujawnia twe ograniczenia: jakie odpowiedzi zaakceptujesz, a jakie odrzucisz lub jakich nie pojmiesz.

Karrben Fethr,
Szaleństwo polityki cesarskiej

Szaddam był pewny, że po lekcjach, jakich udzielił niedowiarkom na Zanovarze i Koronie, teraz wszystko potoczy się gładko. Gdyby jeszcze udało się odciąć stały dopływ przyprawy z Arrakis,

miałby całe Cesarstwo w ręku.

Mistrz Badań Ajidica nadesłał kolejny entuzjastyczny raport: ama! pomyślnie przeszedł wszystkie testy. Oddzielnie nadeszła informacja od dowódcy kontyngentu sardaukarów na Ix, Cando Garona, syna Najwyższego Baszy. Ten potwierdzał słowa Ajidicy. Szaddam miał się z czego cieszyć.

Teraz nadchodził czas produkcji na wielką skalę. Po tym, jak usunięte zostały wszystkie wątpliwości, trzeba się zabrać do tego bez żadnej zwłoki.

W mundurowych spodniach sardaukarów i wojskowej koszuli siedział za biurkiem i oglądał holotransmisję z obrad Landsraadu, który nadal rozważał prawne aspekty jego ataku przeciwko Richese, mimo że widać było, iż głosy protestu nie mogą liczyć na poparcie i absolutnie nie ma mowy o żadnym wotum nieufności. Dlaczego w ogóle więc nie zaprzestali tych bezproduktywnych zebrań?

Fenring z całą pewnością przesadzał z obawą wobec Landsraadu. Okazało się, że to Szaddam miał rację. Wyglądało na to, że wszystko układa się bardzo dobrze.

Zaskoczyło go nieco to, że do ostatniego raportu Ajidica dołączył pytanie o stan zdrowia hrabiego. Może Fenring był ostatnio narażony na zbyt wiele stresów, może powinien nakazać mu powrót na Arrakis...

Dywagacje przerwał mu szambelan Ridondo, dziwnie jak na niego podenerwowany.

– Najjaśniejszy Panie, specjalny wysłannik Gildii Kosmicznej nalega na jak najszybszą audiencję.

Szaddam nie znoślił, gdy go do czegokolwiek przymuszano, z drugiej jednak strony nawet Cesarz nie mógł sobie pozwolić na ostentacyjne lekceważenie Gildii.

– Dlaczego bez wcześniejszej zapowiedzi? – Prychnął, by ukryć zakłopotanie zaistniałą sytuacją. – Kto jak kto, ale Gildia ma łatwy dostęp do cesarskich kurierów.

– Nie wiem, Najjaśniejszy Panie. Wysłannik czeka w przedpokoju.

W gabinecie zjawił się wysoki albinos o gęstych bokobrodach. Bez przedstawienia się sięgnął po fotel odciążaczowy – gdy usiadł na nim, wydawał się jeszcze wyższy – i spojrzał Cesarzowi prosto w oczy.

Szaddam sięgnął po wykałaczkę z elakki, mającą naturalny posmak pomarańczowy, i zaczął dłużyć ją w zębach.

– Z kim to mam przyjemność? Jest pan prezesem Gildii czy jednym z autorów przerażająco nudnych raportów? Jak mam pana tytułować? Jaka jest pańska ranga?

– A co to ma za znaczenie?

– Jestem Cesarzem Miliona Planet – odparł Szaddam, nadal ostentacyjnie dłużyć w zębach – i muszę nader oszczędnie gospodarować czasem.

– Tej rozmowy z pewnością nie uzna Jego Cesarska Mość za czas stracony. – Wydawało się, że głowa Gildianina, wąska u góry, szeroka na wysokości szczęk, uległa jakiejś gwałtownej deformacji.

– Wiadomość ta trzymana jest w tajemnicy, ale Gildia przeżyła ostatnio katastrofę dwóch wielkich liniowców. Jeden rozbił się na Wallach. Nie przeżył nikt z załogi i pasażerów.

Szaddam nie posiadał się ze zdumienia.

– Czy szkoła Bene Gesserit została zniszczona?

– Nie, Najjaśniejszy Panie. Do katastrofy doszło w znacznej odległości od szkoły.

Szaddam skrzywił się z rozczarowaniem.

– Wspomniał pan o dwóch wypadkach.

– Drugi z liniowców stracił orientację w przestrzeni, znalazł się poza granicami znanego kosmosu, ale Nawigatorowi udało się wyprowadzić go w pobliże Krzyżownika. Nasze wstępne badania sugerują, że przyczyną był zanieczyszczony melanz w zasobnikach Nawigatorów. Potem jeden z

naszych wysokich urzędników zatrul się melanżem zakupionym – jak udało nam się ustalić – na Beakkalu. Zbadaliśmy tę porcję przyprawy. Przy zachowaniu zewnętrznej postaci ma skład chemiczny zmieniony na tyle, że powoduje straszliwe cierpienia i śmierć.

Szaddam odłożył wykałaczkę. Skąd jakaś prowincjonalna planeta mogła mieć skażoną przyprawę? Czyżby sami produkowali podróbki? Wyrznął pięścią w stół.

– Beakkal nie ma prawa posiadać przyprawy w ilościach handlowych! Kolejny nielegalny skład! Ile tego było?

– Właśnie to ustalamy, Najjaśniejszy Panie. Nawiasem mówiąc, sądząc po prowadzonych przez niego transakcjach, wydaje się, że premier Beakkalu ma prawdziwy skarb przyprawowy.

Ogarnęła go wściekłość, pełna zarazem radosnej antycypacji. Czy Wysokie Rody są naprawdę aż tak bezmyślne? Któraś nauczka w końcu odniesie skutek, należało więc udzielić następnej.

– Proszę dalej prowadzić badania i informować mnie na bieżąco. Sprawą Beakkalu zajmę się sam.

Teraz sięgnie po inne rozwiązanie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie porozmawiać z Fenringiem, ale potem zrezygnował z tego pomysłu. Niechże to będzie niespodzianka. Dla wszystkich.

Anirula szykowała się do snu po miłej kolacji z najstarszą córką i Jessiką. Była zachwycona dojrzewającą kobiecością Irulany, jej wrażliwością i inteligencją: prawdziwa księżniczka. I nagle zniknął cały spokój i znowu rozpętało się piekło.

Powróciły głosy i nawet współczująca Lobia nie potrafiła ich poskromić. Anirula padła na kolana i udało jej się wyczołgać z sypialni. Wezwana przez służącą Jessika przeniosła ją do łóżka i wezwała Yohsę. Zaraz zjawily się też Margot Fenring i Mohiam.

Yohsa zbadała Anirulę i natychmiast podała jej silny środek znieczulający. Kwisatz Matka, spocona i drżąca, leżała, dysząc jak po ciężkim biegu. Siostra Yohsa z niepokojem pokręciła głową. Mohiam kazała Jessice wyjść, aby nadmierne emocje nie wpłynęły źle także na jej stan.

– Chyba powróciła z mora piaskala – powiedziała stojąca u nóg łóżka Margot. – Chyba wydaje się jej teraz, że jest na pustyni.

Mohiam zmrużonymi oczami wpatrywała się w kobietę, która jakby ze wszystkich sił broniła się przed snem: próbowała szeroko otwierać oczy, ale powieki ociężałe same opadały.

– Znowu zaatakowała ją Pamięć Innych – powiedziała Yohsa. – Wydaje się, że w umyśle Aniruli drzwi nie chcą się domknąć, a czasami na przekór jej woli stają otworem. To może pchnąć ją do samobójstwa albo innych gwałtownych czynów. Może zagrozić nawet którejś z nas. Musimy się jej przyglądać bardzo uważnie.

Podstawowe prawo wszechświata powiada, że nie ma w nim neutralności, czystej obiektywności, nie ma absolutnej prawdy niezależnej od praktycznych lekcji, w jakich się jej nabywa. Zanim Ix stała się prawdziwą potęgą wynalazczości, naukowcy tradycyjnie ukrywali swe uprzedzenia za fasadą obiektywizmu i badawczej bezstronności.

**Dominik Vernius,
Sekretne dzieła Ix**

Władze Beakkalu popełniły błąd i to bardzo poważny.

Kiedy sześć miesięcy temu przybyli Tleilaxanie, pragnący za wszelką cenę uzyskać dostęp do genetycznych próbek Atrydów i Verniusów zawartych w szczątkach cmentarnych, aby przełamać opór swych rozmówców, zaproponowali jako zapłatę ogromną ilość przyprawy, która nie została wymieniona w żadnych oficjalnych rejestrach. Wtedy interes wydawał się bardzo korzystny dla gospodarki Beakkalu.

Po bezpardonowym ataku księcia Leta premier Beakkalu zaczął przyprawą regulować należności, w dużej mierze związane z likwidacją szkód. Melanż przechodził z rąk do rąk, jakaś jego część trafiła do Gildii... i stała się przyczyną śmierci koordynatora, co z kolei zaowocowało informacją przekazaną Cesarzowi.

Kiedy Szaddam wysyłał sardaukarów na karną ekspedycję, nie wiedział, że na Beakkalu nie ma już żadnych niezgodnych z prawem zasobów melanżu, a z kolei sam premier nie miał pojęcia, że w Łapówce otrzymał od Tleilaxan nie oryginalną przyprawę, lecz nieprzebadaną jeszcze wersję syntetyczną.

Liniowiec dostarczył dowodzone przez Zum Garona wojsko cesarskie na Sansin, pobliski asteroid stanowiący centrum handlowe systemu Liabic, do którego należał też Beakkal. Ciężkie statki bojowe wycofały się poza asteroid. Krążowniki, decymele, łamacze, transportery oddziałów zawisły nieopodal niego niczym zaciśnięta pancerna pięść. Szaddam kazał zademonstrować potęgę i... czekać.

Kiedy satelity defensywne doniosły o pojawieniu się złowrogiej flotylli, na Beakkalu zapanowała panika. Część mieszkańców rzuciła się do podziemnych schronów, część uciekła w leśne głusze.

Władze natomiast postanowiły się bronić. Premier rozkazał statkom bojowym zająć pozycje defensywne na orbitach wokółplanetarnych, a na planecie ogłosił mobilizację. Z arsenałów wydobyto dawno nie używaną broń, z szaf – zapomniane już mundury.

– Leto Atryda uderzył z zaskoczenia i nie mieliśmy szansy się bronić – oznajmił premier w publicznym wystąpieniu. – Wiemy, jak okrutnie postąpił władający nami Cesarz z Zanovarem i sztucznym satelitą Richese. My jednak nie będziemy pokornie czekać na rzeź! Być może nie uda nam się odeprzeć ataku sardaukarów, ale przynajmniej każemy im drogo za niego zapłacić.

Statki cesarskie nadal trwały na swych pozycjach, a Zum Garon wysłał lakoniczne oświadczenie: „Na rozkaz Cesarza Szaddama IV planeta Beakkal będzie oblegana do chwili, gdy dzierżyciel lenna albo potwierdzi zarzut o nielegalne przechowywanie przyprawy, albo dowiedzie swojej niewinności”. Nie wysyłał dalszych ostrzeżeń ani ultimatum.

Całą dobę flotylla cesarska nie wykonała żadnego manewru. W tym czasie premier wygłosił pięć przemówień, na przemian buńczucznych i błagających Szaddama o litość.

Rada ministrów nieprzerwanie obradowała za zamkniętymi drzwiami. Premier, tęgi mężczyzna o rudych wąsach i jasnej brodzie, siedział na wyróżnionym miejscu przy okrągłym stole, po lewej i prawej mając swych ministrów. Ubrany w urzędową ciemnozieloną togę, spoglądał na każdą osobę, która zabierała głos, najczęściej jednak wprost przed siebie.

Ministrowie mieli na sobie obcisłe spodnie i białe tuniki z emblematami wskazującymi ich funkcje. Były wśród nich także kobiety, z których jedna powiedziała szorstkim głosem:

– Ale przecież nie mamy już tej przyprawy, cała się rozeszła! Cesarz nie potrafi dowieść swego oskarżenia.

– Co to za różnica – odezwał się jeden z mężczyzn. – Dobrze wie, co zrobiliśmy, a poza tym nie zapłaciliśmy należnego Cesarzowi podatku. Łapówka jest także dochodem, a dochody są opodatkowane.

Ministrowie sprzeczekali się podniesionymi z emocji głosami.

– Gdyby Cesarzowi chodziło tylko o to, to moglibyśmy oszacować wartość przyprawy i zaproponować spłatę podatku wraz z grzywną... oczywiście w ratach, bo inaczej nas nie stać.

– Ale przepis w ogóle zakazuje posiadania melanzu ponad określony limit, niezależnie od kwestii fiskalnych. Chodzi jednak o to, aby żaden ród, czy to Wysoki czy Niski, nadmiernie się nie usamodzielniał, gdyż podkopałoby to pozycję ZNAH-u i groziło stabilności Cesarstwa.

– Jeśli statki cesarskie rozpoczną obłączenie i nie będą przepuszczać żadnych jednostek, będziemy zgubieni.

Spocony premier wpatrzył się w ekran ukazujący aktualną pozycję sardaukarów.

Nagle ożywił się minister handlu.

– Panie premierze, otrzymałem dziś wiadomość, że na Sansin jako porcie tranzytowym zatrzymały się dwie duże jednostki z artykułami pierwszej potrzeby. Można by je skonfiskować, należą do jednego z mało znaczących rodów.

– Skonfiskować bezzwłocznie – rozkazał premier i podniósł się na znak, że posiedzenie nareszcie dobiegło końca. – Musimy wykorzystać każdą szansę. Czasami należy dopomóc szczęściu.

Zaraz po tym, jak oddział z Beakkalu dokonał konfiskaty statków, cesarska flotylla rozstawiła się na stacjonarnej orbicie wokół planety. Nie podjęła żadnych działań ofensywnych, a Zum Garon rozkazał jedynie, by nie przepuszczać przez kordon żadnego pojazdu.

Premier z depresji popadł w stan bliski euforii.

– Przeczekamy ich! – oznajmił z platformy akustycznej, na którą wkroczył w swojej zielonej todze, ale za to bez brody, którą zgolił, by nadać twarzy surowości. – Mamy zapasy i siłę, aby przetrwać, gdyż oskarżono nas bezpodstawnie. – W tłumie rozległy się wprawdzie okrzyki, ale mniej w nich było entuzjazmu, a więcej strachu. – Prędzej niegodziwy władca zlegnie w grobie, niż my się poddamy.

Mówca wyrzucił w górę pięść w triumfalnym geście. Z dostrzegalnym wahaniem słuchacze poszli w jego ślady.

Statki sardaukarów trwały cierpliwie na swych pozycjach.

Błąd, przypadek i chaos są stałymi zasadami wszechświata.

Roczniki Historyczne Cesarstwa

– Jak dawno już nie graliśmy w kulę tarczową Hasimirze? – spytał Szaddam i zerknął na tablicę wyników, zadowolony, że prowadzi o jeden punkt. Znajdowali się na najwyższym piętrze pałacu w prywatnych pomieszczeniach Cesarza.

Hrabiemu jednak trudno było skupić się na grze. W zamyśleniu odwrócił się i podszedł do balkonu. W minionych czasach wspólnie uknuli wiele intryg, a nierzadko działo się to podczas partii kuli tarczowej – tak na przykład było z syntetyczną przyprawą. Teraz Fenring żałował tego pomysłu, na samym sobie doświadczywszy podstępności Mistrza Badań i jego Tancerza Oblicza. Co gorsza, testy liniowców zakończyły się katastrofą. Szaddam jednak nie dopuszczał do siebie żadnych złych myśli.

– To wszystko twoja wyobraźnia – orzekł. – Otrzymałem szczegółowy raport Gildii, z którego wynika, że na ich zakupy złożyła się partia zanieczyszczonego melanzu pochodzącego z nielegalnych

składów Beakkalu. Są przekonani, że ta sama trucizna jest odpowiedzialna za katastrofę liniowców. Ona, a nie twój amal.

– Skąd jednak pewność, Najjaśniejszy Panie? Gildia nie przekazała dokładnie, o jakie liniowce chodzi, a skoro ja...

– Powiedz mi, co łączy Beakkal z badaniami Ajidicy? – powiedział z pasją Szaddam. – Nic! – Raporty Ajidicy oraz entuzjastyczne potwierdzenia Cando Garona utwierdzały go w przekonaniu, że amal jest dokładnie tym, czym miał być. – Czy na własne oczy widziałeś kiedykolwiek, że amal nie działa tak, jak twierdzi Ajidica?

– Na własne oczy – nie, Najjaśniejszy Panie.

– Przestań więc szukać wymówek i wracaj do gry, która zapowiada się dla ciebie nie najlepiej. – Mechanizm ożył i Szaddam wycofał pręt sterujący. Kula podskoczyła i przez zawiły labirynt dotarła do celu. Szaddam zaliczył następny punkt i zaśmiał się chętnie. – Zmierz się z jakimś prawdziwym wyzwaniem.

– Dużo chyba ćwiczyłeś, Szaddamie, hmmm – powiedział Fenring ze złośliwym błyskiem w oczach. – Nie zaniedbujesz aby spraw państwowych?

– Hasimirze, spróbuj z honorem znieść porażkę.

– Jeszcze nie przegrałem, Najjaśniejszy Panie.

Na nocnym niebie nad Kaitain migotały pastelowe zorze. Cesarz Padyszach nakazał, by z satelitów rozsiewać rzadkie gazy, które po zjonizowaniu wzbogacały barwy zórz. Lubił oświetlone niebo.

Fenring wrócił do gry.

– Rad jestem, że z Beakkalem nie postąpiłeś tak bezpardonowo jak z Zanovarem. Oblężenie jest adekwatnym posunięciem, jako że dowody nie uzasadniały, hmmm, bardziej zdecydowanej akcji. Na Beakkalu nie ma już najpewniej ani grama nielegalnej przyprawy. Pamiętaj, że po ataku Atrydy mieli znaczne wydatki.

– Dowody są nie do zbiccia, szczególnie dwa wypadki liniowców. – Szaddam gestem ponaglił Fenringa, ten jednak ociągał się z rozpoczęciem gry. – Nawet jeśli wszystko już rozprowadzili, to i posiadanie przyprawy, i handel nią naruszały prawo cesarskie.

– Hmmm, ale jeśli nie skonfiskujesz melanzu, nie będziesz miał czym opłacić poparcia Gildii i ZNAH-u, w przypadku więc kolejnego aktu przemocy nie możesz być pewien, że dalej będą stać za tobą.

Szaddam uśmiechnął się chytrze.

– I właśnie dlatego musiałem sięgnąć po subtelniejsze rozwiązanie.

Fenring delikatnie skrzywił się na samą wzmiankę o subtelności Szaddama.

– Jak długo zamierzasz utrzymywać to oblężenie? Wystraszyłeś ich już dostatecznie, co jeszcze chcesz osiągnąć?

– Patrz i ucz się, Hasimirze – rzekł protekcjonalnie Szaddam i statecznym krokiem okrążył stół, chociaż widać było jednocześnie, że niczym mały chłopiec aż pali się do wyjawienia tajemnicy. – Niedługo objawi się prawdziwa natura oblężenia. Nie chodzi mi bynajmniej o to tylko, aby nie dopuścić do Beakkal żadnych dostaw. Chodzi o coś więcej. Ja ich nie zniszczę, zrobią to sami.

Na twarzy Fenringa pojawiło się zaniepokojenie.

– Nie lepiej było wcześniej skonsultować się ze mną, Najjaśniejszy Panie?

– I bez twojej pomocy świetnie sobie radzę z planami.

Hrabia uznał, że nie czas teraz na spory. Sięgnął po rękojeść, wprowadził do gry kolejną kulę i, niezbyt zręcznie nią kierując, uzyskał wynik bardziej niż przeciętny. W tej chwili wolał nie wykazywać swojej wyższości.

Szaddama nie trzeba było nawet zachęcać do dalszych wyznań.

– Kiedy moi sardaukarowie nieco zwlekali z domknięciem okrążenia, premier Beakkalu wykorzystał sposobność i po piracku zagarnął dwa statki żywnościowe, które przypadkiem znalazły się na Sansinie. Zakładałem, że tak postąpi, bo też, powiedzmy między nami, tak do końca nie był to przypadek.

– Aha – mruknął Fenring, zdziwiony, że Szaddam nie rzucił się do gry, aby powiększyć swoją przewagę. – Rozumiem zatem, że rozmyślnie dostarczyłeś mieszkańcom Beakkalu zasoby, które, hmmm, pozwolą im przynajmniej przez jakiś czas nie przejmować się oblężeniem.

– I to jest właśnie pułapka – zachichotał Szaddam. – Pan premier już niebawem przystąpi bezwiednie do realizacji mego planu. – Fenring uniósł brew i czekał. – Otóż porwane statki pełne są skażonego ziarna i innych trujących towarów. Pięknym za nadobne.

Fenring zamrugnął ze zdumienia.

– Skażone? Czym?

– Bardzo niebezpiecznym zarazkiem, który dla bezpieczeństwa kazałem przebadać na jednej z najodleglejszych i niezamieszkanyc planet. Żeby nie zwracać uwagi, do transportu użyto nieoznakowanych, niczym się nie wyróżniających jednostek. – Fenring dostał gęziej skórki, ale Szaddam był zachwycony swą przebiegłością. – Pan premier posunął się do kradzieży, a teraz nie minie kilka dni, jak zaczną marnieć zasiewy, a lasy stracą listowie. Cóż za tragedia, doprawdy.

Fenringowi nawet do głowy nie przyszło, że Szaddam – po przypadku Korony – może posunąć się do czegoś takiego. Ale nawet użycie broni atomowej przeciw sztuczemu satelicie i nieoczekiwane oślepienie tak wielu Richesan nie równało się z zaatakowaniem całego ekosystemu planety.

– I, jak przypuszczam, nie można już jej zapobiec?

– Nie, na szczęście jednak to, co zaplanowane zostało jako oblężenie, teraz stanie się kordonem sanitarnym. Nie można przecież dopuścić do tego, żeby zaraza rozniosła się na inne planety. Prawda, Hasimirze? – Szaddam znowu zachichotał. – Przyznasz chyba, że tym razem okazałem się lepszy od ciebie?

Fenring z trudem powstrzymał jęknięcie. Owszem, Szaddam go przelicytował, ale zmierzał w złym kierunku.

Premier Richese, Ein Calimar, patrzył, jak w porcie kosmicznym Centrum Triadycznego lądują wysłane przez Leta statki z niezwykle potrzebną pomocą dla ofiar wybuchu na Koronie. Płakałby, gdyby jeszcze potrafił.

Załogi atrydzkie przywiozły kosztowne środki medyczne, a także wyroby rybne i ryż pundi. Richese nie należało wprowadzić do ubogich, ale utrata sztucznego satelity laboratoryjnego – z czym wiązało się także przerwanie prac nad generatorem niewidzialności oraz zniszczenie wielkiego zapasu zwierciadeł – oznaczała ogromną stratę dla jego gospodarki.

Stary hrabia Richese w otoczeniu dzieci i wnuków stanął na pomoście dla witających, aby z honorami przywitać załogi statków. Cztery z jego córek oraz jeden wnuk oślepli w deszczu okrucich zwierciadlanych, a bratanek, Haloa Rund, zginął na Koronie. Jako członkowie rodu Richesów należeli do tych ofiar, które pierwsze miały otrzymać pomoc.

Hrabia ubrał urzędowy kaftan ozdobiony mnóstwem medali, nierzadko ręcznie wykonanych przez kogoś z członków rodziny. Podniósł obie dłonie i zawołał:

– Z wdzięcznością przyjmujemy ten gest ze strony mego wnuka, księcia Leta Atrydy. Po raz kolejny okazał się szlachetnym człowiekiem o wielkim sercu. Jego matka zawsze to powtarzała.

Z oczu hrabiego potoczyły się łzy.

W kilka godzin, w pośpiesznie postawionych namiotach, zorganizowano punkty dystrybucji, a żołnierze Atrydów pilnowali porządku w kolejkach i sami wyszukiwali najbardziej potrzebujących. Z ogrodu na dachu, gdzie nikt nie mógł go zauważyć, wszystko to oglądał premier, który unikał kontaktu z przybyłymi.

Książę Leto na pewno zdobędzie sobie powszechne uznanie, zdecydował się jednak na pomoc zbyt późno, aby Calimar uważał go za prawdziwego zbawcę. Pierwsi pojawili się Tleilaxanie.

Ledwie rozeszła się wieść o ślepcie na Richese, natychmiast na planecie zaroilo się od kupców oferujących protezy oczu. Myśleli tylko o zysku, niemniej jednak powitano ich z radością gdyż dawali coś więcej niż tylko nadzieję czy puste słowa pocieszenia.

Calimar odruchowo poprawił na nosie złote okulary. Bez mrugania wchłaniał wszystkie szczegóły, a wchłaniał gładkimi, metalowymi oczami z Tleilaxu...

W codziennym życiu wiele jest porażek, które jednak nie powinny zabijać pamięci o pięknych rzeczach, które się wydarzyły.

lady Shando Vernius

Liet-Kynes, skryty ze swymi ludźmi w chłodnej szczelinie formacji skalnej, patrzył przez lornetkę na płaską solną panew. W wibrującym nad nią rozgrzanym powietrzu rodziły się ulotne widma. Przekazał lornetkę jednemu z Wolan, a sam wpatrzył się w dal zmrużonymi oczami.

Punktualnie o umówionej godzinie na niebie pokazał się czarny ornitopter, lecący tak wysoko, że nie słyhać było warkotu silników ani skrzydeł. Potem nagle niczym kamień zleciał w dół, wyhamował i dostojnie osiadł na piasku. Tym razem nie miał na sobie wymalowanego piaskala.

Liet uśmiechnął się lekko. „Ailric dał sobie spokój z pustymi gestami, a przynajmniej z tymi najbardziej ostentacyjnymi”. Silniki ornitoptera umilkły. Liet nie dostrzegł niczego niepokojącego, na wszelki wypadek spojrzął na swoich towarzyszy, ale i oni pokiwali głowami.

Kiedy dziób maszyny pochylił się i przemienił w rampę, Liet wyszedł ze swym oddziałem z ukrycia. Otrzeпали dżubby i destylozony. Czterech Wolan uginało się pod ciężarem melanzu, który w sprasowanej postaci uzyskano z ganimy, czyli wojennego łupu zdobytego na Harkonnenach w Obozie Bilarnym.

Spełnili zastrzone wymogi Gildii.

Tym razem stwór w pojeździe miał przerobiony destylozon. Była to marna wersja, źle dopasowana, na dole byle jak okręcona wokół dziwacznych wypukłości ciała Ailrica.

Gildianin najwidoczniej nie zdawał sobie sprawy z tego, jak komicznie wygląda, szczególnie że starał się zachowywać jak wytrawny znawca pustyni. Zdjął maskę z twarzy i oznajmił:

– Kazano mi pozostać na razie na Arrakis, gdyż podróże liniowcami stały się odrobinę... nieprzewidywalne.

Liet nic nie odpowiedział. Nie widział sensu w grzecznościowych pogawędkach, a Ailric stanął sztywno, w bardziej formalnej pozie.

– Nie spodziewałem się zobaczyć cię tym razem, panie pół-Wolaninie – ciągnął swym syntetycznym głosem Gildianin. – Myślałem, że teraz jako przedstawiciel wystąpi jakiś pełnokrwisty krajowiec.

Liet uśmiechnął się niechętnie.

– Może to ja powinienem zabrać twoje wody dla plemienia w nadziei, że na twoje miejsce Gildia wyznaczy kogoś mniej gadatliwego i obcesowego.

Ailric rzucił okiem na brzemień ustawione koło ornitoptera.

– Macie wszystko?

– Co do grama.

Ailric podtoczył swój pojazd odrobinę bliżej.

– Powiedz mi, panie pół-Wolaninie, jakim sposobem biednych mieszkańców pustyni stać na taki wydatek?

Liet, oczywiście, ani myślał informować obcoświatowca, że Wolanie sami zbierają melanz, a także zdobywają go na Harkonnenach.

– Nazwij to błogosławieństwem Szej-huluda.

Przedstawiciel Gildii zaśmiał się chrapliwie. „Ci Wolanie mają możliwości, o jakie nikt ich nie podejrzewa”.

– A jak będzie z następną ratą?

– O to zatroszczy się Szej-hulud. Jak zawsze. – Wiedząc, że Gildia nie chciałaby utracić lukratywnego interesu, powiedział ostrzegawczo: – Ale pamiętaj, żadnych więcej podwyżek!

– Obecne warunki jak na razie nas satysfakcjonują.

– To dobrze. A ja udzielę ci w zamian ważnej dla Gildii informacji. Nie będzie cię nic kosztować, a zrobisz z nią, co zechcesz.

W prostokątnych żrenicach Gildianina widać było ciekawość. Liet odczekał chwilę, aby jeszcze zwiększyć napięcie. Chcąc zemścić się na Wolanach, Bestia Rabban zniszczył trzy wioski położone na krawędzi Muru Zaporowego, zamieszkane przez ludzi, których Wolanie lekceważyli, bo nazbyt już poddali się wymogom życia miejskiego. To jednak niczego nie zmieniało: był to haniebny akt, a ofiary były całkowicie niewinne. Chociaż więc Liet, Abu Naib wszystkich plemion pustynnych, nie miał wobec nich żadnych zobowiązań, to jednak postanowił wziąć za nie odwet. I to za pomocą Gildii Kosmicznej. Z góry wiedząc, jaka będzie reakcja Ailrica, oznajmił:

– Harkonnenowie mają na Arrakis ogromne magazyny przyprawy, o których nic nie wiedzą ani Cesarz, ani Gildia.

Ailric wydał z siebie przeciągłe syknięcie.

– To interesujące. A w jaki sposób baron zdobył tę przyprawę? Przecież dokładnie nadzorujemy wydobywanie i eksport. Także ZNAH nie wykrył żadnych niezgodności.

Kynes uśmiechnął się z przekąsem.

– To dowodzi, że Harkonnenowie są sprytniejsi od Gildii i ZNAH-u.

Tego tematu Ailric nie chciał dalej zgłębiać.

– Gdzie są te magazyny? Potrzebne nam szczegółowe dane, jeśli mamy o tym przekazać informację tam, gdzie potrzeba.

– Harkonnenowie często zmieniają ich lokalizację, aby utrudnić wykrycie, my jednak zawsze potrafimy je bez trudu znaleźć.

Ailric zastanawiał się przez długą chwilę, nie zważając na palące promienie słońca. Cała przyprawa pochodziła tylko i wyłącznie z Arrakis. A jeśli to Harkonnenowie spowodowali skażenie, będące przyczyną katastrofy dwóch liniowców i śmierci kilku Gildian?

– Muszę tę sprawę przedyskutować ze zwierzchnikami.

W milczeniu przypatrywał się, jak skarb Wolan niknie w ornitopterze. Jego wartość uzasadniała wszelkie ryzyko, ale należało jeszcze dokładnie sprawdzić czystość substancji. Jeśli wszystko będzie w porządku, czekała go ogromna prowizja. Dla niej warto było znieść nawet większy upał.

Kiedy załadunek został zakończony, Liet bez słowa obrócił się na pięcie i odszedł, a za nim podążyła reszta oddziału.

Są ludzie, którzy zazdroszczą swoim władcom, marzą o panowaniu, zasiadaniu w Landsraadzie, swobodnym dostępie do melanżu. Ci nigdy nie rozumieją, jak trudno jest władcy podejmować najprostsze decyzje.

Cesarz Szaddam IV Korrino, niedokończony szkic autobiografii

Chociaż Thufir Hawat już długie lata służył na dworze Atrydów, to przecież rzadko był tak zasepiony jak teraz. Zerknął na służących i kucharzy krzątających się przy popołudniowych zajęciach i mruknął:

– To naprawdę poważna sytuacja, mój książę. Powinniśmy o niej porozmawiać gdzieś na osobności.

Leto rozejrzał się po zamkowej kuchni, z radością zaciągnął się aromatem przypraw, pieczonego chleba, bulgoczących sosów, spojrzał na dziarsko trzaskający pod płytami kuchennymi ogień i powiedział:

– Thufirze, jeśli nawet we własnej kuchni mam się lękać szpiegów Harkonnenów, to w ogóle powinniśmy zrezygnować z jedzenia czegokolwiek.

Cały personel sumiennie wykonywał swoje obowiązki, nie zwracając uwagi na księcia i jednego z jego najbliższych zauszników. Mentat krótko kiwnął głową jakby przychyłał się do sugestii władcy.

– Mój książę, ja zawsze stanowczo doradzałem, by wykrywacz trucizn badał każdą potrawę przed spożyciem jej przez ciebie.

Leto jak zwykle machnął niecierpliwie ręką. Zatrzymał się przy zlewie, gdzie młody kuchcik czyścił tłuste błyszczyki dostarczone dopiero co z przystani. Książę przyjrzał się ze znawstwem rybom, kiwnął z aprobatą głową i spojrzał przez ramię młodej dziewczynie, która sortowała świeże grzyby i zioła. Zerknęła na niego z ukosa i uśmiechnęła się zalotnie, a kiedy odpowiedział uśmiechem, zaczerwieniła się i jeszcze bardziej skupiła na pracy.

Zjawił się Duncan Idaho.

– Leto, musimy rozważyć najróżniejsze warianty. Błędne decyzje oznaczają dla naszych ludzi zgubę.

Spojrzenie księcia natychmiast stwardniało.

– A zatem nie wolno nam podejmować błędnych decyzji. Czy dotarł już kurier z Krzyżownika? Jakież nowe informacje?

Duncan potrząsnął głową.

– Wiemy jedynie tyle, że liniowiec z Gurneyem i księciem Rhomburem zboczył z drogi, ale potem powrócił do głównej siedziby Gildii. Wszystkich pasażerów przesłuchano, Gildia odmawia jednak informacji, czy zostali już dostarczeni do pierwotnych celów podróży.

Hawat prychnął niecierpliwie.

– Zatem dalej mogą ślęczeć na Krzyżowniku, chociaż zgodnie z planem od miesiąca powinni być na Ix. Nawet jeśli tam są to dotarli ze zwłoką, mamy więc już pierwsze odstępstwo od planu.

– Zwykle tak jest, Thufirze – zauważył Leto – i gdybyśmy przy każdym odstępstwie rezygnowali z

dalszych działań, niczego byśmy nigdy nie osiągnęli.

– Coś bardzo podobnego mówił jeden z mych nauczycieli na Ginaz – powiedział z uśmiechem Duncan.

Thufir wydał purpurowe od safo wargi.

– Dobrze, ale nie możemy za reguły uznawać porzekadeł tam, gdzie stawka jest życie wielu ludzi. Musimy podjąć właściwą decyzję.

Leto zerknął na piekarzy starannie przygotowujących bochny do włożenia do pieców. Był pewien, że ich staranność nie wynika tylko z jego obecności w kuchni.

Bardzo mu doskwierała nieobecność Jessiki, Gurneya i Rhombura, bardzo jednak dbał o to, aby życie biegło utartym torem. Obmyślał plany, które dotyczyły całego Cesarstwa, pomagał Richese, z drugiej jednak strony dbał też o swe książęce obowiązki wobec poddanych, w ustalonych porach wysłuchiwał ich próśb i skarg i w ogóle robił wszystko, aby mieli wrażenie, że Kaladan jest tym samym przyjaznym miejscem, jakim był zawsze.

– Rozważmy taką możliwość – odezwał się Hawat. – Rhomburowi i Gurneyowi nie udaje się dotrzeć na Ix czy wzniecić tam rewolty, kiedy więc nasze wojska przystępują do ataku, siły Tleilaxan w niczym nie są osłabione, a zatem swoje wojska wysyłamy na rzeź.

Leto pokiwał głową.

– Sądysz, Thufirze, że sam o tym nie wiem?

– Z kolei, jeśli będziemy zwlekać z uderzeniem, a Rhombur i Gurney wzniecili już zamęt i trzymając się harmonogramu, na określoną porę zapowiedzieli powstanie... A tymczasem żadne wojska się nie pojawiają. I co wtedy?

Te słowa wywarły silne wrażenie na Duncanie.

– Wtedy Rhombur i Gurney albo zginą albo dostaną się w ręce Tleilaxan. Nie można do tego dopuścić, Leto!

Leto zamyślił się. Cokolwiek wybierze, obaj lojalnie podążą za nim, ale jaką powinien podjąć decyzję? Zapatrzył się na kuchmistrza, przygotowującego ciasto, za którym jeszcze w czasach przed katastrofą przepadał Rhombur. Na myśl o przyjacielu Leto poczuł niebezpieczne pieczenie w oku i odwrócił się. Po chwili przemówił:

– Ojciec niezmiennie powtarzał mi, że kiedy przychodzi wybierać, pierwszeństwo powinienem dawać ścieżce honoru. – Raz jeszcze ogarnął wzrokiem kuchnię i jej personel, myśląc zarazem o wszystkich swych poddanych. Tak, bardzo dużo zależało od tej decyzji. – Złożyłem przyrzeczenie Rhomburowi, a poprzez niego – mieszkańcom Ix i to mnie zobowiązuje. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby ta operacja się powiodła.

Odwrócił się, dając znak mistrzowi miecza i mentatowi, aby poszli za nim do prywatnego gabinetu.

Do przetrwania konieczne są pasja, zdolność i rozumienie ograniczeń. Musisz się nauczyć, czego od ciebie domaga się świat, czego potrzebuje. Każdy organizm odgrywa swoją rolę w podtrzymaniu jego ekosystemu. Każdy ma swoją niszę.

Cesarski Planetolog Liet-Kynes

Chociaż Krzyżownik stanowił główną siedzibę Gildii Kosmicznej, niewiele osób dobrowolnie

chciałoby tam mieszkać.

– Nie mogę znieść tego czekania! – pieklił się Rhombur. – Od dawna powinniśmy już być na Ix!

Mogli się poruszać tylko po terenie wydzielonym dla pasażerów, niedostępne zatem były dla nich hangary liniowców. Spacerowali w kółko po wynędzniałym trawniku przylegającym do baraków, gdzie spali. Rhombur przypuszczał, że mieściła się tu szkoła Nawigatorów, ale podejrzeń tych nie mógł zweryfikować, gdyż nikt nie odpowiadał na jego pytania.

Popołudniowe słońce było mdłe i przymglone.

Nie pomogły prośby, groźby ani propozycje łapówki: w żaden sposób nie mogli przesłać informacji na Kaladan. Gildia zatrzymała wszystkich pasażerów na Krzyżowniku, jak gdyby w ten sposób chciała zapobiec rozpowszechnieniu się wieści o zbłądzeniu liniowca i śmierci pilota, należało więc poważnie liczyć się z tym, że książę Leto nic nie wie o losie swych wysłanników i zakłada, że intensywnie działają na Ix, aby podburzać mieszkańców przeciw okupantom.

Ród Atrydów liczył na nich obu, jeśli więc rychło nie znajdą wyjścia z tej sytuacji, cała operacja może skończyć się klęską, w dużej mierze z ich winy.

Dręczony niepokojem i wyrzutami sumienia książę Vernius stracił płynność ruchów. Gurney słyszał odgłosy poruszających się mechanicznych części. Na wydzielonym terenie znalazły się setki innych pasażerów, którzy poczuwszy, że nic już nie zagraża ich życiu, teraz nieustannie utyskiwali na zaistniałą sytuację. Tymczasem bez zgody Gildii nie mieli żadnych szans na wydostanie się z Krzyżownika.

– „Boga poznaje się za sprawą nadziei” – Gurney zacytował Biblię Protestancko-Katolicką. – Nie mają powodu, by dłużej nas tu trzymać. Przecież przesłuchali już chyba wszystkich.

– Ale co im da wypytywanie pasażerów, którzy siedzieli zamknięci w swoich statkach?! – irytował się Rhombur. – I dlaczego nie pozwalają nam skontaktować się z Kaladanem? Niech to diabli!

– A gdybyś miał możliwość przekazania jakiejś informacji, czy doradzałbyś księciu odwołanie akcji? – spytał Gurney, chociaż właściwie wiedział, jak zabrzmiał odpowiedź.

– Przenigdy, Gurneyu! – odparł stanowczo Rhombur i zapatrzył się na zniszczoną trawę. – Ale muszę tam być, zanim wszystko się zacznie. Mamy ważne zadanie do wypełnienia.

Chociaż bez Verniusa i jego poświęcenia liniowiec najpewniej by się nie uratował, teraz przedstawiciele Gildii traktowali Rhombura i Gurneya jak wszystkich innych pasażerów. Uważali ich za materiał przewozowy, który trochę się opóźnił i który kiedyś trzeba będzie odesłać do miejsca pierwotnego przeznaczenia. W trakcie tego miesiąca wielokrotnie wypytywano ich o każde zdarzenie, niemal każdą chwilę spędzoną na pokładzie zaginionego liniowca. Gildię bardzo interesowało pochodzenie zatrutego melanzu, ale na ten temat ani książę, ani Halleck nic nie mieli do powiedzenia.

W drobnym geście protestu obaj przestali się golić. Zarost Gurneya był rzadki, jasny i nie pokrywał blizny po krwawinie, natomiast Rhombura – gęstszy i ciemniejszy, nie pokrywał protez.

Budynek, w którym spali, stanowił płataninę małych, podobnych do cel pokojów, gabinetów biurowych i sal, a wszystkie pomieszczenia naszpikowane były niespecjalnie nawet skrywanymi kamerami obserwacyjnymi. Gildia śledziła każdy ich ruch. Podobnie jak wszystkie inne konstrukcje w pobliżu, barak nosił wyraźne ślady remontów i napraw. Nikt nie troszczył się o estetykę, chodziło jedynie o funkcjonalność.

I nagle z głośnika popłynął obojętny, monotony głos.

– Wszyscy pasażerowie zostają zwolnieni, proszeni są więc o przejście do centralnego terminalu, aby stamtąd mogli zostać dostarczeni do miejsc, do których zmierzali. – Po chwili przerwy głos

dorzucił: – Przepraszamy za wszystkie zaistniałe niedogodności.

– Pójdę doglądać, żeby nasze kapsuły bojowe zostały załadowane i żeby nic z nich nie zniknęło – oznajmił Gurney.

– Idę z tobą – powiedział Rhombur. – Pamiętaj, że tam, gdzie chodzi o prace ładunkowe, ja jestem lepiej, by tak rzec, wyekwipowany.

I książkę zdecydowanym, znacznie płynniejszym niż przed chwilą krokiem ruszył ku terminalowi. Kończył się czas bezczynności, tak naprawdę dopiero teraz rozpoczynała się batalia o Ix.

Tleilaxanie to podle istoty, które wychynęły z mrocznych głębin genetyki. Nie wiemy, jak wygląda ich życie prywatne, nie znamy ich systemu motywacyjnego.

anonimowy raport dla Cesarza

Od kilku tygodni C'tair Pilru i przebrana Bene Gesserit Cristane wspólnie działali w mrocznych zakamarkach Ix. Jej pasja i determinacja dawały się porównać tylko z nienawiścią, jaką C'tair żywił do Tleilaxan. Korzystając ze swego wieloletniego doświadczenia, C'tair szybko nauczył ją na co należy uważać, czego się wystrzegać i jak wykorzystywać sieć zaniedbanych, a często i zapomnianych połączeń oraz miejsc, gdzie Tleilaxanie i sardaukarowie nigdy się nie pojawiali.

Okazało się, że Cristane jest nie tylko bardzo pojętna, ale potrafi także zabijać znacznie sprawniej niż jej towarzysz. Wprawdzie koncentrowała się na Projekcie Amal i jego związkach z melanzem, nigdy jednak nie przepuszczała też okazji, żeby zadać bolesne straty Tleilaxanom.

– Wspominałeś, że widziałeś coś w pawilonie laboratoryjnym – powiedziała. – Muszę się tam dostać i zorientować, o jakie eksperymenty chodzi. Taką otrzymałam misję.

Którejś nocy pochwycili jednego z Tleilaxan, aby wydobyć od niego, na czym polegają owe badania. Pomimo jednak zastosowania najbardziej niezawodnych technik Bene Gesserit, nie dowiedzieli się niczego. Najprawdopodobniej dlatego, że przesłuchiwany nic nie wiedział. Zdegustowana Cristane w końcu go zabiła. Potem C'tair zabił jednego z pracowników laboratorium, z którego również nie udało się im nic wycisnąć. Zaczynało to przypominać rywalizację. Mając w perspektywie rychłe przybycie Rhombura, C'tair nie czuł żadnych zahamowań i dawał upust swojej nienawiści.

Wiedział już, że D'murr nie żyje.

Cristane opowiedziała mu o katastrofie liniowca na Wallach IX, a także o drugim statku, który zagubił się gdzieś w przestrzeni. Wtedy on, dygocząc, opowiedział z kolei o ostatnim kontakcie z bratem, jego straszliwym krzyku przerażenia i rozpacz, który nagle się urwał. Już wtedy poczuł, że traci D'murra na zawsze.

Którejś bezsennej nocy, spędzanej w jednej z chronionych tarczą kryjówek, C'tair przewracał się na łóżku, myśląc o tym wszystkim i tych wszystkich, których utracił. Sądził, że Cristane jest pogrążona we śnie, ale nagle odezwała się:

– Bene Gesserit są uczone tego, aby nie okazywać uczuć, niemniej jednak wiem, jak cierpisz, C'tairze. Ja także przeżyłam ciężkie chwile. – Milczał, chociaż czuł, że pojawia się jakaś nowa więź między nimi. – Urodziłam się na Hagalu, bardzo szybko zostałam półsierotą. Ojczym mnie wykorzystywał... i siostry wiele lat musiały poświęcić na to, aby zaleczyć moje rany i uczynić ze mnie tę osobę, którą jestem dzisiaj.

Jej głos brzmiał dziwnie. Jeszcze nigdy w życiu nie mówiła o tym żadnemu mężczyźnie. Nie wiedziała dlaczego, ale bardzo chciała w tej chwili, aby ktoś to usłyszał.

Nie sprzeciwiła się, kiedy położył się obok niej. Sam nie był pewien swoich intencji, ale tyle czasu upłynęło od chwili, gdy zdejmował pancierz nieufności i podejrzliwości. Cristane leżała nieruchomo. Miała gładką fascynującą skórę, ale starał się o tym nie myśleć. Łatwo mogła go uwieść, ale nie zrobiła tego. Mówiła dalej.

– Jeśli uda się znaleźć drogę do tego laboratorium – powiedział – to czy będzie można jakoś pomóc Miral? Chociażby skracając jej cierpienia?

– Tak... Tylko najpierw musimy się tam dostać.

Ucałowała go lekko i szybko, on jednak był w tej chwili myślami przy Miral i uczuciu, które zrodziło się między nimi, zanim brutalnie mu ją zabrano...

Cristane zatrzymała się na chwilę przed wejściem chronionym szyfrem biologicznym, za którym znajdowała się wielka powierzchnia laboratorium pełnego zbiorników. Kiedy znajdzie się już w środku, najpewniej będzie musiała zabić swą siostrę zakonną, aby uwolnić ją od cierpień.

C'tair pomógł jej się przebrać w ukradziony jakiemś Tleilaxaninowi strój, a potem nałożył na twarz substancje, które nadały jej cerze szarawy odcień.

– No, teraz wyglądasz równie okropnie jak oni – sapnął na koniec z satysfakcją.

Na szczęście nikt po drodze jej nie zatrzymywał, nie zadawał kłopotliwych pytań. Potrafiła wprawdzie naśladować ich gardłową wymowę, ale знаła ledwie kilka słów z ich języka.

Skupiła się i tak zmodyfikowała metabolizm ciała, aby bioskaner uznał ją za Tleilaxanina. Wzięła głęboki oddech i weszła w pomarańczowe pole czujnika. Na skórze poczuła mrowienie, potem przez chwilę nic się nie działo, aż wreszcie z cichym trzaskiem drzwi się uchylły. Śmiałym krokiem weszła do środka. Uważnie, a zarazem pełna przerażenia, zaczęła się przyglądać kobiecym ciałom oplecionym wiązkami przewodów. Ze „zbiorników” unosił się zapach skwaśniałego melanżu.

Znienacka na ścianach ożyły sygnały alarmowe. Udało jej się zwieść skaner wejściowy, ale nie te, którymi upstrzone było wnętrze laboratorium. Cristane pobiegła między stanowiskami, rzucając spojrzenia na lewo i prawo, aż wreszcie dojrzała napuchnięte pozostałości Miral Alechem. Za sobą słyszała podniecone głosy Tleilaxan, cienkie i krzykliwe, a także ciężkie kroki sardaukarów i ich krótkie, szczekliwe komendy.

– Wybacz, siostro!

Z tymi słowami Cristane wsunęła głęboko pod jedno ramię Miral ładunek eksplozyjny z zapalnikiem, skoczyła w sąsiednią uliczkę między zbiornikami aksolotłowymi i zaczęła pędem uciekać.

Tak wiele kobiet o znieruchomiałych, zdrętwiałych twarzach...

Drogę zamykali jej strażnicy sardaukarów. Zmieniła kierunek, w locie ciskając jeszcze kilka ładunków na ciała nieszczęśniczek. Wiedziała, że nie ma dla niej ratunku, ale chciała walczyć do końca. Przynajmniej zabije kilku sardaukarów. C'tair byłby z niej dumny, gdyby mógł to zobaczyć.

Strzał z głuszaka trafił ją w plecy. Impet okręcił ją o dziewięćdziesiąt stopni. Ciężko zwała się na ziemię i leżała, nie mogąc wykonać najmniejszego ruchu.

Cesarscy żołnierze ostrożnie zbliżali się do niej ze wszystkich stron, aż nagle za ich plecami rozległ się ciąg detonacji, który zniszczył nie tylko ciało Miral Alechem, ale całą sekcję zbiorników aksolotlowych. Natychmiast uruchomił się system przeciwpożarowy. Rozległ się syk, buchnął dym, którego fale dotarły także do Cristane, ta jednak nie mogła już tego dostrzec.

Zobaczyła, że wpatrują się w nią szczerze oczka Mistrza Tleilaxan. Płonęły wściekłością.

– Zniszczyłeś zbiorniki, na których najbardziej mi zależało!

Cristane zrozumiała tylko dwa słowa, ale reszty domyśliła się z wyrazu twarzy i z tonu głosu Tleilaxanina.

– Cztery zbiorniki zniszczone, Mistrzu Ajidica – poinformował wysokim głosem gdzieś z tyłu jeden z pomocników.

Choć Cristane nie mogła niczego powiedzieć, poczuła satysfakcję, że przynajmniej udało jej się wyrwać z okrutnego zniewolenia Miral i jeszcze trzy kobiety.

Mistrz Badań podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się więźniowi, i dotknął pokrytej barwnikami skóry Cristane.

– Nie jesteś Tleilaxaninem!

Jeden z sardaukarów sięgnął i szarpnięciem rozerwał jej ubranie, ukazując pod nim nagie ciało.

– Kobieta!

Palce Ajidicy dotknęły małych, jędrnych piersi Cristane. Przez głowę przemknęło mu tysiąc pomysłów na to, jak ją udręczyć za spowodowane szkody.

– Zdrowa, silna kobieta w wieku rozrodczym, Mistrzu Ajidica – odezwał się znów ten sam pomocnik. – Podłączyć ją?

Ajidica zastanowił się i odparł:

– Najpierw, zanim jeszcze nie nastąpią w mózgu nieodwracalne zmiany, należy z niej wydobyć wiadomości. – Nachylił się nad Cristane i szeptem dokończył: – Ciężko odpokutujesz za swój czyn!

Czuła, jak jakieś ręce dźwigają ją i niosą. Odór skisnionego melanzu stał się jeszcze bardziej nieznośny. Mięśnie były wprawdzie sparaliżowane, komórkom nerwowym nakazała jednak, aby zbadały skład powietrza.

„Przyprawa... Nie, to nie prawdziwy melanz. Coś jeszcze...”

Leżała już na wznak i podłączano ją do aparatury pompującej. Nie wiedziała, jak długo zachowa świadomość. Jako Bene Gesserit mogła zneutralizować działanie środków chemicznych. Przynajmniej na jakiś czas. „Ix zwycięży!” – powtórzyła sobie w pamięci słowa C'taira. Oby tak się stało i tylko szkoda, że ona już tego nie zobaczy.

Powoli obejmowała nad nią władzę diabelska machina Tleilaxan. Zaczynała uczyć się sekretów, których wcale nie chciała poznać...

Na Starej Ziemi królestwa zanikały wraz z tym, jak zwiększała się szybkość podróży i kurczyła czasoprzestrzeń globu. Proces ten przebiegał jeszcze szybciej podczas eksploracji kosmosu. Cesarz jest dla samotnych ludzi i ludów świetlistym symbolem jedności. Zwracają się ku niemu ze słowami: „Patrzcie! To on czyni z nas wspólnotę! Należy do nas wszystkich i my wszyscy należymy do niego!”.

komentarz Tleilaxan nieznanego autorstwa

Hrabiemu Hasimirowi Fenringowi palce zaciskały się złowrogo na samą myśl o zdradzieckim Ajidicy i jego Tancerzu Oblicza, na Ix mógł jednak wrócić dopiero po załatwieniu wszystkich pilnych spraw na Kaitain.

Takich jak naprawienie idiotyzmów Szaddama.

Prywatna biblioteka Cesarza nie zawierała żadnych księgofilmów prawniczych, tekstów, taśm czy innych zapisków. Niemniej jednak dzięki siedmiu nadwornym mentatom i pięciu specjalistom

jurystycznym Szaddam i Fenring mieli do dyspozycji więcej informacji, niż mogłoby pomieścić sala dziesięć razy większa. Potrzebna była tylko odpowiednia selekcja tego niezmiernego bogactwa danych.

Szaddam, arogancki i władczy, rzucił pytanie, a mentaci zastygli w milczeniu, przesiewając w umysłach informacje. Ich wargi czerwieniły się od safo, a oczy lśniły odległym blaskiem. Prawnicy czekali na instrukcje, jakie paragrafy i jakie precedensy mogą okazać się użyteczne.

W rogu stał alabastrowy posąg konia morskiego, który z pyska wyrzucał strumień wody, a jej plusk był jedynym dźwiękiem w pokoju. Zniecierpliwiony Fenring zaczął przechadzać się pod fontanną.

– Normalnie opinii prawnej zasięga się, zanim zrobi się coś, co może doprowadzić do generalnej rewolty. A tym razem nie możemy liczyć na poparcie Gildii i ZNAH-u, gdyż nie mamy przyprawy, żeby ich sobie kupić.

– Hasimirze, niepotrzebnie panikujesz. Skoro udało się wytłumaczyć użycie broni atomowej, uda się także z Beakkalem.

– Rozumiem, Wielka Konwencja cię nie obowiązuje, ponieważ zarazki atakują rośliny, a nie ludzi, hmmm? Totalny absurd!

Szaddam spojrział na swych siedmiu mentatów z nadzieją, że może oto pojawił się jakiś interesujący argument, oni jednak zgodnie pokręcili głowami i powrócili do swego transu.

– Wiele rodów popiera moje stanowisko – odparł Szaddam, wydymając usta. – Beakkal sam ściągnął na siebie zagładę, ród Korrinów nie uczestniczył w tym bezpośrednio. Jaki miałby być powód rewolty?

– Czy ty naprawdę jesteś ślepy i głuchy, Szaddamie? Przecież już głośno mówi się o obaleniu cię siłą.

– Ktoś jawnie do tego nawołuje w Landsraadzie?

– Tu i ówdzie słyszy się takie szepty.

– Powiedz mi tylko, kto szepcze, a już się nim zajmę. – Szaddam westchnął głęboko. – Ach, gdybym miał w swoim otoczeniu prawdziwych bohaterów, lojalnych stronników, jacy przez lata pomagali memu ojcu.

W oczach Fenringa pojawiła się ironia.

– Hmmm, jak podczas rewolty na Ekazie? Wydaje mi się, że uczestniczyli w tym Dominik Vernius i Paulus Atryda.

Szaddam zmarszczył brwi.

– Ale byli też lepsi, jak Zum Garon.

Mentaci pomrukiwali, wymieniając między sobą informacje, gdyż zespoły dostępnych im danych nie całkiem się pokrywały, ale nadal nie znaleźli jasnej odpowiedzi.

Szaddam ściszył głos i, wpatrzony w fontannę, oznajmił:

– Jak już dostaniemy amal, wszystkie te małe szarpaniny będą bez znaczenia. Chcę, żebyś wrócił na Ix i dopilnował przejścia na pełną moc produkcyjną. Czas już na to najwyższy.

Fenring pobladł.

– Najjaśniejszy Panie, radziłbym poczekać, aż Gildia jednoznacznie ustali pochodzenie zatrutego melanzu. Nadal nie jestem pewien...

Szaddam poczerwieniał.

– Dość już zwłoki! Ciebie, zdaje się, nic nie przekona, Hasimirze! Mnie wystarczą zapewnienia Mistrza Badań, który nie śmiałby mnie okłamywać, i miejscowego dowódcy moich sardaukarów. Fakt, że twojemu Cesarzowi wystarczają te informacje, powinien ukrócić wszystkie wątpliwości. – Twarz Szaddama rozplynęła się w dobrotliwym uśmiechu. – Będziemy mieli dużo czasu na to, aby

dokładnie zbadać formułę, ale powtarzam ci: wszystko będzie dobrze. – Poklepał przyjaciela po ramieniu. – Więc tę sprawę możemy uznać za zamkniętą.

– Dobrze, Najjaśniejszy Panie, zatem niezwłocznie udaję się na IX. – Niezależnie od wątpliwości Fenring nie mógł się doczekać chwili, gdy postawi Mistrzowi Badań kilka kłopotliwych pytań w związku z Zoalem. – Mam także pewną własną hmmm, sprawę z Ajidicą.

Dwa nowe regimenty rekrutów z Salusa Secundy szły defiladowym krokiem bulwarem naprzeciw pałacu. To widok, który Szaddamowi zawsze się podobał. Ci młodzi żołnierze dowodzeni przez zahartowanych w bojach oficerów powinni stanowić silny argument w rozmowach z Landsraadem.

Po paradzie Szaddam w najbardziej ceremonialnym stroju na oczach swych żołnierzy udał się do wielkiej Hali Przemówień. Skorzystał z uprawnienia zezwalającego mu na zwołanie nadprogramowej sesji Landsraadu i polecił odnotować, które z rodów nie wysłały swych przedstawicieli.

Zasiadł w wygodnie wymoszczonym powozie ciągniętym przez lwy z Harmonthepa. Widział przed sobą budynek Landsraadu, mniejszy tylko od samego pałacu.

Raz jeszcze powołała się na należne mu prawa i ciężące na nim obowiązki, dobrze wiedząc, że pośród słuchających niektórzy niczym piranie czyhają na najmniejszą oznakę jego słabości.

„Ja jednak jestem Cesarzem Miliona Planet i nie mam się czego obawiać”.

Kiedy orszak dotarł do otoczonej przez łopoczące flagi budowli, tresowane lwy jak na komendę znieruchomiały, a potem w zgodnym rytmie ułożyły się na łapach, z których sterczały groźne pazury. Szpaler sardaukarów utworzył przejście od powozu do wrót. Tym razem nie zabrał swojej niedomagającej żony, nie zatroszczył się też o poparcie ze strony Gildii i ZNAH-u.

„Jestem władcą. I sam to mogę załatwić”.

Jego przybycie oznajmiły fanfary i głosy heroldów. Sala była bardzo niejednorodna, gdyż niemal każdy ród odmiennie urządzał przeznaczone dla siebie miejsce.

Konkubina księcia Leta, Jessika, siedziała obok oficjalnego ambasadora Kaladanu, jak gdyby chciała w ten sposób podkreślić obecność przedstawicieli Atrydów.

Powitano go okrzykami, ale jakby nieco wymuszonymi. Wysłuchał wszystkich swych tytułów, takich jak Obrońca Cesarstwa i mnóstwa innych, a następnie stanął na podium.

– Chciałem poinformować wszystkich mych poddanych o sprawie wielkiej wagi – zaczął. Wcześniej polecił, aby jego słowa zostały dodatkowo wzmocnione, by zabrzmiały bardziej dobitnie. – Ponieważ jestem Cesarzem, spoczywa na mnie obowiązek bezstronnej i bezwzględnej ochrony prawa.

– Ale bez uczciwego procesu?! – krzyknął ktoś z sali.

Sardaukarowie zaczęli dyskretnie przemieszczać się w tłumie, aby w odpowiedniej chwili zatrzymać tego, który ośmielił się przerwać Cesarzowi. Szaddam zmarszczył brwi i potoczył wzrokiem po zebranych. „Niedobrze”.

– Jak ujął to mój czcigodny przodek, następca tronu Raphael Korrino, prawo jest najwyższą z nauk i dobrze by było, aby wszyscy... – Ręka odruchowo zacisnęła mu się w kułak, ale w porę przypomniał sobie radę Fenringa, powstrzymał się więc od walnięcia pięścią w pulpit i w ogóle nie dokończył zdania. – To ja jestem w Cesarstwie uosobieniem prawa. Ja wcielam w życie kodeksy. Ja dbam o ich poszanowanie.

Zadanie sardaukarów było o tyle ułatwione, że na widok ich manewrów wszyscy sąsiedzi odstąpili od śmiałka, jakby chcieli go wskazać. Już po chwili prowadzili go w kierunku jednego z bocznych wyjść. „Żadnej brutalności i rozlewu krwi” – ostrzegł Szaddam. Przynajmniej na sali

obrad.

– Niektóre z Wysokich Rodów zostały ukarane, gdyż ważyły się pogwałcić obowiązujące prawo. Nikt chyba nie chciałby twierdzić, że władcy Zanovaru czy Richese robili to nieświadomie.

Teraz pozwolił sobie na uderzenie w pulpit, czego zwielokrotniony odgłos rozszedł się gromem po całej sali. Wśród zebranych rozległy się szepty, ale nikt nie ośmielił się odezwać głośno.

– Jeśli winni przestępstw pozostają bezkarni, państwo nieuchronnie musi pogрузić się w anarchii. – Pałał chęcią samousprawiedliwienia, ale zanim poniósł go gniew, nakazał uruchomić holoprojekcję. – A teraz spójrzcie na Beakkal! – W powietrzu ukazały się trójwymiarowe hologramy umierającej dżungli i więdnących zasiewów. Sardaukarowie ze swych statków wysłali bezzałogowe sondy, które przekazywały na orbitę obraz spustoszenia. – Jak dobrze widać, planeta ta padła ofiarą zarazy, ja zaś, jako Cesarz, nie mogę dopuścić do jej szerzenia się i dlatego otoczyłem Beakkal kordonem sanitarnym.

Na oczach widzów ginęły rośliny i zwierzęta. Pnie drzew stawały się miękkie jak galareta i załamywały się pod własnym ciężarem.

– Nie wolno dopuścić do tego, by ta tragedia dosięgła też inne planety, w większości praworządne i lojalne. Kiedy zaraza wygaśnie, Beakkal jeszcze przez setki lat będzie się po niej odradzać.

Ani myślał udawać, że bardzo go przygnębia ta perspektywa. Ściągnawszy na siebie tragedię, mieszkańcy planety usiłowali potem przy użyciu ognia i środków chemicznych odizolować skażone tereny, ale zarazy nie można już było powstrzymać, natomiast pożary wymknęły się spod kontroli i stały się dodatkowym narzędziem zniszczenia.

Następnie hologramy ukazały premiera Beakkalu, który wygłaszał przemówienie za przemówieniem, błagając sardaukarów o litość i pomoc, ci jednak pozostali głusi na wszystkie prośby, dbając jedynie o to, aby nikt nie wy dostał się na zewnątrz pierścienia ochronnego.

Kiedy skończyła się projekcja, wszyscy siedzieli jak ogluszeni. O głos poprosił arcyksiążę Armand Ekaz, najwyraźniej chcący się sprzeciwić Szaddamowi, co wydawało się dziwne, skoro widział, jak potraktowano jedynego jak dotąd głos protestu. Zaraz jednak Cesarz przypomniał sobie ostatni raport, który mówił, że Ekazowie pojмали i publicznie stracili dwudziestu „sabotażystów” z Grumman, mających ponoć rozmieszczać na planecie wroga fałszywą przyprawę, aby w ten sposób skierować na niego gniew Cesarza. Nie należało wykluczać, że wicehrabia Moritani, zaprzatając uwagę władcy innymi sprawami, chciał wykorzystać tę sytuację do załatwienia własnych interesów. Tak czy owak, należało posłuchać, co takiego arcyksiążę ma do powiedzenia.

– Chciałem jednoznacznie oznajmić, Wasza Cesarska Wysokość – powiedział wysoki, siwy arystokrata – że popieram sposób, w jaki chronisz prawo, i kwarantannę, jaką nałożyłeś na Beakkal. W całym znanym wszechświecie to ty stanowisz uosobienie prawa. Sami zresztą zaznaliśmy twojej pomocy, gdy dziesięć lat temu wystąpiłeś w naszej obronie przeciw bezprawnemu najazdowi Grumman. Postawię ci jednak pewne pytanie, Najjaśniejszy Panie, abyś odpowiadając na nie, zapobiegł ewentualnym wystąpieniom karmiącym się ignorancją. – Szaddam zeszywniał, bo obawiał się, że nadchodzi coś niedobrego. – Z powodu nieszczęść, jakie sprowadziły na ludzkość myślące maszyny, Wielka Konwencja zakazuje użycia jakiegokolwiek broni biologicznej i wielkim ograniczeniom poddaje wykorzystanie broni atomowej. Może więc ustosunkowałbyś się do tego faktu, albowiem niektórym z nas zapewne trudno jest pojąć, jak bez złamania tego zakazu mogłeś powalić Beakkal potężną zarazą.

Szaddam niczego nie mógł zarzucić tak postawionej sugestii, utrzymana bowiem była w zgodzie z najlepszymi politycznymi tradycjami Cesarstwa.

– Mości arcyksiążę, błędnie pan interpretuje to, co stało się na Beakkalu. To nie ja zesłałem zarazę

na Beakkal. Nie miałem z tym nic wspólnego.

Po sali rozszedł się pomruk, ale Szaddam udał, że go nie słyszy.

– W takim razie, Najjaśniejszy Panie, jak wyjaśnić jej pojawienie się na planecie? Pytam jedynie w tym celu, abym mógł lepiej służyć Korrinom.

– To bardzo wzniosła intencja – odparł Szaddam, zadowolony z trafnie dobranych słów. – Otóż dotarła do mnie informacja, że na Beakkalu znajdują się nielegalne składy przyprawy, wysłałem więc kontyngent sardaukarów, aby otoczyli planetę blokadą do czasu, gdy premier ustosunkuje się do zarzutów. Tymczasem spanikowane władze posunęły się do aktu piractwa i zagarnęły dwa statki transportowe, które zmierzały w kierunku jednej z odległych, niezamieszkanymi planet, aby przeprowadzić tam badania nad bardzo podejrzanym materiałem biologicznym. Statki te porwano nie tylko bez mojej wiedzy, ale na przekór moim intencjom. W ten sposób ludzie Beakkalu sami ściągnęli na siebie katastrofę.

Tym razem pomruk był głośniejszy, ale wyraźnie słychać w nim było niepokój.

– Bardzo dziękuję, Najjaśniejszy Panie – powiedział arcyksiążę Ekaz i wrócił na miejsce.

Szaddam opuszczał Halę Przemówień w nastroju bliskim samouwielbienia.

Zdobywcy gardzą podbitymi za to, że dali się pokonać.

Cesarz Fondil III zwany Myśliwym

I wreszcie IX.

Zamaskowana przed wykrywaczami kapsuła bojowa opadała niczym jeden z wielu meteorytów. Pojazdem kierował Gurney. W nadziei, że neutralna Gildia dotrzyma zawartej umowy, wziął kurs na teren podbiegunowy. Obok niego w milczeniu siedział książę Rhombur.

Nareszcie w domu, po dwudziestu jeden latach! Ach, jakżeby chciał mieć teraz obok siebie Tessję.

Kiedy przed opuszczeniem liniowca zajmowali miejsca w kapsule bojowej, pojawił się kontroler lotu o szeroko rozstawionych oczach.

– Gildia jest z panem, mości książę Rhomburze, ale nie może udzielić żadnej pomocy, żadnej, nnn, jawnej pomocy.

Rhombur uśmiechnął się.

– Rozumiem. Ale zgaduję, że życzy nam pan powodzenia.

Kontroler lotu odrobinę spieszył się i wybąkał:

– Można tak powiedzieć, nnn, jeśli zależy panu na tym.

Kiedy teraz sunęli w kierunku powierzchni planety, Gurney zrywał się, że tak wielu ludzi Gildii poznało ich tożsamość i dowiedziało się o tajnej misji. Na ile wiedział, Gildia nigdy nie złamała ciężącego na niej obowiązku dyskrecji, z drugiej jednak strony bez żenady brała łapówki.

Rhombur, bardziej pewny siebie niż kiedykolwiek dotąd, rzekł:

– Pomyśl tylko, jakim uszczerbkiem dla handlu międzygwiazdowego stała się utrata przez mój ród IX. Sądzisz, że Gildia chciałaby się w jakikolwiek sposób przyczynić do umocnienia władzy Tleilaxan?

Gniew sprawił, że krwawinowa blizna na twarzy Gurneya poczerwieniała. W kapsule zaczynało się robić coraz cieplej, znalazła się już bowiem w atmosferze.

– Gildia nie jest niczym sojusznikiem.

Na twarzy Rhombura nie widać było żadnych emocji.

– Gdyby zaczęli zdradzać sekrety swoich pasażerów, bardzo szybko straciliby wiarygodność. – Potrząsnął głową. – Zaczną się domyślać, dlaczego znaleźliśmy się na Ix, jak tylko dowiedzą się o transporcie armii Leta.

– Wiem, wiem, ale to mnie nie uspokaja. Zbyt wiele rzeczy może się nie powieść. Cały miesiąc spędziliśmy na Krzyżowniku bez możliwości skomunikowania się z Letem. Nie wiemy, czy nadal obowiązuje dawny harmonogram. Poruszamy się po omacku, a „człowiek bez celu to człowiek bez aspiracji”.

Kapsuła zaczęła podrygiwać i kołysać się na boki.

– Leto dotrzyma przyrzeczenia – rzekł stanowczo Rhombur – i tak samo zrobimy my.

Wylądowali na pustkowiu północnej strefy podbiegunowej Ix. Kapsuła znieruchomiała pośród śniegu i brył lodu. Nikt ich nie wyśledził. Nieopodal znajdowało się wejście do sekretnego tunelu ewakuacyjnego przeznaczonego dla rodziny Verniusów na wypadek jakiejś podziemnej katastrofy, teraz jednak mającego stać się dla Rhombura drogą powrotną do wnętrza rodzinnej planety.

Sprawnie zdemontowali kapsułę, której części stały się teraz zasobnikami na broń i żywność. Przez chwilę zbierali się w sobie przed rozpoczęciem podróży poprzez skorupę Ix. Z Gurneya wyszedł teraz wojownik, którym był w głębi serca, a którego nie zawsze łatwo byłoby się domyślić, kiedy na Kaladanie widziało się go podczas zabawy czy przy balisecie. Wojownik z pasją służący swym zwierzchnikom, czy to Dominikowi Vernius, Lecie Atrydzie, czy Rhomburowi Verniusowi...

– Jak nas zatrzymają – mruknął Gurney – to chociaż może nie jestem najurodziwszy, nie powinienem wzbudzić wątpliwości co do swego człowieczeństwa. Ale ty... – Sceptycznie pokręcił głową. – Musisz zaserwować jakąś naprawdę przekonującą historyjkę.

– Z tego, co nam opowiadano, to nie wzbudzę podejrzeń jako bi-Ixianin. – Rhombur z dumą zademonstrował jedną z protez. – Wolałbym jednak być przywitany jako prawowity earl Verniusów...

Za sprawą lat przebytych na wygnaniu i przeżytego cierpienia Rhombur był teraz znacznie lepszym kandydatem na przywódcę. Myślał o mieszkańcach Ix jako ludziach, którzy padli ofiarą tragedii, a nie tylko jako poddanych, którzy winni są mu posłuszeństwo. Na ich lojalność i wierność chciał sobie dopiero zasłużyć, podobnie jak było z księciem Atrydą na Kaladanie.

W dzieciństwie Rhombur zajmował się przede wszystkim swą kolekcją kamieni i tylko od czasu do czasu myślał z roztargnieniem, że kiedyś obejmie po ojcu władzę, nigdy jednak na myśl mu nie przyszło, że miałby o nią walczyć. Podobnie jak jego siostra, za oczywistą przyjmował rolę, jaką wyznaczyło mu samo urodzenie. Teraz jednak już wiedział, ile potrzeba pracy, nauki i wysiłku, aby zostać prawdziwym, nie tylko tytułarnym władcą. Jak ciężkie stało się jego dojrzewanie do tej roli.

Najpierw tragiczna śmierć matki, która, jak teraz wiedział, dała życie jeszcze jednemu dziecku Cesarza Elrooda. Dalej samobójcza śmierć ojca, który po latach tajemnych przygotowań, wykryty i obłączony, zginął w wybuchu atomowym, uśmiercając także atakujących go sardaukarów. Potem Kailea, tak przekonana o przywilejach należących się jej z urodzenia, że nie cofnęła się przed zdradą co ostatecznie przeplącała szaleństwem i samobójstwem.

Niebawem popłynie jeszcze więcej krwi, gdy on wraz Gurneyem wzniecą bunt na Ix, wsparty przez uderzenie Atrydów z zewnątrz. Mieszkańcy Ix będą musieli stanąć do walki, a niektórym z nich przyjdzie też z pewnością zginąć.

A Rhomburowi pozostawało tylko żywić nadzieję, że żadna kropla krwi nie zostanie utoczona na darmo, Ix zaś odzyska wolność.

Zamek Kaladan i pobliskie koszary pełne były ruchu i gwaru. Żołnierze dokonywali ostatnich przygotowań przed rychłą wyprawą. Intendenci po raz ostatni sprawdzali zapasy broni, materiałów wybuchowych i sprzętu oblężniczego, koniecznych do walnej batalii.

Do tej skomplikowanej operacji przygotowywali się od miesięcy i Leto nie zamierzał oszczędzać na niczym, co mogłoby przyczynić się do ostatecznego sukcesu.

„Rhombur i Gurney mogą już nie żyć”. Nie otrzymali od nich najmniejszej wiadomości. „Ale równie dobrze mogą być w centrum powstania”. Po awarii liniowca obaj podróżni zniknęli bez śladu. Nie było też żadnych wieści z Ix. „Nawet jeśli coś poszło nie po naszej myśli, zrobimy, co tylko się da. I będziemy mieć nadzieję...”

Jeśli jednak Rhomburowi się nie powiedzie, a armia Leta ulegnie Tleilaxanom i cesarskim sardaukarom, Leta czekają bardzo poważne konsekwencje. Być może straci nawet Kaladan. Thufir Hawat szalał z niepokoju.

Leto natomiast zdawał się nie mieć wątpliwości. Teraz nie było już dla niego odwrotu. Podejście to wielkie wyzwanie, nawet jeśli na pewien czas pozostawi Kaladan bezbronnym. To była jedyna droga, aby przywrócić Rhomburowi tron, a także wypełnić nakazy honoru.

Wielkie przedsięwzięcie zaczynało nabierać impetu.

Pośród tysięcy decyzji, które należało podjąć, Leto znalazł czas także na to, aby zajść na przystań pod zamkiem. Jako głowa Wysokiego Rodu, oprócz wielkich misji, miał też bardziej prozaiczne – i przyjemne – obowiązki, choć wolałby, aby przy ich wykonywaniu towarzyszyła mu Jessica.

Do portu wracała wielka flotylla rybacka, statki z rybakami, którzy przez ostatnie dwa tygodnie upałów łowili między rafami. Co roku o tej porze rybacy wracali ze złapanymi w sieci grundami, małymi niebiesko-srebrnymi rybami, które w trakcie wielkiego święta myto, patroszono, solono, a następnie gotowano w wielkich garach, przygotowując się do zbiorowej uczty. Książę zajadał się tym smakołykiem, jak wszyscy inni poddani, ale jeszcze bardziej zachwycał się nim Rhombur i oto po raz pierwszy od wielu lat uroczystość miała się odbyć bez niego. Leto tęsknił za przyjacielem, a na dodatek niepokoił się brakiem wiadomości od niego.

I teraz, z dala od przygotowań wojennych, stał na skraju przystani i wpatrywał się w nadpływające statki. Na brzegu było już tłoczno i gwarno, gdyż szykowano się do oprawiania ryb i późniejszej uczty.

Na dźwięk muzyki Leto uśmiechnął się, przypomniał bowiem sobie, jak to Rhombur i Gurney, siedząc ramię w ramię, rywalizowali ze sobą, jeden przebijając drugiego satyrycznymi piosenkami odgrywanymi na balisetach.

Nie udało mu się jednak całkowicie oderwać od spraw wojny. Przez tłum przepchali się Duncan Idaho i Thufir Hawat. Mentat był wyraźnie niezadowolony.

– Nie możesz poruszać się bez osobistej ochrony, mój książę – powiedział karcącym tonem.

– Musisz dokonać ostatecznych decyzji, jeśli chodzi o uzbrojenie – dodał Duncan. – Już niedługo będziemy wyruszać.

To on jako mistrz miecza miał dowodzić wyprawą na Ix, podobnie jak stał na czele ekspedycji na Beakkal. Sam Leto, jako głowa rodu, nie powinien brać udziału w walkach, chociaż bardzo nad tym ubolewał. Zamiast tego, zgodnie z sugestią Thufira, miał się udać na Kaitain, aby bezpośrednio na

forum Landsraadu wyjaśnić powody swojej decyzji.

– To bez wątpienia zadanie właśnie dla księcia – oznajmił z powagą Mentat.

Leto zerknął w górę. Znad stromej skały sterczały tylko najwyższe partie zamku.

– To najlepszy czas na atak. Beakkal jest porażony plagą Cesarz zajęty własnymi planami. Zdławimy Tleilaxan na Ix, zanim się zorientuje, że coś się tam dzieje.

– Widziałem zdjęcia tamtych dżungli – powiedział Duncan. – Cokolwiek mówiłby Szaddam, jestem pewien, że miał w tej tragedii swój udział.

Leto pokiwał głową.

– A trudno sobie wyobrazić takie przestępstwo, które usprawiedliwiłoby zniszczenie całego ekosystemu na Beakkalu. Tak czy owak, dla nas to dobra okazja.

Leto zaczął obserwować pierwszy kuter dopływający do przystani. Dziesiątki chętnych rąk wyciągnęło się po cumy.

– Kiedy mój cesarski kuzyn napadł na Richese, udzieliłem im znacznej pomocy medycznej. Teraz czas pokazać, że ród Atrydów staje także po stronie tych, którzy nie są z nim spokrewnieni. – Uśmiechnął się. – Thufirze, zanim wyruszą główne siły, chcę, żebyś zebrał flotyllę statków towarowych i pod wojskową eskortą wysłał je na Beakkal. Nie żądając niczego w zamian, chcę dopomóc boleśnie doświadczonej ludności planety.

Duncan nie chciał uwierzyć własnym uszom.

– Ależ, Leto! Oni chcieli resztki twoich przodków sprzedać Tleilaxanom.

– A poza tym – zauważył Hawat – nam wojska są potrzebne tu na miejscu, do obrony Kaladanu. Wyprawa na Ix ogromnie osłabi nasze siły defensywne.

– Niech więc to będzie niewielka eskorta, Thufirze, podkreślająca tylko, że sprawę traktujemy poważnie. A co do mieszkańców Beakkalu, za to, że zbezczescili cmentarz Senasar, już ich ukaraliśmy, czas więc teraz pokazać im naszą inną twarz. Matka, która nie jest do gruntu zła, uświadomiła mi, że władca musi umieć okazać nie tylko silną rękę, ale i wyrozumiałość.

Przygryzł wargi, przypominając sobie rozmowy z Rhomburem na temat władzy i stały ich wątek, że względy polityczne nie mogą przesłonić potrzeb obywateli.

– Chcę, żeby było jasne – powiedział – że robię to dla ludzi Beakkalu, a nie dla ich polityków. Mój czyn nie ma żadnego związku z tym, co się stało, nie jest żadnym aktem wybaczenia czy rozgrzeszenia.

Hawat zmarszczył brwi.

– Zaraz, czy mam rozumieć, mój panie, że wysyłasz mnie na Beakkal zamiast z naszymi wojskami na Ix?

– Na Beakkalu potrzebne mi są twoje dyplomatyczne talenty, Thufirze – odparł Leto z chytrym uśmiechem. – Kłopoty zaczną się, gdy dotrzesz do blokady ustanowionej przez Cesarza. Ogłosił ścisłą kwarantannę, ale nie przypuszczam, by rozkazał strzelać do każdego, kto bez lądowania chce dokonać zrzutów na planetę. Musisz zbadać tę szarą sferę. – Mentat i mistrz miecza patrzyli na swego władcę, jak gdyby postradał rozum. – Z całą pewnością ściągniesz na siebie uwagę sardaukarów – kontynuował Leto – a może i samego Cesarza. To może być bardzo ciekawe widowisko!

Duncan nagle rozpromienił się, zrozumiał bowiem intencję Leta.

– Oczywiście, odwrócenie uwagi! Przecież Cesarz nie może zlekceważyć takiego zdarzenia. Kiedy Thufir będzie usiłował pokonać blokadę, uwaga wszystkich skieruje się w tę stronę, a tymczasem nasze siły usadowią się na Ix, zanim ktokolwiek zainteresuje tym Szaddama. Do sardaukarów na Ix nie dotrą cesarskie rozkazy. Znakomicie!

– Otóż i to! A zarazem będzie to gest pod adresem ludności Beakkalu, co dobrze wpłynie na moją

pozycję w Landsraadzie. Kiedy militarnie wesprę powstanie na Ix, będę potrzebował jak najwięcej sojuszników.

Na przystani dźwigi ze skrzypieniem wydobywały z ładowni sieci pełne ryb. Część kutrów czekała zakotwiczona z tyłu, gdyż urządzenia portowe nie mogły obsłużyć ich wszystkich naraz.

Duncan pobiegł na górę do koszar gwardii, Leto jednak został na dole, gdyż chciał uczestniczyć w uroczystości. Hawat pozostał z nim, by go chronić w razie potrzeby.

Jedna za drugą sieci lądowały na brzegu i wyrzucały z siebie miliony ryb, których zapach wisiał w powietrzu. Setki osób patroszyło je, po czym część wrzucano do kadzi ze słoną wodą gdzie czekały na dalszą obróbkę, inne zaś do wielkich garów, gdzie gotowały się powoli w wywarze.

Leto przyłączył się do pracy, nie lękając się brudu i wysiłku, i widać było, jak bardzo cenili to sobie jego poddani. Bardzo lubił te proste zajęcia, na których zasadzało się całe życie.

Thufir Hawat nieufnie rozglądał się na wszystkie strony, jak gdyby w każdej chwili oczekiwał pojawienia się assassina. Księżę tymczasem zdażył już zasiąść przy jednym z prostych, drewnianych stołów nad miską rybnej polewki. Ludzie jeden przez drugiego życzyli mu smacznego, a potem sami zabrali się do jedzenia.

Długo potem miał nie zaznać takiej chwili spokoju.

Któż wie, jaki dzisiejszy drobiazg przetrwa eony ludzkich dziejów? Może to być rzecz zupełnie bagatelna, pozornie bez żadnego znaczenia, która jednak dostanie swoją szansę i przetrwa tysiące lat.

Matka Przełożona Raquella Berto-Anirula, założycielka Bene Gesserit

I znowu niespokojna noc, znowu Anirula zerwała się z łóżka, teraz już w czwartej z kolei sypialni, i powlokła do drzwi. Niemożliwością jednak było uciec od głosów huczących w jej czaszce. Teraz przyłączyła się do nich także Lobia, więc Anirula nie mogła już liczyć na żadną pomoc, żadne oparcie.

„Co usiłujecie mi powiedzieć?”

Pojawiła się czujna siostra Yohsa, gotowa do natychmiastowej interwencji, gdyby Anirula starała się ją wyminąć.

– Moja pani, musisz wrócić do łóżka i starać się uspokoić.

– Kiedy ja nigdzie nie mam spokoju!

Koszula nocna przykleiła się do jej spoconego ciała, włosy sterczały w nieładzie. Przez ostatnie dni na uparte żądanie Aniruli przenoszono jej łóżko z jednego pomieszczenia do drugiego, w żadnym jednak nie usnęła spokojnie.

– Dobrze – powiedziała spokojnie Yohsa. – Przeniesiemy się do jakiegoś innego miejsca...

Anirula, która robiła wrażenie ślaniającej się, znenacka silnie i zdecydowanie pchnęła Yohsę, która zatoczyła się na stolik. Potrącona droga waza poleciała na podłogę, tłukąc się na kawałki. Wykorzystując moment zaskoczenia, Anirula pobiegła korytarzem, wpadając po drodze na służącą i wytrącając jej z rąk tacę ze śniadaniem.

Anirula, bębniąc nagimi stopami o podłogę, pędem minęła zakręt i wpadła na Mohiam, z której rąk spływały na podłogę kartki ryduliańskiego papieru. Prawdomówczynie chciała pochwycić Anirulę, ta

jednak wysliznęła się i pobiegła dalej. Po chwili obok Mohiam znalazła się zadyszana Yohsa. Przed nimi Anirula otwierała właśnie drzwi na klatkę schodową dla służby, ale zaraz na pierwszym stopniu jej stopa zaplątała się w nocną koszulę i kobieta z krzykiem poleciała w dół.

Kiedy obie siostry stanęły na podeście schodów, pokrwawiona i podrapana Anirula usiłowała usiąść. Już w następnej chwili Mohiam klęczała obok cesarskiej małżonki, mocno chwytając ją za przeguby, aby nie dopuścić do ponownej ucieczki. Yohsa uważnie przyjrzała się chorej.

– Zbierało się na ten napad, a obawiam się, że to wcale nie był ostatni.

Yohsę niepokoiło to, że nieskuteczne okazały się silne środki psychotropowe, jakie przepisała Aniruli. Obie pomogły jej wstać. Rozglądała się dookoła niczym zwierzę zagnane w pułapkę.

– Te głosy! Nic ich nie może uciszyć! Chcą bym się do nich przyłączyła.

– Nie mów tak!

Mohiam skorzystała z Głosu, ale wyglądało na to, że na Anirulę nie podziałał. Yohsa opatrzyła jej zranione czoło, potem wraz z Mohiam zaprowadziła podopieczną do sypialni.

– Ciągłe jazgoczą w mojej głowie, ale to tylko fragmenty zdań w różnych językach. Jedne z nich znam, innych nie. Nie mogę zrozumieć, przed czym starają się mnie ostrzec, dlaczego są takie zaniepokojone. – Głos Aniruli drżał. – Jest tam także Lobia, ale nie może przekrzyczeć innych, aby mi pomóc.

Yohsa nalała przyprawową herbatę z imbryczka, który czekał już na komodzie. Anirula osunęła się na sofę i spojrzała na siostrę medyczną.

– Yosho, zostaw nas. Chcę porozmawiać z cesarską Prawdómówczynią sam na sam.

Gdy Yohsa z ociąganiem wyszła, Anirula głęboko westchnęła.

– Tajemnice są czasami tak wielkim brzemieniem. Mohiam spojrzała na nią badawczo i wypila łyk herbaty, natychmiast czując ożywcze działanie melanzu.

– Nigdy tak tego nie traktowałam. Gdy staje się powierniczką jakiegoś sekretu, uważam to za wielki zaszczyt.

Lady Anirula skrzywiła się, jak gdyby w herbacie było jakieś wstrętne lekarstwo.

– Jessika niedługo urodzi córkę, która ma powić długo oczekiwanego Kwisatz Haderach.

– Obyśmy tego dożyły – dodała sentencjonalnie Mohiam.

– Jako Kwisatz Matka czuję jakiś niepokój – powiedziała konspiracyjnym tonem Anirula. Wydawała się teraz całkowicie przytomna. – Tylko ja znam wszystkie szczegóły programu kultywacyjnego. Skąd takie wzburzenie w Pamięci Innych i to właśnie teraz, gdy jesteśmy tak blisko naszego celu? Czyżby coś groziło dziecku Jessiki? Czy matka Kwisatz Haderach nie będzie taka, jak się spodziewamy? A może to dotyczy jego samego?

– Jeszcze tylko dwa tygodnie – zauważyła Mohiam. – Po porodzie niektóre wątpliwości same się wyjaśnią.

– Uznałam, że musimy jej powiedzieć przynajmniej część prawdy, aby jeszcze bardziej zważała na siebie i małą. Należy ją poinformować, na czym polega jej rola.

Mohiam znowu sięgnęła po herbatę, aby ukryć zdziwienie tą sugestią. Była bardzo przywiązana do swojej sekretnej córki i uczennicy z czasów na Wallach IX. Jessikę czekała przyszłość znacznie wspanialsza niż Mohiam czy choćby Anirulę.

– Ale... aż tyle, lady Anirulo? I czy ja mam jej to powiedzieć?

– No cóż, ostatecznie jesteś jej naturalną matką.

„Niech i tak będzie” – pomyślała Mohiam. Niechże Jessika dowie się części prawdy. Ale tylko części. Ujawnienie, kto był jej ojcem, byłoby zbyt okrutne.

Praca w środowisku, gdzie najmniejszy błąd może powodować śmierć, jest oczywiście frustrująca.

**hrabia Hasimir Fenring,
Korzyści ryzyka (pisane na wygnaniu)**

Hrabia Hasimir Fenring uznał w końcu, że należy Cesarza zostawić z problemami, których sam sobie napytał, i wyruszył na Ix, w trakcie podróży obmyślając, jakiej to długotrwałej i okrutnej śmierci podda Hidara Fen Ajidicę za zdradziecką próbę zamachu przy pomocy Tancerza Oblicza.

Rozwagał wiele możliwości, ale żadna go nie satysfakcjonowała.

Kiedy straż przepuściła go i zaczął opadać w głąb planety, szydził przez cały czas z siebie, że nie zorientował się wcześniej w przewrotności Mistrza Badań, chociaż powinny go były zaniepokoić te ciągłe opóźnienia, tłumaczenia, przeszkody... A zarazem Tleilaxanie okazywali się niesłuchanie sprawni w narzucaniu swojej woli. Ot, niedawno na Kaitain kilkunastu Mistrzów pojawiło się nagle bez słowa, jak gdyby przebywali tu od zawsze, a Szaddam nawet słowem przeciw temu nie zaprotestował.

Tymczasem Fenring znał gorzką prawdę. Pomimo dwudziestu lat wydatków, badań i kłowań Projekt Amal okazał się kompletną porażką. Niezależnie od oficjalnego stanowiska Gildii hrabia wiedział swoje: dwaj Nawigatorzy liniowców padli ofiarą sztucznej przyprawy, a nie jakichś zanieczyszczeń wprowadzonych na Beakkalu.

Szaddam jednak tak był urzeczony perspektywą syntetycznego melanżu, że bezkrytycznie wierzył w zapewnienia Ajidicy i zgodnie z tym postępował. To, że pozory wyglądały przekonująco, jeszcze bardziej niepokoiło Fenringa. Na dodatek Wielką Wojną Przyprawową Szaddam zraził do siebie znaczną część Landsraadu, czemu nie mogły przeszkodzić wybiegi prawników, na dodatek dość marne. Teraz przez wiele lat trzeba będzie naprawiać sytuację... jeśli w ogóle można było ją naprawić.

Najlepiej może, żeby wraz z ukochaną Margot podjęli kroki, które ochronią ich przed nadciągającą zawieruchą a Szaddama zostawili jego losowi i czyhającym na niego wilkom. Sam poniesie konsekwencję swych głupich posunięć. Hrabia Fenring nie zamierzał bynajmniej iść wraz z nim na dno.

Hidar Fen Ajidica stał przed wejściem do swego oficjalnego gabinetu i cały promieniał butą i arogancją jakby te nie mogły się pomieścić w jego niewielkim ciałku. Z przodu na białym fartuchu miał rdzawobrzazowe plamy.

Mistrz Badań powstrzymał gestem sardaukarów, tak że tylko we dwóch znaleźli się w gabinecie. Hrabia nakazywał sam sobie opanowanie, nie chciał bowiem uśmiercić wstrętnej człowieka zbyt szybko. Puścił Ajidicę przodem i starannie zamknął drzwi.

Tleilaxanin odwrócił się z wyniosłym uśmiechem i założywszy ręce na piersi, warknął:

– Gdzie ukłon, Zoal?! – Dorzucił kilkanaście gardłowych słów, a potem wrócił na cesarski galach:
– Nie dawałeś znaku życia i za to zaniedbanie zostaniesz surowo ukarany!

Fenring omal nie parsknął śmiechem, zrobił jednak mały ukłon, co, jak się wydawało, zadowoliło Ajidicę, ale kiedy ten odprężył się, hrabia skoczył i ścisnął w garści przód fartucha Tleilaxanina.

– Nie jestem twoim Tancerzem Oblicza! Czeka cię śmierć, problem tylko gdzie i jak?

Twarz Mistrza Badań jakby odrobinę bardziej poszarzała, gdy zorientował się w swojej straszliwej omyłce.

– Ach, po cóż ta nerwowość, drogi hrabio! – Mówił nieco chrapliwie, gdyż zaczynało mu braknąć

powietrza. – Świetnie pan... zdał mój egzamin. Jakże się cieszę!

Fenring, pełen obrzydzenia, wypuścił swą ofiarę, która z rozłożonymi rękami i nogami upadła na podłogę. Hrabia ze wstrętem wytarł ręce o kraj szaty.

– Trzeba starać się wykorzystać tę katastrofę, jak się da. Może powinienem zrzucić cię z balkonu w Grand Palais, żeby wszyscy mieli uciechę, hmmm?

Ochryplym głosem Ajidica wezwał straż. Fenring słyszał tupot butów, ale zupełnie się tym nie przejął. Był przyjacielem Szaddama i jego Ministrem do Spraw Przyprawy. Sardaukarowie będą wykonywali jego rozkazy. Uśmiechnął się, gdyż przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Tak, ogłoszę, że Ix jest od dziś wolne, i stanę się wybawicielem planety. Tragedią ogłoszę lata panowania Tleilaxan, zniszczę wszystkie ślady pracy nad amalem, a potem ja i Szaddam wystąpimy w glorii chwały.

Mistrz Badań z trudem podnosił się, szczerząc zęby niczym szczur.

– Nie, nie, to niemożliwe, panie hrabio. Jesteśmy tak blisko celu. Właściwie już go osiągnęliśmy: amal jest gotów.

– Amal to jedno wielkie oszustwo. Obie próby na liniowcach zakończyły się katastrofą na szczęście jednak Gildia nie ma pojęcia, kto maczał w tym palce. W każdym razie jedno wiadomo: Nawigatorzy nie mogą używać syntetycznej przyprawy. A jakie jeszcze inne skutki uboczne może mieć to świństwo?

– Nonsens, amal jest doskonały. – Ajidica sięgnął do wnętrza fartucha, jakby sięgał po broń. Fenring spał się, aby uprzedzić ewentualny atak, ale Mistrz Badań wyjął tylko rudawą tabletkę i włożył ją do ust. – Sam codziennie pochłaniam wielkie dawki i czuję się znakomicie. Wyraźniej postrzegam cały wszechświat.

Uderzył się w czoło z takim rozmachem, że na skórze został ślad.

Drzwi rozwarły się z hukiem i do wnętrza wpadł oddział sardaukarów dowodzonych przez młodego Cando Garona. W ruchach żołnierzy była jakaś niezwykła zwinność i drapieżność.

– Podaję też potrójną dawkę amalu wszystkim stacjonującym tu sardaukarom – oznajmił Ajidica. – Przyjmują go już od sześciu miesięcy i spójrz, jak świetnie wyglądają.

Fenring przyjrzał się cesarskim żołnierzom. Sprężył się, rwący się do ataku, bezwzględni. Garon ledwie kiwnął mu głową.

– Może amal był zbyt intensywny dla tych Nawigatorów – zasugerował Ajidica – i należało użyć innej mieszanki. A może to kwestia uwarunkowania wynikającego z ich treningów. Z powodu jakichś drobnych błędów pilotażu nie będziemy przecież rezygnować z wieloletnich prac. Bo amal działa i to niezwykle efektywnie.

Ajidica był niezwykle podniecony. Chodził pospiesznym krokiem, teraz zawrócił, łokciem odtrącił stojącego mu na drodze sardaukara i kiwnął na Fenringa.

– Chodź i zobacz, hrabio. To cię powinno przekonać. Najlepiej, aby Cesarz sam spróbował mojego produktu. Tak, tak, koniecznie musimy to zrobić. – Gwałtownie gestykulował: mały człowieczek z poczuciem wielkości. – Chociaż pewnie i tak nie zrozumiesz. Twój umysł jest zbyt ograniczony.

Fenringowi z trudem udało się nadążyć za Ajidicą. Żołnierze w milczeniu podążyli za nimi.

Widok centralnego laboratorium zawsze napełniał go obrzydzeniem, chociaż rozumiał, jakie korzyści przynoszą zbiorniki aksolotlowe Tleilaxan. Napuchnięte, oplecione przewodami ciała kobiece zatraciły wszystkie ludzkie cechy, stały się w istocie biologicznymi fabrykami, syntetyzującymi substancje zgodnie z programem, któremu zostały podporządkowane.

O dziwo, pojemniki podłączone do ciał, zwykle pełne, teraz były puste. Z wyjątkiem jednego.

Zatrzymali się przy ciele młodej kobiety, najwidoczniej dopiero niedawno wmontowanym w zbiornik aksolotłowy. Miała chłopcę sylwetkę, niewielkie piersi, krótko obcięte włosy i przymknięte, głęboko zapadnięte oczy.

– Niech pan spojrzy na nią hrabio. Młoda, niezwykle wydajna. Będzie dla nas pracować, chociaż ciągle jeszcze nie uporaliśmy się z odpowiednim przystosowaniem macicy. Kiedy to będziemy mieli za sobą podłączymy do niej resztę i cała linia zacznie produkować na potęgę.

Fenring lekko pokręcił głową. To ciało spoczywające przed nim, chociaż niewątpliwie kobiece, nie miało nic wspólnego na przykład z jego cudowną żoną.

– Co jest w niej takiego szczególnego?

– Była szpiegiem, hrabio. Schwytałiśmy ją gdy kręciła się tu i tam przebrana za mężczyznę.

– Mówiąc szczerze, dziwię się, że wszystkie tutejsze kobiety nie postępują w ten sposób.

– Ale to Bene Gesserit.

Fenring cofnął się, jakby otrzymał cios.

– Zakon wie, co tu się dzieje?

„Przekłęta Anirula! Powinienem był ją zabić!”

– Czarownice mają jakieś podejrzenia. Nie mamy więc zbyt wiele czasu. – Ajidica zakrzywił palce dłoni. – Sam widzisz, hrabio, że pomysł z zabiciem mnie teraz jest bez sensu. Nie możesz zatrzymać pędzącego koła. Cesarz musi dostać swój amal, a my nasze drobne nieporozumienia rozwiążemy później.

Fenring uniósł brwi.

– Małym nieporozumieniem nazywasz katastrofę liniowca z pasażerami? Mam przejść do porządku nad tym, że twój Tancerz Oblicza usiłował mnie zabić? Hmmm-mhmmm?

– Tak, właśnie tak. W skali całego wszechświata to nieistotne drobiazgi. – W oczach Ajidicy błysnęło szaleństwo. – Nie możesz mi teraz stawać na drodze, drogi hrabio. Znaczenie mego dzieła znacznie przewyższa ciebie, ród Korrinów i całe Cesarstwo. Potrzebuję jeszcze tylko odrobinę czasu.

Fenring lekko obrócił się, żeby wydać rozkaz sardaukarom, ale zatrzymał go dziwny wyraz ich oczu, pełnych uwielbienia. Zupełnie nie spodziewał się, że problemem może stać się lojalność sardaukarów. Żołnierze byli najwyraźniej uzależnieni od sztucznej przyprawy. Czy Mistrz Badań uzależnił ich także od siebie?

– Nie dopuszczę do tego, by mi pan w tej chwili przeszkodził.

Ajidica nawet nie starał się ukryć groźby w głosie.

Pracujący wokół Tleilaxanie zainteresowali się rozmową i podeszli bliżej. Niektórzy z nich mogli być Tancerzami Oblicza. Po raz pierwszy w życiu Fenring poczuł, jak żołądek kurczy mu się ze strachu. Był tutaj zupełnie sam.

Przez całe lata lekceważył Ajidicę i dopiero teraz zaczynał rozumieć, że ten mały człowieczek uknuł nietuzinkowy plan. I Fenring wcale nie był pewien, czy uda mu się z życiem ująć z tej planety.

Czekanie. Czas wlecze się straszliwie. Kiedy się skończą nasze zmary? Każdy dzień ciągnie się w nieskończoność, chociaż nadzieja nie wygasa...

Na zewnątrz resztek ixińskiej fabryki broni zastygł człowiek-maszyna. Przez lata okupacji Tleilaxan linie produkcyjne, z których schodziły prawdziwe cuda techniki, źle konserwowane, stopniowo zaczęły być wykorzystywane do mniej ambitnych celów albo niszczały. Najeźdźcy nie potrafili sprostać wysokim wymaganiom technicznym, a specjaliści z Ix stosowali taktykę biernego oporu.

Kilka dni wcześniej jedna z ostatnich taśm produkcyjnych najpierw się zablokowała, a następnie stanęła w ogniu: silniki zaczęły dymić, elementy spadły na ziemię i połamały się. Pracownicy przyglądali się temu w milczeniu.

Podziemny świat toczony był przez chorobę rozwijającą się z niekompetencji jednych, a bierności i niechęci drugich. Teraz zabrakło części zamiennych, robotnicy udawali, że ciężko pracują ledwie zobaczyli gdzieś sardaukarów czy Tleilaxan, ale nic z tego nie wynikało. Po szynach przesuwały się kapsuły obserwacyjne, ale nadzorcy reagowali jedynie na to, co burzyło rutynowy rytm zajęć.

Książę Rhombur poszukał schronienia w miejscu najbardziej widocznym. Ustawił się przed fabryką i stał nieruchomo. Spojrzenia robotników, jeśli na nim spoczęły, zaraz umykały. Nikt go nie rozpoznał. Lata opresji zamazały pamięć i osłabiły wrażliwość.

Odsłonił blizny i metalowe części niczym medale zasługi. Na kończynach odchylił sztuczną skórę, odsłaniając mechanizmy, rozruszniki, przekładnie. Wyglądał jak ulepszona wersja bi-Ixianina. Gurney na dodatek starannie go wybrudził. Rhombur nie mógł udawać człowieka, ale mógł udawać, że jest czymś znacznie gorszym, niż naprawdę był.

Dym i para unosiły się powoli pod wielkie sklepienie, gdzie wchłaniał je system oczyszczania i wymiany powietrza, nic jednak nie mogło usunąć zapachu trwogi i beznadziejności.

Oczy Rhombura – i te prawdziwe, i sztuczne – pilnie rejestrowały każdy szczegół. Na widok pięknego niegdyś miasta nieustannie targały nim na przemian mdłości i gniew. Czuł, że kończy się jego cierpliwość. Na szczęście jednak zbliżała się „godzina zero”, czyli chwila ataku wojsk Atrydów, a wtedy nie będzie już musiał więcej się hamować.

W końcu poruszył się, stawiając kroki wolno i z wahaniem, jak umęczeni bi-Ixianie. Przesuwał się w kierunku zadaszonej wnęki na tyłach fabryki. Z daleka zobaczył Gurneya Hallecka, przy którym stał cień kogoś, kogo Rhombur znał kiedyś, w odległej przeszłości. Nieoczekiwanie dla siebie samego wyszeptał:

– C'tair Pilru!

Kiedyś był zważym młodzieńcem, o ciemnych oczach i drobnej budowie, jak jego bliźniak D'murr. Teraz zmienił się okropnie: oczy miał podpuchnięte i zmęczone, jego włosy sterczały w strąkach.

– Książę...?!

Jego głos brzmiał chrapliwie i niepewnie. Zbyt wiele miał za sobą halucynacji i rozczarowań, a na widok istoty, którą teraz był Rhombur, niemal się załamał.

Poczuł, jak na jego ramieniu zaciskają się palce Gurneya.

– Uważajcie! Nie możemy na siebie ściągać uwagi. Musimy zaraz się stąd wynieść.

– Znam kryjówkę – powiedział C'tair. – Wiele kryjówek.

– Trzeba powiadomić wszystkich – oznajmił stanowczo Rhombur. – Niech się cieszą ci, którzy stracili nadzieję, i ci, którzy zachowali jakieś jej isierki. Spróbujemy się dowiedzieć, czy nie można by liczyć na jakąś pomoc ze strony suboidów. Niechaj wszyscy się dowiedzą że powrócił książę Rhombur. Wolność przestała być tylko snem. Należy to powiedzieć głośno: obalimy Tleilaxan.

– Mój książę, tutaj jest bardzo niebezpiecznie mówić takie rzeczy głośno – powiedział C'tair. –

Ludzie żyją w trwodze.

– Tak czy owak, rozpuszczaj wieść, nawet gdyby miało to sprawić, że zaczną mnie szukać. Ludzie muszą się dowiedzieć, że wróciłem, i że długa, upiorna noc dobiega końca. Niech się gotują, gdyż niedługo uderzy księżę Leto.

Rhombur przygarnął do siebie strudzonego konspiratora i poczuł pod dotykiem, jaki jest słaby i wynędzniały. Oby tylko Leto nie zawiódł.

Uczynienie z wojny sportu to ruch bardzo wyrafinowany. Kiedy ma się pod swymi rozkazami ludzi o wojskowym temperamencie, należy pamiętać o tym, że oni bardzo potrzebują wojny.

**Najwyższy Basza Zum Garon,
dowódca cesarskich oddziałów sardaukarów**

W dniu odlotu wojsko Atrydów ładowało się na statki w nastroju bliskim euforii, ale szybko ulotnił się on w zderzeniu z realiami wojny.

Leto ukazał się na balkonie wieży obserwacyjnej portu kosmicznego w towarzystwie mistrza miecza Duncana Idaho oraz mentata Thufira Hawata. Kaladan nie widział takiego tłumu od czasu przygotowań do nieszczęsnego lotu powietrznego żaglowca. W rzędach stały lśniące maszyny bojowe, a przed nimi prężyły się oddziały ludzi pełnych zapału i lojalności, którzy na rozkaz bez wahania wskoczą do transporterów, niszczycieli, decymeli i jednostek łącznościowych.

Przebywający tam od dwóch dziesięcioleci Tleilaxanie i wspierający ich sardaukarowie okopali się na Ix. Zginęło wielu szpiegów, którzy usiłowali przeniknąć do wnętrza planety, a jeśli to samo spotkało Gurneya i Rhombura, to Atrydzi utracili niesłychanie ważny atut, jakim jest zaskoczenie. Leto wiedział, jak wiele może stracić w razie klęski, z niczego jednak nie zamierzał się wycofywać. Już nie teraz.

Gotowych do wyprawy było też osiemnaście statków dostawczych. Tą flotyllą dowodził Thufir Hawat, mając do pomocy niewielką eskortę jednostek bojowych. Śmiały ruch mentata miał ściągnąć na siebie uwagę cesarza. Dotarwszy do ustanowionej przez Szaddama blokady, miał zaoferować pomoc dla Beakkalu. W takiej sytuacji dowódca sardaukarów zwróci się najprawdopodobniej z zapytaniem do Cesarza, a ten mniej bacznie będzie wtedy spoglądał na Ix. Niewykluczone, że dokona pewnego przegrupowania wojsk, licząc się z próbą siłowego złamania pasa ochronnego, a tymczasem w Landsraadzie na pewno pojawią się głosy sławiące wielkoduszość księcia Atrydy.

I w tym właśnie momencie siły pod dowództwem Duncana Idaho uderzą niczym młot.

Widzowie tłoczyli się za kolorowymi linami oddzielającymi teren zastrzeżony tylko dla wojsk. Wszyscy wiwatowali, powiewając czarno-zielonymi chorągiewkami ze starodawnym godłem Atrydów, łbem jastrzębia.

Rodziny, znajomi, przyjaciółki żołnierzy wołały ich po imionach, życząc szczęśliwego powrotu, oni zaś, rozradowani, stali uśmiechy i całusy nawet nieznanym im osobom. Ważna była sama życzliwość.

Księżę Leto nie mógł odpędzić od siebie myśli o Jessice, od kilku miesięcy przebywającej na dworze cesarskim. Już niedługo powije ich dziecko, a tak bardzo chciałby być przy tym obecny. Także to przemawiało za wyjazdem na Kaitain.

Z rozmysłem przywdział na siebie szkarłatny kostium matadora, podobny do tego, jaki miał na

sobie jego ojciec w dniu śmierci. To symbol, który każdy z mieszkańców Kaladanu zauważy natychmiast. Kiedy Leto oblekał się w czerwień, to kojarzyła się ona nie z krwią – którą hojnie szafowali dawni Czerwoni Książęta Atrydów – lecz z ofiarnością i chwałą.

Opadły rampy załadunkowe, a rozkazy podoficerów poderwały żołnierzy. Jeden z oddziałów zaintonował hymn Atrydów, zaraz podchwyciły go inne i po chwili ze wszystkich gardeł popłynęła pieśń sławiąca honor i głosząca miłość do panującego księcia. Kiedy przebrzmiała, Leto uniósł dłoń. Zapadła głucha cisza.

– Wiele lat temu podczas rebelii na Ekazie książę Paulus Atryda walczył ramię w ramię z earlem Dominikiem Verniusem. Byli serdecznymi przyjaciółmi i wielkimi wojownikami. Wiele się od tamtych czasów zmieniło, wiele zdarzyło się tragedii, ale jest jedna rzecz, o której nigdy nie można zapomnieć: Atrydzi nigdy nie porzucają przyjaciół w potrzebie.

Rozległy się wiwaty. W innej sytuacji mieszkańcy Kaladanu, dla których Ix było odległym miejscem, jakiego nigdy nie odwiedzą, nie żywiliby żadnych szczególnych uczuć do renegackiej rodziny, jednak dzięki długoletniemu pobytowi książę Rhombur zyskał sobie ich sympatię.

– Nasi żołnierze odbiją ojczystą planetę rodu Verniusów, a mój przyjaciel, książę Rhombur, przywróci tam prawowite rządy.

Mieszkańcy Kaladanu, podobnie jak różnych innych planet wchodzących w skład Cesarstwa, nienawidzili Tleilaxan, chociaż większość z nich w ogóle nie widziała ich na oczy. Przypadek Ix był dobitnym przykładem ich podstępności i niegodziwości. Od wieków nazbyt często występki uchodziły im bezkarnie, a teraz nadarzała się okazja, aby dać im dotkliwą nauczkę i wymierzyć sprawiedliwość według atrydzkiego prawa.

– Nie trzymamy się etyki od przypadku do przypadku, tylko wtedy, gdy jest nam to wygodne – ciągnął Leto. – Dlatego też z osobną misją wyprawia się Thufir Hawat. – Obserwował reakcje tłumu. – Nie tak dawno temu musieliśmy podjąć stanowcze kroki wobec władz Beakkalu, ale teraz mieszkańcy tej planety cierpią z powodu plagi, która pustoszy ich świat. Czyż w tej sytuacji tylko z racji dawnych nieporozumień politycznych mamy pozostać ślepi i głusi na ich cierpienia? – Podniósł w górę zaciśniętą pięść. – Moja odpowiedź brzmi: „Nie!”

Znowu rozbrzmiały wiwaty, ale tym razem trochę słabsze.

– Inne Wysokie Rody ze spokojem przypatrują się temu, jak na Beakkalu umierają ludzie, ród Atrydów, pomimo ustanowionej przez Cesarza blokady, chce jednak spróbować dostarczyć tym nieszczęśnikom najpotrzebniejszych rzeczy, podobnie jak wcześniej postąpiliśmy wobec Richese. Czyż nie chcielibyśmy, aby inni postąpili tak wobec nas, gdyby i nas spotkała taka tragedia?

Był pewien, że poddani zrozumieją czym się kieruje w swych wyborach. Gdy było trzeba, pokazał wobec Beakkalu swą nieustępliwość, wobec Richese wykazał się współczuciem, teraz chciał okazać wielkoduszność. Pamiętał zdanie z Biblii Protestancko-Katolickiej: „Łatwo kochać przyjaciela, znacznie trudniej – wroga”.

– Udaję się natychmiast na Kaitain, aby w bezpośredniej rozmowie przedstawić swoje racje memu cesarskiemu kuzynowi i zapoznać z nimi Landsraad. – Na chwilę urwał, a potem dał także Wyrzaw swym uczuciom. – Zobaczą tam też moją ukochaną lady Jessikę, która w najbliższych dniach ma urodzić nasze dziecko.

Tym razem rozentuzjasmowany tłum długo nie mógł się uciszyć. Powiewały flagi, okrzykom nie było końca. Dzięki takim informacjom ludzie czuli się bliżej związani z wyniosłym Zamkiem Kaladan.

Podniósł rękę w geście pożegnania, potem żołnierze karnie i szybko zaczęli zajmować miejsca na statkach. Widok ten wywarłby wrażenie nawet na Cesarzu. Leto czuł się pokrzepiony wyrazami

poparcia i miłości ze strony poddanych, a także widokiem sprawności wojska. Miał nadzieję, że ich nie zawiedzie.

A jeśli wszystko się uda, zmieni się także oblicze Cesarstwa.

Śpi na jawie ten, kto widzi sposobność i jej nie wykorzystuje.

z wolańskich mądrości

Glossu Rabban bardzo sobie cenił to, że cała warownia na Giedi Primie podlegała na razie jego władzy. Mógł bez ograniczeń rozkazywać służącym, ogłaszać turnieje gladiatorów i kontrolować ludność. Miał do tego wszystkiego prawo jako członek rodu należącego do Landsraadu.

Co więcej, nie miał na karku złośliwego mentata, krytykującego każde jego posunięcie. Piter de Vries toczył swe rozgrywki dyplomatyczne na Kaitain, podczas gdy stryj Rabbana pozostawał na Arrakis, obawiając się niespodziewanej inspekcji ze strony ZNAH-u.

Bestia był więc sam i przed nikim nie musiał się tłumaczyć.

Oficjalnie był na-baronem, co znaczyło, że na niego miała przejść władza w rodzie Harkonnenów, chociaż baron Vladimir często odgrażał się, iż swym następcą uczyni młodszego Feyd-Rauthę. Dlatego Rabban musiał wykazać, że jest niezastąpiony.

Znajdował się teraz we wschodnim skrzydle warowni. Stał nad głęboką piwnicą wystającą nieco poza budynek, tak że z dołu widać było wąski pasek nieba. Ze środka dobywał się straszny zaduch odchodów, stłoczone tam bowiem były dzikie psy, które, zaciekle walcząc ze sobą tłoczyły się pod otworem, więcej bowiem było tutaj powietrza, a jeśli zdarzało się jakieś jądło, wtedy właśnie do nich zlatywało. W dole widać było lśniące ślepia i błyskające kły. Rabban, niczym wódz stada, warczał na psy i szczyrzył swe nierówne zęby.

Poszedł na koniec chodnika, aby ze stojącej tam klatki wydobyć małego królika. Wielkie ślepia zwierzęcia były wybałuszone, słuchy oklapnięte, chwytny ogon wił się niczym żmijka. Mocne palce Rabbana wpiły się w fałd skóry i futra, a potem uniosły królika tak, aby psy mogły zobaczyć kawałek żywego mięsa.

Rozległ się straszliwy jazgot. Psy wyskakiwały w powietrze, ale były zbyt nisko, aby mogły dosięgnąć przerażonej ofiary, która rozpaczliwie wierzgała skokami.

Tuż za plecami Rabbana rozległ się głos:

– Ćwiczysz się w tym, żeby twój przydomek nie był gołosłowny, Bestio?

Rabban był tak zaskoczony, że rozluźnił uchwyt i królik poleciał w dół. W locie schwycił go ogromny szary bruweiler i zanim gryzoń zdążył pisnąć, już zostały z niego strzępy.

Rabban gwałtownie odwrócił się i zobaczył ciemnowłosego wicehrabiego Hundro Moritaniego, który wpatrywał się w niego swymi roziskrzonymi oczami. Ręce oparł na biodrach, nogi miał skryte w pokrytych pancerną łuską bryczesach, na szkarłatnym płaszczu lśniły epolety.

Zanim zagadnięty zdążył cokolwiek odpowiedzieć, za plecami Moritaniego zobaczył dowódcę gwardii Harkonnenów, kapitana Kryubiego, który szedł spiesznym krokiem, mając za sobą zaaferowanego mężczyznę, także odzianego w barwy Moritanich.

– Przepraszam, mój panie – powiedział Kryubi. – Wicehrabia dostał się tutaj bez mojej wiedzy. Kiedy starałem się ustalić, gdzie pan jest, on...

Grumman tylko uśmiechał się kpiąco. Rabban uciszył Kryubiego.

– Porozmawiamy sobie o tym później, kapitanie, jeśli okaże się, że ta wizyta to tylko strata czasu.

– Spojrzał prosto w oczy Moritaniego. – Czego pan sobie życzy, wicehrabio?

Godność Hundro Moritaniego bardziej liczyła się w Landsraadzie od tytułu na-barona, poza tym człowiek ten dowiódł swojej zręczności i drapieżności w najazdach na ród Ekazów i mistrzów miecza z Ginazu.

– Chcę ci zaproponować współdziałanie w pasjonującej grze strategicznej. – Odrobinię skonfundowany Rabban otworzył klatkę i wyciągnął następnego królika, tak go chwyciwszy, że przegub dłoni znalazł się poza zasięgiem ogona. – Pomyślałem, że ród Harkonnenów z równą jak ja ochotą zechce wykorzystać błąd, jaki w swych dalekowzrocznych planach popełnił Leto Atryda.

Ręka Rabbana zawisła nad psią jamą skąd znowu rozległo się wściekłe ujadanie. Przerażony królik przestał panować nad zwieraczami. Rabban z grymasem obrzydzenia cisnął zwierzątko na pożarcie.

– A jaki znowu błąd popełnili Atrydzi? – spytał. – Wyjaśni mi to pan? Jestem ciekaw.

– Czy dobrze jednak zakładam, że pałasz do księcia Leta równie małą miłością jak ja?

Rabban wzruszył ramionami.

– O tym wie każdy głupiec.

– W tej właśnie chwili mości księżę przebywa na Kaitain i szykuje się do wystąpienia na forum Landsraadu.

– Więc co? Mam tam jechać, żeby go posłuchać?

Wicehrabia uśmiechnął się protekcyjnie.

– Jego mentat Thufir Hawat wyruszył dobrodusznie z dostawami dla Beakkalu, a poza tym... – Moritani uniósł w górę wyprostowany palec – ...doszły mnie słuchy, że cała armia Leta wyruszyła z jakąś militarną misją.

– Dokąd? Jak się o tym pan dowiedział?

– Widzisz, drogi Rabbanie, trudno przemieścić takie siły bez zwrócenia uwagi nawet najbardziej tępych szpiegów.

– Jasne. – Rabban pokiwał głową jakby znakomicie wyznawał się na tych sprawach. – Ale dokąd się udał? Czy Giedi Prima jest w niebezpieczeństwie?

– Nie, nie Giedi Prima. Atrydzi mają zbyt dużo rozsądku, aby pozwolić sobie na taki krok. Mówiąc szczerze, nie wiem, co planują, wiem jednak, że nie chodzi ani o mnie, ani o was.

– To czym mam się przejmować?

– Jeśli odrobinię ruszysz mózgownicą Rabbanie, i dokonasz bardzo prostych obliczeń, zrozumiesz, że Leto zostawił na ukochanym Kaladanie tylko znikome siły. Kiedy on szykuje się do uderzenia gdzieś daleko, my możemy zająć jego rodzinny dom.

Króliki piszczały i ciskały się w przerażeniu. Rabban kopnął z rozmachem klatkę, ale to je tylko zdenerwowało jeszcze bardziej. Kryubi przygryzł wąsa – nie wolno mu było wyrazić swojej opinii, jak długo sam Rabban o to nie poprosi.

Tymczasem doradca doskoczył do Moritaniego.

– Wicehrabio, to bardzo nierozsądne napadać na przeciwnika bez wcześniejszej debaty w Landsraadzie i bez formalnego wypowiedzenia wojny. To pogwałcenie zasad kanly. Przecież ty, szlachetne panie, znasz je nie gorzej ode mnie, więc...

– Milczeć! – powiedział przywódca Grumman, nie podnosząc głosu, a doradca natychmiast skulił się i ucichł, chociaż Rabban z chęcią usłyszałby odpowiedź na te zarzuty, których sam nie postawiłby w obawie, aby nie wyjść na tchórza.

– Można? – spytał Moritani i nie czekając na odpowiedź, sięgnął do klatki z królikami, wyciągnął

puszysty kłębuszek i zawiesił nad szalejącymi w dole psami. – Interesujące? Nie myślałeś, że można by się zakładać, który z nich go złapie?

Rabban wzruszył ramionami.

– Przecież to tylko karmienie.

Wicehrabia wypuścił swoją ofiarę. I znowu bruweiler wyprzedził konkurentów, chwytając królika w locie. Rabban uznał, że warto by go wypróbować przy następnym turnieju gladiatorów.

– Reguły i przepisy są dobre dla starców, którzy chcą się wlec koleinami historii – powiedział sentencjonalnie wicehrabia.

On sam nie wahał się, by bez trzymania się żadnych reguł zaatakować odwiecznego rywala, ród Ekazów, dokonując nalotów dywanowych na cały stołeczny półwysep, zabijając przy tym córkę arcyksięcia i na nowo rozniecając nienawiść, która będzie gorzała ogniem przez najbliższe dziesięciolecia.

– Oczywiście, a potem Cesarz nakłada na pana sankcje na całe lata – mruknął Rabban. – Musi pan utrzymywać pilnujących was sardaukarów, interesy idą gorzej, wszystko się wali.

Lord z Grumman nie wyglądał na zmartwionego.

– Tak, ale nie tym razem.

Kiedy przed laty Leto usiłował doprowadzić do pokoju między Moritanami a Ekazami, lekko brał stronę tych ostatnich, zresztą zdaje się, że nawet swatano go z córką arcyksięcia. Niemniej jednak za obecną propozycją wicehrabiego nie stała nienawiść, a prosta chęć wykorzystania nadarzającej się okazji.

– I w tym właśnie mały kłopot. Z powodu sankcji Szaddama nie mogę użyć tylu oddziałów, ilu bym chciał, więc zabrałem ze sobą tylko te, które mogłem zmobilizować bez zwracania na siebie uwagi.

– Zabrał pan, wicehrabio?! Więc są tutaj, na Giedi Primie?

– To przyjacielska wizyta – powiedział Moritani. – Po części inspirowana tym, że ród Harkonnenów może nie zważać na żadne ograniczenia i użyć armii tak wielkiej, jak mu się to tylko spodoba. Więc jak, przyłączysz się do tej eskapady?

Rabban westchnął ciężko, najwidoczniej wahał się. Kryubi przestąpił z nogi na nogę, ale się nie odzywał.

– Chce pan więc, wicehrabio, żeby wojska Harkonnenów i Moritanich wspólnie zaatakowały Kaladan i...

– W tym momencie Kaladan jest niemal bezbronny – przerwał Rabbanowi Moritani. – Wywiad donosi, że pozostało tylko trochę młodych i starców, bez żadnej ciężkiej broni. Należy jednak działać szybko, bo Leto nie zostawi na długo drzwi stojących otworem. Co masz do stracenia? Należy wykorzystać dogodny moment.

– Książę Leto zapewne liczy, że reguły kanly zostaną zachowane – ośmielił się wtrącić Kryubi. – Zasad trzeba dotrzymać.

Doradca Moritaniego poparł gwardzistę.

– To zbyt raptowne posunięcie, wicehrabio. Błagam, byś zechciał...

Jednym błyskawicznym ruchem Hundro Moritani cisnął swego doradcę do jamy z psami. W przeciwieństwie do królików, człowiek miał czas na wyrzucenie z siebie przeraźliwego wrzasku. Wicehrabia uśmiechnął się do Rabbana.

– Niekiedy trzeba działać z zaskoczenia, aby zdobyć jak najwięcej.

Z jamy dochodziły już tylko odgłosy walki o ludzkie strzępy, a także chrzęst kości, w których czekał gorący szpik. Rabban z wolna kiwnął głową.

– Kaladan będzie nasz. Pięknie to brzmi.

– Pod wspólną okupacją – podkreślił Moritani.

– Oczywiście. A jaką potem wyznaczymy cenę? Bo jeśli książę nie poniesie klęski tam, gdzie się udaje, i nadciągnie ze wszystkimi swymi siłami...

Moritani uśmiechnął się okrutnie.

– Po pierwsze, trzeba będzie zadbać o to, żeby żadna wieść nie wydostała się z Kaladanu. Starannie będziemy badać każdy prom przylatujący z liniowców i odprowadzający się na nie.

– Aha, a potem wyprawimy księciu Leto przyjęcie powitalne! – wykrzyknął zachwycony Rabban. – Jak tylko wyląduje, napadniemy na niego!

– Właśnie. Szczegóły będziemy musieli jeszcze dopracować. W dalszej kolejności będziemy może potrzebować dodatkowych sił okupacyjnych, aby utrzymać ludność w posłuszeństwie.

Na-baron zacisnął usta w grymasie stanowczości. Ostatnim razem, kiedy przedsięwziął coś samorzutnie, zakończyło się to rozbiciem jedyne go egzemplarza statku pozaprzestrzennego na Wallach IX. Chciał wtedy dorwać czarownice, które podstępnie rzuciły chorobę na jego stryja. Był pewien, że ten z dumą powita jego śmiałą akcją, a tymczasem ta potoczyła się nie tak, jak zamierzał, a na dodatek utracili bezcenny pojazd.

Nie miał jednak wątpliwości, jaka w tej sytuacji byłaby decyzja stryja. Jeśli nadarzała się tak wspaniała okazja, należało zaatakować wroga, który lekkomyślnie odsłonił swe tyły. Zerknął na Kryubiego, który w milczeniu pokiwał głową z aprobatą.

– Statki jednak nie mogą mieć oznaczeń bojowych – zauważył Rabban. – Najlepiej niech to wygląda na wielką handlową delegację czy na coś innego, ale nie na wojenną wyprawę.

– Słusznie, słusznie, drogi Rabbanie. Nie brak ci wcale pomysłu.

Bestia rozpromienił się. Nareszcie i stryj zmieni o nim zdanie.

Na znak porozumienia wymienili z wicehrabią uściski rąk. W dole psy czekały, czy nie pojawi się nowe jądło.

Czy większym ciężarem jest wiedza, czy ignorancja? Oto pytanie, na które musi sobie odpowiedzieć każdy nauczyciel, zanim stanie przed swymi uczniami.

**lady Anirula Korrino,
dziennik prywatny**

Kolejny piękny zachód słońca w cesarskiej stolicy. Mohiam od dłuższego czasu przypatrywała się swojej sekretnej córce, siedzącej nad małym stawkiem w jednym z licznych ogrodów. Jessika dobrze znosiła zaawansowaną ciążę, potrafiła sobie radzić ze zdeformowaną figurą. Dziecko miało się już wkrótce narodzić.

Jessika nachyliła się, zanurzyła w wodzie końce palców i nie odwracając się, powiedziała:

– Musi być we mnie coś zabawnego, że tak uważnie mi się przyglądasz, Wielebna Matko.

Po bladych ustach Mohiam przemknął lekki uśmiezek.

– Przypuszczałam, że wyczułaś moją obecność. W końcu któż uczył cię uwagi i spostrzegawczości? – Stała na brzegu stawku i pokazała kryształ pamięciowy. – Lady Anirula kazała ci to wręczyć. Chce, żebyś dowiedziała się o pewnych sprawach.

Jessika wzięła błyszczący przedmiot i obejrzała go.

– Czy lady Anirula czuje się już dobrze?

Mohiam starannie dobierała słowa.

– Przypuszczam, że jej stan znacznie się poprawi, kiedy twoja córka przyjdzie już na świat. Bardzo się tym przejmuje i to częściowo jest powodem jej depresji.

Jessika odwróciła twarz w obawie, że nie zapanuje nad rumieńcem.

– Nie rozumiem, Wielebna Matko, dlaczego takie ważne miałyby być dziecko księżęcej konkubiny?

– Przejdźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Poszły na poruszaną energią słońca karuzelę, którą zamontował poprzedni Cesarz.

Jessika miała na sobie ciężową suknię w barwach Atrydów, które nieustannie przypominały jej Leta. Wewnętrzne zmiany spowodowane brzemiennością wyzwoliły w niej sprzeczne emocje, nad którymi nawet po szkoleniu Bene Gesserit ledwie mogła zapanować. Każdego dnia przelewała do otrzymanego od Aniruli dziennika miłosne wyznania. Księżę był dumnym mężczyzną ale Jessika wiedziała, że w głębi duszy tęskni za nią.

Mohiam usiadła na kołyszącej się ławeczce, a Jessika zajęła miejsce obok niej, trzymając w ręku wręczony jej kryształ. Uruchomiony ciężarem ich ciał mechanizm zaczął z wolna obracać karuzelę. Jessika patrzyła, jak przesuwa się przed nimi ogród. Na płocie oplecionym bugenwillą migotała już jarzyca, chociaż słońce nie schowało się jeszcze za horyzontem.

Od czasu przybycia na Kaitain, a zwłaszcza od chwili nieoczekiwanego ataku Tyrosa Reffy na cesarską lożę w teatrze, Jessika znajdowała się pod czujnym okiem strażniczek z Bene Gesserit. Niczym się nie zdradziła, ale była świadoma ich stałej obecności.

„Dlaczego jestem taka ważna? Dlaczego zakonowi tak zależy na moim dziecku?”

Obróciła w ręku kryształ: był to ośmiościan o lawendowej barwie. Mohiam wydobyła bliźniaczy kryształ i podniosła go.

– No, dalej, moje dziecko, uaktywnij go.

Jessika potarła regularną bryłę w obydwu dłoniach, aby ciepło jej ciała i pot ożywiły zawarte wewnątrz zapisy przeszłości. Po chwili z kryształu trysnęły promienie mierzące w jej źrenicę. Obok tak samo postąpiła Mohiam.

Jessika przymknęła oczy i w kościach poczuła lekką wibrację, jak przy wejściu liniowca w zakrzywioną przestrzeń. Kiedy uniosła powieki, miała wrażenie, że znajduje się daleko od Kaitain: w Archiwach Bene Gesserit. Głęboko w przejrzystych skałach Wallach IX pryzmatyczne ściany i sufit budowli odbijały tysiące blasków. Ona i Mohiam stały naprzeciw wirtualnego wejścia. Iluzja wydawała się nieprawdopodobnie rzeczywista.

– Będę twoją przewodniczką Jessiko – powiedziała Mohiam – abyś zrozumiała swoje znaczenie. – Jessika milczała zaintrygowana. – Czy po opuszczeniu szkoły dowiedziałaś się czegoś, o czym byś nie wiedziała?

Jessika pokręciła głową.

– Z rzeczy podstawowych nie, tylko szczegóły, ale zawsze wiedziałam, jak zbierać informacje.

Obraz Mohiam ujął Jessikę za rękę, a jej zdawało się, że czuje dotyk żyłastej dłoni.

– Tu jednak znajdują się też miejsca, które ci pokażę, a które cię zaskoczą.

Weszły w ciemny tunel. Jessika czuła wokół siebie mroczną przestrzeń, gdzieś wysoko sklepiony sufit. Chciała krzyknąć, jej puls gwałtownie przyspieszył. Usiłowała się uspokoić, ale Mohiam zauważyła jej wzburzenie.

– Boisz się? – przerwała ciszę.

– Strach zabija umysł, Wielebna Matko – odrzekła Jessika. – Pozwolę, aby zalał mnie i przelał się przeze mnie. Co to za ciemność i czego ma mnie nauczyć?

– Reprezentuje to, czego nie wiesz. Wszechświat, którego nie widzisz i którego zapewne nawet sobie nie możesz wyobrazić. Na początku czasu panował mrok, tak samo będzie na końcu. Pomiędzy tymi krańcami nasze życie to tylko świetlne punkciki, niczym mikroskopijne gwiazdy na niebie. – Mohiam nachyliła się do ucha Jessiki. – Kwisatz Haderach. Powiedz mi, co to imię dla ciebie znaczy.

Wielebna Matka wypuściła dłoń Jessiki, a ta poczuła, jak unosi się w nieprzeniknionej ciemności. Ogarnął ją strach.

– To jeden z programów kultywacyjnych zakonu. Tylko tyle wiem.

– Ta czarna jama tajemnej wiedzy zawiera w sobie wszystkie sekrety wszechświata. Lęki, nadzieje i sny ludzkości. Wszystko, czym byliśmy i czym stać się możemy. Oto potencjał Kwisatz Haderach. Oto kulminacja wszystkich naszych programów, potężny mężczyzna Bene Gesserit, który potrafi ogarniać przestrzeń i czas. Człowiek najpotężniejszy z wszystkich ludzi, bóg w człowieczej postaci.

Jessika bezwiednie dotknęła wzdętego brzucha, gdzie nienarodzone jeszcze dziecko – syn księcia Leta – znajdowało się w zaciszu łona, zapewne niemniej mrocznego niż pomieszczenie, w którym się teraz znajdowała. Głos jej dawnej nauczycielki był oschły i beznamiętny.

– Posłuchaj mnie, Jessiko. Po tysiącach lat dalekowzrocznego planowania i skrupulatnego działania, córka, którą powijesz, ma urodzić Kwisatz Haderach. To właśnie dlatego otoczono cię taką opieką. Lady Anirula Sadow-Tonkin Korrino to Kwisatz Matka, twoja zaprzysiężona opiekunka. To z jej polecenia dowiadujesz się teraz o swoim miejscu w otaczających cię wydarzeniach.

Jessika nie mogła wykrztusić słowa, poczuła, że w ciemności uginają się pod nią kolana. Z miłości do Leta sprzeciwiła się nakazom zakonu i nosiła w swoim łonie syna, a nie córkę. A siostry zakonne nic o tym nie wiedziały!

– Czy rozumiesz, co to oznacza, dziewczyno? Nauczyłam cię wielu rzeczy, czy teraz pojmujesz znaczenie tego, w czym masz uczestniczyć?

– Pojmuję, Wielebna Matko – słabym głosem odrzekła Jessika.

Nie śmiała teraz przyznać się do swego odstępstwa. Nie wiedziała, komu mogłaby powierzyć swą straszliwą tajemnicę, z całą jednak pewnością nie była to jej nauczycielka i mentorka.

„Dlaczego wcześniej mi tego nie powiedziały?”

Znowu przypomniał jej się ból Leta po utracie Victora, spowodowanej zdradą Kailei, dawnej konkubiny księcia.

„Zrobiłam to dla niego!”

Pomimo wszystkich ostrzeżeń i treningów Bene Gesserit, które miały zapobiec uzależnieniu się od emocji, Jessika była zdania, że jej przełożone nie mają prawa ingerować w miłość pomiędzy mężczyzną i kobietą. Dlaczego się tak lękały miłości? Wszystkie nauki, jakie otrzymała, nie pozwalały odpowiedzieć na to pytanie.

Czyżby przez swą samowolną decyzję Jessika zrujnowała program Kwisatz Haderach, pracę całych tysięcy? Zmieszały się w niej niepewność, gniew i strach. „Zawsze przecież mogę jeszcze mieć córki!” Skoro to takie ważne, to dlaczego nie powiedziały jej tego wcześniej? „Przekłète są wszystkie ich sekrety i knowania!”

Czuła obok siebie obecność nauczycielki i ponownie przypomniał jej się dzień, gdy na Wallach IX musiała przejść test człowieczeństwa. Wielebna Matka Mohiam przytknęła jej do szyi zatruty gom dżabbar. Jedno drgnięcie, a śmiertelne ostrze zanurzyłoby się w jej skórę, zabijając natychmiast.

„A kiedy teraz dowiedzą się, że to nie córka...”

Ciemne pomieszczenie powoli obróciło się, jakby i nim sterował mechanizm cesarskiej karuzeli.

Jessika straciła poczucie kierunku i miejsca, aż wreszcie zorientowała się, że wraz z Mohiam wstępuje w światło, a z niego przechodzi do obszernego, jasnego pokoju. Pod stopami miały ekran wypełniony jakimiś dziwnymi słowami i symbolami.

– Oto imiona i liczby, które wyznaczają wielki program kultywacyjny zakonu. Widzisz, jak wszystko zbiega się w jednej linii genetycznej? To jej zwieńczeniem będzie Kwisatz Haderach.

Podłoga rozjarzyła się, a Wielebna Matka wskazała Jessice jej miejsce. Nad swym imieniem zobaczyła nazwisko matki: Tanidia Nerus. Być może prawdziwe, ale raczej należało przypuszczać, że to tylko pseudonim. Zakon miał tyle tajemnic, a prawdziwe związki krwi nigdy nie były ujawniane.

Jessikę zaskoczyła obecność nazwiska Hasimira Fenringa. Widywała go na cesarskim dworze. Zawsze szeptał coś na ucho Szaddamowi. Jego gałąź genealogiczna zbliżała się do centralnego pnia, ale w jego pobliżu urywała.

Mohiam pochwyciła jej spojrzenie i powiedziała:

– Tak, hrabia Fenring był blisko znalezienia się na drodze do ostatecznego sukcesu. Jego matką była starannie wybrana jedna z naszych sióstr zakonnych, ostatecznie jednak próba się nie powiodła. Okazał się osobą utalentowaną jednak nieprzydatną dla naszych celów. Po dziś dzień nie wie, jakie nadzieje z nim wiążyliśmy.

Jessika westchnęła, gorąco pragnąc, aby jej życie było mniej skomplikowane, aby więcej w nim było prostych odpowiedzi, a mniej tajemnic i pozorów. Chciała jedynie dać Letu syna, a teraz dowiadywała się, że na tym porodzie wspierał się starodawny domek z kart. To nie fair.

Nie mogła już znieść tej namacalnej projekcji. Czowała na sobie straszny ciężar, a nie mogła o nim nikomu opowiedzieć. Rozpaczliwie potrzebowała czasu na zastanowienie, rozważenie wszystkiego. I nie mogła tego robić pod badawczym spojrzeniem Mohiam.

Wreszcie kryształ pamięci przygasł, a Jessika znalazła się ponownie na wolno obracającej się ławce w cesarskim ogrodzie. Wysoko nad głowami gwiazdy zdobiły nocne niebo, wokół jasno świeciły jarzyce.

Dziecko kopnęło mocniej niż kiedykolwiek dotąd. Mohiam otwartą dłonią dotknęła brzucha Jessiki i uśmiechnęła się, gdyż ona także poczuła obecność czekającej na narodziny istoty. Jej oczy, zazwyczaj bez wyrazu, zamigotały.

– Jest silna – powiedziała. – I czeka ją wielka przyszłość.

Uczymy się wiary, a nie wiedzy.

aforyzm zensunitów

Piter de Vries, odziany w oficjalny strój ambasadora, długi, z szerokimi rękawami, dostosowany do dworskich obyczajów, zrazu stał na uboczu i uważnie przyglądał się dostojnikom wypełniającym wielką salę audiencyjną. Wiele mógł się tutaj dowiedzieć i nauczyć.

Potem dyskretnie zaczął się przemieszczać tak długo, aż wreszcie znalazł się za konkubinę księcia Leta, która stała w towarzystwie Margot Fenring, księżniczki Irulany i dwóch sióstr Bene Gesserit. Czuł zapach atrydzkiej dziwki, widział złoty połysk na jej brązowych włosach. Była piękna. Nawet w ciąży budziła pożądanie. Natężył słuch w nadziei, że jakieś strzępki rozmowy mogą pomóc w realizacji śmiałego planu, który przyszedł mu do głowy.

Szaddam dumnie zasiadł na Tronie Złotego Lwa i słuchał właśnie lorda rodu Novebrunsów, który

domagał się, aby Zanovar został odebrany Taligarim i stał się jednym z lenn piastowanych przez jego ród. Wprawdzie sardaukarowie zamienili główne miasta w zgliszcza, ale lord Novebruns miał nadzieję, że nie przeszkodzi mu to w spożytkowaniu tamtejszych surowców. Zaoferował znaczną opłatę, podczas gdy objęty niełaską ród Taligarich nie mógł nawet przysłać żadnego przedstawiciela.

De Vriesowi wszystko to wydawało się bardzo zabawne.

Przeznaczony dla Aniruli tron po lewej ręce Szaddama, mniejsza kopia cesarskiego, pozostawał pusty. Szambelan Ridondo jak zwykle ostatnio przekazał informację, że małżonka Jego Cesarskiej Mości nie przybędzie z powodu złego samopoczucia. Wszyscy wiedzieli, że to łagodne określenie, gdyż tak naprawdę Cesarzowa po prostu zwariowała.

To de Vriesowi wydawało się jeszcze bardziej zabawne.

Jeśli lady Anirula istotnie cierpiała na jakąś umysłową chorobę, jeśli rzeczywiście była szalona, to mentatowi w sposób skuteczny, a zarazem skrywający jakikolwiek udział Harkonnenów, powinno udać się nakłonić ją do jakiejś zdecydowanej akcji przeciw tej dziwce Atrydów...

Po nagłym „odwołaniu” przed kilkoma miesiącami Kalo Whyllsa, teraz jego funkcje sprawował Piter de Vries. Przez ten czas, jak tylko mógł, starał trzymać się w cieniu, nieustannie natomiast analizował wszystkie wydarzenia i powiązania. Co dziwne, ciężarna Jessika stale była otoczona przez zakonnice, niczym kurczę przez troskliwe kwoki. O co im chodziło? Skąd ta nadopiekuńczość?

Niełatwo będzie dostać się do niej lub do dziecka. Mentat najchętniej zabiłby Jessikę przed rozwiązaniem, naraz trafiając dwa cele, ale jak na razie nie nadarzyła się ku temu najmniejsza choćby możliwość. A mentat nie zamierzał bynajmniej dla uciechy barona poświęcić swego życia. Jego lojalność wobec rodu Harkonnenów nie sięgała aż tak daleko.

Ponad ramieniem stojącego przed nim mężczyzny dojrzał Gaius Helenę Mohiam. Zgodnie ze zwyczajem stała koło tronu, aby na każde żądanie świadczyć swe usługi Prawdomówczyni.

Ich spojrzenia spotkały się i – mimo odległości – wpatrzyli się uparcie w siebie. Przed wieloma laty mentat obezwładnił ją pejcem nerwowym, aby baron ją zapłodnił i darował w ten sposób córkę, której domagał się zakon. Był wtedy dumny z siebie, ale nie miał nawet cienia wątpliwości, że Mohiam zabiłaby go, gdyby tylko nadarzyła się ku temu okazja. Nagle poczuł na sobie jeszcze inne spojrzenia i kiedy szybko się rozejrzał, zobaczył, że w jego kierunku przesuwiają się inne postacie w zakonnych habitach. Czym prędzej wycofał się, aby znaleźć się jak najdalej od Jessiki.

Jak każda Prawdomówczyni, Gaius Helena Mohiam interesy zakonu stawiała wyżej od interesów Cesarza. A teraz najważniejsza dla zakonu była ochrona bezpieczeństwa Jessiki i jej dziecka. Mohiam zaniepokoiło nagłe pojawienie się na Kaitain mentata Harkonnenów, a jeszcze bardziej jego niewątpliwe zainteresowanie Jessiką. Szpiegował ją bardzo często starał się znaleźć w jej pobliżu, a przecież dzień porodu był coraz bliższy.

Kiedy teraz zobaczyła, jak wycofuje się przed otaczającymi go siostrami, dała sekretny znak jednej ze swych najbliższych współpracowniczek, a ta niezwłocznie szepnęła coś sardaukarowigwardziście. Mohiam mogła wprawdzie sięgnąć po jakiś precedens prawny, a można było przypuścić, że de Vries nie miałby ich wszystkich opanowanych, jak przystało na prawdziwego mentata, był bowiem mentatem sztucznie wyhodowanym w zbiornikach aksolotlowych Tleilaxan.

Lord Novebruns kontynuował swoje wystąpienie, wyliczając zasoby planety i informując, jak będą wykorzystane, podczas gdy żołnierz stanowczo ruszył w kierunku de Vriesa i chwycił go za kołnierz dokładnie w momencie, gdy tamten zamierzał wymknąć się z sali audiencyjnej. Pojawiło się trzech innych strażników i nie zważając na protesty mentata, poprowadzili go ze sobą. Całe zamieszanie trwało bardzo krótko i nie zakłóciło namiętnej perory lorda, którą Cesarz wydawał się bardzo

znudzony.

Także Mohiam wyśliznęła się i stanęła naprzeciw pojmanego de Vriesa.

– Kazałam sprawdzić pańską akredytację. Do czasu, aż wszystkie wątpliwości zostaną wyjaśnione, nie wolno panu przebywać w sali audiencyjnej, kiedy Cesarz Padyszach rozważa sprawy wagi państwowej.

De Vries miał minę skrzywdzonej ofiary.

– To niebawale! Jestem urzędowo ustanowionym ambasadorem rodu Harkonnenów, a jeśli nie wolno mi przebywać w obecności Cesarza, jakże mam służyć memu baronowi?

Mohiam nachyliła się ku niemu i rzekła złowrogim tonem:

– To bardzo niezwykle, by mentat występował w roli ambasadora.

De Vries wytrzymał jej wzrok.

– Nawet jeśli niezwykle, to dopełnione zostały wszystkie formy. Baron odwołał Kalo Whyllsa, a swoim zaufaniem obdarzył mnie.

De Vries wygładził ubranie.

– Jeśli pański poprzednik został „odwołany”, to dlaczego nie ma żadnego świadectwa jego wyjazdu? Dlaczego sam nie poinformował Cesarza o swoim powrocie na Giedi Prime?

De Vries uśmiechnął się krzywo.

– No i sama ma pani dowody jego niekompetencji. Czy można się dziwić, że baron postanowił na jego miejsce wyznaczyć osobę bardziej wiarygodną?

Mohiam zwróciła się do dowódcy sardaukarów.

– Zanim sprawa nie zostanie ostatecznie wyjaśniona, człowiek ten nie może przebywać w sali audiencyjnej i w ogóle nigdzie, gdzie mógłby zobaczyć Jego Cesarską Wysokość. – Pokiwała protekcjonalnie głową. – Niestety ta procedura może potrwać miesiącami.

Żołnierz służbiście kiwnął głową Prawdomówczyni i na jej znak oddalił się ze swymi podwładnymi.

– Mam teraz wielką ochotę zabić cię, mentacie – syknęła Mohiam. – Rozważ no tylko szanse. Bez swojego pejsza nie potrafisz obronić się przed moim atakiem.

De Vries komicznie przewrócił oczami.

– I co, będę musiał teraz wysłuchać serii infantylnych przechwałek?

Mohiam przystąpiła do najważniejszej sprawy.

– Chcę wiedzieć, co robisz na Kaitain i dlaczego tak się interesujesz lady Jessiką?

– Jest bardzo piękną kobietą, a ja jestem niezmiernie wrażliwy na urodę.

– Nawet gdyby tak było, twoje zainteresowanie nią jest nadmierne.

– Nawet gdyby tak było, jak z kolei mam dość insynuacji, czarownico. Przybyłem na Kaitain jedynie w tym celu, aby jako przedstawiciel barona Vladimira Harkonnena dbać o interesy jego rodu.

Mohiam zapewne i tak mu nie uwierzy, ale nie było to tylko i jedynie kłamstwo.

– Dlaczego więc nie bywasz na spotkaniach korpusu dyplomatycznego? W ogóle nie zachowujesz się tak, jak powinien zachowywać się ambasador.

– Sądziłbym, że cesarska Prawdomówczyni ma mnóstwo ważniejszych spraw na głowie, niż zajmowanie się przedstawicielem jednego i to wcale nie najpotężniejszego rodu z Landsraadu. – Zerknął na swe paznokcie. – Dziękuję jednak za przypomnienie mi, że są sprawy, którymi muszę zająć się niezwłocznie.

Język ciała de Vriesa informował Mohiam, że jej rozmówca kłamie. Z pogardliwym grymasem na ustach patrzyła, jak oddala się krokiem odrobinę zbyt spieszonym. Była pewna, że mentat chce wyrządzić krzywdę Jessice, a może i jej dziecku. Ostrzegła go i miała nadzieję, że to powstrzyma go

od dalszych kroków.

Gdyby jednak zlekceważył jej ostrzeżenie, z radością będzie mogła go wyeliminować.

Znalazłszy się w ambasadzie, poza zasięgiem wzroku przeklętej czarownicy, de Vries z wściekłością zerwał z siebie płaszcz i cisnął w kierunku odzianego na białą sługi. Kiedy ten schylił się, aby podnieść odzienie, mentat kopnął go w tył głowy, tak jednak, aby tylko ogłuszyć, nie zaś zabić.

Aby nie wyjść z wprawy, należy nieustannie trenować.

Sam podniósł płaszcz, umieścił go na wieszaku, a potem zamknął się w gabinecie. Dlaczego te czarownice tak się trzęsą nad Jessiką? Dlaczego Cesarzowa wezwała tutaj konkubinę Atrydy i trzyma ją aż do czasu porodu?

Pograżał się w transie, fakty zaczynały się zazębiać. Dwadzieścia lat temu sama Mohiam została wyznaczona na klacz rozplodową a czarownice zaszantażowały barona, aby spłodził im córkę. Nie mogąc się wykręcić, baron brutalnie zgwałcił Mohiam, co de Vries widział na własne oczy.

Teraz córka powinna być mniej więcej w wieku Jessiki. De Vries trwał w intensywnym transie. Skupił się na cechach Jessiki i porównywał je z bezlikiem innych oblicz, aby wychwycić ślady pokrewieństwa. W głowie trwało błyskawiczne przesiewanie informacji. Nagle drgnął, gdyż wszystkie powiązania stały się jasne: „Lady Jessika jest córką barona, a jej matka to Mohiam!”

Do pokoju zajrzał kamerdyner i poinformował, że zjawiała się kurierka dyplomatyczna, ale de Vries gniewnym ruchem dłoni odprawił go. Teraz musiał przede wszystkim ocenić najróżniejsze możliwości.

Szaddam rozgrywał swoje gierki, ale cudzych intryg nie potrafił dostrzec, nawet gdy rozgrywały się na jego oczach. Mentat uśmiechnął się do siebie. Zyskał skuteczną broń, ale jak najlepiej ją wykorzystać?

Zanim przystąpisz do wiwatowania, sprawdź, czy dobre wiadomości są prawdą, czy też tym, co chcesz usłyszeć.

**doradca do Fondila III
(źródła nie podają nazwiska)**

Długie posiedzenie, podczas którego występowali lord Novebruns i inni suplikanci, wymęczyło Szaddama na tyle, że marzył już tylko o tym, by zasiąść w gabinecie i czegoś się napić, kto wie, może kaladańskiego wina, które ofiarował mu książę Leto. Potem mógłby zejść do podziemi, żeby w podgrzewanym basenie zabawić się z kilkoma konkubinami, chociaż... nie był w specjalnie romantycznym nastroju.

Ku swojemu zdziwieniu w gabinecie zastał Hasimira Fenringa.

– Dlaczego nie jesteś na Ix? Przecież miałeś doglądać uruchomienia produkcji na wielką skalę.

Fenring odrobinę się zawahał, a potem rzekł z wymuszonym uśmiechem:

– Hmm-mmhmm, chciałem z tobą porozmawiać o kilku ważnych sprawach. W cztery oczy.

Szaddam zmarszczył brwi.

– Stało się coś? Tylko nie kręć. Muszę znać prawdziwy obraz świata, aby podejmować słuszne decyzje.

– Hmmm. – Fenring przeszedł się po pokoju. – Mam bardzo dobrą wiadomość, której nie trzeba już będzie strzec. Na dobrą sprawę, nawet zależy nam na tym, aby poznało ją całe Cesarstwo. – Uśmiechnął się, a oczy mu błysnęły. – Najjaśniejszy Panie, nie mam już żadnych wątpliwości: amal jest znakomity, to dokładnie to, o co nam chodziło.

Szaddam, wyraźnie pod wrażeniem tych słów, zasiadł za biurkiem i rzekł rozpromieniony:

– No proszę. Jak przypuszczałem, wszystkie wątpliwości były bezzasadne.

Fenring pokiwał wielką głową.

– Zbadałem wszystkie stadia produkcji, obejrzałem zbiorniki aksolotlowe, sam przeprowadziłem kilka testów, a wszystkie zakończyły się sukcesem. – Z kieszeni na piersi kaftana wydobył mały pakunek. – Przywiozłem nawet ze sobą próbkę, abyś sam mógł jej skosztować, Najjaśniejszy Panie.

Szaddam przytknął torebkę do nosa.

– Pachnie jak melanz.

– Hmmm, zapach nie jest przecież najważniejszy. Spróbuj sam, jaki jest znakomity.

Fenring wydawał się jakoś dziwnie podniecony.

– Hasimirze, czyżbyś postanowił mnie otruć?

Fenring zachnął się.

– Najjaśniejszy Panie, jak coś takiego mogło w ogóle przyjść ci do głowy? – Zmrużył oczy. – Czyż nie miałem przez te lata niezliczonych okazji do otrucia cię, hmmm?

Szaddam pokiwał głową.

– To prawda.

Spojrzał na torebkę pod światło.

– Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, pozwól, że najpierw sam spróbuję – zaoferował Fenring, ale Szaddam cofnął rękę.

– Wystarczy, wystarczy, Hasimirze, jestem już spokojny.

Cesarz dotknął sypkiej substancji końcem języka, potem wziął więcej, aż wreszcie połknął pełną dawkę. Z wyrazem bliskim ekstazy na twarzy czuł, jak na języku topi się drobny puder, natychmiast powodując przyływ energii. Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Świetny, zupełnie jak autentyczny. Nawet... jakby lepszy. – Fenring uklonił się, jakby to on był twórcą amalu. – Masz więcej? Chyba chciałbym z tego mieć dzisiejszą porcję. – Przyjrzał się uważnie saszetce, jakby w nadziei, że w rogach pozostało trochę pudru.

Fenring rozłożył dłonie.

– Niestety, Najjaśniejszy Panie, wyjeżdżałem w najwyższym pośpiechu i wziąłem ze sobą tylko tę odrobinę. Czy mogę jednak Mistrzowi Badań Ajidicy przekazać wiadomość, że nakazujesz podjęcie produkcji na przemysłową skalę, hmmm? Wystarczy jedno twoje słowo, a wszystko bardzo przyspieszy.

– Ależ tak! – Szaddam niecierpliwie zamachał rękami. – Wracaj na Ix i zadbaj, żeby nie było już żadnych opóźnień. Czekaliśmy na ten moment dostatecznie długo.

– Oczywiście, Najjaśniejszy Panie.

Wydawało się, że Fenringowi bardzo zależy na tym, aby oddalić się jak najspieszniej, ale Szaddam nie zwrócił na to uwagi i rzekł radośnie:

– Teraz muszę jeszcze znaleźć sposób na to, żeby Arrakis nie paraliżowało moich działań. Całe Cesarstwo musi się poczuć zdane tylko na mój amal.

Cesarz w zamyśleniu postukał palcami po blacie. Fenring uklonił się głęboko i zniknął za drzwiami.

Tancerz Oblicza zachował swoją maskę aż do chwili, gdy znalazł się na obrzeżach portu

kosmicznego. Inni Tleilaxanie umieszczeni przez Ajidicę pozostaną na dworze, on jednak miał wracać na Xuttuh.

Szaddam usłyszał to, co chciał usłyszeć, a Mistrz Ajidica mógł bez żadnych już przeszkód kontynuować swój plan, który miał teraz wkroczyć w końcową fazę.

Kiedy czujesz nacisk ograniczeń, znaczy to, że zaczynasz umierać... w więzieniu własnych wyborów.

**Dominik Vernius,
Wspomnienia z Ekazu**

Głęboko w labiryntach suboidów C'tair poprowadził Rhombura i Gurneya do dużego, wykutego w skale pomieszczenia. Kiedyś znajdował się tutaj magazyn żywności, ale wraz z tym, jak kurczyły się jej racje, coraz więcej było takich pustych miejsc. To tutaj pierwszego wieczoru Rhombur i Gurney odbyli długą naradę strategiczną. Awaria liniowca sprawiła, że mieli teraz znacznie mniej czasu, niż planowali.

W słabym świetle jarzycy C'tair półszeptem opowiedział Rhomburowi i Gurneyowi o swych wieloletnich aktach sabotażu, możliwych dzięki dostawom Atrydów. Niewiele jednak mogły zmienić te akcje wobec beznadziejności, która ogarniała mieszkańców Ix w obliczu okrucieństwa Tleilaxan i bezwzględności sardaukarów.

Rhombur musiał niestety poinformować C'taira, że jego bliźniak, D'murr, zmarł z powodu zatrucia melanżu, najpierw jednak zdołał uratować pełen pasażerów liniowiec.

– Wiedziałem... wiedziałem, że coś się stało – powiedział bezbarwnym głosem C'tair, nie chcący wspominać o Cristane. – Rozmawiałem z nim na chwilę przed awarią.

Rhombur nie potrafił pojąć, jak ten samotny wojownik mógł tak wiele znieść. Choć spadały na niego kolejne ciosy, ten nie tracił woli walki. Teraz jednak wszystko się zmieni. Rhombur był pełen szaleńczego wręcz entuzjazmu. Tessja byłaby z niego dumna.

Nazajutrz, jeszcze przed sztucznym świtem, razem z Gurneyem wysliznęli się na powierzchnię, aby zabrać resztę rozłożonej kapsuły bojowej i przenieść na dół. Teraz będą mieli dostatecznie dużo zapasów na małe powstanie, gdyby tylko udało się je skutecznie rozproszyc. I gdyby było odpowiednio wielu powstańców.

Rhombur niczym pomnik stał pośrodku wykutego w skale pomieszczenia. Od kilku dni rozpuszczana była wieść o jego przybyciu, a teraz wylęknieni ludzie, dokładnie wcześniej sprawdzeni przez C'taira i Gurneya, znajdowali jakieś wymówki, oddalali się z miejsc swego stałego pobytu i zakradali się, aby go zobaczyć. Nadzieję dawał im już sam widok księcia. Od wielu lat liczyli na to, szeptali między sobą, a teraz mogli prawowitego władcę zobaczyć na własne oczy. Jedni spoglądali na niego jak na senną zjawę, inni mieli łzy w oczach.

– Spójrz tylko na nich – powiedział Rhombur do Gurneya. – Ci ludzie wierzą we mnie i nigdy mnie nie zdradzą. – Przez usta przemknął mu uśmiech. – A gdyby nawet po tym wszystkim, czego doznali od Tleilaxan, wystąpili kiedyś przeciw Verniusom, znaczyłoby to, że cała walka o powrót była bez sensu.

I dalej ciągnęła się procesja ludzi, którzy ściskali rękę księcia z takim namaszczeniem, jak gdyby

dotykali relikwii. Jedni padali na kolana, inni spoglądali mu uważnie w oczy, jakby badali, czy Wystarczy mu ducha, aby poprowadzić ich do walki o wolność.

Rhombur zatrzymał sporą grupę i głosem poważniejszym, niż Gurney kiedykolwiek u niego słyszał, rzekł:

– Wiem, że przeżyliście wiele rozczarowań, tym razem jednak czeka nas zwycięstwo. – Mówiąc to, Rhombur czuł wielkie brzemie odpowiedzialności. – Teraz czekajcie i patrzcie uważnie. Przygotujcie się, na razie nie wykonujcie żadnych ryzykownych posunięć, a sami będziecie wiedzieli, kiedy nadejdzie ta chwila. Nie mogę podać żadnych szczegółów, Tleilaxanie bowiem mają wiele uszu. – Zebrani mruknęli i spojrzeli na siebie podejrzliwie, jakby usiłowali wybadać, który z nich może być szpiegiem. – Jestem waszym księciem, prawowitym earlem rodu Verniusów. Możecie mi zaufać, nie zawiodę was. Wkrótce IX zostanie wyzwolone i wróci do tej postaci, jaką miało pod rządami mego ojca, Dominika.

Tym razem szmer był pełen entuzjazmu, a ktoś ośmielił się spytać:

– A czy zostaniemy wyzwoleni nie tylko od Tleilaxan, ale i od sardaukarów?

Rhombur spojrział w oczy pytającego.

– Żołnierze cesarscy przebywają tu bezprawnie, a poza tym ród Korrinów dopuścił się jeszcze innych przestępstw przeciwko Verniusom. Patrzcie.

Gurney wysunął się naprzód i uruchomił mały holoprojektor. Pojawiła się postać skatowanego mężczyzny.

– Zanim lady Shando – ciągnął Rhombur – poślubiła mego ojca, była konkubina Cesarza Elrooda IX. Dopiero niedawno dowiedzieliśmy się, że ze związku tego narodził się syn. Jako Tyros Reffa był wychowywany przez docenta rodu Taligarich. Reffa był wprawdzie dzieckiem z nieprawego łoża, ale w niczym nie zmienia to faktu, że był także mym przyrodnim bratem i po kądzieli należał do rodu Verniusów.

Przez pokój znowu przetoczył się szmer. Zebrani znali historię Shando, małżeństwa z Dominikiem i ich dzieci, ale nigdy nie przypuszczali, że mógł być jeszcze jakiś potomek Verniusów.

– Słowa te zarejestrował w cesarskim więzieniu nasz ambasador na wygnaniu, Cammar Pilru. Tyros Reffa nigdy już więcej nie przemówi, gdyż został stracony przez Cesarza, a ja nigdy nie poznałem i nigdy nie poznam swego przyrodniego brata.

Wszyscy słuchali poruszeni natchnionych słów Reffy, najwyraźniej oburzeni na los, który go spotkał, a kiedy projekcja się skończyła, zaczęli się przeciskać, jak gdyby chcieli odetchnąć powietrzem, w którym przed chwilą unosiła się wizja.

A potem znowu przemówił Rhombur. Swym słowom nadał taką moc, że mistrzowie z Jongleur byliby z niego dumni. Wzniął w duszach słuchających większy płomień buntu, niż zrobiłby to najzręczniejszy obmyślany plan. W zdaniach pełnych pasji domagał się tylko jednego: sprawiedliwości.

– A teraz idźcie i powtórzcie wszystko tym, którzy na to zasługują. Bądźcie ostrożni, ale nie lękliwi. Nie możemy przedwcześnie zdradzić swych planów Tleilaxanom i sardaukarom, ale zarazem potrzeba nam jak najwięcej sojuszników.

Na Wzmiankę o znieprawionych wrogach kilka osób splunęło na skalistą podłogę, rozległ się też stłumiony okrzyk: „Ix zwycięży!”

Teraz C'tair i Gurney poprowadzili księcia płataniną tajnych przejść, aby jak najszybciej zniknąć z niepowołanych oczu, gdyby się takie pojawiły.

Kilka dni później, nadal pełni wątpliwości i pytań, obaj przybysze, spoglądając na chronometr, czekali, aż skończy się pierwsza zmiana, żeby mogli się wyslizgnąć i poszukać dalszych

potencjalnych buntowników. Pod niskim sufitem wisiała przyciemniona jarzyca.

– Wszystko układa się jak najlepiej – powiedział Rhombur – szczególnie jeśli zważyć, że mieliśmy mniej czasu, niż zakładaliśmy.

– Ale książkę nadal nie ma żadnych informacji od nas – zauważył Gurney. – Ach, gdybyśmy tylko mieli możliwość nawiązania z nim kontaktu.

Rhombur odpowiedział cytatem z Biblii Protestancko-Katolickiej, wiedząc, że to zawsze przemawiało do jego towarzysza:

– „Jeśli nie ufasz przyjaciołom, nie masz przyjaciół”. Bądź pewny, że Leto nas nie zawiedzie.

Zesztywnieli, usłyszawszy pospieszne kroki na korytarzu. Po chwili w drzwiach stanął zakrwawiony C'tair.

– Muszę się szybko przebrać i oczyścić. – Miał spłoszone spojrzenie. – Musiałem zabić kolejnego Tleilaxanina. Był robotnikiem, ale zobaczyłem, jak dopadł jednego z pozyskanych przez nas ludzi i natarczywie go wypytywał. Bałem się, że tamten nas wyda.

– Czy ktoś cię widział? – spytał Gurney.

– Nie, ale ten nasz człowiek natychmiast czmychnął, a ja zostałem sam, żeby wszystko uprzątnąć. – Zwiesił głowę, ale po chwili podniósł ją z dumnym błyskiem w oku. – Zabiję ich tylu, ilu będzie potrzeba. Krew Tleilaxan oczyszcza moje dłonie.

Gurney był zatroskany.

– Nie wygląda to najlepiej. Trzy dni od naszego ujawnienia się i niemal czwarta wpadka. Tleilaxanie zaczynają coś węszyć.

– I dlatego musimy zacząć jak najprędzej. Oby Leto nie zwlekał ani chwili. Wszyscy niech będą gotowi. Ja ich poprowadzę, gdyż jestem ich księciem.

Blizna na policzku Gurneya wyraźnie poczerwieniała.

– Nie podoba mi się to.

C'tair zaczął myć dłonie. Nie wydawało się, by niebezpieczeństwo robiło na nim jakieś wrażenie.

– Wiele tu wycierpieliśmy, ale się nie ugnieemy. Nasze modły zostaną wysłuchane.

Szukanie ostatecznego, wszystko tłumaczącego wyjaśnienia to próba jałowa, krok w fałszywym kierunku. To dlatego nieustannie musimy się dostosowywać do chaotycznego wszechświata.

z Księgi Azhar Bene Gesserit

Skarbnicę Znamienitych Dokumentów Ishaqa łatwo było przeoczyć pośród wielkich budowli Kaitain. Szaddam w młodszych latach poznawał różne części stolicy, ale zupełnie nie interesowały go stare papierzyska i akta. Teraz jednak wizyta w starym muzeum wydała mu się jak najbardziej na czasie.

„Dlaczego Gildia jest tak poruszona?”

W przygotowaniu na odwiedzinę Cesarza na ten jeden dzień zakazano wstępu wszystkim badaczom i studentom, ale Szaddam przybył w pełnym orszaku gwardzistów i tak wielu dworaków, że na korytarzach zrobiło się tłoczno. Gildia wystąpiła o sekretne spotkanie, Szaddam wyznaczył czas i miejsce.

Dawno, dawno temu, gdy Cesarz Ishaq XIV kazał wznieść muzeum według opracowanego przez siebie projektu, była to jedna ze wspanialszych budowli w rozkwitającym dopiero mieście. Potem

jednak upływały tysiąclecia i Skarbnica została przytłoczona przez nieporównanie bardziej imponujące budowle, tak że się pośród nich zagubiła.

Najwyższy Kurator powitał Szaddama i jego świtę z nużącym entuzjazmem i w sposób denerwująco formalny. Szaddam wybąkał jakąś stosowną odpowiedź, a potem w żaden sposób nie mógł się wykręcić od obejrzenia zaprezentowanych mu z czołobitnym szacunkiem osobistych pamiątek Cesarzy Korrinów. Mając w pamięci liczbę swoich obowiązków, Szaddam nie potrafił sobie wyobrazić, żeby ktoś, traktując je poważnie, znalazł jeszcze czas na zapisywanie kartek papieru, zresztą nie wiadomo po co.

Ishaq XIV chciał upamiętnić swoją osobę, wznosząc muzeum, i chęć ta była właściwa każdemu Cesarzowi, chociaż na różne sposoby starali się ją realizować. Szaddam miał nadzieję, że za sprawą amalu zapewni sobie dużo większą sławę, niż gdyby zabrał się do wznoszenia budowli czy spisywania myśli dla potomności.

„Czego może chcieć ta cholerna Gildia? Czyżby coś wywąchali w sprawie tej zanieczyszczonej przyprawy z Beakkalu?”

Nie miał jeszcze wprawdzie żadnego pomysłu, jak sobie poradzić z Arrakis i jego dostawami, był jednak pewien, że położy fundamenty pod trwający tysiące lat gmach potęgi rodu Korrinów.

Kurator nie ustawał w swych zabiegach, przedkładał Szaddamowi coraz to inne dokumenty, na przykład cały zbiór deklaracji lojalności poszczególnych planet z czasów, gdy dopiero tworzyły się zręby Cesarstwa. W jasnym świetle, ale chroniony polami tarcz prezentował się jeden z dwunastu zachowanych egzemplarzy pierwszego Manifestu Transportowego Gildii. Była też kopia Księgi Azhar, spisanej przez Bene Gesserit w dawno zapomnianym języku zbioru tajemnic.

Na koniec Kurator stanął przed wysokimi zamkniętymi drzwiami i skłonił się z jeszcze większą czołobitnością.

– Tutaj znajduje się, Najjaśniejszy Panie, najświętsza relikwia, prawdziwy kamień węgielny cesarskiej cywilizacji. – Zniżył głos do bogobojnego szeptu. – Oryginał Wielkiej Konwencji.

Szaddam udał, że jest pod wrażeniem tej enuncjacji. Znał, oczywiście, postanowienia Wielkiej Konwencji, ale wszystkie poprzez nawiązujące do nich precedensy prawne, nigdy jednak nie zadał sobie trudu, żeby przestudiować ten dokument.

– Rozumiem, że zadbano o to, abym mógł przestudiować konwencję w samotności?

– Oczywiście, Najjaśniejszy Panie. Nikt nie zakłóci twojego spokoju.

W oczach Kuratora pojawiała się taka uniżoność, że Szaddam złośliwie usiłował wyobrazić sobie, jaką też minę miałby ten padalec, gdyby władca – zapewniając tym sobie zresztą wiekopomną sławę – podarł na strzępy starodawny dokument.

Szaddam należał do niewielkiego grona wtajemniczonych, którzy wiedzieli, że „najświętsza relikwia” to w istocie bardzo staranna kopia, oryginał bowiem przepadł podczas atomowej zawieruchy na Salusa Secundzie. Był to jednak symbol, do którego ludzie przywiązywali wagę z racji dla Szaddama niedocieczonych. Zastanawiał się nad tym, gdy straż rozstąpiły się przed nim, on zaś wchodził powolnym i dumnym krokiem.

Wcale jednak nie był spokojny, w sercu czuł niepokój.

„Gildia Kosmiczna niezmiernie rzadko zwraca się bezpośrednio do mnie, a teraz poprosili o sekretne spotkanie. O co im może chodzić?”

Z każdego skonfiskowanego nielegalnego zapasu otrzymywali sporą część i wydawało się, że to ich zadowala.

Wszedł do pozbawionego okien pomieszczenia, gdzie w centrum na pulpicie spoczywał sławetny dokument, którego rogi starannie nadpalono, aby uwiarygodnić legendę, jakoby został uratowany z

holokaustu na Salusie. Teraz pożałował, że Hasimir Fenring jest na lx, a nie u jego boku. W obliczu komplikacji związanych z Wielką Wojną Przyprawową Cesarzowi bardzo przydałaby się mądra rada. Westchnął ciężko. „Muszę radzić sobie sam”.

Teraz, gdy Fenring wycofał wszystkie zastrzeżenia, Szaddam w odpowiednim momencie będzie musiał poinformować ZNAH i Gildię o amalu. Spowoduje to ogromny zamęt ekonomiczny, Cesarz jednak wierzył w to, że syntetyczny melanz zapewni mu silną pozycję, w tym jednak celu musiał zablokować dopływ przyprawy naturalnej.

„Arrakis, co zrobić z Arrakis?”

Powinien albo zniszczyć planetę, albo na stałe wysłać tam regiment sardaukarów, którzy nie pozwolą na dostawy melanzu. W okresie przejściowym miało to wielkie znaczenie.

Ledwie zamknęły się za nim drzwi, natychmiast rozsunęło się tajne wejście w lewym rogu, a w nim stanął wysoki mężczyzna z różowymi oczami oraz bujną czupryną białych włosów i podejrzliwie się rozejrzał. Miał na sobie skafander Gildii ze skaju, a na plecach butlę z gazem przyprawowym, który, wydostając się przez umieszczone w kołnierzu dysze, okalał jego głowę pomarańczowym obłokiem.

Zbliżył się, uważnie przez cały czas wpatrzony w twarz Szaddama. Za nim kroczyło pięciu karłowatych Gildian, wszyscy także w skafandrach, ale bez przyprawowych butli. Mieli łyse głowy, różową skórę, a kości tak powykrzywiane, jak gdyby ktoś urobił je w glinie, szydząc z ludzkiego szkieletu. Nieśli ze sobą mikrofony i sprzęt nagrywający.

Szaddam zeszywniał.

– To miało być spotkanie w cztery oczy. Ja nikogo ze sobą nie przywodziłem.

Pomieszczenie wypełnił cynamonowy zapach.

– Ja także przyszedłem sam – flegmatycznie oznajmił przedstawiciel Gildii. – To tylko moje przedłużenie, części Gildii, którą reprezentujemy tak, jak ty jednoosobowo reprezentujesz ród Korrinów.

– Gildia powinna pamiętać, jaką zajmuję pozycję – powiedział Szaddam, ale nie chciał wdawać się w słowne rozgrywki. – To wy poprosiliście o spotkanie, więc przejdźmy, proszę, do rzeczy, mam bowiem wiele pilnych zajęć.

– Rozwiązaliśmy zagadkę zanieczyszczonej przyprawy, która spowodowała poważne błędy i śmierć dwóch Nawigatorów, a także zgon jeszcze jednego naszego funkcjonariusza. Wiemy, jak do tego doszło.

Szaddam zmarszczył brwi.

– Donosiliście, o ile pamiętam, że melanz pochodził z Beakkalu, wokół którego ustanowiłem kordon sanitarny.

– Beakkal go tylko sprzedawał – rzekł wysłannik Gildii z marsową miną. – Przyprawa zbierana jest na Arrakis, a dostarczana przez Harkonnenów. – Albinos wciągnął kolejny haust gazu. – Nasi informatorzy donoszą, że baron nielegalnie zgromadził wielkie zapasy melanzu. To potwierdzona wiadomość, z drugiej jednak strony, dostawy utrzymują się na niezmiennym poziomie. – Szaddam najwyraźniej zawrzał gniewem, a Gildianin z pewnością dobrze wiedział, jak Cesarz jest wyczulony na tę kwestię. – Rutynowa kontrola nie stwierdziła żadnych niezgodności między dokumentacją pozyskania przyprawy a manifestami transportowymi. Tutaj wszystkie liczby się zgadzają.

Szaddam był skonfundowany.

– Jeśli wszystko się zgadza, to jak udaje się baronowi odkładać coś na boku? I jaki ma to związek z zanieczyszczoną przyprawą?

Z niewiadomych przyczyn pięciu karłowatych ludzików otoczyło kołem wysłannika Gildii.

– Proszę się chwilę zastanowić, Najjaśniejszy Panie. Jeśli baron podkrada trochę z każdej dostawy, a jednak zachowuje stałą i to zgodną z dokumentacją wielkość, to musi czegoś do niej dodawać. Zaoszczędzony melanz gromadzi dla siebie, a nasi Nawigatorzy otrzymują substancję o gorszych parametrach. Nie ma innego wyjaśnienia. – Wysłannik poprawił okablowanie butli i znowu zaciągnął się gazem przyprawowym. – Gildia Kosmiczna – ciągnął – gotowa jest oskarżyć na forum Landsraadu barona Harkonnena o malwersacje i spowodowanie katastrofy liniowców. Jeśli wina zostanie mu dowiedziona, grzywny mogą go zrujnować.

Szaddam nie potrafił powstrzymać szerokiego uśmiechu. Od tak dawna biedził się nad rozwiązaniem problemu Arrakis, a ono ukazywało się oto jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i to w takiej postaci, że rozwiązywało wszystkie kłopoty. Nie mógłby sobie wymarzyć lepszej sytuacji. Oskarżenie ze strony Gildii było manewrem wspianiałym, odrobinę może za wczesnym, ale z tym nie będzie problemów.

Nareszcie prawdziwie obiektywny argument, aby odwołać dostawy przyprawy z Arrakis, podczas gdy on – jak zgodnie potwierdzali Hasimir Fenring, Mistrz Badań Ajidica i Cando Garon – mógł być całkowicie pewien swego amalu.

Kiedy pojawią się zarzuty, Szaddam będzie mógł przy walnej pomocy Gildii wymierzyć karę Arrakis, a zanim ktokolwiek się zorientuje, co się dzieje, całe Cesarstwo zależeć już będzie tylko i wyłącznie od dostaw syntetycznej przyprawy i jej monopolistycznego posiadacza: rodu Korrinów. A dokona się to szybciej, niż wyobrażał to sobie w najśmielszych marzeniach. Karłowate postacie poruszyły się i spojrzały wyczekująco na wysłannika.

– Skonfiskujemy wszystkie bezprawne zapasy znajdujące się na Arrakis, a następnie każę przeszukać wszystkie lenna Harkonnenów. Chodzi mi przede wszystkim o ochronę prawa Cesarstwa, a Gildia i ZNAH, jak zwykle, mogą liczyć na sowity udział w zdobyczy.

Wysłannik skłonił głowę.

– Jesteśmy wdzięczni, Wasza Cesarska Mość.

„Ja pewnie bardziej” – pomyślał Szaddam. Jakżeż mógłby przegapić taką okazję? Kiedy zdusi produkcję melanzu na Arrakis, wszystkie doraźne zapasy przestaną odgrywać znaczenie.

– Blokada wokół Beakkalu zostanie, rzecz jasna, utrzymana, ale wyślę też odpowiednie siły sardaukarów na Arrakis. – Zmarszczył brwi, gdyż przyszło mu coś jeszcze do głowy. Jego zysk byłby jeszcze większy, gdyby oszczędził na kosztach transportu. – Rozumiem, że Gildia dostarczy liniowce niezbędne do takiej operacji?

– Oczywiście – bez chwili wahania odparł wysłannik. – Ile tylko będzie potrzeba.

Życie zwiększa zdolność środowiska do podtrzymania życia. Życie sprawia, że potrzebne substancje odżywcze stają się łatwiej dostępne. Za sprawą chemicznych interakcji między organizmami coraz więcej energii kumuluje się w systemie.

Cesarski Planetolog Pardot Kynes

Dowodzony przez Thufira Hawata konwój zbliżył się do kordonu otaczającego Beakkal. Mentat nie posuwał się do żadnych gróźb, a tylko uparcie trwał na swoim kursie. Eskorta była znikoma, w istocie nie odpędziłaby nawet większej flotyli pirackiej, natomiast statki sardaukarów, chronione przez potężne tarcze, wprost najeżone były bronią.

Kiedy konwój znalazł się już bardzo blisko, na jego spotkanie poszybowały dwie korwety Korrinów. Hawat, nie czekając na pogróżki tamtych, sam przemówił na powszechnie dostępnym kanale łącznościowym.

– W barwach rodu Atrydów przybywamy z misją humanitarną. Wieziemy żywność i środki medyczne dla dotkniętej zarazą planety Beakkal.

– Zawrócić – brzmiała zwięzła odpowiedź.

Wprawdzie każda z korwet sama zadałaby konwojowi niepowetowane straty, ale Thufir ani nie drgnął i niewzruszonym spojrzeniem wpatrywał się w ekran.

– Widzę, że masz stopień levenbrecha. Podaj mi swe nazwisko, abym je umieścił w mej niezawodnej pamięci.

Oficer tak niskiej rangi nigdy sam nie podejmował ważnych decyzji.

– Torynn – słuźbiście odparł tamten. – Ród Atrydów nie ma tu nic do roboty, wracajcie na Kaladan.

– Levenbrechu Torynn – rzekł Hawat. – Możemy tych ludzi, a przynajmniej część z nich, uratować. Chce pan im odmówić lekarstw i jedzenia? Celem tej blokady nie jest przecież chyba skazanie ich na śmierć głodową?

– Mam rozkaz, by nie przepuszczać żadnej jednostki – oznajmił Torynn.

– Czegoś tu nie rozumiem, ale chyba i pan nie rozumie. Ma pan zatrzymywać wszystkie jednostki, aby uchronić je od zarazy, ale jeśli one przy zachowaniu wszystkich środków ostrożności chcą dopomóc tamtym ludziom? Chcę rozmawiać z pana przełożonym.

– Najwyższy Basza jest w tej chwili zajęty – powiedział levenbrech i najwyraźniej chciał, by zabrzmiało to stanowczo.

– To poczekamy – powiedział Thufir i przerwał połączenie, a jednocześnie polecił, by statki nie zmieniały kursu. Korwety usiłowały się temu przeciwstawić, ale na polecenie Hawata jego statki raptownie przyspieszyły i opłynęły statki sardaukarów niczym skały w rzece. Levenbrech protestował, ale mentat ignorował wszystkie jego rozkazy.

Torynn wezwał posiłki. Zwierzchnicy nigdy nie wybaczyliby oficerowi niskiej rangi przepuszczenia grupy statków transportowych. W kierunku flotyli Atrydów ruszyły jeszcze większe jednostki bojowe. Sytuacja robiła się poważna. Zum Garon, podobnie jak Hawat weteran wielu bojów, będzie w tym węszył jakąś pułapkę, być może podstęp zmierzający do rozerwania kordonu.

Na twarzy mentata nie było widać emocji. Istotnie chodziło o podstęp, ale nie taki, jakiego mogli się spodziewać sardaukarowie.

Wreszcie odezwał się sam Najwyższy Basza:

– Dostaliście rozkaz wycofania się. Wykonajcie go bezzwłocznie albo zostaniecie zniszczeni.

Thufir czuł, że pośród jego załogi rośnie niepokój, sam jednak pozostał niewzruszony.

– Wtedy bez wątpienia zostanie pan zdymisjonowany, a Cesarz wiele czasu spędzi na łagodzeniu politycznych reperkusji, które bez wątpienia spowoduje zaatakowanie konwoju spieszącego z pomocą humanitarną dla cierpiących. Będzie to akt bezprzykładnej agresji, który – czym uzasadnić?

Twarz Garona sposepniała.

– Na czym polega twoja gra, mentacie?

– To żadna gra, Najwyższy Baszo. Niewiele osób rzuca mi wyzwanie, gdyż mentaci nigdy nie przegrywają.

Garon prychnął ironicznie.

– Mam uwierzyć, że Atrydzi chcą udzielić pomocy Beakkalowi? Osiem miesięcy temu wasz książę bezlitośnie zbombardował planetę, a teraz nagle okazuje jej litość?

– Tyle rozumiesz, Najwyższy Baszo, z właściwego Atrydom poczucia honoru, ile twój levenbrech pojmuje z reguł kordonu sanitarnego – chłodno odrzekł Hawat. – Leto Sprawiedliwy wymierza karę, gdy jest zasłużona, a spieszy z pomocą gdy jest potrzebna. Czyż nie są to reguły ustanowione przez ród Cesarza po bitwie pod Korrinem?

Basza nic nie odpowiedział na to pytanie, rzucił natomiast rozkaz i kolejnych pięć statków pomknęło ku konwojowi.

– Rozkazuję wam zatrzymać się. Polecenie Jego Cesarskiej Mości jest jasne.

Thufir spróbował innej taktyki.

– Jestem pewien, że Jego Cesarska Mość Szaddam IV nie będzie chciał powstrzymać swego kuzyna, który powodowany względami humanitarnymi chce pomóc cierpiącej ludności Beakkalu. Może zwrócimy się bezpośrednio do niego? Mogę poczekać, ale chcę przypomnieć, że w czasie marnowanym przez nas tutaj na sporach, tam, na Beakkalu, umierają ludzie.

Żaden inny członek Landsraadu nie ośmieliłby się kwestionować cesarskiego polecenia, szczególnie w sytuacji wojowniczości, jaką ostatnio przejawiał cesarz. Gdyby jednak Thufirowi powiodło się teraz, być może inne rody, zawstydzone przykładem Atrydów, pospieszyłyby z pomocą udręczonemu Beakkalowi, traktując to jako akt biernego oporu wobec cesarskiej władzy.

– Proszę się skontaktować z Kaitain, Najwyższy Baszo – ciągnął Hawat – i poinformować Cesarza, z jakimi zamiarami przybyliśmy tutaj. Żeby uniknąć zarażenia, przywiezione materiały dostarczymy na powierzchnię Beakkalu przy użyciu zrzutników. Niechaj Szaddam IV ma okazję wykazać się wielkodusznością.

Statki Atrydów zostały ciasno otoczone, a Zum Garon polecił:

– Skierujcie się na Sansin, Thufirze Hawat, i tam czekajcie na dalsze instrukcje. Znajduje się tam liniowiec, którym niezwłocznie udam się do pałacu cesarskiego, aby bezpośrednio zapoznać Jego Cesarską Mość z waszą inicjatywą.

Eskortowany przez statki Atrydów konwój wziął kurs na asteroidę.

– Proszę się pospieszyć – powiedział karcącym głosem Thufir. – Tam ludzie nie mają co włożyć do ust, a my tutaj będziemy siedzieli z żywnością na pokładzie. Proszę nie dać im długo czekać.

W głębi ducha był jednak rad, że wszystko ułożyło się tak, a nie inaczej, a siły sardaukarów nie zareagowały.

Odczekali na Sansin cały dzień, a kiedy Najwyższy Basza się nie zjawiał, Hawat rozkazał swym jednostkom, aby ponownie ruszyły w kierunku Beakkalu.

Natychmiast na ekranach systemu łącznościowego pojawił się oficer, który najwyraźniej zastąpił levenbrecha Torynna.

– Zatrzymajcie się albo uznamy to za wrogie posunięcie, na które odpowiemy ogniem.

We flocie sardaukarów widać było nerwowość, Thufir jednak był pewien, że skoro sam Najwyższy Basza nie zdecydował się ich ostrzelać, nie posunie się do tego także nikt niższej rangi.

– Nie ma pan takich rozkazów. Nasze produkty psują się, a tam ludzie na nie czekają. Wasza bezsensowna zwłoka już z pewnością kosztowała życie tysięcy, a może nawet milionów ludzi. Nie powiększajcie zatem swojej winy.

Znowu popłynęły jakieś rozkazy, ale Hawat nie zwracał na nie uwagi. Wiele czasu upłynie, zanim nadejdzie odpowiedź z Kaitain. Jego statki rozmieściły się nad najgęściej zaludnionymi obszarami Beakkalu, a potem otworzyły się luki transportowe, z nich zaś wysypały sterowane zrzutniki. Jednocześnie Thufir przesłał mieszkańcom komunikat, sławiący wielkoduszność Leta Atrydy i zapewniający, że za aktem tym nie kryje się żaden podstęp. Oczekiwał, że w odpowiedzi posłysz

premiera Beakkalu, tymczasem funkcje te pełnił już jakiś inny polityk. Jego poprzednik, jak poinformował, zginął w rozruchach głodowych, on sam zaś nie żywił żadnych uprzedzeń wobec Atrydów.

Należało się liczyć z tym, że statki Atrydów będą miały kłopoty z powrotnym przedarciem się przez kordon sardaukarów, na razie jednak najważniejsze było to, iż na Kaitain akcja Hawata musiała spowodować zamęt. Teraz pozostawało tylko czekać. Zgodnie z harmonogramem siły Leta powinny się szykować do walnego ataku na Ix.

Widząc, jak szybki stateczek oddziela się od Sansin i mknie w kierunku statku flagowego sardaukarów, mentat pomyślał, że najprawdopodobniej wraca właśnie Najwyższy Basza Garon.

Godzinę później dowiedział się ze zdziwieniem, że Cesarz ani myślał reagować na „drobny problem na Beakkalu”, natomiast zatrzymał na Kaitain Najwyższego Baszę. Z przechwyconej wiadomości wynikało, że chodzi o jakąś „potężną akcję ofensywną”.

Tego Hawat nie uwzględnił w swoich wyliczeniach, natychmiast więc pograżył się w transie. Akcja ofensywna? Uderzenie na Ix? Czy może na sam Kaladan? Czyżby książe Leto poniósł klęskę na Ix?

Każda ekstrapolacja prowadziła do alarmujących wniosków. Wydawało się, że nastąpiła jakaś katastrofa.

Być dobrym obywatelem to nie zawsze to samo, co być dobrym człowiekiem.

Arystoteles ze Starej Ziemi

Chociaż książe Leto Atryda rzadko odwiedzał Kaitain, jego przybycie wzbudziło niewielkie zainteresowanie w pałacu cesarskim. W miejscu, gdzie koncentrowało się życie polityczne całego Cesarstwa i wrzała dyplomatyczna aktywność, jeszcze jeden książe niewiele znaczył.

W otoczeniu niewielkiej świty Leto zajechał pod audiencyjne skrzydło pałacu. W powietrzu unosił się aromat kwiatów i dezodorantów, których zadaniem było maskowanie wyziewów pojazdów. Pomimo trapiących go zmartwień – Duncan i armia, którą dowodził, Thufir i jego fortel na Beakkalu, niepokojący brak wiadomości od Rhombura i Gurneya – Leto przyjął niewzruszoną postawę dyplomaty, któremu zlecono ważną misję. Ale poza wszystkim odczuwał niecierpliwą radość, gdyż nareszcie miał zobaczyć Jessikę. A za kilka dni urodzi się dziecko!

Gwardziści w liberiach biegli obok eleganckiego pojazdu, liczącego sobie co najmniej trzysta lat, a siedzenia mającego obite czerwonym welwetem. Na samym przodzie po lewej i prawej stronie złote lwy otwierały paszcze, groźnie wysuwały pazury, a nawet ryczały, kiedy kierowca z czarnym wąsikiem pod nosem dotknął odpowiedniego przycisku.

Wszystko to nie robiło na księciu żadnego wrażenia. Znacznie ważniejsze było zbliżające się wystąpienie w Landsraadzie, które może podzielać jak dolanie oliwy do ognia. Szaddam wścieknie się, kiedy dotrze do niego wiadomość o ataku na Ix, i być może nie uda się go ugłaskać. Nie zamierzał jednak wycofać się, był bowiem pewien swojej sprawy. Aż nazbyt długo tolerował niesprawiedliwość. Nie wolno dopuścić do tego, aby uważano go w Cesarstwie za miękkiego czy niezdecydowanego.

Wzdłuż wyłożonych kryształami chodników powiewały na wietrze chorągwie Korrinów. Ogromne budynki sterczały w bezchmurne niebo, zbyt perfekcyjne jak na gust Leta. O wiele bardziej lubił

zmienną pogodę Kaladanu, nawet groźną nieprzewidywalność sztormów. Kaitain natomiast był nazbyt ugłaskany, zupełnie jak ilustracja z księgofilmu.

Pojazd zwolnił przed bramą, a uprzedzeni sardaukarowie przepuścili ich bez zbytnich ceregieli. Leto nawet nie zwrócił na nich uwagi, wzrok bowiem wpił w taras powitalny. Czuł, że brakuje mu tchu w piersiach.

A tam czekała na niego Jessika w sukni z parajedwabiu, która odsłaniała jej wyraźnie zaokrąglone kształty. Ale nawet brzemiennosc nie odjęła jej urody. Uśmiechając się, stała w otoczeniu czterech Bene Gesserit.

Kiedy Leto wysiadł z pojazdu, Jessika chwilę się zawahała, potem ruszyła w jego kierunku, a pomimo zmiany figury, krok nadal miała wdzięczny. Kiedy stanęli naprzeciw siebie, znowu się zawahała, niepewna, czy powinna go objąć w publicznym miejscu, ale Leto ani myślał dbać o pozory: chwycił ją w objęcia i długo, namiętnie pocałował.

– Niechaj ci się przyjrzę – powiedział, kiedy wreszcie oderwali się od siebie, i odsunął ją na długość ramion. – Jesteś piękna jak jutrzienka.

Twarz miała mocno opaloną od przebywania w cesarskich ogrodach i na tarasach. Nie nosiła żadnej biżuterii, ale też i nie potrzeba jej było żadnych upiększeń. Położył dłoń na jej wypukłym brzuchu, jakby chciał wyczuć puls krwi dziecka.

– Przybyłem w ostatniej chwili. Na Kaladanie nic jeszcze nie było widać.

– Ty masz tutaj wydać na świat swoją mowę, a ja dziecko, mój panie. Każde z nas niech się zajmie swoim, a potem przyjdzie czas na wspólną radość.

– Oczywiście – odpowiedział bardziej sztywno, gdyż nagle zdał sobie sprawę z obecności Bene Gesserit, uważnie im się przyglądającym. Przynamniej na twarzy jednej widać było wyraz dezaprobaty. Nachylił się w kierunku Jessiki i szepnął: – Być może po wystąpieniu w Landsraadzie będę musiał gdzieś się ukryć. – Uśmiechnął się. – Wtedy bardzo mi się przyda twoje towarzystwo, moja pani.

W tym momencie w wejściu pojawił się Szaddam, wokół którego niczym rój owadów uwijali się sardaukarowie, dostojnicy w strojnych ubiorach, damy w wyszukanych fryzurach, służący pchający walizy i kufry odciążaczowe. W przejściu od strony hangarów wyłoniła się uroczysta gondola, prowadzona przez mężczyznę odzianego w tak luźne szaty, jakby sam był masztem sztandarowym.

Cesarz wyglądał tak, jakby szykował się na wojnę. Kapę obitą futrem wielorybim i ciężkie łańcuchy zastąpił szary uniform sardaukarów ze srebrnymi epoletami i czarnym hełmem bursega, zwieńczonym złotym grzebieniem. Wszystko na nim lśniło: od butów, poprzez medale, aż po hełm.

Na widok księcia Szaddam uśmiechnął się i podszedł do niego. Jessika dwornie się skłoniła, ale władca nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Podobnie jak Leto, Szaddam miał drapieżną twarz i orli nos. I podobnie jak Leto, miał ważne sekrety.

– Przepraszam, że sprawy wagi cesarskiej nie pozwalają mi przyjąć cię zgodnie z wymogami, ale sardaukarowie muszą wiedzieć, że jestem z nimi przed bitwą.

Ogromna flota była już gotowa do wyprawy: tak wiele statków bojowych i transportowych, że Gildia musiała podstawić trzy liniowce, a w celu podkreślenia swego poparcia dodała jeszcze dwa liniowce eskortowe.

– Czy to coś, czym powinienem się niepokoić? – spytał Leto, starając się, aby zabrzmiało to obojętnie, chociaż zaczynał się obawiać, że Szaddam prowadzi z nim jakąś rozgrywkę.

– Nad wszystkim sprawuję całkowitą kontrolę.

Jeśli to sprawa z nim nie związana, mógł czuć tylko ulgę.

– Miałem nadzieję, że będziesz obecny podczas mego wystąpienia w Landsraadzie, Najjaśniejszy

Panie.

Więc jednak nie będzie musiał stawić czoła Cesarzowi w plenarnej sali Landsraadu.

„Wielka operacja sardaukarów? Gdzie?”

– Tak, nie wątpię, że chodzi o jakąś bardzo poważną sprawę. Jakaś nowa przetwórnia ryb na Kaladanie? Czy może nowy gatunek wina? Trudno, wybacz, ale obowiązki wymagają mojej obecności gdzie indziej.

Głos Szaddama był grzeczny i układny, ale w zielonych oczach błyszczało zimne okrucieństwo. Leto złożył formalny ukłon i cofnął się, stając obok Jessiki.

– Podczas wystąpienia w Landsraadzie przez cały czas będę myślał o tobie, Najjaśniejszy Panie. Życzę ci powodzenia w twojej misji, jakakolwiek jest jej treść. Z tekstem przemówienia będziesz się mógł zapoznać w wolnej chwili.

– W wolnej chwili? Nie mam żadnej wolnej chwili, doglądać muszę całego Cesarstwa, książę Leto. – Wzrok Szaddama padł na Wykładaną klejnotami rękojeść sztyletu, sterczącą zza pasa Leta. – Czy to może ten sam sztylet, który ci dałem na zakończenie Przewodu Konfiskacyjnego?

– Powiedziałeś, Najjaśniejszy Panie, abym go nosił jako wyraz mej lojalności wobec ciebie, a takich słów się nie zapomina.

– Ja także pamiętam – rzekł Szaddam, odwrócił się i ruszył w kierunku gondoli.

Leto westchnął. Skoro Cesarz nie interesował się nim, operacja nie mogła wiązać się z Ix, Beakkalem ani Kaladanem. Jeśli tak było, to tylko z korzyścią dla Leta, że Szaddama nie będzie na sali, gdy on będzie wykladał racje swojej interwencji na Ix. Zanim władca Cesarstwa zareaguje, Rhombur będzie już mocno usadowiony w Grand Palais.

Z uśmiechem pozwolił, aby Jessika poprowadziła go w głąb pałacu.

„Być może ostatecznie wszystko skończy się dobrze”.

Każda szkoła ludzi wolnych musi zaczynać od uczenia nieufności, a nie ufności. Musi uczyć kwestionowania odpowiedzi, a nie pokornego ich przyswajania.

**Cammar Pilru,
ambasador Ix na wygnaniu**

C'tair zawsze z wielkim namysłem podejmował ryzyko, ale teraz wszystko się zmieniło. Przyszedł czas, by działać jawnie.

Podczas pracy szeptał do uszu tych nieznajomych, którzy wydawali mu się najbardziej udręczeni. Najodważniejsi z nich natychmiast podchwytywali wzmiankę o buncie. Nawet suboidzi, którzy nie potrafili ogarnąć politycznych implikacji, zaczęli rozumieć, jak bardzo wykorzystywali ich Tleilaxanie. Lata temu najeźdźcy kupili ich sobie obietnicami lepszego życia, ale od tamtego czasu z każdym rokiem żyło im się coraz gorzej. Wszystkim otuchy dodawało to, że nie chodziło o jakąś mglistą wizję wyzwolenia. Rhombur powrócił, a zatem koszmar wkrótce się skończy.

Czekając w małej klitce na przybycie swych towarzyszy, książę Rhombur usłyszał jakiś hałas na korytarzu i gotów do walki czekał w napięciu. Wojska Leta powinny się pojawić w ciągu kilku godzin. C'tair wysliznął się na powierzchnię, aby rozłożyć ostatnie porcje ładunków wybuchowych pod stanowiska obronne sardaukarów. Eksplozje powinny otworzyć drogę przybywającym siłom

Atrydów. Jeśli jednak Rhombur zostanie tutaj przedwcześnie odkryty, wszystkie ich wysiłki pójdą na marne.

Hałas stał się jeszcze głośniejszy, a po chwili w drzwiach stanął Gurney Halleck, ciągnący za sobą bezwładne ciało. Rysy twarzy były rozmazane, oczy martwe, głowa zwieszała się z szyi.

– Tancerz Oblicza udający suboida – wyjaśnił Halleck. – Jakoś za bardzo się mną interesował. Zaryzykowałem, gdyż od razu wydawało mi się, że to nie jest normalny, przygaszony robotnik. – Cisnął zwłoki zmiennokształtnego na nierówną posadzkę. – No, ale kiedy zrobił się niebezpiecznie natarczywy, złamałem mu kark. I dobrze się stało, bo ukryty nieprzyjaciel jest groźniejszy od jawnego. – Popatrzył z powagą na Rhombura. – Sytuacja staje się coraz trudniejsza. Wiedzą już o nas.

Ku zaskoczeniu Fenringa Mistrz Badań nie podjął żadnych wrogich działań przeciw niemu, atoli czuł się jak więzień. Był nieustannie czujny, w każdej chwili oczekiwał ataku, zarazem jednak starał się znaleźć jakąś możliwość ucieczki. Niepokoiło go to, że widział nienormalne zachowania wśród ludzi zażywających syntetyczną przyprawę, na przykład pośród sardaukarów. Niewątpliwe, szkodliwe skutki uboczne. To bardzo niedobrze.

Dzisiaj karłowaty Tleilaxanin cały poranek spędził, zarzucając hrabiego liczbami, pokazując, jak wzrasta produkcja amalu.

– Na początku Cesarz będzie go musiał dawkować bardzo starannie, dając dostęp do tego skarbu tylko najbardziej zaufanym i zasłużonym.

– Tak, hmmm.

Fenring z chęcią zadałby wiele pytań w sprawie syntetycznego melanzu, ale uznał, że w obecnej sytuacji to zbyt niebezpieczne. Siedział oddzielony biurkiem od Ajidicy i studiował podsuwane mu dokumenty i hologramy.

Ajidica pełen był jakiejś niezwyklej energii. Zamglone oczy sprawiały wrażenie, jak gdyby uważał się za co najmniej półboga. Instykt ostrzegał Fenringa, że grozi mu skrajne niebezpieczeństwo, najchętniej więc zabiłby Mistrza Badań, chociaż jednak mógł to zrobić na tysiąc i jeden sposobów, to jednak nie udałooby mu się ujść z życiem. Dobrze widział, z jaką fanatyczną lojalnością odnoszą się do Ajidicy jego współpracownicy i – co gorsze – sardaukarowie.

Ogólnie jednak dookoła działy się dziwne rzeczy. Mieszkańcy Ix stali się niespokojni i hardzi, wrogie napisy rozkwitały na ścianach niczym kwiaty na wiosnę, mnożyły się akty sabotażu – nie wiadomo było, kto za tym stoi.

Jedyną odpowiedzią Ajidicy był jeszcze ostrzejszy terror. Fenring nigdy nie popierał tej polityki, uważał ją bowiem za krótkowzroczną. Tymczasem napięcie każdego dnia rosło i Fenring czuł się niczym w garze, pod którym rozpalono ogień.

Otworzyły się drzwi do gabinetu Mistrza Badań i wkroczył Cando Garon, ze zmierzwionymi włosami, w wymiętym mundurze i brudnych rękawiczkach, jak gdyby za nic miał sobie wojskowy szyk. Ciągnął ze sobą ledwie opierające się stworzenie: był to jeden z suboidów.

Garon miał rozbiegany wzrok, szczęki zaciśnięte, a wargi ułożone w triumfalny grymas. Bardziej przypominał rozbójnika niż dowódcę cesarskich żołnierzy. Fenring poczuł, że coś jest nie w porządku.

– Co to takiego? – warknął Ajidica.

– Suboid, jeśli mnie oczy nie mylą – sucho rzekł Fenring.

Tleilaxanin prychnął ze wstrętem.

– Zabrać stąd czym prędzej to... obrzydlistwo.

– Najpierw go posłuchajmy – powiedział Garon i cisnął nieszczęsnego suboida na podłogę. Ten padł na czworaki i rozglądał się, najwyraźniej nie pojmując, gdzie jest i co się z nim dzieje. Garon wymierzył mu solidnego kopniaka. – Gadaj! – rozkazał. Suboid zaskowyczał. Basza chwycił go za ucho i szarpnął tak, że pociekła krew. – Gadaj! – powtórzył.

– Książę powrócił! – Suboid zaczął powtarzać niczym katarynka. – Książę powrócił! Książę powrócił!

Fenring poczuł, że włosy jeżą mu się na karku.

– O czym on gada? – prychnął Ajidica.

– Książę Rhombur Vernius.

Garon znowu kopnął suboida, ale ten już tylko jęczał i kwilił.

– Hmm – mruknął Fenring – ostatni przedstawiciel rodu niegdyś władającego Ix. Z tego, co wiem, istotnie jeszcze żyje.

– Wiem, kto to jest Rhombur Vernius – zniecierpliwził się Ajidica. – Ale przecież tyle lat upłynęło, więc czemu ktokolwiek miałby się nim przejmować?

Garon z rozmachem przydeptał głowę suboida do podłogi, a ten zawył jeszcze rozpaczliwiej.

– Dosyć! – sprzeciwił się Fenring. – Musimy się od niego dowiedzieć czegoś więcej.

– Nie wie nic więcej – rzekł Garon i zaczął pięściami okładać schwytanego z taką siłą, że słychać było pęknięcie kości. Jeszcze chwila i suboid skonał w kałuży krwi.

Dowódca sardaukarów wyprostował się, a wzrok miał tak dziki, jakby rozglądał się za jakąś następną ofiarą. Zupełnie nie przejmował się plamami krwi na mundurze.

– To tylko suboid – wzruszył ramionami Ajidica. – Zgoda, nic już więcej byśmy się od niego nie dowiedzieli. Masz!

Tleilaxanin sięgnął do kieszeni, wydobyl z niej fiolkę i cisnął, Garon zaś złapał ją w powietrzu zręcznie niczym żongler. Spojrzał przelotnie na Fenringa, odwrócił się i ruszył do drzwi ze słowami:

– Idę szukać następnych.

Zanim jednak przekroczył drzwi, rozbrzmiały syreny alarmowe.

Fenring zerwał się na równe nogi, Ajidica wydawał się bardziej zaskoczony niż przerażony. Od dwudziestu dwóch lat nie słyszał takich dźwięków. Garon natychmiast zrozumiał, co się stało.

– Zostaliśmy zaatakowani z zewnątrz!

Flota Atrydów pojawiła się zniemacka i zaatakowała umocnienia sardaukarów. W tej samej chwili setki ładunków wybuchowych eksplodowały wokół wejścia do tunelu, który prowadził do wnętrza planety. Nie tylko wprawiło to sardaukarów w stan osłupienia, ale na dodatek zniszczyło urządzenia i czujniki, a to sprawiło, że żadnego pożytku nie było z pocisków ziemia-powietrze. Także Tleilaxanie nie mieli pojęcia, jak odpowiedzieć na nieoczekiwany napad.

Statki Atrydów prowadziły natomiast metodyczny ostrzał, rozbijając i topiąc pancerne oraz skalne zapory. Sardaukarowie nie byli przygotowani na starcie się z taką siłą, przez lata przywykli bowiem do tego, że ich jedynym przeciwnikiem byli niepokorni mieszkańcy Ix i ewentualnie szpiedzy.

Wiedziona przez Duncana Idaho flota zgodnie z harmonogramem lądowała na powierzchni Ix. Ze statków wysypywali się żołnierze zbrojni w krótką broń, gdyż wobec przeciwnika używającego tarcz nie można było stosować laserobinów. Z bojowymi okrzykami na cześć Leta i Rhombura rzucali się do walki.

Rozpoczęła się bitwa o Ix.

Nie ma żadnych wątpliwości, skąd miłość czepie swą potęgę: to sam strumień życia – nieujarzmiony, dziki, toczący się od czasów dawniejszych niż dawne.

**lady Jessika,
pierwszy zapis w dzienniku**

Kiedy rozpoczął się poród, Bene Gesserit były już do niego od dawna przygotowane. Wprawdzie tylko kilka z nich znało dokładne powody, ale wszystkie wiedziały, że to długo oczekiwane dziecko jest bardzo ważne.

Słoneczny pokój przygotowano zgodnie ze wskazówkami Aniruli. Starannie trzymano się starodawnych wskazań Feng Shui, zadbano o odpowiednie oświetlenie i wentylację. Filaróże, srebrne orchidee i goździki z Poritrin kwitły w kwietnych balonach unoszących się wokół łóżka. Pomieszczenie znajdujące się na najwyższym piętrze pałacu cesarskiego spoglądało wprost w niebo, po którym wysoko przesuwały się lekkie chmury.

Jessika leżała na wznak, uważnie wpatrzona w swe ciało, otoczenie, a przede wszystkim w dziecko, któremu spieszo było wydostać się na świat. Unikała spojrzenia Wielebnej Matki Mohiam, obawiała się bowiem, że na jej twarzy pojawi się wyraz winy.

„I wcześniej jej się sprzeciwiałam, nie wykonywałam jej poleceń, ale nigdy nie chodziło o rzecz takiej wagi”.

Niedługo siostry poznają jej sekret.

„Czy Wielebna Matka zabije mnie za tę zdradę?”

Przez jakiś czas po porodzie będzie przecież zupełnie bezbronna. W oczach jej nauczycielki porażka, jakiej dozna program, może być nawet gorsza niż zdrada.

Pomiędzy lekkimi na razie skurczami Jessika wchłaniała zapach kwiatów i myślała o Kaladanie, gdzie chciałaby teraz być, mając u swego boku księcia.

„Nie będę się lękać...”

Siedząca obok Mohiam uważnie wpatrywała się w swą podopieczną. Wycieńczona lady Anirula upierała się, że musi być przy porodzie, chociaż siostra Yohsa stanowczo przeciw temu oponowała. Któż jednak w takiej chwili mógłby się sprzeciwić Kwisatz Matce? Anirula twierdziła, że silne lekarstwa uciszyły zgiełk w jej głowie.

Na jej widok Jessika chciała się unieść, ale Cesarzowa powstrzymała ją jednym ruchem dłoni.

– Nałóż suknię porodową i skup się na swym ciele, tak jak byłaś tego uczona. Zadbaj o harmonię ciała i umysłu. Wszystko ma pójść dobrze, żadnych komplikacji! Czekaliśmy na to od dziewięćdziesięciu pokoleń!

Yohsa dotknęła lekko ramienia Aniruli.

– Wielebna Matko, to jeszcze trochę potrwa. Damy ci znać, kiedy...

Anirula przerwała jej niecierpliwie.

– Powiłam Cesarzowi pięć córek, więc chyba moje rady mogą się teraz przydać?

Jessika posłusznie nałożyła koszulę przyniesioną przez Anirulę. Szata była tak gładka i lekka, że niemal nie czuła jej dotyku na ciele. Kiedy na powrót ułożyła się na odpowiednio wyciętym łóżku, i przez głowę przemknęła jej myśl:

„Kiedy wstanę, będę już miała syna, syna Leta...”

Od dziewięciu miesięcy nosiła w sobie to dziecko, karmiła je i chroniła. Aż do tej chwili, gdy dwanaście dni temu Mohiam objawiła jej, jaką rolę odgrywa w programie Kwisatz Haderach, myślała tylko o swojej miłości do Leta i o tym, jak bardzo po śmierci Victora potrzebny jest mu syn.

Mohiam wykrzywiła usta w uśmiechu.

– Nie lękaj się, Jessica nas nie zawiedzie. Była moją najlepszą uczennicą. Dzisiaj pokaże, że żadna z nauk nie poszła na marne.

Przerażona reakcją tych bezwzględnych kobiet Jessica jeszcze mocniej zapragnęła, aby znalazł się przy niej Leto. On przenigdy nie pozwoliłby na to, aby krzywda spotkała ją lub ich dziecko. Razem spędzili poprzednią noc i tak cudownie było po prostu czuć dotyk jego skóry. W tej chwili znaczyło to dla niej więcej niż chwile miłosnych uniesień.

W półmroku sypialni zobaczyła, że znowu jest dawnym księciem, silnym, pewnym siebie, takim, jakiego pokochała, bardziej pełnym wigoru niż kiedykolwiek przez ostatnie lata.

Dzisiaj jednak czekało go wystąpienie przed Landsraadem i nie mógł znaleźć się u łóżka swojej konkubiny. Zdana teraz na naturalne procesy organizmu leżała z zamkniętymi oczami i czekała. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko ufać w rozum Bene Gesserit i... potęgę nadziei. „Następnym razem urodzę córkę. Jeśli pozwolą mi dalej żyć”.

Poniewczasie wiedziała, że rodząc teraz syna, opóźnia cały program o jedno pokolenie, a tymczasem genetyka to nauka o znacznym współczynniku niepewności, a kostkę ciskają niezbadane siły. „A jeśli to mój syn okaże się tym, na którego czeka zakon?”

Była to możliwość zarazem przerażająca i podniecająca.

Otworzyła oczy i zobaczyła, jak dwie siostry medyczne uwijają się po obu stronach łóżka, wymieniając uwagi w języku nawet jej nieznanym i obserwując czujniki przyłożone do jej skóry. W nogach łóżka, mając u boku Yohsę, stała Anirula, a jej czujne oczy lśniły w zapadniętych policzkach. Irytowała wszystkich, nieustannie udzielając porad i instrukcji.

Yohsa niespokojnie spoglądała to na Jessikę, to na Anirulę.

– Moja Pani, to normalny poród, nie musisz nad nim czuwać. Lepiej wróć do siebie i odpocznij. Mam dla ciebie nowe lekarstwo, które jeszcze bardziej powinno przytłumić głosy z Pamięci Innych.

Yohsa sięgnęła do kieszeni, ale Anirula machnęła niecierpliwie ręką.

– Nic nie rozumiesz. Już za bardzo naszpikowałaś mnie lekarstwami. Gdzieś z głębi moja przyjaciółka Lobia stara się mnie przed czymś przestrzec. Muszę się dokładnie w to wsłuchać, a nie zatykać uszy.

– W ogóle nie powinnaś bez pomocy innych sióstr sięgać tak głęboko – oznajmiła karcącym głosem Yohsa.

– Czyżbyś zapomniała, kim jestem? To kwestia, z którą wiąże się moja Tajemna Ranga. Nie masz prawa mnie pouczać. – Sięgnęła po laserowy skalpel leżący na tacy z narzędziami i potrząsając nim, powiedziała: – Kiedy każę ci wbić go sobie w serce, będziesz musiała tak postąpić. – Obie siostry położne zastygły na chwilę, nie wiedząc, co o tym sądzić, Anirula zaś ciągnęła z płomieniem w oczach: – Jeśli dojdę do wniosku, że twoja stała obecność zagraża programowi, sama cię zabiję. Lepiej uważaj.

– A czy głosy mówią ci coś teraz? – przerwała jej Mohiam.

– Tak! I to głośniej niż dotąd.

Mohiam zdecydowanie odsunęła na bok Yohsę i rzekła:

– Lady Anirulo, masz całkowite prawo nadzorować ten poród, ale nie możesz przeszkadzać naszym siostrom, specjalnie do tych obowiązków szkolonym.

Nie wypuszczając z dłoni laserowego skalpela, Anirula zasiadła na fotelu odciążaczowym tuż obok łóżka. Obie siostry położne przeszły na drugą stronę, ale na znak Mohiam wróciły do swych zajęć.

Jessika natomiast przez cały ten czas metodycznie powtarzała czynności, tak jak nauczyła ją tego

Mohiam.

Anirula usiłowała zapanować nad swym niepokojem, aby jej nastrój nie udzielił się wszystkim obecnym w pokoju, ale w głowie miała nerwowy zgiełk i harmider. Zaciśnęła palce obu dłoni. Jeśli coś pójdzie źle w ciągu najbliższych kilku godzin, program Kwisatz Haderach zostanie opóźniony o kilka stuleci, a być może udaremniony na zawsze.

„To nie może się zdarzyć!”

Nagle spojrzała ze zdziwieniem na skalpel w swojej dłoni i odłożyła go na bok.

– Wybacz, dziecko, nie chciałam cię zdenerwować. – Mówiła tak, jakby wypowiadała modlitwę.

– W tej niesłychanie ważnej chwili musisz odwołać się do technik prana-bindu, aby dziecko przedostało się przez kanał porodowy. – Zerknęła na leżący obok niej instrument. – Pępowinę przetnę sama.

– Jestem gotowa – powiedziała Jessica. – Teraz zacznę pomagać.

„Jakżeż mnie znienawidzą, kiedy zobaczą!”

Roztoczyła kontrolę nad każdym mięśniem, jak od dzieciństwa uczono ją w zakonie, i przystąpiła do parcia. Jak postąpi lady Anirula? W jej oczach widać było ślady szaleństwa, ale czy była zdolna do morderstwa?

Jessika poprzysięgła sobie, że zrobi wszystko, co tylko w jej mocy, aby chronić swego synka. Swego i Leta.

Cesarz niezmiennie występuje w roli orędownika swych poddanych i wybranego przez nich Landsraadu, ale Wysoka Rada staje się coraz bardziej siłą zależną i podporządkowaną, a poddani stają się motłochem, wystawionym na łup demagogów. Nasze Cesarstwo staje się coraz bardziej Cesarstwem militarnym.

Premier Ein Calimar z Richese na forum Landsraadu

„Błyskawiczna i imponująca demonstracja siły”. Szaddam był bardzo zadowolony z tego efektu. Ani Arrakis, ani całe Cesarstwo nie będą już nigdy takie same.

Niezapowiedziana armada statków Gildii ukazała się na niebie nad pustynną planetą. Pięć liniowców Gildii, każdy długi na ponad dwadzieścia kilometrów, rozmieściło się na orbicie tak, aby je było dobrze widać z siedziby Harkonnenów, Kartagi.

Zaskoczony baron stał na otoczonym polem tarczy balkonie rezydencji i wpatrywał się w nocne niebo. Suche wyładowania jonizacyjne rozdzierały mrok.

– A co tam się, u diabła, dzieje?

Baron musiał się mocno przytrzymać balustrady, aby jego lotny dzięki odciążaczowi tułów nieoczekiwanie gdzieś nie poszybował. W głębi serca żałował, że nie wrócił w zeszłym tygodniu na Giedi Primę, jak początkowo zamierzał.

Upalny wiatr szalał po ciemnych ulicach, a wysoko nad głową oświetlone liniowce wydawały się klejnotami ciśniętymi w ciemne morze. Rozległy się syreny, które dla strażników miejskich Kartagi oznaczały alarm, a dla mieszkańców – stan wojenny ze wszystkimi ograniczeniami.

Wpadł adiutant, bardziej przerażony widokiem na niebie niż perspektywą gniewu władcy.

– Wasza Wielmożność, z liniowców wysłano wiadomość, że przedstawiciel Gildii chce z tobą rozmawiać.

Oburzony grubas prychnął z irytacją.

– I ja jestem strasznie ciekaw, co oni robią nad moją planetą. – Dostawy melanżu przekraczały wszystkie oczekiwania Cesarza nawet po odjęciu części, które baron odkładał dla siebie. Ród Harkonnenów nie miał się czego obawiać, nawet jeśli wziąć pod uwagę wojowniczość czy wręcz napastliwość, jaką ostatnio demonstrował Szaddam. – To musi być jakaś pomyłka.

Adiutant włączył monitor zdalnej komunikacji i dostroił go na odpowiedni kanał. Z głośnika popłynął chrapliwy głos:

– Baronie Vladimirze Harkonnen, twoje przestępstwa zostały zdemaskowane, a Cesarz Padyszach i Gildia Kosmiczna wspólnie zdecydowali o karze, jaka cię spotka.

Baron przyzwyczajony był do tego, aby wypierać się wszelkich swoich zbrodni, teraz jednak nie miał najmniejszego pojęcia, co powiedzieć.

– Ale... ale ja zupełnie nie...

– Nie ma tu miejsca na żadne rozmowy – zdecydowanie i ostro stwierdził mówiący. – To enuncjacja. Kontrolerzy ZNAH-u i przedstawiciele Gildii zbadają na miejscu wszystkie aspekty twoich operacji przygotowawczych.

Baron poczuł, że brakuje mu tchu w piersiach.

– Ale dlaczego? Chcę i mam prawo wiedzieć, o co jestem oskarżony!

– Ujawnione zostaną wszystkie twoje oszustwa i ukarane wszystkie przestępstwa. Aż do odwołania niniejszym zostają przerwane dostawy melanżu do całego Cesarstwa. A pan, baronie Harkonnen, musi udzielić odpowiedzi na wszystkie pytania i wyjaśnić wszystkie niejasności.

Barona zaczęła ogarniać panika. Zupełnie nie pojmował, co mogło spowodować tę absurdalną inspekcję.

– Kto... kto mnie oskarża? Na jakiej podstawie?

– W tej chwili Gildia przerywa wszystkie łącza komunikacyjne i zamyka wszystkie porty kosmiczne na Arrakis. Natychmiast zostają przerwane działania związane z dystrybucją przyprawy. Żaden ornitopter nie ma prawa oderwać się od powierzchni. – Odbiorniki zaczęły iskrzyć i dymić się. – Koniec komunikatu.

Ze statków Gildii zostały wysłane potężne impulsy, które unieruchomiły systemy łącznościowe i nawigacyjne na wszystkich statkach znajdujących się w porcie kosmicznym Kartagi. W rezydencji barona jarzyce przygasły i ponownie rozbłyły, jak podczas bombardowania. Kilka rozprysło się z sykiem, obsypując Harkonnena kawałkami plazy.

Zasłonił się i wściekle krzyczał do mikrofonu, ale nie było odpowiedzi. Zerwana została także łączność wewnętrzna. Wściekły darł się na cały głos, chociaż słyszeć go mogli tylko ci, którzy znajdowali się pod bokiem, a i oni rozsądnie próbowali trzymać się jak najdalej od swego władcy.

Baron nie mógł domagać się żadnych wyjaśnień ani zwrócić się do kogokolwiek o pomoc.

Luki w podbrzuszu trzech liniowców otworzyły się i zaczęła z nich wypływać flota bojowa sardaukarów: krążowniki, korwety, niszczyciele, bombowce, wszystko, co udało się Cesarzowi zgromadzić w tak krótkim czasie. Szaddam wiedział, że decydując się na tę operację, pozbawia ochrony inne części Cesarstwa, miał jednak nadzieję, że silne, niezapowiedziane uderzenie przyniesie gigantyczne korzyści. Nikt nie wiedział, jakie są jego prawdziwe cele. Nie ujawnił ich także przed Gildią.

Szaddam, odziany w mundur głównodowodzącego sił zbrojnych, zasiadł na mostku swego statku flagowego, który majestatycznie opuszczał się na powierzchnię Arrakis. Nachodził moment kulminacyjny realizowanych od dekady planów, stanowiący też nieoczekiwane zakończenie

przedsięwzięcia związanego z amalem. Na koniec on sam poprowadzi armię do bezprzykładnego zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Przyprawowej. Projekt Amal był gotowy do realizacji, teraz chodziło już tylko o usunięcie ostatniej przeszkody: Arrakis.

Sardaukarowie mieli wykonywać jego rozkazy, aczkolwiek całkowity nadzór nad konkretnymi operacjami sprawował Najwyższy Basza Garon. Szaddamowi potrzebny był ktoś, kto bez szemrania i pytania wypełni wszystkie polecenia, a pojawi się z pewnością niejedno pytanie i niejedna wątpliwość. Stojący za plecami Cesarza weteran nie znał faktycznych planów ani nie wiedział, jaki jest najistotniejszy cel konfrontacji, ale jak zawsze posłusznie wypełni wszystkie jego życzenia.

Wykorzystując niszczycielską siłę, której Szaddam użył już na Zanovarze, sardaukarowie mieli unicestwić wszystkie znajdujące się na Arrakis zapasy przyprawy, co było warunkiem stworzenia w pełni Szaddamowego Cesarstwa. A potem przyjdzie czas na rozwiązanie, którym tylko on dysponował. Amal. Ten jeden atak sprawi, że Tron Złotego Lwa stanie mocno jak nigdy dotąd, uwolniony od wszystkich monopolu i spółek, które blokowały cesarskie poczynania.

„Jakaż szkoda, że Hasimir nie może na własne oczy widzieć mego triumfu!” Przypominały mu się wszystkie te przypadki, gdy okazywało się, że stale jest mu potrzebna pomoc doradcy, przeciwstawiającego się jego pomysłom i sobie przypisującemu wszystkie korzystne efekty podjętych działań.

Statek flagowy powoli pogrążał się w atmosferze planety, a Szaddam spoglądał przez iluminator na jej powierzchnię. Ależ obrzydliwe miejsce! Czy w ogóle będą tu widoczne nawet największe zniszczenia? Widział pełne łuk pasmo satelitów meteorologicznych, które Gildia ostatecznie umieściła na orbicie po długotrwałych naleganiach barona Harkonnena. Kontrolowały tylko obszary zajęte przez Harkonnenów, bez jakiegokolwiek nadzoru pozostawiając obszary pustynne i podbiegunowe.

– Czas poćwiczyć strzelanie do celu – zapowiedział. – Niechaj niszczyciele zlikwidują te satelity. Co do jednego. – Z zadowoleniem postukał w oparcie fotela. Zawsze bardzo się sobie podobał w roli wojownika. – Jeszcze bardziej oślepiamy pana barona.

– Tak jest, Wasza Cesarska Mość! – służbiście odpowiedział Zum Garon. Chwilę później zwinne okręty utworzyły szereg bojowy przywodzący na myśl rój szarańczy. Precyzyjnymi strzałami niszczyły satelity jeden po drugim, a każde trafienie Szaddam witał zachwyconym okrzykiem.

Z powierzchni planety jego flota musiała wyglądać przerażająco. Gildia była przekonana, że chodzi tylko o obsadzenie Arrakis siłami na tyle wielkimi, aby sardaukarowie mogli skonfiskować wszystkie zagrabione przez Harkonnena zapasy. Już teraz ci nieliczni członkowie Landsraadu, którzy coś wiedzieli o wyprawie Szaddama, natrętnie zabiegali o lenno i związaną z nim intratną eksploatację melanżu.

Tyle że ta intratność już za chwilę miała się skończyć.

Nie mógł się już doczekać następnej odsłony tego wielkiego dramatu. Przypomniało mu się stare sztuczdyło, *W cieniu ojca*, które sławiło następcę tronu Raphaela Korrino, tego idioty, który nigdy formalnie nie przejął należnego mu tronu.

Szaddam już teraz uważał się za autora wielkich dzieł, chociaż niekoniecznie związanych z kulturą. Cesarski biograf szczegółowo udokumentuje wielkie militarne i gospodarcze dokonania Szaddama IV Korrino, a cała armia pisarzy będzie się prześcigać w tworzeniu świadectw, które przyszlým pokoleniom przekażą informacje o jego wielkości. Wystarczy zyskać władzę absolutną potem już wszystko pójdzie łatwo.

A kiedy po Arrakis zostanie tylko pokryta zgorzeliną bryła, Gildia Kosmiczna – i w ogóle wszyscy użytkownicy melanżu – znajdą się na jego łasce i niełasce. Postanowił nazwać tę operację Gambitem

Arrakis.

Dla tak wspaniałego triumfu warto było podjąć nawet największe ryzyko!

Wielkość zawsze musi się łączyć ze słabością.

następca tronu Raphael Korrino

Książę Leto Atryda wkraczał do Hali Przemówień Landsraadu z uczuciem, że oto znajduje się w następnym punkcie zwrotnym swego życia. Chociaż pośród słuchaczy miało zabraknąć Cesarza, Leto i tak wiedział, że to jedno z najważniejszych jego wystąpień publicznych, może najważniejsze.

Pamiętał, kiedy ostatni raz stawał przed tym audytorium. Było to wkrótce po objęciu przez niego tronu po tragicznie zmarłym ojcu. Kiedy Tleilaxanie podstępnie podbili Ix, Leto stanowczo zaprotestował przeciw temu i potępił Landsraad za obojętność na apele earla Verniusa. Nie zrobiło to na zebranych żadnego wrażenia. Więcej, jawnie kpili z młodzieńczej naiwności Leta... podobnie jak tylko kpinami reagowali na powtarzane przez lata skargi Pilru, ambasadora na wygnaniu.

Kiedy jednak dzisiejszego popołudnia Leto zmierzał ze swą żoną do wejścia, delegaci głośno wiwatowali i wykrzykiwali jego imię. Odbijające się echem okrzyki dodawały mu siły i pewności siebie.

Chociaż poszczególne grupy realizujące plan nie pozostawały ze sobą w kontakcie, to poszczególne jego składniki musiały być znakomicie zsynchronizowane. Jak na razie Thufir Hawat wykonał skuteczny ruch w związku z Beakkalem, a uderzenie na Ix musiało nastąpić niezależnie od tego, czy otrzymają wieści od Rhombura i Gurneya. Leto dobrze wiedział, jaką rolę ma odegrać tutaj, na Kaitain. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z nadziejami, jeśli Rhombur i Gurney żyli, Ix odzyska wolność, a nowy earl Vernius obejmie należną mu władzę, zanim ktokolwiek będzie miał możliwość zaprotestować.

Ale pod warunkiem, że wszystko to wydarzy się jednocześnie.

Ledwie wkroczył do Hali Przemówień, natychmiast zbliżyła się do niego jedna z Bene Gesserit, które niczym kruki krążyły wokół dworu cesarskiego, i poinformowała:

– Zaczął się poród twojej konkubiny, książę panie. Nie ma się czego obawiać, opiekę nad nią sprawują nasze siostry o najlepszym medycznym wykształceniu. – Akolitka uśmiechnęła się oszczędnie i skłoniła, wycofując. – Lady Anirula sądziła, że będziesz chciał wiedzieć.

Leto z pewnym wahaniem zbliżał się do mównicy. Jessika zaraz zacznie rodzić, wolałby być teraz razem z nią. Bene Gesserit wprawdzie stanowczo by się sprzeciwiły obecności mężczyzny podczas porodu, ale gdyby nie inne okoliczności zmuszające go do obecności w Landsraadzie, znalazłby z pewnością sposób na złamanie ich oporu. Protokół jednak wymagał, aby słowa swe wygłosił teraz, gdy Duncan Idaho dowodził siłami wdzierającymi się do wnętrza Ix.

Herold zapowiedział go z wymienieniem wszystkich tytułów, a potem Leto wstąpił na podwyższenie i przebierając palcami, czekał na chwilę, aż szmer się uspokoi. W końcu zapadła cisza jak makiem zasiał, albowiem oczekiwano, że powie coś ważnego, a może nawet śmiałego.

Przez lata jego pozycja w Landsraadzie umocniła się na tyle, że mógł teraz zaryzykować posunięcie, na jakie nie porwałby się nikt z tych, którzy byli znacznie od niego bogatsi.

– Wszyscy znamy tragiczny los Beakkalu, planety, którą poraziła zaraza grożąca zniszczeniem całego ekosystemu. Były wprawdzie w przeszłości zatargi między mną a rządem Beakkalu, zostały

jednak usunięte, a serce moje, tak jak wasze serca, przejęte jest bólem z racji tragedii tamtejszych mieszkańców. Dlatego zdecydowałem się wysłać tam statki wiozące rzeczy najpotrzebniejsze, w nadziei, że Cesarz nasz, Szaddam IV Korrino, pomimo ogłoszonej blokady, pozwoli na dostarczenie tej pomocy.

Poprzez salę rozeszła się fala aplauzu, odzwierciedlając podziw zmieszany z zaskoczeniem.

– Ale podjąłem jeszcze jedną ważną decyzję. Ponad dwadzieścia lat temu stanąłem w tym miejscu, aby w waszej obecności zaprotestować przeciw bezprawnemu podbiciu przez Tleilaxan IX, prawowitego lenna rodu Verniusów, z którym więzy przyjaźni łączyły od wieków Atrydów, a także wielu z was. Nie uzyskawszy pomocy ze strony Cesarza, earl Dominik Vernius zdecydował się na banicję. On i jego żona stali się obiektami zacieklej pogoni i prześladowań, podczas gdy Tleilaxanie sadowili się na IX. Od tego czasu prawowity władca IX, książę Rhombur, żył pod moją ochroną na Kaladanie. Przez całe lata ambasador IX na wygnaniu, Cammar Pilru, prosił was o pomoc, ale bezskutecznie.

Leto przerwał i spojrzał po sali, na której panowała nieprzyjemna cisza.

– Dzisiaj bez żadnych konsultacji podjąłem działanie, mające na celu naprawienie tej niesprawiedliwości.

Ponownie przerwał, aby zdanie to dobrze zapadło słuchającym w pamięć, i ciągnął:

– W tej właśnie chwili moje wojsko atakuje IX, aby przywrócić rządy Rhombura Verniusa. Chcemy przegnać Tleilaxan i zapewnić wolność mieszkańcom IX.

Teraz przyszła pora na powściągliwy uśmiech i lekką zmianę tematu.

– Pod opartymi na terrorze i nieudolnymi rządami Tleilaxan produkcja wysokiej jakości towarów z IX znacznie spadła. Wie o tym Landsraad, wiedzą ZNAH i Gildia Kosmiczna. Całemu Cesarstwu potrzebne są znakomite produkty IX. Kiedy rządy nad IX znowu obejmie ród Verniusów, będzie to z korzyścią dla wszystkich znajdujących się na tej sali.

Znowu spojrzał na twarze zgromadzonych, szukając śladów sprzeciwu.

– Przybyłem na Kaitain, aby poinformować o swojej decyzji Cesarza Padyszacha, ale okazało się, że zaprzatają go inne sprawy militarne. – Większość obecnych była zdziwiona, przytaknęło tylko kilka głów. – Tak czy owak, nie wątpię, że mój drogi kuzyn Szaddam poprze przywrócenie do władzy rodu Verniusów i powrót jego dawnego znaczenia w Cesarstwie. Jako książę Atryda postąpiłem tak w imię sprawiedliwości, Cesarstwa i przyjaźni łączącej mnie z księciem IX.

Na sali zapanowało poruszenie. Posłyszał kilka głosów aplauzu, kilka gniewnych okrzyków. Choć wszyscy zdawali się zaskoczeni, powoli sytuacja zaczynała się klarować. Przedstawiciele kolejnych rodów wyrażali swe poparcie, aż wreszcie zgotowano mu owację na stojąco.

Leto skłonił się, kilka razy machnął ręką aż wreszcie jego wzrok padł na siwowłosego mężczyznę, ubranego zwyczajnie, nie mającego żadnego wydzielonego miejsca. Cammar Pilru patrzył na niego wzrokiem pełnym zachwytu, aż w pewnej chwili z jego oczu popłynęły łzy.

Kto oczekuje niebezpieczeństwa, przygotowuje się. A przetrwać mogą tylko ci, którzy są przygotowani.

**mistrz miecza Jool Noret,
zapis archiwalny**

Droga powrotna na Kaladan trwała długo. Liniowiec planeta po planecie odwiedzał różne zakamarki Cesarstwa, wioząc w swojej ładowni między innymi także mały konwój Atrydów, którego statkiem flagowym dowodził Thufir Hawat.

Zakończywszy swą misję na Beakkalu, Thufir jak najszybciej pragnął zobaczyć szare mury Zamku Kaladan, pod którym w dole fale morza z hukiem uderzały o skały.

Manewr z pomocą humanitarną był znakomity. Udało się nieco przytrzeć nosa Cesarzowi, a zarazem mieszkańcy udręczonej planety nareszcie dowiedzieli się, że jest jeszcze ktoś, kto o nich myśli. Po tym, jak Szaddam odwołał Zum Garona, flotylla czekała jeszcze dziewięć dni w pobliżu Beakkalu, aż następny liniowiec zabierze ich na Kaladan.

Kiedy statki wreszcie wydostały się z ładowni, zaczęły przebijać przez gęste chmury, a w ślad za nimi opadały w kierunku portu lotniczego statki pasażerskie i towarowe.

Thufir czuł, że śmiało mógłby przespać trzy dni i trzy noce. Nie spał dobrze w trakcie podróży, niepokoił się bowiem losami wyprawy na Ix pod dowództwem Duncana Idaho, która właśnie w tym czasie powinna się rozgrywać.

A przecież nie mógł sobie pozwolić na odpoczynek. Skoro księcia nie było na Kaitain, a znaczna część sił zbrojnych rzucona została do ataku na Ix, musiał zadbać o to, aby jak najlepiej wykorzystać do obrony planety to, co pozostało. Kaladan na chwilę został niebezpiecznie odsłonięty.

Kiedy jego niewielki konwój wylądował w przyległej do portu kosmicznego bazie wojskowej, mentata zaskoczył brak jakiegokolwiek statku. Na planecie pozostali tylko nieliczni umundurowani starsi mężczyźni i kobiety – zaledwie zespół obsługi technicznej. Porucznik rezerwy powiedział mu, że książe Leto zdecydował się rzucić wszystkie siły do walki o Ix.

Widząc to, Thufir nie skrywał wszechogarniającego go poczucia niepewności.

Liniowiec krążył po orbicie, a z jego ładowni wydostawały się kolejne jednostki. Kiedy pod wielkim statkiem Gildii przesuwiał się gęsto zaludniony Kontynent Wschodni, w ostatniej chwili oddzieliła się od niego grupa nieoznakowanych maszyn i zajęła pozycje w górnych warstwach atmosfery.

Nawet tak doświadczony pilot, jak Hiih Resser, musiał bardzo uważać, przemieszczając się po pełnym turbulencji niebie Kaladanu. Rudy mistrz miecza kierował szybkim pojazdem zwiadowczym wchodzącym w skład pospiesznie zebranej armii Grumman i Harkonnenów.

Resser mknął w kierunku dziennej strony planety, pozostawiając powoli za sobą nadpełzający świt.

Wicehrabia Moritani obstawał za tym, aby uderzać natychmiast i to gdziekolwiek, albowiem nade wszystko cenił atut zaskoczenia. Glossu Rabban, chociaż skądinąd bardzo brutalny, uważał, że najpierw należy zbadać, gdzie można liczyć na najłatwiejszy sukces. Resser bardziej przychylił się do tego stanowiska, w ogóle często nie zgadzał się ze swoim władcą, choć dobrze znał swoje powinności jako mistrza miecza. Honor wymagał od niego bezwarunkowej lojalności.

Podobnie jak od Duncana Idaho.

Pamiętał lata, które wraz z Duncanem spędził na upstrzonym wysepkami Ginazie. Zaprzyjaźnili się od samego początku i razem stali się mistrzami miecza.

Kiedy z akademii wydalono innych studentów z Grumman, gdyż nie chcieli potępić postępków wicehrabiego, Resser jako jedyny wyłamał się i ukończył szkołę. Wracając na ojczystą planetę, oczekiwał potępienia, więzienia, może nawet egzekucji. Duncan namawiał go, by razem jechali na Kaladan, gdzie także on wstąpiłby na służbę Atrydów, ale rudzielec odmówił. Śmiało powrócił na Grumman: nie sprzeniewierzył się honorowi, a jednak przeżył.

Nie tylko przeżył, ale także błyskawicznie awansował z racji talentów bojowych i dowódczych. Dość szybko zaczął kierować siłami specjalnymi. Podczas obecnej misji na Kaladanie podlegał tylko samemu wicehrabiemu, ale wszystko chciał widzieć sam i z bliska. Teraz pilotował maszynę zwiadowczą a gdy dojdzie do bitwy, znajdzie się w jej środku.

Nie był szczęśliwy, że za przeciwnika będzie miał Duncana Idaho, ale nic na to nie mógł poradzić. Polityka rozcinała najserdeczniejsze więzy. Mając teraz w głowie wszystko to, co młody Duncan opowiadał mu o Kaladanie, schodził pod powłokę chmur, aby na własne oczy zobaczyć kontynenty i miasta oraz stwierdzić, jakie są najslabsze punkty planety.

Przemknął nad miastem Kala, deltami rzek, nizinnymi terenami, gdzie rozłożyły się uprawy ryżu pundi. Zobaczył na płyciznach pola kelpu, widział czarne linie raf otoczone pienistymi falami. Wszystko to rozpoznawał bezbłędnie dzięki opowieściom Duncana.

Kiedy otrzymywali przesyłki z domu i zasiadali do czytania listów z Kaładanu, opowiadał o tym, jaką szlachetność okazał Stary Książę, biorąc go pod swoją opiekę, i o tym, jak mały uciekinier dojrzewał na książęcym dworze, pełen wdzięczności i bezgranicznej lojalności.

Resser westchnął ciężko i leciał dalej.

Maszyna mknęła szybko i nisko, a rudzielec rejestrował wszystkie interesujące go szczegóły. Kiedy zobaczył już to, czego potrzebował, zawrócił do ukrywającej się floty, aby złożyć raport. Gdy stanął przed obliczem wicehrabiego, oznajmił:

– Zostawili wszystko bez obrony, mój panie. To będzie łatwa zdobycz.

Zatroskany Thufir Hawat stał samotnie pod wystawionymi przez Leta na skalnym cyplu wielkimi rzeźbami Starego Księcia i Victora Atrydy, wznoszącymi w niebo płonąca pochodnię.

W oddali uwijały się niewielkie łódki, zajęte zbieraniem kelpu, stawianiem i wyciąganiem sieci. Cisza i spokój. Słońce opadało ku horyzontowi, oświetlając drobne chmurki, którymi usiane było niebo.

Mentat dojrzał szybko przesuającą się po niebie maszynę i rozpoznał ją: nieoznakowany statek zwiadowczy.

Natychmiast dokonał projekcji pierwszego i drugiego stopnia. Jakiegokolwiek miałyby być ich wyniki, niewiele mógł zrobić, gdyby przyszło stawić czoło zewnętrznemu wrogowi. Miał do dyspozycji grupę statków bojowych, które eskortowały konwój, ale siły obronne Kaladanu liczyły w tej chwili niewiele więcej. Leto porwał się na ryzykancki atak na Ix... może zbyt ryzykancki.

I oto czyjś statek zwiadowczy zbierał informacje i dowiadywał się o bezbronności Kaladanu. Kamienne twarze księcia Paulusa i Victora przypominały Thufirowi o jego dawnych niedopatrzeniach.

– Już nigdy więcej cię nie zawiodę, mój książę – zwrócił się na głos do posągu. – Nie dopuszczę też do porażki Leta. W jaki sposób mam bronić naszej pięknej planety?

Wzrok Hawata znowu spoczął na rybackich kutrach. Musi sięgnąć do najgłębszych zasobów mentata, a wcale nie było pewne, czy okażą się one wystarczające.

Nie będą już musieli wysilać swych tępych umysłów, aby mnie wyśledzić i osaczyć! Oto stoję gotów na wszystko!

słowa przypisywane banicie,

Krótko po południu w podziemnym mieście zawyły syreny alarmowe. Dla księcia Rhombura Verniusa był to dźwięk radosny.

– Zaczęło się! Duncan nie zawiódł!

W półmroku małej, przeznaczonej dla suboidów klitki prawowity władca Ix widział, jak w oczach Gurneya Hallecka zapaliły się płomienie.

– Będziemy walczyć ze wszystkich sił, a krew rozlewać w imię Pana! – Uśmiechnął się i wstał. – Nie ma czasu do stracenia!

C'tair Pilru, z włosami w nieładzie i zaczerwienionymi oczami, zerwał się na równe nogi. Od wielu dni nie dosypiał. Wydawało się, że bardziej karmi się adrenaliną niż jadłem. Założone przez niego ładunki wybuchowe otworzyły nacierającym wojskom Atrydów drogę do wnętrza planety.

– Czas wydobyć broń i skrzyknąć wszystkich, którzy chcą stanąć po naszej stronie! – zawołał. – Nareszcie możemy zacząć walczyć! – Na jego wychudłej twarzy pojawiło się uniesienie, wobec którego malały wszystkie lęki i wątpliwości. – Pójdziemy za tobą wszędzie, książę!

Gurney zmarszczył brwi.

– Uważaj na siebie, Rhomburze. Nie możesz stać się zbyt łatwym celem dla naszych wrogów.

Książę nieco sztywnym krokiem ruszył w kierunku niskich drzwi.

– O nie, Gurneyu! Na pewno nie będę krył się w bezpiecznym kącie, podczas gdy inni będą narażać życie w walce.

– Przynajmniej zaczekaj, aż opanujemy część miasta.

– Ze stopni Grand Palais chcę obwieścić ludziom swój powrót – rzekł Rhombur tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. – Tylko to mnie może usatysfakcjonować.

Gurney burknął coś niezadowolony, widząc jednak, że dyskusje nic tutaj nie dadzą, zaczął się zastanawiać, jak najlepiej chronić tego dumnego, upartego człowieka. C'tair poprowadził ich do podręcznej zbrojowni. Broń palną, materiały wybuchowe, tarcze i urządzenia łącznościowe, pochodzące z rozłożonej na części kapsuły bojowej, już wcześniej rozprowadzili między palących się do boju powstańców.

C'tair chwycił to, co mu pierwsze wpadło pod rękę: dwa granaty i pałkę obezwładniającą. Rhombur przytroczył do pasa komplet noży do rzucania, a w sztuczne ramię wziął ciężki, dwuręczny miecz. Gurney zdecydował się na sztylet i długi miecz. Wszyscy trzej opięli się tarczami i uaktywnili je, czemu towarzyszył uspokajający, basowy pomruk.

Byli gotowi.

Nie ruszali laserobinów. W walce z bliska, przy włączonych tarczach, interferencja promieni laserowych z polem tarczowym mogła doprowadzić do eksplozji, która zniszczyłaby podziemne miasto.

Uruchomiony został cały system alarmowy. Niektóre z drzwi do hal produkcyjnych Tleilaxan blokowały się automatycznie, inne zacinały i zatrzymywały w pół drogi. Chociaż od kilku dni między mieszkańcami Ix krążyły najróżniejsze pogłoski, wiele osób nie wierzyło, że zdarzy się coś nadzwyczajnego. Teraz wszystkich ogarnęła radość.

C'tair przebiegał tunele i wzywał wszystkich do walki.

– Naprzód, do boju! Na Grand Palais!

Nie wszyscy potrafili pokonać nieufność. Szczególnie suboidzi zbijali się w grupki i spoglądali podejrzliwie na cały ten zamęt, ale w końcu i ich udało się C'tairowi poderwać. Przyłączyli się do okrzyków:

– Niech żyją Verniusowie!

Pierwszy granat wrzucił do piwnicy, gdzie skryło się wystraszone kierownictwo fabryki. Potem pałąk obezwładniającą godził w każdą istotę o szarej skórze, która stanęła mu na drodze.

Tarcza zatrzymała strzałkę *fléchette* wystrzeloną w kierunku oka Rhombura, pracącego przed siebie niczym taran. Dostrzegł chowającego się w cieniu Mistrza Tleilaxan, w którego grdykę wbił celnie ciśnięty nóż. Chwilę później na pół przeciął jednym ciosem miecza innego z Mistrzów. Rwał się tam, gdzie walka była najbardziej ząarta, stentorowym głosem wzywając do boju wszystkich swoich zwolenników.

Gurney na prawo i lewo rzucał informacje, w ujściu jakich tuneli czeka na ochotników broń.

– Nadeszła pora, żeby oczyścić Ix z tego liszaju!

Zarazem rozumiał, że niewyćwiczeni buntownicy nie będą mieli wielkich szans, jeśli sami zetrą się z sardaukarami w ogromnej grocie centralnej.

Holoobraz nieba rozbłyskiwał od eksplozji, które rozrywały rozmieszczone w stalaktytowych budynkach stacje kontrolne. Szkielet najbardziej monumentalnej budowli, Grand Palais, niczym Święty Graal czekał na Rhombura. Sardaukarowie z dobytymi mieczami gnali powietrznym przejściem za czarnowłosym mistrzem miecza.

– Duncanie! – krzyknął Gurney, wskazując w górę. – Musimy się tam dostać!

– Tak! – zawtórował Rhombur, który nie mógł oderwać oczu od Grand Palais.

Prowadzona przez zachowującego się jak opętaniec C'taira bezładna grupa buntowników opanowała pustą platformę transportową, która, wykorzystując mechanizm odciążaczy, przenosiła materiały z kanionu otwierającego dostęp do wnętrza planety na niższe poziomy produkcyjne. Gurney zaraz wskoczył do sterowni i chwilę później zawyły odciążacze.

– Wsiadajcie! – krzyczał. – Wsiadajcie!

Na platformie zrobiło się tłoczno. Niektórzy z powstańców nie byli uzbrojeni, ale w razie potrzeby gotowi rzucić się na wroga z paznokciami. Platforma poderwała się, zanim wszyscy chętni zdołali się na nią wspiąć. Jedni z nich polecili na twardą posadzkę jaskini, inni chwycili się wystających części i trzymali się ich tak długo, aż inni pomogli im się wdrapać.

W dole sardaukarowie usiłowali formować oddziały, ostrzeliwując się z pistoletów *fléchette*. Tarcza zwykle okazywała się skuteczna przeciw tym pociskom, ale większość mieszkańców Ix nie dysponowała taką ochroną. Z sunącej w powietrzu platformy powstańcy zaczęli ostrzeliwać Tleilaxan, którzy najczęściej nie nosili tarcz – a największą pasją odznaczył się C'tair – z kolei ich jednak usiłowali strącić cesarscy żołnierze. Trafili w jeden z odciążaczy i jeden róg platformy opadł, a czterej znajdujący się najbliżej brzegu ludzie polecili w dół i roztrzaskali się o skalne dno grotu.

Podczas gdy Gurney walczył z opornymi sterownikami, Rhombur odsunął go i zwiększył moc silników. Platforma popłynęła w kierunku wykładanych plazem balkonów Grand Palais. Spoglądając na nie, książę przypominał sobie sceny z młodości, widział oczami duszy rodzinę pędzącą błogie i dostatnie życie.

Skierował platformę ku obramowanemu przejrzystym plazem tarasowi widokowemu, skąd niegdyś świętowali rocznicę swego ślubu Dominik Vernius i piękna lady Shando. Pod impetem przeładowanej platformy plaz rozprysł się, podobnie jak wspierająca go balustrada, a okrzyki strachu zmieszały się z głośnymi wiwatami. Rhombur wyłączył silniki i pokieroszowana platforma znieruchomiła na tarasie.

C'tair pierwszy wylądował na ułożonych w szachownicę płytach, pośród spanikowanych Tleilaxan i grupki sardaukarów, którzy szykowali się do obrony.

– Ix zwycięży! – zakrzyknął, a zaraz okrzyk ten podchwycili inni i ze zdwojoną pasją rzucili się na

wrogów, a niedostatek broni zastępował entuzjazm.

Mając u boku Gurneya Hallecka, Rhombur nareszcie znowu stanął w Grand Palais. Dookoła wrzała walka, wszędzie pełno było zniszczeń, gruzu, odpadów, on jednak czuł, że oto wraca do domu.

Tymczasem Duncan Idaho dowodził żołnierzami, którzy w tunelach dziurawiących płaszcz planety walczyli z rozpaczliwie broniącymi się sardaukarami. Cesarscy żołnierze pakowali sobie do ust coś, co wyglądało jak wafle przyprawowe, i rzucali się na znacznie liczniejszych przeciwników z szaleństwem. Wiedząc, że broń dalekiego zasięgu jest bezużyteczna wobec tarcz, sięgnęli po pradawne noże, miecze, a niekiedy atakowali nawet gołymi rękami. Ilekroć udało im się pokonać wojownika Atrydów, neutralizowali jego tarczę i rozrywali go na strzępy. Między nimi wyróżniał się dowódca, Cando Garon, nic sobie nie robiący z porwanego i zakrwawionego munduru. Miał wprawdzie u pasa długi miecz, ale wolał posługiwać się dającym większą kontrolę nad przeciwnikiem handżarem. Wydłubywał nim oczy, podcinał kilka gardeł, rzucał się to w jedną to w drugą stronę, nic sobie nie robiąc z atakujących go żołnierzy Duncana.

Dzielnemu kaladańskiemu porucznikowi udało się poprzez tarczę dźgnąć Garona czubkiem miecza w łopatkę, ten jednak zatrzymał się tylko na krótki moment, potrząsnął głową i jakby nie czując bólu i krwawiącej rany, z furją rzucił się na tego, kto mu ją zadał. Ale także inni sardaukarowie, chociaż nie trzymali żadnego szyku i walczyli chaotycznie, bez żadnej koordynacji, to przecież okazali się bardzo skuteczni.

Widząc, że szeregi Atrydów zaczynają się uginać pod tym szaleńczym atakiem, Duncan krzychał, ile mu tchu w płucach wystarczyło. Dopiero teraz dobył z pochwy miecz Starego Księcia, a chociaż broń była wielka i ciężka, to zdało się, że pomaga dłoni swego obecnego właściciela, jakby siedział w niej duch dawnego posiadacza. Użył jej raz na Ginaz, a dziś poprowadzi do zwycięstwa armię Atrydów. Gdyby Stary Książę żył, z dumą spoglądałby teraz na swego podopiecznego.

Słyszając głos mistrza miecza, jego podkomendni z nową pasją rzucili się na przeciwników, a chociaż rozstrzygnięcie powinno być szybkie i jednoznaczne, gdy zważyć, o ile liczniejsi byli żołnierze Atrydów od sardaukarów, ci ostatni nie zamierzali tanio sprzedać swojej skóry. Ani myśleli się poddawać, a ich twarze płonęły, jakby pod wpływem jakiegoś silnego środka pobudzającego.

Widząc, że zwycięstwo nie tylko nie przyjdzie łatwo, ale na dodatek – nie wiadomo, ile trzeba będzie na nie czekać, Duncan pomyślał, że jest to zapewne najkrwawszy dzień w jego życiu.

A sardaukarowie, w niczym nie przypominający karnej armii, za jaką uchodzili, walczyli jak w transie.

Nie zważając na szalejącą dookoła walkę, Hidar Fen Ajidica chciał dostać się do swego silnie strzeżonego laboratorium, ufając, że jest to miejsce, gdzie atakujący dotrą najpóźniej. Sunący za nim krok w krok hrabia Hasimir Fenring zastanawiał się, czy aby nie przyszła właściwa pora na ucieczkę. Niechże ten pokurcz Tleilaxan zniszczy swe dzieło i samego siebie – co, zdaje się, zamierzał robić – Fenring jednak nie zamierzał iść za jego przykładem.

Kiedy znaleźli się wreszcie w odizolowanym od reszty świata pomieszczeniu, Fenring skrzywił się, strasznie bowiem doskwierał mu odór ciał stanowiących zbiorniki aksolotlowe. Gromady techników Tleilaxan doglądały zbiorników, pobierały próbki, korygowały szybkość metabolizmu, a chociaż wiedzieli, że na zewnątrz toczą się boje, mieli również świadomość, że już tu czeka ich śmierć, jeśli w jakikolwiek sposób zaniedbają swoje obowiązki – najmniejsza bowiem pomyłka czy niedokładność mogła zahamować proces produkcji drogocennego amalu.

Oddziały sardaukarów zajmujące pozycje wokół laboratorium otrzymywały większe dawki amalu i nigdy nie były używane do innych zadań. Teraz gotowały się do starcia niczym banda rozwścieczonych bestii. Fenring ze zdziwieniem konstatawał, że – jak się wydawało – nikt tymi drapieżnikami nie dowodził.

Ajidica szybko ogarnął wzrokiem wnętrze laboratorium i skinął na Fenringa.

– Za mną panie hrabio! – Oczy miał teraz szkarłatne. Jego białka poczerwieniały, jakby porażone krwotokiem. – Jesteś przedstawicielem Cesarza, powinieneś więc stać po mej prawicy, gdy będę składał oświadczenie decydujące o naszej przyszłości. – Miał uśmiech drapieżnika, a z kącika ust ciekła mu krew, jakby przed chwilą pożarł surowe mięso. – Już wkrótce będziesz mnie wielbił.

– Hmm, najpierw może jednak usłyszę, co masz do powiedzenia – ostrożnie odparł Fenring, dostrzegając obłąkanie w zachowaniu Mistrza Badań. Właściwie najlepiej byłoby mu od razu przetrącić kark – do czego wystarczyłby jeden, szybki cios – ale dookoła było zbyt wielu lojalnych współpracowników, którzy uważnie im się przypatrywali, czekając na wiadomości.

Wspięli się obaj na metalową kładkę przerzuconą nad laboratorium.

– Słuchajcie mnie! Oto próba, na jaką wystawia was Bóg! – ryknął Ajidica w dół, a jego głos zabrzmiał potężnie niczym dzwon. Kiedy mówił, z ust ciekła mu krew. Wszyscy wpatrywali się w niego z uwagą. Fenring nie pierwszy raz był świadkiem przemowy Ajidicy, ta jednak była jak nigdy szalona. Wielki ekran na ścianie pokazywał walki toczące się na zewnątrz. Siły Atrydów zajmowały IX kwartał po kwartale. Mistrz Badań jednak zupełnie na to nie zważał. Uniósł dłonie zaciśnięte w pięści i z nich także spływała krew. Rozpostarł je, a w ich wnętrzu ukazały się krwiste plamy.

„Stygmaty?” – zdziwił się Fenring. – „Bardzo interesujący występ. Jak on to sobie jednak zrobił?”

– To ja stworzyłem ajidamal, substancję, która otwiera Drogę przed wierzącymi. To ja rozesłałem Tancerzy Oblicza po najdalszych zakątkach wszechświata, aby tam kładli fundamenty pod wielką przyszłość. Inni Mistrzowie Tleilaxan znajdują się w tej chwili na dworze cesarskim na Kaitain, czekając tylko na moje polecenie. Ci, którzy pójdą za mną zyskają moc i wieczyste błogosławieństwo, zyskają nieśmiertelność. – Fenring zdumiony wpatrywał się w mówcę. Rana na jego czole otworzyła się nagle, nawet z oczu zaczęła kapać krew. – Krocicie za mną! – Teraz Ajidica przeszedł do przeraźliwego krzyku. – Tylko ja mam prawdziwą wizję! Tylko ja wiem, czego życzy sobie Bóg! Tylko ja... – Dalsze słowa zastąpił bulgot. Z gardła Ajidicy trysnęła krew. Dało się czuć od niego niesłychanie intensywny zapach cynamonu.

Fenring cofnął się o krok, czujnie wpatrzony w Mistrza Badań, którego szara zazwyczaj skóra poczerwieniała, a z nosa i uszu ciekła krew.

Fenring zmarszczył brwi. Oto ostateczne potwierdzenie klęski, jaką kończył się Projekt Amal. Zmienili się nawet sardaukarowie regularnie przyjmujący syntetyczny melanz, a nie była to zmiana na lepsze... Cesarz będzie musiał pogodzić się z porażką.

Na ekranie widać było, jak wojska Atrydów przełamują opór rozszalałych sardaukarów i ogarniętych skrajną paniką Tleilaxan. Tak misternie opracowany plan rozpadał się na jego oczach. Jedyne dla siebie ratunek dostrzegał w tym, że winnym wszystkiego okaże się obłąkany Mistrz Badań, Hidar Fen Ajidica.

Ociekający krwią Mistrz ciskał się, krzyczał, charczał, aż wreszcie jakby w ostatniej konwulsji chwycił się kurczowo barierki, wpił się w nią a potem gwałtownym szarpnięciem rzucił się w znajdujący się pod nim zbiornik aksolotlowy... z małą pomocą hrabiego Fenringa.

Każdy jest potencjalnym wrogiem, każde miejsce potencjalnym placem boju.

z mądrości zensunnickich

Kolejny skurcz, za każdym razem silniejszy i dłuższy.

Jessika musiała wykorzystać wszystkie nauki, jakich udzieliły jej Bene Gesserit, aby zapanować nad mięśniami i poprowadzić dziecko przez kanał rodny. Nie zastanawiała się nad tym, jak wielkie będzie rozczarowanie Mohiam, ani nad tym, jak powiecie przez nią syna opóźni realizację przygotowywanego od tysiącleci planu. Teraz potrafiła myśleć tylko o porodzie.

Obok łóżka Jessiki, w fotelu odciążaczowym siedziała lady Anirula Korrino. Twarz miała poszarzałą i wychudzoną, jak gdyby musiała użyć wszystkich swych sił duchowych, aby nie poddać się szalejącemu w niej obłądowi. Jedną dłoń trzymała w pogotowiu laserowy skalpel, całe ciało było sprężone jak do skoku.

Jessika zamknęła się w kokonie medytacji. Jeszcze przez kilka chwil utrzyma w tajemnicy swój sekret, ale dziecko już niebawem ukaze się światu. Syn, nie córka.

I Mohiam, i Margot Fenring były przy niej przez cały czas porodu, a teraz stały tuż za Anirulą aby interweniować w razie ponownego przyływu szału. Była wprawdzie Kwisatz Matką ale nie można było dopuścić do tego, aby wyrządziła krzywdę dziecku Jessiki.

Pomiędzy jednym a drugim głębokim oddechem Jessika kątem oka dostrzegła migowe znaki od Mohiam. „Powiedz Aniruli, że chcesz, abym ja przecięła pępownię. Niechaj odda mi skalpel”.

Jessika udawała skurcz, aby mieć dodatkową chwilę na zastanowienie. Przez całe lata Mohiam była jej bezpośrednią opiekunką na Wallach IX. To ona wprowadzała ją w arkana zakonu, to ona wydała jej jasne i jednoznaczne polecenie, że ma wydać na świat córkę Leta Atrydy. Przypomniało jej się, jak Mohiam trzymała tuż przy jej szyi gom dżabbar, zatrutą szpilkę, która miała ją uśmiercić. Gdyby zawiodła.

„Zabiłaby mnie wtedy, gdybym nie spełniła wygórowanych standardów człowieczeństwa, jakie przyjmuje zakon. Równie łatwo mogłaby mnie zabić teraz”.

Czy jednak właśnie człowieczeństwo pozwoliłoby Mohiam na taki postępek? Bene Gesserit stanowczo zabraniały doświadczenia miłości, czyż jednak miłość i współczucie nie są właśnie bardzo ludzkimi uczuciami? Czy w obecnej sytuacji Mohiam będzie mniej niebezpieczna niż Anirula?

„Nie, raczej już zabiją dziecko”.

Jessice wydawało się, że miłość jest czymś, czego nie może doświadczyć maszyna, a ludzie tysiąclecia temu pokonali myślące maszyny podczas Butleryjskiego Dżihadu. Jeśli jednak to ludzie zostali zwycięzcami, dlaczego resztki nieludzkości – okrucieństwo gom dżabbar – przetrwały w jednej z Wielkich Szkół? Okrucieństwo w równym stopniu stanowiło element człowieczeństwa, co miłość. Jedno nie mogło istnieć bez drugiego.

„Muszę jej zaufać. Każde wyjście jest równie przerażające! Czy mam jakieś inne rozwiązanie?”

Pomiędzy jednym a drugim skurczem Jessika oderwała spoconą głowę od poduszki i miękko powiedziała:

– Lady Anirulo, chciałabym... żeby to Margot Fenring przecięła pępownię. – Mohiam zachnęła się zdumiona. – Możesz jej przekazać skalpel? – Udawała, że nie dostrzega zaskoczenia swojej nauczycielki. – To mój wybór.

Anirula robiła wrażenie rozkojarzonej, jakby nadal wsłuchiwała się w zgiełk wewnętrznych głosów. Spojrzała na narzędzie w swojej dłoni.

– Co? Ach, tak, oczywiście. – Zerknęła przez ramię i wręczyła skalpel Margot. – Ile to jeszcze

potrwa? – spytała ze zmarszczonymi brwiami.

Jessika bezskutecznie usiłowała tak zapanować nad chemizmami ciała, aby zmniejszyć doskwierający jej ból.

– Dziecko jest już blisko.

Nie mogła myśleć o towarzyszących jej kobietach. Wpatrzyła się w pszczoły, które uwijały się między kwiatami. Skupienie... skupienie...

Jeszcze kilka chwil i skurcze ustąpiły. Kiedy pojaśniało jej przed oczami, zobaczyła, że ostatecznie to jednak Mohiam trzyma skalpel. Na chwilę z przerażeniem pomyślała o dziecku. Ale przecież narzędzie było nieistotne. „To Bene Gesserit. Gdyby chciały zabić bezbronnie niemowlę, nie potrzebowałyby żadnych specjalnych instrumentów”.

I znowu ból. Palce przemykające po jej skórze, zanurzające się w jej pochwie. Jedna z sióstr medycznych mruknęła:

– Już prawie. – A potem, dodając odrobiny Głosu: – Przyj!

Jessika posłuchała, ale zwiększyło to tylko ból. Wydarł się z niej krzyk, mięśnie stężały niczym w kurczu. Gdzieś w tle słyszała zatroskane głosy, ale nie mogła rozpoznać żadnego słowa.

– Przyj!

To druga z sióstr medycznych.

Jessika czuła w sobie jakiś opór, jak gdyby samo dziecko wzbraniało się przed wyjściem na świat. Jak to możliwe? Czyżby przeciwstawiało się naturalnemu porządkowi rzeczy?

– Dość! Teraz odpręż się!

Nie wiedziała, skąd dotarło do niej to polecenie, ale posłuchała. Z najwyższym trudem zapanowała nad chęcią krzyku. Nauczyła jej tego Mohiam. W ciało wbudowany został program niemal równie głęboki jak DNA.

– Pępowina dusi dziecko!

„Nie, błagam, nie!”

Skupiła się na swoim wnętrzu, usiłując dopomóc synowi, nie mogła jednak dotrzeć do odpowiednich mięśni. W sobie napotykała jedynie straszliwą, niepokorną czerń. Czuła, jak czyjeś ręce próbują ratować w niej dziecko, usiłowała jakoś wspomóc te wysiłki, ale znowu nawiedziło ją dziwne wrażenie, że samo dziecko nie chce się urodzić.

A przynajmniej nie tutaj, nie w obecności tych straszliwych kobiet.

Jessika czuła się słaba i bezbronna. Miłość do księcia Leta i do jego syna wydawała się tak nieistotna w zestawieniu ze wszechświatem i bezlikiem możliwości. Kwisatz Haderach. Czyżby miał możliwość zobaczenia czegoś jeszcze przed własnymi narodzinami?

„Czyżby był Tym, na którego czekamy?”

– Przyj! Przyj!

Jessika uczyniła to, czego od niej oczekiwano, ale tym razem nie napotkała już oporu, ból także zmniejszył się. Czuła jednak, że zewsząd czyha na nią niebezpieczeństwo.

Dziecko opuszczało jej ciało, czyjeś ręce je przyjmowały... i nagle opuściły ją wszystkie siły.

„Muszę się natychmiast pozbierać! Trzeba go bronić!”

Trzy głębokie oddechy i Jessika spróbowała usiąść, wycieńczona i obolała.

Kobiety u nóg jej łóżka znieruchomiały. W pokoju zapadła taka cisza, jak gdyby Jessika wydała na świat straszliwe monstrum.

– Moje dziecko – odezwała się wreszcie drżącym głosem. – Co z nim?

– Jak to możliwe? – Anirula przemówiła tonem bliskim hysterii, który przerodził się wręcz w krzyk. – Nieee!

– Cóżes ty uczyniła? – posłyszala głos Mohiam. – Jessiko, jak mogłaś?

Na twarzy Wielebnej Matki widać było nie gniew, którego tak bała się Jessika, ale rozczarowanie i przygnębienie.

Niezdarnie poprawiła się na łóżku i tym razem udało jej się dojrzeć czarne, mokre włosy, małe czółko i duże, inteligentne oczy. Pomyślała o ukochanym księciu.

„Moje dziecko musi żyć!”

– Teraz rozumiem, skąd ten zamęt w Pamięci Innych. – Anirula spoglądała na Jessikę z wściekłością. – Wiedziały, ale Lobii nie udało się uprzedzić mnie na czas. Ja jestem Kwisatz Matką ja kontynuuję wysiłek trwający przez tysiąclecia, a ty ośmieliłaś się zrobić nam coś takiego?

– Nie zabijajcie go! Ukarzcie mnie, ale nie syna Leta!

Po twarzy Jessiki potoczyły się łzy.

Mohiam podała jej dziecko, jak gdyby pozbywała się nieprzyjemnego ciężaru.

– Masz tutaj swego przeklętego syna – powiedziała lodowatym tonem. – I módl się, żeby zakon przetrwał to, czego się dopuściłaś.

Ludzkość ma świadomość swojej śmiertelności, lęka się niezmienności swego dziedzictwa, ale nie zna drogi, na której mogłaby szukać ratunku. Taki jest właśnie główny zamysł programu Kwisatz Haderach: popchnąć ludzkość w zupełnie nieoczekiwanym kierunku.

z prywatnego dziennika lady Aniruli Korrino

Stojący pod pokojem pałacowym, zamienionym teraz w salę porodową, mężczyzna przebrany w mundur sardaukarów nałożył na wargi szminkę, aby ukryć ich purpurę, spowodowaną przez safo. Z tyłu spodni, tuż nad skrajem kurtki, widniała mała krwawa plama, którą nawet po podniesieniu poły łatwo byłoby przeoczyć.

Kiedy gwardzista zmierzał na swój posterunek, Piter de Vries błyskawicznym ruchem wbił mu wążutki sztylet w lewą nerkę, a potem szybko zatroszczył się o to, aby na mundurze nie było żadnych widocznych śladów. Wciągnął ciało do pustego pokoju, natychmiast ściągnął z niego mundur, a następnie chemicznymi środkami czyszczącymi usunął wszystkie plamy. Nie minęło kilka chwil, a sam stał na straży pokoju, w którym znajdowała się Jessika i jej nowo narodzone dziecko.

Drugi z wartowników spojrzał podejrzliwie.

– Gdzie Dankers?

– A skąd mogę wiedzieć? – De Vries skrzywił się z niesmakiem. – Miałem dziś służbę koło lwa na bramie, aż nagle okazało się, że jakaś damulka ma ochotę. Kazali mi iść tutaj i zastąpić go.

Tamten wzruszył ramionami, poprawił paradny kord i neuronowy obezwładnik.

De Vries trzymał w rękawie jeszcze jeden sztylet. Czuł na plecach lepkość krwi i było to przyjemne uczucie.

Z pokoju znienacka dobiegły go najpierw okrzyki pełne zaskoczenia i gniewu, a potem przenikliwy płacz dziecka. De Vries i jego sąsiad spojrzeli na siebie, a mentat poczuł, jak rośnie napięcie. A może piękna matka, sekretna córka barona, zmarła podczas porodu? Nie, to byłoby zbyt piękne... i zbyt proste. Teraz słyszał już tylko szmer głosów i kwilenie dziecka.

Bękart Leta oferował tyle różnych możliwości... Wnuk barona, koniec końców. A gdyby tak de Vries porwał niemowlę, szantażem nakłonił Jessikę, aby mu się oddała, a potem zabiłby oboje, gdy

już by się znudził nałożnicą Leta...

A może samo dziecko było więcej warte od Jessiki. Było naraz Atrydą i Harkonnenem. Może najlepsze rozwiązanie to wywieźć szczeniaka na Giedi Primę, gdzie będzie się chował u boku Feyd-Rauthy. Jakaż piękna byłaby to zemsta na Atrydach! Alternatywny dziedzic schedy po baronie, gdyby Feyd okazał się równie tępy jak jego brat, Rabban? Jeśli de Vries dobrze rozegra tę partię, może zdobyć środek nacisku na Bene Gesserit, dwa rody i samą Jessikę. A wszystko za jednym zamachem...

Na myśl o tych wszystkich korzyściach poczuł ślinę w ustach.

Głosy kobiet stały się głośniejsze. Powoli otworzyły się drzwi pokoju. Z szelestem czarnych sukni wyszły na korytarz trzy czarownice: wstrętne Mohiam, niepewna żona Cesarza i Margot Fenring. Zażarcie coś szeptały między sobą.

De Vries wstrzymał oddech. Gdyby Mohiam spojrzała w jego kierunku, mogłaby go rozpoznać, pomimo munduru i makijażu. Na szczęście zbyt były zajęte sobą aby zwracać uwagę na cokolwiek innego.

„Matka i dziecko zostały bez ochrony!”

Kiedy Bene Gesserit zniknęły za rogiem, de Vries mruknął do swego towarzysza:

– Zobaczę, czy w środku wszystko w porządku.

Zanim tamten zdążył cokolwiek powiedzieć, mentat wślizgnął się do środka.

Okazało się, że było tutaj więcej pomieszczeń. Gdzieś z głębi dochodził płacz niemowlęcia i kobiece głosy. De Vries usłyszał, że drugi strażnik wchodzi w ślad za nim. W chwili, gdy drzwi zamykały się z lekkim trzaskiem, błyskawicznym cięciem poderżnął mu gardło. Tamten nie wydał z siebie żadnego dźwięku i tylko krew chlusnęła na ścianę. Mentat ułożył ciało na podłodze i na palcach zakradł się dalej. Uaktywnił obezwładnik.

Przed sobą zobaczył następne dwie niewysokie siostry Bene Gesserit, które – odwrócone do niego plecami – oglądały na monitorze wyniki analiz próbek skóry i włosów. Wyższa popatrzyła z niechęcią na dziecko, jak gdyby badania wypadły niepomyślnie.

Posłyszawszy szelest za plecami, niższa z sióstr zaczęła się odwracać, ale w tym samym momencie de Vries skoczył i zdzielił ją obezwładnikiem niczym pałką. Trafił w twarz, łamiąc nos i paraliżując pracę mózgu. Zaatakowana jeszcze nie dotknęła podłogi, gdy jej towarzyszka stała już w postawie obronnej, zasłaniając dziecko. Ponownie uderzył obezwładnikiem i choć zablokowała cios, natychmiast zeszytniały jej ramiona. Cios w szyję był tak silny, że de Vries usłyszał, jak pękają jej kręgi.

Lekko zadyszany, na wszelki wypadek dźgnął jeszcze oba nieruchome ciała. Nigdy za dużo ostrożności.

Noworodek leżał na stole, wierzgając nogami. Tak rozczulająco bezbronny...

Po drugiej stronie na szerokim łóżku leżała Jessika, wyczerpana, z zamglonym wzrokiem. Nawet w tym momencie była piękna i pociągająca. Przemknęło mu przez myśl, że powinien ją natychmiast zabić, aby już nigdy Leto nie mógł jej dotknąć.

Minęło ledwie kilka sekund, ale nie miał czasu do stracenia. Kiedy sięgnął po dziecko, zobaczył rozszerzone z przerażenia oczy Jessiki, w których w następnej chwili pojawiło się błaganie.

„Ach, to znacznie piękniejsze od morderstwa!”

Spróbowała usiąść, a potem usiłowała zwlec się z łóżka. Ileż było w tym macierzyńskiej pasji! Uśmiechnął się do niej, ale wiedział, że z powodu munduru i makijażu nigdy go nie rozpozna.

Wepchnął obezwładnik do pochwy i szybkimi ruchami owinął dziecko. Wiedział, że Jessice nie wystarczy czasu ani sił, aby mu przeszkodzić. Widział plamę krwi na sukni, gdy stała wyprostowana,

chwając się, ale zaraz upadła na podłogę. W szyderczym geście uniósł niemowlę w górę i wyskoczył na korytarz. Zbiegając schodami, nadal analizował w myślach możliwości.

Tyle ich było...

Wychodząc z Hali Przemówień, gdzie jego wystąpienie zostało przyjęte bardzo przychylnie, Leto trzymał głowę dumnie wyprostowaną. Ojciec byłby z niego dumny. Dobrze się sprawił. Nikogo nie pytał o zgodę. Przedstawił swoją nieodwołalną decyzję.

Kiedy stanął z boku, ręce zaczęły mu się trząść, chociaż przez cały czas wystąpienia wydawał się niewzruszony jak skała. Sądząc z aplauzu, większość Landsraadu entuzjastycznie przyjęła jego posunięcie, które być może stanie się wręcz legendarne.

Jednakże polityka potrafiła obierać dziwne kierunki. To, co zyskało się w jednym momencie, traciło się w następnym. Wielu delegatów mogło mu przyklasnąć, będąc pod wpływem chwili, jednak nadal mogli rozważać to, co przed chwilą powiedział. Ale jeśli nawet, to i tak Leto zyskał dziś sprzymierzeńców. Pozostało jedynie pozyskać ich więcej.

Teraz czas zobaczyć się z Jessiką.

Pospiesznie przemknął przez eliptyczny plac o gładkiej nawierzchni, w pałacu zrezygnował ze wspinania się po schodach i skierował się do windy. Być może dziecko już się urodziło!

Ledwie jednak wyszedł z windy na najwyższym piętrze, drogę zagrodziło mu czterech uzbrojonych sardaukarów. Za ich plecami niespokojnie kłębił się tłum, w którym gęsto było od Bene Gesserit.

Dojrzał skuloną na fotelu Jessikę, owiniętą w za duży biały szlafrok. Była spocona i obolała, jej twarz przepelniało cierpienie.

– Jestem księżę Leto Atryda, kuzyn Jego Cesarskiej Mości, a lady Jessika to moja oficjalna konkubina. Proszę mnie natychmiast przepuścić!

Z tymi słowami przepchnął się między strażnikami, rozgarniając ich niczym źdźbła trawy.

Na jego widok Jessika odepchnęła ręce opiekujących się nią sióstr i usiłowała powstać.

– Leto!

Chwycił ją w ramiona, lękając się pytać o dziecko. Czyżby urodziło się martwe? Ale dlaczego Jessika jest na korytarzu, po co ten tłum i wzmocniona warta?

Tuż obok dostrzegł Wielebną Matkę Mohiam z zasepioną twarzą. Jessika usiłowała coś powiedzieć, ale wybuchnęła płaczem. Zobaczył ślady krwi na wysuwającej się spod szlafroka koszuli. Musiał zapytać, chociaż słowa ledwie precyzyjnie mu się przez gardło.

– Czy moje dziecko nie żyje?

– Ma pan zdrowego, dorodnego syna, mości księżę – powiedziała sucho Mohiam – ale chłopiec został porwany. Zabito dwóch wartowników i dwie siostry. Komuś bardzo zależało na tym noworodku.

Straszliwa wiadomość z wolna docierała do Leto, trzymającego w uścisku Jessikę.

Przez długi czas oznaczany czerepami wyniszczonych planet człowiek był ślełą siłą geologiczną i ekologiczną, niezbyt świadomą swojej mocy.

**Pardot Kynes,
Długa droga na Salusa Secundę**

Kordon liniowców tak zacisnął się wokół Arrakis, że baron miał poczucie, że się dusi. Z luków transportowych nieustannie wylaniały się coraz to nowe statki sardaukarów. Vladimir Harkonnen jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał.

Baron czuł instynktownie, że Cesarz nie postąpi z Arrakis tak jak z Zanolarem, nie można jednak było wykluczyć, że posunie się do zniszczenia Kartagi. A jego wraz z całym miastem.

„Może powinienem uciec szybko jednym z moich statków?”

Tymczasem nie pozostawiono mu drogi ucieczki. Żaden prom nie miał prawa oderwać się od powierzchni planety. Co najwyżej mógł na piechotę umykać na pustynię, ale jego desperacja nie pchała go jeszcze do tego.

Stał teraz w plazowej kopule obserwacyjnej portu kosmicznego i wpatrywał się w pomarańczową plamę, która, oddzieliwszy się od jednego z liniowców, szybko obniżała się. Ni mniej, ni więcej, tylko kazano mu stawić się, aby spotkał się z wysłannikami. Wrzał z oburzenia, ale w tej sytuacji nie miał innego wyboru.

Ten przeklęty Szaddam uwielbiał odgrywać żołnierza, paradować w mundurze, teraz zaś najwyraźniej chciał się zaprezentować jako żandarm całego Cesarstwa. Już na samym początku zniszczył wszystkie satelity obserwacyjne.

„Czego on, do jasnej cholery, chce ode mnie?”

W pośpiechu udało mu się zebrać jakieś szczątkowe siły na obrzeżach portu. Rozgrzana przez cały dzień płyta oddawała teraz ciepło i wraz z unoszącym się powietrzem docierały do jego nozdrzy zapachy chemikaliów i olejów. Po obu stronach stały unieruchomione jednostki transportowe.

Na horyzoncie można było dostrzec ciemną chmurę. Przypominała unoszący się dym, ale tak naprawdę była to następna z tych przeklętych burz piaskowych.

Niewielki stateczek wylądował. Baron czuł się jak osaczone zwierzę. Nawet gdyby policzyć dodatkowe oddziały, z którymi powrócił tu z Giedi Primy, nie miał najmniejszych szans na odparcie tak zmasowanego ataku. Gdyby tylko miał odrobinę więcej czasu, wezwałby z Kaitain Pitera de Vriesa, żeby ten reprezentował go w negocjacjach, najwyraźniej bowiem musiało chodzić o jakieś nieporozumienie.

Podpierany przez odciążacze ruszył na spotkanie przedstawicieli ZNAH-u i Gildii, z najwyższym wysiłkiem przywołując na twarz jowialny uśmiech. Pierwszy spłynął na powierzchnię reprezentant Gildii, albinos w kosmicznym skafandrze. Za nim pojawili się Najwyższy Basza oraz ponury mentat, audytor ZNAH-u. Wystarczyło, by baron spojrział na mężczyznę, a natychmiast wiedział, że będą z nim problemy.

– Witam! Serdecznie witam! – Ciekaw był, czy przybysze zauważyli, jak jest zdenerwowany. – Jestem gotów do wszelkiej nieodzownej współpracy.

– Tak. – Albinos kiwnął krótko głową i zaciągnął się przyprawowym gazem ze sterczącej z kołnierza dyszy. – Nie ulega wątpliwości, że będzie pan współpracował.

Cała trójka wyglądała jak chodzące uosobienie arogancji.

– Ale... najpierw jednak oczekuję wyjaśnień. O jakie wykroczenie jestem podejrzany? Ktoś musiał mnie fałszywie oskarżyć, to jakaś straszna pomyłka.

Do przodu wystąpił audytor ZNAH-u, za którym niczym cień postępował Najwyższy Basza.

– Żądamy dostępu do wszystkich dokumentów finansowych i przewozowych, a także wykazów wszystkich kombajnów przyprawowych, magazynów, manifestów spedycyjnych.

– I żadnych krętałów – dorzucił z tyłu przedstawiciel Gildii.

– Oczywiście.

Z trudem przelękając ślinę, baron poprowadził swych gości ku wyjściu z portu. Wiedział, że Piter

de Vries starannie fałszował wszystkie raporty, tak aby nie było między nimi żadnych niezgodności, a mentat potrafił być naprawdę dokładny. Baron czuł jednak, że odpowiednio czujni kontrolerzy nie dadzą się zwieść, audytor zaś był bez wątpienia czujny.

Z udaną swobodą wskazał na platformę transportową która miała ich zanieść do rezydencji.

– Proszę, będziecie mogli się panowie odrobinę odświeżyć.

„Może uda się dodać jakieś trucizny albo przynajmniej odurzacze”.

Najwyższy Basza uśmiechnął się kwaśno.

– Nie, dziękujemy, baronie. Słyszeliśmy co nieco o słynnym bankierze na Giedi Primie. Nie mamy czasu na takie... rozrywki.

Cóż było począć. Ruszyli do Kartagi.

Liet-Kynes i Stilgar obserwowali na skraju pustyni, jak na niebie zaciska się obręcz liniowców. Wokół niej utworzył się zjonizowany obłok, który przesłonił gwiazdy. Nadciągała burza, nie naturalna jednak, lecz polityczna.

– Wielkie siły są w górze, Stil.

Stilgar dopił resztkę mocnej kawy przyprawowej, którą Faroula przyniosła obu mężczyznom na grań tuż obok siczy Czerwonego Muru.

– Istotnie, Liet. Musimy dowiedzieć się czegoś więcej.

Tego wymagała tradycja: mocny napój na koniec upalnego dnia. Potem Faroula kazała Liet-chihowi wracać do siczy. Malutka Chani nadal była pod opieką niańki.

Po kilku godzinach na dźwiękowe organy wytresowanych nietoperzy zaczęły napływać raporty nanesione przez Wolanki i Wolan, którzy zaciągnęli się na służbę w rezydencji Harkonnenów. Im więcej było dystransowych wiadomości, tym bardziej interesująco wyglądała całość.

Liet z prawdziwą radością konstatawał, że głowa barona legła na pieńku pod wzniesionym toporem. Napięcie rosło. Najwyraźniej Gildia Kosmiczna, ZNAH i sardaukarowie Cesarza przybyli, aby sprawdzić produkcję i dostawy melanżu.

„A więc Gildianin Ailric uwierzył w moje słowa. Niech się Harkonnenowie trochę pomartwią”.

Stojąc teraz pośrodku jednej z sal siczy, Liet drapał się po jasnej brodzie, na której pozostał wyraźny odcisk chwytowno destylozonu.

– Harkonnenom nie udało się ukryć efektów naszych napadów... albo to konsekwencja naszej informacji. Jeśli tak, to nasza malutka zemsta przyniosła korzyści większe, niż mogliśmy mieć nadzieję.

Stilgar sprawdził umieszczony w pochwie u pasa krysnóż.

– Może w ten sposób uda nam się przegnać stąd Harkonnenów.

Liet pokręcił głową.

– I tak nie uchroni nas to od cesarskiej władzy – odparł. – Jeśli zniknie baron, lenno przejmie inny z Wysokich Rodów Landsraadu. Szaddam uważa, że ma prawo tak postępować, chociaż Wolanie żyją tu i pracują od setek pokoleń. Nowy władca wcale nie musi być lepszy od Harkonnenów.

Jastrzębia twarz Stilgara stężała.

– Ale gorszy być nie może.

– Zgoda, przyjacielu. I dlatego mam kolejną propozycję. Zniszczyliśmy niektóre ze składów barona, co było dla niego dość poważnym obciążeniem. Teraz jednak możemy mu zadać cios na oczach inspektorów ZNAH-u, co pogrzyży go do reszty.

– Stanie się, jak postanowisz, Liecie.

Młody planetolog uściśnął muskularne ramię przyjaciela.

– Wiem, Stil, że nie znosisz miast, a nade wszystko Kartagi. Tam jednak, nieopodal portu kosmicznego, znajduje się kolejny z tajnych schowków Harkonnenów. Jeśli podpalimy te zapasy, Gildia i ZNAH będą się mogły tylko temu przypatrywać, a baron nic już nie wymyśli na swoją obronę.

W oczach Stilgara pojawiły się radosne ogniki.

– Takie zadanie zawsze napełnia serce radością Liecie. To będzie niebezpieczne, ale czy może być coś przyjemniejszego, niż nie tylko pokonać wroga, ale jeszcze go upokorzyć?

Mentat audytor wpatrywał się w manifesty przewozowe bez najmniejszego ruchu głową czy choćby drgnięcia powieki. Wchłaniał po prostu dane i tylko co jakiś czas odnotowywał niezgodności. Lista błędów rosła z każdą godziną a wraz z nią zwiększał się też niepokój barona. Na razie jednak chodziło tylko o niewielkie niedokładności, które mogłyby stać się przyczynajakiejś grzywny, ale z pewnością nie żadnej dużej kary.

Mentat nie znalazł jak dotąd tego, czego szukał.

Wszyscy osłupieli, kiedy rozległa się eksplozja. Baron już w następnej chwili znalazł się na balkonie. Zobaczył drużyny ratownicze, zobaczył płomienie, zobaczył kłęby brązowopomarańczowego dymu i natychmiast wiedział, który z nie rzucających się w oczy magazynów stał się celem ataku. Zaklął pod nosem.

Koło niego stanął mentat i z zainteresowaniem wpatrzył się w płonący budynek. Za nim prężył się ze zmarszczonymi brwiami Najwyższy Basza.

– Co znajdowało się w tym budynku, baronie? – spytał audytor.

– Zdaje się, że to jeden z magazynów budowlanych – skłamał – gdzie składujemy dostarczane z Giedi Primy elementy domów prefabrykowanych.

„Do jasnej cholery! Ileż tam było przyprawy!”

– Aha – mruknął mentat. – Co w takim razie mogło tam wybuchnąć?

– Skąd mogę wiedzieć? Jakies chemikalia, może zawiniła nieostrożność jakiegoś robotnika?

„To ci przekłęci Wolanie!”

– Natychmiast dokonamy tam inspekcji – poinformował Zum Garon. – Sardaukarowie otoczą teren.

Baron omal nie wybuchnął, ale z drugiej strony nie potrafił wymyślić żadnego powodu, żeby powstrzymać tego służbistę. Te pustynne parszywce wysadziły w powietrze jeden z jego składów melanzowych, ujawniając go przed tymi szpiegami z Gildii i ZNAH-u. A on nie miał żadnych dokumentów. Był zgubiony.

Uderzyli w świetnie wybranym momencie, nie zostawiając baronowi żadnej możliwości manewru. I teraz będzie musiał drogo za to zapłacić.

Dlaczego miałyby nas to dziwić, że zaburzenia na szczytach władzy przenoszą się na niższe szczeble społeczne? Niemożliwe jest ukryć cyniczną i brutalną walkę o władzę.

**z wystąpienia w Landsraadzie Cammara Pilru,
ambasadora Ix na wygnaniu**

Chociaż sardaukarów pozostała na Ix już tylko połowa, nie zamierzali się poddać. Nie zważali na ból i rany, oszołomieni narkotykiem nie dbali o swoje życie.

Jeden z nich powalił młodego żołnierza Atrydów, przez tarczę sięgnął do sterowników, zneutralizował ją, a następnie rzucił się i niczym wilk przegryzł mu krtań.

Duncan Idaho nie pojmował, dlaczego elitarne oddziały cesarskie tak zażarcie bronią Tleilaxan. Nie ulegało wątpliwości, że ich młody dowódca, Cando Garon, nie podda się nawet wtedy, gdy będzie już ostatnim z walczących.

Duncan pospiesznie dokonał strategicznej oceny całej akcji: w jakim stopniu zrealizowali zasadniczy cel? Potem, przekrzykując odgłosy bitwy, wrzasnął w języku walki Atrydów:

– Do Grand Palais!

Część jego ludzi zamknęła w kręgu na pół oszalałych sardaukarów, a on z pozostałymi pobiegł, wywijając mieczem Starego Księcia, i kładł trupem każdego wroga, który stanął mu na drodze.

Z tupotem pognali wykutymi w skorupie korytarzami, kierując się do pałacu. Na moście przerzuconym pod sztucznym niebem nad centralną grotą stał sardaukar w porwanym i zakrwawionym mundurze. Na widok szarżujących przeciwników przyłożył do piersi granat i zdetonował go, rozrywając i siebie, i most.

Duncan zatrzymał swoich ludzi i zaczął się zastanawiać nad inną drogą myśląc zarazem, jak uporać się z takimi przeciwnikami.

Z daleka zobaczył, jak platforma transportowa, najwidoczniej prowadzona przez jakiegoś szaleńca, wali w jeden z tarasów Grand Palais. Zdolni do walki rebelianci zeskakiwali z niej i krzycząc, biegli do środka budowli. Duncan przeprowadził swoich ludzi po sąsiednim moście i skierował ich na górne kondygnacje pałacu. Urzędnicy Tleilaxan albo usiłowali uciekać, albo błagali w galachu o litość. Kilku żołnierzy oddało do nich parę strzałów, ale Duncan ofuknął ich:

– Nie mamy czasu na te śmiecie. Później możemy się nimi zająć.

W pośpiechu przebiegali niegdyś przepiękne, a dziś opustoszałe, zapuszczone pomieszczenia. Kilku oddziałom Duncan rozkazał zjechać windami na dno jaskini, gdzie trwały jeszcze walki. Odgłosy bitewne wznosiły się w górę wraz z mdlącym odorem śmierci.

Grupa dowodzona przez Duncana dotarła do głównej sali audiencyjnej, w której trwała zażarta walka obszarpanych buntowników z resztką gwardii sardaukarów. Do połowy na tarasie, do połowy w sali leżała platforma, otoczona przez resztki krystalicznego plazmu i synstonu.

Duncan natychmiast rozpoznał między walczącymi Rhombura i Gurneya Hallecka. Ten ostatni bił się w stylu, który nie mógł zaimponować mistrzowi miecza z Ginaz, ale nawet ten musiał przyznać, że dawny przemysłnik ma smykałkę do broni i do walki.

Kiedy ludzie Duncana przyłączyli się do boju z imionami Leta i Rhombura na ustach, szala przechyliła się na niekorzyść sardaukarów. Suboidom i Ixianom jakby nagle przybyło sił.

Z jednego z bocznych korytarzy wyskoczyła nagle garstka zakrwawionych i ostrzeliwujących się sardaukarów pod wodzą Cando Garona. Kiedy ten dojrzał młodego Verniusa, rzucił się na niego ze ślełą furią w każdej dłoni trzymając ostrze ociekające krwią.

Widząc szaleństwo w oczach syna Najwyższego Baszy, Duncan skoczył do przodu. Lata temu nie udało mu się zapobiec atakowi oszalałego byka salusańskiego, który zabił Starego Księcia. Za nic nie chciał dopuścić, by teraz powtórzyło się coś podobnego.

Rhombur, który stał przy unieruchomionej platformie i stąd wydawał rozkazy walczącym, nie widział atakującego go Garona. Za nim widać było resztki balustrady, a dalej – wielką grotę centralną.

Duncan błyskawicznie przeciął drogę Garonowi, a impet, z jakim zderzyły się pola ich tarcz, odrzucił go z powrotem, ale zachwiał także sardaukarem, który pośliznął się na kawałkach plazmu, a potem, łapiąc równowagę, przemknął obok celu swego ataku. Ponieważ jednak na drodze stanęło mu

trzech zbuntowanych Ixian, którzy nieopatrznie zatrzymali się na skraju zniszczonego tarasu, jednym ruchem ręki zepchnął ich w przepaść.

Ale i jemu nie udało się wyhamować i przeleciał przez krawędź. W ostatniej chwili udało mu się jednak chwycić wygiętą plastalową listwę, która niegdyś oddzielała wielkie panele krystalicznego plazu. Wisiał teraz na jednej ręce, z poczerwieniałą twarzą, grymasem odsłaniającym zaciśnięte zęby oraz ścięgnami szyi naprężonymi jak struny.

Wiedząc, kto dowodzi sardaukarami, Rhombur pobiegł na skraj tarasu i chwyciwszy się ocalałego fragmentu balustrady, wyciągnął swą mechaniczną rękę, ale Garon tylko gniewnie warknął w odpowiedzi na ów gest.

– Chwyc się mnie! – krzyknął Rhombur. – Wciągnę cię, a potem poddasz się wraz ze swoimi podwładnymi. Ix jest moje.

Tamten patrzył tylko nienawistnie na wyciągniętą dłoń.

– Wolę zginąć, niż zostać uratowanym przez ciebie! Hańba jest znacznie gorsza od śmierci, a żaden ból nie może być gorszy od widoku pogardy na twarzy mego ojca!

Księżę Vernius nachylił się jeszcze bardziej i chwycił dowódcę sardaukarów za przegub. Mając w pamięci utratę całej rodziny i eksplozję wielkiego powietrznego żaglowca, wysapał:

– O bólu wiem z pewnością więcej niż ty.

Na przekór protestom Garona zaczął go ciągnąć w górę. Temu jednak udało się sięgnąć drugą ręką do kieszeni na piersi, skąd wyciągnął sztylet o ostrej klindze.

– To lećmy razem. Zginiemy wspólnie!

Z tymi słowami Garon ciął po mechanicznym przegubie Rhombura, a chociaż posypały się skry, nie udało mu się zrobić wielkiej szkody. Księżę, ciężko dysząc, ciągnął swój ciężar. Duncan skoczył mu z pomocą. Z siłą zwielokrotnioną przez szal Garon uderzył jeszcze raz, ale tym razem na tyle mocno, że odciął sztuczną dłoń Rhombura. Ten rzucił się do tyłu, a dowódca sardaukarów poleciał w otchłań, bez jednego krzyku czy choćby słowa.

Tymczasem żołnierze Atrydów, wspomagani przez powstańców, odbijali Grand Palais. Duncan westchnął z ulgą, ale nadal rozglądał się czujnie.

Po samobójstwie Cando Garona zbuntowani suboidzi oraz Ixianie zaczęli zrzucać z tarasu schwytych Tleilaxan, mszcząc się w ten sposób za czasy, gdy sami za lada podejrzenie poddawani byli okrutnym egzekucjom.

Duncan przywitał się z Halleckiem.

– Miło cię znowu zobaczyć, Gurneyu.

Tamten pokręcił głową i otarł pot z czoła.

– Nienajmilsza okazja do spotkania.

C'tair Pilru przysiadł na kawałku gruzu i wodził palcem po szachownicy posadzki, jak gdyby przywoływał dawne wspomnienia.

– Jaka szkoda, że nie ma ze mną brata.

Przypominało mu się, jak dawno, dawno temu stał tutaj jako syn powszechnie szanowanego ambasadora i z tęsknotą westchnął za tymi wszystkimi straconymi latami. Wtedy żył w świecie elegancji i wykwintu, wielkich przyjęć, flirtów, zabiegów o rękę Kailei Vernius.

– Masz jeszcze ojca – odezwał się Rhombur. – Z najwyższą radością ponowię jego nominację jako ambasadora rodu Verniusów.

Nieuszkodzoną dłonią delikatnie uścisnął ramię C'taira, a jednocześnie skrzywił się na widok drugiej, jakby mierzyła go sama myśl o ponownym sztukowaniu i późniejszej nauce władania protezą. Znajdzie jednak oparcie w Tessji. Nie mógł się już doczekać, kiedy znowu ją zobaczy.

C'tair spojrział na niego ze smutnym uśmiechem.

– Najpierw musimy sprawdzić, czy funkcjonuje centralny system informacyjny, abyś mógł, książę, wszem wobec oznajmić swoje przybycie.

Przypomniał sobie, jak udało mu się podłączyć do systemu i nadać przysłane z Kaladanu przemówienie Rhombura. Poprowadził teraz księcia, Duncana i kilkanaście innych osób. Pod drzwiami sali kontrolnej leżało dwóch Tleilaxan z poderżniętymi gardłami.

C'tair szybko pokazał Rhomburowi, co ma robić; chwilę później twarz księcia ukazała się na stropie wielkiej jaskini i zahuczał jego głos:

– To ja, książę Rhombur Vernius! Przemawiam z mego rodzinnego domu, z Grand Palais. Obejmuję należną mi władzę i wzywam wszystkich Ixian, aby zrzucili z siebie kajdany, zmiażdżyli agresorów, gdziekolwiek ich znajdą i odzyskali zabraną nam wolność!

Z dołu dobiegły głośne wiwaty, chociaż walki jeszcze nie wygasły. Gumej Halleck oznajmił księciu, że musi coś zobaczyć, i poprowadził go do wielkiego opancerzonego magazynu, którego wrota trzeba było rozciąć laserobinami.

– Oto, co znaleźliśmy!

Od podłogi aż po sufit piętrzyły się prostokątne pojemniki. W jednym, otwartym, widać było pomarańczowobrunatny proszek, silnie pachnący cynamonem.

– Wygląda i smakuje jak melanz, ale napis w języku Tleilaxan brzmi: AMAL.

Rhombur spoglądał to na Duncana, to na Gurneya.

– Skąd wzięli tyle przyprawy i dlaczego schowali ją tutaj?

– Ja... ja widziałem, co dzieje się w ich centralnym laboratorium – bąknął przygnębiony C'tair, a zorientowawszy się, że inni go nie usłyszeli, powtórzył i dodał: – Teraz zaczyna to wyglądać sensownie. Miral, Cristane... i ten odór przyprawy.

Towarzysze popatrzyli na niego ze współczuciem. Widać było, ile zdążył już wycierpieć. Osoba o mniejszej determinacji dawno by się już załamała. Potrząsnął głową jakby opędzając się od nieprzyjemnego dźwięku.

– Tleilaxanie wykorzystywali nasze laboratoria, aby wytwarzać syntetyczny melanz, amal.

– To nie może być tylko podłość wstrętnych Tleilaxan, cień tej sprawy kładzie się na Tron Złotego Lwa. To ród Korrinów stoi za cierpieniami wszystkich Ixian i upadkiem rodu Verniusów.

– Syntetyczny melanz – powtórzył Rhombur i widać było, że z trudem nad sobą panuje. – I to dlatego moja rodzina została wymordowana, a Ix zniszczone?

Był przerażony skalą intrygi, chociaż na razie rysowała się ona jeszcze niewyraźnie.

Gurney Halleck potarł bliznę na policzku.

– D'murr wspomniał coś o zanieczyszczonym melanzu. Czyżby to go zabiło?

– Odpowiedź znajdziemy w centralnym laboratorium – powiedział C'tair.

Nie można napić się mirażem, ale można w nim utonąć.

z maksym wolańskich

Po otrzymaniu zebranych przez Hiiha Resslera informacji zwiadowczych połączone wojska Harkonnenów i Moritanich szykowały się do ataku. Bestia Rabban dysponował potężną siłą ale ciągle był niespokojny.

Sam prowadził statek lecący na czele floty, dla porządku dowodząc, ale w istocie starając się trzymać nieco z boku za maszyną mistrza miecza z Grumman, Resslera. Wicehrabia Moritani dowodził oddziałami naziemnymi, zabezpieczając uderzenie z powietrza, terroryzując mieszkańców i szykując się do zajęcia głównych miast Atrydów. Ich zamiarem było to, by księżę Leto nie mógł nawet postawić stopy na własnej planecie.

Wpatrzony w sterowniki Rabban przypominał sobie chwilę, kiedy z ukrycia ostrzelał dwa statki Tleilaxan, aby w ten sposób pogrozić młodziutkiego wówczas księcia Leta. Rabbanowi znacznie bardziej odpowiadały sytuacje, kiedy mógł działać jawnie.

Jeśli Kaladan istotnie był tak bezbronny, jak sugerował Resser, to cała operacja nie powinna trwać dłużej niż godzinę. Rabban nie mógł uwierzyć, że księżę Leto dopuścił się takiej nieostrożności, chociażby miała trwać tylko kilka dni. Ale jego stryj wielokrotnie powtarzał, że dobry przywódca musi nieustannie doszukiwać się cudzych błędów, aby być gotowym do wykorzystania ich w każdej chwili.

Oddziały Rabbana zajmą zamek, miasto, port kosmiczny i sąsiadującą bazę wojskową. Opanowawszy kluczowe punkty, wojska Grumman i Harkonnenów zabezpieczą swoją zdobycz i zaczną przygotowywać się do zaatakowania powracających wojsk Atrydów. Giedi Prima i Grumman były przygotowane też do tego, aby po zakończeniu wstępnej operacji osadzić znaczne siły na Arrakis.

Ale Rabban lękał się konsekwencji politycznych: protest księcia Leta przed Landsraadem mógł spowodować wspólną akcję odwetową sankcje i embargo. To było bardzo niebezpieczne i Rabban obawiał się, że podjął kolejną złą decyzję.

Z drugiej strony, zanim wojska lądowe i powietrzne rozdzieliły się, Hundro Moritani powiedział:

– Księżę nie ma nawet następcy. Jeśli usadowimy się na dobre na Arrakis, któż oprócz Atrydów będzie gotów wystąpić przeciwko nam? No, kto?

Rabban dostrzegł szaleńczy płomień w oczach wicehrabiego.

– Wszystkie statki są gotowe do ataku – odezwał się z głośnika głos mistrza miecza Resslera. – Ale ty rozkazujesz, lordzie Rabban.

Rabban odetchnął głęboko i skierował maszynę w mgłę oddzielającą ich od powierzchni Kaladanu. Pozostałe statki rzuciły się za nim niczym wygłodniałe bestie, gotowe rozedrzeć wszystko, co napotkają na swojej drodze.

– Lecimy teraz wprost na Kala – powiedział Resser. – Za moment powinno się ukazać tuż przed nami.

Rabban zmrużył oczy. Po chwili mgła rozstała się, a przed sobą zobaczył ocean, zatokę, skaliste urwisko podtrzymujące Zamek Kaladan... i wielkie miasto, port kosmiczny oraz bazę wojskową.

A potem rozległy się wzniesione głosy zdziwienia i zaniepokojenia. W zatoce, wokół której rozsiadła się Kala, na powierzchni wody poruszały się dziesiątki – nie, setki! – uzbrojonych platform obronnych, które sunąc, przypominały pływającą fortecę.

– To przecież cała flota!

– Wczoraj tych statków tutaj nie było! – zawołał mistrz miecza Resser. – Musiały przyplłynąć w nocy, do obrony zamku.

– Ale na wodzie? – Wicehrabia nie mógł uwierzyć własnym oczom. – Dlaczego Leto rozmieścił taką wielką siłę ogniową na wodzie?! Nikt tego nie robił od... wieków!

– To pułapka! – zawołał Rabban.

W tej właśnie chwili Thufir Hawat wydał rozkaz nielicznym maszynom bojowym, które stanowiły jego eskortę podczas wyprawy na Beakkal. Zbrojne maszyny zniecka wypadły z za zamku, a potem

rozdzieliły się i zrećnie wykonały manewr okrążający. Drzwi w dziesiątkach hangarów w bazie powoli rozsuwały się, sugerując, że następne maszyny są już gotowe do ataku.

– Leto Atryda zwiódł nas! – Rabban z rozmachem uderzył pięścią w deskę kontrolną. – Chce nas zniszczyć, a potem całą sprawę przedstawić przed Landsraadem!

Przeklinając w duchu wicehrabiego za to, że namówił go na tę awanturę, Rabban poderwał swoją maszynę, by znowu skryć się w chmurach. Jednocześnie wydał rozkaz wszystkim podlegającym mu maszynom:

– Odwrót! I to już, zanim zdążą nas rozpoznać.

Wicehrabia Moritani polecił z dołu, aby mimo wszystko kontynuować natarcie, ale dowódca powietrznych oddziałów Grumman, Hiih Resser, zgadzał się z Rabbanem. Udając, że nie słyszy rozkazów wicehrabiego, polecił wszystkim maszynom wrócić na wyjściowe pozycje na orbicie planety.

Zarówno jednostki na wodzie, jak i statki powietrzne najwyraźniej szykowały się do zadania druzgocącego ciosu. Rabban przyspieszył, modląc się w duchu, aby udało mu się wyjść z tej sytuacji bez wielkich szkód. Ostatnia tego typu pomyłka kosztowała go całoroczne zesłanie na parszywy Lankiveil. Nawet nie usiłował sobie wyobrazić, jaka kara czekałaby go tym razem.

Najniższa flota powinna się teraz spotkać po ciemnej stronie planety, a stamtąd dotrzeć do najbliższego kursowego liniowca. Rabban dobrze wiedział, że to jedyny sposób na to, aby uratować swoją skórę.

Stojąc u stóp dwóch wielkich statui, Thufir Hawat dowodził całym manewrem z przenośnej konsoli. Swym powietrznym maszynom nakazał wykonać manewr pościgowy, ale bez podejmowania działań ofensywnych. Napastnicy byli dostatecznie zaskoczeni i przerażeni.

Zastanawiał się, kto to mógł być. Nie zestrzelili żadnej z maszyn najeźdźców, nie mieli więc fragmentów, które można byłoby sprawdzić. Na podjęcie bezpośredniej walki po prostu nie miał wystarczających sił. Thufir wiedział z historii, że takie zabiegi taktyczne wykorzystywano podczas Butleryjskiego Dżihadu, a także wcześniej. Takiej sztuczki nie można było wykorzystywać zbyt często. Teraz pewnie nikt nie da się na nią nabrać przez najbliższe stulecie, ale tym razem spełniła swoje zadanie.

Spojrzał w kierunku, w którym zniknęli najeźdźcy. Pewnie obawiali się, że Atrydzi przejdą teraz do walnego pościgu, ale mentat nie mógł pozwolić sobie na to, że straci choćby jedną z nielicznych maszyn.

Następnego dnia, kiedy otrzymał poświadczoną wiadomość, że intruzi załadowali się na liniowiec i opuścili system Kaladanu, podziękował wszystkim dowódcom kutrów skupionych na wodach wokół Kala. Powiedział, że spisali się świetnie, a teraz, przed powrotem do swych codziennych zajęć, mają zwrócić holo-generatory do zbrojowni, skąd je pobrali.

Niektórym ludziom trudno jest pojąć, że czynią źle, gdyż pycha paraliżuje ich rozum i poczucie honoru.

**lady Jessika,
z prywatnego dziennika**

Uciekając z noworodkiem przez cesarski pałac, Piter de Vries, jak na mentata przystało, podejmował decyzje w ułamku sekundy. Nie żałował tego, że skorzystał z nadarzającej się okazji, ale czułby się znacznie pewniej, gdyby wcześniej zaplanował powrotną drogę. Dziecko szamotało się w jego uścisku, ale mocno przyciskał je do piersi.

Gdyby de Vriesowi udało się wydostać z pałacu, baron byłby naprawdę zachwycony.

Po pokonaniu kilku pięter w dół samozwańczy ambasador Harkonnenów kopniakiem otworzył drzwi i znalazł się w wąskim przejściu o alabastrowym sklepieniu. Na chwilę zatrzymał się, aby, odtwarzając w pamięci rozkład pałacu, zorientować się, gdzie jest w tej chwili. Dotychczas drogę wybierał przypadkowo, próbując tylko unikać strażników. Po chwili zastanowienia zorientował się, że korytarz prowadzi do pokojów używanych przez cesarskie córki do nauki i zabawy.

Rąbek kocyka wepchnął małemu do ust, ale kiedy ten zaczął się krztusić, natychmiast go wyjął, a wtedy malec zaniósł się jeszcze głośniejszym płaczem.

Okolice komnat księżniczek wyłożone były cętkowanym purpurowym kamieniem sprowadzonym z Salusa Secundy. Prostota, brak jakichkolwiek ozdób w tych pomieszczeniach kontrastowały z pokojami Szaddama. Cesarz ani myślał zbyt wiele wydawać na swe niechciane córki. Lady Anirula wychowywała je w prostocie charakterystycznej dla Bene Gesserit.

Do pokojów prowadziły przeszklone drzwi, tak że mentat, przebiegając, zaglądał w każde z nich. Bękart Atrydów niewiele się liczył, więc gdyby sytuacja stała się krytyczna, jako zakładniczka znacznie lepsza byłaby któraś z córek Szaddama.

A może i nimi wcale by się nie przejął?

Przez kilka miesięcy spędzonych na dworze de Vries szukał dla siebie na wszelki wypadek jakiejś kryjówki, znajdującej się w kompleksie urzędowym. A dokumenty ambasadora zapewniały mu do nich swobodny dostęp. Dobrze wiedział, jak przyzwać pojazd transportowy, dlatego było bardzo prawdopodobne, że nawet pomimo podniesionego alarmu uda mu się dotrzeć do portu kosmicznego.

Należało jednak coś zrobić z tym drącym się szczeniakiem.

Na zakręcie niemal zderzył się z sardaukarem o chłopięcej twarzy, który najwyraźniej uznał, że uniform de Vriesa czyni go jednym z gwardzistów.

– Ej, co robisz z tym dzieciakiem?

Po chwili coś zatrzeszczało w słuchawce umieszczonej za uchem sardaukara. De Vries nie chciał ryzykować, że to informacja o nim.

– Na górze zaczęła się jakaś awantura! Mam schować tego szczeniaka w bezpiecznym miejscu. Trzymaj! – Z tymi słowami niemal wepchnął niemowlę w ręce zdumionego żołnierza, a mając wolne dłonie, wyrwał sztylet i przebił tamtego na wylot. Nieszczęśnik z szeroko otwartymi oczami wolno zaczął osuwać się po ścianie, a de Vries, nawet nie sprawdzając, czy zabił swoją ofiarę, złapał z powrotem niemowlę i pognął przed siebie. Pomyślał z niepokojem, że zostawia za sobą zbyt wiele śladów.

Przed sobą dojrzał błysk jasnych włosów. Ktoś wyjrzał z pokoju i szybko cofnął głowę. Któraś z córek Szaddama? Świadek?

Wpadł do pokoju, ale nie zobaczył nikogo. Dziewczynka musiała się schować za jakiś mebel. Na podłodze rozrzuconych było kilka zabawek wskazujących na Chaliceę, ale przy niej powinna być obecna niańka.

Żadnego odgłosu, żadnego ruchu, a przecież czuł czyjąś obecność.

Najstarsza córka, Irulana?

Jeśli widziała, jak zabija sardaukara, musiał ją usunąć. Kamuflaż powinien uchronić go przed późniejszą identyfikacją ale nic go nie uratuje, jeśli zostanie schwytany w tej chwili – z

niemowłębem w jednym ręku, a zakrwawionym sztyletem w drugim. Postąpił kilka kroków w głąb pokoju. Dopiero teraz zobaczył lekko uchylone drzwi.

– Wyjdź, Irulano! Dość tych zabaw!

Usłyszał za sobą szmer i błyskawicznie się odwrócił.

Zobaczył małżonkę Cesarza, poruszającą się ociężale i niezręcznie, zupełnie jak nie Bene Gesserit. Twarz miała bladą i wymęczoną.

Anirula zobaczyła dziecko i natychmiast rozpoznała w nim noworodka Jessiki. Uważnie wpatrzyła się w twarz de Vriesa, dostrzegając rozmazany makijaż i purpurowe wargi.

– Znam cię – powiedziała, a w oczach mężczyzny dostrzegła morderczy błysk.

Wszystkie głosy w jej wnętrzu jednocześnie ostrzegły ją o niebezpieczeństwie. Poczła przenikliwy ból w skroni i bezwiednie dotknęła jej dłoń, co widząc, mentat zaatakował błyskawicznie niczym wąż.

Bene Gesserit, nawet niedysponowana, w momencie zagrożenia reagowała instynktownie. Błyskawiczny unik kompletnie zaskoczył de Vriesa, który chybiwszy, stracił równowagę, Anirula zaś wydobyła z rękawa ulubioną broń sióstr zakonnych i przytknęła ją do szyi mentata. Ostrze gom dżabbar niemal dotykało skóry.

– Dobrze wiesz, mentacie, co to takiego. Żadnego gwałtownego ruchu, bo natychmiast zginiesz.

– Co się stało z moim synem? – z wściekłością w głosie Leto spytał szambelana Ridondo, a jednocześnie potoczył wzrokiem po zasłanym trupami pokoju. Na czole Ridondo perlił się pot.

– Natychmiast wszcząłem śledztwo. Wszyscy podejrzani zostaną zatrzymani.

– Śledztwo?! – z niedowierzaniem w głosie powtórzył książę. Szambelan zachowywał się tak, jak gdyby chodziło o kradzież naszyjnika, a tymczasem zabito trzy osoby, Jessika zaś, która bliska omdlenia chwiała się na łóżku porodowym, ledwie uniknęła śmierci. – Pan mówi o śledztwie, a nie o pogoni?! Porwano mojego syna! Czy wszystkie wyjścia z pałacu zostały zamknięte?

– Przypuszczam, że gwardia pałacowa podjęła wszystkie niezbędne kroki. Uważam, że całą sprawę należy teraz zostawić specjalistom.

– Pan przypuszcza?! Kto tu za wszystko odpowiada?!

– Głównodowodzącym sardaukarów jest Cesarz, ale nie ma go w tej chwili w pałacu. Istnieje jednak odpowiednia hierarchia kompetencji i posłuszeństwa, zatem...

Leto wypadł na korytarz i zatrzymał przechodzącego levenbrecha.

– Czy zamknięto wyjścia z pałacu?!

– Czuwamy nad wszystkim. Proszę poczekać w spokoju.

– Czekać w spokoju, kiedy porwano mego syna i zaatakowano jego matkę? – Leto spojrział na plakietkę z nazwiskiem. – Levenbrechu Stivs, jako zwierzchnik rodu Atrydów na mocy Ustawy o Sytuacjach Wyjątkowych przejmuję dowództwo nad gwardią pałacową. Zrozumiano?

– Nie! – hardo odpowiedział sardaukar, kładąc rękę na uchwycie obezwładnika. – Nie ma pan takich kompetencji.

– Levenbrechu, jeśli dobędzie pan broni, oznaczać to będzie nie tylko koniec pańskiej kariery, ale i śmierć. Jestem członkiem Landsraadu i krewnym Cesarza Szaddama IV Korrino. To pan nie ma prawa kwestionować moich rozkazów, szczególnie w takiej sytuacji!

Leto czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Oficer zawahał się i spojrział pytająco na Ridondo stojącego za księciem.

– Porwanie mojego syna w cesarskim pałacu jest atakiem na ród Atrydów, a ja domagam się praw należnych mi na mocy Karty Landsraadu. To sytuacja wyjątkowa. Pod nieobecność Cesarza i

Najwyższego Baszy nikt nie dorównuje mi rangą.

Szambelan Ridondo zastanawiał się przez chwilę.

– Księżę Atryda ma rację. Proszę wykonywać wszystkie jego polecenia.

Levenbrech był pod wrażeniem stanowczości Leta. Szybko wydał rozkazy do mikrofonu:

– Zamknąć i otoczyć pałac! Wszystkie siły skierować do poszukiwania nowo narodzonego syna księcia Leta Atrydy! Na czas akcji księżę zostaje głównodowodzącym gwardii pałacowej. Wykonywać wszystkie jego polecenia!

Leto zawiesił sobie na piersi transmiter, który zdjął z szyi sardaukara.

– Stivs! Przeszukacie lewe skrzydło pałacu, a ja zajmę się prawym! – Leto kiwnął na stojących obok żołnierzy i warknął: – Reszta za mną!

Miał wprawdzie przy sobie obezwładnik, ale rękę trzymał na gardzie sztyletu, który niegdyś otrzymał od Szaddama. Jeśli ktoś skrzywdził w jakikolwiek sposób jego syna, sam obezwładnik z pewnością nie wystarczy.

Czując na szyi ostrze gom dżabbar, de Vries znieruchomiał jak sparaliżowany. Wystarczy jedno nieopatrzne drgnięcie, a czarownica zabije go natychmiast. Miał wrażenie, że ręka Aniruli drży i to napępniało go dodatkowym niepokojem.

– Jestem na twojej łasce i niełasce – szepnął, dbając o to, aby jak najmniej poruszyło się jabłko Adama. Rozluźnił uścisk na zawiniątku z dzieckiem, ale czy to wystarczy, aby odwrócić jej uwagę? W drugim ręku nadal trzymał zakrwawiony sztylet.

Anirula usiłowała myśleć logicznie, na przekór szalejącemu w niej zgiełkowi. Cztery z jej córek były za małe, aby cokolwiek zrozumieć, ale najstarsza, Irulana, trwożliwie przyglądała się fizycznemu i duchowemu upadkowi matki. Anirula bardzo żałowała, że ostatnimi czasy tak bardzo zaniedbała najstarszą córkę, którą powinna wychowywać w zgodzie z zasadami Bene Gesserit.

Wiedząc, że w pałacu dzieją się bardzo dziwne rzeczy, żona Cesarza pod wpływem jakiegoś macierzyńskiego impulsu postanowiła zajrzeć do pokojów córek.

Mentat zeszytywniał, czując, jak ostrze naciska odrobinę mocniej. Kropla potu spłynęła mu po skroni. Chwila zdawała się trwać w nieskończoność.

Niemowlę zakwiliło w uścisku mentata. Nawet jeśli było tym dzieckiem, którego zakon oczekiwał z takim napięciem, stanowiło element sieci o wiele bardziej skomplikowanej, niż Anirula potrafiła pojąć. Jej życie Kwisatz Matki związane było z dopilnowaniem ostatnich etapów wielkiego programu kulturowego, które wiązały się z narodzinami samej Jessiki, a potem jej dziecka.

Po tysiącletnich udoskonaleniach linie genetyczne stały się niezwykle czyste, ale z narodzinami dziecka wiązała się taka liczba zmiennych, że nawet najbardziej wytrawne genetyczki Bene Gesserit nie mogły zagwarantować pewności. Zawsze było to tylko prawdopodobieństwo – mniejsze lub większe, ale prawdopodobieństwo. Czyż w trakcie tysięcy lat nie można się było pomylić o jedno pokolenie?

„A może chodzi właśnie o tego chłopca?”

Spojrzała w poważne, mądre oczy, w których kryło się coś, czego trudno było oczekiwać u niemowlęcia. I znowu myśli Aniruli zaczęły się kłębić.

„Czyżbyś to ty był Kwisatz Haderach? Pokolenie wcześniej, niż się spodziewano?”

– Może... powinniśmy ponegocjować? – szepnął de Vries, ledwie poruszając ustami. – To bardzo kłopotliwa sytuacja.

– Może powinnam cię zabić na miejscu i nie bawić się w żadne rozmowy?

Pamięć Innych usiłowała jej coś przekazać, ale Anirula nie mogła uchwycić, co takiego. A może

impuls przygnał ją tutaj, aby chronić tego chłopca, a nie swoje córki?

Głos dziecka przypominał jej sen, w którym piasek uciekał przed milczącym prześladowcą, tyle że prześladowca przestał milczeć. Teraz było ich wielu i robili straszliwy zgiełk.

Ponad kakofonię dźwięków wzbił się głos Lobii, suchy, mądry, uspokajający. Słowa spłynęły z poplamionych safo warg mentata.

„Wkrótce już do nas dołączysz”.

Zaszokowana cofnęła się gwałtownie, gom dżabbar wysliznął się jej z palców i upadł. Wewnątrz głowy głos Lobii rozbrzmiał przeraźliwym ostrzeżeniem:

„Uważaj na mentata!”

Igła jeszcze nie zdążyła dotknąć podłogi, a sztylet mentata już pogrązał się w ciele Aniruli. Zaraz potem nastąpiły dwa kolejne ciosy, szybkie jak ukąszenia żmii.

Igła uderzyła o kafle posadzki z metalicznym dźwiękiem.

Zalała ją fala głosów, w której się stopniowo pogrążała.

„Urodziło się dziecko, zmieniając przyszłość...”

„Widzimy tylko fragment układanki...”

„Nie tylko Bene Gesserit snują swoje plany...”

„Pętla w pętłach...”

„W pętłach...”

„W pętłach...”

I znowu górę wziął głos Lobii, kojący jak nigdy dotąd:

„Chodź do nas i obserwuj... Patrz i obserwuj...”

Po ustach konającej Aniruli przemknęło coś na kształt uśmiechu. Nagle zrozumiała, że to dziecko zmieni los ludzkości i całego wszechświata bardziej niż oczekiwany przez zakon Kwisatz Haderach. Dogorywając na posadzce, Anirula wiedziała przecież jedno: zakon przetrwa wszystko.

Biegając przez następny z niezliczonych korytarzy, de Vries spojrzał na trzymane w rękę maleństwo.

– Obyś okazał się wart tych wszystkich kłopotów – mruknął.

Zabiwszy żonę Cesarza, de Vries zaczynał wątpić, czy uda mu się ujść z życiem z pałacu.

Wszystkie dowody prowadzą do twierdzeń, które są już dowodów pozbawione. Wiedzą nazywamy to, w co chcemy wierzyć.

z Księgi Azhar Bene Gesserit

Cesarz Szaddam IV Korrino ani myślał wracać na Kaitain przed ukończeniem operacji na Arrakis, a skoro ZNAH potwierdził winę barona, pojawiała się możliwość, której absolutnie nie należało zmarnować.

Szaddam obserwował rozwój sytuacji ze swojej kabiny na statku flagowym, której wystrój nie miał w sobie nic z żołnierskiej prostoty. Do spożycia wystawnego obiadu zaprosił Najwyższego Baszę, oficjalnie w celu przedyskutowania strategii, ale tak naprawdę Cesarz lubował się w wojennych opowieściach. Wyszkolenie wojskowe Zum Garon zdobył na więziennej planecie Salusa Secunda, wcześniej pojmany na jednej z odległych planet. Podczas rajdu sardaukarów wykazał się

taką odwagą i bitnością, że ci wzięli go do niewoli, aby po odpowiednim szkoleniu włączyć do swoich treningów. Tak, Zum Garon był człowiekiem sukcesu, podobnie jak jego syn Cando, który dowodził oddziałami stacjonującymi w tajemnicy na Ix.

Tym razem Szaddama czekało rozczarowanie. Baszy najwyraźniej nie imponowały egzotyczne potrawy, a jego uwagę bez reszty zaprzętało oblężenie Arrakis.

Wszelki ruch powietrzny na planecie był nadal sparaliżowany, a Cesarz oczekiwał dokładnego raportu o wszystkich nielegalnych przedsięwzięciach barona. W tej sprawie miał w Gildii i ZNAH-u wiernych sojuszników. Wypadało tylko liczyć na to, że zgodnie pomogą mu w zasypaniu jedyne źródła naturalnego melanżu, zanim zorientują się w prawdziwej treści tej operacji. Ale wtedy będą już całkowicie uzależnieni od amalu i – od niego, Szaddama.

Ledwie prom z Arrakis powrócił, eskorta sardaukarów natychmiast przywiodła przed oblicze Cesarza przedstawicieli Gildii i ZNAH-u. Obu spowijał silny zapach melanżu.

– Skończyliśmy, Najjaśniejszy Panie.

Szaddam nalał sobie puchar słodkiego jak miód wina kaladańskiego. Zum Garon sztywno siedział za stołem. Obaj przybysze odczekali, aż Cesarz się odezwie, ten jednak tylko skinął, aby złożyć raport.

Mentat reprezentujący ZNAH zrobił dwa kroki do przodu, uklonił się i rzekł:

– Baron Vladimir Harkonnen popełnił bardzo wiele wykroczeń, utrzymując, że to tylko „pomyłki”. Chociaż usiłował je ukryć przed kontrolą udało nam się je wysledzić.

– Tak jak się spodziewałem – mruknął Szaddam, najwyraźniej bardzo zadowolony z całej tej sytuacji.

Garon zawrzał gniewem.

– Przecież Jego Cesarska Mość wyraźnie zapowiedział, jak będzie karał wszystkie takie przestępstwa. Czyżby baron nic nie wiedział o losie Zanovaru i Korony?

Szaddam wziął z ręki mentata wykaz, przebiegł wzrokiem wszystkie pozycje, chociaż szczegóły absolutnie go nie interesowały. Od samego początku był przekonany o winie barona.

– Mamy niezbite świadectwo przestępstw popełnionych przeciwko Cesarstwu. – Przedstawiciel Gildii umilkł na chwilę, a potem dorzucił: – Niestety, Najjaśniejszy Panie... nie znaleźliśmy tego, czego szukaliśmy.

Szaddam potrząsnął trzymanym w rękę wykazem.

– Jak to? Przecież sam pan powiedział, że to dowód na złamanie prawa przez ród Harkonnenów. Czego nam więcej potrzeba?

– To prawda, że baron zgromadził nielegalne zapasy melanżu, fałszował dane dotyczące produkcji i uchylał się od należnych Cesarstwu podatków. Niemniej jednak wszystkie próbki melanżu, które pobraliśmy – a zrobiliśmy to bardzo starannie – są czyste i nie zawierają najmniejszego śladu zanieczyszczeń.

Przedstawiciel Gildii zawahał się, a Szaddam wpatrywał się w niego z irytacją.

– Spodziewaliśmy się czegoś innego, Najjaśniejszy Panie. Nasze badania wskazują niedwuznacznie, że przyczyną śmierci Nawigatorów w dwóch liniowcach był zanieczyszczony gaz przyprawowy. Wiemy także, że próbki pobrane z zapasów na Beakkalu były skażone. Dlatego też spodziewaliśmy się, że tutaj, na Arrakis, znajdziemy substancje, które baron dodaje do przyprawy, uzyskując w ten sposób większą jej ilość, ale zarazem ją zatruwając.

– Tymczasem niczego takiego nie odkryliśmy – dodał mentat.

Najwyższy Basza poruszył się niecierpliwie.

– Mamy jednak dość dowodów na to, aby przykładowo ukarać ród Harkonnenów!

Przedstawiciel Gildii zaciągnął się pomarańczowym gazem, podawanym przez dozownik, którego koniec sterczał zza kołnierza.

– To prawda, ale to nie rozwiązuje naszego problemu.

Szaddam wydał usta, udając głębokie zamyślenie. Może byłoby lepiej, gdyby był tutaj Fenring, ale ten w tej właśnie chwili przygotowywał do wysłania pierwsze partie amalu. Wszystkie fragmenty układanki zaczynały do siebie pasować.

– Rozumiem – powiedział Szaddam. – Wraz z baszą musimy zastanowić się nad odpowiednią karą, ja zaś polecę zająć się sprawą zanieczyszczonego melanzu moim specjalistom. Oni z pewnością przedstawią jakieś sensowne wyjaśnienie.

Znając nastroje swego władcy, Zum Garon dobrze wiedział, że czas audiencji dobiegł już końca. Wstał zatem od stołu i zdecydowanym ruchem ręki wyprosił obydwu gości. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Szaddam zwrócił się do Najwyższego Baszy:

– Wyprawić ich jak najszybciej na najbliższy liniowiec. Wszystkie statki rozstawić tak, aby w zasięgu ostrzału miały Kartagę, Arrakin, Arsunt i inne większe miasta.

Zum Garon przyjął ten rozkaz z kamienną twarzą.

– Tak jak na Zanovarze, Najjaśniejszy Panie?

– Tak jak na Zanovarze.

Statki Harkonnenów rozmieściły się na orbicie zgodnie z rozkazami i czekały gotowe do ataku. Szaddam na mostku statku flagowego utrwał swoje wystąpienie dla potomności.

– Baron Vladimir Harkonnen okazał się winny wielkich przestępstw popełnionych przeciwko Cesarstwu. Niezbite dowody na to znaleźli niezależni obserwatorzy z ramienia ZNAH-u i Gildii. Dowiodłem już na Zanovarze i Koronie, że moje prawo jest prawem Cesarstwa. Sprawiedliwość Korrinów jest bezwzględna.

Gildia z pewnością uzna to z początku za błąd, ale czeka ją wielkie zaskoczenie. Teraz wystarczy, aby tylko wydał rozkaz, a sardaukarowie w krótkim czasie zamienią całą planetę w jedno pogorzelisko. W ten zaś sposób unicestwione zostanie jedyne źródło melanzu.

Tymczasem wielkich ilości przyprawy potrzebowali Nawigatorzy Gildii. Wiernym klientem były Bene Gesserit, z każdym rokiem spożywające coraz większe porcje wraz z tym, jak rosła ich liczebność. Uzależniona była większość członków Landsraadu. Całe Cesarstwo nie mogło funkcjonować bez melanzu. „Jestem ich Cesarzem. Postąpią tak, jak nakażę”.

Nawet bez pomocy hrabiego Fenringa dokładnie obmyślił wszystkie szczegóły. Kiedy zniszczy Arrakis, jak zachowa się Gildia? Czy jej liniowce pozostawią go tutaj? Nie ośmiela się. Wtedy nigdy nie otrzymaliby nawet jednego grama syntetycznej przyprawy.

Szaddam westchnął i zaczął w duchu odliczać. Za chwilę wyda rozkaz do ataku.

„A potem nic już w Cesarstwie nie będzie takie samo”.

Moje życie skończyło się w dniu, kiedy Tleilaxanie zaatakowali naszą planetę. Przez wszystkie następne lata walki z nimi byłem człowiekiem martwym, który nie miał już nic do stracenia.

**C'tair Pilru,
fragment sekretnego dziennika**

Niepokoje nie ominęły także ixiańskich fabryk i centrów technologicznych. Kiedy suboidzi mogli dać upust swojemu gniewowi i frustracji, zerwali mundury z żołnierzy sardaukarów, zabrali ich broń i bez opamiętania niszczyli wszystko, łącznie z funkcjonującymi jeszcze liniami produkcyjnymi.

Wielka statua, wzniesiona przez Tleilaxan w celu upamiętnienia podboju, została pozbawiona głowy, której fragmenty leżały w promieniu kilku metrów wokół cokołu.

– To się nigdy nie skończy!

Wojskom Atrydów, wspomaganym przez buntowników, udało się zająć stalaktytowe budynki, podziemne przejścia, sam Grand Palais, ale szaleni sardaukarowie bez opamiętania bronili się na dnie wielkiej groty, używanej przedtem przez Ixian do produkcji liniowców.

– Przydałby się nam dodatkowy sojusznik – zasugerował C'tair. – Gdyby udało nam się dowieść, że sztuczna przyprawa produkowana tutaj spowodowała śmierć dwóch Nawigatorów, włącznie z moim bratem, mielibyśmy Gildię po swojej stronie.

– Coś takiego już sami niewyraźnie zasugerowali – powiedział Rhombur. – Planowaliśmy jednak zakończyć tę akcję bez ich pomocy.

– Poza tym Gildia jest daleko – powiedział zafrasowany Gurney. – Upłynęłoby wiele czasu, zanim podjęliby jakąś skuteczną akcję.

W przekrwionych, ale pełnych determinacji oczach C'taira pojawił się nagły błysk.

– W tym może potrafiłbym pomóc.

Poprowadził ich do niewielkiego, opuszczonego pomieszczenia. Rhombur przypatrywał się, jak C'tair z nabożnością wydobywa ze schowka nadajnik „Rogo”. Bezkształtny, noszący ślady licznych reperacji, zaopatrzony był w krystaliczne pręty zasilające. C'tair dotykał go drżącymi rękoma.

– Sam nie wiem do końca, w jaki sposób funkcjonuje. Jest dostosowany do elektrochemizmów w moim mózgu i dzięki niemu potrafiłem komunikować się z bratem-bliźniakiem, choć tylko raz udało się komunikacja dwustronna. Tak czy owak, mogłem go zrozumieć, chociaż jego mózg uległ ogromnym przemianom. Przestał już być podobny do ludzkiego. – C'tair przez chwilę musiał walczyć ze łzami, które wywołało wspomnienie brata. – Teraz mój brat już nie żyje i nigdy się nie porozumiemy. To ostatni pręt zasilający... i jeśli... nie wiem, ale może uda mi się przekazać coś innym Nawigatorom. Może nie wszystko zrozumieją, ale dotrze do nich przynajmniej, że to pilna sprawa.

Rhombur był zupełnie oszołomiony i widokiem sprzętu, i słowami C'taira.

– Gdyby udało ci się ściągnąć tutaj przedstawicieli Gildii, zatroszczylibyśmy się już o to, aby pokazać im, co kryje się pod zasłoną tajemnicy Szaddama.

C'tair uściśnął metalowe ramię Rhombura tak mocno, że czujniki zareagowały ostrzegawczo.

– Zawsze byłem gotów zrobić dla ciebie wszystko, książę. Jeśli tylko mogę być w czymś pomocny, dołożę wszelkich starań.

Rhombur dojrzał w jego oczach dziwny, niemal szaleńczy ogień.

– Spróbuj zatem.

C'tair zaczął umieszczać przyczepy na skroniach, czubku głowy i krtani.

– Nie mam pojęcia, jak sprawne jest teraz to urządzenie, ale użyję całej energii, jaką mogę z siebie wykrzesać. Będzie to wielki krzyk radości i wołanie o pomoc – najgłośniejsze, na jakie mnie stać.

Kiedy nadajnik osiągnął pełną moc, C'tair nabrał głęboko powietrza. Podczas poprzednich transmisji zawsze mówił głośno, chociaż wiedział, że D'murr nie usłyszy ani słowa, albowiem docierały do niego jedynie myśli towarzyszące słowom. Tym razem nie wypowie ani słowa, natomiast całą energię skupi w przesłaniu, które pośle w przestrzeń. Uruchomił nadajnik i wysłał wielkie kosmiczne SOS, czując, jak urządzenie i mózg zestrzajają się ze sobą i promieniują na

zewnątrz.

Zacisnął szczęki i wargi, spod przymkniętych powiek potoczyły się łzy, na skroń i czoło wystąpiły krople potu, skóra stała się purpurowa.

Była to bez wątpienia transmisja potężniejsza od wszystkich, jakich dokonał z D'murrem, tym razem jednak nie wspomagala go duchowa łączność z bratem.

Rhombur widział, że C'tair wprost umiera z wysiłku, traci zmysły, usiłując nawiązać łączność. We wnętrzu czaszki, niesłyszalnie dla innych, krzyczał ze wszystkich sił.

Zanim rzucili się go odłączyć, nadajnik „Rogo” zaczął sypać iskrami i dymić. Przeciążone obwody topiły się. Krystaliczny pręt rozpadł się na srebrzyste jak śnieg płatki. Rysy twarzy C'taira zastygły w grymasie niewysłowionego bólu. Także synapsy w jego mózgu zaczęły się rozplýwać.

Jedyną pozostałą mu dłonią Rhombur zrywał czujniki z głowy i szyi, ale nic już nie mógł zrobić. C'tair bezwładnie zwałił się na podłogę z dygoczącymi kończynami, zaciśniętymi zębami i zamkniętymi oczami, które już nigdy nie miały się otworzyć.

– Nie żyje – powiedział Gurney.

Pograżony w straszliwym smutku Rhombur pochylił się i objął obszarpanego buntownika, najbardziej lojalnego sługę rodu Verniusów.

– Śpij w spokoju po swojej długiej walce, przyjacielu. Spocziesz przynajmniej w wolniej ojczyźnie.

Z tymi słowami pogładził stygnące czoło. Kiedy się wyprostował, miał twarz bardziej gniewną niż kiedykolwiek dotąd i stanowczym krokiem wyszedł, a za nim pospieszył Gurney Halleck. Rhombur nie wiedział, czy transmisja się powiodła, a jeśli nawet tak, to jak na nią może zareagować Gildia. Jeśli jednak walczący o wyzwolenie Ix nie otrzymają szybko posiłków, boje mogą się toczyć w nieskończoność.

– Zobaczmy, co się dzieje – powiedział do otaczających go Atrydów.

Aby zmienić genotyp organizmu, umieść go w otoczeniu nieprzyjaznym, ale nie zabójczym.

apokryf Tleilaxan

Hidar Fen Ajidica zginął śmiercią podobnie jak on obrzydliwą a teraz hrabia Fenring widział, że oddziały Atrydów są coraz bliżej. Miał bardzo niewiele czasu na wykonanie koniecznych działań. Musiał usunąć wszelkie ślady Projektu Amal, a także własnego weń udziału.

Szaddam będzie szukał kozła ofiarnego za katastrofalne niepowodzenie, a Fenringowi wcale się nie uśmiechało wystąpić w tej roli. Mistrz Badań Ajidica zawiódł kompletnie pokładane w nim nadzieje i teraz spoczywał między ciałami bezmózgich kobiet, co przywodziło na myśl jakąś koszmarną parodię seksu. Ale naznaczone stygmatami ciało Ajidicy mogło posłużyć pewnemu celowi.

Pozostali naukowcy Tleilaxan byli przerażeni. Sardaukarowie, nie oglądając się na nich, pognali, aby przyłączyć się do walk, więc spłoszeni badacze, wiedząc, że Fenring jest oficjalnym przedstawicielem Cesarza, patrzyli teraz na niego wyczekująco. Niektórzy mogli nawet sądzić, że mają w istocie do czynienia z Tancerzem Oblicza, którego Ajidica zdążył jeszcze podstawić na miejsce hrabiego.

Fenring uniósł dłonie i ironicznie pomyślał, że bardzo podobnie zachowywał się ostatnio Ajidica.

Z uszkodzonych zbiorników aksolotlowych buchał smród gnijących ciał i ich odchodów.

– Zostawiono nas bezbronnych, hmmm, mam jednak pomysł, jak możemy się uratować!

W oczach patrzących pojawiły się iskierki nadziei. Fenring tymczasem uważnie lustrował dobrze już sobie znane wnętrze pawilonu laboratoryjnego, a podjąwszy decyzję, zszedł na dół.

– Jesteście bardzo cenni dla Jego Cesarskiej Mości. – Poprowadził ich do pomieszczenia o jednym wyjściu. – Poczekajcie tutaj, a ja zatroszczę się o jakąś ochronę.

Doliczył się dwudziestu ośmiu badaczy. Kilku mogło znaleźć się w sąsiednich budynkach, ale tymi nie musiał się przejmować. Zajmie się nimi zbuntowany tłum. Z uśmiechem popatrzył na stłoczonych Tleilaxan.

– Nikt tu się do was nie dostanie – oznajmił, trzymając w ręku klucz. – Resztę zostawcie już mnie.

Zamknął starannie drzwi, ale ledwie dotarł do środka pawilonu, zrozumiał, że nie uwzględnił jednej rzeczy. Założył, że naukowcy będą milczeć, tymczasem oni wcale nie poczuli się bezpieczni i już teraz rozbrzmiały ich stłumione krzyki oraz odgłosy kopania i walenia w drzwi. Z całą pewnością znali wszystkie szczegóły Projektu Amal. Na dobrą sprawę tylko w jeden sposób można było sobie naprawdę zapewnić ich milczenie: zabijając wszystkich. Tak, to znacznie skuteczniejsze i szybsze rozwiązanie problemu. A on nie miał wiele czasu, ostatecznie był cesarskim Ministrem do Spraw Przyprawy.

W laboratorium pełno było pojemników z biologicznymi odpadami, kwasami, substancjami łatwopalnymi, a także eksplozyjnych gazów. Z szafki na ścianie wyjął maskę gazową następnie, przemykając po sali niczym duch, zaczął rozlewać płyny, mieszać materiały, uwalniać gazy. Zupełnie nie zwracał przy tym uwagi na zmaltretowane, zniekształcone kobiece ciała, które Tleilaxanie przebudowali, aby służyły jako organiczne maszyny do produkcji syntetycznej przyprawy.

„A wydawało się, że Ajidica jest tak blisko szczęśliwego końca!”

Zatrzymał się na chwilę przy ciele Cristane, Bene Gesserit do zadań specjalnych. Popatrzył na jej wzdęty brzuch, łono skryte w płataninie przewodów. To już tylko maszyna, przetwornica chemiczna. Patrząc na woskowe rysy Cristane, Fenring pomyślał o swojej przepięknej żonie, która czas na Kaitain spędzała najpewniej na plotkach i towarzyskich herbatkach. Zapragnął być już wreszcie przy niej i spocząć w jej ramionach.

Siostra Cristane już nigdy nie wyśle swego wrednego raportu na Wallach IX, a Fenring nawet najmniejszego drobiazgu nie zdradzi swojej żonie. Wprawdzie bardzo się kochali, ale nie wynikało z tego, że muszą dzielić ze sobą wszystkie bez wyjątku sekrety.

Na zewnątrz pawilonu słychać już było odgłosy walki Atrydów z sardaukarami. Zażartość tych ostatnich sprawi, że starcie potrwa jeszcze chwilę.

Stanął pośrodku jednego z pomieszczeń, które miały zewnętrzne wyjście, i przyjrzał się laboratorium. Wyglądało jak po przejściu tornada. Stąd nie słyszał już łomotania Tleilaxan uwięzionych w śmiertelnej pułapce. Potem uniósł rękę, zamachnął się i cisnął zapalnik w sam środek wielkiej kałuży. Natychmiast stanęła w płomieniach, ale Fenring już na to nie czekał i czym prędzej wymknął się na zewnątrz, słysząc za sobą pierwsze, na razie niewielkie eksplozje. Ginęły zbiorniki aksolotlowe, wszystkie ślady produkcji amalu, a także – wszystkie niebezpieczne dla Fenringa dowody.

Pawilon laboratoryjny wyleciał w powietrze w chwili, gdy Duncan Idaho ze swymi ludźmi był niedaleko niego. Powietrzem wstrząsnął huk, wszyscy skulili się, dach pawilonu strzelił płomieniami i strumieniem odłamków, a ściany boczne zapadły się. Po chwili tam gdzie stał pawilon, rozpętało się piekło – powstała breja złożona ze stopionego szkła, plastali i ludzkiego mięsa.

Duncan rozkazał podwładnym, aby się cofnęli. Rozumiał, że oto na jego oczach giną wszystkie materialne ślady zbrodni Tleilaxan, musieli się jednak trzymać z daleka, sam bowiem dym mógł być trujący.

Mistrz miecza zobaczył na tle płomieni smukłą muskularną sylwetkę mężczyzny, który zdjął z twarzy maskę i cisnął ją na bok. Duncan zagroził mu drogę, trzymając w pogotowiu miecz Starego Księcia.

Hrabia Hasimir Fenring bez lęku szedł w jego kierunku.

– Cóż to, nikt się nie cieszy na mój widok, hmmm? Według mnie mamy jednak powód do radości. Tak w każdym razie będzie z pewnością uważał mój przyjaciel Szaddam.

– Znam cię – powiedział Duncan, na Ginazie bowiem poznali także arkana cesarskiej polityki. – Jesteś lisem kryjącym się za płaszczem Szaddama i wykonującym dla niego brudną robotę.

– Lisem? – powtórzył Fenring z uśmiechem. – Owszem, nazywano mnie już wydrą i kuną ale lisem, hmmm, jeszcze nie. Zostałem tu zatrzymany wbrew mej woli. Ci wstrętli Tleilaxanie chcieli mnie poddać jakimś obrzydliwym eksperymentom. – Wielkie oczy hrabiego jeszcze się rozszerzyły. – Uknuli nawet spiszek, żeby na moje miejsce postawić Tancerza Oblicza.

Duncan postąpił o krok, nadal trzymając miecz w pogotowiu.

– Będziesz mógł wszystko wyjaśnić ludziom nawykłym do prowadzenia śledztwa.

– Nie sądzę.

Fenringowi cała ta sytuacja przestała się podobać i zniecka ciął mieczem, ale Duncan sparował cios. Zorientował się, że ma przed sobą nie lada przeciwnika, gdyż pomimo sprytnego ruchu hrabiemu udało się utrzymać broń w dłoni.

– Śmiesz podnosić broń na cesarskiego Ministra do Spraw Przyprawy, najbliższego przyjaciela Szaddama? – warknął Fenring. – Lepiej będzie dla ciebie, jeśli odstąpisz i dasz mi przejście!

Duncan jednak ani myślał ustępować.

– Jestem mistrzem miecza z Ginazu i dałem dziś radę niejednemu z sardaukarów. Jeśli nie jesteś naszym wrogiem, opuść broń. Lepiej będzie dla ciebie nie mieć mnie za przeciwnika.

– Wielu ludzi zdążyło polec z mej ręki, zanim pojawiłeś się na świecie, chłopaczk.

Wiatr niósł od pożaru gryzące dymy. Duncan poczuł, jak łzawią mu oczy. Zobaczył, że żołnierze zaczynają otaczać ich kołem, aby bronić swego dowódcy, ale gniewnym gestem kazał im się cofnąć. Cóżby z niego był za mistrz miecza, gdyby bał się pojedyneków?

Fenring ponownie zaatakował. Zwykle zabijał podstępnie, zaskakując ofiarę, ale i w otwartej walce wykazywał umiejętności, które zaskoczyły Duncana.

– Wiele już dzisiaj widziałem ofiar tego starcia, ale nie mam nic przeciwko temu, aby i ciebie dołączyć do ich grona, hrabio Fenring.

I znowu zadźwięczały uderzające o siebie klingi. Duncan walczył z nabytą na Ginazie biegłością zarazem jednak brutalnie, ani trochę nie dbając o ceremonie i wyszukane zasady, co różniło go od innych znanych Fenringowi mistrzów miecza. Dostrzegłszy nadarzącą się sposobność, Duncan włożył całą siłę w kolejny cios. Fenringowi udało się go sparować i choć na klindze miecza Starego Księcia pojawiła się mała szczyrba, broń hrabiego pękła, a jego samego impet cisnął na ścianę.

Duncan przyczaił się, gotów do zadania *coup de grâce*, zarazem jednak czujnie obserwował ruchy przeciwnika, którego należało podejrzewać o jakiś fortel.

Fenring błyskawicznie ocenił swoje szanse. Mógł pobiec z powrotem w trujące płomienie albo się poddać. Miał niewielki wybór.

– Cesarz pomści moją śmierć – powiedział, ciskając na ziemię bezużyteczną rękojęść. – Chyba nie będziesz śmiał zamordować mnie z zimną krwią na oczach tych wszystkich ludzi? – Duncan postąpił

złowrogo do przodu. – A gdzie się podziało to sławetne poczucie honoru Atrydów? Ciekawe, co sądzi książę Leto o swoich podwładnych gotowych mordować tych, którzy się poddają? – Fenring uniósł w górę otwarte dłonie. – No, proszę, uderzaj, w żaden sposób nie mogę ci oddać.

Duncan dobrze wiedział, jak oburzony byłby książę na taki niehonorowy czyn. Patrzył na szalejący pożar, a za sobą słyszał odgłosy walk, ciągle toczących się na dnie wielkiej groty. Księżciu na pewno przyda się ten więzień w trakcie politycznej rozgrywki, którą trzeba będzie podjąć, gdy wszyscy się dowiedzą o batalii na Ix.

– Najpierw jestem sługą księcia, a dopiero potem swego serca – powiedział Duncan, a na dany przez niego znak dwóch żołnierzy podeszło i związało Fenringa. – Przyjdzie jednak może taka chwila, hrabio, że pożałujesz, iż nie dałem ci tutaj umrzeć.

Cesarski zausznik nie spuścił wzroku. Spoglądał tak, jak gdyby znał jakiś mroczny sekret.

– Jeszcze nie wygraliście. Jeszcze nie.

Nie jest tajemnicą, że wszyscy mamy tajemnice. Tylko jednak nieliczne z nich są tak ukryte, jak byśmy tego chcieli.

Piter de Vries, analiza słabości Landsraadu, prywatne dokumenty Harkonnenów

Dowodzeni przez księcia Atrydę gwardziści rozbiegli się po pałacu. Leto z obawą pozostawiał wyczerpaną Jessikę, nie potrafiłby jednak siedzieć przy niej, wiedząc, że jego nowo narodzony syn jest w niebezpieczeństwie.

Rzucał rozkazy i wściekał się na każdą chwilę wahania. Kiedy przebiegał przez płataninę korytarzy i widział swoje odbicie w niezliczonych pryzmatycznych lustrach, na myśl przychodziła mu zaciętość, z jaką psy myśliwskie broniły swoich młodych. Oby nie musiało się okazać, jak straszliwym przeciwnikiem może być skrzywdzony ojciec.

„Porwali mi syna!”

Nie, po tym, co przeżył po śmierci Victora, nic teraz nie może stać się jego potomkowi!

Ale w pałacu cesarskim – wielkości małego miasta – było mnóstwo kryjówek. Poszukiwania się przedłużały. Leto nie dopuszczał do siebie zwątpienia i rozpacz.

Dla Pitera de Vriesa rozlew krwi nie był pierwszą, niemniej teraz nie na żarty lękał się o swoje życie. Nie tylko porwał dziecko przywódcy jednego z Wysokich Rodów, ale zabił także małżonkę Cesarza.

Zabiwszy Anirulę, pognął na oślep przed siebie. Skradziony mundur był porwany i zakrwawiony. Serce mu łomotało, w głowie pulsowało, a pomimo wyszkolenia jako mentat nie miał planu, jak się ratować. Makijaż rozmazał się i nie ukrywał już zabarwionej przez safo purpury warg.

Dziecko wprawdzie poruszało się w kocu, od czasu do czasu kwiliło, właściwie jednak było nad podziw spokojne. W różowiutkiej twarzy płonęły oczy o wzroku tak intensywnym, jak gdyby niemowlę rozumiało coś, co przekraczało możliwości normalnego noworodka. Jakże ten chłopczyk różnił się od irytującego Feyd-Rauthy!

De Vries przez chwilę miał wielką ochotę zacisnąć kocyk mocniej i udusić małego. Opanował emocje i na chybił trafił wskoczył do stojącego w półmroku pokoju, pełnego gablot z pucharami i

nagrodami. Jakiś dawno zapomniany przedstawiciel rodu Korrinów zgromadził tu nagrody zdobyte na konkursach łuczniczych.

Kiedy chciał zawrócić, zaskoczony zobaczył, że drogę zagradza mu postać w długim, czarnym habicie.

– Stać! – warknęła Wielebna Matka Gaius Helena Mohiam, używając całej siły Głosu.

Mentat znieruchomiał niczym sparaliżowany. Mohiam wpatrywała się w niego zmrużonymi oczami.

– Piter de Vries – syknęła. – Podejrzewałam, że Harkonnenowie maczają w tym palce!

De Vries czuł w głowie straszliwy chaos, z którego w końcu wyłoniła się jedna myśl.

– Podejdź bliżej, czarownico – wykrztusił – bo inaczej zabiję tego szczeniaka.

Udało mu się odzyskać kontrolę nad ramionami, bał się jednak, że następne słowo znowu go unieruchomi. Wiedział na dodatek o bojowej sprawności Bene Gesserit. Mówiąc szczerze, zdziwił się, że udało mu się pokonać Anirulę, tamta jednak najwyraźniej była osłabiona przez jakąś chorobę. Po Mohiam nie należało się tego spodziewać.

– Jeśli zabijesz dziecko, sam też zginiesz.

– I tak chcesz mnie zabić – mruknął de Vries. – Widzę to w twoich oczach. – Poruszył się, żeby pokazać, że znowu jest sprawny. – Dlaczegożby nie zamordować syna Leta, aby jeszcze bardziej pogрузić ród Atrydów?

Nawet pomimo właściwego Bene Gesserit refleksu Mohiam nie mogła być pewna, że uda jej się nie dopuścić do lekkiego zaciśnięcia ramion mentata, co oznaczałoby śmierć niemowlęcia. De Vries myślał zaś, że jeśli tylko uda mu się przemknąć obok złowrogiej siostry i wyskoczyć na korytarz, ciągle będzie miał szansę na ucieczkę. Z pewnością nawet z dzieckiem w ramionach był szybszy od tej staruchy, chyba że miała w połach swojej szaty jakąś broń, którą mogłaby cisnąć za nim. Tak czy siak, czegoś musiał spróbować...

– To dziecko jest ważne dla zakonu, prawda? – powiedział i postąpił o krok. – Część waszego programu hodowlanego, co?

Dopiero teraz zaniepokojony dojrzał długie, wygięte niczym szpony paznokcie Mohiam. Bez trudu mogłaby nimi wydrapać mu oczy czy rozszarpać krtań. Poczul, że serce zaczyna mu mocniej bić.

Podniósł dziecko trochę wyżej, by zakryć nim twarz.

– Jeśli oddasz mi dziecko, pozwolę ci wyjść – powiedziała Mohiam. – Niech już sobie sardaukarowie potem cię szukają.

Teraz ona zrobiła krok do przodu i de Vries cały się sprężył.

„Uwierzyć jej?”

Wyciągnęła ręce, zanim jednak dotknęła dziecka, de Vries szepnął chrapliwie:

– Znam wasz sekret, czarownico. Wiem, co to za bachor, i wiem, kim jest Jessika. – Teraz Mohiam znieruchomiała, jak gdyby to mentat użył Głosu. – A czy ona wie, że jest córką barona Harkonnena? – Widząc wrażenie, jakie zrobiły jego słowa, ciągnął pospiesznie. – A czy wie, że jest także twoją córką, czy też takie informacje trzymacie w tajemnicy przed swymi dziećmi, traktując je jak mięso genetyczne?

Mohiam bez słowa odebrała mu niemowlę. De Vries jednak poczul się odrobinę pewniej.

– Odradzałbym wrogie kroki wobec mnie. Kiedy zrozumiałem, jak się rzeczy mają, spisałem dokładny raport i umieściłem go w takim miejscu, że w razie mojej śmierci z pewnością dotrze do rąk barona i do Landsraadu. Ciekawe, jak zareaguje książę Leto, kiedy dowie się, że ta jego milutka nałożnica to córka śmiertelnego wroga?

Mohiam umieściła zawiniątko z dzieckiem w jednej z miękko obitych nisz, odsunawszy na bok

stojący tam puchar. De Vries tymczasem kroczył po kroczeniu sunął w kierunku drzwi.

– Dokument ten sporządziłem w kilku kopiach, a każdą umieściłem gdzie indziej. Jeśli zginę, wiadomość się rozniesie, a ty nie będziesz mogła temu przeszkodzić. – Teraz mentat zrobił bardziej stanowczy krok. – Nie ośmielisz się zrobić mi krzywdy, czarownico.

Zadbawszy o bezpieczeństwo dziecka, Mohiam całą uwagę skupiła teraz na de Vriesie.

– Jeśli mówisz prawdę, mentacie, to muszę puścić cię wolno.

De Vries odetchnął z ulgą. Tak jak przypuszczał, Mohiam nie mogła pozwolić na ujawnienie tajemnicy. Małe chociażby prawdopodobieństwo, że jest tak, jak mówi, odbierało czarownicy swobodę działania.

Znienacka Mohiam zaatakowała ze wściekłością rannej pantery. De Vries odruchowo zasłonił się ramieniem przed strasliwym ciosem stopy. Pod jego impetem pękł nadgarstek mentata, ten jednak, pomimo strasliwego bólu, uderzył drugą ręką. Mohiam płynnie się uchyliła, a na de Vriesa spadł grad ciosów, których nawet nie potrafił dostrzec. Pięta ugodziła go w żołądek, stalowa pięść wylądowała w dołku, pod dwoma błyskawicznymi kopnięciami popękały mu żebra, dokonując wewnętrznych spustoszeń. Chciał krzyknąć, ale z jego szeroko rozwartych ust buchała tylko krew.

Wierzgnął rozpaczliwie, usiłując trafić napastniczkę w kolano, Mohiam jednak odskoczyła, a kiedy drugą ręką chciał zablokować następny cios stopy, przepłacił to zmiażdżeniem drugiego przegubu.

Nie chciał już walczyć, marzył tylko o tym, aby wyskoczyć z tego pokoju i uciekać jak najdalej od strasliwej przeciwniczki. Mohiam jednak była w drzwiach pierwsza i z obrotu zdruzgotała mu piętą grdykę, a następnie łatwo jak zapałkę złamała kręgosłup. Piter de Vries padł martwy na ziemię z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia na twarzy.

Mohiam wystarczyła chwila na wyrównanie oddechu, po czym wróciła po dziecko. W progu spojrzała na zwłoki i z drwiącym uśmiechem splunęła na nie. Pamiętała tę twarz, jak wychylała się zza pleców gwałcącego ją barona.

Wiedziała, że nie ma żadnych dokumentów. Tajemnica umarła wraz z de Vriesem.

– Nigdy nie kłam Prawdomówczynie – wymruczała.

Najmniejsze niezadowolenie Cesarza jest przekazywane jego podwładnym, a u tych zamienia się w prawdziwy gniew.

**Najwyższy Basza Zum Garon,
dowódca cesarskich oddziałów sardaukarów**

Zanim Szaddam zdążył wydać rozkaz, aby przystąpiono do niszczenia planety, połączyli się z nim najwyżsi przedstawiciele Gildii i zażądali wyjaśnień.

Z mostka swego statku flagowego Cesarz Padyszach ani myślał cokolwiek wyjaśniać. Już niedługo i Gildia, i całe Cesarstwo pozna odpowiedzi na wszystkie pytania.

Obok niego Zum Garon śledził komunikaty napływające od dowódców innych statków.

– Wszystko gotowe do ataku, Najjaśniejszy Panie – poinformował. Zerknął na Szaddama. – Wszyscy czekają tylko na twój rozkaz.

„Dlaczego nie mogę mieć wyłącznie takich poddanych?”

Po tym, jak został zignorowany, przedstawiciel Gildii przesłał swoją holoprojekcję solido na mostek flagowca. Był wysoki, imponująco wysoki.

– Cesarzu Szaddamie, domagamy się, byś zaprzestał dalszych działań. To niczemu nie służy.

Szaddam spojrział na holowizerunek przedstawiciela, poirytowany faktem, że Gildia Kosmiczna potrafi przeniknąć ich zabezpieczenia.

– Jak śmiesz kwestionować moje posunięcia? Jestem Cesarzem!

– A ja reprezentuję Gildię Kosmiczną – odparł tamten, jak gdyby jedno było równym drugiemu.

– Gildia nie zajmuje się prawem i sprawiedliwością. Oznajmiłem swój wyrok. Baron jest winny i poniesie za to karę. – Szaddam zwrócił się do Zum Garona: – Najwyższy Baszo, proszę wydać rozkaz zbombardowania Arrakis i zniszczenia każdej żywej istoty na planecie.

Na skalnej półce na zewnątrz siczy Czerwonego Muru mały Liet-chih nagle się zbudził. Czterolatek usiadł na macie i rozejrzał się dookoła. Noc była ciepła, bez żadnego niemal powiewu. Matka rzadko pozwalała mu spać na wolnym powietrzu, ale dziś razem z innymi Wolanami miała coś do wykonania w nocy pośród skał.

Widział ciemne sylwetki poruszające się bezgłośnie, a zarazem zwinnie. Wypuszczano z klatek tresowane nietoperze, które przenosiły do innych wolańskich wspólnot dystransowe informacje. Wewnątrz siczy, obok izb mieszkalnych, znajdowały się też pomieszczenia z krosnami do włókna przyprawowego, stołami, na których składano i reperowano destylozony, prasami do wygniatania kształtów z plastycznych mas, ale w tej chwili wszystkie urządzenia milczały.

Faroula zerknęła w kierunku synka i oczami nawykłymi do ciemności upewniła się, że nic mu nie grozi. Sięgnęła do klatki i wymacała małe, puchate ciało. Wyjęła je i pogłaskała delikatnie.

Nagle z ostrzegawczym pomrukiem dwie Wolanki wskazały na niebo. Faroula spojrzała w ślad za gestem i w zdumieniu wypuściła nietoperza, chociaż nie został jeszcze przygotowany. Pomknął w mrok w poszukiwaniu owadów.

Liet-chih zobaczył między gwiazdami szybko obniżające się pęki gorących, niebieskich światel. Statki! Ogrom statków!

Faroula gwałtownie chwyciła go w ramiona, podczas gdy inni otwierali już grodzie. Może płaszcz skalny zapewni im jakąś ochronę.

Baron Harkonnen na swym punkcie obserwacyjnym w koszarach Kartagi natychmiast zrozumiał, jaki czeka go los, ale nic na to nie potrafił poradzić. Nie miał łączności, nie miał statków kosmicznych, nie miał pojazdów powietrznych bliskiego zasięgu. Żadnej obrony.

Kopał z wściekłością sprzęty, wymyślał swoim przybocznym, darł się na całe gardło: „Żebyś zdechł, ty przeklęty Szaddamie”, ale, oczywiście, Cesarz nie mógł tego usłyszeć.

Po odkryciu, którego za sprawą przeklętych Wolan dokonali inspektorzy, oczekiwał, że zapłaci wysokie grzywny i może poniesie jeszcze jakieś inne kary. Najbardziej obawiał się tego, że Harkonnenom zostanie odebrane Arrakis jako siridar lenno, stracą więc kontrolę nad przyprawą. Gdzieś w tle czaił się strach, że Szaddam może dokonać egzekucji barona Vladimira Harkonnena w ramach kolejnej „lekcji pokazowej” dla Landsraadu.

Ale przez myśl mu nawet nie przeszło, że Cesarz może nakazać spustoszenie planety, po którym będzie już ona tylko wypaloną skałą. Melanz, zagadkowa substancja organiczna powstająca tylko w warunkach Arrakis, na pewno tego nie przetrzyma. Jeśli Szaddam istotnie wykona ten szaleńczy krok, Arrakis przestanie kogokolwiek interesować i z daleka będą je omijać liniowce. Zresztą jakie liniowce? Wszak i one przestaną latać! Całe Cesarstwo było uzależnione od przyprawy. A zatem to musiał być jakiś obłąkany blef.

Mając w pamięci obraz Zanovaru, baron wiedział, że Szaddamowi zniszczenie planety nie spędzi snu z powiek. Niemniej bezwzględnie postąpił ze sztucznym satelitą Richese i bez wątplenia to on

stał za plagą, która dotknęła Beakkal.

Czyż to nie szalenie? Bez dwóch zdań!

Ponieważ cały system łączności został zniszczony, baron nie mógł nawet błagać o łaskę, nie mógł wszystkiego zrzucić na Rabbaana czy Pitera de Vriesa, który najpewniej nurzał się w luksusach Kaitain.

Baron Vladimir Harkonnen nie miał nic, co mogłoby go ochronić przed gniewem Cesarza.

– Stać! – Głos przedstawiciela Gildii rozległ się tak donośnie, że Najwyższy Basza zawahał się. – Kompletnie nie rozumiem, jaką gierkę rozgrywasz, Szaddamie! – W różowych oczach mówiącego płonął gniew. – Dla swych małych ambicyjek chcesz zniszczyć produkcję melanzu? To niemożliwe. Przyprawa musi płynąć nieprzerwanym strumieniem.

Szaddam tylko wzruszył ramionami.

– Może będziecie się musieli trochę ograniczyć. A jeśli Gildia będzie jawnie przeszkadzała w przestrzeganiu cesarskiego prawa, podejmę odpowiednie kroki także przeciw niej.

– Blefujesz!

– Jaaa? – Szaddam wyprostował się dumnie i spojrzał gniewnie na holopostać.

– Ale to wcale nie jest zabawne. – W grupie liniowców ponad Arrakis Gildianie musieli być już przerażeni.

– Najwyższy Baszo – powiedział Cesarz, odwracając się spokojnie do Zum Garona – wydałem polecenie.

Wizerunek Gildianina zadrgał, jak gdyby w dreszczu niedowierzania.

– Nawet Cesarz nie ma prawa podejmować takiej decyzji. Niniejszym oznajmiam, że Gildia wstrzymuje wszystkie swoje usługi przewozowe. Ani ty, ani twoje wojska nie wrócicie do domu.

Szaddam poczuł mroźne ukłucie.

– Nie ośmielcie się. Kiedy usłyszycie...

Przedstawiciel Gildii nie dał mu dokończyć:

– Mocą naszego postanowienia, ty, Cesarz Padyszach Szaddam IV Korrino, stajesz się władcą tylko tego piaszczystego pustkowia, mając pod swoimi rozkazami armię, która nigdzie się już nie uda i z nikim nie podejmie walki.

– Wasze postanowienie! To ja jestem...

Tym razem to Szaddam nie dokończył zdania, gdyż wizerunek Gildianina rozmył się i pozostało po nim tylko skrzące się, elektrostatyczne pole.

– Łączność przerwana, Najjaśniejszy Panie – służbiście zameldował Garon.

– Ale jest coś, co muszę im przekazać! – Właśnie zamierzał poinformować o amalu, co natychmiast wytrąciłoby wszystkie atuty z rąk innych graczy. – Niezwłocznie nawiązać kontakt.

– Staramy się, Najjaśniejszy Panie, ale oni to uniemożliwiają. Szaddam zobaczył, jak nad nimi jeden z liniowców znika, zakrzywiwszy przestrzeń. Poczuł, że pod mundurem ocieka potem.

Takiego scenariusza nie przewidział. Jak miał ogłosić ultimatum, skoro zerwano łączność? Jak miał teraz wymusić na Gildii współpracę, jak ją poinformować o amalu? Na czym miałyby polegać jego zwycięstwo, skoro zostanie uwięziony na Arrakis? Unieruchomiwszy go, Gildia mogłaby podjąć na terenie Landsraadu zabiegi o jego detronizację. Koniec końców, ród Korrinów miał tylko dziedziczki, a żadnego dziedzica.

Jeden po drugim zniknęły pozostałe cztery liniowce i na monitorach widać było tylko pustą przestrzeń. Coraz bardziej spanikowany Szaddam dopiero teraz poczuł beznadziejność sytuacji. Był daleko od Kaitain. Nawet gdyby służby techniczne potrafiły wykorzystać metody przemieszczania się

sprzed czasów Gildii, dopiero po stuleciach uda mu się powrócić do domu.

Wyraz twarzy Najwyższego Baszy nie zmienił się.

– Nasze siły trwają w pogotowiu, Najjaśniejszy Panie. Czy kazać im przejść w stan oczekiwania?

Jeśli nie będą mogli się stąd ruszyć, ile czasu potrwa, zanim sardaukarowie zaczną się burzyć?

– Jestem waszym Cesarzem! – ryknął wściekle Szaddam w kierunku ekranu. – To ja decyduję o polityce całego Cesarstwa!

Nie było jednak żadnej odpowiedzi. Nie wiadomo nawet, czy ktokolwiek go usłyszał.

Naturalnym przeznaczeniem władzy jest jej podział.

Cesarz Padyszach Idriss I, z archiwum Landsraadu

Niebo nad Ix zadrżało, a potem zaczęła z niego spływać setka liniowców Gildii ściągniętych z całego Cesarstwa, włącznie z pięcioma, które Szaddam zabrał na Arrakis. Ogromne statki rzuciły cień na lasy, potoki i skaliste wąwozy powierzchni Ix. Z szybów wentylacyjnych unosiły się dymy z podziemnego miasta. Pojazdy jakby powracały w ten sposób do domu, gdyż każdy z nich powstał tutaj, pod nadzorem rodu Verniusów.

Na dole ostatni, najbardziej zaciekli sardaukarowie, zwrócenii plecami do siebie, utworzyli krąg pośrodku wielkiej groty, gotowi walczyć do końca. Chcieli drogo okupić swoje życie.

Tymczasem, otoczony przez żołnierzy Atrydów, Hrabia Hasimir Fenring nie tracił rezonu, jak gdyby ciągle kontrolował sytuację.

– Na jakiej podstawie mam zostać więźniem, hmrm? Jestem cesarskim Ministrem do Spraw Przyprawy, zostałem tutaj wysłany przez samego Najjaśniejszego Pana, doszły nas bowiem słuchy o jakichś niebezpiecznych eksperymentach, a kiedy dowiedziałem się zbyt dużo, Mistrz Badań Ajidica usiłował mnie zgładzić.

– I to dlatego powitałeś nas z takim entuzjazmem – powiedział Duncan i pokazał wyszczerbiony miecz Starego Księcia.

– Byłem wystraszony, hmmm-mhmmm. Całe Cesarstwo wie, jacy bezwzględni są żołnierze Atrydów.

Otoczający Duncana wojacy spojrzeli na hrabiego tak, jakby niezwłocznie, na modłę Tleilaxan, chcieli na nim przeprowadzić medyczny eksperyment. Zanim Idaho zdążył coś odpowiedzieć, usłyszał w uchu sygnał, przycisnął guzik odbiornika i wysłuchał wiadomości. Uśmiechnął się pod nosem i zwrócił do Rhombura:

– Książę, przybyły liniowce Gildii. Są na orbicie wokół Ix.

– Wezwanie C'taira! – zawołał Rhombur. – Usłyszeli!

Fenring chciał już coś powiedzieć, gdy cała grotka zadygotała od huku tak wielkiego, jakby planeta się rozpadała. W następnej chwili na miejscu, które wybrali sardaukarowie na swą ostatnią redutę, znikąd pojawił się ogromny liniowiec. Fala powietrzna spowodowana nagłym pojawieniem się tak wielkiej masy zwałała ludzi z nóg, ciskała ich o skały. Pojazd pojawił się tam, gdzie sekundę wcześniej była tylko pusta przestrzeń, i wisiał teraz na odcieżaczach nie więcej niż dwa metry nad dnem groty. Znajdujący się bezpośrednio pod nim sardaukarowie zostali zgnieceni na miazgę.

Rhomburowi natychmiast stanęła przed oczami chwila, gdy w towarzystwie młodego Leta, bliźniaków Pilru i Kailei patrzył na start nowo zbudowanego liniowca klasy Dominik. Nawigator zakrzywił przestrzeń, a statek wprost z podziemi IX przenosił się w kosmiczną przestrzeń.

Teraz nastąpiło coś odwrotnego. Umiejętny manewr Sternika z wielką precyzją umieścił statek we wnętrzu planety, gdzie po jego nagłym pojawieniu się ustały walki i zapadła cisza. Nawet suboidzi zaprzestali okrzyków i dzieła zniszczenia. A potem przez głośniki wewnętrznej sieci łącznościowej przemówił dowódca wielkiej armady.

– Gildia Kosmiczna z radością wita powrót na IX księcia Rhombura Verniusa, wiążąc z tym nadzieje na rychły renesans znakomitej techniki i wynalazczości.

Można było odnieść wrażenie, że stojący między Gurneyem i Duncanem Rhombur nie wierzy własnym oczom. Tyle czasu minęło... jakby przed stuleciami. Ciekawe, czy Tessja uzna to miejsce za swój dom?

Z twarzy hrabiego Hasimira Fenringa zniknął pewny siebie uśmiech. Przebiegły Minister do Spraw Przygotowania wyglądał teraz na załamane.

Brutalność rodzi brutalność. Miłość rodzi miłość.

**lady Anirula Korrino,
prywatny dziennik**

Na jednym z niższych pięter pałacu natknęli się na leżące w poprzek korytarza ciało zakłutego gwardzisty. Leto przeskoczył nad zwłokami i pognął przed siebie, czując, że gdzieś w pobliżu musi być człowiek, który porwał jego syna. Zamoczone we krwi buty zostawiały na posadzce czerwone ślady. Leto wyrwał zza pasa ceremonialny sztylet. Nie będzie wahał się go użyć, jeśli pojawi się taka potrzeba.

W jednym z pokojów księżniczek znalazł kolejne ciało. Wpatrywał się w twarz zabitej Bene Gesserit, kiedy za plecami posłyszał zduszony okrzyk dwóch sardaukarów. Teraz sam poznał.

To lady Anirula, żona Szaddama IV.

W progu stanęła nagle Wielebna Matka Mohiam, także w czarnym habicie. Spojrzała na swe paznokcie, a potem na twarz martwej siostry.

– Zjawiłam się zbyt późno, aby w czymkolwiek pomóc. Nie mogłam jej uratować.

Z tupotem butów towarzyszący Letu gwardziści rozbiegli się po sąsiadujących pomieszczeniach. Leto patrzył nieufnie w twarz Mohiam. A może to ona zabiła Cesarzową?

Mohiam wystarczyło jedno spojrzenie ptasich oczu na jego twarz, żeby zrozumiała, co się dzieje w duszy księcia.

– Oczywiście, że jej nie zabiłam – powiedziała, odrobinę zabarwiając te słowa Głosem. – Twój syn jest już bezpieczny, książę.

Spojrzał w głąb pokoju i dojrzał na sofie mały becik. Podszedł do niego niepewnie, jakby nagle nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Z rumianej twarzyczki patrzyły na niego czujne oczy. Kosmyk czarnych włosów przypominał Leta, podbródek – Jessikę.

– Czy to naprawdę mój syn?

– Tak, twój syn – potwierdziła Mohiam tonem, w którym dało się posłyszeć gorycz. – Jak pragnęłam.

Nie pojmował tej dziwnej wymówki w głosie, ale też zupełnie się nią nie przejmował. Przepelniało go szczęście z powodu odnalezienia syna. Wziął w ramiona małe zawiniątko, przypominając sobie, jak trzymał tak Victora.

„Znowu mam syna!”

Wpatrywały się w niego uważne, szeroko otwarte oczy.

– Trzeba podtrzymywać główkę – pouczyła go Mohiam i poprawiła niemowlaka w rękach księcia.

– Wiem o tym – obruszył się Leto. To samo mówiła mu Kailea, gdy trzymał Victora. Nagle wrócił dawny niepokój. – Kto go porwał? Gdzie ten człowiek?

– Nie wiem – odparła Mohiam. – Porzucił dziecko i ulotnił się.

– Co takiego?! – Księżę nie posiadał się z wściekłości. – Ktoś porywa mego syna i uchodzi mu to bezkarnie? Jak znalazłaś dziecko?

Stara kobieta wydawała się znużona.

– Leżało na podłodze, obok zwłok lady Aniruli. Widzisz jej ręce? Kurczowo zaciskała je na beciku. Chyba w jakiś sposób uratowała twojego syna.

Leto patrzył na nią nieufnie. Ani na kocu, ani na dziecku nie zauważył żadnych krwawych śladów. Pojawił się sardaukar i zasalutował.

– Przepraszam, że przerywam, księżę panie. Odnaleźliśmy księżniczkę Irulanę, całą i zdrową.

Ruchem głowy wskazał za siebie, gdzie w progu stała jedenastoletnia dziewczynka odziana w suknię w biało-czarną kratę z krzyżem Korrinów na rękawach. Czekwała pod opieką gwardzisty, który niewprawnie usiłował mówić coś uspokajającego. Nie było jej to chyba potrzebne, chociaż wyglądała na wstrząśniętą. Co takiego widziała? Patrzyła teraz w oczy Wielebnej Matki tym charakterystycznym, nieprzeniknionym wzrokiem Bene Gesserit, jakby potwierdzała, że dzielą jeden z przeklętych sekretów zakonu.

Podeszła ku nim spokojnym, płynnym krokiem.

– To był mężczyzna w porwanym mundurze sardaukarów i makijażem na twarzy. Zabił moją matkę i uciekł, a ja nie zdążyłam mu się przyjrzeć.

Leto podziwiał zachowanie księżniczki. Chociaż na własne oczy widziała śmierć swojej matki, nie straciła zimnej krwi i panowania nad sobą. Popatrzyła na ciało Aniruli, które jeden z gwardzistów zakrywał właśnie szarą płachtą. Jej oczy pozostawały suche, twarz wydawała się wykuta w alabastrze. Rozumiał ją dobrze. Czegoś takiego uczył go ojciec.

„Pozwól sobie na cierpienie w zaciszu własnych pokoi, niechaj nikt nie widzi twego bólu”.

Irulana znów wpatrzyła się w Mohiam, jakby wspólnie ustalały wersję wydarzeń. Wyglądało na to, że księżniczka wie więcej. Coś było pomiędzy nią a starzejącą się Wielebną Matką. Leto prawdopodobnie wolałby nie znać tej prawdy.

– Zbrodniarz zostanie schwytyany – oznajmił stanowczo Leto, mocniej przyciskając do siebie syna. Dowódca gwardzistów koordynował dalsze poszukiwania, rzucając do mikrofonu krótkie rozkazy.

Mohiam spojrzała przeciągle w twarz Leta.

– Lady Anirula oddała życie za twego syna. – Przez jej twarz przemknął jakiś cień. – Chowaj go dobrze, księżę. – Przesunęła palcami po beciku. – Szaddam z pewnością nie ustanie, póki nie znajdzie mordercy swojej żony. – Cofnęła się, jakby go odprawiała. – A teraz idź, powiedz o wszystkim Jessice.

Leto był nadal pełen nieufności, ale wcale nie trzeba go było namawiać, by pokazał się matce swego syna. Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Irulana wpatrywała się w Mohiam. Żadna z nich nawet nie drgnęła. Dziewczyna przez szczelinę w drzwiach widziała, jak ginie jej matka. Nie rozumiała, dlaczego aż tak jej zależało na bękarcie

Atrydów, że naraziła swe życie.

„Dlaczego to dziecko jest takie ważne? Dlaczego?”

Wojna niszczyła w przeszłości najwspanialszych ludzi. Naszym celem było takie ograniczenie jej zasięgu, aby więcej już do tego nie dochodziło. Wojna w niczym nie przyczyniła się do ulepszenia gatunku.

Najwyższy Basza Zum Garon, tajne wspomnienia

Książę Rhombur Vernius dobrze rozumiał, że na razie ma za sobą dopiero jedną wygraną bitwę, a teraz czeka go jeszcze wiele wysiłku, aby przywrócić dawną świetność Ix. To jednak wcale nie napawało go lękiem.

– Zjawią się tutaj najwybitniejsi detektywi i eksperci medyczni – zapewnił go Duncan, patrząc na widoczne w oddali zgliszcza centralnego laboratorium. – Na razie bezpieczniej się tam nie zbliżać, ale kiedy żar wygaśnie, zbadają każdy szczegół, który mógłby posłużyć jako dowód. Na pewno znajdzie się coś, co pozwoli pociągnąć do odpowiedzialności hrabiego Fenringa, a może i – Cesarza.

Rhombur pokręcił głową wpatrzony w kikut mechanicznego przegubu.

– Nie warto. Nawet jeśli nam się to uda, Szaddam znajdzie sposób, aby się wykręcić. Przy tak wysokiej stawce będzie walczył ze wszystkich sił, gotów przekupić nawet cały Landsraad.

Duncan wskazał roztaczające się przed nimi pobojowisko, na którym medycy w białych kitlach wyszukiwali między zabitymi rannych i udzielali im pierwszej pomocy.

– Spójrz, ilu poległo tutaj cesarskich żołnierzy. Czy Szaddam może udawać, że nic się nie stało? A jeśli nie uda mu się wytłumaczyć obecności na Ix sardaukarów, oskarży nas o zdradę.

– Zrobiliśmy to, co należało – stanowczo powiedział Rhombur.

– Tak czy owak, ród Atrydów stoczył bój z wojskami cesarskimi – wtrącił Gurney – i jeśli nie będziemy mieli solidnych dowodów, zwycięstwo na Ix może okazać się porażką.

Porzucony nad Arrakis, bezsilny, wściekły, że jego plany spełzły na niczym, upokorzony na oczach sardaukarów, Szaddam musiał jednak wydać najtrudniejszy ze wszystkich swych dotychczasowych rozkazów. Z zaciśniętymi szczękami warknął:

– Baszo, pogotowie bojowe odwołane. – Zaczerpnął głęboko powietrza. – Rozbroić systemy atakujące.

Statki cesarskie w jednym, zgodnym manewrze przesunęły się na wyższą orbitę. Cesarz tymczasem potoczył wzrokiem po otaczających go oficerach, jakby od nich oczekiwał pomysłu na rozwiązanie tej beznadziejnej sytuacji. Wszystkie twarze pozostawały nieporuszone, ale Szaddamowi wydawało się, że we wszystkich oczach widzi naganę. Nawet gdyby teraz zaczęli lądować na powierzchni pustynnej planety, najpewniej naraziliby się na drwiny barona Harkonnena.

„Stanę się teraz pośmiewiskiem całego Cesarstwa”.

Naburmuszony rzucił:

– Oczekiwać dalszych rozkazów – i jak niepyszny zniknął w swojej kabinie.

Czekali cały dzień.

Na Arrakis nie funkcjonował żaden z systemów łącznościowych. Sardaukarowie mogli się wprawdzie porozumiewać między statkami, ale nie mieli specjalnie o czym ze sobą rozmawiać.

Szaddam miotał się w kabinie, nie mogąc uwierzyć, że w ten sposób został potraktowany przez Gildię. Był zarazem pewien, że zjawią się znowu lada chwila, aby naigrawać się ze swego upokorzonego władcy.

Pewność powoli stawała się już tylko nadzieją, a i ta gasła wraz z upływem godzin. Kiedy był już bliski desperacji, na niebie pojawił się jeden jedyny liniowiec.

Szaddam w pierwszej chwili chciał obrzucić jego dowódcę przekleństwami i domagać się bezzwłocznego transportu na Kaitain, ale natychmiast się opanował i zachował dostojne milczenie. Ciekawe, jakie postawią warunki. Gdy otworzył się wielki luk liniowca, wyłonił się z niego jeden jedyny stateczek, a na mostek cesarskiego statku flagowego przesłano wiadomość:

– Wysyłamy prom, który zabierze Cesarza. Rozmowy będziemy kontynuować na pokładzie liniowca.

Szaddam chciał odwarknąć mówiącemu, że nikt nie będzie go wzywał na rozmowy, ale zaraz przypomniał sobie, w jakiej jest sytuacji, i przełknął obelgę. Przynajmniej starał się zachowywać z godnością.

– Czekamy na przybycie promu.

Nie czekał jednak beczynnym, lecz pospiesznie przebrał się w oficjalny szkarłatno-złoty strój, przyozdabiając go tyłoma insygniami władzy, ile się na nim zmieściło. Kiedy zameldowano mu przybycie promu, wyszedł na rampę dostojnym krokiem, myśląc, że sam jego wygląd powinien napełnić patrzących lękiem. Zaraz jednak przypomniał sobie o Mandiasie Straszliwym, który spoczywa gdzieś w piwnicznych kruchtach pałacu na Kaitain, w nikim już nie wzbudzając najmniejszego lęku.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy w wejściu promu zobaczył hrabiego Hasimira Fenringa, który czynił zapraszające gesty. Po wyrazie jego twarzy zorientował się, że najrozsądniej będzie zachować milczenie. Zum Garon zrobił ruch, jakby zamierzał im towarzyszyć, ale Fenring odprawił go gestem dłoni.

– To będzie prywatna narada. Chcę się zastanowić, hmmm, jak znaleźć kompromisowe rozwiązanie.

Szaddam czuł, jak wzbierają w nim złość i zakłopotanie, gdyż najgorsze było jeszcze przed nim.

Kiedy prom ruszył, usiedli w fotelach i zapatrzyli się w gwiazdy migające w iluminatorach. Ród Korrinów rządził tą wielką dziedziną od dziesięciu tysięcy lat. Pod nimi popękane Arrakis wydawało się kawałkiem szlaki między brylantami.

Szaddam podejrzewał, że ich rozmowa będzie podsłuchiwana przez szpiegów Gildii. Tak samo musiał myśleć Fenring, skorzystał bowiem z tajnego języka, który wymyślili jeszcze jako chłopcy.

– Na Ix jedna wielka katastrofa, Najjaśniejszy Panie. A jak widzę, i tobie nie poszło lepiej na Arrakis. – Potarł w zamyśleniu podbródek. – Ajidica nas oszukał, ale uprzedzałem, że nie można mu wierzyć, hmmm.

– A co z amalem? Przecież sam go próbowałem! Wszystkie raporty Ajidicy i dowódcy moich sardaukarów potwierdzały jego wysoką jakość, także ty!

– Raport musiał złożyć ci pod moją postacią jeden z Tancerzy Oblicza. Amal to wielka porażka. Próbné testy spowodowały śmierć dwóch Nawigatorów Gildii i katastrofy dwóch liniowców. Na własne oczy widziałem, jak Mistrz Badań kona z powodu przedawkowania. Hmmmm.

Szaddamem targnął dreszcz, a krew odpłynęła mu z twarzy.

– Mój Boże, jak pomyślę, że o mały włos nie zniszczyłem całego Arrakis!

– Amal dosięgnął również twych żołnierzy na Ix, którzy nie potrafili sprostać wojskom Atrydów.

– Atrydów? Na Ix? Jak...

– Twój kuzyn Leto zbrojnie przywrócił na Ix rządy Rhombura Verniusa. Tleilaxanie i twoi sardaukarowie zostali pobici. Przynajmniej udało mi się zniszczyć wszystkie ślady badań nad amalem i linie produkcyjne. Nie ma żadnych poszlak, które wskazywałyby na ród Korrinów.

Twarz Szaddama dla odmiany stanęła w pąsach. Jak mogła go spotkać tak kompletna porażka?

– Miejmy nadzieję.

– Nawiasem mówiąc, możesz poinformować Najwyższego Baszę, że jego syn zginął w walkach.

– Same nieszczęścia. – Szaddam schował twarz w dłoniach i jęknął: – Więc co, żadnego substytutu przyprawy? Nic?

– Hmmm, nic. Nic z tego.

Cesarz opuścił dłonie i patrzył na zbliżający się olbrzymi liniowiec. Fenring nie starał się nawet ukryć swej pogardy.

– Gdybyś istotnie zrealizował swój pomysł zniszczenia Arrakis, zgotowałbyś koniec nie tylko swoim rządóm, ale całemu Cesarstwu. Cofnęlibyśmy się do czasów sprzed dżihadu i ówczesnych prymitywnych podróży. – Wyciągnął oskarżycielko palec. – Tyle razy ostrzegałem cię przed podejmowaniem takich decyzji bez konsultacji ze mną. To byłby twój ostateczny upadek.

Liniowiec wchłonął mały prom niczym wieloryb kryl. Nikt nie wyszedł na powitanie Cesarza Padyszacha, nie czekała na nich żadna eskorta.

Siedzieli i czekali, aż ktoś się z nimi skontaktuje, a tymczasem Nawigator uruchomił silniki Holtzmana, zakrzywił przestrzeń i przeniósł Cesarza na Kaitain, gdzie miał się dowiedzieć o konsekwencjach swych nieopatrznych decyzji.

Zemsta może przybrać postać zawilego spisku albo bezpośredniej agresji. Są takie sytuacje, gdy zemsta wymaga cierpliwego czekania.

earl Dominik Vernius,
Dziennik banity

Kilka tygodni później na Kaitain Szaddam IV Korrino słuchał nagranych oskarżeń Tyrosa Reffy i najchętniej odpowiedziałby stekiem wyzwisk. Za zatrzaśniętymi drzwiami prywatnego gabinetu Cesarza Cammar Pilru czekał na jego komentarz, a chociaż ambasador Ix oglądał to nagranie wielokrotnie, za każdym razem czuł, jak ściska mu się serce.

Szaddam nie był jednak specjalnie przejęty.

– Widzę, że miałem rację, każąc mu zakleić usta przed egzekucją.

Powróciwszy do pałacu, Szaddam nie dopuszczał nikogo przed swoje oblicze. Na zewnątrz sardaukarowie rozginali liczne demonstracje. Wznoszono hasła domagające się jego abdykacji, co byłoby niezłym rozwiązaniem, gdyby tylko miał męskiego potomka. Jego najstarsza, jedenastoletnia w tej chwili córka, Irulana, otrzymywała liczne oferty małżeńskie ze strony najpotężniejszych rodów. Szaddam najchętniej ukatrupiłby wszystkich zalotników... a może i córkę. Przynajmniej kłopot z żoną miał z głowy.

Nawet lojalni sardaukarowie odnosili się do niego z niechęcią a Najwyższy Basza Zum Garon wystąpił z formalną skargą. Jego syn zginął podczas walk na Ix, ale stary basza był zdania, że – co

gorsza – cesarscy żołnierze zostali zdradzeni. Niepokonani, lecz zdradzeni. Bardzo mu zależało na tym odróżnieniu, gdyż w swojej długiej historii sardaukarowie nie ponieśli jeszcze nigdy porażki. Dlatego domagał się, aby oficjalnie zmasowano tę skazę, a także żądał pośmiertnego odznaczenia dla syna.

Szaddam nie miał pojęcia, jak się do tego wszystkiego zabrać.

W innej sytuacji nawet pół minuty nie poświęciłby temu żalosnemu, nadętemu dyplomacie z IX. Teraz jednak ambasador wykorzystywał szczęśliwe odwrócenie kolei losów Rhombura. Pewny siebie, cisnął przed Szaddama arkusz ryduliańskiego papieru krystalicznego.

– Wielka szkoda, Najjaśniejszy Panie, że nie zadałeś sobie trudu, aby przeprowadzić dokładne badania genetyczne Tyrosa Reffy, a tylko zaprzeczyłeś twierdzeniom, że w jego żyłach płynie krew Korrinów. Wielu ludzi w Landsraadzie nie wierzy twoim słowom. – Wskazał palcem na arkusz. Przez wiele lat poniżany i lekceważony, teraz był gotów zrobić wszystko, aby Szaddam zapłacił reparacje mieszkańcom IX, a także by w żaden sposób nie usiłował torpedować powrotu Verniusów do władzy. – Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że pobrałem od niego próbki tkanek w celi więziennej. – Na wargach Pilru pojawił się ponury uśmiech. – Oto nieodparty dowód, że Tyros Reffa istotnie był synem Elrooda IX. A zatem podpisałeś, panie, wyrok śmierci na swojego brata.

– Brata przyrodniego! – wypalił Szaddam.

– Bez trudu mogę zorganizować cichą dystrybucję tego nagrania i wyników testów pomiędzy członkami Landsraadu, Najjaśniejszy Panie – rzekł ambasador Pilru, podnosząc kartkę papieru krystalicznego. – Obawiam się, że los twego brata przyrodniego nie na długo pozostanie tajemnicą.

Pilru zadbał wcześniej, aby w wynikach nie pozostały dane o linii genetycznej matki. Nikt nie musiał wiedzieć, że Reffę urodziła od dawna już nie żyjąca lady Shando Vernius. Rhombur znał sekret i to wystarczy.

– Twoja pogróżka jest bardzo czytelna, ambasadorze. – Oczy Szaddama płonęły gniewem. – Do rzeczy, czego chcesz ode mnie?

Kiedy teraz Szaddam czekał w swych komnatach na wyniki kilku śledztw rozpoczętych przez Landsraad, nic nie sprawiało mu przyjemności. Rozumiał wreszcie, dlaczego nawet w podeszłym wieku jego ojciec pił tyle piwa przyprawowego. Również przyjacielowi z lat dzieciństwa, hrabiemu Fenringowi, nie udawało się go rozweselić.

Marnej pociechy mógł szukać Szaddam jedynie, dręcząc innych.

Fenring krążył po pokoju podniecony i niespokojny. Wszystkie wejścia, z wyjątkiem głównego, zostały zamknięte, gwardzistom wolno było wejść tylko na wezwanie.

– Będą tu lada chwila, Hasimirze – powiedział Szaddam.

– Ale to trochę jakby... dziecinne, nieprawdaż, hmmm?

– Tak czy owak, korzystne i nie próbuj z tym polemizować. Poza tym, są jednak pewne korzyści z bycia Cesarzem.

– To ciesz się nimi, póki możesz – mruknął Fenring, ale spuścił oczy pod palącym spojrzeniem Szaddama.

Obaj jednocześnie popatrzyli w kierunku wielkich brązowych drzwi, które powoli zaczęły się uchylać. Sardaukarowie, do wtóru trzaskom, brzękom i skrzypieniu, zaczęli wtaczać złowrogo wyglądającą maszynę. W środku wirowały ostrza, a z kontaktów sypały się iskry.

Wiele lat temu Tleilaxanie pojawili się z tym urządzeniem podczas procesu Leta Atrydy, w nadziei, że otrzymają pozwolenie na upuszczenie jego krwi, a potem pocięcie ciała, co dałoby im wielką ilość wartościowego materiału genetycznego. Szaddam zawsze uważał, że to maszyna o

wielkim potencjale. Fenring w zamyśleniu przyglądał się monstrualnemu aparatowi.

– Hm, jedynym celem tej maszyny jest dręczenie, zadawanie bólu. Gdybyś mnie spytał Szaddamie, hmmm-mhm, powiedziałbym, że jest najniewątpliwiej obdarzona ludzkim umysłem. Czy my tu aby nie mamy do czynienia z pogwałceniem Wielkiej Konwencji?

– Nie jestem w nastroju do żartów, Hasimirze.

W ślad za maszyną wprowadzono sześciu rozebranych do pasa Mistrzów Tleilaxan, wiadomo bowiem było, jak sprytnie potrafią ukryć broń w rękach czy fałdach ubrania. Byli to przedstawiciele Tleilaxan, którzy pojawili się na dworze przed kilkoma miesiącami, natychmiast aresztowani, gdy okazało się, że Projekt Amal zakończył się totalnym niepowodzeniem. Teraz Szaddam postanowił ich zgładzić.

Hrabia Fenring czekał na to niecierpliwie, podejrzewał bowiem, że przynajmniej jeden z pojmanych to Tancerz Oblicza, który, przybrawszy jego postać, złożył Szaddamowi entuzjastyczny raport o sukcesach związanych ze sztuczną przyprawą. Chodziło tylko o zyskanie na czasie, by Mistrz Badań zdążył uciec, intryga jednak się nie powiodła.

Dla Szaddama wszyscy oni nie różnili się od siebie i stanowili tylko gromadkę obrzydliwych liliputów.

– Stanać przy swojej maszynie! – wrzasnął na nich. – Kto jak kto, ale wy dobrze wiecie, jaki jest jej cel! – Więźniowie pokornie otoczyli urządzenie. – Wy, Tleilaxanie, wyrządziliście mnóstwo zła, w dużej części przyczyniwszy się do najpoważniejszego kryzysu za mego panowania, i nie widzę powodu, aby część odpowiedzialności nie spadła na wasze barki. No, szybko, wybierzcie jednego spośród siebie, na którym zademonstrujecie działanie tego aparatu, a potem na moich oczach zdemontujecie go tutaj.

Jeden z gwardzistów położył na podłodze skrzynkę z narzędziami. Szaroskórzy mężczyźni popatrzyli w milczeniu na siebie. W końcu jeden z nich szybkimi ruchami przygotował urządzenie, a następnie włączył je. Cesarza i gwardzistów zaskoczył ryk, z jakim ruszyła maszyna, Fenring zupełnie nie był zdziwiony, rozumiejąc, że jej efektywność zależy po części od złowieszczej natury.

– Zdaje się, że macie kłopot z wyborem, hmmm? – zakpił.

– Nie, już podjęliśmy decyzję – oznajmił jeden z Tleilaxan, po czym bez zbędnego słowa czy gestu cała szóstka wspięła się na szczyt, po czym jeden za drugim skoczyli w wielką, lejowatą gardziel, pod którą w różnych płaszczyznach poruszały się liczne ostrza. Jakby to miał być ich pożegnalny złośliwy żart, krew, kawałki ciała i wnętrzności trysnęły na Cesarza, Fenringa i gwardzistów, którzy z obrzydzeniem skoczyli do tyłu. Szaddam chwycił kawałek materiału, żeby się wytrzeć, Fenring bez widocznego wstrętu otarł czoło. Pokrajani żywcem Tleilaxanie nie wydali z siebie żadnego krzyku ani jęku.

– No cóż, to chyba zakończyło sprawę Tancerzy Oblicza – mruknął nie całkiem usatysfakcjonowany Szaddam.

Prawda często niesie ze sobą konieczność zmiany. Kiedy ważna przemiana dotyka ludzi, ich najczęstszą reakcją jest oburzony okrzyk: „Dlaczego nikt nas nie uprzedził? „A w istocie nie słuchali, a jeśli słuchali, to zapomnieli.

**Wielebna Matka Harishka,
Mowy zebrane**

Jeszcze przez całe tygodnie Kaitain targwały intrygi, spiski, ujawniane sekrety. Teraz jednak pozostało już tylko zgasić kilka nadal tłących się ognisk, ocenić polityczne straty, wynagrodzić sojuszników i spłacić długi.

Odziany w paradny czerwony mundur Starego Księcia, na którym lśniły medale i epolety, Leto Atryda siedział na podwyższeniu pośrodku Hali Przemówień. Historyczne posiedzenie po części miało charakter śledztwa, po części sprawozdania, a po części – dobijania targów.

Cesarz Szaddam Korrino siedział osobno, twarzą do sali.

Na podwyższeniu obok Leta zasiadło także sześciu przedstawicieli Gildii i sześciu reprezentantów Landsraadu, a pośród nich świeżo osadzony na tronie księżę Rhombur. Pośród flag Wysokich Rodów, mieniących się wszystkimi barwami tęczy, zawisła purpurowo-miedziana chorągiew Verniusów. Jej poprzedniczkę uroczyście spalono po tym, jak Dominik Vernius zdecydował się na banicję. W środku wisiała największa flaga Korrinów ze złotym lwem, a po jej obu stronach zajęły miejsca równie wielkie chorągwie Gildii Kosmicznej i ZNAH-u.

W wyłożonych czarnymi i kasztanowymi tkaninami ławach zasiedli zwierzchnicy Wysokich Rodów, premierzy i ambasadorowie. Nie opodal Leta znajdowało się miejsce oficjalnej delegacji Atrydów, w której znalazła się także Jessika z ich kilkutygodniowym synkiem, a oprócz nich Gurney Halleck, Duncan Idaho, Thufir Hawat, najdzielniejsi oficerowie i żołnierze oraz opiekująca się Rhomburem Tessja i nieustannie karcący swego pacjenta doktor Yueh.

Na ławie oskarżycieli zasiedli posępni przedstawiciele pokrzywdzonych przez Szaddama rodów z IX, Taligari, Beakkalu i Richese. Premier Ein Calimar siedział sztywno wyprostowany i śledził wszystko swymi metalowymi oczami nabytymi od Tleilaxan.

Bene Tleilax, jeszcze bardziej nienawidzeni niż kiedykolwiek dotąd, nie byli reprezentowani. Gdzieś zniknęli bez śladu ich przedstawiciele, od jakiegoś czasu często widywani na dworze. Nawet bez słuchania długiej listy zarzucanych im przestępstw Leto mógł przewidzieć, że spotkają ich liczne, bardzo surowe kary.

Rozległ się dzwonek i powstał wiekowy prezes ZNAH-u.

– W tych czasach pełnych zamętu popełniono wiele ciężkich błędów, innych ledwie udało się uniknąć.

Co dziwne, nigdzie nie było widać nie tylko barona Harkonnena, ale nawet jego oficjalnego ambasadora, który, podobnie jak Mistrzowie Tleilaxan, z dnia na dzień przestał się pokazywać w pałacu. Leto był jednak święcie przekonany, że Harkonnenowie musieli się jakoś przyczynić do tego całego zamętu.

Liczne rody zabiegały usilnie o uzyskanie ich lenna, ale Leto przypuszczał, że baron jednak zachowa je, chociaż pewnie za cenę znacznych grzywien, a także sowitych łapówek, które zdążył już umieścić w odpowiednich dłoniach.

Cesarstwo przeżyło już dość wstrząsów.

Odczytywanie listy oskarżeń ciągnęło się godzinami. Mentaci recytowali z pamięci numery paragrafów i ich dokładne brzmienie. Zebranych zaczynało ogarniać znużenie.

Wreszcie przysła kolej na Rhombura. Księżę stanął na podwyższeniu w wojskowym mundurze, z czapką skrywającą część blizn na głowie. Wyćwiczonym ruchem zablokował mechaniczne protezy do długiego stania.

– Po wielu latach bestialskiej okupacji Tleilaxanie zostali wreszcie przegnani z mej ojczyzny. Zwyciężyliśmy na IX. – Zebrani zaczęli krzyczeć z aplauzem, chociaż wielu z nich przed laty obojętnie wysłuchiwało prośb Dominika Verniusa o pomoc. – Wnoszę formalnie o przywrócenie

Verniusom wszystkich przywilejów Wysokiego Rodu, których zostaliśmy pozbawieni, gdy zdrada zmusiła mego ojca do banicji. Domaga się tego sprawiedliwość, ale powrót mego rodu do pełnej władzy będzie korzystny także dla wszystkich tu obecnych.

– Popieram! – głośno oznajmił Leto.

– Tron nie wysuwa sprzeciwów – oświadczył głośno nie pytany Szaddam i spojrzał przeciągle na ambasadora Pilru. Kiedy nikt nie zgłosił sprzeciwów, na sali powtórnie dały się słyszeć wiwaty.

– Odnutowane – powiedział prezes ZNAH-u, nie kłopotząc się nawet o zapytanie o odmienne opinie czy o dalszą dyskusję.

Twarz Rhombura wykrzywił grymas. Przywrócenie Verniusom dawnej pozycji miało charakter tylko symboliczny, gdyż on nigdy nie będzie miał potomka. Uniósł dumnie brodę.

– Zanim stąd zejdem, chciałbym jeszcze uhonorować tych, którzy najbardziej zasłużyli się dla Ix. – Wziął ze stolika poduszkę z wpiętymi w nią różnokolorowymi medalami i podniósł ją do góry. – Może ktoś by to wszystko zawiesił na mnie? – Rozbawiona sala parsknęła śmiechem. – No nic – mruknął Rhombur – może coś innego z nimi zrobię. Księżę Atrydo, mój najwierniejszy przyjacielu!

Leto powstał i stanął naprzeciw Rhombura, czemu towarzyszyły burzliwe oklaski. Po chwili na podwyższeniu stanęli także Duncan Idaho, Thufir Hawat, Gurney Halleck i Jessika z noworodkiem w ramionach. Rhombur zawiesił na uniformie Starego Księcia spirale z drogiego metalu unoszącą się w płynnym kryształ. Następnie udekorował najmężniejszych z tych, którzy dopomogli w wyzwoleniu Ix, a także wiernego ambasadora, Cammara Pilru, który otrzymał też pośmiertne odznaczenie dla obu swych synów: walecznego C'taira i D'murra, odpowiedzialnego za uratowanie pasażerów zagubionego liniowca. Na koniec Rhombur stanął zakłopotany z ostatnim medalem w ręku.

– Czyżbym jeszcze o kimś zapomniał?

Leto wziął order i zawiesił go na piersi przyjaciela, a potem przy głośnych owacjach obaj padli sobie w objęcia. Leto spojrzał nad ramieniem Rhombura na Cesarza. Żaden z dotychczasowych władców nie poniósł tak druzgoczącej klęski. Jeśli Szaddamowi udało się zachować tron, to tylko dlatego, że nie rysowało się żadne inne rozwiązanie. Rywale zwalczali się tak zaciekle, że efektem była równowaga sił, na czym korzystał Szaddam, chociaż tak słaby. Sprawa jednak nie była jeszcze przesądzona.

Przyszła wreszcie kolej na mowę obronną Szaddama. W Hali Przemówień rozległy się tak głośne pomruki, że zagłuszyła je dopiero fanfara szambelana Ridondo.

Cesarz Znanego Wszechświata powstał z dumnie podniesioną głową ale nie skierował się na podwyższenie. Chrapliwym – być może od pokrzykiwania na otoczenie – głosem całą winą za Projekt Amal obarczył Tleilaxan i swego ojca.

– Nie wiem, dlaczego Elrood wszedł w konszachty z tymi nikczemnikami. Trzeba pamiętać, że był już stary. Wielu z was przecież pamięta, jak drażliwy i nieobliczalny stał się pod koniec życia. Bardzo żałuję, że wcześniej nie wpadłem na trop tej nieodpowiedzialnej próby.

Szaddam twierdził, że zupełnie nie orientował się w szczegółach tego, co dzieje się na Ix, a oddziały sardaukarów utrzymywał tam tylko w celu zachowania spokoju. Kiedy tylko dowiedział się o istnieniu amalu, natychmiast wysłał swego osobistego pełnomocnika, hrabiego Hasimira Fenringa, który na miejscu został pojmany. Szaddam zwiesił głowę, udając głęboki smutek.

– Słowo Korrinów musi wszak coś znaczyć.

Sądząc po zachowaniu zebranych, niewiele przekonał. Szeptali między sobą machali rękami, do uszu Leta doleciał czyjś głos: „Śliskie jak świmak w tłuszczu”.

Szaddam udawał, że nie widzi tego wszystkiego. Miał za sobą ciąg wielu pokoleń, miał za sobą

siłę tradycji, a poza sceną jego zausznicy sporo trudu włożyli w to, aby zrobić wielu z niechętnych mu ludzi.

Leto wpatrywał się w sufit i przypominał sobie słowa Paulusa, że wbrew sobie w polityce nieustannie należy przystawać na nie najlepsze konieczności. Podjął wreszcie decyzję i poprosił o głos, którego prezes ZNAH-u udzielił mu bezzwłocznie.

– Lata temu – zaczął – podczas Przewodu Konfiskacyjnego Cesarz Szaddam wystąpił w mojej obronie. Myślę, że nadszedł czas, abym mu się za to odwdziczył. – Na wielu twarzach dojrzał wyraz zdumienia. – Proszę, wysłuchajcie mnie do końca. Cesarz z powodu swojej... ignorancji omal nie doprowadził całego Cesarstwa do katastrofy. Gdyby jednak nasze zgromadzenie chciało na to zareagować równie nieodpowiedzialnymi posunięciami, tylko pogłębiłoby to chaos. Musimy mieć na względzie dobro całego Cesarstwa. Nie wolno nam dopuścić do zamętu, który wieki temu zapanował podczas Wielkiego Bezkrólewia. – Leto urwał na chwilę, a potem ciągnął: – Trzeba pamiętać, że wszyscy mamy wiele do zawdzięczenia rodowi cesarskiemu. Każdy ród reprezentowany w Landsraadzie opłakuje śmierć ukochanej przez wszystkich małżonki Szaddama, lady Aniruli, a mnie dotyczy to bardziej niż innych, gdyż życie swe ofiarowała, broniąc mego nowo narodzonego syna, spadkobiercę rodu Atrydów. – Podniósł głos i mówił z mocą: – Proponuję, aby Landsraad i Gildia wyznaczyły zespół nowych doradców, z którymi Cesarz Padyszach będzie odtąd musiał konsultować swoje posunięcia. Szaddamie IV Korrino, czy akceptujesz takie rozwiązanie dla dobra wszystkich swoich poddanych, wszystkich planet i włości?

Zapytany nie miał wielkiego wyboru. Powstał i rzekł:

– Akceptuję, jak zawsze mając na względzie dobro całego Cesarstwa. – Wpatrywał się w posadzkę, gorąco pragnąc znaleźć się w tej chwili w jakimkolwiek innym miejscu. – Obiecuję współpracować z wyznaczonymi przedstawicielami Landsraadu, by lepiej służyć swym poddanym.

W głębi duszy był pełen podziwu dla zręczności tego swego kuzynka, który tak umocnił swoją pozycję, podczas gdy on, Cesarz Miliona Planet, musiał przeżywać upokorzenie za upokorzeniem. Leto tymczasem zszedł z podwyższenia, stanął przed cesarską ławą i wy dobył zza pasa sztylet z rękojeścią lśniąca od klejnotów. Oczy Szaddama rozszerzyły się w zdumieniu, tymczasem Leto podał mu broń, trzymając ją za ostrze.

– Ponad dwadzieścia lat temu ofiarowałeś mi go, Najjaśniejszy Panie, stając u mego boku, gdy zostałem fałszywie oskarżony przez Tleilaxan. Myślę, że teraz jest ci on bardziej potrzebny niż mnie. Weź go z powrotem i rządz mądrze, a ilekroć spojrzysz na ten kordiał, pamiętaj o lojalności Atrydów.

Szaddam przyjął sztylet z nachmurzonym czołem. „Mój czas jeszcze nadejdzie. A ja nigdy nie zapominam, kto jest moim wrogiem”.

Tajemne planety Bene Tleilax od dawna dostarczały wypaczonych mentatów. Ich pojawianie się nieustannie stawiało problem: kto jest bardziej wypaczony – owi mentaci czy ich twórcy?

Podręcznik Mentata

Dla barona Harkonnena Giedi Prima była tak piękna, że żaden Kaitain nie mógł się z nią równać. Na zachmurzonym niebie słońce bardziej się żarzyło niż paliło. Masywne budowle i pełne dramatyzmu pomniki nadawały stolicy Harkonnenów niepowtarzalny wygląd. Powietrze przesycone

zapachami przemysłu i ludzkiej ciżby dawało poczucie swojskości i bezpieczeństwa.

A baron myślał już, że nigdy nie zobaczy tego miejsca.

Kiedy złowroga armada liniowców i flota cesarska opuściły Arrakis, piaszczysty świat dygotał niczym mysz pustynna, która ledwie umknęła prześladowcy.

Według oficjalnej wersji Cesarz tylko blefował i wcale nie miał zamiaru unicestwić jedyne go źródła melanzu. Baron wcale nie był o tym przekonany, ale wątpliwości wołał zachować dla siebie. Szaddam już wcześniej posunął się do skrajnych, nieprzemyślanych działań, niczym dziecko nieświadome konsekwencji swoich czynów.

„To szalenie!”

Kiedy baron zaczął szukać kozłów ofiarnych, okazało się, że cała wolańska służba w tajemniczy sposób zniknęła. Na dodatek musiał czekać kilka tygodni, zanim mógł powrócić na łono cywilizowanego świata. Rabban, wymyślając różne wymówki, zwlekał z wysłaniem fregaty.

Rozwścieczony całą aferą baron wrócił w końcu na Giedi Prime, aby leczyć swe rany. Postanowił nie uczestniczyć w sesji Landsraadu, mającej stanować sąd nad Cesarzem, niemniej jednak słał, jeden za drugim, oficjalne dokumenty, w których protestował przeciw próbie zniszczenia wszelkiego życia na Arrakis, „a wszystko z powodu kilku drobnych nieścisłości w rachunkach”.

Baron był prawdziwym mistrzem, jeśli chodzi o udawanie niewinności, zarazem jednak niepokoił go fakt, że nie miał żadnych wiadomości od Pitera de Vriesa, który powinien zabiegać na Kaitain o takie pozory. Co więcej, był nieodzownym pośrednikiem przy oferowaniu i wręczaniu łapówek, które powinny zjednać Harkonnenom odpowiednie osoby. Ostatecznie, wszystko zależało tylko od pieniędzy...

Wypaczony mentat nie dawał jednak znaku życia, a baron nienawidził nierzetelności w wypełnianiu obowiązków, szczególnie gdy dotyczyło to mentata, który kosztował go majątek. Podczas całej tej zawieruchy miał pewnie niezliczone sposobności, aby zabić ładacznicę Leta i jej bachora, tymczasem nic takiego się nie zdarzyło, a pochodzące z innych źródeł raporty wspominały tylko o niewielkim zamieszaniu zaraz po narodzinach dziecka. Baron najchętniej własnoręcznie ukręciłby de Vriesowi kark, tymczasem tamten jakby się zapadł pod ziemię. „Przeklęty mentat!”

Zmierzch zapadł nad Harko. Baron musiał sam przygotowywać obronę na wypadek, gdyby ZNAH dalej węszył wokół „nieścisłości rachunkowych”. Aby uświadomić wszystkim swoją rolę, na całe Cesarstwo rozesłał zapewnienie: „Gwarantuję ciągłe jak dotychczas dostawy melanzu. Przyprawa będzie płynąć nieprzerwanym strumieniem”.

Kiedy chodziło o księgowość i kwestie wymagające niejakiego wysiłku umysłowego, na bratanka Rabbana nie mógł liczyć. Był niezawodny, gdy trzeba było komuś rozwalić czaszkę, ale przy bardziej subtelnych zajęciach należało go trzymać jak najdalej. Z radością przez niego podchwycony przydomek „Bestia” dobrze go charakteryzował. Co więcej, baron musiał się też zająć naprawami zniszczeń, jakie w sieci łącznościowej i transportowej Arrakis spowodowała interwencja Gildii, tym bardziej więc zżymał się na nieobecność mentata.

Wściekły przeszedł do gabinetu, gdzie czekała na niego uczta: wymyślne potrawy mięsne, egzotyczne owoce, smakowite ciasta i wielce ceniona przez barona brandy kirana. Zamyślony ponuro posmakował wszystkiego.

Kiedy przez tyle dni miotał się uwięziony w Kartadze, tak doskwierał mu brak bardziej wyszukanych rzeczy, że przyrzekł sobie, iż jeśli tylko sytuacja się odmieni, wszystko sobie odbije. Teraz podjadał przez cały dzień na okrągło, gdyż to dodawało mu pewności siebie. Z lubością oblizwał palce.

Ciało miał miękkie i wyperfumowane. Podczas kąpieli obsługiwało go pięciu młodych służących,

smarując go olejkami i masując, aż wszystkie mięśnie się rozluźniły. Po niewygodach i upokorzeniach, na które został skazany, z większą niż wcześniej łapczywością sycił się wszystkimi przyjemnościami.

Do gabinetu bez uprzedzenia wkroczył Rabban. Obok niego z inteligentną złośliwą miną na twarzy cherubina człapał Feyd-Rautha.

Bestia miał nadzieję, że uda mu się zatrzeć ślady nieudanej, a podjętej z wicehrabią Moritanim inwazji na Kaladan, baron jednak niemal natychmiast dowiedział się o wszystkim, tyle że na razie trzymał to w tajemnicy. Pomysł wcale nie był zły i wymagał sporo śmiałości, ale baron ani myślał powiedzieć to głośno. Przynajmniej na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że wszystkie ślady uwikłania Harkonnenów zostały usunięte, niepotrzebna więc była żadna bezpośrednia interwencja, a ten dureń niechaj się dręczy w niepewności: czy stryj coś wykrył, czy też nie?

Rabban odwrócił się i wrzasnął w kierunku korytarza:

– Szybciej, durnie. Wielmożny baron sam to otworzy.

Dwóch służących wniosło długi, pękaty pakunek obwiązany kolorowymi wstążkami. Rabban z nawyku strzelił w powietrzu biczem z krwawinu, żaden jednak z wysokich, smagłych mężczyzn nawet nie drgnął, chociaż na ich twarzach i szyjach widać było blizny po chłóście.

Baron spojrział na prawie dwumetrową paczkę i skrzywił się.

– Co to takiego? Nie oczekuję żadnych przesyłek.

– To prezent dla ciebie, stryju. Przed chwilą dostarczył go kurier, ale nie chciał zdradzić nadawcy, a na opakowaniu też nie ma żadnych informacji. – Postukał w paczkę grubym paluchem. – Będziesz sam musiał sprawdzić, od kogo to.

– Też coś! – Baron cofnął się o kilka kroków. – Sprawdzono, czy nie ma w środku ładunków?

Rabban prychnął tylko.

– Jasne. Wykluczono jakiegokolwiek materiały wybuchowe i trucizny. To absolutnie bezpieczne.

– Więc co to takiego?

– Właśnie tego... nie udało nam się do końca ustalić.

Baron zrobił jeszcze krok do tyłu. Gdyby nie podejrzliwość, nie dożyłby swojego wieku.

– Skoro to bezpieczne, to otwieraj ty, Rabbanie, ale niech Feyd także odejdzie na bezpieczną odległość.

Szkoda byłoby stracić naraz dwóch następców.

Rabban odepchnął przyrodniego brata, który zatoczył się w kierunku barona. Vladimir chwycił go za kołnierz i przyciągnął do siebie. Ale i Bestia nie zamierzał ryzykować.

– Słyszeliście! – warknął pod adresem obu służących. – Otworzyć!

Ponieważ nie mogli nosić przy sobie noży ani innych ostrych narzędzi, musieli rozerwać wstążki palcami.

– No i!? – wrzasnął Rabban. – Co tam jest?

Feyd zaczął się szarpać, baron pozwolił mu więc w końcu podejść do pudła, z którego służący zaczęli usuwać wieko.

Malec zajrzał do środka i parsknął śmiechem. Teraz nadpłynął i baron, lekki dzięki odciążaczowemu pasowi. Wewnątrz znajdowały się znumifikowane zwłoki Pitera de Vriesa, obłożone metalizowaną folią. To ona zapewne nie pozwalała rozpoznać na skanerach, jaka jest zawartość paczki. Twarz mentata była zapadnięta, powieki przymknięte, wargi jednak dalej nosiły ślady safo.

– Kto to przysłał? – ryknął baron.

Rabban podszedł, nachylił się i ze zeszywniałych palców de Vriesa wyjął kartonik. Podniósł go

do oczu i powoli odczytał, jakby nawet kilka słów stanowiło dlań nie lada problem.

– Ta czarownica Mohiam. Pisze: „Nigdy nas nie lekceważ, baronie”. – Rabban porwał kartonik i cisnął kawałki na podłogę. – Zabiły ci mentata, stryju.

– Dziękuję, że raczyłeś mi to wyjaśnić.

Baron kopnął pudło tak, że przewróciło się, wyrzucając zwłoki na posadzkę, po czym z rozmachem kopnął mumię w żebra. I to właśnie teraz, kiedy tak potrzebna była mu pomoc mentata!

– Piterze! Jakim trzeba być głupcem i niezdaraż żeby się dać zabić jakiejś babie!

Trup milczał.

Z drugiej strony, pożytków z niego miał coraz mniej. To prawda, był sprawny, miewał świetne pomysły, jednak... jego skłonność do narkotyków sprawiała, że zaczynały go nawiedzać omamy, a poza tym zaczynał okazywać zbyt dużą samodzielność...

Następnemu trzeba się będzie od początku uważniej przypatrywać. Baron wiedział, że Tleilaxanie z tego samego materiału genetycznego wyprodukowali już kopie de Vriesa, dobrze wiedząc, że to tylko kwestia czasu, by porywczy i brutalny baron wypełnił obietnicę, że zabije swego doradcę.

– Skontaktować się z Tleilaxanami – mruknął. – Nowy mentat w ekspresowym tempie.

Każdy arystokrata uparcie wzbrania się przed spełnieniem swego ostatecznego obowiązku, aby usunąć się na bok i rozmyć w niepamięci historii.

następca tronu Raphael Korrino

Zgodnie z publicznym oświadczeniem Cesarza Szaddama ceremonia pogrzebowa miała być wspanialsza niż wszystko, co dotąd widziało Cesarstwo.

Ciało Aniruli, owinięte w najlepsze futra wielorybie i przystrojone bezwartościowymi kopiami najbardziej znanych z jej klejnotów, legło na kawałkach zielonkawych kryształów, sterczących niczym szmaragdowe kły potwora.

Szaddam zajął miejsce u szczytu stosu pogrzebowego. Miał przed sobą prawdziwy ocean głów. Na ostatnie pożegnanie małżonki Cesarza żałobnicy zjechali się z całego Cesarstwa. Obnoszący się ze swym bólem Cesarz miał na sobie szaty w przytłumionych barwach, co pozwalało podkreślić jednocześnie wykwint i powagę.

Pochylił głowę, nie bardzo pewien, czy wyraz bólu na twarzy wygląda przekonująco. Wszystkie córki stały na przodzie, łkając najzupełniej szczerze, z wyjątkiem Irulany, powściągliwej i małomównej. Ceremonia miała wyrzeć na uczestnikach potężne wrażenie, sam jednak Szaddam nie czuł żadnego żalu. Może i dobrze się stało, gdyby bowiem Anirula pożyła dłużej, być może sam by ją uśmiercił. Znudzony przysłuchiwał się zawodzeniom kapłanów, przeplatany urywkami z Biblii Protestancko-Katolickiej. Ceremonie w dużej części pokrywały się z tymi celebiami, w których uczestniczył przy okazji koronacji i małżeństwa z tą czarownicą, a chociaż on nie widział w tym żadnego sensu, ludność uwielbiała takie spektakle.

A teraz, kiedy miał na karku kuratorów wyznaczonych przez Landsraad, Gildię i ZNAH, nawet mowy być nie mogło o tym, aby w czymkolwiek uchybił rytuałom. I będzie musiał dźwigać te kajdany przez lata.

Sankcje, jakie nałożono na Szaddama, omawiano za zamkniętymi drzwiami. Przez dziesięć lat Landsraad, Gildia Kosmiczna i ZNAH będą miały wielki wpływ na życie polityczne i gospodarcze

Cesarstwa, władca bowiem poddany był ich bacznej kontroli i w licznych przypadkach musiał po prostu wykonywać ich polecenia.

Mściwie myślał, że dobrze by było skazać Fenringa na długoletnie wygnanie w odwecie za kompletną klęskę, jaką okazał się amal, zarazem jednak musiał mu w duchu przyznać rację, że wielu ze swych kłopotów uniknąłby, szukając porady u hrabiego, jeśli więc jego sytuacja miała się kiedykolwiek poprawić, wtedy będzie potrzebował pomocy swego długoletniego towarzysza. I dlatego lepiej go było do siebie nie zrażać. Przynajmniej potrzyma go przez jakiś czas na Arrakis, żeby wyraźnie poczuł, jaka jest jego rola.

Kapłani nareszcie umilkli i zapadła cisza. Rugia znowu zaniósł się płaczem i przez dłuższą chwilę niańce nie udawało się jej uspokoić. Po spojrzeniach Arcykapłana i szambelana Szaddam zorientował się, że teraz kolej na jego przemówienie. Treść musiał wcześniej przedstawić do zatwierdzenia swoim kuratorom. Sam fakt, że słowa te zostały ocenzurowane, sprawiał, iż z trudem przechodziły mu przez gardło.

Postarał się o możliwie jak najbardziej posępny ton głosu.

– Złowrogi los zabrał mi moją ukochaną żonę, Anirulę. Jej śmierć uczyniła w moim sercu ranę, która się nigdy nie zagoi, i mogę tylko wyrazić nadzieję, że także bez jej rady i miłości będę mądrze władał Cesarstwem. – Szaddam uniósł podbródek i uderzył w dobrze znane władcze nuty. – Wyznaczone przeze mnie grupy dochodzeniowe zrobią wszystko, by wyjaśnić okoliczności jej śmierci. Nie spoczniemy, aż sprawca tej zbrodni nie zostanie schwytany, a tajemnica do końca wyjaśniona.

Powiódł po zgromadzonych takim wzrokiem, jak gdyby spodziewał się, że jego czujne oko wyśledzi pośród nich twarz mordercy. W istocie nie bardzo dbał o przebieg śledztwa. Porywacz i zabójca w jednej osobie zniknął bez śladu, a ponieważ nie stanowił żadnego zagrożenia dla Szaddama, temu jego los był kompletnie obojętny, natomiast z prawdziwą ulgą myślał o tym, że został uwolniony od towarzystwa czarownicy, która nie potrafiła mu urodzić syna. Przez kilka miesięcy pozostanie jeszcze na widoku jej opustoszały tron, a potem usunie się go gdzieś na bok. Tak czy owak, Gildia i Landsraad będą zadowolone, że uzgodniony tekst powtórzył dokładnie.

– Wszyscy – zakończył – musimy pokonać swój ból i dokładać wszystkich starań, żeby Cesarstwo uczynić miejscem, gdzie pięknie jest żyć, chociaż nie zazna już tego Anirula.

Obok niego ze spuszczoną głową stała Prawdomówczyni Gaius Helena Mohiam. Wiele wskazywało na to, że wie o śmierci Aniruli więcej niż ktokolwiek inny, ale nie chciała zdradzić swego sekretu, a Szaddam przesadnie na to nie nastawał.

Pozwolił teraz, by tekst przemówienia spłynął na ziemię, i kiwnął głową w kierunku odzianego w zieloną szatę arcykapłana z Dur, który uczestniczył w koronacji. Na jego znak dwaj akolici wymierzili w stos pręty laserowe, podobne do tego, z którego ten przeklęty brat przyrodni, Tyros Reffa, usiłował go zabić.

Promienie, trafiwszy w skrawki kryształów, roztopiły ich ścianki, co wyzwoliło zamknięte w nich ogniki. W górę trysnął wielki płomień, miękkimi spiralami zaczął się wznosić aromatyzowany dym. Wszyscy zakryli oczy, chroniąc je przed rozgrzanym powietrzem.

Kiedy ładunek laserów się wyczerpał, ogień szybko wygasł i słychać już było tylko syczenie rozgrzanych kryształów, między którymi białawy popiół obrysowywał sylwetkę Aniruli.

Mohiam nie zwracała w ogóle uwagi na stojącego koło niej Cesarza, wpatrzona w pożerane przez ogień ciało lady Aniruli, która nadzorować miała przedostatni etap realizowanego od wieków programu kultywacyjnego. Dramatyczna śmierć Kwisatz Matki sprawiła, że teraz Mohiam musiała się

zaopiekować Jessiką i jej dzieckiem.

Z wielkim niepokojem myślała o nieposłuszeństwie i ostatecznej zdradzie jej córki, a także o porwaniu syna Jessiki i śmierci Aniruli. W owym krytycznym stadium zbyt wiele rzeczy przebiegło niezgodnie z planem.

Tak czy owak, dziecko było bezpieczne, a genetyka... genetyka nie była nauką absolutnie ścisłą. Nie należało wykluczać możliwości, że to syn księcia Leta Atrydy okaże się Kwisatz Haderach.

A może kimś lub czymś zupełnie innym.

Ludzka wygoda to rzecz względna. Jeden człowiek pewne środowisko uzna za surowe i nie do zniesienia, inny z radością w nim zamieszka.

planetolog Pardot Kynes,
ABC Arrakis

Hrabia Hasimir Fenring stał przy poręczy balkonu swojej rezydencji w Arrakin i patrzył na wyniszczone wiatrami i piaskiem budynki miasta. „Znowu na wygnaniu”. Zachował wprawdzie tytuł cesarskiego Ministra do Spraw Przyprawy, ale wiele by dał, aby być stąd jak najdalej. Chociaż, z drugiej strony, także nie na Kaitain, jak długo atmosfera była tam niespokojna.

Zakurzonymi ulicami, odziani pstrokato, człapali ostatni sprzedawcy wody, zaglądając do otwartych drzwi domostw. Pobrzękiwały ich dzbanki i garnuszki, dźwięczały dzwonki u przegubów, oni zaś przeciągle zawodzili: „Suu-suu suuuk”. W skwarze późnego popołudnia kupcy zamykali swe sklepy, aby wypić wieczorną kawę w chłodnym zaciszu domowym.

Wzbijając chmurę pyłu, do miasta wtaczał się pojazd z zalakowanymi pojemnikami z przyprawą gotowymi do załadowania na fregaty, które przeniosą je na czekający na orbicie liniowiec. Wszystkie raporty musiały przechodzić przez biuro Fenringa, ale on nie zamierzał ich sprawdzać. Jeszcze przez jakiś czas baron Harkonnen nie będzie śmiał nawet pomyśleć o jakichś nadużyciach.

Na balkonie pojawiła się jego smukła, elegancka żona, Margot, i przesłała mu uśmiech. Miała na sobie muślinową suknię, która owijała się wokół jej ciała niczym mgła.

– Jakaż to różnica w porównaniu z Kaitain. – Poglądziła go po włosach, a on poczuł na skórze dreszcz. – Tak czy owak, to jednak nasz dom, a ja uwielbiam przebywać z tobą kochanie.

Przeciągnął palcami po rękawie jej sukni.

– Hmmm-mhmmm. Chyba bezpieczniej jest dla nas przebywać teraz nieco dalej od Cesarza.

– Zapewne. Po tylu błędach, jakie popełnił, będzie chyba potrzebował kilku kozłów ofiarnych.

– Jak zawsze, mądrość przemawia przez ciebie.

Wzięła go pod rękę i poprowadziła do środka, a potem na korytarz. Bokiem przemyciała wolańska służba, jak zwykle wpatrzona w ziemię. Hrabia zawsze podejrzliwie przypatrywał się skrzętności, z jaką od jednej pracy przechodzili do drugiej.

Zatrzymali się przy nabytej w mieście, wykonanej przez Wolanina figurce w pustynnej szacie, której twarzy nie było widać. Hrabia sięgnął po rzeźbę i uważnie się jej przyglądał, podziwiając wierność, z jaką zostały oddane szczegóły ubioru.

Margot spojrzała na niego badawczo.

– Ród Korrinów będzie jeszcze potrzebował twych usług.

– Czy jednak Szaddam będzie chciał słuchać mych rad, hmmm? – Odłożył rzeźbę na miejsce.

Stanęli pod drzwiami oranżerii, którą kazał dla niej zbudować. Dotknęła zamka papilarnego, kiedy zaś się rozjarzył, a drzwi zaczęły się rozsuwać, cofnęła się, dając mu przejście. W środku unosił się zapach wilgotnej próchnicy i roślinności, bardzo przyjemny, tak bowiem różny od otaczającego ich na zewnątrz świata upałów i suszy. Westchnął. Ostatecznie wszystko mogło się znacznie gorzej ułożyć: i dla niego, i dla Cesarza.

– Szaddam, nasz lew Korrinów, musi przez chwilę zająć się wylizywaniem ran i rozmyślaniami nad swymi chybionymi posunięciami. A potem przyjdzie dzień, gdy, hmmm, doceni mnie i zatęskni za mną.

Weszli między wysokie krzewy o szerokich liściach i wijące się między nimi pnącza. Światło rzucały unoszące się pod sufitem jarzyce. Podwieszane na odciążaczach zraszacze przepływały od jednej rośliny do drugiej. Trochę wilgoci spadło na twarz Fenringa i to też było bardzo przyjemne. Wziął głęboki oddech. Zobaczył tuż przed sobą kwiat hibiskusa i przysunął go Margot do twarzy. Zaciągnęła się kwiatnym aromatem.

– Gdziekolwiek jesteśmy, wszędzie potrafimy wykroić dla siebie fragmencik raju – powiedziała. – Nawet tutaj, na Arrakis.

Kulturowe krzyżówki i zapożyczenia, które uczyniły nas tymi, którymi dziś jesteśmy, ogarniają ogromne przestrzenie i wielkie połacie czasu. Mamy tylko bardzo niewyraźne poczucie wielkiego prądu, który nas niesie.

**księżniczka Irulana Korrino,
W domu mojego ojca**

Powrót bohaterów batalii o Ix oznaczał początek długiego, radosnego święta. Wokół Zamku Kaladan, w porcie i wąskich uliczkach starego miasta na wyścigi sprzedawano smakołyki morskie i delicje z ryżu pundi. Na plaży pod zamkową skałą dzień i noc płonęły ogniska, przy których pito, śpiewano i tańczono. Właściciele gospód wydobyli z piwnic najszlachetniejsze wina, a przyprawowego piwa polalo się tyle, że poniosłoby małą flotę rybacką.

Tworzyły się nowe legendy, opowieści, których bohaterami byli Czerwony Książę Leto, na pół mechaniczny książę Rhombur, trubadur-wojownik Gurney Halleck, mistrz miecza Duncan Idaho i mentat Thufir Hawat. Jego fortel, który zmylił nieoznakowaną maszynę zwiadowczą zyskał mu taką sławę, że Thufir czuł się tym zakłopotany.

Nie trzeba dodawać, że z każdym powtórzeniem opowieści wzbogacały się o upiększające i dramatyczne momenty, w czym niebagatelną rolę odgrywał Gurney Halleck. Już pierwszego wieczoru po powrocie, rozochocony wypitym alkoholem, zasiadł przy największym ognisku i przygrywając sobie na balisecie, zaśpiewał balladę na modłę Jongleur, która zaczynała się od słów:

*Nigdy z pamięci nie zniknie opowieść
O Letu Sprawiedliwym i jego drużynie!
Dopomógł Beakkalowi, drwiąc z sardaukarów,
Z Ix zerwał pęta wraże i ohydne,
A wszystko to w imię, słuchajcie mnie dobrze,
Wolności dla wszystkich*

I z każdym kolejnym pucharkiem wina dokładał kolejną strofkę, bardziej dbając o muzykę niż o wierność faktom.

W dniu nadania imienia synowi księcia tłumy zebrały się w zamkowych ogrodach pachnących glicynią i różami Kala. Leto ubrał się całkiem zwyczajnie, aby nie wyróżniać się spośród swoich poddanych: miał na sobie bufiaste spodnie, koszulkę w niebiesko-czarne pasy, a na głowie niebieską czapkę rybacką. Stojąca obok niego Jessika trzymała w ramionach synka. Chłopaczek odziany był w malutki mundurek, ale jego matka – podobnie jak ojciec – wystąpiła w stroju bardzo niewyszukanym: brązowo-zielonej lnianej spódnicy i prostej białej bluzce z zakasnymi rękawami. We włosach miała szpilkę z drewna i muszli.

Leto wziął syna w silne dłonie i uniósł wysoko do góry.

– Obywatele Kaladanu, oto wasz nowy władca: Paul Orestes Atryda!

Pierwsze imię miało upamiętnić ojca: Paulusa, co do drugiego, tradycja głosiła, że syn Agamemnona, Orestes, był protoplastą rodu Atrydów. Jessika z pełnym miłości uśmiechem spoglądała na ojca i syna, szczęśliwa, że wszyscy są już bezpieczni.

Teraz oboje rodzice, na przemian trzymając swego potomka, wmieszali się w tłum gości, odbierając ze wszystkich stron gratulacje i życzenia.

Rhombur, który wraz z Tessją tylko na tę chwilę opuścił Ix, bił w mechaniczne dłonie głośniej niż ktokolwiek inny. Podczas jego nieobecności pracami nad odbudową i naprawą wnętrza planety kierował ambasador Pilru.

Słuchając, jak Leto snuje plany związane z Paulem, Rhombur przypomniał sobie słowa dawno wypowiedziane przez jego ojca: „Każde wielkie zwycięstwo ma swoją cenę”.

Tessja przytuliła się do niego, a on objął ją ramieniem, ale niewiele poczuł od niej ciepła. To była jedna z wad ciała tylko w części naturalnego. Poza tym od początku musiał uczyć się posługiwać swoją świeżo dosztukowaną dłonią.

Z zewnątrz wydawało się, że powraca mu dawna pogoda ducha i niefrasobliwość, ale w głębi serca bolał nad tym wszystkim, co utraciła jego rodzina. I cóż tego, że odzyskał Grand Palais, że zasiadał w Landsraadzie, skoro i tak miał być ostatnim przedstawicielem rodu? Owa ceremonia nadania imienia synowi Leta uświadamiała mu to szczególnie mocno.

Spojrzał na Tessję. Uśmiechała się wprawdzie, ale w jej oczach widać było niepokój i troskę. Zawahała się, a widząc jego wyczekujące spojrzenie, rzekła:

– Nie wiem sama, jak powiedzieć ci o czymś, co uznasz może za dobrą nowinę.

Uśmiechnął się zachęcająco.

– To dobrze, bo złych jakoś nie trawię, nie wiem dlaczego.

Uścisnęła protezę dłoni.

– Pamiętasz, ambasador Pilru przeprowadził bardzo staranny test, aby zbadać genetyczną tożsamość Tyrosa Reffy. Pobrał próbki różnych tkanek. – Rhombur patrzył na nią z zaciekawieniem. – Zachowałam je, także spermę, w pełni wartościową.

Zamrugął.

– Chcesz powiedzieć, że... że moglibyśmy... użyć jej...

– Z miłości do ciebie gotowa jestem począć dziecko twego przyrodniego brata. Będzie w sobie miało jedną czwartą krwi twojej matki. Będzie więc Verniusem tylko w części, ale...

– Na szkarłatne piekła, to ci nowina! Będę go mógł oficjalnie adoptować i wyznaczyć na mego

następcę. Nikt w Landsraadzie nie będzie śmiał się przeciwstawić.

Uściskał ją tym mocniej, że za pomocą mechanicznych w dużej części ramion.

– Uważaj, książę, abyś z nadmiaru zapału mnie nie utracił – powiedziała z uśmiechem.

Zachichotał.

– O nie, już nie książę, moja droga. Teraz jestem earlem Verniusem, a mój ród wcale nie wygaśnie! Powijesz niejedno dziecko, a Grand Palais pełen będzie ich szczebiotów!

Magiczne własności pustyni nie ulegają najmniejszej wątpliwości. To na pustyniach tradycyjnie rodzą się nowe religie.

Missionaria Protectiva, raport dla szkoły zakonnej na Wallach IX

Jakkolwiek przez Cesarstwo mogły się przetaczać wielkie burze polityczne, piaszczysty ocean nigdy się nie zmieniał.

Dwóch mężczyzn z odrzuconymi kapturami płaszczy dżubba i wiszącymi maskami destylozonów stało na skalnej półce i spoglądało na zalane księżycowym światłem wydmy Ergu Habbanja. Bystre oczy Wolan ze stacji obserwacyjnej w Nibymurze Zachodnim wypatrywały eksplozji przyprawowych.

Od wczesnego ranka Liet-Kynes i jego towarzysze czuli gazy ogromnej masy preprzyprawowej niesione wiatrami mknącymi nad ergiem. W dole, na piachu, wyczuwało się podziemne dudnienie: coś działo się pod piaszczystym płaszczem, tyle że wybuch melanżu przebiegał zazwyczaj gwałtownie, bez długich zapowiedzi. Nawet planetolog nie wiedział, co o tym sądzić.

Noc była spokojna, wiatr wiał łagodnie. Po niebie przesuwała się nowa kometa, ciągnąc za sobą roziskrzony ogon. Wyglądało to na ważny znak, nie wiadomo jednak czego. Komety często zapowiadały narodziny nowego króla albo śmierć starego. Nawet naibowie i sajjadiny nie mogli się zgodzić, czy to dobra, czy zła zapowiedź.

W dole młodzieńcy czekali na znak od obserwatorów, aby pognać na miejsce wybuchu i zebrać tyle przyprawy, ile się da, zanim zjawi się piaskal. Wolanie gromadzili tak melanż od czasów, gdy pierwsi zensunnicy Wędrowcy osiedlili się na tej planecie.

„Zbierać melanż przy blasku komety...”

Kiedy wzeszedł białawoniebieski Drugi Księżyc, Liet spojrzał na cień na jego obliczu, który przypominał pustynną mysz.

„Nadchodzi Muad'Dib, aby baczyć na nas”.

Obok niego Stilgar o wzroku jastrzębia dojrzał zwiastuna nadciągającego piaskala. Piaszczysta fałda przesuwała się szybko wzdłuż grani, w której kryła się sicz Czerwonego Muru. Liet zmrużył oczy, ale teraz już i inni szperacze wskazywali w tym samym kierunku.

– Piaskale nie podchodzą tak blisko naszej siczy bez powodu – mruknął Liet.

– A kto zna powody Szej-huluda? – odpowiedział ktoś za nim.

Wielka bestia powoli wynurzyła się ponad piach naprzeciw skalnego grzbietu. Liet posłyszał stłumiony okrzyk Wolan. Piaskal był tak stary, jakby zrodził się z pierwotnego kośćca świata.

A potem jedna za drugą sypnęły się informacje o piaskalach, wszystkich zmierzających w tym kierunku, zupełnie jakby piaskowe lewiatany wyznaczyły sobie tutaj schadzkę. Szorstkie dźwięki

przywoływały na myśl nadciągającą burzę.

Jeden po drugim, piaskale dołączały do zgromadzenia, tworząc wielkie koło. Liet naliczył ich dwanaście. Ciche, jeśli nie liczyć tarcia o piasek, wydzwignęły się nad powierzchnię pustyni, jakby na powitanie komety.

Wolanie przyglądali się temu w najwyższym zdumieniu, gdyż piaskale pilnie strzegły swych terytoriów i jeśli jeden wkroczył na obszar drugiego, zawsze dochodziło do walki. Tymczasem tutaj najwyraźniej odbywało się jakieś... spotkanie.

Poprzez podeszwy butów Liet wyczuwał dygotanie skały.

Ostry krzemowy zapach zaczął się mieszać z przesączającym się przez piach zapachem melanżu.

– Alarm w całej siczy. Chcę mieć przy sobie żonę i dzieci.

Dwaj mężczyźni biegiem rzucili się do tunelu wejściowego.

Wielkie wężowate sylwetki kołysały się zgodnie.

Wolanie wykonywali gesty pozdrowienia Szej-huluda. Liet wpatrywał się przed siebie w bojaźliwym milczeniu. O tej scenie będzie się opowiadać przez wiele pokoleń.

Bestie skierowały na niego swe ogromne, pozbawione ślepi łby, a do środka koła przesunął się największy, górujący nad innymi piaskal. Kometa rzuciła na nie światło tak jasne, jakby była Pierwszym Księżycem.

– Szej-hulud, Szej-hulud! – szeptali nabożnie Wolanie.

– Musimy opowiedzieć wszystko sajjadinie Ramallo – zwrócił się do Lieta Stilgar. – Tylko ona potrafi nam to wyjaśnić.

Z miękkim szelestem szaty zjawiała się Faroula, żona Lieta. Koło niej dreptał Liet-chih, na rękach niosła półtoraroczną Chani, którą podała Stilgarowi.

W księżycowej poświacie krąg piaskali przesunął się w lewo, trąc ciałami o piasek. Skóra najstarszego, znajdującego się w środku potwora zaczęła się łuszczyć, pierścienie wyginać i odpadać, a odsłonięte ciało zamieniało się w deszcz piaskopływaków, które, dotknąwszy piasku, natychmiast zaczynały się w nim zakopywać.

Wolanie patrzyli jak urzeczeni. Dzieci chowały się za rodzicami i półgłosem zadawały pytania, na które nikt nie potrafił odpowiedzieć.

– Czy ja śnię, mężu? – odezwała się Faroula. Chani, która miała zapamiętać tę noc na zawsze, patrzyła na tę scenę szeroko rozwartymi oczami, które nie zdążyły jeszcze stać się całkowicie niebieskie od melanżu.

– Nie, to nie sen, ale... Sam nie wiem, co to takiego.

Trzymając Chani w jednym ręku, Liet drugą uściśnął dłoń Farouli. Liet-chih zaczął kołysać się w rytmie piaskali, te zaś w dziwnym tańcu okrężyły kościste resztki najstarszego z nich. Jego całe ciało rozpułyło się w piasku.

Jeszcze chwila i wszystkie piaskale zapadły się pod ziemię, zgodnie jak na rozkaz, a potem oddaliły w różnych kierunkach, jakby zrywając chwilowy sojusz.

Liet przyciągnął Faroulę do siebie i poczuł, jak mocno łomocze jej serce. Ich syn, ledwie dorastający matce do pasa, nie odezwał się ani słowem. Ruchome wydmy, ślady ruchu piaskali, przesunęły się coraz dalej, a pustynię znowu ogarniał dawny spokój.

– Chwała niech będzie Stworzycielowi i Jego wodom – powiedział Stilgar, a wszyscy Wolanie zawtórowali mu. – Błogosławione niech będą chwile, gdy się przychodzi i odchodzi. Niechże kroki Jego oczyszczą świat, który oby zechciał zachować dla Swego ludu.

„Może to wiekopomne zdarzenie” – pomyślał Liet. – „Może cały świat odmienił się w tej chwili”.

Szej-hulud, król piaskali, obrócił się w piach, ustępując miejsca nowemu władcy. W wielkim

łańcuchu zdarzeń śmierć i narodziny spletały się w jeden naturalny proces. Jak uczył Wolan Pardot Kynes: „Życie we wszelkich swoich odmianach służy życiu. Wraz z tym, jak wzrasta jego różnorodność, życie dostarcza coraz bogatszej stawy, którą samo się karmi. Ożywa cały system, w którym rozrastają się powiązania i związki w obrębie powiązań”.

Wolanie byli oto świadkami niezwyklej zapowiedzi, powiadającej, że gdzieś we wszechświecie narodził się ktoś, kogo słać będą następne tysiąclecia. Planetolog Liet-Kynes zaczął to szeptać do ucha swojej córeczce, ale nagle umilkł, gdyż poczuł, że ona rozumie jego słowa.

Procesu nie można zrozumieć, zatrzymując go. Rozumienie musi płynąć wraz z procesem, wtapiać się weń i włączać do niego.

Pierwsze Prawo Mentatów

Na wielkim, starannie utrzymanym trawniku, hojnie zraszonym wodą, Matka Przełożona Harishka wykonywała codzienne ćwiczenia, pomagające utrzymać sprawność jej niemłodego już ciała. Miała na sobie czarny kostium, podczas gdy dziesięć otaczających ją akolitek, zajętych własnym treningiem, odzianych było na biało. Od czasu do czasu zerkały z podziwem na swą przełożoną, marząc o tym, żeby w jej wieku być chociaż w połowie tak zwinne.

Matka Przełożona przymknęła oczy, w skupieniu sięgając do najgłębszych pokładów duchowych. W młodości powiła ponad trzydzieścioro dzieci, a każde z nich niosło w sobie krew jednej z dominujących w Landsraadzie rodzin.

A wszystko to w nieustającej służbie zakonu.

Poranne powietrze na Wallach IX było chłodne. Od wzgórz, gdzieniegdzie pokrytych jeszcze płachtami śniegu, ciągnął wiatr. Małe niebieskawe słońce, słabe centrum układu planetarnego, z trudem przebijało się przez zasłonę szarych chmur.

Od białego głównego budynku szkolnego nadchodziła Wielebna Matka Gaius Helena Mohiam, niosąc małe, wykładane klejnotami puzderko. Po szachownicy z ciemnych i jasnych traw poruszała się tak lekko, że nie zostawiała po sobie niemal żadnych śladów. Zatrzymała się kilka metrów od Harishki i cierpliwie czekała. Ta z zamkniętymi oczami zrobiła obrót na palcach jednej stopy, a drugą zadała błyskawiczny cios, zatrzymując się o milimetry od twarzy Prawdomówczyni.

– Można by powiedzieć, że jesteś jeszcze sprawniejsza niż dotąd, Matko Przełożona – rzekła Mohiam, zachowując niewzruszoną postawę.

– Starość nie potrzebuje pochlebstw – odpowiedziała Harishka i uniosła powieki. – Co takiego przyniosłaś?

Mohiam uniosła wieko, wyjęła bladoniebieski pierścień z czarmieniem i nałożyła go na wyciągnięty palec Harishki. Dotknęła bocznej ścianki pierścienia, a w powietrzu ukazała się wirtualna książka.

– Dziennik Kwisatz Matki odnaleziony po śmierci w jej gabinecie.

– A tekst?

– Spojrzałam tylko na pierwszą stronę, Matko Przełożona, aby się upewnić co do osoby autorki. Nie sądziłam, bym miała prawo czytać dalej – odrzekła Mohiam i lekko skłoniła głowę.

Harishka, pukając w przełącznik z boku pierścienia, przerzucała stronicę, a jednocześnie zwróciła się do Wielebnej Matki:

– Niektórzy powiadają że tutaj jest zimno. A ty co o tym sądzisz?

– To nasz umysł decyduje, czy jest zimno, czy nie.

– Nie odpowiadaj jak z podręcznika dla akolitek.

Mohiam uniosła brwi.

– Wydaje mi się, że jest dość chłodno.

– Mnie zaś pogoda wydaje się całkiem przyjemna. Mohiam, czy sądzisz, że mogłabyś mnie czegokolwiek nauczyć?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, Matko Przełożona.

– Więc się zastanów.

Harishka nadal wertowała stronicę pamiętnika.

Mohiam usiłowała zgłębić intencję tego pytania. Dobrze wiedziała, że Harishka nigdy nie przestawała być nauczycielką nawet teraz, gdy była zwierzchniczką całego zakonu.

– Uczymy tych, którzy chcą być uczeni – powiedziała w końcu.

– I znowu brzmi to jak z podręcznika.

– Tak, chyba mogłabym cię czegoś nauczyć, Matko Przełożona – bąknęła Mohiam. – Każdy z nas zna rzeczy innym nieznane. Narodziny chłopca wskazują że żadna z nas nie wie, czego się spodziewać.

– To prawda – przytaknęła Harishka, ale z wyrazem rozczarowania na twarzy. – Doznaję w tej chwili myśli i uczuć, jakich nigdy dotąd nie doświadczyłam i jakich nigdy już nie doświadczę. Każda chwila to klejnot, podobny do tego czarmieniowego pierścienia, nie mający równych sobie we wszechświecie. Tak samo jest z ludzkimi istnieniami, z których każde jest odmienne. Uczymy się od innych i sami jesteśmy dla nich nauczycielami. To tajemnica życia, ucząc się bowiem, doskonalimy swój gatunek.

Mohiam pokiwała głową.

– Póki życia, póty nauki.

Po południu Matka Przełożona siedziała samotnie przy gładko wypolerowanym biurku w swym gabinecie i czytała dziennik Aniruli. Po jej prawej stronie tliło się kadzidełko, napełniające powietrze delikatnym zapachem mięty.

Czytała codzienne zapiski Kwisatz Matki, w dużej części mówiące o jej innej funkcji: żony i matki, pełnej nadziei wiązanych z córkami, a przede wszystkim z Irulaną. Między notatkami znajdowały się jednak takie, które można by uznać za prorocze.

„Nie jestem sama. Pamięć Innych towarzyszy mi zawsze i wszędzie. Wobec tego bezkresnego bogactwa zbiorowej mądrości niektóre z Wielebnych Matek uważają że nie warto prowadzić pamiętnika, zakładamy bowiem, iż w chwili śmierci myśli swe przekazemy innej siostrze. Cóż jednak, jeśli umrę samotnie, gdy nie będzie w pobliżu żadnej Wielebnej Matki, aby przejąć i zachować moje wspomnienia?”

Harishka smutno zwiesiła głowę. Anirula zginęła, zanim dotarła do niej Mohiam, i w ten sposób wszystkie jej doświadczenia przepadły. Z wyjątkiem tego, co utrwaliła na wirtualnych stronicach.

Czytała dalej.

„Piszę to nie z osobistych przyczyn. Jako Kwisatz Matka, odpowiedzialna za nasze wielkie dzieło tak bliskie spełnienia, prowadzę tę kronikę dla tych, które przyjdą po mnie. Gdyby – co oby się nie spełniło! – nasz program Kwisatz Haderach miał się nie powieść, mój dziennik może być nieocenioną pomocą dla przyszłych zwierzchniczek zakonu. Niekiedy drobne, pozornie nic nieznaczące wydarzenie może mieć wielką wagę. Wie o tym każda siostra”.

Harishka spojrzała na ścianę. Ona i Anirula Sadow-Tonkin bardzo się kiedyś przyjaźniły. Zapanowała nad swym nastrojem i wróciła do lektury. Niestety, im dalej, tym tekst był mniej zrozumiały, rozpadał się na nie związane ze sobą fragmenty i stwierdzenia, jak gdyby dyktowały go różne osoby. Nawet siostra medyczna Yohsa nie przypuszczała, jak daleko posunął się rozpad duchowy Aniruli.

Harishka coraz szybciej przewracała strony mówiące o zmorach i podejrzeniach autorki. W jednym miejscu Anirula kilkakrotnie raz za razem wypisała Litanię Przeciw Trwodze.

Dla Harishki w większości był to obraz rozwijającego się szaleństwa. Cicho zaklęła.

„Strzępy i strzępy, a teraz Jessika zamiast córki powiła syna!”

Winą za to trudno było obciążać Anirulę.

Postanowiła pokazać dziennik siostrze Thorze, która najlepiej radziła sobie z kodami i szyframi. Być może jej uda się odnaleźć w tym jakiś sens.

Kto wie jednak, czy największą tajemnicą nie był syn Jessiki. Dlaczego Anirula poświęciła za niego życie? Ponieważ ten... genetyczny błąd wydawał jej się jednak ważny czy może z jakiegoś innego powodu? Świadectwo jakiejś głupiej, czysto ludzkiej tkliwości wobec dziecka?

Modląc się w duchu, aby trwający od tysiącleci projekt nie zakończył się klęską Harishka musnęła przycisk i dziennik rozpląnął się w powietrzu.

Ale słowa trwały w jej umyśle.

* — W. Szekspir, *Jak wam się podoba*. Tłum. L. Ulrich. W: *Dzieła dramatyczne. Komédie*. T. 2. PIW, Warszawa 1980.

Spis treści